

MARY
MCGARRY
MORRIS

Fiona

Przekład:
MAŁGORZATA MAZIK

C&T
TORUŃ

Rozdział 1

Było ciemno, bardzo ciemno, jednak gdzieś daleko, w głębinach nocy ćwierkał ptak. Fiona Range zamrugała oczami i zamknęła je, a potem rozwarła gwałtownie w mroku. Nie mogła oddychać. Każdy nerw pulsował ze ślepą ostrością lęku. Na szyi czuła gorący, śmierzący oddech nagiego mężczyzny, który chrapał przy jej boku. Chwyciła powietrze, sztywniejąc, gdy tamten się poruszył. Piżmowy odór pocących się łądźwi uniósł się z prześcieradeł. Mężczyzna chrząknął i przewrócił się na brzuch, a jego owłosione ramię opadło jak gruby kij w poprzek jej nagich piersi. Próbowwała usiąść, lecz ręka przesunęła się, przyciskając jej ramiona. On pochrapywał teraz leniwie. Widziała tylko tył jego głowy.

— Hej! Ty, obudź się! — wyszeptała z podbródkiem przyciśniętym do jego ramienia. Przez jej umysł przebiegały zamazane obrazy.

Pamiętała, jak opuszcza przyjęcie, a potem zimne ręce mężczyzny wpychają jej nogi do samochodu, by można było zamknąć drzwi. To musiał być on, ten bezimienny, pozbawiony twarzy mężczyzna leżący teraz w jej łóżku. Pomógł jej wejść na górę do mieszkania, bo ciągle potykała się na schodach. Nie mogła znaleźć klucza, więc opróżniła jej torebkę na podłogę w holu, a potem usiłował otworzyć nie te drzwi, podczas gdy ona mogła się tylko śmiać. A potem — Boże — jej afektowany sąsiad, pan Clinch, wyjrzał i wskazał ręką przez hol.

— Tamte drzwi — wyszczał. — Tam jest jej miejsce.

W środku. Tutaj, na tym łóżku, zdjął jej ubranie i błagał, żeby, proszę, proszę, przestała się śmiać, kiedy się kochali, a potem, gdy skończyli i chciała go objąć, wcisnął twarz w poduszkę i zaszlochał.

Co, na miłość boską, zrobiła? Teraz poruszała tylko oczami. Z ciemności, w słabym blasku budzącym się za roletą, zaczęły wyłaniać się kształty. W pokoju panował zwykły chaos. Pudełka i czasopisma, książki na jej kurs, jej uniform, puszka coca-coli na parapecie, wszędzie stopy

ubrań, szale na klamce u drzwi, staniki na podłodze. Buty, trzewiki, skarpety. Rozrzucone metki. Kupowała przedmioty: kosmetyki, swetry, kompaktki, nosiła je, słuchała ich, a torby zostawiała na podłodze. Jakie to, do diabła, miało znaczenie? W jej życiu panował chaos, nie miała nad nim kontroli. W jej łóżku leżał obcy mężczyzna.

— Hej! Hej, ty! — Zaczynało jej się robić niedobrze. — No, obudź się! Obudź się! — Spychała jego ramię, aż zwinął się na boku. Wtedy wstała i zatoczyła się, czując mdłości, a potem odszukała po omacku drogę do łazienki. Usiadła na muszli i jęknęła, obejmując dłońmi pulsującą, ciężką głowę.

To było przyjęcie urodzinowe na cześć Tima, męża jej przyjaciółki Terry, podwójna uroczystość, ponieważ poprzedniego dnia po wielu latach prób przyszło na świat pierwsze dziecko Brada i Krissy Gliddenów. Brad Glidden i Tim pozostawali najlepszymi kumplami od szkoły średniej. Był to pierwszy od wielu miesięcy wieczór, który Fiona spędziła poza domem. Chciała tylko poczuć się choć trochę szczęśliwa, choć przez chwilę, lecz, o Boże, co zrobiła? Tańczyła z każdym, nawet z biednym przygłupem, Larrym Belleau, który obsłiniał ją pocałunkami, a potem następna rzecz, jaką pamiętała, to że znaleźli się obydwójce w basenie. Boże, tańczyła nawet z Goldie, śmierzącym collie, aż Tim powiedział jej, że jest obrzydliwa, i kazał jej wyjść. Brad Glidden nalegał, by najpierw napiła się kawy, więc piła kawę i jadła faszerowane liście winogron, siedząc na kuchennym stołku Terry. Potem pies stanął na tylnych łapach. Jego sierść kłuła ją w piersi, kiedy karmiła go liśćmi winogron. Wzdrygnęła się na myśl o dotknięciu pokrytych nalotem, żółtych zębów Goldiego, gdy całowała go w pysk. Nie miała też pojęcia, kto leży zwiniony na jej łóżku.

Oddychała głęboko, starając się uspokoić żołądek na tyle, by mogła wstać. Musiała umyć zęby, musiała wyszorować ten wstrętny smak: oddech psa i zapach mężczyzny, kimkolwiek, do diabła, był. Tarła szczotką, aż zaczęły jej krwawić dziąsła. Wciąż czuła na sobie jego zapach.

Larry Belleau. Zamarła z ręką na klamce, nagle przestraszona, że to może być on. Z Larrym nigdy nie było w porządku od jego wypadku przy skoku do wody w kamieniołomie wiele lat temu. Większość ludzi unikała go, bo był taki męczący, lecz ona zawsze zadawała sobie wiele trudu, by być dla niego miłą. Mój Boże, nie zadała sobie chyba aż takiego trudu. A może? Nie, facet w jej łóżku był szczupły, a Larry był olbrzymem. Poza tym Larry nie prowadził samochodu. Może był to ktoś, kogo nawet nie знаła, ktoś całkowicie obcy, ktoś, kogo spotkała zeszłej nocy w drodze do domu.

Kiedy wyszła z łazienki, już go nie było. Koc leżał rzucony na podłogę. Drzwi wejściowe były uchylone. Po drugiej stronie holu otworzyły się drzwi mieszkania pana Clincha, kiedy sięgał po swoją gazetę. Ich spojrzenia spotkały się i mężczyzna odwrócił wzrok. Rzuciła się z powrotem do środka i szarpnęła do góry roletę, by zobaczyć swojego kochanka biegnącego boso alejką do samochodu. Koszulę miał rozpiętą, a buty niósł w ręku. Zerknął w górę, usiłując jednocześnie trafić kluczem do zamka. Ujrzała na jego twarzy wyraz paniki, przerażenia i tej samej odrazy, jaką sama czuła. To był Brad Glidden. Tego ranka Krissy i ich nowo narodzone dziecko wracali ze szpitala do domu. Tego ranka. Dzisiaj — w tym samochodzie, w samochodzie, w którym opuściła przyjęcie, w tym samym białym volvo kombi, które z piskiem opon odjeżdżało teraz z parkingu.

— Skurwysyn, cholerny skurwysyn — wymamrotała, włączając światła i krzywiąc się w ich blasku.

O czym wtedy myślała? Po co spała z Bradem Gliddenem? Ale, jak zwykle, nie myślała, nie przejmowała się i nie była ostrożna. No i teraz są te kłopoty.

— Nic, tylko kłopoty, nic, tylko te cholerne kłopoty, kłopoty, kłopoty — jęczała, kopniakami zgarniając na kupkę rozrzucone ubrania.

Zatoczyła się i musiała się przytrzymać krawędzi stołu. Nienawidziła swojego życia, nienawidziła swojego nowego mieszkania w tym wałącym się budynku. Minęło sześć tygodni, a ona wciąż nie wyjęła swoich rzeczy z pudeł. Mieszkanie było za małe i za ciemne, i droższe niż jej dawne lokum, w którym byłaby do tej pory, gdyby zeszłego lata nie zlitowała się nad Toddem Prescottem. Z jego powodu została eksmitowana, a jej rodzina umyła ręce. I do tego wszystkiego właśnie przespała się z mężem Krissy.

— Jezu Chryste! Co jest ze mną? — wyjęczała, przyciskając palce do pulsujących skroni.

Zbyt wyczerpana przez parę unoszącą się pod prysznicem, żeby się nawet umyć, trzymała kostkę mydła, a gorąca woda lała jej się po plecach. Kiedy wyszła spod prysznica, energii starczyło jej ledwie na wytarcie się ręcznikiem i jakieś takie wysuszenie włosów. Rozczesała czarne fale grzebieniem, aż stały się proste i, przemoczone do suchej nitki, przylgnęły do jej szyi. Potem założyła swój różowy uniform. Zadrzała, gdy lekki nylon przylgnął do jej wilgotnej skóry. Oczy tak bardzo ją piekły, że ledwie mogła utrzymać je otwarte, kiedy ściągała prześcieradła z łóżka i rzucała je na stertę ubrań. Musiała zostawić wszystkie światła zapalone i włączone radio, i okno otwarte na oścież, by nie zasnąć. Wciąż o tym pa-

miętała, zwijając się na gołym materacu na tylko jedną minutkę, podczas gdy rzeński, wrześnieowy wiaterek uderzał o ramę okna przekrzywioną rolę, kołyszając nią w przód i w tył.

Obudziła się za piętnaście siódma. Kawiarnię otwierano o pół do siódmej. Krzywiąc się, wolno podniosła głowę z poduszki i powoli pokuszyła do drzwi. Spóźniła się raczej często, lecz nie opuściła w żadnej pracy ani jednego dnia.

Fionie Range wypełniano zęby bez znieczulenia, zszywano rany bez narkozy, serce złamano zbyt wiele razy, by je zliczyć. Jako dziecko, spadła z drzewa i złamała rękę, lecz powiedziała o tym ciotce dopiero wiele godzin później, gdy skończył się w telewizji jej ulubiony program. Kiedy miała piętnaście lat, pękł jej wyrostek, zanim zdała sobie sprawę z tego, jak ostry był trwający przez cały dzień ból brzucha. Gdy usłyszała, że to samo przytrafiło się jej matce, kiedy była dziewczynką, była zadowolona, ponieważ dzięki temu przybyło jeszcze jedno pociągnięcie pędzla w przymglonym portrecie Natalie Range, młodej, szalonej kobiety, która odjechała we łzach pewnego deszczowego popołudnia, by już nigdy nie wrócić. Przez następne trzydzieści lat matka ani razu nie zadzwoniła, nie napisała ani nie zainteresowała się nią. A Fiona stała się dzięki temu jeszcze twardsza.

Nadal najeżała się, gdy ktokolwiek z rodziny wspominał o jej nienaturalnie wysokim progu odczuwania bólu. Tak jakby sprowadzali jej się do jakiejś obojętności, odrętwienia, martwego nerwu, braku, jeszcze jednej wady odziedziczonej po tułającej się gdzieś matce i Patricku Gradym, tutejszym dziwaku, o którym mówiono po cichu, że jest jej ojcem, a który ignorował jej istnienie.

Dwa miesiące temu, gdy została eksmitowana, jej kuzyni oznajmili, że stała się emocjonalnym ciężarem, utrapieniem dla ich rodziców, którego nie mogły usprawiedliwić żadne rodzinne zobowiązania. Więc, jak jej matka, Fiona również odeszła, nie czując winy czy żalu. Powiedzieli, że czują się zmęczeni jej nieustannym popadaniem w tarapaty, zmęczeni troszczeniem się o kogoś, kto przejmował się tylko sobą. Lecz właśnie troska była zawsze przyczyną tak wielu problemów. Jedynym powodem, dla którego pozwoliła Toddowi Prescottowi zostać w swoim mieszkaniu przez weekend po Czwartym Lipca, było to, że był taki chory i przygnębiony.

Lecz czy nie wiedziała, że Todd ciągle jeszcze brał narkotyki? Tak spytał jej wujek Charles. Co sobie myślała? Mój Boże, narkotykowy nalot na mieszkanie siostrzenicy jego własnej żony! Przygarnięta i wychowywana

razem z jego własnymi dziećmi, dostała wszystko, co najlepsze, była traktowana z taką samą troską i uwagą, jak jej kuzyni, jednak zawsze były te kłopoty, te niepowodzenia, te...

— Przepięknie! — wykrzyknął jej kuzyn Jack, zbyt rozwścieczony, by spostrzec czy zważać na zimny wzrok ojca. Sędzia nie był przyzwyczajony do tego, by mu przerywano, zwłaszcza we własnym domu, a szczególnie do tego, by czynił to jego syn. — Tak! Przepięknie! — oznajmił Jack z tą samą pogardą i rozkoszą, z jaką zawsze patrzył na jej wykroczenia.

— Cóż, jak zwał, tak zwał — odezwała się jej kuzynka Ginny. Nadszedł czas, by zakończyć sprawę.

Mogli przynajmniej wysłuchać, co ona ma do powiedzenia. Oczywiście, że wiedziała, iż Todd bierze narkotyki. Dlatego zerwała z nim w końcu rok temu, lecz nie miała pojęcia, że handluje kokainą. Nie było jej w mieszkaniu, bo pracowała i balowała przez prawie cały ten długi, gorący weekend. A kiedy była u siebie, nie przyszło jej do głowy, że wszyscy, którzy go odwiedzali, byli jego klientami.

— Cóż, przy tak jednoznacznych dowodach, możemy tylko podziękować Bogu, że ten tajniak wiedział, kim wy dwoje jesteście — powiedział Jack.

— Wiedział tylko, że nie miałam z tym, do cholery, nic wspólnego!

— Wiedział, że jesteś siostrzenicą sędziego Hollisa i że gdyby sprawa wyszła na jaw, sędzia byłby skończony — oświadczył Jack przez zaciśnięte zęby, podczas gdy obie jego siostry kiwały głowami, nawet Elizabeth, która była zawsze jej najzagorzalszą obrończynią.

— Nie wierzycie mi, tak?

— Nie! — wykrzyknęli Jack i Ginny, a Elizabeth zamknęła oczy, wdychając.

— Więc myślę, że powinnam stąd iść — oznajmiła, trzaskając drzwiami. Czuła się zmęczona ich dezaprobatą, cichym potępieniem, tym, że zawsze, niezachwianie zakładali najgorsze. Jeśli chcieli, by wróciła, wiedzieli, gdzie jej szukać.

Tak samo musiało być z jej matką wiele lat temu, gdy Patrick Grady wrócił z Wietnamu z połową pięknej twarzy zamienioną w masę marszczących się blizn od poparzeń napalmem. Zaprzeczył, że Fiona jest jego dzieckiem i nie chciał ożenić się z Natalie, która wtedy po prostu zatrzasnęła drzwi i zostawiła za sobą swą niedolę. Niezachwianie oddając hołd matce, Fiona do tej pory mijała Grady'ego na ulicy bez mrugnienia okiem i nie zwalnając kroku.

Większość ludzi w mieście tolerowała Grady'ego, winiąc za jego dziwaczne zachowanie wojnę, do której popierania nikt by się teraz nie przyznał, lecz Fiona nigdy nie odczuwała dla niego litości i z pewnością nie czuła się wobec niego zobowiązana. Był outsiderem, bo tak chciał, a ona była outsiderką, ponieważ on nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności ojcostwa.

Fiona Range dawno nauczyła się brać to, co daje życie, i robić z tego najlepszy użytek. Można ją było ranić, lecz nikt nie widział, jak krwawi. Będzie mieć kontrolę nad sytuacją, całkowitą kontrolę, a teraz, gdy jechała do pracy, sztuczka polegała na tym, by sprawę dokładnie przemyśleć. Dopóki miała wszystko jasno poukładane w głowie, nie miało znaczenia, co myśleli inni. Brad Glidden nikomu nie powie i ona też nie. Sama to na siebie sprowadziła i sama przez to przebrnie. Cierpienie było tylko następnym poziomem świadomości, a obrona przed nim sprawiała ból, tak jak zgrzytanie bolącymi zębami. Życie tak się po prostu toczyło w miejscu takim jak Dearborn. Na każdym rogu można było napotkać ducha, jeśli tylko wystarczająco wyteżyło się wzrok. Lecz ona nigdy nie musiała wypatrywać, bo przeszłość podążała za nią zawsze i wszędzie. Nawet jej praca codziennie jej o niej przypominała, odkąd Chester ożenił się z Maxine, która chodziła kiedyś z Patrickiem Gradem. Fiona mogła zmienić siebie, taką, jaką się stała, lecz nic nie mogło odmienić jej pochodzenia. I szczerze mówiąc, przez większość dni miała to gdzieś. Lecz większość dni nie zaczynała się tak, jak ten.

Wjechała w wąską alejkę i zaparkowała za Kawiarnią Chestera. W kuchni Chester Adenio smażył jajka i przewracał bekon na ruszcie. Od zapachu przyskającego tłuszczu zrobiło jej się niedobrze. Musiała jeszcze raz otworzyć tylne drzwi i zaczerpnąć głęboki haust świeżego powietrza.

— Pośpiesz się i wychodź do klientów! — krzyknął Chester. Sandy Rudman, drugiej kelnerki, jeszcze nie było. — No, chodź szybko! Rusz się! Bo Maxine zaraz tam zniesie jajo — dodał Chester.

Jak sam to przyznawał, Maxine była najgorszą kelnerką, jaką kiedykolwiek zatrudnił. Po dwóch miesiącach pełnych łez i załamań nerwowych za każdym razem, gdy upuściła tacę czy pomyliła się w zamówieniu, Chester ustawił ją przy kasie. W kawiarni z pewnością nie była potrzebna pełnoetatowa kasjerka i hostessa, ale Chester się zakochał. Prawidłowe odliczanie reszty i usadzanie gości w godzinach szczytu okazało się wkrótce równie stresujące, jak kelnerowanie, lecz dzięki zachęcie i rosnącemu oddaniu Chestera, Maxine wytrzymała.

On i Maxine pobrali się zaledwie kilka miesięcy temu. Chester wolałby, żeby została w domu, lecz dzięki kawiarni Maxine zyskała status, którego nigdy nie miała, mieszkając w miejskim osiedlu dla ubogich, zbudowanym za rządowe pieniądze. Ten bezbarwny, zniszczony, mały lokal stał się jej marzeniem, jej wizytówką.

Fiona zawiązała fartuch i otworzyła drzwi do marnie oświetlonej sali. Jaskrawoczerwony kostium Maxine i jej pomarańczowe włosy przemykały jak płomyki wśród przygarbionych cieni, gdy nalewała kawę i rozdawała menu. Fiona jęknęła. W boksie przy drzwiach siedział George Grimshaw. Był ostatnią osobą na ziemi, z którą miała ochotę w tej chwili rozmawiać. Podniósł wzrok znad rozpostartej gazety i skinął uprzejmie głową, słuchając bezmyślnej paplaniny Maxine. Jego ciemnoniebieska furgonetka stała zaparkowana od frontu. „GRIMSHAW I SYN, USŁUGI HYDRAULICZNE”, tak głosiły litery ze złotej folii naklejone na drzwiach, choć ojciec George'a umarł niedawno, zostawiając go samego zarówno w firmie, jak i w ich niewielkim, parterowym domku przy Elm Street.

George miał ledwie osiem lat, gdy umarła jego matka. To wówczas kuzynka Fiony, Elizabeth, zaczęła nad nim czuwać. On i Elizabeth stanowili parę od trzeciej klasy podstawówki i przez całą szkołę średnią, nim stali się sobie obcy w ciągu ostatnich kilku lat. Wciąż o nią pytał, a w Boże Narodzenie w zeszłym roku, gdy Elizabeth przyjechała do domu, wybrali się we dwójkę kilka razy na kawę. Fiona знаła George'a przez całe życie, lecz przez ten czas zdarzyło im się uciąć niewiele więcej niż kilka towarzyskich pogawędek. On nigdy nie potrafił ukryć swej dezaprobaty wobec szalonej kuzynki Elizabeth.

Chester uderzył w swój gong i Fiona z wdzięcznością zawróciła do kuchni. Gdy zamknęły się za nią drzwi, błyszczący rząd lejków, chochli i łyżek wazowych zakołysał się nad blatem do pracy, a Fionie zakręciło się w głowie. Patrzyła, jak Chester kładzie gałązkę poskręcanej pietruszki pomiędzy połyskującymi żółtkami i zrywa z gwoźdźca karteczkę ze zrealizowanym zamówieniem. Świeża pietruszka i plasterki cytryny, jak rozrastająca się garderoba Maxine, świadczyły o tym, że on i jego żona prowadzą tu pierwszorzędny lokal.

— Na twój pogrzeb przyślę wieniec ze świeżej pietruszki. Obiecuję — powiedziała, gdy usuwał tłuszcz z brzegu talerza, przykładając do niego ręcznik. — Może nawet ułożę twoje imię z cząsteczek cytryny. — Jej ochrypły śmiech przerodził się w atak kaszlu, aż jej bolące oczy zażawily i pociekłojęj z nosa. Oparła się o blat. Bolałoją w piersiach. Paliła tylko wtedy, gdy piła. Zeszłej nocy musiała chyba wypalić ze dwie paczki.

— Wyglądasz jak śmierć na chorągwi — oznajmił Chester, biorąc talerz i szczerząc w uśmiechu małe, ostre ząbki.

— Przyjemniaczek z ciebie.

— Jezu, ręce ci się trzęsą. — Przyjrzał jej się. — Nie mów mi tylko, że znowu jesteś z Prescottem, z tym niedojdą, z tym dupkiem cholernym.

— Chester, ile razy mam ci powtarzać? Mogę robić, co chcę, i nie potrzebuję kamienia u szyi. Robię, co chcę, i chodzę, dokąd chcę. — Spróbowała się roześmiać, ale po wczorajszym pijaństwie zaschło jej w gardle. Odwróciła się szybko, by odkaslnąć.

— To już przestało być takie zabawne — krzyknął, gdy ruszyła na salę z talerzem jajek. — Zobaczysz. Jednego z takich poranków obudzisz się i będziesz się zastanawiać, co, u diabła, się stało. Gdzie się to wszystko podziało? Twoja uroda, twoi przyjaciele, całe twoje życie!

Zatrzymała się jak wryta, a potem obróciła się i kopniakiem otworzyła drzwi tak mocno, że odbiły się od ściany.

— Słuchaj, Adenio — warknęła, ruszając w jego kierunku. — Ja nie chodzę po mieście i nie dzielę się z ludźmi moimi niechcianymi opiniami na temat tego, że co noc rozwadniasz mleko i zupę, i sok, i nawet ten cholerny ketchup, prawda?

— Cóż, nie mogę patrzeć, jak taka piękna kobieta jak ty po prostu pozwala każdemu...

— Co? Co ty powiedziałaś? — Odstawiła talerz, aż podskoczył na kontuarze.

Popatrzył na nią.

— Słyszałaś, co powiedziałem.

— To może lepiej zatrzymaj to dla siebie, okej?

Drzwi otwały się gwałtownie.

— Tss! — wyszeptała błagalnie Maxine z palcem na ustach i weszła do kuchni, kołysząc się na szpilkach i drobiąc w dopasowanej spódnicy, która wiązała jej nogi tak, że musiała dreptać jak gejsza. — Na sali są goście! — Wskazała za siebie na kołyszące się jeszcze drzwi. — Goście! — wykrztusiła.

— Cóż, może ty nie chcesz tego słuchać — ciągnął Chester, wystawiając do przodu swoją szczeciniastą brodę — ale pracujesz dla mnie, więc ci to powiem. Już nie jesteś śliczną, imprezową laleczką. To było dawno temu, więc co sobie, do cholery, myślisz, kiedy tak zwlekasz się i przychodzisz tutaj? Wyglądasz jak gównno, śmierdzisz wodą i cholera wie, co ty tam jeszcze do tego robisz! — Rzucił swój zatłuszczony ręcznik.

— Chester! — Maxine obiegła blat i chwyciła go za ramię. — Proszę cię, proszę, przestań! Goście!

— I co? Wyrzucasz mnie? Chcesz, żebym odeszła? — domagała się odpowiedzi Fiona, a jej szorstki głos sam zdawał się potwierdzać słuszność tych wszystkich oskarżeń. Trzęsła jej się głowa, kiedy sięgnęła do tyłu i rozwiązała fartuch. — Świetnie! Nie ma problemu!

— Nie! — krzyknęła stojąca za nią Maxine, próbując zawiązać z powrotem tasiemki fartucha. — On tylko chce, żebyś troszkę się uspokoiła. Powiedz jej! — zwróciła się błagalnie do męża.

Sięgnął do dużej, cynowej miski z jajkami, wyjął dwa, zgrabnie rozbił o brzeg pieca i wybił na skwierczący ruszt.

— Powiedz jej! — zażądała Maxine.

— Ona sama wie — odparł Chester. Zeskrobał wystygłe jajka z talerza do śmieci, lecz bekon zostawił.

— Chester! — ostrzegała przez łyżę Maxine coraz głośniejszym szeptem. — Nie rób mi tego, Chester! Nie rób mi tego!

— W porządku — odezwała się Fiona, obserwując, jak odgrzewa bekon. Gdyby powiedział jeszcze choć jedno słowo, Maxine znów wypadłaby z kuchni we łzach i Fiona zostałaby sama na sali. — Chester ma dobre intencje. Po prostu nie nawykł do tego, by kobieta bawiła się równie dobrze jak faceci, i to wszystko.

— To nie jest to samo i nigdy nie będzie! — warknął Chester, przybierając nowy talerz pietruszka, nim podał go Fionie. — Mężczyzna nie

dorabia się reputacji tak jak kobieta!

— Chester, ja urodziłam się z reputacją. Wiesz o tym! — zawołała, wychodząc.

— Nie, nie z reputacją! Z piętnem! To jest twój problem! — zawołał za nią.

Ludzie zwrócili twarze w jej kierunku, gdy weszła na salę. Jej stali klienci uśmiechali się z ulgą, że wróciła. Zamieszanie, które wprowadzała Maxine, mogło grać na nerwach o tak wczesnej godzinie.

— Fiono! — odezwał się George Grimshaw, gdy go obsługiwała. Było jasne, że słyszał podniesione głosy, tak jak i grupa szczerzących zębów w uśmiechu pracowników firmy ogrodniczej w sąsiednim boksie. Jego twarz zawsze odzwierciedlała to, co czuł, a teraz była czerwona. — Dobrze wyglądasz. Jak zwykle — dodał z drętwym uśmiechem.

— Dzięki, i wzajemnie, George.

Tego sobotniego poranka, z muskularni rysującymi się pod ciemnoniebieską koszulą i roboczymi spodniami, wyglądał lepiej niż dobrze,

ostrzyżony na jeża, z bystrymi, niebieskimi oczyma, barczystym, mocnym ciałem i płaskim, umięśnionym brzuchem. Pewnie podnosił ciężary wieczorami, gdy wszyscy inni wychodzili z domów, by dobrze się bawić. Pewnie nie zdarzyło mu się dobre... Zachichotała na tę myśl rubasznie, na co on zaczął wiercić się na krześle. Zerknęła do tyłu w kierunku ogrodników i przerzuciła kartkę na bloczku z zamówieniami. Jeden z mężczyzn bębnił palcami o blat stołu.

— Czekamy na ciebie, piękna — rzucił, mrużąc oko.

— Zgadnij, na kogo dzisiaj wpadłem — powiedział George, gdy ruszyła w ich kierunku. — Na Brada Gliddena! — Uśmiechnął się szeroko.

— Taa. No i co? — Serce zaczęło jej walić.

— Powiedział mi o dziecku. To takie cudowne. Wiem, że długo próbowali.

— Taa, zgadza się. — Zaszło jej w ustach.

— Okropnie wyglądał. Oczywiście nie powiedziałem mu tego. Myślę, że był pewnie w drodze do domu ze szpitala czy skądś tam.

— Pewnie tak. — Cofnęła się.

— Och, i jeszcze któregoś dnia spotkałem twojego wujka w sądzie — dorzucił, nim zdążyła się oddalić.

— W sądzie! Nie mów mi, że masz jakieś kłopoty, George! — Trzepnęła go w ramię bloczkiem z zamówieniami i odwróciła się.

— Nie! — wykrzyknął z takim zaniepokojeniem, że aż na niego spojrzała. — Właściwie to pracowałem w pobliżu, więc pomyślałem, że wstąpię i się przywitam. — Popatrzył na nią w skupieniu. — Myślę, że twój wujek Charles zdziwił się, gdy mnie zobaczył.

— Cóż, nie bardziej niż ja, George. Ale, słuchaj, zacznij lepiej jeść. Podejdę do ciebie później.

— Poczekaj! — odezwał się, kiedy znowu się odwróciła. — Co sądzisz o tej wielkiej nowinie o Elizabeth? — zapytał z nieśmiałym uśmiechem.

— Nie wiem, George, a ty co myślisz? — Próbowała się roześmiać. Nikt z rodziny nie zamienił z nią ani słowa od jej lipcowej banieji. Lecz on wiedział pewnie również i o tym.

— Naprawdę mnie to zaskoczyło.

— Taa, mnie też.

— Musicie być zadowoleni, że w końcu tu wraca, nie? — Pociągnął mocno za swój rozpięty kołnierzyk.

— Oczywiście. — Odetchnęła głęboko.

— Tak myślę, że wróciła do domu na dobre — powiedział tak, jakby to było pytanie, a ona, nie wiedząc, co odpowiedzieć, skinęła głową. Kiedy tak na nią patrzył, jego spojrzenie było dziwnie błagalne.

— Zjedz lepiej te jajka, póki jeszcze ciepłe. — Myśl o tym, że kuzynka wróciła, ucieszyła ją, mimo że dowiedziała się o tym dopiero od George'a Grimshawa. Elizabeth uczyła w szkole z internatem w Nowym Jorku. Przez te ostatnie kilka lat rzadko zaglądała do domu na dłużej.

— Ale przekażesz moje pozdrowienia, kiedy ją zobaczysz? — spytał George, gdy ruszyła do następnego boksu.

— Tak, jasne — odparła, zaskoczona, że po prostu sam nie zadzwoni. Przez lata nie minęła godzina od przyjazdu Elizabeth, a już zaczynała dzwonić telefon i George z uporem zapraszał ją na kawę, na drinka, do łana, na przejażdżkę, na spacer, na cokolwiek, na co Elizabeth miała ochotę, chociaż wyglądało na to, że ostatnio niezręcznie czuła się w jego towarzystwie. W parku rósł ogromny, czerwony buk, a w korze jego grubego pnia wryto wiele lat temu napis „Geo + Liz = WM”. Kiedy zbierała zamówienia od mężczyzn, pomyślała, że to żałosne. Elizabeth wyjechała i zbudowała sobie nowe życie, a tutaj, w kawiarni, siedział biedny George, przygarbiony nad ociekającymi tłuszczem jajkami, wciąż piastujący nadzieję, wciąż przepełniony tęsknotą za dziecięcą miłością.

— I nie zapomnij, piękna, o dodatkowych frytkach dla Eddiego. Powiedz to Chesterowi — zawołał najstarszy z mężczyzn w ekipie, gdy Fiona pognęła do kuchni z ich zamówieniem.

— Dobrze, dobrze, dobrze — wymamrotała, zastanawiając się nagle, czy powróciły problemy Elizabeth zjedzeniem, chociaż zeszłego lata wyglądała wspaniale. Nawet przybrała na wadze na tyle, że były znów z Fioną mniej więcej tej samej postury. Gdy powiedziała to kiedyś Elizabeth, Ginny uniosła brwi i ostrzegła ją gestem, jakby Elizabeth stała się przez te lata tak delikatna, że nie mogła znieść nawet drobnego żarciku. Lecz Ginny zawsze była zazdrosna o więź łączącej młodszą siostrę i kuzynkę. Różnica wieku między Fioną i Elizabeth wynosiła ledwie kilka miesięcy, ale pod względem temperamentu znajdowały się na przeciwnych biegunach. Dorastały połączone wspólnymi sekretami, tą samą sypialnią i głębokim uczuciem dla siebie nawzajem. Ich ścieżki rozeszły się jedenaście lat temu, kiedy poszły do college'u: Elizabeth — do Smitha, a Fiona, pod naciskiem wujka Charlesa, do Miejskiego College'u w Dearborn. Jak można się było spodziewać, Elizabeth ukończyła szkołę z wyróżnieniem, poszła dalej na studia magisterskie i zaczęła uczyć. Nikt się nie dziwił, że Fiona wyleciała z pierwszego roku.

Pchnęła drzwi do kuchni i zobaczyła Chestera zwałonego bezwładnie na kontuar, z czołem podpartym na dłoni.

— Jezu, znowu — jęknęła. Maxine nie było. Już go zostawiła.

Podniósł na nią ciężkie spojrzenie. — Nawet nie zaczynaj.

— Nawet gdybym chciała, nie mogłabym. — Westchnęła, podając mu zamówienie. — Eddie chce dodatkowe frytki. — Oparła czoło o zimną, metalową półkę. Bolała ją głowa.

— Eddie! Co za Eddie, do diabła? — Cisnął w nią zamówieniem. — Jaki Eddie?

— Nie wiem. Eddie. Jakie to ma znaczenie? — Odrzuciła karteczkę z powrotem do niego.

— Sposób, w jaki to powiedziałaś: Eddie! Jakby to był jakiś przyjaciel, jakiś Eddie, którego powinienem znać Bóg wie skąd. Jezu Chryste! Wszyscy są tacy sami, ci cholerni ludzie. Przychodzą tutaj i myślą, że mają do czegoś prawo, jakbym był jakimś nierobem, jakimś łachem. Jakbym nie miał nic lepszego do roboty!

— Taa? — Potrząsnęła głową w tępym rozdrażnieniu. — Słuchaj, to po prostu jakiś facet, który ma na imię Eddie. Jeden z tych ogrodników. Z Greenbow, kapujesz?

— Taa, i czego, do jasnej cholery, ode mnie chce? — ryczał, waląc w blat tak mocno, że wszystkie lejki, chochle i łyżki uderzały z brzękiem o siebie.

— Trochę pieprzonych frytek domowej roboty! — Popatrzyła na niego.

Godzinę później wróciła Maxine, świeżo umalowana. Jej usta miały połyskliwy, śliwkowy kolor, a czerwone od łez oczy otaczały błyszczące, czarne kreski. Ciągle jeszcze gniewała się na Chestera, lecz była zdecydowana załagodzić sprawę. Chester wciąż był kłębkim nerwów, ale gdyby się odezwał, Maxine znów uciekłyby do domu. Samokontrola stała się dla niego bolesnym, nowym doświadczeniem. Przez dwadzieścia lat rzucał gromy i wrzeszczał, i wszyscy mieli to gdzieś, aż pojawiła się Maxine.

Nadeszło południe, a Sandy Rudman ciągle jeszcze nie raczyła przyjść. Wszystkie stoliki były zajęte, a szalejąca w głowie Fiony furia przerodziła się w tępy ból. Maxine próbowała pomagać, lecz tylko upuściła tacę z colą, którą Fiona musiała teraz ścierać. Przez piętnaście minut jakaś para czekała przy stoliku od frontu. Spoglądali posępnie znad zamkniętych kart. Chester wciąż jednak uderzał w gong. Fiona popędziła do kuchni odebrać zamówienie. Kiedy wróciła na salę, para była już w drodze do wyjścia.

— Tak strasznie mi przykro — zaćwierkała za nimi Maxine. — Uwierzcie mi, to się zwykle nie zdarza, ale... — Drzwi zatrzasnęły się jej przed nosem i kiedy się odwróciła, łzy wezbrały w jej oczach. Zaokrągłony, dziobaty podbródek drżał.

— No już — odezwała się Fiona, ściskając ją za rękę. — Wszystko jest okej. W porządku. — Próbowwała rozśmieszyć Maxine: — Co gorszego może się jeszcze zdarzyć? Jeszcze pół godziny tego piekła, a potem koniec.

— Czuję się, jakbym się rozpadała — powiedziała cichym głosem Maxine. Odwróciła się raptownie do okna, żeby nikt jej nie widział, chociaż wszystkie spojrzenia były na niej skupione.

— A może poczekałabyś tu po prostu przez parę minut? — wyszeptała jej Fiona do ucha.

— Ja jestem w tym beznadziejna — wykrztusiła Maxine. — Jestem po prostu beznadziejna i dlatego Chester chce sprzedać ten lokal.

— Ależ nie, nieprawda — naśmiewała się cichym głosem Fiona.

— Prawda! — Maxine podniosła wzrok. — Powiedział mi! Dlatego poszłam do domu!

Teraz gong Chestera dzwonił jak szalony.

— Słuchaj, idź do kasy. Ja przyniosę zamówienie.

— Myślisz, że lepiej nic mu nie mówić? — spytała Maxine.

— Z gorszymi sprawami już sobie radził — odparła Fiona, ruszając pędem do kuchni.

— Ale mnie nie o to chodziło — rzekła Maxine, gdy drzwi do kuchni zakołysały się i zamknęły za Fiona.

Klubowe kanapki z indykiem i dwie sałatki z tuńczykiem były gotowe. Trzymając po łopatkę w każdej ręce, Chester pracował przy zakrytym grillu jak ksylofonista, przewracając steki, hamburgery, ser z rusztu i uklepując placuszki rybne.

— Stek i ser za minutę, hamburgery — za dwie! — zawołał ponad spoconym ramieniem. — No jak tam?

— W porządku, ale zapomniałeś o frytkach — odparła Fiona, sprawdzając zamówienie.

Sięgnął po druciany koszyczek do smażenia, potrząsnął nim i wysypał skwierczące frytki na talerz.

— A ona jak sobie radzi? — spytał, pochylając się, by odczytać następane zamówienie.

— Świetnie! — krzyknęła, wchodząc tyłem na uchłną salę, gdzie Maxine zwracała się właśnie do swoich klientów.

— I dlatego chciałam tylko, żebyście wiedzieli, co się dzieje, i chciałam wam powiedzieć, jak bardzo, naprawdę bardzo doceniamy waszą cierpliwość. Naprawdę doceniamy. Naprawdę. Wszyscy jesteście bardzo miłymi ludźmi i chcemy wam podziękować. Więc dziękujemy. Bardzo wam dziękujemy. Wiercie mi, to ogromnie wiele znaczy dla Chestera i dla mnie...

Cisza narastała, gdy Maxine spokojnie wspinała się na stołek przy kasie. Ci, którzy znali Chestera, albo przygryzali wargi, albo przykrywali usta dłonią. Nikt nie odważył się zaśmiać pod szybkim, ostrzegawczym spojrzeniem, którym Fiona omiotła salę.

Kawiarnia była pusta, gdy Sandy pojawiła się w końcu o pół do trzeciej. Mandy, jej trzyletnia córka, miała krup i nie spała aż do rana. Sandy zrobiła ten błąd, że też się położyła potem na krótką drzemkę, która potrwiała aż do drugiej.

— Muszą ci podłączyć z powrotem telefon — powiedziała Sandy, idąc za Fiona. — Samochód mi nie zapalił i potrzebowałam też kogoś, kto zostałby z Brandy. W końcu musiałam zadzwonić po cholerną taksówkę. Policzył mi pięć dolców, a jeszcze musiałam ciągnąć je obie na izbę przyjęć o czwartej nad ranem! — Wielkim talentem Sandy było to, że potrafiła sprawić, by każdy czuł się odpowiedzialny za jej kłopoty.

— To okropne — odparła Fiona. Jeden powód do wdzięczności za to, że odcięli jej telefon. Przynajmniej ograniczyło to liczbę misji miłosierdzia do domu Sandy. Chociaż było jej przykro z powodu Sandy, która musiała samotnie wychowywać dwoje dzieci, sama będąc jeszcze dzieckiem. Rodzice wyrzucili ją z domu, gdy drugi raz zaszła w ciążę. A do tego ta jej śliczna twarz czyniła dobroc obowiązkem.

— Taa, ale zdarzyła się jedna dobra rzecz — ciągnęła Sandy. — Spoktałam tam tego twojego przyjaciela, tego Todda Prescottta. I nawet podwiózł nas do domu. Bardzo był miły!

— Och, jestem pewna, że tak. A co on robił na izbie przyjęć o czwartej nad ranem? Może przedawkował?

— Nie, jego przyjaciel był chory. — Sandy zmarszczyła brwi i przygryzła wargę. — Zastanawiałam się, czy ty, to znaczy, czy ty jeszcze, no, wiesz, czujesz coś do niego? — odezwała się po chwili.

— Taa, czuję — odparła Fiona. — Wielką nienawiść i wstręt.

— Och, to dobrze. — Uśmiechnęła się szeroko Sandy. — Bo on zaprosił mnie, żebyśmy poszli kiedyś na kawę, ale tak, jak mu powiedziałam, wiesz, ja bym tego po prostu nie zrobiła, to znaczy, nie mogłabym,

gdybyś ty, no wiesz, jeszcze coś do niego czuła, no, gdybyś jeszcze go lubiła. W ten sposób, no wiesz...

Położyła dłonie na ramionach Sandy.

— Sandy, jeżeli kiedykolwiek dowiem się, że poszłaś dokądś z tym śmieciem, Toddem Prescottem, nigdy, przenigdy nie odezwę się do ciebie ani nie będę chciała mieć z tobą już nic wspólnego. Rozumiesz?

— Ale my teraz też nie mamy kontaktu — odparła Sandy, wydymając wargi. — Dlaczego nie każesz im znowu podłączyć telefonu?

— Najpierw muszę zapłacić rachunki za sześć miesięcy.

— Jezu, sześć miesięcy! — powtórzyła Sandy. — Jak to zrobisz?

— No, pomyślmy. Musiałam kupić nowe amortyzatory do samochodu i nowe opony, zanim zrobili mi przegląd. I przez tego dupka, Prescottta, wyrzucili mnie z mieszkania, więc musiałam poszukać następnego, co oznacza, że musiałam wykombinować skądś pieniądze na kaucję i na czynsz za pierwszy i ostatni miesiąc. — Spojrzała na Sandy. — A do tego jest jeszcze parę osób, które są mi winne pieniądze...

Sandy skrzywiła się.

— Wiem, wiem, wiem. Ile się tego nazbierało?

— Sto dwadzieścia. — Było tego pewnie ze dwa razy więcej. Sandy nigdy nie miała pieniędzy, a jak Fiona mogłaby odmówić, jeżeli były potrzebne na mleko albo na jedzenie dla dzieci.

— Prawie już tyle mam, z ręką na sercu — oświadczyła Sandy.

— Taa, to dobrze. — Powieki miała tak ciężkie, że oczy same jej się zamykały. Dzięki Bogu, że nie miała dziś wieczorem zajęć.

Znalazła się w swoim samochodzie w minutę po skończeniu pracy. I zaraz też z tyłu zatrząbił klakson. George Grimshaw wysiadał ze swojej półciężarówki u wylotu alejki. Opuściła szybę.

— Maxine powiedziała, że właśnie wyszłaś. Miałem nadzieję, że cię jeszcze złapię. — Oparł się o drzwi. Pachniał wilgocią i olejem. Na brodzie miał smugę smaru. Odczuwała przemożne pragnienie starcia jej, bardziej z irytacji niż z sympatii.

— Taa, jestem zmordowana. Mam taki potworny ból głowy.

— Wyglądasz na zmęczoną.

— Lunch był straszliwy. Nie miałyśmy chwili wytchnienia, a Sandy w ogóle się nie pokazała. To był koszmar.

— Musisz być skonana.

Przygryzła wargę. Czy właśnie tego przed chwilą nie powiedziała?

— Próbowałem się do ciebie dodzwonić wczoraj wieczorem, ale masz wyłączony telefon... albo przynajmniej tak powiedziała operatorka.

— Taa, miałam już dość tych wszystkich telefonów z telemarketingu, więc kazałam sobie odłączyć telefon — powiedziała z kamienną twarzą.

— Mogłaś podłączyć sekretarkę. Ja tak robię.

— Ale wtedy ciągle cię nękają.

— Tak, ale przynajmniej miałabyś telefon.

— Telefon, być może, George'u Grimshaw, ale co z zasadami? — odrzekła i zadrżała, ziewając serdecznie.

— Będzie chyba lepiej, jak pojedziesz do domu i odpoczniesz. — Po klepał drzwi i odsunął się od samochodu.

— Taa, tak będzie lepiej. — Wrzuciła wsteczny i zerknęła szybko do tyłu. — Dlaczego chciałeś się do mnie dodzwonić? Po co?

— Nic szczególnego. Po prostu pomyślałem sobie, że zadzwonię i zobaczę, co słyhać. — Wzruszył ramionami. — Wiesz, po prostu, no...

— Po prostu, no, żeby porozmawiać o Elizabeth? — wtrąciła, a potem poczuła się winna, widząc grymas na jego twarzy. Biedny George. Nie miał pojęcia, jak blisko jadowitej żmii znalazł się w tej chwili.

— Nie — odparł szybko i znów nachylił się do okna. — Miałem zamiar po prostu spytać, czy chciałybyś, no wiesz, może rozważyć, czy moglibyśmy gdzieś kiedyś razem wyjść... To znaczy ty i ja — dodał, wskazując na swoją pierś.

— Mówisz serio? — Nie mogła powstrzymać śmiechu. Mimo swojej niestabilności i nieprzewidywalności, nie była nigdy przygotowana na sytuacje, gdy solidniejsze dusze zbaczały z kursu.

— Tak — potwierdził i skinął stanowczo głową. — Jestem śmiertelnie poważny. Przecież znasz mnie od dawna. Wiesz, że nigdy nie mówię niczego, czego nie myślę.

— No nie. To znaczy, myślę, że tego nie robisz.

— Więc co sądzisz? Rozważysz to? — Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Taa! Pewnie, rozważę to. — Znów wybuchnęła śmiechem. — Och, George — wykrzyknęła, kiedy cofnęła się od samochodu. — Przepraszam cię. Jestem po prostu rozbita, skonana. Oczywiście, że wybiorę się gdzieś z tobą. Gdzie tylko chcesz. Powiedz mi kiedy, o której i gdzie, a będę gotowa.

— Dziś wieczorem! O siódmej! — odpowiedział, uśmiechając się szeroko. — Wrzucimy coś na ruszt, a potem może zdążymy załapać się na jakiś film — zawołał i rzucił się biegiem przed siebie, by uruchomić swoją

furgonetkę, nim Fiona zdąży powiedzieć, że nie miała na myśli dzisiejszego wieczora.

Przespała kilka godzin, zanim nadjechał George w chmurze wody kolońskiej, od której zażawiły jej oczy i pociekło z nosa. Wystroił się. Miał na sobie sportową marynarkę i krawat. Dopisało mu szczęście: udało mu się zarezerwować stolik w Orchard House, jak oznajmił, spoglądając niepewnie na jej dżinsy.

— No, kiedy powiedziałaś, że wrzucimy coś na ruszt, pomyślałam sobie...

— Och, nie! Wiem, po prostu pomyślałem, że w Orchard House byłoby miło. Tak dawno tam nie byłem. Moja wina, powinienem był zadzwonić i powiedzieć ci.

— Ale nie mam telefonu, zgadza się?

— Tak. Ale i tak powinienem ci być powiedzieć.

— Właśnie powiedziałaś. — Roześmiała się. — Więc się przebiorę. Nie ma sprawy.

Pomknęła do sypialni i założyła spódnice. Kiedy wróciła, wciąż stał przy drzwiach, przeglądając poplamione kawą strony starego *Time'a*. Nie było gdzie usiąść, bo na krzesła i sofie piętrzyły się ubrania i pudełka.

— Jeszcze się rozpakowuję — oświadczyła, zamykając drzwi na klucz.

Szybki uśmiech na jego twarzy przywołał w jej pamięci cierpliwą konsternację Elizabeth na wieść o postępach chaotycznej Fiony. Już teraz bała się tego wieczora. Po drugiej stronie korytarza uchyliły się drzwi mieszkania jej sąsiada.

— Halo, panie Clinch — zawołała, stukając w jego drzwi, gdy je mijali. Skurwiel jeden, pomyślała z drzeniem niepokoju. A jeśli znał Brada albo Krissy? Bolała ją głowa. Od wody kolońskiej George'a znowu ją zemdliło. Nie chciała tego robić, nie chciała być z nim, ale był samotny i w myśl jakiejś mętnej, zagmatwanej logiki — echa jej solidnego, moralnego wychowania — spędzenie z nim wieczoru wydawało się zadośćuczynieniem za sprawy zeszłej nocy. Pokuta: jej włosienica, George.

— Nigdy się nie przeprowadzałem — odezwał się, podążając za nią po schodach. — To musi być pewnie bardzo ekscytujące. Dostać wszystko nowe i czyste, i świeżo pomalowane.

Mniej więcej tak ekscytujące, jak wyjście z tobą, pomyślała.

W furgonetce było zimno. Od głośnego grzechotania rur i narzędzi na każdej nierówności nawierzchni i przy każdym zakręcie bolały ją uszy,

przez co jazda do Orchard House zdawała się jeszcze dłuższa. W świetle małych, białych lampek rysowały się gałęzie sękatych jabłoni otaczających stary farmerski dom, który od lat mieścił najlepszą restauracją w Dearborn.

Fiona nie mogła sobie przypomnieć, kiedy była tu po raz ostatni. Westybul urządzono w małym salonie od frontu, w którym ustawiono wyściełane krzesła, a pod jedną ze ścian — długą, czarną, kościelną ławkę. Opadła na czerwone krzesło z szerokim oparciem, gdy George czekał w holu na powrót hostessy. Obserwowała go rozbawiona, widząc go tak zdenerwowanego. Cały czas wychylał się i wyglądał przez okno obok drzwi wejściowych. Po raz trzeci spojrzął na zegarek i rozejrzał się wokół, a potem zdjął księgę rezerwacji ze stojaka. Odwrócił kartkę i szybko odłożył książkę w chwili, gdy nadeszła hostessa. Fiona była ciekawa, czy aby nie skłamał, mówiąc, że zrobił rezerwację. Jednak hostessa powiedziała, że ich stolik czeka.

Gdy tylko usiedli, George zamówił whisky bez wody. Zaskoczył Fionę, sięgając po szklankę, gdy tylko zjawiła się na stole. Wypił połowę. Nigdy nie pił za wiele. Widocznie teraz był zdenerwowany. Jego zasób tematów do towarzyskiej pogawędki wyczerpał się już w drodze do Orchard House. Wciąż spoglądał na zegarek. Tępe pulsowanie w jej głowie przybierało na sile. Wyjmując z kieszeni dwie aspiryny, pomyślała, że niech teraz on dla odmiany zacznie rozmowę. Popiła tabletki wodą sodową i natychmiast poczuła się winna. Biedny George. To nie była jego wina. Był po prostu, cholera, zbyt miły. Nigdy nie chciał nikogo obrazić czy, wybaczyć Panie, wywołać jakiegokolwiek zamieszania, lecz jego niepewność naprawdę działała jej na nerwy. Dlaczego tak spoglądał na inne stoliki? Przez to zerkanie sprawiał wrażenie kogoś, kto dostał się tu potajemnie, jakby nie miał prawa tu przebywać, jakby był intruzem w tym wspaniałym miejscu, jakby znów stał się małym chłopcem, synem hydraulika, siedzącym w środku nocy na czyichś schodach do piwnicy. Uśmiechnął się do niej, skinął głową i znów odwrócił się, by zerknąć przez ramię. Na salę wchodziła właśnie para starszych ludzi. Kierowniczka posadziła ich przy okrągłym, oświetlonym świecami stoliku za plecami George'a. Spojrzał na zegarek.

— Sala szybko się zapełnia. Został tylko jeden stolik — odezwał się. Został jeden wolny stolik przy drzwiach. George zaczerpnął głęboko powietrza, spojrzął raz jeszcze na drzwi i westchnął ciężko.

— Uważasz, że jest aa duży tłok? — spytała. Wyglądał jak wrak człowieka. — Nie musimy tu zostawać. Możemy przenieść się gdzie indziej.

— Och, nie! Jest świetnie! Tak tu pięknie. — Zabębnił palcami w nakryty stół i znów się rozejrzał. — To było zawsze ulubione miejsce twojej ciotki i wujka. Świątują tu wszystkie ważne wydarzenia — ciągnął wysokim, pełnym niepokoju głosem. Odchrząknął i wydawało się, że nie wie, co dalej powiedzieć.

Popatrzyła na niego. I zaraz miała jeszcze jedno oświadczenie, które mogła tu sama wygłosić: To tak jak ulubionym miejscem twojego ojca było Foster's Pond. Złowił tam mnóstwo ryb.

— Naprawdę? — zagadnęła. A kiedy brała menu, jej język staczał śmiertelną walkę z sercem. W co, na Boga, się wplątała?

Znow się rozejrzał. Dwie kobiety, obydwie w czarnych sukienkach, sadowiły się przy stoliku obok drzwi. Spojrzał na zegarek.

— No cóż! Popatrzmy — odezwał się, otwierając swoje menu z niepokojącym, szerokim uśmiechem. — Grzyby z rusztu! To ulubione danie twojej cioci Arlene. A twój wujek Charles zawsze zamawia ciasteczka krabowe — ciągnął z bałwochwalczym uwielbieniem. Czują, że zaraz znacznie krzyczeć.

— A Elizabeth, George? Co ona lubi? — spytała, usiłując zachować przynajmniej pozory uprzejmości.

— Dawniej lubiła ślimaki. — Podniósł wzrok i wzruszył ramionami. — Ale teraz, kto wie.

— Uhm, to prawda. — Udawała, że studiuje menu. — Długo jej nie było.

— Tak. A ludzie się zmieniają. Niektórzy ludzie.

— Ale nie ty, prawda? — odparła zbyt szybko.

Opuścił menu. Otworzył, a potem zamknął usta, zanim przemówił.

— To tylko tak zabrzmiało. Nie to miałem na myśli. Nigdy nie mówię nic złego o... o nikim z twojej rodziny. Mam dla każdego z nich tylko najwyższy, najszczęszy szacunek. — Wiercił się pod jej zdezorientowanym spojrzeniem.

— Lepiej się poczułeś, jak już to z siebie wyrzuciłeś? — Zaczęła się zastanawiać, czy wiadomość, którą usiłował jej przekazać, pochodziła od Elizabeth.

— Po prostu chodzi mi o to, że nie chcę, by cokolwiek zostało źle zrozumiane. Przez nikogo! — oświadczył. — Cóż, chodzi mi o to, że Elizabeth ma teraz swoje życie, a ja mam swoje, ale oczywiście zawsze pozostanie rodzina, chociaż jesteśmy osobno. To znaczy z dala od siebie. To znaczy, w pewnych sytuacjach, właśnie. Chodzi mi o to, no, jak ty i ja. Tak jak teraz. — Zrobił pauzę i zerknął do menu, jakby szukał miejsca,

w którym zgubił się w swoim tekście. — Chodzi o to, że rodzina Hollisów, cóż, oni wszyscy są takimi cudownymi ludźmi — zaczerpną głęboko powietrza, wyglądając na jeszcze bardziej sfrustrowanego.

— Pozwolisz, że wyjawię ci pewien sekret, George? Coś, o czym możesz nie wiedzieć. — Pochyliła się ku niemu i zniżyła głos. Właśnie rozpoznała parę siedzącą przy stoliku za Georgem. Byli to Goldbergowie, starzy przyjaciele jej ciotki i wujka. Nie widziała ich od lat. — Hollisowie puszczają baki i bekają jak wszyscy inni ludzie. Tak samo, jak ty i ja.

— Ale oni wszyscy naprawdę się starają, wiesz, jak twój wujek — ciągnął George. — To znaczy, on jest prawdopodobnie najwspanialszym, najbardziej moralnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałem. Zawsze stara się pomagać ludziom.

— Cha! — zakpiła, uderzając lekko pięścią w stół. — Zawsze stara się pomagać ludziom! Powiem ci, jaka to pomoc. Tylko na pokaz, żeby zdobyć uznanie. Żeby ich zdjęcie ukazało się w gazecie albo żeby wypisali ich nazwisko na jeszcze jednej cholernej tabliczce. Tylko to ich obchodzi! Uwierz mi!

Obydwoje zmieszani podnieśli wzrok, gdy pojawiła się kelnerka.

W chwili, gdy odeszła z ich zamówieniem, Fiona opowiedziała mu o swojej banicji. Goldbergowie przestali rozmawiać. Mówiła łagodnie, ale czuła, jak znowu budzi się w niej złość.

— Chodzi mi o to, że nie miałam dokąd pójść, a to moja rodzina, jeżeli w ogóle mogą ich teraz tak nazywać. — Przewróciła oczami. — Ci Hollisowie, tak powinnam powiedzieć. Taa, ci Hollisowie z całym ich gadaniem o rodzinnej jedności i lojalności. A wtedy, kiedy najbardziej potrzebowałam jedności i lojalności, żadne z nich mi nie pomogło ani nawet mi nie uwierzyło.

— Nawet Elizabeth?

— Nie! Nawet na mnie nie spojrzała. Spytałam, czy mogłabym się wprowadzić na trochę do domu, a wujek Charles powiedział: „Nie, Fiono. W końcu musimy powiedzieć ci *nie*.” W pierwszej chwili nie za bardzo zrozumiałam. Doszłam do wniosku, że pomyśleli, że chcę wprowadzić się do domu na dobre czy coś w tym rodzaju. Próbowałam im wytłumaczyć. „Nie, nie, tylko na tydzień, dwa tygodnie. Najwyżej miesiąc, tylko dopóki nie znajdę nowego mieszkania...”

„Nie, Fiono!” — zastrzegł wujek Charles, jakbym stała przed nim na sali rozpraw. — „Rzecz nawet nie w tym, że przekroczyłaś granicę o jeden raz za dużo, ale że tym razem posunęłaś się za daleko.”

„Co? Jaką granicę?” — spytałam go.

„Sprzedawałaś narkotyki!” — mówi on i patrzy na mnie, wiesz, jak-
bym była jakąś cholerną oskarżoną, której widoku nie może już znieść
ani chwili dłużej, a potem po prostu wychodzi z pokoju!

„Ale to nie ja!” — zaczynam krzyczeć. — „Wiesz, że to nie byłam ja!
Wiesz, że to Todd Prescott. Jezus, ja sprzedawałam narkotyki! Jak mogłeś
nawet tak pomyśleć?”

„Przykro mi” — odzywa się wtedy ciotka Arlene. — „Ale masz już
trzydzieści lat i wiesz, że zawsze robiliśmy co tylko w naszej mocy i dawa-
liśmy ci wszystko, co tylko byliśmy w stanie ci dać.” — I przez cały czas,
kiedy do mnie mówi, też nie może na mnie nawet spojrzeć. — „Więc, Fio-
no” — ciągnie. — „Obawiam się, że jesteśmy zmuszeni pozwolić ci od-
czuć w pełni konsekwencje tego, co zrobiłaś...”

Fiona mówiła teraz drżącym głosem i musiała głęboko zaczerpnąć
powietrza.

— I zaraz potem zaczęła tak strasznie szlochać, że nie mogła mówić,
przez co wszyscy jeszcze bardziej się na mnie zezłościли.

Usiadła wygodnie, witając z ulgą pojawienie się kelnerki z sałatkami.
Nigdy wcześniej nie widziała ciotki tak wytraconej z równowagi. Wycią-
gnęła do Fiony drżące ręce w tak pełnym bezradności cierpieniu, że Jack
musiał zawołać ojca, by pomógł zaprowadzić ją na górę.

— A co z Toddem? — spytał George, gdy tylko kelnerka się oddaliła.

— Ten skurwiel! — wyrzuciła z siebie, a Goldbergowie obrzucili ją
zimnym spojrzeniem. — Przepraszam — powiedziała pośpiesznie i ukry-
ła twarz w dłoniach. — O Boże — wyszeptała. — Oni znają moją ciotkę
i wujka.

— Nie słyszeli — odparł łagodnie, wlepiając wzrok w swoją sałatkę.
Był czerwony na twarzy. — Nie w tym zgiełku — dodał i obydwójce się ro-
ześmiali. Zaczęli jeść. To George w końcu przerwał ciszę: — Chodziło mi
o to, czy on nie powiedziałby im prawdy, gdybyś go poprosiła. Myślę, że
przynajmniej to jest ci winien.

— Cóż, to dlatego, że myślisz jak przyzwoity, odpowiedzialny czło-
wiek, a Todda obchodzi tylko on sam. Ale wiesz, co mnie dobija? W czym
tkwi ironia? Obojętne, co robi, jego rodzina wyciąga go z każdego kłó-
potów, a ja nawet nic nie zrobiłam, a moja rodzina — przepraszam, ci
Hollisowie — chcą tylko, żebym zniknęła z ich życia. Nie wiem, może za-
wsze tego chcieli. — Zaśmiała się z goryczą. — A ja byłam po prostu zbyt
tępa, by to zauważyć.

— Ale co z Elizabeth? Przecież wie, jaki jest Prescott, a ciebie zna le-
piej niż ktokolwiek inny!

— Nie wiem. Myślę, że tak długoj nie było, że teraz słucha już tylko ich. — Odrzucenie przez Elizabeth wciąż bolało ją najbardziej. Wzruszyła ramionami z wymuszonym uśmiechem. — Ale może, kto wie, może czeka, aż do niej zadzwonię. — Przerwała. To był sygnał. — Albo i nie — dodała.

— Taa. Zmieniła się, więc myśli, że wszyscy inni też się zmienili — rzekł powoli George, jakby tłumaczył to zdanie z obcego języka.

— Coś w tym rodzaju. — Westchnęła. Więc może to rzeczywiście był tylko wieczór z samotnym Georgem...

Kelnerka podała główne dania. Gdy zaczęli jeść, wyglądało na to, że postanowił rozmawiać tylko o jedzeniu: o tym, co jedli, o tym, że był zadowolony z wolennikiem zestawów mięso plus ziemniaki, co oznajmił z zagorzałą dumą, jakby mówił o swojej politycznej przynależności.

Nic dziwnego, że Elizabeth została w Nowym Jorku aż tak długo — pomyślała Fiona, mrugając szklistymi ze znużenia oczyma, kiedy zapytał, czy sama dużo gotuje.

— Staram się tego nie robić — odparła.

On nie tylko uwielbiał gotować, ale zdecydowany był podzielić się szczegółowymi informacjami na temat każdego posiłku, który przygotował w minionym tygodniu.

— A wiesz, co zrobiłem wczoraj wieczorem? Ugotowałem taką potrawkę z mięsem i ziemniakami z dwóch ostatnich plastrów zapiekanki mięsnej.

— O, to spróbuj trochę tego. — Podsunęła mu do ust na widelcu kawałek swojej cielęciny.

Gapił się na nią zaskoczony. Policzki poczerwieniały mu, gdy przeżuwał mięso.

— Dziękuję. A chciałabyś spróbować trochę ode mnie?

— Pewnie — odparła. Ręka mu się zatrzęsała, gdy podnosił na widelcu kawałek polędwicy. — Pyszna! — Skinęła głową. — I rzeczywiście była bardzo delikatna. — Wróciła do swojej potrawy. Kiedy podniosła wzrok, on wciąż na nią patrzył. — Nie skończysz? — Wskazała gestem jego talerz.

— Tak, tylko... myślałem — powiedział pośpiesznie i skrzywił się, jakby z żalem.

— Uhm — chrząknęła, odgryzając duży kawałek bułki. — Niebezpieczny zwyczaj. — Skończyła bułkę, napoczęła następną, jakby żucie i potakiwanie głową mogło mu ułatwić wygłoszenie posępnego oświadczenia, do którego najwyraźniej się przygotowywał.

— Wiesz, Elizabeth i ja... cóż, to nie podlega kwestii. — Przełknął ciężko. — Chodzi mi o to, że naprawdę dobrze się bawię. Naprawdę! A ty?

— Tak. Jest wspaniale — dodała słabo i przeprosiła za całe swoje narzekanie na Hollisów, lecz do tej pory czuła się zbyt zraniona, by komukolwiek o tym powiedzieć.

— Przynajmniej wyrzuciłaś to z siebie. — Popatrzył na nią. — Elizabeth nigdy tego nie robi. To znaczy, wszystko musi być zawsze takie radosne i optymistyczne. Ale myślę, że to jest część tego, co się stało.

— Co masz na myśli?

— Nie wiem, jak to powiedzieć — zaczął powoli — ale takjakoś myślałem, że Elizabeth jest prawie doskonała, że jest wręcz zbyt dobra.

— O Boże, sama ciągle jej to powtarzałam, a potem czułam się taka winna! — Roześmiała się, ale zrozumiała, że nie to próbował jej powiedzieć.

— Chodzi mi o to, że wiem, że byliśmy dziećmi, kiedy ze sobą chodziliśmy, ale teraz myślę, że bardziej było tak, że Elizabeth czuła się za mnie odpowiedzialna, niż że kiedykolwiek naprawdę... no... no, wiesz, o co mi chodzi. — Odchrząknął. Wyglądał tak żałośnie, że położyła rękę na jego dłoni i zapewniła go, że jej kuzynka go kochała. Rzeczywiście, gdy dorastały, niezliczoną ilość razy mówiła Fionie, że wie, że nikogo w życiu nie będzie kochać tak, jak kocha George'a Grimshawa.

Biedny George, pomyślała zakłopotana na widok jego bladego uśmiechu. Biedny George, mawiała Elizabeth, kiedy byli dziećmi. Wiesz, jak ludzie go nazywają? Ten syn hydraulika. Wściekała się, co typowe dla niej, doszukując się niesprawiedliwości w tym, co było zwykłym faktem. Ojciec często musiał go ze sobą zabierać, kiedy wyjeżdżał do nagłych zleceń. George spędził wiele wieczorów na piwnicznych schodach u obcych ludzi, odrabiając lekcje w słabym świetle żarówki albo przysypiając w ciężarówce, podczas gdy ojciec za pomocą swojego metalowego węża przepychał zatkałe rury odpływowe. Fiona pamiętała, jak Elizabeth w końcu nakłoniła ojca, by zadzwonił do pana Grimshawa i powiedział mu, żeby podrzucił do nich George'a, kiedy tylko będzie potrzebował. Na swój zwyczaj, uprzejmy sposób pan Grimshaw powiadomił wtedy sędziego, że on i chłopak radzą sobie świetnie, i dziękują.

— Dobranoc, państwo Goldberg — pożegnała się jeszcze Fiona, wstając i dosuwając swoje krzesło.

— Och! — odezwała się Mindy Goldberg. — Fiona! Nie wiedziałam, że to ty.

— Taa, akurat — mruknęła pod nosem, ruszając do drzwi, a George podążył za nią.

Powiedziała mu, że zrobiło się za późno na kino, więc wśród grzechotania i podzwaniania wracali samochodem do domu. Wiązka miedzianych rur przetaczała się z jednej strony furgonetki na drugą. George milczał przez ostatnich kilka mil. Kiedy skręcili na drogę numer dwadzieścia osiem, zaproponował, by wstąpili do Pacer's na kieliszek przed snem. Oznajmił pośpiesznie, że zrobił im instalację wodno-kanalizacyjną, lecz nigdy nie był tam jako klient.

— Jestem naprawdę zmęczona. A poza tym czuję, że wraca mi ten ból głowy — odparła, dotykając dłońmi skroni.

— No to może innym razem — dodał szybko. — Jestem po prostu strasznie ciekawy. To dziwaczne, wiesz, tak samo jest z mnóstwem nowych domów, w których zakładam instalację. Napracujesz się, a potem przejeżdżasz i nic nie możesz na to poradzić, że zastanawiasz się, kim są ludzie, którzy tam mieszkają, i jaka jest ich rodzina. — Zerknął na nią i roześmiał się. — Wiem! Myślisz sobie: o mój Boże, George Grimshaw jest takim dziwakiem jak zawsze.

— Nieprawda. Właściwie nigdy nie myślałam, że jesteś dziwny. Bynajmniej.

— Myślałaś tak. Przyznaj się. — Roześmiał się znowu.

— Nie, zawsze myślałam, że jesteś naprawdę miłym facetem. No dobrze, może trochę zbyt miłym — dodała ze śmiechem.

— Nudnym.

— Nie! Solidnym. Niezawodnym.

— Czytaj: podwójnie nudnym. — Roześmiał się. — A chcesz wiedzieć, co ja myślałem o tobie?

Skrzywiła się.

— Nie.

— Myślałem, że jesteś najbardziej ekscytującą dziewczyną, jaką znam. Pamiętam, że raz powiedziałem Elizabeth, jak czasem brakuje mi tchu, wystarczy, że jestem w pobliżu ciebie, a ona odparła, że jej też się to zdarza.

— O Jezu!

— Nie, to komplement! I wtedy też był to komplement. Nigdy nie wiedziałem, co zamierzasz powiedzieć czy zrobić. Chodzi mi o to, że ty nie bałaś się nikogo i niczego.

Milczała przez chwilę.

- Bałam się. I nadal się boję.
- Kogo? Czego? — zakpił. — Wymień jedną rzecz, której się boisz.
- Nie wiem, ale boję się, czasem się boję. — Spojrzała na niego, zdumiona, że prowadzi z nim taką rozmowę. — Nie lubię być sama, ale potem, kiedy jestem z ludźmi, irytuję się jakoś i chcę tylko, żeby zostawili mnie w spokoju... No, to jest przecież dziwne, prawda?
- Nie, ja wiem, co masz na myśli.

Patrząc na oświetlone okna mijanych domów, miała świadomość jakiejś sztywności, tępej i zimnej, która stała się częścią jej samej. Czuła się, jakby jakiś stalowy pręt przebiegał przez jej ciało od czaszki do pięt. Zmęczenie i kac mogły uczynić z niej łatwą zdobycz, lecz zwykle właśnie w momentach utraty kontroli widziała najjaśniej, że u Hollisów tak naprawdę nie było dla niej nigdy miejsca. Wypełniali swój obowiązek i tyle. Nigdy nie czuła, by kochali ją tak jak własne dzieci. Lecz w końcu los tak chciał. To nie była niczyja wina. Nie było tak, jak uwielbiał mawiać wujek Charles, że każdy rodził się ze skazą. Nie, niektórzy przychodzili na świat bardziej błogosławieni niż inni.

- Wiesz, co jeszcze sobie zawsze myślałem? — spytał George, zwalnając na skrzyżowaniu. — Zawsze myślałem, że byliśmy strasznie do siebie podobni, w pewnym sensie. Chodzi mi o to, że obydwójce nie mieliśmy matek.
- Ale mieliśmy Elizabeth! — odparła krótko.
- Mieliśmy właśnie ją — westchnął, szykując się do skrętu.
- Zmieniłam zdanie! Pojedźmy sprawdzić, jak mają się twoje rury.

W Pacer's było hałaśliwie i ciemno. Warstwa dymu wisiała pod sufitem jak zapadający się namiot. Spodnie do jazdy konnej, pejcze i dżokejki pokrywały ściany z desek.

- Hej, George! Georgie! — rozległ się chór głosów, głównie męskich, gdy przedierali się do pustego boksu na tyłach. Zapomniała, jak bardzo popularny był zawsze George. Obydwójce, George i Elizabeth.
- Fiona Range! — zawołała kelnerka, wysoki rudzielec w dżokejce. Fiona pamiętała ją jak przez mgłę. — Spotkałyśmy się wczoraj wieczorem na przyjęciu!
- Kahlua z lodem — powiedziała Fiona. O Boże, tak. Przyjęcie!
- To było świetne, jak ty i Larry Belleau tańczyliście. Nigdy nie widziałam, żeby tak świetnie się bawił — mówiła teraz kelnerka do George'a. — Potem ciągle powtarzała „Kocham Fionę, tak bardzo ją kocham!” Biedny Larry...

— Larry Belleau? — George wyglądał na zakłopotanego.

— Taa — odparła kelnerka. — Larry Belleau. To było takie zabawne! A potem pies zaczyna szczekać, więc ona zaczyna tańczyć z psem i zaraz Larry stoi i patrzy, i zaczyna wyć jak pies, no i wtedy...

— Słuchaj, trochę się śpieszymy, jeżeli nie masz nic przeciwko temu — przerwała Fiona.

— Wiem, ale po prostu pomyślałam, że to było takie...

— Nie obchodzi mnie, co sobie pomyślałaś! — Fiona spiorunowała ją wzrokiem. — Jak powiedziałam, trochę się śpieszymy.

Wzruszając ramionami, kelnerka przewróciła oczami do George'a, który szybko zamówił to samo, co Fiona.

— Czy ją znam? — spytał, gdy kelnerka odeszła.

— A skąd ja mam to, do cholery, wiedzieć? — warknęła.

— Miałem na myśli to, czy chodziliśmy z nią razem do szkoły? — Wyprostował się sztywno na ławie.

— Wybacz. Niektórzy ludzie po prostu budzą we mnie diabła. — Widząc, że otworzył usta w zdziwieniu, starała się wytłumaczyć. — Chodzi mi o nią, o kelnerkę. — Musiała pochylić się do niego przez stół, by ją usłyszał. Za wahadłowymi, stojącymi drzwiami po jej lewej stronie, stały stoły bilardowe i przez chwilę jedynym słyszalnym dźwiękiem było stukanie uderzających o siebie bil. — Nie pomyślałeś chyba, że mam na myśli ciebie, prawda?

— Prawdę mówiąc, nie byłem pewien. — Wyglądał teraz na zmęczonego: powieki miał ciężkie, oczy — bez blasku.

Kelnerka wróciła z ich drinkami i wręczyła im rachunek. Zamiast skasować ich na koniec, skoro tak bardzo się śpieszyli — jak dodała, obrzucawszy Fionę zimnym wzrokiem, nim oddaliła się od ich stolika.

— Ty naprawdę tańczyłaś z Larrym Belleau i z psem? — spytał George, powstrzymując uśmiech.

— Nie! W każdym razie nie z obydwoma na raz. To znaczy, każdy musiał poczekać na swoją kolejkę! — To zdarzyło się zaledwie zeszłej nocy, a w jej pamięci pozostało niewiele prócz mglistego wspomnienia śmiechu i głośnej muzyki. I nagle: Brad Glidden pomaga jej usiąść na muszli. O Boże!

George roześmiał się i powiedział, że rozważał pójście na to przyjęcie, lecz gdy dotarł po pracy do domu, był zbyt zmęczony. — A wygląda na to, że była świetna zabawa. Powiniennem być się wybrać.

— O tak! Powinieneś. — Wstrzymała oddech i spróbowała odpowiedzieć mu uśmiechem.

Nagle w sali od tyłu rozległ się pełen gniewu męski głos. Po nim zabrzmiały inne głosy, udzielające komuś ostrego upomnienia.

— W porządku, w porządku! Po prostu je rozwal — ktoś zawołał. Kule bilardowe znów uderzyły o siebie.

Na chwilę zapanowała cisza. George pochylił się ku niej.

— Ale ty znasz tego faceta, narzeczonego Elizabeth?

Popatrzyła na niego i potrząsnęła głową skonsternowana. Policzki zapiekłyją, jak od niewidzialnego uderzenia.

— Nawet nie wiedziałam, że jest zaręczona. — Oczy zamgliły jej się od łez wobec tego ostatecznego i niezaprzeczalnego dowodu jej wyobcowania. Może i została wychowana przez Hollisów, ale oni byli rodziną i ta rodzina zwarła przeciw niej szeregi. Nawet Elizabeth. Jej droga, najdroższa Elizabeth.

— Fiono! — George usiłował wziąć ją za rękę, lecz ona odsunęła się i usiadła sztywno, z rękami na kolanach, z uniesioną głową. — Przepraszam. Myślałem, że wiesz.

Potrząsnęła głową i zaczerpnęła głęboko powietrza. Dlaczego poczuła się tak ogłuszona? Przecież wyrazili się jasno. Dopełnili swojego obowiązku, karmili ją i ubierali, zapewnili jej dach nad głową, a teraz nie był jej już nic winni.

— Cóż! — Zdobyła się na ożywiony, szybki uśmiech.

— Fiono, czy mogę wziąć cię za rękę? Proszę.

Zawahała się. Położyła dłoń na stole.

— Proszę. Teraz to masz — powiedział, ściskając jej rękę.

— Mam co?

— Wszystko. Czegokolwiek potrzebujesz: sprzymierzeńca, przyjaciela, kumpla. — Roześmiał się. — Hydraulika!

— Kogoś jeszcze? — drażniła z niskim, szelmowskim chichotem, łaskoczając jego dłoń.

— Nie wiem. Kogo jeszcze potrzebujesz?

— Pomyślmy, właśnie teraz mógłby mi się przydać dobry... — Podoobało jej się, że policzki mu poczerwieniały, gdy przerwała, by osuszyć resztę swojego drinka. — Dobry, przyzwoity mężczyzna w moim życiu — ciągnęła.

— Więc ta posada jest od dziś zajęta! — Jego wyrażony szczerem głosem chłopięcy entuzjazm sprawił, że przeszedł ją dreszcz. Pod stołem jej stopa wystukiwała szaleńczy rytm, a Fiona już gardziła kolejnym mężczyzną biegnącym na złamanie karku na bosaka przez parking przed jej domem. Zeszła noc była pomyłką, okropną i niewybaczalną. Dostrzegła

z uderzającą jasnością nie to jak łatwa, lecz jak bardzo rujnująca mogła się stać ta nowa. Wciąż uśmiechając się szeroko, George zaproponował następnego drinka, lecz ona była zmęczona. Chciała wyjść. Musiała wydostać się stąd, uciec od pokrętnych głosów, śliskich gier i pozorów. Nikt nie był uczciwy, a ona kłamała najbardziej — nie przez to, że udawała, że kogoś potrzebuje, ale że on ją obchodzi, bo było to najgorsze, najbardziej niewybaczalne kłamstwo. Wzięła torebkę i oświadczyła, że lepiej będzie, jak już wróci do domu. Zerknął na rachunek w przyćmionym blasku świec i zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy.

— Słyszałem to! Chodź no tutaj! Chodź tutaj, ty skurwysynu! — grzmiał mężczyzna w sali od tyłu. Słysząc było uderzenie i wstrząs, jakby coś walnęło w ścianę za nimi. — Chodź, powtórz to jeszcze raz. W twarz mi to powiedz — domagał się mężczyzna.

— Oj, przestań, Patrick. Nic takiego nie powiedział.

— Zostaw go. To tylko durny dzieciak. — Rozległ się nerwowy śmiech. — Nie wie, do kogo, u diabła, mówi.

— Taa, nie wiesz, do cholery, do kogo mówisz, sukinsynu.

— Mówię do pieprzonego dupka, właśnie tak — dyszał młodszy głos. — Do niego, do pieprzonego facecika z blizną.

— Sukinsynu! — ryknął mężczyzna, a potem słychać było szamotaninę i pochrząkiwanie. Coś z łomotem uderzyło o ścianę.

— Mówisz do bohatera wojennego, ty cholerny dupku. Dostał Srebrną Gwiazdę. A ty, co, do cholery, masz oprócz niewyparzonej gęby? — mówił siwowłosa w czapeczce baseballowej, przepychając chudego, młodszego osobnika w czerni przez wahadłowe drzwi. Kiedy ci dwaj mijali ich stolik, George błyskawicznie wysunął rękę, jak kij, by ochronić Fionę. Właśnie wtedy drzwi znów się raptownie otworzyły i przez nie wypadł na salę Patrick Grady. Odpychając na bok tego w czapeczce, chwycił jedną ręką młodzieniaszka za gardło i wałąc go w bok, rzucił go na kolana, a potem kopnął w plecy.

Czterech nowych wybiegło z sali na tyłach. George wstał, lecz nie mógł się ruszyć, zablokowany przez walczących mężczyzn. Facet w czapeczce ścisnął Grady'ego w pasie. Jego twarz wgniotła się w plecy Grady'ego, gdy starał się powstrzymać go przed kopaniem leżącego bezwładnie młodego mężczyzny, który pochrząkiwał przy każdym kolejnym mocnym ciosie.

— Przestań! — Zerwała się na równe nogi i wydostała się już prawie z boku, nim George zdołał ją powstrzymać. — Przestań! Nie rób tego! — krzyczała, wałąc Grady'ego w ramię.

Odwrocił się, patrząc na nią równie zaskoczony, jak ona na niego. Jego płonące oczy wpiły się w jej źrenice.

— Co ty robisz? Czego ty chcesz? — warknął.

— Jestem Fiona. — Serce waliło jej w piersi. — Fiona Range. Wiesz, kim jestem. — Wszystkie włosy stanęły jej dęba, wszystkie zakończenia nerwów pulsowały. Oddychała płytko.

— No już, Patrick, wystarczy — odezwał się ten w czapeczce baseballowej, kiedy Grady znów odwrócił głowę w kierunku młodego koleśka pełzającego teraz w kierunku drzwi.

— Taa, niech zmiata — dorzucił jeden z mężczyzn.

— Więcej nie przyjdzie się tu wymądrzać — zapewnił Grady'ego inny kompan.

Obserwowała, jak wraca do sali na tyłach, otoczony przez mężczyzn, których pełne niepewności współczucie zapewniało mu bezpieczeństwo, ale i dystans przez te wszystkie lata.

— Mój Boże. Co z niego za bydlę.

— Fiono, przepraszam, że musiałaś...

— Jest taki podły, taki zły. Gdyby oni go nie powstrzymali, mój Boże, zabiłby tego dzieciaka!

— To przez Wietnam. To ta wojna. On...

— Tak na mnie patrzył. Jego oczy. Tyle w nich było nienawiści.

— Nie. Był taki wściekły, że nie wiedział, co się dzieje.

— Wiedział. Wiedział, kim jestem — odparła, zdezorientowana tym, że w piersi czuła ucisk, kiedy ruszyła do drzwi.

— Och, o to ci chodzi. Tak, jasne. Nie to miałem na myśli — odezwał się George, podążając za nią na zewnątrz.

— Nawet nic nie powiedział. — Zaczerpnęła głęboko czystego, nocnego powietrza. Na czarnym niebie migotały żółte gwiazdy. Serce wciąż jej waliło.

— Tak, ale nie zapominaj, to znaczy, pomyśl o tym, w końcu, co mógł wtedy powiedzieć? — Był taki sam jak Elizabeth, zawsze przemawiający w imieniu niezrozumianych i równie w tym głupi. Otworzył przed nią drzwi furgonetki.

— „Cześć” — odparła chłodno. — Tylko tyle zawsze od niego oczekiwałam. Tylko jednego cholernego „cześć”...

— Och, Fiono. Chodź do mnie — powiedział, wyciągając do niej rękę, gdy wspinała się do środka, lecz ona zdążyła już usiąść na krawędzi fotela, nim zdążył jej dotknąć.

Rozdział 2

Gdy w poniedziałek w porze śniadania przez kawiarnię przewalały się największe tłumy, George Grimshaw wśliznął się do boksu i zaczął się nerwowo rozglądać.

— Więc o tej godzinie hydraulicy jadają śniadania? — zagadnęła Fiona, podchodząc do jego stolika.

— Właściwie to byłem już w połowie drogi i przypomniałem sobie, że zostawiłem butle z gazem w warsztacie, więc musiałem zawrócić i tam pojechać...

— Przepraszam za tamten wieczór — przerwała mu. Dręczyło ją to przez cały weekend. Po wyjściu z Pacer's i milczącej jeździe z powrotem, wyskoczyła z furgonetki i popędziła do domu. — Zachowywałam się jak jędza.

— Wcale nie. Po prostu byłaś zdenerwowana.

— No i co? Nie powinnam się była na tobie wyżywać. Nawet ci nie podziękowałam za kolację.

— Fiono, ja niczego nie oczekiwałem. Nie musisz mi dziękować. Naprawdę — dodał, a jego znaczące spojrzenie przepełniło ją obawą.

— No... w każdym razie, właśnie to zrobiłam. — Przerzuciła kartkę w bloczku z zamówieniami i stuknęła teraz w niego długopisem, a on studiował menu.

— Pomyślmy — dumął. A co ona sądzi? Co powinien zamówić, muffiny czy tosta, jajecznicy czy jajko sadzone, sok grejpfrutowy czy pomarańczowy? — Już wiem — rzekł, zwracając jej menu. — Zaskocz mnie!

— Nie. Ty powiedz mi, co chcesz. — Popatrzyła na niego.

— Przepraszam. Nie chciałem ci zawracać głowy. — Potrząsnęła głową. — Przepraszam.

— Nie, po prostu mamy kupę roboty. — Wskazała gestem na kolejkę przy kasie.

— Wiem. Nawet o tym nie pomyślałem.

— A mnie chodzi o to, że ludzie zawsze tak mówią, a później nie chcą jeść tego, co przyniosę.

— No, ja bym tego nie zrobił, ale to nie ma znaczenia. Naprawdę. — Okropnie się poczuła, widząc jego wymuszony uśmiech. — Wezmę kawę i bułeczkę z otrębami przypieczoną na grillu. Poproszę.

Za każdym razem, gdy mijała jego stolik, czuła, że George obserwuje ją znad swojej gazety. A kiedy przyniosła bułeczkę, spytał, czy nie miałaby ochoty wybrać się dzisiaj do kina.

— Nie! — Widząc, jak sztywnieje, wyjaśniła, że ma dziś wieczorem zajęcia. Więc jutro wieczorem albo każdego innego dnia. Kiedy tylko będzie jej pasowało. Majeszce do napisania referat, a zanim zaczniesz, musi przeczytać tonę książek. I uciekła do kuchni, gdy Chester jak oszalały uderzył w swój gong.

Gdy wróciła, George spytał, na kiedy ma napisać referat. Odpowiedziała, że już niedługo. Zaproponował, że, cóż, jeżeli któregoś wieczora miałaby ochotę na przerwę, mogliby coś szybko przegryźć w mieście. Odparła, że pewnie wszystkie wieczory w tym tygodniu przesiedzi w bibliotece. Ten referat nie został jeszcze nawet zadany, lecz ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, był mężczyzna w jej życiu, szczególnie zaś był chłopak Elizabeth. Żadnemu innemu facetowi nie wahałaby się jasno przedstawić swojego zdania, lecz szczerzy, pełen nadziei uśmiech George'a był równie niepokojący, co niejasny.

Gdy ponownie wyszła z kuchni, zobaczyła Larry'ego Belleau, który wcisnął się do boksu obok George'a. Stara, wypłowiała, niebiesko-złota kurtka Liceum w Dearborn, którą miał na sobie Larry, była taka ciasna, że rękawy podjechały do góry na jego ogromnych ramionach. Nosił czapkę Red Sox daszkiem do tyłu, a plastikowy paseczek ścisnął jego mięsiste czoło. Trzydziestoletni Larry wciąż ubierał się jak nastolatek, którym był, gdy jego czaszka została zgruchotana w wypadku przy skoku do wody w kamieniołomie. Od tej pory pozostał zamrożony na wieki w okresie dojrzewania. Rozwalił się na stoliku, opierając na nim oba łokcie. Mówił z wielkim poruszeniem, chcąc powiedzieć jak najwięcej, nim jego rozmówca umknie. Nie robiąc przerw na oddech czy przemyślenie, wypowiadał jedno gorączkowe zdanie za drugim, a połączone sylaby brzmiały niemal tak, jakby mówił w innym języku. Jego grzmiący głos wypełniał salę. George uśmiechał się cierpliwie.

Modląc się, by Larry nie powiedział nic o przyjęciu czy o Bradzie Gliddenie, podała mu szklankę wody i menu.

— Witam! — odezwała się z szybkim uśmiechem.

— Cześć, Fiona. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu, kiwając jednocześnie głową. — Jesteś śliczna, jesteś taka śliczna, że...

— Dzięki, ale co zamawiasz, Larry? Sok? Kawę? Chcesz, żebym przyniosła ci trochę kawy, Larry?

— Nie, nie, muszę iść do pracy, już jadłem śniadanie, chciałem tylko wpaść cię zobaczyć, powiedzieć: cześć, jak świetnie się bawiłem...

— Oj, Chester na mnie dzwoni! — Zerknęła w kierunku kuchni. — Muszę odebrać zamówienie.

— Poczekaj! — Larry złapał ją za nadgarstek. — Tylko poczekaj, poczekaj, proszę, tylko poczekaj!

— Larry — ostrzegł go George cichym głosem. — Puść ją. Nie ciągnij jej tak.

— Och! — krzyknął Larry i odsunął się. Usiadł na swoich dłoniach. — No bo mój ojciec jest wściekły, nie powinienem pić, powiedział, że głupio się zachowuję i nikt nie chce ze mną przebywać, bo powiedział, on powiedział, że obrażam ludzi. — Znów chwycił ją za rękę. — Czy cię obraziłem, czy ja cię obraziłem na przyjęciu, czy obraziłem cię, Fiona?

— Nie, oczywiście, że nie, Larry. — Wstrzymała oddech i zabrała rękę.

Larry uśmiechnął się szeroko.

— Ale była zabawa, ale fajna zabawa, nie? — Pokiwał z zapałem głową.

— Taa, świetna.

— Pójdiesz gdzieś ze mną, Fiona, no, pójdiesz, pójdiesz, proszę, proszę, proszę? — mówił coraz głośniej. — Możemy iść do McDonalda, możemy iść dziś wieczorem, mam pieniądze, dużo pieniędzy, zobacz — ciągnął, wciskając plecy w oparcie, gdy grzebał głęboko w kieszeniach i rzucał zmiętoszone banknoty na stolik.

— Nie mogę, Larry. Nie mogę, jestem bardzo zajęta.

— Proszę, Fiona, proszę, proszę, proszę! — błagał, przyciskając dłoń do podbródka.

W ich kierunku odwracały się kolejne twarze. Maxine też obserwowała ich zza kasy.

— Hej, no, Larry, wstawaj. Czas już iść — odezwał się George.

Larry podniósł się i stanął przy stoliku. Jednak w chwili gdy George wyszedł z boksu, Larry wśliznął się do niego z powrotem. Łatwo wybuchnął płaczem, a jego frustracja brała się najczęściej z własnego zachowania. Chociaż nie pamiętał tamtego skoku, miał świadomość tego, kim był,

kim chciał być i w chwilach takich jak ta nienawidził w sobie tego dziecka, którym pozostał.

— No, chodź, Larry, chodź, wstawaj. Podwiozę cię do pracy — mówił George.

— Ale ja chcę iść z Fioną, chcę iść, ja chcę! — upierał się Larry, uderzając pięścią w blat.

— Ale nie możesz, więc wstawaj i idziemy — oświadczył George, chwytając Larry'ego mocno za ramię.

— Dlaczego, dlaczego nie mogę? — krzyczał Larry, przechylając się do tyłu i starając się wyrwać. — No powiedz mi, dlaczego, dlaczego, bo się zmieniłem, bo jestem inny, bo myślicie, że jestem teraz głupi, to dlatego, tak?

— Bo ona po prostu nie może — odparł George, pochylając się nisko nad nim.

— Ale ty mnie lubisz, lubisz, lubisz mnie, prawda, Fiona? — krzyczał Larry ponad ramieniem George'a.

Skinęła głową.

— Tak, lubię cię.

Larry uśmiechnął się szeroko.

— Wiem, pocałowałaś mnie i ja cię pocałowałem, pocałowałem cię też, nie? — Przedstawiwszy swój argument, wyszczerzył do George'a zęby w uśmiechu. — Widzisz, widzisz, sam powiedziałem ci, naprawdę pocałowałem Fionę, więc czemu nie możemy, czemu nie możemy pójść na randkę?

— Bo ona chodzi ze mną, dlatego. Więc ruszaj, chodźmy! — nakazał George cichym głosem.

Larry otworzył usta.

— Och, och, och, przepraszam, przepraszam, George, przepraszam, bardzo, bardzo, bardzo przepraszam — odezwał się, omal nie przewracając stolika, gdy podnosił się w pośpiechu. — Nie wiedziałem o tym, nigdy bym jej nie poprosił, przysięgam na Boga, George, nigdy, nigdy bym jej nie zaprosił — upierał się, podążając za Georgem do drzwi.

A ona schroniła się pośpiesznie w jasnym, hałaśliwym azylu kuchni. Patrzyła, jak Chester wylewa łyżkę ciasta naleśnikowego na ruszt. Rozdarta pomiędzy złością i litością dla Larry'ego, pomyślała, że to nie w porządku. Prawie każdy kilka razy przekradał się przez las, by balangować i pływać w lodowato zimnej wodzie wypełniającej kamieniołom o pionowych, granitowych ścianach. Ponieważ kamieniołom znajdował się na ziemi należącej do Patricka Grady'ego, było to jedyne ryzyko, którego

Fiona nigdy nie podjęła. Po wypadku Larry'ego była zadowolona, gdy jego rodzina pozwała Grady'ego. Teraz oparła się o kontuar i spytała Cheстера, jaki był wynik ostatniej rozprawy.

— Poszli na ugodę z firmą ubezpieczeniową Patricka — zawołał Chester przez ramię. Wrzucił mrożone paszteciki na grill, rozkładając je jak karty. — Zyskali na tym, ale nie osiągnęli tego, na czym im naprawdę zależało.

— A co to było? — spytała, przekrzykując szum wentylatora.

— Chcieli mu udowodnić zaniedbanie. Chcieli, żeby zbiornik w kamieniołomie został osuszony, żeby nie zdarzyło się to już żadnemu innemu dzieciakowi.

— Co rozumiesz przez zaniedbanie?

— Dzieciaki łążyły tam i brały z Patrickiem prochy.

Nigdy w to nie wierzyła. Pamiętała, że kilku facetów, szczególnie Todd, sprzedawało Grady'emu trawkę. Ale to było wszystko. Grady był tak samo podły i nieprzyjazny zarówno wtedy, jak i teraz.

— Więc myślę, że rodzice Larry'ego Belleau pomyśleli sobie, że Grady pozwolił także ich dzieciakowi wchodzić na swój teren — ciągnął Chester. — Ale sprawa wygląda tak, że zawsze miał wokół całego terenu wywieszane tabliczki. Zawsze. Przez lata. „Wstęp wzbroniony.” Myślę, że to go właśnie uratowało. Gdyby nie to, straciłby wszystko. Nie ma nic oprócz tej ziemi. I oprócz renty inwalidzkiej.

— Ciekawe, dlaczego jej nie sprzedał? — odezwała się.

— Spytaj swojego wujka — odparł Chester, przewracając naleśniki. Zerknął do tyłu. — On powinien wiedzieć.

— Wujek Charles?

— Tak, nasz sędzia — odparł z zaskakującą nienawiścią w głosie.

— Myślałam, że lubisz mojego wujka.

— Lubię. Ale nie potrafię zrozumieć, dlaczego pomaga Grady'emu. Wskazała na siebie.

— Może chodzi o mnie?

— Jeszcze jeden powód, żeby pozwolić mu utonąć we własnym gównie, jeżeli mnie pytasz o zdanie. Cholerny sukсын powinien gnić w więzieniu, tam jest jego miejsce.

— W więzieniu! Dlaczego? Przez ten wypadek Larry'ego? — spytała, gdy otworzyły się drzwi. To Maxine wparowała do kuchni w poszukiwaniu Fiony.

— Taa, właśnie dlatego.

— Ale przecież ty i Grady byliście chyba dawniej przyjaciółmi, nie?
— Kątem oka ujrzała Maxine stojącą przy drzwiach i wbijającą spojrzenie w męża.

— Tolerowałem go i to, do cholery, o wiele więcej, niż na to zasługiwał taki śmieć jak on — odparł Chester.

— Chester! — wykrztusiła Maxine.

— Sama pytała, nie? — Cisnął łopatkę, aż brzęknęła o blat.

Drzwi znów się otwarły i Maxine wśliznęła się na salę.

Kiedy George przyszedł następnym razem do kawiarni, Fiona podziękowała mu za to, że bez scen wyciągnął Larry'ego z kawiarni.

— Mam nadzieję, że nie poczułaś się przeze mnie, no, zakłopotana, czy coś. Dlatego, że powiedziałem, że się spotykamy — odparł George ze wzruszeniem ramion.

— Jak powiedziałam, doceniam to — rzekła, ignorując ton nadziei w jego głosie.

— No a jak twój referat?

— Świetnie. — Widząc jego pełen zapału uśmiech, dodała, że musiała przeczytać tyle, że dopiero co siadła do pisania referatu.

— Cóż, wiesz, jak się to mówi... — Kiwną rezolutnie głową. — Początek to połowa roboty.

— Tak mówią? — Wybuchła śmiechem.

— Coś w tym rodzaju — wymamrotał i wziął swój rachunek. Popatrzył na niego, a potem przesunął się, chcąc wyjść z boksu.

— George. — Położyła mu rękę na ramieniu, nim zdążył wstać. — Nie naśmiewałam się z ciebie.

— W porządku. — Uśmiechnął się do niej, unosząc głowę. — Naprawdę.

A to jeszcze bardziej wprawiło ją w zakłopotanie. To, że dla George'a było to chyba naprawdę w porządku.

Minęło kilka dni, nim znów go zobaczyła. Podała mu menu i po chwili mu je wyrwała, mówiąc, że wybierze za niego. Największa fala klientów już się przewaliła, na sali zostało ledwie kilka osób.

— Proszę bardzo — rzekła potem, wnosząc specjalność Chestera, omlet po meksykańsku, który smakował dobrze, mimo swej przypominającej wymiociny konsystencji. W roztopionym serze pływały kawałeczki czerwonej, żółtej i zielonej papryki. — Spróbuj — nalegała, gdy się zaważał. — A jeśli nie będzie ci smakował, przyniosę coś innego.

— Spróbuję, ale, po pierwsze, zastanawiałem się, czy chciałabyś wyjść dokądś na kolację w ten weekend... — Obojętnie którego wieczora, kiedy najbardziej jej pasowało.

Skłamała, że obydwie wieczory miała zajęte. W rzeczywistości nie miała żadnych planów. Spytał, czy może wobec tego w niedzielę. Mogli- by pojechać do Rye, pospacerować po plaży, pojechać do Portsmouth na kilka godzin, a potem zatrzymać się na obiedzie w Exeter Inn w drodze powrotnej. Odparła, że to świetnie brzmi, ale przez cały weekend będzie pracować nad referatem.

— W każdym razie dzięki, George. — Widać było, że jej nie wierzy.

— Dzięki za co?

— Że mnie spytałeś. I że jesteś zawsze taki cholernie miły.

— I w tej sytuacji to może być mój największy problem — odparł ła- godnie.

— Nie! Boże, nie! Właściwie wręcz przeciwnie.

— Wręcz przeciwnie! Och, więc nie jestem takim miłym facetem. — Jego wymuszony śmiech opadł pomiędzy nich jak drobny, chłodny de- szczyk.

— Chodzi mi o to, George, że ja mogę okazać się skończoną, cholerną zołą, a nie tego chyba szukasz.

— Szukam? Kto powiedział, że czegoś szukam?

— Wiesz, o co mi chodzi.

— A co, gdybym ci powiedział, że nie jestem tobą w ogóle zainteresowany?

— Poczuję się dotknięta jak diabli! — Roześmiała się.

— A gdybym powiedział, że po prostu potrzebuję kogoś, z kim mógł- bym pogadać, wyjść dokądś.

— Więc innymi słowy wykorzystywałbyś mnie!

— Ależ nie! Nie, bylibyśmy jak przyjaciele. Wiesz, jeśli miałabyś ochotę porozmawiać czy przejechać się dokądś, czy coś innego, mogliby- śmy to zrobić.

— Więc będziemy się nawzajem wykorzystywać!

— No, ja bym tak tego nie traktował.

— Ale takie układy nigdy nie działają, George. Po prostu nie — po- wiedziała i poczuła się okropnie, widząc, jak bardzo się zaczerwienił.

Jej wykłady z historii Ameryki odbywały się w Miejskim College'u w Dearborn. Czuła się zmęczona, a w jasno oświetlonej jarzeniówkami sali było za ciepło. Lee Felderson trzymała ich wszystkich już o czterdzie-

ści pięć minut dłużej, by zrobić powtórzenie przed pierwszym egzaminem semestralnym, choć większość czasu poświęcona została na omówienie sposobu rozwiązywania testu.

— Wczytajcie się w pytanie, podzielcie je na części — tłumaczyła Lee Felderson.

Z głośnym westchnieniem Fiona wstała i otworzyła okno. Nie mogła uwierzyć, że oni rzeczywiście to wszystko zapisywali.

— Uporządkujcie swoje przemyślenia. — Lee Felderson rozsiała się za biurkiem. Fiona pomyślała, że kiedyś Lee była brzydką, rozsądną, zbyt poważną nastolatką, a teraz rozjaśniła włosy i zrzuciła pewnie z połowę wagi. Nosiła tylko krótkie, obcisłe spódniczki albo sukienki. O cztery lata starsze od Fiony, Lee i kuzynka Fiony, Ginny, były w liceum najlepszymi przyjaciółkami. Z tych lat Fiona zapamiętała najbardziej, jak drzwi pokoju Ginny otwierają się gwałtownie i Lee wlecze się po schodach na dół, cała we łzach. O braku wrażliwości Ginny krążyły legendy, choć w kręgu rodzinnym zwano tę jej cechę „uczciwością”, podczas gdy uczciwość Fiony atakowano zawsze jako przejaw bezmyślności. Ciotka Arlene zawsze powtarzała o swej starszej córce, że Ginny jest taka jak jej ojciec. Zbyt uczciwa, by mogło jej to wyjść na dobre.

— Nie obawiajcie się zapisywać pomysłów, robić notatek i nawet planu pracy, tutaj, na marginesach. — Lee Felderson podniosła niebieską książeczkę i otworzyła ją na ostatniej stronie. — Niektórzy wolą robić notatki tu, i to jest w porządku. Ja oczywiście będę wiedzieć, że to są tylko notatki. Ale jeżeli chcecie mieć całkowitą pewność, napiszcie po prostu „notatki” dużymi, drukowanymi literami na górze strony.

Fiona jęknęła, kiedy siedzący obok niej dziesięcioletni wypisał „NOTATKI” na górze swoich notatek. Idioci. Nie mogła już tutaj wysiedzieć.

Zajęcia wreszcie się skończyły, a Lee Felderson ogłosiła, że jeśli ktoś jest zainteresowany, zaprasza na jeszcze jedno powtórzenie w przyszłym tygodniu. Fiona podniosła rękę, by spytać, tłumiąc ziewanie, czy będzie to rzeczywiście powtórzenie samego materiału, czy tylko „jeszcze więcej tego co dzisiaj.” W sali zapanowała cisza.

— Próbuje zaspokoić potrzeby grupy, pani Range, a ponieważ jest tu sporo starszych studentów, jak pani, którzy być może nie pisali od lat żadnego testu, myślę, że równie ważne jest, by nauczyć was technik pisania testu, jak samego materiału.

— Och, pewnie. Nie ma problemu — odparła Fiona, machnąwszy ręką.

— Mam nadzieję, że nie. — Spojrzenie Lee Felderson było równie zimne, jak ton jej głosu.

Fiona wsiadała potem do samochodu, gdy Kendra Jones podbiegła i spytała, czy ona i jej przyjaciółka, Ann, mogłyby się z nią zabrać do domu. Właśnie też skończyły zajęcia i zawsze wymuszały na kimś podwiezienie.

Fiona spytała, gdzie mieszkają, dodając, że jest zmęczona i jedzie prosto do domu, do śródmieścia Dearborn.

— Och, no cóż — odparła Kendra, zaczynając się wycofywać. — My mieszkamy dużo dalej, spory kawał drogi za kamieniołomem.

— W porządku, wskakujcie — powiedziała Fiona.

— Jesteś pewna? Wiesz, gdzie to jest? — spytały obydwie dziewczyny, wsiadając.

— Taa, wiem, gdzie jest kamieniołom.

Prowadząc, zgarbiła się nad kierownicą. Nie było świateł ani domów na tym odcinku drogi, która wiodła przez najbardziej oddalone zakątki miasta. Gdyby nie prześwitujący przez gromadzące się chmury blask księżycy, wszystko byłoby tu czarne. Dziewczyny gadały jak najęte, odkąd tylko wyjechały z parkingu.

Gdy wjeżdżała w zakręt tuż obok lasu miejskiego z jego wysokimi, wrzecionowatymi sosnami, zdała sobie sprawę, że nie była tu od lat. Zwolniła. Przed nią pojawił się mały, biały domek z grubym ceglany kominem pośrodku dachu. Dom Patricka Grady'ego. Mnóstwo różnych znaków z napisem „Zakaz wstępu” — blaszanych, drewnianych, kartonowych, nowych i starych — przybitych było do drzew, płotów i werandy. Wyjrzała przez szybę, ale na podjeździe za domem nie widać było samochodu. Jedyne światło pochodziło z malutkiego, mansardowego okna nad frontowymi drzwiami, a ona ciekawa była, czy to jego sypialnia. Zastanawiała się, czy mieszka sam, czy ma psa lub kota, albo czy kiedykolwiek siadywał na zniszczonym przez pogodę drewnianym krześle ogrodowym, które wyglądało tak, jakby zapadło się w ziemię na podwórku obok domu. Wiedziała, że zawsze tu mieszkał, że przy jego domu znajdowała się droga prowadząca do kamieniołomu. Lecz wiele lat temu założono ogrodzenie z drutu kolczastego, by zamknąć przejście przez jego teren. Teraz, by dostać się do kamieniołomu, trzeba było pojechać do Parku Przemysłowego, a potem przejść przez las miejski, który otaczał jego ziemię.

— Wiecie, kto tutaj mieszka? — Wskazała gestem mijany dom.

— No! Taa! Patrick Grady, ten facet z bliźną — odpowiedziała Ann.

— Znasz go? — spytała Fiona.

— Och Boże, nie. Jest taki... dziwny, wiesz, jak jakiś pustelnik, czy ktoś w tym rodzaju.

— Co masz na myśli?

— Jeżeli tylko ktoś się tam zbliży, on zaraz dostaje kota — dodała Kendra.

— Co to znaczy, że dostaje kota?

— No, tak jak wtedy, kiedy złapał mojego brata i jego kumpi przy kamieniołomie, i ścigał ich przez cały las. Darł się i rzucał w nich różnymi rzeczami, kamieniami i gałęziami, i innymi rzeczami. Mój brat powiedział, że tak się wystraszył, że prawie się złał.

— To dziwne.

— Taa, mój ojciec powiedział, że kiedyś to był naprawdę świetny facet — odezwała się Ann. — Myślę, że wszystko mu się popieprzyło w Wietnamie albo coś w tym rodzaju.

— Naprawdę? — Bawiła ją rozmowa o nim z ludźmi, którzy nie wiedzieli o tym, że coś ich łączy. — A wiecie, co się stało? To znaczy, jak to się stało, że tak mu się pomieszało w głowie?

— Wojna, tak myślę. Zresztą, nie wiem. Ale ta blizna wygląda paskudnie — odparła z drżeniem Kendra.

— Mój ojciec powiedział, że zranił go amerykański samolot czy coś. Wyobrażacie sobie? Chodzi mi o to, że, no, że to takie niesprawiedliwe? — powiedziała Ann, gdy wjeżdżały na podjazd przed jej domem.

Kiedy je wysadziła, zawróciła, mijając dom Grady'ego. Jechała najwolniej, jak tylko mogła, nie zatrzymując się. Za domem stała krzywa szopa, za nią znajdował się mały, ocieniony staw, a dalej — sam las.

Była już znowu w mieście i jechała Main Street, gdy zobaczyła Todda Prescottta wychodzącego z drogerii. Miał na sobie dzinsy i czerwoną kurtkę, i, jak zawsze, nawet po dwóch miesiącach odwyku, był mocno opalony, a w blond włosach miał jaśniejsze pasemka. Należał do tych przystojnych mężczyzn, których chłopięcy wygląd staje się z wiekiem jeszcze bardziej widoczny i jednocześnie żałosny. Kiedy go mijają, wbiła wzrok przed siebie.

— Zmarnowałam pół życia dla tego śmiecia — wyszeptała, by przypomnieć o tym samej sobie. Dopiero przy rogu odważyła się zerknąć w lusterko. Ciagle jeszcze trzymał uniesioną rękę, machając nią, starając się zwrócić jej uwagę. Pewnie chciał, by go podwiozła. Słyszała, że pracował u ojca w magazynie mebli. Zaschło jej w gardle. Bolało ją w dole brzucha. Dawna tęsknota skupiła się w tym obcym miejscu jej istoty,

podbitym terytorium, nadal bardziej należącym do niego niż do niej samej.

Dwa lata od niej starszy, był zepsuty, leniwy, zawsze w kłopotach i został jej pierwszym prawdziwym chłopakiem. I ciągle ją potem zdradzał. Wiecznie się kłócili, zrywali, godzili. Zaszła z nim w ciążę, kiedy miała szesnaście lat. Jego zamożna rodzina posiadała firmę Eleganckie Meble Prescottów przez wszystkie dziewięćdziesiąt siedem lat jej statecznego istnienia, a Todd był ich jedynym dzieckiem. Pan Prescott dostarczył pieniądze na zabieg, ponieważ ona nie odważyła się powiedzieć swojej ciotce i wujkowi. Tego ranka, gdy była umówiona na zabieg, Todd się nie pojawił. Kiedy Fiona zadzwoniła, pani Prescott powiedziała, że jest chory i nie może podejść do telefonu. Elizabeth i George zawieźli ją do kliniki w Bostonie i zostali, aż zabieg się skończył. A następnego dnia ona i Todd znów byli razem...

Fiona minęła swoją ulicę. Była dziesiąta i czuła się zmęczona, lecz bała się wracać do domu, do tego ciasnego mieszkania i panującego w nim bałaganu. Pomyślała, że mogłaby zadzwonić do George'a Grimshawa. A właściwie po co dzwonić? Była tylko o przecznicę od niego. Skręciła w Elm Street i przejechała obok jego domku, z ulgą widząc, że nie pali się u niego światło. Skręciła w lewo w Mapie Avenue i zatrzymała się przed wielkim, starym domostwem, które Terry i Tim kupili zeszłej zimy. Nie widziała Terry od czasu przyjęcia. Wsiadła z samochodu i spojrzała na tyły domu. W kuchni paliło się światło. Terry stała przy zlewie.

Ruszyła szybko ścieżką i zastukała lekko w boczne drzwi, by nie obudzić małych synków Terry. Popatrzyła w górę na ciemne okna. Jeżeli naprawdę miała szczęście, Tim też spał. Skuliła się, gdy pies zaczął szczekać.

— Fiona! — zawołała Terry, otwierając drzwi. Obok niej stał collie. — W porządku u ciebie? Wszystko w porządku? — wyszeptwała, wyglądając na ulicę.

— Taa, myślisz, że ktoś mnie śledzi? — Roześmiała się i weszła do środka.

— No nie wiem! Nie odzywałeś się, a teraz zjawiasz się tak nagle! — odparła Terry.

— Przejeżdżałam obok i zobaczyłam u ciebie światło, więc pomyślałam, że wstąpię i się przywitam...

Dopiero gdy siedziały przy kuchennym stole, zorientowała się, że Terry ma na sobie szlafrok i kapcie. Pies merdał ogonem. Wyciągnęła rękę, żeby go poklepać.

— On chce tańczyć — odezwała się Terry.

— Przykro mi, Goldie. — Roześmiała się. — Mogę zostać tylko na minutę — powiedziała i poczuła się trochę dotknięta, gdy Terry się nie sprzeciwiła.

Terry miała sińce pod oczami i opuchniętą twarz. I już było widać, że jest w ciąży. Na czarnych włosach miała pasemka białej farby.

— Kuchnia wygląda świetnie — oznajmiła Fiona, spoglądając na nowe, dębowe szafki i żółte ściany. — Tylko tu pomalowaliście?

— Taa, tego lata. Ale przecież widziałas już! Tego wieczora, kiedy była impreza — dodała Terry, wypowiadając te słowa niemal tak, jakby to było pytanie.

— Gdzie Tim? — Fiona zerknęła w stronę nieoświetlonego salonu.

— W łóżku... — Terry dodała, że spędził noc wylewając nowy sufit w małym pokoju.

Mały pokój. Na górze śpią chłopcy, a Tim leży w łóżku, czekając na żonę. Terry i Tim pobrali się tuż po skończeniu liceum. Przez kilka lat, nim pojawiły się dzieci, obydwójce pracowali. Terry jako sekretarka, a Tim — jako malarz. Przez tych dziesięć lat odkładali każdy grosz i teraz mieli dom, dzieci, a Tim prowadził sklep ze sprzętem wideo w centrum handlowym. A czym ona mogła się pochwalić po tych dziesięciu latach?

Terry przyglądała jej się.

— Chcesz się już położyć. Może spotkałybyśmy się któregoś wieczora w przyszłym tygodniu? — Zaczęła się zbierać.

— Poczekaj! Nie idź. Zostań jeszcze chwilkę, proszę — wyszeptała Terry, kładąc rękę na ramieniu Fiony. — Moje życie jest takie nudne. Nie mogę tego znieść! Opowiedz mi, co robiłaś. Proszę! Potrzebuję czegoś ekscytującego, o czym mogłabym myśleć.

— W porządku, ale nie wolno ci się śmiać — odparła Fiona.

— Nie będę! Obiecuję! Opowiedz mi! No, opowiedz! — Terry ścisnęła ją za ramię.

— Jestem studentką, wierz mi lub nie! — oświadczyła, uśmiechając się szeroko. — Chodzę na historię Ameryki w College'u Miejskim i uwielbiam to. To tylko trzy zaliczenia, ale jeżeli będzie mi dobrze szło, zapiszę się jeszcze na dwa przedmioty w następnym semestrze. A potem jeszcze myślałam...

— Ty mów lepiej, Fiona! Chodzisz z kimś, prawda?

Odpowiedziała, że nie, lecz Terry nalegała. — Ależ tak. Spotykasz się z kimś. Wiem, że tak. Spotykasz się, prawda?

— Dlaczego ciągle to powtarzasz?

— Bo cię znam — odparła Terry z wymuszoną wesołością w głosie. — I zawsze umiem poznać, kiedy kłamiesz. No, powiedz mi. Nikomu nie powtórzę. Obiecuję. Absolutnie nikomu. Wiesz, że możesz mi zaufać.

Z wyrazu jej twarzy mogła odczytać, że Terry już wie. George musiał wpaść na Tima i powiedzieć mu o nich.

— To tylko jedna randka. Nic wielkiego — odparła, a Terry otworzyła szeroko oczy.

— Dokąd poszliście? — spytała zaraz, obserwując ją uważnie.

— Do Orchard House.

— Naprawdę? Kiedy? Którego wieczora? — dopytywała się Terry z otwartymi ustami, z ręką przy piersi.

— W zeszłym tygodniu. Właściwie to w wieczór po waszym przyjęciu. W sobotę. George chciał potem iść do kina, ale zrobiło się późno, więc wstąpiliśmy do Pacer's.

— George? Co za George? — drażyła Terry, potrząsając głową.

— George Grimshaw. A myślałaś, że o kim mówię?

— Nie wiem. Nie wiedziałam. — Terry wyglądała na zmieszaną. — George Grimshaw! Boże, co wy robiliście? Gadaliście przez cały wieczór o Elizabeth?

Obydwie podniosły wzrok. Dziecko zapłakało. Terry wyjaśniła, że Frankie wylądował w łóżku z gorączką.

— I nie pójdziesz na górę? — odezwała się Fiona.

— Nie, nic mu nie jest. — Terry zasłuchiwała się na chwilę. — Chyba już zasypia.

Płacz ucichł, lecz Fiona wstała. Ruszając w kierunku drzwi, powiedziała, że naprawdę musi już iść.

— Zaczekaj, Fiono! Słyszałaś o dziecku Brada i Krissy, nie?

— Taa, dowiedziałam się tego wieczora, kiedy była impreza. Dziecko urodziło się poprzedniego dnia, pamiętasz?

— To znaczy o jego serduszkach — sprostowała Terry. — Jest jakiś problem z zastawką. Biedactwo jest w Szpitalu Dziecięcym.

Odparła, że nic o tym nie słyszała.

— Brad i Krissy prawie tam zamieszkali... — Jak wyjaśniła Terry, była możliwość operacji, lecz dziecko musiało najpierw nabrać sił. — To widok, który łamie serce. takie maleństwo przyłączone tymi wszystkimi przewodami do tyłu maszyn i monitorów. Brad znosi to gorzej niż Krissy. Ona powiedziała Timowi, że naprawdę się o niego martwi.

Fionie zrobiło się niedobrze.

Na pograżonych w mroku schodach coś skrzypnęło i do kuchni wszedł Tim, mrużąc oczy i niosąc Frankiego. Mały, jasnowłosy chłopczyk ssał kciuk. Jego pulchne policzki były błyszczące i czerwone.

— Nie słyszałaś go? — odezwał się Tim, przekazując chłopca matce.
— Płakał bez przerwy przez ostatnie dziesięć minut.

— Myślałam, że przestał — odparła Terry, przytulając policzek do czoła synka. — Mały, słodziutki Frankie nie czuje się dobrze, tak? — zawiodziła mu do ucha.

— Jest rozpalony — powiedział Tim, kompletnie nie zwracając uwagi na Fionę.

— Zajmę się nim. — Terry już kołysała kwilące dziecko na swoim biodrze. — Ty wracaj do łóżka. — Próbowała podać chłopcu filiżankę wody, lecz odepchnął ją.

— W głowie mi się nie mieści, że pozwoliłaś, żeby tak się rozpłakał — ciągnął swoje Tim.

— Już ci powiedziałam: myślałam, że przestał. — Terry patrzyła na niego, zwilżając ścierkę do naczyń pod kranem i przykładając ją do skroni i czoła Frankiego.

— Ale nie przestał — odparł Tim przez zaciśnięte zęby.

— To moja wina. Przepraszam. Nie wiedziałam, że już tak późno — odezwała się w końcu Fiona.

On otworzył tylko lodówkę i wyjął kartonik z mlekiem.

— Tim! — karcąco rzuciła Terry, kiedy wziął szklankę ze zmywarki.
— Tim! — powtórzyła, lecz nadal ignorował Fionę.

— No dobra. Znikam. Wpadłam, bo widzę światło i myślę sobie, że może jest tu jakieś przyjęcie — mówiła Fiona, otwierając drzwi.

Odrzucił się dopiero wtedy. I wypił powoli mleko, oczyma pełnymi nienawiści obserwując, jak wychodzi.

— Jak mogłeś to zrobić? — usłyszała głos Terry, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi.

— To było łatwe. Naprawdę łatwe — odparł Tim.

— Być może, ale ona jest moją przyjaciółką i...

— Ma popieprzone we łbie i za każdym razem, kiedy pojawia się w pobliżu, tobie też coś się pieprzy!

— Nie znasz jej. Ona jest dobra.

— Spójrz prawdzie w oczy, to zwykła pinda, Terry!

Fiona na palcach zeszała po schodkach i wsiadła do samochodu. Kuliła się, przekręcając kluczyk w stacyjce. Czuła się jeszcze bardziej obnażona i byle jaka, gdy zaryczał silnik jej starego samochodu. Prowadząc, pa-

trzyła przez zmrużone oczy. Nie chciała widzieć nikogo ani niczego znajomego, ani pojazdu, ani domu, ani znaku drogowego.

Przez następny tydzień wstawiała codziennie o piątej i przebiegała trzy mile przed pójściem do pracy. Wypakowała wszystkie pudła w mieszkaniu, wysprzątała trzy małe pokoiki i powiesiła zastony w łazience. Po wieczornym wykładach w poniedziałek została na dodatkowych zajęciach przed testem i nawet jednego wieczora w bibliotece pomagała w nauce Kendrze i Ann. Jadła tylko ryby, warzywa, ziarna i owoce. Ślubując, że kofeina i alkohol już nigdy nie przejdą jej przez usta, wypijała osiem szklanek wody dziennie. I widać było jej przemianę. Chester powiedział, że cokolwiek będzie robić, da sobie radę. Maxine obdarzyła ją najwyższym komplementem, mówiąc, że wygląda jak modelka.

Kilka wieczorów później, zamiast przejechać na wprost przez skrzyżowanie, skręciła niespodziewanie w Elm Street. W domu George'a paliło się światło. Zanim mogła zmienić zdanie, popędziła na frontową werandę i nacisnęła dzwonek.

— Za późno na dotrzymanie towarzystwa? — spytała, gdy otworzył drzwi.

— Och, nie, oglądałem tylko mecz. Wchodź! Tak się cieszę, że jesteś. — Uśmiechnął się szeroko. Miał na sobie piżamę i szlafrok. Włosy miał wilgotne i wyglądał na świeżo ogolonego.

— Zostanę tylko kilka minut — zaznaczyła. — Muszę bardzo wcześnie wstać i wiem, że ty też.

— W porządku. Najwyżej będziemy obydwójce rano trochę zmęczeni. — Wziął pilota i wyłączył telewizor. — Chodź, siadaj. — Wskazał na jeden koniec kanapy. — Właściwie to akurat o tobie myślałem. — Przesiadł na drugim końcu. — A potem dzwoni dzwonek i zjawiasz się ty.

Powiedziała, że wracała z zajęć, gdy nagle jej samochód skręcił gwałtownie, a potem zatrzymał się na amen przed jego domem.

— Jak myślisz, co się stało? — spytał, uśmiechając się.

— Myślę, że byłam ostatnio tak cholernie zdyscyplinowana, że mój stary, bajerancki samochód nie mógł mnie już znieść.

— To świetnie. Szczególnie, jeśli dzięki temu znalazłaś się tutaj — odparł ze śmiechem.

— Taa, oprócz tego, że nie wiem, jak długo mogę sama siebie znieść. — Zaczęła mu opowiadać o ciągłej wewnętrznej walce, którą toczyła, między myśleniem, że jest najmądrzejszą osobą w grupie i pojawiającym się nagle zwątpieniem, że może sprawy nie są tak proste, jak się zdają, że

może złożoności amerykańskiej historii były oczywiste dla wszystkich prócz niej.

— Tak jak dzisiaj na przykład. Byłam w połowie odpowiedzi i w sali zrobiło się zupełnie cicho. Nauczycielka patrzyła na mnie i nagle pomyślałam, że nie wiedzą, o czym, u diabła, mówię! Więc może popadłam w jakąś manię wyższości, a nikt nie chce mi o tym powiedzieć.

Zachichotał.

— Nie doceniasz samej siebie — odparł, obracając się bliżej w jej stronę i kładąc rękę na oparciu kanapy.

Roześmiała się.

— Wygląda na to, że jest odwrotnie. Ludzie zawsze mnie nie doceniali, więc żeby to wynagrodzić, mam skłonność do przeceniania własnych możliwości. — Znów się roześmiała. — I w końcu zostaje ta wielka przepaść, jakaś niesamowita pustka, w której się miotam.

— Nigdy nie wydawało mi się, żebyś, miotając się, zbliżała się do mnie. — Dotknął palcami końców jej włosów.

— Cóż, nie chodzisz ze mną na zajęcia z historii — odparła, omiatając włosami kark.

— Nie, ale znam cię od dawna.

— Wystarczająco długo, żeby lepiej mnie znać — powiedziała, czując, jak drzenie przenika jej ciało.

— Jak to: żeby znać cię lepiej?

— Żeby znać mnie na tyle, by nie bawić się tak moimi włosami.

— Przepraszam! — Czerwony na twarzy, odsunął się szybko i usiadł bez ruchu z założonymi na piersi rękoma.

— Żartowałam, George. Tylko żartowałam. — Jęknęła i podniosła rękę. — Zobacz! Popatrz na mnie! Miotam się teraz, na twoich oczach. George... — namawiała, przysuwając się bliżej. Położyła jego dłoń z powrotem na swoich włosach. — Podobają mi się to. To przyjemne.

— Jesteś pewna? — odezwał się z takim zmieszaniem, że pochyliła się bliżej i połączył ich pocałunek lekki jak oddech.

Westchnął, a ona całowała go znowu, delikatnie, długo. Kiedy chciała przestać, przyciągnął ją do siebie. Wsunął ręce pod jej sweter. Zadrzała, kiedy głaskał swoimi szorstkimi palcami jej plecy. Pachniał mydłem i płynem po goleniu. Czuła na jego języku smak mięty. Położyła rękę na jego twardym, płaskim brzuchu i usłyszała głęboki jęk.

— Powinam już iść — powiedziała w jego otwarte usta.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Myślę, że powinnam się pouczyć. — Nawet powieki ją bolały.

— Ale ty już to wszystko wiesz — odparł ochryplym szeptem.

— Taa, zgadza się. — Przygryzła jego dolną wargę.

Zadzwoił telefon. Tak szybko sięgnęła za nią do słuchawki, że z cichym śmiechem upadła na podłokietnik sofy.

— Halo? — Zaczerwienił się na twarzy, kiedy odwrócił się, słuchając. — Nic, tylko... Och!... Cóż... Cóż, to dobrze... Ale po co zaraz dzwonić. Ja bym... Nie, ja wiem... Wiem.

Z wyrazu jego twarzy odczytała, że głos po drugiej stronie linii należał do kobiety.

— Pewnie... Wiesz, że tak... Cóż, w każdym razie, lepiej ja przyjdę. Ja... Nie! Nie, nic. Kiedy? — Na jego twarzy odmalowało się przygnębienie, gdy słuchał, kiwając głową. — O Boże. To okropne. To po prostu okropne... Wiem... Szczególnie, jeśli czekało się tak długo... No, wobec tego rozumiem, mów... To może zobaczymy się tam wtedy... Może... Nie wiem... Nie, nic! — Ściszył głos. — Nie, tylko ja... Naprawdę? Nie wiem, po prostu jestem zmęczony, może dlatego...

— Może powiesz mi, kto to był? — droczyła się, gdy odłożył słuchawkę. Zarzuciła mu ręce na szyję. Podobał się jej dotyk na policzku jego szczeciniastych, krótko przyciętych włosów.

— Elizabeth — odparł, ciężko przełykając.

— Elizabeth? — Usiadła wygodnie. — Czego chciała?

— Opowiadała mi o narzeczonym. — Popatrzyła na nią. — Nie sądzi, żeby mu się tu podobało.

— Że jak? — Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. — A co ty miałabyś na to poradzić?

— Chciała tylko porozmawiać. Myślę, że to wszystko — odparł z takim żalem, że aż podskoczyła.

— Więc zadzwoń do niej, George. Na Boga, nie powinnam chyba wam przeszkadzać.

— Ale ja nic takiego nie miałem na myśli. Proszę, Fiono, chodź tutaj. — Wziął ją w ramiona. — Jesteśmy tylko przyjaciółmi, to wszystko. Tylko przyjaciółmi.

— Kogo masz na myśli, mnie czy Elizabeth? — odparła, sztywniejąc. Chciała stąd wyjść.

— Nie miałem na myśli ciebie — oświadczył ze smutkiem.

Odsunęła się, nim zdążył ją pocałować.

— Spytała, czy ktoś tu jest, prawda?

Skinał głową.

— Więc dlaczego jej nie powiedziałeś?

— Nie sądziłem, że chciałabyś, żebym to zrobił.

Popatrzyli na siebie.

— George! Powinieneś zobaczyć swój wyraz twarzy. Spustoszenie! Całkowite spustoszenie. Tak właśnie wyglądasz. I w porządku. Potrafię to zrozumieć. — Założyła kurtkę. — Więc nie komplikujmy sprawy jeszcze bardziej.

Pokręcił głową.

— Nie! Nie, ona opowiedziała mi właśnie o dziecku Brada i Krissy Gliddenów.

— Co ci powiedziała?

— Chłopczyk umarł. Przed chwilą.

Z trudem złapała powietrze i ukryła twarz w dłoniach.

— Przepraszam, Fiono. Zapomniałem. Ty i Krissy jesteście przyjaciółkami — odezwał się, próbując znów objąć ją ramieniem, lecz się cofnęła.

— Będzie lepiej, jeżeli już pójdę. Jestem zmęczona. Naprawdę zmęczona...

Kiedy szła potem ścieżką, każdy jej krok zdawał się ciężki jak z ołowiu i niezdamy. Nie pamiętała, jak dojechała do domu, ale teraz stała w przedsionku, wlepiając wzrok w kopertę przyklejoną taśmą do jej skrzynki pocztowej.

Jej imię wypisane było starannym pismem ciotki Arlene, małymi, kreślonymi z precyzją literkami, bez zawijasów, śmiałych pociągnięć czy niebezpiecznego pochylenia, które powiedziałyby o piszącej coś ponad to, jak rozsądną jest kobietą.

Moja droga Fiono!

Piszę ten list, ponieważ próbowałam wiele razy dodzwonić się do ciebie. Najwidoczniej masz odcięty telefon i ciągle jeszcze nie kazałaś go podłączyć.

— Co oczywiście oznacza, że znowu nawaliłaś — wymamrotała Fiona, czytając dalej.

Jestem pewna, że wiesz już, że Elizabeth zaręczyła się z Rudym Larkinem, cudownym młodym człowiekiem z Nowego Jorku. Spotykamy się wszyscy na kolacji w poniedziałek wieczorem, żeby mógł poznać wszystkich, i chcielibyśmy, abyś ty też z nami była.

Wiem, że ostatnio przeżywaliśmy trudne chwile, ale jesteśmy rodziną i w końcu ta więź musi być najważniejsza. Proszę, naprawdę postaraj się przyjść. To będzie wiele znaczyć dla Elizabeth. Wszyscy cieszymy się na spotkanie z tobą. Bardzo za tobą tęsknię.

*Całuję cię,
ciocia Arlene i wujek Charles*

Wrzuciła zgniecioną kartkę do śmieci. Do diabła z nimi. Naprawdę wcale nie chcieli, żeby przyszła. Widocznie Elizabeth nalegała. Wujek Charles odmówił podpisania się pod listem, więc zrobiła to za niego ciocia Arlene... No cóż, Rudy, ty świetny młody człowieku, nie ma tu dzisiaj kogoś, naszej kochanej, pokręconej dziewczyny, naszej Fiony. Każda rodzina ma jedną taką, a u nas to właśnie Fiona.

Przez całą noc śniła o ciele Brada Gliddena na niej, w tym pokoju, w tym łóżku. Choć nie wiem, jak się stara, nie może go zepchnąć. Nie może mówić ani oddychać, ale okno jest otwarte i gdzieś w oddali płacze dziecko w nieustający rytm głosu wujka Charlesa, wznoszący się i opadający przez lata i wśród tej długiej, bezksiężycowej nocy: wujek Charles mawiał, wujek Charles zawsze mówił, wujek Charles powiedział, wujek Charles mówi, kłopot z tobą, Fiono, polega na tym, że mówisz, zanim pomyślisz. Kłopot z tobą, Fiono, jest taki, że działasz, zanim pomyślisz. Kłopot z tobą, Fiono, jest taki, że nie myślisz. Kłopot z tobą, Fiono, polega na tym, że jesteś. Kłopot z Fioną polega na tym, że Fiona jest. Kłopot. Fiona to kłopot.

Rozdział 3

Właśnie zamknęli kawiarnię. Na popołudnie przewidywano deszcz i niebo widziane przez tafłę szkła w oknie było ciężkie i szare. Wraz z zapadającym zmrokiem wzrastał się strach.

— Sandy to dokończy — krzyknęła Maxine od kasy.

— Pewnie. Na co czekasz? — Wyglądało na to, że Sandy nie może doczekać się jej wyjścia, tak i jak Maxine.

— Prawie już skończyłam — odparła Fiona. Rozerwała następną paczkę papierowych serwetek.

— Twoja ciocia i wujek pomyślą, że ja cię zatrzymałam. Więc idź, po prostu znikaj! — krzyknęła Maxine. Jej uróżowane policzki płonęły z podniecenia.

Fiona zabrała do pracy ubranie na zmianę, by przebrać się na wydaną dziś wieczorem kolację na cześć Elizabeth, lecz teraz nie była pewna, czy powinna pójść. Nie była jeszcze gotowa, by z nimi przebywać. Potrafiła myśleć tylko o śmierci dziecka. Wiedziała, że nie może zmienić tego, co się stało. A nawet gdyby mogła, gdyby mogła cofnąć się w czasie do tamtej nocy i nie przespałaby się z Bradem Gliddenem, czy serce jego dziecka nie byłoby chore? Czy chłopczyk żyłby teraz? Nie, nie, oczywiście, że nie. Było tak przez cały dzień, każdy przypływ rozsądku wciągał ją coraz bardziej do wewnątrz, aż w końcu poczuła się nie tylko oddalona, lecz jakby wyrzucona na mieliznę. Nawet nie podniosła wzroku, gdy Sandy opróżniała koszyki ze sztućcami. Ten zazwyczaj pobudzający dźwięk noży, widelcy i łyżek uderzających o metalową tacę, zdawał się teraz tak daleki i nieważny jak odległa burza.

Po raz pierwszy w życiu czuła się tak przestraszona i niepewna. Jej zuchwała pewność siebie, wraz z wszystkimi starymi środkami obrony i wymówkami, została podkopywana tak, jak głęboki strumień podmywa swój brzeg. Przy tak nierozpoznawalnym osłabieniu każdy krok, każde

zachwianie równowagi mogło okazać się zdradzieckie. Nie była winna śmierci tego dziecka. Wiedziała, że to niejej wina. Oczywiście, że nie. Żałosne usprawiedliwienia przemykały wśród jej myśli jak nierealne obrazy widziane przez okno pędzącego pociągu: słabe serce dziecka, jego słaby i głupi ojciec, podtrzymująca ją, gdy potykała się na schodach na górę, bo była pijana i słaba, i głupia, i ponieważ, ponieważ, ponieważ była lekko-myślna, i ponieważ za jej grzech zażądano zapłaty, wyegzekwowano straszliwą karę, a teraz już wszystko mogło się zdarzyć, cokolwiek, a ona musiała coś zrobić — coś, co by to wszystko odmieniło, cofnęło i wszystko wróciłoby na swoje miejsce. Ale co? Rozejrzała się po opustoszałej kawiarni. Potrzebowała rodziny. Potrzebowała domu. Tam byłaby bezpieczna... Zostało jeszcze kilka zasobników do wypełnienia serwetkami, a potem będzie musiała już iść.

— Ciekawe, czy poda swoje roladki serowe. Wydrukowali jej przepis w gazecie. Zdaje się, że na Boże Narodzenie w zeszłym roku, wiesz, w tym świątecznym dodatku o jedzeniu. Na stronie towarzyskiej — mówiła Maxine do Sandy, której tępe spojrzenie zdawało się jeszcze bardziej zachęcać ją do dalszych wywodów. — Cóż, w każdym razie, kiedy zobaczyłam, że to przepis Arlene Hollis, po prostu musiałam je zrobić. Nawet nie urządzałam przyjęcia, ale były tak dobre, że wszystkie sama zjadłam. Fiona, nie zapomnij powiedzieć twojej cioci, jak strasznie uwielbiam jej roladki serowe. Były takie smakowite! I założę się, że dzisiejsza kolacja też taka będzie — obłędnie smakowita! Właściwie już to wiem! Widziałam twoją ciocię Arlene któregoś dnia w supermarkecie! Cóż, ona mnie nie zna, więc oczywiście nie odezwałam się, ale w każdym razie było to przy stoisku z drobiem i ona stała blisko tych malutkich, jak one się nazywają, wiecie, leśnych kurek. Korn... Korn coś tam...

— Korniszonki! — wykrzyknęła Sandy.

— Tak, te leśne kurki korniszonki, i założę się, że poda je dzisiaj na kolacji zaręczynowej.

— Masz na myśli kornwalijskie dzikie kurki — sprostowała Fiona, dodając, że na wielkie rodzinne kolacje podawano zwykle indyka.

— Indyka — powtórzyła Maxine z pytającym spojrzeniem. — Cóż, jeżeli to nie udowadnia tylko, jak mocno stąpającymi po ziemi, prawdziwymi ludźmi są Hollisowie — ciągnęła. Przez tę jej władczą paplaninę o rodzinie Fiona czuła się jeszcze bardziej obnażona i podatna na zranienie. Hollisowie byli takimi cudownymi ludźmi, uczciwymi i tak szczodrymi, zawsze, kiedy potrzebna była ich pomoc. Dlatego na przykład na Boże Narodzenie w zeszłym roku, kiedy spalił się dom Dodsonów, sędzia

Hollis zapewnił całej rodzinie dach nad głową za darmo, w jednym z należącego do siebie budynków, do czasu aż Dodsonowie odbudowali dom? Maxine wiedziała z własnego doświadczenia, jak dobrym, prawym człowiekiem był sędzia Hollis, co ogłosiła z gwałtownym skinieniem głowy, jakby oczekiwała, że Fiona zaprotestuje. — I uwierz mi, że jeszcze wiele mogłabym opowiedzieć. Ale ten człowiek taki po prostu jest. Wszystko, czego pragnie sędzia Hollis, to pomagać ludziom, i nie potrzebuje, żeby cały świat o tym wiedział.

Fiona słyszała już to zagadkowe stwierdzenie z ust Maxine, lecz i teraz nie złapała przynęty. Była przyzwyczajona do tego, że ludzie czuli się w obowiązku wykazywać jej niewdzięczność wobec Hollisów.

A Maxine opowiadała właśnie Sandy, jak miłą osobą jest żona sędziego, Arlene.

— Zawsze taka była. Nigdy byś nie pomyślała, że Range'owie mają pieniądze. Były po prostu najśłodszyimi dziewczynkami, Arlene i Natalie.

Fiona podniosła z zaskoczeniem wzrok. Natalie. Natalie. Tak. Natalie. Uśmiechnęła się i, nie wiedząc czemu, odczuła, że coś nabiera kształtu w nieznanym dźwięku i intonacji wypowiedzianego przez kogoś imienia jej matki.

— A jak tam twój kuzyn Jack? — zawołała Maxine ze swojego chwiejącego się stołka przy kasie. Chwyciła się brzegu kontuaru, by utrzymać w równowadze swą chybotliwą grzędę. — Pracuje w komputerach, prawda?

— Nie, jest woźnym w sądzie — odparła Fiona. Po zwolnieniu z pracy Jack był bezrobotny przez prawie rok, zanim ojciec znalazł dla niego pracę w jednym z sądów rejonowych w Bostonie.

— Och, więc poszedł w ślady ojca — rzekła Maxine z uśmiechem aprobaty.

— On nie jest prawnikiem — powiedziała. I nigdy nie chciał nim być, chociaż wujek Charles namawiał go do tego. Jack chciał wyrobić sobie nazwisko we własnej dziedzinie, lecz był zmuszony szybko z tego zrezygnować.

— Ożenił się z Susan Daley, prawda? Jest taka śliczna! — krzyknęła Maxine do Sandy. — Mają dzieci?

— Nie, Susan pracuje dla ZyCo — odparła Fiona.

— No tak. Ma naprawdę poważną pracę. Podróżuje po całym kraju, prawda? I ma takie niesamowite jasne włosy. Takie jasne, że wyglądają jak ze srebra — mówiła Maxine do Sandy.

Lodowa Księżniczka — pomyślała Fiona z ukłuciem dawnej zazdrości. Ochocze przyjęcie znakomitej Susan pogłębiło wyobcowanie Fiony. Tak samo było z przystojnym mężem Ginny, Bobem Fayem, a teraz została odepchnięta jeszcze dalej przez narzeczonego Elizabeth. A jednak, gdy pomyślała o nich wszystkich, poczuła się spokojniejsza, bardziej skoncentrowana.

— A Ginny, czy ona w dalszym ciągu pracuje w przedszkolu, w tym dużym, przy South Main Street? — spytała Maxine.

— Właściwie to je prowadzi. — Spodziewała się, że teraz padnie pytanie o separację Ginny i Boba Faya, do której doszło w czerwcu. Ginny odkryła, że Bob ma romans. Jak na kogoś, kto tak bardzo szczyił się swoją umiejętnością odróżniania prawdy od pozorów, Ginny musiała mieć najwidoczniej na oczach końskie okulary, gdy poznała Boba Faya. Czuła się zdruzgotana zdradą męża z jego śliczną, młodą sekretarką. To osobowość Ginny była jej najbardziej atrakcyjną cechą. Przewidywania, że rosla Ginny o silnej szczęce odnajdzie własne piękno, jak jej matka, gdy czas złagodzi jej niezgrabną kanciastość, zmieniając ją w wyjątkowe, niemal męskie piękno, potrzebowały jeszcze czasu, by się spełnić.

— Skąd pochodzi naręczony twojej kuzynki? — zawołała Sandy zza kontuaru, gdzie przykucnęła, szorując pojemniki z nierdzewnej stali.

— Z Nowego Jorku — odpowiedziała Fiona. Logiczne przypuszczenie.

— Powiedz jeszcze raz, jak on się nazywa — spytała Maxine.

Zastanowiła się przez chwilę, przypominając sobie, co było napisaw liście. — Hm, Rudy Larkin.

— A czym się zajmuje? — pytała Maxine.

— Jest nauczycielem. — Domysł.

— Och, więc pewnie będą mieszkać razem w Nowym Jorku - odrzekła Maxine.

— Niekoniecznie. To jest właśnie dobre w zawodzie nauczyciela, za wsze można znaleźć pracę, choćby nie wiem co. — Spojrzała na zegar, nagle ogarnięta strachem przed ich uprzejmą obserwacją, pełną zmęczenia cierpliwością, dezaprobatą, czyniącą zimnym każdy uścisk i okrzyk „Och, Fiono!”

— Siostra mojej koleżanki jest nauczycielką — krzyknęła Sandy. — Ale ona mówi, że teraz nie jest już tak jak dawniej. Mówi, że teraz masowo produkują tyłu nauczycieli, że rynek się zalał.

— Co ty, do cholery, pleciesz? — wypaliła Fiona. — Rynek się zalał? Sandy odchyliła się do tyłu na obcasach i zmarszczyła brew.

— No, słyszałaś przecież — rzekła niepewnie.

— Chodzi ci chyba o to, że rynek *jest zalany*? — spytała Fiona, równie zawstydzona własną jadowitością, co nią pobudzona. Poprawne wyrażanie się było charakterystyczną cechą Hollisów, którzy uważali za obowiązek wytykanie sobie nawzajem błędów gramatycznych. Lepszy przyjacielski przytyk, niż żądło krytyki obcych ludzi — jak zawsze miał wujek Charles.

— Wszystko jedno! — Sandy przewróciła oczami i zanurkowała za kontuarem.

— Przypuszczam, że to będzie wielkie wesele, takie, jakie miała starsza córka, Ginny — powiedziała Maxine rozmarzonym głosem.

— Jeszcze nie zdecydowali — odparła Fiona, przypominając sobie, jakie stresujące było dopracowane w szczegółach wesele Ginny. Elizabeth była pierwszą druhną starszej siostry. Lekarstwo, które musiała zażywać, by stłumić swoje ataki lęku, w dniu ceremonii zredukowało jej kuzynkę do nieprzytomnego widma, którego bezwładna ręka wciąż szukała dłoni Fiony. Miała nadzieję, że nie naciskali, by i Elizabeth miała takie huczne wesele.

Popędziła do łazienki i przebrała się w długą, żółtą spódnicę i luźny, biały sweter. Wolała krótkie spódniczki i seksowne góry, które podkreślały figurę, lecz wszystkie kobiety w rodzinie Hollisów nosiły proste, luźne ubrania. Pochylając się blisko do lustra, malowała rzęsy tuszem, aż stały się czarne i połyskliwe. Cofnęła się od lustra, zadowolona. Jej czarne oczy zdawały się jeszcze czarniejsze, skóra — bielsza, a czerwone usta — większe i pełniejsze. Zawsze czuła się wśród nich zbyt umalowana i wyzywająca. Wyszła z łazienki podekscytowana. Nagle jedyną ważną sprawą stało się to, by ich wszystkich znowu zobaczyć, szczególnie Elizabeth. Miała nadzieję, że ten Rudy był wystarczająco dobry dla jej słodkiej kuzynki, której najmiłą cechą było zwykle zapominanie o samej sobie: przedkładanie cudzego dobra nad własne.

— A co z tobą, Fiona? — zawołała wtedy Maxine. — Teraz twoja kolej. Ty i Elizabeth jesteście w tym samym wieku, prawda?

— Jest między nami różnica czterech miesięcy. — Jako małe dziewczynki uwielbiały udawać, że są bliźniaczkami, chociaż w ogóle nie były do siebie podobne. Fiona była ciemnowłosym, zmysłowym odbiciem swojej matki, a Elizabeth — blondynką o delikatnych, patrycjuszowskich rysach swego ojca.

— Więc pewnie ty następną wyjdiesz za mąż — powiedziała Maxine.

— Taa, szczególnie, że George Grimshaw nie może od ciebie odebrać oczu — zachichotała Sandy, a sztucze irytująco pobrzękiwały, gdy wrzucała je z powrotem do lśniących pojemników.

Gdzieś blisko zadudnił grzmot, a błyskawica przecięła ciężkie, szare od chmur niebo, kiedy Fiona biegła już do samochodu. Nie mogła się doczekać, by im powiedzieć, że chodzi na studia wieczorowe. Otwierała drzwi samochodu, kiedy biały saab kabriolet wjechał w alejkę.

— Cześć, piękna. Miałem nadzieję, że cię tu zobaczę — zawołał Todd, uśmiechając się szeroko.

— Taa, cóż, śpieszę się, Todd, więc zejdź mi z drogi, dobrze? — krzyknęła w odpowiedzi.

— Zejdę, ale najpierw muszę ci coś powiedzieć.

— Nie, nie musisz!

— Ale jest coś...

— Jezu, ty nie rozumiesz?!

— Chodź tutaj, wsiądź ze mną do samochodu, proszę. Tylko na chwilę. Obiecuję, że tyle mi to zabierze.

— Nie, muszę dokądś pojechać i nie chcę się spóźnić, więc może byłbyś łaskaw się ruszyć?

— Chcę ci tylko powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co stało się ostatnio...

— Ale, Todd, ja nie chcę tego słuchać — rzekła i wsiadła do samochodu. Przekreśliła kluczyk. Silnik jęknął słabo, zgasł i już nie zadziałał.

To skąd go ukradłeś? — odezwała się, przesuwając dłonią po gładkiej, czerwonej skórze pokrywającej tablicę rozdzielczą. Todd obiecał zawieźć ją prosto do domu i nigdzie indziej.

— Co rozumiesz przez „ukradł”? Jest mój! — odparł ze śmiechem.

— Zakładam więc, że twój ojciec uzyskał wycofanie zarzutów.

— Gliniarze byli tacy debilni, że nie było żadnych zarzutów — odparł z pogardliwym chichotem.

— Och, naprawdę? — Potrząsnęła głową. Jeszcze raz pan Prescott zdołał uratować Toddowi skórę. — Więc co to jest, nagroda? — Pewnie za to, że trzyma się od niej z daleka. Jego rodzina zawsze obwiniała beznadziejną Fionę o kłopoty ich syna. Pan Prescott powiedział raz Toddowi, że Fiona jest „tylko kulą u nogi, jak jej matka, Natalie, i jej ojciec, Patrick Grady.”

— To nie nagroda. Właściwie robię to, co zawsze mówiłaś, że powinienem. Urabiam sobie ręce po łokcie, ładując meble na ciężarówkę w magazynie. Ojciec mówi, że powinienem nauczyć się prowadzenia interesu tak jak on, od samego dołu.

— Cóż, to dobrze. Więc mam nadzieję, że ci się uda, Todd.

— Co mi się uda? — spytał, znów szczerząc do niej zęby.

— Zrobić coś ze swoim życiem. Już najwyższy czas, nie?

Roześmiał się i opuścił rękę z kierownicy na jej udo.

— Boże, tęskniłem za tobą, Fee. Nie masz pojęcia — powiedziała, a jej dotyk i chrapliwy głos obudziły Wjej ciele dawne drżenie.

Odepchnęła jego rękę. Miała czternaście lat, gdy pierwszy raz się kochali.

— Też za mną tęskniłaś, powiedz, widzę to.

— Och, naprawdę? — rzekła, z ulgą dostrzegając stary, farmerski dom z zabudowaniami.

— Nikt inny nie potrafi sprawić, żebym się tak czuł. I to na wiele sposobów — odparł, kładąc rękę z powrotem na jej nodze. — Na wszelkie możliwe sposoby.

— Toddie! — Poderwała się, gdy minął jasnoszary budynek z wielką, czerwoną stodołą na tyłach. Podjazd wypełniały samochody. Wszyscy tam byli.

— Pojedziemy do domku na plaży. Nikogo tam nie ma — oznajmił.

— Nie! Nie bądź śmieszny! Jezu, Todd! — krzyczała, kiedy skręcił z drogi na polanę. — Moja rodzina! Oni czekają! Muszę tam iść na kolację!

— Ja zabiorę cię na kolację! Dokąd chcesz pojechać? — odparł ze śmiechem, próbując ją do siebie przyciągnąć.

— Nie, przestań! — Walczyła z nim i odtrącała jego rękę. — Przestań! Do cholery, Todd, zostaw mnie w spokoju. Po prostu przestań! — Popchnęła go na drzwi. Zaczynało padać i obydwójce mokli.

Popatrzył na nią szklistymi oczyma. Brzegi powiek miał zaróżowione, a źrenice — rozszerzone. Był na haju, a ona nawet tego nie zauważyła.

— Słyszałem coś. Słyszałem coś zabawnego o tobie. — Z jego przebiegłego śmiechu poznała, że mówi o Bradzie Gliddenie.

— Proszę, Todd, zawieź mnie tylko z powrotem.

— Coś o tobie i George'u Grimshaw. Powiedz mi, że to nieprawda, kochanie. Powiedz mi, że nie jesteś aż tak zdesperowana.

- Todd, bardzo proszę, odwieź mnie do domu. Proszę. Błagam cię.

Podniósł głowę, jakby dopiero teraz zauważył, że pada.

— To prawda? — spytał, uruchamiając samochód. — Po prostu powiedz mi to. — Nacisnął guzik i dach rozłożył się nad nimi.

— Nie. Oczywiście, że to nieprawda — odparła, przypominając sobie jego potrzebę, zawsze kiedy ze sobą zrywali, by znać nie tylko imiona wszystkich, z którymi chodziła na randki, lecz także każdy drastyczny szczegół.

— Bo ty ciągle jesteś moją niegrzeczną dziewczynką, prawda, Fee-Fee? — Znów usiłował przyciągnąć ją do siebie.

Próbowała go odepchnąć, lecz wbił palce w jej ramiona. Podniósł wzrok, kiedy to przednie światła odbiły się od zamglonego wzniesienia przed nimi.

— Cholera! — zaklął, gdy wóz policyjny powoli przejechał obok nich. Jak tylko zniknął, Todd wyjechał na drogę. W chwilę później ten sam wóz pojawił się za nimi, z wyjąca syreną i błyskającym kogutem na dachu.

— Zjedź na bok! — wrzasnęła. Nawet nie przekroczył prędkości. Wóz potrzebował tylko miejsca, by przejechać. Todd zgarbił się nad gładką kierownicą, ściskając ją obiema dłońmi. Wąska droga przed nimi była jak kolejka górską pełna łuków i zakrętów. — Toddie! — ostrzegła, z ręką na drzwiach. — Jeżeli nie zjedziesz, wyskoczę. — Po ich prawej ciągnęło się pole, na które skręcił. Wóz policyjny zrobił to samo. Saab podskakiwał na wzniesieniach i koleinach. Wóz policyjny ciągnął za nimi. Kiedy samochód mknął, podskakując po polu, przekleństwa Todda zmieniły się w szloch. Błagała go, by się zatrzymał. To nie miało sensu, a teraz jeszcze pogarszała sprawę. Na brzegu pola raptownie szarpnął kierownicą, skręcając tak gwałtownie, że przednie koła zaryły się w rowie. Samochód zatrzymał się z szarpnięciem. Głowa Todda uderzyła o kierownicę, podczas gdy ona walnęła twarzą w deskę rozdzielczą. Jemu z boku twarzy sączyła się krew. Sama dotknęła pulsującej kości policzkowej, z ulgą stwierdzając, że skóra nie została rozcięta.

— W porządku, Prescott, wysiadaj z wozu — rozkazał oficer Jim Luty, a Fiona, podniósłszy głowę, ujrzała przed oczyma lufę rewolweru.

— Zabierz to ode mnie! — wrzasnęła, wciskając się w siedzenie.

— Jazda, Prescott, wysiadaj! — Luty otworzył drzwi od strony Todda i usiłował wyciągnąć go na zewnątrz, lecz Todd opadł bezwładnie na siedzenie, oszołomiony i jęczący, z twarzą w dłoniach.

— Zostaw go w spokoju, jest ranny! — powiedziała.

Luty pochylił się niżej. — Słyszysz mnie, Prescott?

— Dlaczego to robisz? — domagała się odpowiedzi od młodego policjanta, który uczył się z nimi w tej samej szkole o kilka klas niżej.

— Powinien się być zatrzymać! — odpowiedział głośno Luty. — Tylko tyle!

— Niczego złego nie robił. Nawet za szybko niejechał. Po prostu go nękałeś!

— Nękałem go! Jedzie kradzionym samochodem!

— Co? — Szamotała się w samochodzie, usiłując wysiąść. — Co znaczy kradzionym? — Dotykała swojego obolałego policzka.

Dopiero przed chwilą dostali zawiadomienie, jak wyjaśniał wysoki policjant o spadzistych ramionach, gdy lekki deszczyk pokrywał kropelkami połyskliwy daszek jego czapki. Saaba skradziono z podjazdu przed domem Dextera Careya. Słyszając nazwisko swojego mieszkającego o dom dalej sąsiada, Todd podniósł głowę ze słabym uśmiechem.

— Dość tego! — krzyknęła, z obrzydzeniem wyrzucając w górę rękę.

— Hej! Fiona! — krzyknął Luty, kiedy ruszyła przez wysoką, mokrą trawę. — Dokąd ty niby idziesz?

Zmierzała szybko w kierunku drogi.

— Do domu! — krzyknęła w odpowiedzi. Cała jej rodzina już tam była i byłaby przeklęta, gdyby pozwoliła takiemu śmieciowi jak Todd Prescott zepsuć również i to. — Dupek — wydyszała, maszerując przed siebie.

— Wracaj, Fiona! Wracaj tu natychmiast! — domagał się Luty.

— Cholerny śmieć — dyszała.

— Nigdzie nie pójdziesz! — Luty zacisnął już swoją wielką łapę na jej ramieniu.

— Pójdę! — Wyrwała mu się i popędziła przed siebie.

— Nie! — nalegał, podążając obok niej.

— Tak, pójdę!

— Nie! — Usłyszała twarde, zimne szcęknięcie, gdy metalowe kajdanki zatrzasnęły się najpierw na jednym, później na drugim jej nadgarstku.

— Ty sukinsynu! — wysyczała.

— Wybacz — powiedział, prowadząc ją z powrotem do saaba, w którym siedział Todd z głową opartą o siedzenie. — Ale nie możesz tak po prostu odejść w środku aresztowania.

— Nie możesz mnie aresztować! On tylko odwoził mnie do domu!

— Taa, kradzionym samochodem!

— Skąd miałam wiedzieć, że jest kradziony?

— Mogłaś spytać!

— Och, no jasne? Za każdym razem, jak ktoś mnie podwozi, powinienam poprosić go, żeby mi pokazał papiery wozu, co?

— Jeżeli to Prescott, to lepiej tak zrobić — odparł Luty, a Todd podniósł głowę na dźwięk swojego nazwiska. Rozejrzał się wokół.

— Niedoczekanie! — krzyknęła, ruszając na niego. Luty podążył o krok za nią. — Bo Todd Prescott jest popieprzony i ja nigdy więcej, póki żyję, nie odezwę się do tego dupka. Słyszysz mnie, Prescott, ty śmieciu, ty głupi, głupi dupku — mówiła, a on przyglądał jej się ze słabym uśmiechem.

Za nimi, na drodze, zatrzymało się szare volvo. Wyskoczył z niego wysoki, szczupły mężczyzna w żółtej koszuli i granatowym blezerze i, zostawiwszy otwarte drzwi, ruszył biegiem w ich kierunku.

Po chwili okazało się, że jest lekarzem. — Czy ktoś jest ranny? Ktoś potrzebuje pomocy? — Zerknął na Fionę, która stała przykuta do wozu policyjnego. — Nic pani nie jest?

— Nic. Nie widzi pan? — odparła, wywracając oczami.

— Gorzej z nim. — Luty wskazał gestem Todda.

Lekarz nachylił się do samochodu, by obejrzeć Todda. Zadał kilka pytań i pobiegł do swojego samochodu. Wrócił z czarną, skórzaną torbą, którą otworzył na bagażniku saaba. Starł krew z czoła Todda, otworzył opakowanie z bandażem i założył go na ranę. Nadjechał też następny wóz patrolowy. Fiona zjękiem odwróciła się i przymknęła oczy. Tego gliniarza również znała. Był to Gil Liota. Pochylił się nad Toddem, który robił teraz wrażenie czujnego i rozmownego. Jego spokojne odpowiedzi na pytania Lioty padały w mętnych, urwanych zdaniach, „...zepchnięty z drogi... okropne nieporozumienie...”

Ktoś dotknął jej ramienia.

— Jest pani pewna, że wszystko w porządku? — spytał lekarz, a ona zdołała tylko skinąć głową. Lekarz odjechał, a parę chwil później przybyli ojciec Todda i jego sąsiad, Dexter Carey, który usiłował nerwowo wytłumaczyć, że to wszystko to jakaś wielka pomyłka. Carey powiedział, że zupełnie zapomniał, że Todd miał przyjść tego ranka, by zabrać saaba.

— Taa, akurat — wymamrotała pod nosem.

Pan Prescott zerkał na policjantów, kiwając głową, jakby dla nadania ważności każdej kwestii pana Careya. Carey oświadczył, że zupełnie wyleciało mu to z głowy. Więc kiedy wyjrzał i zobaczył, że samochodu nie ma, jego pierwszą reakcją było zadzwonienie na policję i zgłoszenie kradzieży samochodu. Co było oczywiście okropnym nieporozumieniem.

Pan Prescott zapewnił ich, że była to pomyłka, która mogłaby przydarzyć się każdemu. Szczególnie w takich czasach.

— Dlaczego pan Prescott miał zabrać pana samochód? — spytał Luty.

— Nie, nie, nie pan Prescott, tylko Todd — odparł Carey, a pan Prescott uśmiechnął się wyrozumiale.

— Tak, właśnie jego miałem na myśli — powiedział Luty, a Carey i pan Prescott popatrzyli po sobie.

— No, żeby... — zaczął Carey.

— Żeby go odprowadzić... — odezwał się w tej samej chwili pan Prescott.

— Do myjni — wtrącił Todd, co obydwaj mężczyźni podchwycili. — Tak było, żeby zaprowadzić go do myjni. Do myjni, tak, właśnie, zgadza się.

Kilka minut później Dexter Carey odjechał w swoim zabłoconym saabie. Rura wydechowa dyndała ledwie kilka cali nad ziemią. Pan Prescott zapewnił posmutniałych policjantów, że nie będzie żadnej skargi, nikt nie zostanie obarczony winą za obrażenia Todda. Jeżeli o niego chodzi, było to nieporozumienie, wywołane najprawdopodobniej przez piętno dawnych niefortunnych wypadków. I obecność pewnych osób, jak mógł równie dobrze dodać ze swoim pełnym odrazy spojrzeniem, którym obrzucił Fionę. Powiedział, że lepiej będzie, jeśli się pośpieszy i zabierze syna do lekarza rodzinnego. Todd protestował, gdy odjeżdżali. Miał podobno zabrać Sandy. Obiecał, że podwiezie ją po pracy do domu.

Jim Luty kiwnął ręką, kiedy mijał Fionę. Wysadził ją na rogu, by nikt w domu nie zobaczył, jak wysiada z policyjnego wozu. Popędziła po tylnych schodkach i weszła do wielkiej, ciepłej kuchni. Wszyscy siedzieli już w jadalni. Brzękały widelce. Słyszała głęboki głos wujka Charlesa, opowiadającego domową historyjkę, na którą zaraz obydwie, Elizabeth i Ginny, głośno i radośnie zaprotestowały.

— Nie, tata ma rację. Ma rację. Pamiętam — upierał się Jack ponad zawodzeniem sióstr.

— Widzicie! Jack wie. Pamięta — rzekł wujek Charles i teraz kobiety przy stole zaczęły protestować, że Jack na pewno nie wie. Nie może wiedzieć. Nawet go tam nie było. Ale on zawsze to robi, skarżyła się Ginny. Zawsze brał stronę ojca przeciwko dziewczynkom.

— Dziewczynkom? — odparł wujek Charles. — Jeśli ja bym to powiedział, oskarżyłybyście mnie o Bóg wie jaki odrażający szowinizm.

Fiona uśmiechnęła się. Podzielona na części tusza indyka leżała na kontuarze. Na kuchence sos pieczeniowy gotował się na wolnym ogniu. Przykręciła gaz i włożyła kawałek ciemnego mięsa do ust. Na palcach ruszyła do małej łazienki pod tylnymi schodami. Chciała przynajmniej uczesać włosy.

— Fiono! — odezwała się z progu ciotka Arlene. — Wydawało mi się, że słyszę, że ktoś tu jest. — W połowie drogi przez kuchnię zatrzymała się, a jej szeroki, zębaty uśmiech zbladł. — Co, na Boga, stało się z twoją twarzą?

— Nie wiem. A co? — Wstrzymała oddech, gdy ciotka podeszła bliżej.

— Twój policzek — odparła ciotka Arlene, przyglądając się uważnie, gdy dotykała twarzy Fiony. — Taki czerwony. I twoje włosy. Spójrz tylko na swoje włosy! — Zerknęła w dół. — I na całej spódnicy masz rzepy!

— Miałam mały kłopot z samochodem — oświadczyła, krzywiąc się. — Dlatego tak późno przyjechałam. Przepraszam.

— Cóż, jesteś, w każdym razie — skwitowała ciotka, ściskając ją tak mocno, że Fiona przygryzła wargę i zamknęła oczy z niemal przyprawiającą o zawrót głowy ulgą. — A to teraz najważniejsze, prawda? — wyszeptała Fionie do ucha, a potem odsunęła się, by jeszcze raz na nią popatrzeć. — Tęskniłam za tobą, malutka — rzekła z drżącym uśmiechem, próbując przygłodzić potargane włosy Fiony. — Okropnie, okropnie za tobą tęskniłam!

— Ja też za tobą tęskniłam — powiedziała Fiona, z trudem przełykając ślinę.

— Arlene? — zawołał wujek Charles z jadalni.

— Już idziemy! — odpowiedziała po chwili ciotka Arlene. Jej pełen napięcia, podekscytowany głos wywołał powitalne piski w pograżonym w ciszy pokoju. Zaszurało odsuwane od stołu krzesło. Drzwi otworzyły się gwałtownie.

— Fiono! Och, taka jestem szczęśliwa, że przyszłaś! — wykrzyknęła Elizabeth, obejmując ją ramionami. Jej cienkie, jasne włosy musnęły twarz Fiony. Pachniała tak jak zawsze: jak delikatny, cytrynowy kwiat.

Za jej plecami, przez kołyszące się nadal drzwi, wszyscy patrzyli w stronę kuchni. Jedyne światło w długiej, wąskiej jadalni pochodziło ze świec palących się w ozdobnym żyrandolu z kryształu i srebra. Migoczący blask odbijał się w bladych, jedwabnych włóknach jasnofioletowej tapety. Ze szczytu stołu patrzył na nią mężczyzna o surowej, kościstej twarzy, której tak się bała, dorastając. Zwykła była zerkać znad książki czy od

telewizora, niespodziewanie, z niewyjaśnionego powodu czując ból i natężyła tylko wycelowane w nią spojrzenie jasnych, niebieskich oczu wujka.

— Okropnie wyglądam — protestowała, gdy Elizabeth prowadziła ją do jadalni, mówiąc, że jest jedyną osobą, której jeszcze nie poznał Rudy.

— Jest w łazience — poinformowała Ginny, wlepiając zaniepokojone spojrzenie w Fionę.

— Nie mów nic. Wyglądam okropnie — próbowała wyjaśnić, gdy Jack wstał i uściskał ją.

— Tylko trochę potargana — stwierdziła jego żona, wyciągając rękę, by poklepać ją po ramieniu. — To przez ten deszcz, tyle wilgoci w powietrzu.

— Tak się śpieszyłam. Uderzyłam się w głowę, gdy wysiadałam z samochodu. — Głos jej się załamał pod zręcznym cięciem ostrego jak promień lasera spojrzenia wujka: sędzia słyszał już wszystkie takie historyjki, każdą lichą wymówkę dla zbrodni i występku. — Przepraszam, że się tak spóźniłam. To mój samochód, wiecie...

— No tak — odezwała się Ginny z gardłowym śmiechem. — Samochody Fiony. Pamiętacie tego małego volkswagena? Tego białego?

— Tak, pamiętam i sądziłem, że to cholernie dobry samochód — powiedział Bob Fay, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Fiona była zaskoczona, widząc go tutaj.

— Fiono! — wykrztusiła Ginny, wskazując na nią, gdy Fiona podeszła bliżej. — Twoja twarz. Masz na niej siniaki...

— O tym właśnie mówiłam Miałam wypadek. Uderzyłam się w głowę.

— Wypadek? — odezwała się ciotka Arlene z pobielającą twarzą. — A Rudy opowiadał właśnie...

— No, ale nie był to żaden drogowy wypadek — pośpieszyła z wyjaśnieniem.

— Masz na myśli krakę — poprawił Jack, rzucając w kierunku ojca szybkie spojrzenie.

— Tak, właśnie tak. Po prostu mój samochód nie chciał ruszyć. Przez deszcz, tak sądzę, więc ktoś mnie podwiózł i wpakowaliśmy się na jakiś wybój czy w dziurę, czy coś w tym rodzaju.

— Kto prowadził? — spytała Ginny.

— Ta dziewczyna ode mnie z pracy — odparła. — Sandy. Ale nic jej się nie stało. — Znów dotknęła policzka. Zaczynała puchnąć. Rzepy przyczepione do brzegu spódnicy drapały ją w nogi, gdy podchodziła do

szczytu stołu i schylała się, by ucałować gładki, różowy policzek wujka Charlesa. Choć pozostała na swoim miejscu, zdawało jej się, jakby się cofnął przed jej dotykiem, a jego uśmiech zmienił się w wyraz wymuszonej melancholii, jakby nie śmiał ryzykować okazywania szczęścia w obawie, że ona zrobi coś, co je zburzy.

— Dobrze cię znowu widzieć, ale czy jesteś pewna, że wszystko w porządku? — zapytał, podnosząc serwetkę.

— Świetnie! Naprawdę! — odparła, a jej uśmiech zbladł, gdy poklepał policzek, który ona właśnie pocałowała. — Nie ubrudziłam cię niczym, prawda? — spytała i odsunęła krzesło obok Elizabeth, na którym zawsze siedziała.

— To miejsce Rudy'ego! — powiedziała szybko Elizabeth z błagalnym spojrzeniem, które miało przypomnieć ojcu jakieś przyrzeczenie, które na nim wymusili na wypadek, gdyby Fiona jednak przyszła. Zaszurały też kroki. Ktoś zakaszał sucho i niepewnie, a potem odchrząknął.

— Chodź tutaj! — odezwała się ciotka Arlene, układając serwetkę, talerz i srebra stołowe na stole, naprzeciwko Elizabeth.

Więc się jej nie spodziewali. Zaproszenie od ciotki Arlene umyślnie nadeszło tak późno, gdyż mieli nadzieję, że Fiona nie przyjdzie. Ajednak przyszła i teraz wszyscy byli spięci.

W holu otworzyły się drzwi łazienki.

— To on! — obwieściła Elizabeth, uśmiechając się do wchodzącego do jadalni tyczkowatego mężczyzny w żółtej koszuli i granatowym blezerze. — Rudy, poznaj moją ulubioną kuzynkę, Fionę — rzekła, obejmując ich oboje ramionami. — Fiono, to jest mój narzeczony, Rudy Larkin. — Mankiety jego wygniecionych wełnianych spodni usiane były rzepami.

— Doktor Larkin — dodała Ginny.

— Cześć, Fiono — odezwał się z uśmiechem. Jego spojrzenie badało jej rozpaloną twarz. — No, w końcu się poznajemy, ale muszę przyznać, że czuję się, jakbym znał cię już od jakiegoś czasu.

— Naprawdę? — warknęła z tak ostrzegawczym spojrzeniem, że odwrócił wzrok.

— Wszystko mu o tobie opowiedziałam, Fiono. — Elizabeth ciasniej objęła jej talię ramieniem.

— No, mam nadzieję, że nie wszystko. — Roześmiała się nerwowo i wyswobodziła z uścisku kuzynki, siadając na krześle.

— Same dobre rzeczy — zaznaczyła Elizabeth, kiedy ona i Rudy siadali na swoich krzesłach.

Namawiając Fionę, by nakładała sobie na talerz, ciotka Arlene podawała jej tłuczone ziemniaki, dynię, indyka.

— Fiona opowiadała właśnie, że miała po drodze mały wypadek — powiedziała Elizabeth do Rudy'ego. — Ciekawy zbieg okoliczności — rzekła do Fiony — bo Rudy zatrzymał się, żeby pomóc jakiemuś facetowi, którego samochód wypadł z szosy na pole przy Bradley Road. Opowiadał, że była tam policja i założyli kajdanki pewnej kobiecie, która wyglądała na zdenerwowaną.

— Ten kierowca miał tylko przecięte czoło — dodał Rudy, krojąc swojego indyka. — Wystarczyło założyć mały opatrunek.

— Ciekawe, dlaczego założyli im kajdanki — odezwała się Ginny.

Narzeczony pochylił się i powiedział coś do ucha Elizabeth. Fiona wbiła wzrok w talerz, oczekując, że wyjaśni zaraz, iż tylko ta zdenerwowana kobieta była skuta. Elizabeth podała mu sos.

— Pewnie przejechali znak stopu czy coś w tym rodzaju — odezwał się Jack. — Tutaj w Dearborn niewiele trzeba.

— Równie dobrze mogło być coś związanego z narkotykami — ogłosił Bob Fay, spoglądając na sędziego wymownie i zrećcznie przypominając, kto przy tym stole jest największym grzesznikiem.

Albo z cudzołóstwem — pomyślała Fiona, wlepiając w niego wzrok. Najprościej byłoby teraz wyjść. Powiedzieć po prostu: „Miło było pana poznać, panie Larkin, i mam nadzieję, że dobrze się wam wszystkim żyje beze mnie.” Nie powinna była przychodzić. Oni stanowili rodzinę. Mało było teraz dla niej miejsca w rozrastającej się złożoności ich stosunków. Tak samo musiała się czuć jej matka, która pewnie wstała od tego właśnie stołu i wyszła przez te drzwi, i przez te wszystkie lata nawet nie obejrzała się za siebie.

— Dziękuję — powiedziała, biorąc sosjerkę z drżącej ręki ciotki. Jako emocjonalny barometr, ciotka Arlene nie mogła znieść niezgody, wszelkiego rodzaju nienawiści. Niewiele miała zmarszczek na swej wyrazistej twarzy, lecz upięte w ciasny kok włosy były zupełnie siwe. Fiona była ciekawa, czy włosy jej matki też już się takie stały. Natalie była o sześć lat młodsza od Arlene.

— Właściwie — odezwał się Rudy — to pomyślałem o napadzie na bank czy zabójstwie. Gliniarz wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

— Mówisz o policjancie? — poprawił go zaraz Jack. Susan popatrzyła na męża.

— Przepraszam. Nie chciałem nikogo obrazić — powiedział Rudy. Wyglądał na rozbawionego.

Fiona wstrzymała oddech, odstawiając sosjerkę. Ciotka Arlene wciąż podawała nowe misy, sos żurawinowy, nadzienie.

Ginny pochyliła się nad stołem.

— Fiono, musiałaś przecież tamtędy przejeżdżać.

— Taa — odparła. — Ale w tym deszczu za wiele nie widziałam.

— Więc to nie jest chyba aż takie nudne miasto. Prawda? — spytała Elizabeth narzeczonego.

— To ty ciągle powtarzasz, że jest nudne — poprawił, pochylając się do niej z szerokim uśmiechem i grożąc jej jednocześnie palcem. — Ja użyłem słowa „ciche”. — Mrugnął i rozejrzał się po zebranych. — Elizabeth uważa, że zwabiła mnie do najdalszych zakątków nudy.

Elizabeth popatrzyła na niego, czerwieniąc się.

— Zgoda, ale opróczjednego: nie zwabiłam cię tutaj — odparła łagodnie, a Rudy wciąż się uśmiechał, jakby nie za bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

— To prawda. Nie zwabiłaś — rzekł w końcu, przełykając ze skrepowaniem ślinę.

— Nie, ona tylko powiedziała: „To tutaj, chłoptasiu, tu stajemy”. Nie, Lizzie? — odezwała się Fiona swoim najbardziej chrapliwym, mrużącym głosem naśladującym Mae West, lecz Elizabeth nie podniosła wzroku ani nie odpowiedziała. Fiona pomyślała, że Elizabeth jest chyba zdenerwowana jej późnym przyjściem i niedbałym wyglądem. Albo może po prostu tym, że w ogóle się pojawiła.

— Cóż, najbardziej podniecającym wydarzeniem w tej okolicy są wyprzedaże podwórkowe Lucretii Kendale — odezwał się Jack, wypełniając chwilę milczenia, a wszyscy roześmiali się zbyt szybko, spoglądając na Elizabeth.

Ginny wyjaśniła Rudy'emu, że Lucretia Kendale jest zamożną, starą kobietą, która mieszka przy tej samej ulicy i która ogłasza swoje podwórkowe wyprzedaże tylko po to, by móc później odwiedzać tych, którzy na nie przyszli.

— Zazwyczaj wystawia same śmieci — dorzuciła Susan.

— Ale przez ostatnich kilka weekendów wywieszała tabliczkę „Dom na sprzedaż” — powiedział Jack.

— Biedactwo potrzebuje po prostu trochę pobyc z ludźmi, to wszystko — zaprotestowała ciotka Arlene.

— Cóż, my tutaj też mamy nasze przestępstwa, nie daj sobie wmawiać, że jest inaczej — odezwał się Bob Fay do Rudy'ego. — Większość tego spływa tu do nas z Collerton, tego małego, biednego miasteczka za

miedzą. *Mucho* hiszpańskie — ciągnął, potrząsając głową i albo nie zauważając, albo nie przejmując się tym, że wszyscy umilkli. — I *mucho* prochów. — Westchnął. — Obawiam się, że nie da się tego utrzymać z daleka.

— Jeszcze indyka, Bob? — spytała ciotka Arlene.

Fiona dotknęła bolącego policzka. Rudy uśmiechnął się do niej.

— Powinnaś chyba przyłożyć sobie lodu — poradził.

Zapewniła go, że jej to nie rusza, co było sygnałem dla Elizabeth, by zapewnić przepaść między sobą a narzeczonym, opowiadając stare historyjki o odwadze Fiony, zębach wypełnianych bez znieczulenia, ranach, które znosiła bez jednej łzy.

— Wygląda na to, że masz niespotykane wysoki próg odczuwania bólu — orzekł Rudy, przyglądając jej się uważnie.

Czuła, że oczy znów jej płoną.

— Po prostu jestem naturalnie odrętwiała — odparła z pełnym zakłopotania uśmiechem, niepewna, do czego zmierza ta rozmowa.

— Zawsze taka była — odezwał się wujek Charles ze szczytu stołu.

— Jak stoik — dodała ciotka Arlene.

— No dobrze, a kto to był, ten mężczyzna, którego aresztowali? — spytała Ginny Rudy'ego. — Podali ci jego nazwisko?

— Nie pytałem — odparł.

— Ale pewnie spisałeś numer jego ubezpieczenia, co? — zachichotał Bob Fay i tylko Rudy mu zawtórował. Może Ginny mu wybaczyła, lecz nikt oprócz niej.

— A co z tą kobietą? Czy ktoś powiedział, kim ona jest? — dopytywała się Ginny.

— Nie, nikt. — Rudy odwrócił się i poprosił Susan, by podała mu bułki. — I masło, poproszę — dodał, gdy Ginny znów się ku niemu pochyliła. Brał już drugą dodatkę i na jego talerzu piętrzyła się góra jedzenia.

— A jak wyglądała? — nalegała Ginny.

— Prawdę mówiąc, nie przyjrzałem jej się aż tak dokładnie. Bułkę? — spytał Elizabeth, która potrząsnęła głową. — A może ty, Fiono? — zagadnął, podając jej koszyk.

— Dziękuję. — Wzięła szybko jedną. Twarz płonęła jej ze wstydu i z wdzięczności.

Przez kilka chwil tylko jedli i nikt się nie odzywał, póki ciotka Arlene nie ogłosiła, że białe mięso jest trochę suche. Och, nie. Absolutnie nie. Bardzo wilgotne. Doskonałe. Takie delikatne. Wszyscy pośpieszyli z zapewnieniami.

— Och! Prawie bym zapomniała! Chodzę na kurs! Na historię Ameryki. I zgadnij, Ginny, kto mnie uczy! Lee Felderson! — powiedziała Fiona. Uśmiechnęła się szeroko, kiedy wszyscy nagle zaczęli mówić, gratulując, że zapisała się na ten kurs, życząc jej szczęścia i ostrzegając, jak poważną osobą była zawsze Lee Felderson. Śmiali się, gdy Fiona opisywała zabawną sesję powtórzeniową.

— Cóż, upewnij się tylko, że nie wykorzystujesz jej przyjaźni z Ginny, Fiono — odezwał się wujek Charles.

— Tato! — zakrzyknęli zgodnym chórem Elizabeth i Jack.

— Przyjaźni! Na Boga, tato, nie widziałam jej od wieków — prychnęła Ginny.

— Nie zrobiłabym tego. Oczywiście, że bym tego nie zrobiła — wypląta Fiona, prowokując falę nerwowej paplaniny, która wznosiła się i opadała wokół stołu. Wujek wbijał wzrok w swój talerz. Czasami mógł wydawać się taki samotny, taki odizolowany, jedząc w ciszy, a jego uwagę zakłócał tylko czyjś śmiech czy zabłąkany komentarz, albo zagadkowa fraza, którą trzeba było dla niego powtórzyć. Czasem trzeba było opowiedzieć od początku całą historię, by ją zrozumiał. Taki był charakter jego pracy: żalosne historie, rozpaczliwe wykręty, ciągłe kłamstwa, które w pewne dni po prostu go wyczerpywały, jak wyjaśniała ciotka Arlene, która zawsze chciała zrekompensować im jego oddalenie. Wprawiały ich w zakłopotanie, oddychał teraz głęboko i z trudem.

— Podoba mi się ten sweter, wujku Charlesie — oświadczyła Fiona, wskazując jego czarny pulower z okrągłym wykończeniem pod szyją. — To wielka poprawa po twoim wytartym, starym, rozpinanym swetrze. — Jego szary, rozpinany sweter z zamszowymi łatami na łokciach był zawsze obiektem rodzinnych żarcików. Nagle chciała stać się tą osobą, która wciągnie go z powrotem do rozmowy. Chciała sprawić, by się uśmiechnął, tak jak to zawsze potrafiła jako mała dziewczynka.

— Tak myślisz? — odparł sztywno. Gdy zobaczyła jego szybkie spojrzenie rzucone daleko od jej posiniaczonej twarzy, zawrzała w niej stara uraza. Zawsze była pośród nich outsiderką, pariasem między umiłowanymi, bękartem jego szwagierki, zobowiązaniem, które wciąż wprawiało go w zakłopotanie.

— Dałam go tacie na urodziny — poinformowała Ginny. — I kazałam mu obiecać, że założy go dziś wieczorem.

— Tato skończył pięćdziesiąt dziewięć lat w zeszłym tygodniu — objaśniła Elizabeth Rudy'emu.

— A za rok wielka okrągła rocznica — dodał Bob Fay.

Fiona wierciła się na krześle. Zabrakło telefonu ciotki Arlene i już zapomniała o urodzinach wujka.

— Nie zapominajmy też o urodzinach Susan za dwa tygodnie — wtrąciła szybko ciotka Arlene.

Podnosząc wzrok, Fiona złapała Rudy'ego na przyglądaniu jej się, jakby była jakąś dziwną, nową chorobą, którą właśnie napotkał.

Susan roześmiała się i powiedziała, że skoro skończy w tym roku trzydzieści pięć lat, byłaby wdzięczna, jeżeli wszyscy pominęliby jej urodziny i przeszli do urodzin kogoś innego, następnych w kolejności.

— Więc to byłyby urodziny mojej matki. Szóstego grudnia — odezwała się Fiona, dziwnie, z niewyjaśnionego powodu, podniesionym głosem. — Ile będzie miała, czterdzieści dziewięć, ciociu Arlene?

— Tak — odparła ciotka. — Czterdzieści dziewięć, zgadza się.

— Matka Fiony była młodsza niż moja — wyjaśniła Rudy'emu Elizabeth.

Fiona rozżłościła się, widząc, że ciotka Arlene popija swoje wino i wraca do rozmowy o filmie, którą prowadziła z Ginny. Tak bardzo się starała, a ich to nic nie obchodziło. A czy powinno? Była tylko jednym z wielu obiektów ich dobroci i szczodrości przez te wszystkie lata. Susan pytała już Elizabeth, czy ona i Rudy brali pod uwagę Tabor Club jako miejsce na urządzenie wesela. Ginny opowiadała matce, że „Czułe słówka” były prawdopodobnie, na każdym emocjonalnym poziomie, najlepszym filmem o kobietach, jaki kiedykolwiek zrobiono. Bob Fay zerknął na zegarek. Zaczynał wyglądać na nieszczęśliwego. Oprócz Rudy'ego, nikt z nim nie rozmawiał. Elizabeth podniosła dłoń i zmarszczyła brew, gdy Rudy próbował podać jej tłuczone ziemniaki. Prawie nic nie jadła ze swojego talerza. Wujek Charles smarował bułkę masłem, a Jack wstawał, by wyjść do łazienki, gdy Fiona nagle się odezwała.

— Powiedziała, żeby pozdrowić od niej każde z was — oznajmiła.

— Kto? — spytała Ginny. — Kto tak powiedział?

— Moja matka.

— Natalie, twoja matka?

— Tak — odparła z tak bezceremonialnym wzruszeniem ramion, na jakie tylko mogła się zdobyć, gdy tak wszyscy na nią patrzyli. Odkroiła kawałek indyka i włożyła go sobie do ust.

— Kiedy? Kiedy to było? — spytała Ginny cichym zdyszonym głosem. Dorastając, Ginny zawsze wymyślała sposoby wytropienia matki Fiony — ogłoszenia, prywatny detektyw — lecz ciotka Arlene przypomi-

nała jej, jak drogo by to kosztowało. To był pomysł Ginny, by spróbować zarobić dość pieniędzy, prowadząc budkę z lemoniadą.

— Niedawno. Cóż, nie tak dawno, kilka tygodni temu, tak mi się wydaje.

— Fiono! Nie mogę uwierzyć — wykrzyknęła Elizabeth. — To znaczy, że rozmawiałaś z nią? Z Natalie? Z twoją matką? Z moją ciotką?

Skinęła tylko głową. Skręcała też dłonie na kolanach i stukała stopą pod stołem.

— Och! Fiono! — Elizabeth obiegła stół, by ją uściskać. — Och, to takie cudowne. Nie mogę w to uwierzyć! Po takim czasie! Och, taka jestem szczęśliwa, że ci się to zdarzyło!

Kuzyni zgodnie okazywali, jak bardzo przyjemna jest ta wiadomość. Teraz miała uwagę wujka Charlesa tylko dla siebie. Jedyne ciotka Arlene siedziała spokojnie, przykrywając dłonią usta.

Elizabeth westchnęła.

— Wyobraźcie sobie, po tych wszystkich latach.

— A co właściwie powiedziała? — spytała Ginny.

— Nie za wiele, naprawdę. Tylko, że była ciekawa, jak mi się wieszcie.

— A ty, co powiedziałaś?

— No, że świetnie. — Wzruszyła ramionami. — Byłam taka zaskoczona. Zszokowana.

— Powiedziała, gdzie była przez cały ten czas? — spytała Elizabeth.

— Nic nie powiedziała, aja nie chciałam pytać.

— Co? Dlaczego? — prychnął Jack. — To byłoby pierwsze, o co ja bym spytał.

— Po prostu nie chciałam wywierać na nią żadnej presji — odparła, starając się ukryć przyjemność, jaką odczuwała w cieple ich zainteresowania. Podniosła nóż i widelec, i odkroiła następną kawałek indyka.

— I nie mówiła nic? — dociekała Ginny. — Na przykład, dlaczego odeszła w ten sposób?

— Nie za bardzo.

— A ty nie zapytałaś? — rzekła doprowadzona do rozpaczki Ginny.

— No, spytałam, ale odparła tylko, że było sporo spięć. — Zobaczyła, jak ciotka Arlene chowa twarz w dłoniach z głębokim westchnieniem i nagle nie tylko pożałowała swojego kłamstwa, lecz już próbowała wymyślić jakiś sposób wybrnięcia z niego. Dowcipna uwaga, wybuch śmiechu, zanim oznajmi, że z nich zażartowała, ale skąd mogła wiedzieć, czy to się teraz uda, kiedy byli tak porwani jej słowami, tak zaintrygowani

i podnieceni? Wszyscy na nią patrzyli, a nikt w większym skupieniu niż wujek Charles. On wiedział. Zawsze wiedział, zawsze potrafił przejrzeć jej kłamstwa. Musiała to zakończyć, nim sytuacja jeszcze się pogorszyła. — Wiecie, była taka młoda i to wszystko takją przytłoczyło.

Ciotka Arlene znów westchnęła.

— A co mówiła o siostrze? — spytał Jack, kładąc dłoń na ramieniu matki. — Czy pytała o nią? Czy w ogóle się zainteresowała?

— Och, tak! Pytała o wszystkich, ale w szczególności o ciebie, ciociu Arlene. — Uśmiechnęła się, a ciotka Arlene zaczęła szlochać.

— No. — Jack objął ramieniem łkającą matkę. — Mamo...

— Och, mammo! Arlene! — krzyczały unisono Ginny, Elizabeth i Susan. Bob Fay wbijał wzrok w stół, jakby błagał sędziego, by to wszystko naprawił.

Niezwyczajni widzieć tę spokojną, królewską kobietę zdenerwowaną, nie wiedzieli, co zrobić czy powiedzieć.

— Nic mi nie jest. — Ciotka Arlene wstała, pociągając nosem. — W porządku, naprawdę! — Wyszła szybko do kuchni i cicho zamknęła za sobą drzwi.

— Cóż — odezwała się Elizabeth, zamykając z westchnieniem oczy. Rudy położył rękę na jej dłoni, a jej delikatna twarz zarumieniła się.

— Pójdę sprawdzić, co z mamą. — Ginny zaczęła wstawać od stołu.

— Nic jej nie jest — odezwał się wujek Charles, gestem przywołując ją, by usiadła z powrotem. — Poradzi sobie. Musi tylko pobyc przez chwilę sama, żeby zebrać myśli.

W kuchni woda lała się najsilniejszym strumieniem, lecz niewystarczająco silnym, by zagłuszyć szloch.

— Przepraszam — odezwała się Fiona, rozpaczliwie szukając kontaktu wzrokowego, lecz nikt nie podniósł oczu, tak silnie odczuwali ból swojej matki. — Nie myślałam, że tak się zdenerwuje. Sądziłam, że będzie szczęśliwa.

— Masz naprawdę ciekawe wycucie czasu, Fiono — oświadczył cichym głosem wujek Charles, podnosząc nóż i widelec. — Chodzi mi o to, dlaczego tutaj, dlaczego teraz, dziś wieczorem, na zaręczynowej kolacji Elizabeth i Rudy'ego?

— Tato! — odezwała się Elizabeth.

— Nie — odparł wujek Charles. — Byłby na to odpowiedni czas i miejsce...

— Zgadza się, tato. Masz rację! — przerwał mu Jack, a ojciec popatrzył na niego.

— Nie, ja wiem, że nie powinnam — odezwała się Fiona, spoglądając na każde z nich. — To znaczy, powinnam była poczekać. Przepraszam. Tak bardzo mi przykro.

— Och, nie, Fiono... W porządku... To oczywiste, że chciałaś nam powiedzieć... Rozumiemy to — nie przestawali jej zapewniać, podchodząc i tłocząc się wokół, poklepując ją po rękach i ramionach. Elizabeth uściśnęła ją, gdy Fiona siedziała ze spuszczoną głową, wstydząc się tego okrutnego kłamstwa, którego w tej powodzi czułości i miłości nie mogła już cofnąć. Zawsze tak było. Huragan Fiona znów uderza, jak zwykły śmiać się wujek Charles, lecz to już dawno przestało być zabawne.

Parę minut później ciotka Arlene wynurzyła się z kuchni i zajęła swoje miejsce przy stole. Miała podpuchnięte oczy i czerwony nos, gdy zapewniała wszystkich, że czuje się dobrze, że to po prostu był szok, i nic więcej. Jednak oczywiście odczuła też ulgę, dowiedziawszy się w końcu, po tych wszystkich latach, że jej siostra żyje i ma się dobrze. Zaczerpnęła głęboko powietrza.

— Fiono — zaczęła swym najbardziej dystyngowanym tonem. — Jeżeli jeszcze kiedyś będziesz rozmawiać ze swoją matką, powiedz jej, proszę, że chciałabym, żeby do mnie zadzwoniła... że to by bardzo wiele dla mnie znaczyło. Naprawdę, bardzo wiele.

Z oczyma błyszczącymi od łez namawiała wszystkich, by znów zaczęli jeść. Na deser przygotowała wspaniałą niespodziankę.

— Właściwie, Fiono, to twój ulubiony — oznajmiła z uśmiechem — i twój też, Charlesie.

Placek z jagodami. Fiona wiedziała, choć jej wujek zdawał się zbity z tropu.

Później, kiedy odnosili talerze do kuchni, Ginny spytała, czy słyszeli o dziecku Gliddenów.

— Wiem, że powinnam się tego wstydzić — rzekła ciotka Arlene. — Ale nie rozmawiajmy o tym. Dzisiaj wieczorem zebraliśmy się tutaj wszyscy, więc myślm tylko o przyjemnych rzeczach... — I ponad otwartymi drzwiczkami zmywarki, sięgnęła po dłoń Fiony. — Wiem, że nie było to łatwe, ale dziękuję ci — dodała. — Dziękuję, że przyszłaś.

Fiona starała się uśmiechnąć. Nie tylko bała się, lecz również czuła się niebezpiecznie odizolowana. Kolejny raz dobroć jej ciotki wygnała ją jeszcze dalej z rodzinnego kręgu.

Rozdział 4

Patrzyła przez okno kawiarni na świetliste, październikowe popołudnie. Liście na ziemi były tak kruche, tak pomarańczowe i czerwone jak te na obmywanych blaskiem słońca drzewach. Samo powietrze zdawało się wypełnione migoczącymi cząsteczkami światła. Wpatrując się uważniej, widziała fale błyszczących jak klejnoty owadów lecących nad zaparkowanymi samochodami i przewodami telefonicznymi, a teraz zbierających się w rojach na przykurzonej szybie. Były to małe, pomarańczowe żuki.

— Fiona! — Maxine klepnęła ją w ramię. — Gong! Chester! Nie słyszysz? — Maxine była wrakiem. Kiedy dziś rano Sandy znów przywlokła się późno, Chester nakrzyczał na nią, żeby nie przeszkadzała, żeby po prostu poszła do domu. Nie potrzebował ani jej, ani nikogo innego, bo miał ich potąd, każdego po kolei, do jasnej cholery, nie wyłączając klientów. Robiło mu się już od tego niedobrze. Rzygać mu się chciało! Upokorzona Maxine zamknęła się na klucz w chłodni, aż w końcu Fionie udało się ją przekonać, że nikt na sali nie słyszał ryków Chestera. Oczywiście, że słyszeli, lecz stali klienci byli do tego przyzwyczajeni.

— Twoje kanapki klubowe już gotowe — odezwał się Chester, przykładając ręcznik do twarzy. — Gorące tosty nie mogą leżeć na zimnym talerzu. Bo się kurczą! Ja uderzam w gong, bam! Ty przychodzisz. Bam! Bam! Bam! — powiedział, uderzając w niego jeszcze trzy razy.

— Mamy inwazję żuków. — Wzięła kanapki. — Pomarańczowe z czarnymi kropkami. To jakiś znak czy coś...

— To azjatyckie biedronki. — Włożył stojak z brudnymi półmiskami do zmywarki i nacisnął guzik. — Przylatują co kilka lat.

— Skąd przylatują?

— No, z Azji najwidoczniej. I pamiętaj, że to przynosi pecha, jeśli się je zabija — zawołał za nią.

— To zawsze przynosi pecha, jeżeli cokolwiek się zabija — odkrzyknęła, wchodząc na salę.

Gdy podała mężczyznom w środkowym boksie ich kanapki, stanęła przy oknie i obserwowała, jak biedronki posuwają się powoli w górę po szkle. Niedaleko znajoma postać właśnie wyszła zza rogu. Był to Patrick Grady w swojej zwykłej flanelowej koszuli w kratę i wymiętych spodniach. Przeszedł przez ulicę przed ratuszem, gdzie usiadł na ławce na otoczonym ceglany murkiem placu. Założył ręce na piersiach i patrzył na ulicę.

Ta niewielka wiedza, jaką posiadała o Grady, pochodziła od jej ciotki, która opisywała go jako gniewnego, pogrążonego w myślach młodego mężczyznę. W Wietnamie był krótko. Został postrzelony i poparzony w dziwacznej bitwie, w której przez błąd w obliczeniach Amerykanów zabici zostali wszyscy ludzie z jego patrolu. Wszyscy prócz Patricka Grady'ego. Pierwszych kilka miesięcy po powrocie spędził w szpitalu. Natalie była w ciąży. Dziecko zostało poczęte w czasie ostatnich dni przed jego wyjazdem. Według ciotki Fiony, coś popsuło się między nimi, kiedy wyjechał. Gdy wrócił do domu ze szpitala, jeszcze się pogorszyło. Pogrążony w głębokiej depresji, uważał, że wszystko się zmieniło: kraj, miasto, ludzie, których znał przez całe swoje życie. Wraz z narodzinami dziecka pojawiły się gwałtowne ataki paranoi. Jego tyrady i dziwaczne oskarżenia przstraszyły Natalie. W końcu, po jeszcze jednej okropnej scenie, nie pozwoliła mu zbliżyć się do siebie i do dziecka. Był przekonany, że go unika, bo nie może znieść widoku jego ohydnej, poznaczonej bliznami twarzy. Opuszczając swój dom jedynie w nocy, samotnie przemierzał całe miasto w mroku. Ciągłe odczuwał ból, a przez te wszystkie leki do głowy przychodziły mu dziwne myśli. Uważał melancholię i zmieszanie Natalie za dowód jej zdrady. Im bardziej starała się przemówić mu do rozsądku, tym głębsze stawało się jego przekonanie, że Fiona nie jest jego dzieckiem. Ostatecznym ciosem była jego odmowa podpisania dokumentów potwierdzających ojcostwo. Był zimny i deszczowy dzień, gdy Natalie wsiała do samochodu i odjechała na zawsze, zostawiając dziecko, by wychowali je jej siostra i szwagier. Patrick Grady zwrócił swą gorycz przeciwko światu.

— Biedny Patrick — zwykli mamrotać ludzie, kiedy Fiona o niego pytała, a potem szybko starali się zmienić temat, lecz była upartym dzieckiem.

Pewnego dnia, kiedy miała dziewięć lat, ciotka Arlene przyszła do jej pokoju i wysłała Elizabeth na dół. Powiedziała, że Fiona musi przestać

wprawiać ludzi w zakłopotanie pytaniami o matkę i Patricka Grady'ego. To była sprawa rodzinna i jeśli chciała dowiedzieć się czegoś o swojej matce, powinna zapytać ciotkę Arlene. A co z ojcem? Kto odpowie na te pytania? Oprócz jego problemów, które były oczywiste, nie było niczego innego, czego można by się o nim dowiedzieć. Wszystko jej już powiedziano. Nie chciał mieć nic wspólnego z Fioną. Absolutnie nic. Musi to zrozumieć i zaakceptować, a jeżeli tego nie uczyni, oni obawiali się, że mógłby zrobić coś złego.

— Zrobić coś mnie? — spytała z niedowierzaniem.

— Tak — odparła ciotka. — Tobie.

Fiona podniosła wzrok, kiedy otworzyły się drzwi frontowe. Weszli dwaj mężczyźni. Usiedli w boksie przy oknie. Zawiedziona, że nie mogła wskazać im miejsca, Maxine pośpieszyła, by nakryć ich stół. Położyła czerwone, perkalowe maty i pasujące do nich serwetki, które sama uszyła. Co wieczór zabierała do domu worki na śmieci wypełnione pobrudzonymi matami i serwetkami, by uprać je i wyprasować. Chester upierał się, że to strata czasu i pieniędzy, lecz ona twierdziła, że to uwielbia.

— Obsłuży was Fiona — powiedziała Maxine, przed odejściem wręczając każdemu z nich menu.

— Fiona? — spytał potem bardziej krępy z nich dwóch, uśmiechając się znad menu, gdy stawiała na stole jego szklankę z wodą. — Jakie niezwykłe imię.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

— A co ono oznacza?

— Znaczą piękna, inteligentna, wrażliwa i nie mogąca się doczekać, żeby przyjąć wasze zamówienia, bo jesteście dziś ostatnimi klientami, których obsługuje.

— To ja kanapkę z sałatką jajeczną — odparł na to ze śmiechem.

Jego przyjaciel, szczuplejszy, rudowłosy, nie mógł wybrać pomiędzy sałatką jajeczną i plackiem pasterskim. Jajka były szkodliwe dla jego poziomu cholesterolu, a placek pasterski mógł się okazać tłusty.

— Wezmę hamburgera! — oznajmił i z trzaskiem zamknął menu.

— Doskonały wybór. Dobry i tłusty, i ma pełno cholesterolu! — rzekła, a obydwaj mężczyźni się roześmiali.

Kiedy Fiona wyszła potem z kuchni, przyglądali się przez okno mężczyźnie siedzącemu na ławce z nachmurzoną miną. Zaczęła szorować stolik obok nich.

— Był kimś, naprawdę kimś — mówił krępy. — Wiesz, jeden z tych urodzonych atletów. Mógł robić, cokolwiek chciał, uprawiać każdy sport.

Pamiętam, jak raz wszyscy skakaliśmy do wody z brzegu kamieniołomu i wszyscy wspinali się, żeby zobaczyć, kto skoczy z największej wysokości i robi najwięcej flipów. Była taka półka skalna, na wysokości co najmniej pięćdziesięciu stóp, ten wąski brzeżek skały na samej górze, z którego podobno kiedyś zeskoczył jakiś gość, ale nie skoczył do wody! Nikt nigdy stamtąd nie skoczył, a Grady nie tylko stoi tam gotowy do skoku, ale wrzeszczy na dół, że robi potrójnego flipa. „Nie! Nie, nie skacz!” Wszyscy drzemy się do niego, dziewczyny krzyczą i płaczą, i błagają go, żeby tego nie robił. „Nie! Nie rób tego, Patrick. Proszę, nie!” Tak krzyczą i, Jezus, ciągle to widzę, jakby to się działo teraz. Podnosi ręce nad głowę i skacze, robi potrójnego flipa, powoli i z łatwością, jakby to była najprostsza rzecz na świecie.

— Naprawdę? — wymamrotał chudszy, tłumiąc ziewnięcie.

Krępy mężczyzna westchnął, przesuając w przód i w tył pojemniczki z solą i pieprzem. — Ciężko to ująć w słowa, ale to była jedna z tych chwil, które przeżywa się w dzieciństwie. Wiesz, te momenty, które określają wszystko: klik i zdajesz sobie sprawę, że tam jest tylko Patrick Grady, a potem są tam już wszyscy inni.

Drugi mężczyzna zachichotał. Spoglądając na Fionę, powiedział, że dla niego takim momentem była chwila, kiedy zwymiotował w łóżku rodziców swojej dziewczyny.

Chester uderzył w gong. Pośpieszyła do kuchni, mknąc tak szybko z ich zamówieniami, że hamburger zsunął się z talerza na stół.

— Przepraszam — powiedziała, próbując ułożyć z powrotem hamburgera i rozrzucone frytki oraz pickle. Papierowy pojemnik z ketchupem wylądował do góry nogami. — Ale słyszałam, że mówiliście coś wcześniej o Patricku Gradym — ciągnęła, zręcznie wydobywając kroplę ketchupu z opakowania. — I myślałam sobie właśnie, że musieliście też znać jego dziewczynę.

— Natalie! — odparł. — Tak. Natalie Range. Wszyscy byliśmy w tej samej klasie. — Otworzył szeroko oczy. — Jesteś z nią spokrewniona, prawda? — Uśmiechnął się. — Nie było mnie tu od lat. Straciłem właściwie kontakt prawie ze wszystkimi, ale ty rzeczywiście wyglądasz jak Natalie Range. Była najładniejszą dziewczyną w naszej klasie. Niesamowita laska — rzekł do kompana, który pochłaniał swojego hamburgera.

— Jestem Fiona Range. — Wyciągnęła rękę. — Córka Natalie — oznajmiła, czując przypływ nieznanej dumy.

— Hal Meade. Miło cię poznać, Fiona — powiedział, wciąż ściskając jej dłoń. — Boże, ty naprawdę wyglądasz dokładnie tak jak ona. Widzę to

teraz, kiedy już wiem. — Wyrzął przez okno. — Czy ona i Patrick w końcu się...

— Nie — odparła tak pośpiesznie, że wiedział, że nie należy więcej pytać.

Kiedy wyszła z pracy, biedronki roiły się na tylnej ścianie kawiarni i nawet kilka usiadło na masce jej samochodu. Wyjechała za róg na słońce, uśmiechając się, gdy zaczęły podrywać się do lotu. Patrick Grady nadal siedział przed ratuszem. Zjechała do krawężnika i szybko wysiadła z samochodu. Kiedy zbliżała się do niego, jego spojrzenie uciekło w przeciwnym kierunku. Serce jej waliło i zaschło jej w ustach, ale stanęła tuż przed nim.

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu — odezwała się — chciałybym z tobą porozmawiać. Tylko przez chwilę. Nie wiem, czy pamiętasz, ale odezwałam się do ciebie tamtego wieczora w Pacer's. Jestem... Jestem... — zająknęła się pod jego twardym spojrzeniem. — Wiesz, kim jestem! Wiesz, prawda?

— Czego chcesz?

— Niczego. Chcę tylko móc przynajmniej powiedzieć „cześć”. To wszystko. Ciągłe cię widuję i wydaje mi się dziwne nie powiedzieć „cześć” czy czegokolwiek.

— Dla mnie to nie jest dziwne.

— Niczego od ciebie nie chcę, jeżeli to tym się martwisz.

— Chcę tylko spokoju. — Wstał.

— Wiesz, że ja wiem, kim jesteś. — Podeszła bliżej. — Każdy wie. I dlatego to jest takie śmieszne!

Odrócił się i ruszył ulicą. Popędziła za nim.

— Chcę tylko z tobą porozmawiać, nic więcej. Tylko przez chwilę.

— Odejdź ode mnie! — powiedział z tak nagłym ruchem ramienia, że skuliła się, przekonana, iż chce ją uderzyć.

— Proszę! — Dogoniła go znowu. Ludzie pewnie na nich patrzyli, lecz to ją nie obchodziło. — Chcę ci tylko coś powiedzieć! W zeszłym tygodniu zadzwoniła do mnie moja matka, Natalie, i ja... ja tylko pomyślałam, że chciałabyś wiedzieć!

Przystanął na chodniku. Usta mu drżały, gdy na nią patrzył. Jego spojrzenie było nieruchome i obojętne, niemal pozbawione życia.

— Zostaw mnie w spokoju. Rozumiesz? Po prostu zostaw mnie, do diabła, w spokoju — warknęła, pochylając się do niej tak blisko, że widziała pory na jego skórze i gładkie, jakby woskowe blizny, które ciągnęły się od jego nosa do ucha.

— Boisz się mnie, prawda? — powiedziała tak cicho, że przez chwilę zdawało jej się, że nie usłyszała.

— Nie. To ty powinnaś się bać — odparł, odchodząc.

Lee Felderson rozdawała testy z zeszłego tygodnia i Fiona starała się ukryć swój pewny siebie uśmiech. Test był tak łatwy, że skończyła i wyszła pół godziny przed wszystkimi.

— Dobrze. Bardzo dobrze. Interesujące. Dobrze — mruzczała Lee Felderson, przechodząc wzdłuż rzędu.

— Super! — zapiszczała Jen, drobna blondynka w tylnym rzędzie, widząc swoją ocenę. Pisała test na haju.

Bez słowa Lee Felderson położyła zakryty test na ławce Fiony. Fiona podwinęła róg i zobaczyła wypisaną czerwonym atramentem dwóję. Twarz jej zapłonęła, a oczy zaszczypały.

— Pieprzyć to — wymamrotała, zgniatając w kulkę arkusz z testem. Przez chwilę jedynym słyszalnym na sali dźwiękiem było oszalałe stukanie jej stopy o wyłożoną kafelkami podłogę. Wszyscy na nią patrzyli. Czuli się taka głupia.

To suka — pomyślała, wbijając wzrok w sadowiącą się za biurkiem Lee Felderson.

— Prawie wszyscy napisali bardzo dobrze — oznajmiła Lee Felderson — ale kilkoro z was... Cóż, sama nie wiem, co się stało. — Zerknęła na Fionę, która wkładała zeszyt do plecaka.

Nie miała zamiaru tu siedzieć i dać się poniżyć przed wszystkimi. Wstała i w drodze do drzwi cisnęła zgnieciony niebieski arkusz do kosza na śmieci.

— Fiono! — krzyknęła Lee Felderson.

— Idź do diabła! — wymamrotała. Słysząc było wybuch śmiechu na sali, gdy pędziła po schodach w chłodne, nocne powietrze.

No i to by było na tyle, jeśli chodzi o college — pomyślała, uruchamiając samochód i wykręcając z parkingu z piskiem opon i w chmurze pyłu. — I komu to potrzebne? — wymamrotała. Oszukiwała samą siebie. Przy takim tempie potrzebowałaby trzynastu lat, by skończyć college. Będzie miała czterdzieści trzy lata i pewnie nadal będzie pracować w kawiarni, a wtedy kogo będzie obchodzić, czy skończyła studia, czy nie. Pewne, jak diabli, że ich nie skończy. Jack, Ginny i Elizabeth zrobili to jak należy, tak jak robili wszystko, na czas i z należytą pilnością. U nich wszystko układało się tak jak trzeba, podczas gdy Fiona Range nigdy nie potrafiła zrobić niczego normalnie, tak jak należy. — Do diabła z tym! —

Uderzyła obiema rękami w kierownicę. — Jestem taka zmęczona tobą. Mam cię dość — krzyknęła do swego posępnego odbicia we wstecznym lusterku. — Zawsze myślisz, że jesteś taka bystra. Zawsze myślisz, że znasz wszystkie odpowiedzi. Jezu Chryste, ty nic o niczym nie wiesz!

Rozmazane światło lamp ulicznych omiatało ją, gdy pędziła do miasta. Nie powinna była wypadać w ten sposób z sali. Zbyt dobrze znała samą siebie. Po pierwszym błędzie zawsze łatwiej było zrobić następny. Jeżeli teraz nie zawróci, nie wejdzie z powrotem do klasy i nie przeprosi, nigdy już nie wróci do szkoły. To tak, jak wtedy, gdy powiedziała rodzinie, że jej matka dzwoniła. Czasami nie wiedziała, skąd brały się te wszystkie kłamstwa i złość. Dodała gazu.

„Na początku nie mogłam w to uwierzyć — podsłuchiwała kiedyś, jak ciotka Arlene mówi o jej matce. — Gdy tylko przejeżdżał jakiś samochód, myślałam, że to ona. Przez cały pierwszy rok wciąż myślałam, że wróci. W każde święta myślałam, że, cóż, zmieni zdanie. Że wróci....”

Pędziła za szybko, gdy wjechała w Main Street. Światło przed nią zmieniło się właśnie na czerwone. Zdjęła nogę z gazu, lecz nie hamowała. Nie obchodziło ją to. Jeżeli światło zmieniłoby się na zielone lub pozostało czerwone, wszystko jedno, przejechałaby po prostu, jechałaby, aż znalazłaby się o mile i tygodnie stąd, i zanim nie byłaby pewna, że jest już o całe lata od tego pełnego fałszu miejsca. Jeszcze tylko pół przecznicy do przejechania, a światło wciąż było czerwone. Prędkościomierz wskazywał pięćdziesiąt mil na godzinę. Gdyby ktoś wszedł na jezdnię, zginąłby, bo ona by się nie zatrzymała. Jechałaby, żeby znaleźć jakieś ciepłe miejsce, gdzie piasek sączy się bez przerwy na ulice, wzdłuż których rosną palmy. Napisałaby do nich, że jest ze swoją matką i obie są bardzo szczęśliwe.

— Nie próbujcie nas szukać — powiedziała na głos. — Tak będzie lepiej.

Światło wciąż było czerwone. Proszę, niech żaden samochód nie przejeżdża przez skrzyżowanie. Wstrzymała oddech i nagle nacisnęła na hamulce. Todd Prescott wychodził ze sklepu z alkoholem z sześciopalem piwa w każdej ręce. Otworzył drzwiczki obitego, czerwonego chevy malibu należącego do Sandy i wsiał za kierownicę. Opony wozu Fiony zapiszczały, gdy wjeżdżała za nim na parking. Opuściła szybę.

— Hej! — krzyknęła, gdy popatrzył na nią z uśmiechem. — Co ty, do cholery, robisz w samochodzie Sandy Rudman?

— Kupuję piwo! — powiedział, podnosząc sześciopak. — Skończyło jej się.

— Co ty, do cholery, robisz? Co ty sobie myślisz? To jeszcze dziecko!
— Och, nie, Fee, chyba nie każesz mnie zamknąć, co? — Roześmiał się.

— Czego ty od niej chcesz? — spytała jeszcze bardziej rozżłoszczona, gdy on coraz szerzej się uśmiechał. — Jezu, Todd! Nie mieszaj w jej życiu! Już dość jest popieprzone!

— Żartujesz? — krzyknął, uruchamiając samochód. — Jestem najlepszą osobą, jaka kiedykolwiek jej się trafiła. Jestem przysłowiowym mężczyzną jej snów! — Mrugnął do niej, wycofał i odjechał.

Biedna, łatwowierna Sandy. Nic dziwnego, że codziennie przychodziła do pracy taka spóźniona i taka zmęczona, i taka szczęśliwa. Pewnie myślała, że umarła i poszła do nieba z bogatym, przystojnym Toddem Prescottem, który tak nagle pojawił się w jej życiu.

Fiona zerknęła na zegar na rogu budynku Kasy Oszczędnościowej w Dearborn. Zajęcia skończą się za dwadzieścia minut. Jeżeli wyjechałaby na autostradę i prućła naprawdę szybko, zdążyłaby jeszcze przeprosić Lee Felderson. A co potem? I tak miała dwóję. Nie mogła już lepiej przygotować się do testu. I pewnie następnym razem byłoby tak samo albo jeszcze gorzej. Tak, oblanie Fiony Range byłoby pewnie sporym osiągnięciem dla tej płacziwej krowy.

— Pieprzyć to — wymamrotała. Skręciła i ruszyła z górki na drugą stronę torów kolejowych do automatu telefonicznego przed sklepem całodobowym. Tego, czego potrzebowała teraz najbardziej, nie mogła znaleźć w College'u Miejskim. Wysiadła i otworzyła książkę telefoniczną w poszukiwaniu numeru George'a. Przesunęła palcem wzdłuż kolumny nazwisk i zatrzymała się przy „GRADY, Patrick”, zaskoczona, że on ma telefon, a jeszcze do tego jest on w książce. Może to tylko dlatego, że miał nadzieję, że Natalie może kiedyś zadzwonić. Była ciekawa, czy na początku czuł się jak ciotka Arlene: nasłuchiwał samochodów i za każdym razem, gdy zadzwonił telefon, myślał, że to ona. Pamiętała twarde spojrzenie jego wąskich jak szparki oczu i jego wrzący gniew, gdy powiedziała, że dzwoniła jej matka. Może to wcale nie był gniew, lecz ból i uraza, że zadzwoniła do niej, zamiast do niego. Może unikał jej, ignorował, zaprzeczał, że jest jej ojcem przez te wszystkie lata, nie dlatego, że uważał, że jest dzieckiem innego mężczyzny, lecz dlatego, że była tak doskonale podobna do kobiety, którą zawsze kochał. Biedny Patrick Grady. Po raz pierwszy było jej bardziej przykro z jego niż z własnego powodu.

Przesunęła palcem wzdłuż następnej kolumny nazwisk.

— George! — odezwała się potem w odpowiedzi na zaspany głos, który zabrzmiał w słuchawce. — Tu Fiona. Nie spałeś, prawda? — Było pół do dziesiątej.

— Już nie śpię.

Przepraszając, powiedziała mu, żeby się kładł z powrotem. Nie, nie, cieszy się, że zadzwoniła. Musiał tak wcześniej wstawać do swojego ostatniego zlecenia, że co noc kładł się spać o dziewiątej.

— Nie przychodziłeś i pomyślałam, że, no, może jesteś chory czy coś. — Skuliła się odruchowo. Przez cały tydzień żyła w strachu, że usłyszała coś o niej i o Bradzie Gliddenie.

— Nie, u mnie świetnie. Tylko muszę być tam codziennie przed piątą.

— Hm, wiesz, powiedziałeś mi, żebyś dała znać, kiedy skończę naukę. I to jest właśnie ten telefon!

— Świetnie! Więc kiedy chciałabyś się gdzieś wybrać? — spytał. Usłyszała skrzyknięcie sprężyn jego łóżka.

Uśmiechnęła się. — Może dzisiaj?

— Dzisiaj? To znaczy teraz?

— Jeżeli to nie byłby kłopot. To znaczy, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

— Parę minut i już jestem.

— Nie, ja przyjadę po ciebie. Jestem za rogiem.

Otworzył drzwi, gdy wchodziła po schodkach na werandę. Był bosy. Zdążył tylko włożyć dżinsy i wciąż jeszcze zapinał guziki koszuli w takim pośpiechu, że jeden z nich opuścił. Jedna strona koszuli znalazła się wyżej od drugiej.

— Wszystko w porządku? — Zapalił światło w małym pokoju. — Kiedy odłożyłaś słuchawkę, pomyślałem, że może coś jest nie tak.

— Nie, raczej nie. — Zadrżała, siadając na kanapie i czując chłód czarnego winylu na swoich nogach. Objęła się, by się rozgrzać. — Czuję się tylko jakaś taka samotna i przypomniałam sobie to, co mówiłeś, no, wiesz, że możesz być dla mnie każdym, kogo mogłabym potrzebować, przyjacielem albo hydraulikiem, albo kimkolwiek.

— Więc kogo potrzebujesz? — Uśmiechnął się do niej, stojąc.

— Cóż, teraz najbardziej potrzebuję się rozgrzać.

— Och, ogrzewanie zaraz możemy włączyć — powiedział, przekręcając termostat. Niedługo powinno zrobić się ciepło, jak ją zapewnił, proponując w międzyczasie kakao lub kawę, albo herbatę. Odpowiedziała,

że nie ma ochoty. Oświadczył, że wobec tego przyniesie jej sweter. Tłumaczył się, że jest tak przyzwyczajony do pracy w zimnie, że sam rzadko zauważa chłód.

Poklepała poduszkę.

— Jeżeli tylko usiądziesz obok mnie, od razu zrobi mi się ciepło.

Uśmiechnął się i usiadł, rumieniąc się. Miał zaczerwienione uszy.

— Jak mogłem o tym nie pomyśleć? — Położył rękę na oparciu kanapy.

— Może po prostu wyszedłeś z wprawy.

— Nie, szczerze mówiąc, nie opanowałem zbyt wielu ruchów. Jestem, wiesz... — wolną ręką wykonał gest, jakby coś przecinał. — Wiesz, taki prosty.

Roześmiała się i wykonała ten sam gest.

— Co to znaczy „prosty”? — Przyciągnęła jego rękę na swoje ramię i wtuliła się w niego z drżeniem.

— No, to mi zabiera chwilę. To znaczy, nie jestem wystarczająco wyzwolony. Wiesz, nie chcę za bardzo naciskać. Nie chcę nikogo wykorzystywać ani obrażać.

— O czym ty mówisz, George?

— Wiesz, jak tamtej nocy tutaj... Chciałem, żebyś została, ale nic nie powiedziałem, a potem, kiedy poszłaś, czułem się jak... nie wiem. — Westchnął i potrząsnął głową.

— Jak? — Wyciągnęła rękę, by przyciągnąć jego głowę ku swojej. — No, powiedz mi — mówiła tuż przy jego ustach. — Jak się czułeś?

— Jak wtedy, kiedy Elizabeth zadzwoniła do mnie w ostatniej klasie, gdy w końcu powiedziałem jej, że nie zamierzam iść do college'u, że chcę zostać hydraulikiem i pracować z ojcem. Ona powiedziała, że jedyny powód jest taki, że zawsze bałem się zaryzykować czy wyróżnić, że dalej wolałem być cieniem.

— Mnie nie wydajesz się cieniem — odparła, dotykając jego powiek, jego szorstkich policzków, jego ust. Zapomniała już o tym, jak jej kuzynka usiłowała przerabiać i kierować tymi, o których najbardziej się troszczyła.

— Wysłała prośby o broszury i nawet wypełniła za mnie wszystkie formularze. — Westchnął głęboko, jakby wciąż jeszcze czuł ciężar zawodu, jaki sprawił Elizabeth.

Fiona rozsiadła się wygodnie. — Zawsze taka była. Chciała, żeby wszyscy inni byli tak dobrzy i szczęśliwi, jak ona sama. To przekleństwo Hollisów. Urodzili się po to, by czynić dobro.

Wyglądał na tak zakłopotanego, że poklepała go po policzku i roześmiała się. — A z drugiej stronyja urodziłam się po to, by czuć się dobrze po swoimemu. A ty, George?

— Taa.. To znaczy... no, to tak, jak tamtego wieczora. Chciałem być z tobą. Naprawdę chciałem i już właściwie byliśmy razem, i nagle zacząłem myśleć, no, może tylko tak bardzo mi zależy, że źle odczytuję to wszystko, więc może trzeba po prostu zwolnić i niczego nie przyspieszać. Wiesz, po prostu nie śpieszyć się, poczekać i zobaczyć, co się stanie...

— Uhm — zgodziła się, znów go całując. — Dobry pomysł, George. Możemy tak zrobić. Więc teraz nie śpieszmy się i zobaczmy, co się stanie.

Był już na niej. Poduszki spadły z sofy i śliskie, winylowe poduchy wyslizgiwały się spod ich ciał. Abażur przekrzywił się, a jej spódnica wylądowała na rozkładanym fotelu. Jego dżinsy leżały na stoliku do kawy. Nie zdawała sobie nigdy sprawy, jaki z niego mocarny mężczyzna. Mięśnie jego pleców były grube jak zwinięte liny. Był nie tylko porządny, lecz także silny i miły. Był wszystkim, czego potrzebowała. Usiłowała jej coś powiedzieć. Błagała go jednak, by nic nie mówił. Chciał, żeby poszła z nim na górę. Będzie jej wygodniej w jego łóżku. Odparła, że tutaj jest jej bardzo wygodnie. Ale powiedział, że tam będzie lepiej.

— Obiecujesz? — spytała, trzymając go za rękę i podążając z nim po pogrążonych w mroku schodach.

Potem leżeli pod prześcieradłem. Patrzyła na połyskliwe linie księżycowego światła na bokach rolet. Czuła się dziwnie, przenikliwie pobudzona, jakby każde zakończenie nerwowe w jej ciele znalazło się pod elektrycznym napięciem. Jej umysł wypełniała siatka błyskających, po-brzękujących połączeń i głosów z przeszłości.

„Dlaczego to zrobiłaś?” — pytała ciotka Arlene, gdy usiłowała usunąć zwir z otwartej rany na jej kolanie. Do pokoju wpadały piski dzieci. To Fiona! Specjalnie to zrobiła! Rozbiła inspekt, w którym wujek Charles hodował swoje sadzonki. To Fiona! Wepchnęła wózek dla lalek do stawu. To Fiona to zrobiła! Ściągnęła majtki przed wszystkimi chłopcami. Mówiłyśmy jej, żeby tego nie robiła, ale i tak nie posłuchała! Fiona!

— Fiono? — zawołał George z daleka. Obróciła się, zaskoczona, że widzi go leżącego na boku i uśmiechającego się do niej. — Mogę ci coś przynieść? Szklankę wody? Koc? Piżamę?

— Przytul mnie tylko.

Przyciągnął ją bliżej. Ukryła twarz w jego piersi, starając się oddychać w tym samym tempie, co on.

— Widziałem Elizabeth któregoś dnia — odezwał się po kilku minutach.

— Och, tak? Gdzie? — spytała, odsuwając głowę.

— Widziałem, jakjechała Main Street, więc zatrąbiłem i zjechała na bok. Wsiadłem i rozmawialiśmy przez chwilę... — Przerwał, jakby czekając na jakieś pytanie. — W każdym razie, wygląda dobrze. Chociaż jest trochę za chuda. Już miałem coś o tym wspomnieć, ale wtedy ona powiedziała mi, że trenuje do maratonu...

Fiona przekreśliła się i sięgnęła na podłogę po swoją bieliznę.

— Mówiła, że poznałaśjej narzeczonego. — Przerwał i odchrząknął. — Podobał ci się?

— Taa, podobał. Wygląda na całkiem miłego. Trochę nerwowy, ale ma niezłe poczucie humoru. — Wstała i założyła majtki. — I szaleje za nią — dodała, a cisza, która nagle zapadła, potwierdziła myśl, która dręczyła ją, gdy się kochali. Że przez cały ten czas myślał tylko o Elizabeth.

Rozdział 5

Fiona zerknęła w lustro, gdy koło niego przebiegała. Wciąż nie była zadowolona ze swojego wyglądu. Na łóżku i podłodze piętrzyły się sterty ubrań. Przymierzyła chyba wszystkie stroje ze swojej szafy. Nic nie wydawało się odpowiednie. Od chwili, gdy Elizabeth zadzwoniła do niej do pracy i zaprosiła ją na kolację, czuła, że coś zaciska się w jej piersi jak pięść. W tonie jej kuzynki słyszeć było niepokój. Mówiła zdyszonym, pełnym napięcia głosem.

Poczuła się jednak lepiej w drodze do restauracji. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni ona i Elizabeth spędzały czas tylko we dwie. Skręciła w Main Street i rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania w pobliżu Verzanno's. Elizabeth powiedziała, że jeden z pracujących z Rudym lekarzy uwielbiał to miejsce. Miały jeść kolację bez niego, ale pewnie przez cały wieczór będzie tak: Rudy to i Rudy tamto. Tak jak wtedy, gdy Elizabeth spotykała się z Georgem. George lubi groszek, George uważa, że nie powinnam obcinać włosów, George mówi...

Uśmiechając się, wjechała tyłem na wolne miejsce przy rogu. W tym tygodniu spędziła z Georgem wszystkie noce. Dziś rano zadzwonił do niej do pracy, lecz kiedy w końcu mogła oddzwonić, już go nie zastała. Zostawiła na jego sekretarce wiadomość, że będzie jadła kolację z Elizabeth i wróci do domu po dziewiątej. Nie potrafił zrozumieć, jak może żyć bez telefonu. zaproponował, że pomoże jej opłacić stare rachunki, lecz ona nie chciała, by ich związek zaczynał się od tego, że George będzie decydował, co ona powinna, a czego nie powinna robić. Pewnego wieczora spytał ją, dlaczego zawsze ubiera się w takie obcisłe rzeczy, a potem, widząc, że oczy zaczynają jej płonąć, próbował się wykręcić, pytając, czy obcisłe rzeczy nie są niewygodne.

— Absolutnie nie — odparła, patrząc na niego ze spokojem. Podoba jej się, jak wyglądają i jak się w nich czuje.

Idąc ulicą, zauważyła drabinę ustawioną przed sklepem z upominkami Najlepsze Życzenia. Na drabinie, w połowie wysokości, stał Patrick Grady i mył niewielkie okienko. Spryskał płynem kolejną szybę i pochylił się, szorując w skupieniu. Jego ręka zawisła w powietrzu i przesunęła się pośpiesznie z powrotem ku szybie. Wiedziała, że zobaczył jej odbicie.

— Cześć — zawołała, lecz on nie przestawał myć i nie odwrócił się do niej. — Wygląda nieźle. Odwalasz kawał dobrej roboty — dodała.

Spryskał następną szybę, odstawił butelkę i zaczął wycierać szmatą krawędzie okna. Zgarbił się na swojej drabinie.

— Och, czy robisz mi kłopot? — Podeszła do drabiny. — A może nie słyszysz. Mogę mówić głośniej — ciągnęła, podnosząc głos. Przytknęła złożone w trąbkę dłonie do ust. — Tak lepiej? Teraz mnie słyszysz? — zawołała.

— Wynos się stąd! — odparł, odwracając się, a jej zrobiło się słabo na widok pełnego nienawiści wyrazu jego twarzy. Myślała o nim takim, jakim był wiele lat temu, przystojnym i nieulekłym, upozowanym na najwyższej półce kamieniołomu, gdy dziewczęta piszczały i błagały go, by nie skakał. Czy wśród nich była jej matka? Krzyczała do niego, błagała, żeby tego nie robił. Jej ciotka powiedziała, że Natalie błagała go, by nie jechał do Wietnamu. Zmarnowane życie, taka strata i ból.

— To publiczny chodnik. — Założyła ramiona na piersiach. — Mogę tu stać tak długo, jak będę chciała.

Wrzucił swoje szmaty i butelkę do plastikowego wiaderka i szybko zszedł z drabiny.

— O co chodzi? — spytała, gdy szarpał za linkę, by złożyć górną część drabiny, która ustąpiła z metalicznym szczykiem. — Dlaczego nie możesz ze mną rozmawiać? — Podążyła za nim do alejki, gdzie otworzył gwałtownie tylne drzwi starego, niebieskiego kombi i wrzucił swoje przybory do środka. — Powiedziałeś, że to ja powinnam się bać, ale to ty wyglądasz na przestraszonego. Dlaczego? Myślisz, że ja czegoś od ciebie chcę? Że zacznę mówić do ciebie „tatusiu” czy coś w tym rodzaju? — Zaśmiała się i ruszyła za nim wzdłuż auta. Spytała, czy zdaje sobie sprawę, jak śmieszne by to było po tych wszystkich latach. — Przecież mam teraz trzydzieści lat.

Zapauzował silnik, gdy tylko wszedł do samochodu. Nachyliła się do okna po jego stronie.

— Chcę tylko...

— Odczep się ode mnie, do cholery, dobrze? — warknął.

— Chcę tylko móc z tobą porozmawiać, to wszystko! — krzyczała w cyklonie kurzu, gdy jego wóz pędem wyjeżdżał z alejki.

W pokrytych strużkami wosku butelkach po chianti migotały czerwone świece. Na niskim, łukowo sklepionym, pokrytym stiukiem suficie igrały światła i cienie. Przypominająca jaskinię mała sala jadalna zdawała się jeszcze mroczniejsza przez wilgotny aromat czosnku i czerwonego wina. W chwili, gdy zobaczyła swoją kuzynkę, poczuła się lepiej. Elizabeth siedziała przy małym stoliku w samym rogu, w głębi sali. Uśmiechnęła się, kiedy Fiona pośpieszyła w jej kierunku.

— Wiem, jak zawsze spóźniona — odezwała się Fiona, ściskając ją, zaniepokojona, że Elizabeth wydaje się taka krucha. Kuzynka cofnęła się nieznacznie, z wyciągniętą ręką, jakby chciała złapać wszystkie kości, które Fiona jej powrywała.

Kelnerka zebrała ich zamówienia na drinki: daiquiri dla Elizabeth i piwo dla Fiony.

— Boże, Lizzie, jesteś taka chuda! — wyrzuciła z siebie Fiona, gdy tylko kelnerka odeszła. — Co się dzieje? Dobrze się czujesz?

— Właściwie to trenuję — odparła Elizabeth, uśmiechając się szeroko.

— Do czego, do marszu śmierci?

Elizabeth roześmiała się.

— Będę startować w wiosennym maratonie, w kwietniu, więc teraz się przygotowuję.

— W kwietniu! No, jeżeli nadal tak będziesz chudła, to chyba wystartujesz w wyścigu na wózkach inwalidzkich. Jeżeli będziesz miała szczęście — dodała, nie mając ochoty mówić więcej. W tej rodzinie zawsze uważano, że zwracanie uwagi na problemy tylko je pogłębia.

— Cóż, do tego jeszcze tyle się dzieje — odezwała się Elizabeth ze zmęczonym uśmiechem. — Tato jest chory, pomagam Rudy'emu osiedlić się tutaj. W końcu znaleźliśmy mieszkanie, które mu się podoba, przy Cornish Street. Przy samym szpitalu.

— A co się dzieje z wujkiem Charlesem?

— Miał bóle w klatce piersiowej, więc zawieźliśmy go do Bostonu. Trzymali go przez kilka dni w Ogólnym i robili wszystkie testy, i wszystkie dały wynik ujemny. Fiono! — Elizabeth pochyliła się do niej i dotknęła jej ręki. — Powinnaś teraz zobaczyć wyraz swojej twarzy. Wynik był ujemny. Nic się nie dzieje...!

— Nie wiedziałam, że jest chory. Dlaczego nikt mi nie powiedział?
— Czuła się ogłuszona.

— Nie masz telefonu, Fiono.

— Mogłaś zadzwonić do pracy. Tak jak dzisiaj.

— Ale to co innego. Wiesz, jak bardzo są skryci, jeśli chodzi o takie sprawy — odparła Elizabeth cichym głosem. — I tata nie chce, żeby ludzie wiedzieli.

— Ludzie! I ja też do nich należę? Jezu Chryste!

Elizabeth wyprostowała się sztywno, jej cienkie, jasne włosy zakołysały się w przód i w tył nad ramionami. Zaciśnęła swoją delikatną szczękę, aż stała się szpiczasta, jak u ojca, którego przypominała bardziej niż którekolwiek z nich.

— Wiesz, że nie to miałam na myśli — odparła.

— Więc dlaczego nikt mi nie powiedział?

— Wszystko stało się tak szybko. — Elizabeth wyjaśniła, że bóle zaczęły się późno w nocy, po kolacji zaręczynowej.

— To przeze mnie, prawda? Kiedy powiedziałam to o mojej matce.
— I dlatego nikt jej nie powiadomił.

— Masz na myśli to, że twoja matka zadzwoniła? Oczywiście, że nie! Nie, wszyscy tak cieszyliśmy się twoim szczęściem, wiesz o tym. — Elizabeth pochyliła się, jak zawsze zaintrygowana tajemnicą Natalie. — Umieram z ciekawości. Zadzwoniła jeszcze raz?

— Jasne, że nie. Nie mam telefonu, prawda?

— Więc jak zadzwoniła wcześniej? — spytała Elizabeth, obserwując ją z taką uwagą, że Fiona wiedziała, że to pytanie członkowie rodziny już wcześniej sobie zadawali.

— To było zeszłego lata. W moim starym mieszkaniu.

— I dlaczego wtedy nam nie powiedziałaś?

— Kiedy? Kiedy wykluczaliście mnie z rodziny? — Podniosła głos.
— Jeżeli pamiętasz, nikt nie chciał wysłuchać niczego, co miałam do powiedzenia!

— Och, Fiono, Fiono — uspokajała ją Elizabeth, trzymając ją za rękę. — Bądźmy po prostu szczęśliwe. Proszę. Tak jest o wiele łatwiej.

Tak, dla niektórych — pomyślała, obserwując swobodny uśmiech kuzynki, gdy kelnerka podawała drinki. Nawet jako mała dziewczynka, gdy Fionę wysyłano do jej pokoju, przekonaną, że nikogo nie obchodzi i nikt jej nie rozumie, Elizabeth zawsze wsuwała karteczki pod jej zamkniętymi na klucz drzwiami. Pisała: „Po prostu bądź grzeczna. To wszystko, czego chcą Mamusia i Tatuś. Po prostu spróbuj.”

Kelnerka spytała, czy chcą teraz złożyć zamówienie. Elizabeth odpowiedziała, że czekają jeszcze na kogoś.

— Na Rudy'ego — poinformowała Fionę. — Umówiłam się z nim o siódmą, żebyśmy mogli spędzić trochę czasu tylko we dwie.

— Och. — Fiona uśmiechnęła się, by ukryć swój zawód. Powinna była wiedzieć, że i w tym związku będzie obecna ta sama schematyczna, małżeńska intensywność. Wciąż pamiętała, jak to miały po piętnaście lat i przechodząc kiedyś koło męskiego fryzjera, zobaczyła tam usadowioną sztywno Elizabeth, czytającą czasopismo, jak czyjaś żona lub matka, podczas gdy George się strzygł.

— Staram się, żeby był ciągle zajęty — powiedziała Elizabeth. Mimo że Rudy upierał się, że jest tu szczęśliwy, Dearborn musiało być dla niego nudne po latach spędzonych w Nowym Jorku. — Jest taki żywy. Należy do takich bardzo energicznych osób. Wiesz, takich, co nie chodzą, tylko biegną. On ciągle musi coś robić.

Przed oczami Fiony zamigotał obraz Rudy'ego, który biegnie od swojego samochodu, by zabandażować ranę Todda Prescottta.

— W dwa dni nie tylko zrobił półki na książki, ale jeszcze pomalował całe swoje mieszkanie — oznajmiła Elizabeth.

— Swoje mieszkanie? — przerwała Fiona. — A ty tam nie mieszkasz?

— Nie, mieszkam nadal w domu.

— Żartujesz!

— Cóż, zostaję u niego czasami.

— Mam nadzieję, że to małżeńskie wizyty. — Roześmiała się. — Chodzi mi o to, że w końcu jesteście zaręczeni — dodała łagodnie, widząc ściągniętą twarz Elizabeth. — A ślub dopiero na przyszłą jesień. — Elizabeth patrzyła na nią z niemal dziewczęcym skrepowaniem. — No, nie będziesz chyba mieszkać przez ten cały czas w domu, prawda?

— Może będę — odparła Elizabeth z napięciem w głosie. — A może nie.

— Ale dlaczego? To wydaje się takie... niepotrzebne. — Niemal nie powiedziała „nienaturalne.”

Chodzi o matkę i ojca, jak próbowała wyjaśnić Elizabeth. Potrzebował jej w domu. Nie wiedziała za bardzo, co się dzieje. Nie są chorzy ani nic w tym rodzaju, ale wydają się tacy zmęczeni, znużeni, postarzali, smutni. Właśnie to. Tak, smutni.

— Czasami wyglądają po prostu na takich smutnych — dodała.

Obawiając się odpowiedzi, Fiona nie pytała, dlaczego. Gdyby tylko była dobra. Gdyby się tylko starała. Tylko tego chcieli. To lato było ważną lekcją. Powiedziała im całą prawdę, lecz oni założyli najgorsze. I zawsze tak było. Zawsze spodziewali się, że zawiedzie, i zawsze tak już będzie.

Elizabeth opowiadała, jak bardzo cieszy się, że wróciła, że cały czas widuje starych przyjaciół i znajome twarze.

— Wiesz, wpadłam na George'a w zeszłym tygodniu — oznajmiła. — Mówił, że widuje cię czasami w kawiarni.

George. Fiona uśmiechnęła się szeroko.

— Wyglądał na zmęczonego. Biedny George, zawsze wydaje się taki samotny... — westchnęła Elizabeth.

— Nie martwiłabym się aż tak o biednego George'a. — Mrugnęła. — Wiedzie mu się dobrze.

— Nie wiem. Pomyślałam, że wygląda na takiego smutnego — odparła Elizabeth, a Fiona przygryzła wargi. Jediną oznaką próżności jej kuzynki było to, że zakładała, że wraz z jej nieobecnością życie innych ludzi nieuchronnie się zatrzymuje. — A mówiąc o smutku — ciągnęła Elizabeth — wczoraj wpadłam na Ann Lewis. Powiedziała mi, że Krissy Glidden wprowadziła się z powrotem do rodziców. — Pochyliła się nad stołem i wyszeptała: — Okazało się, że w noc po urodzinach ich dziecka Brad upił się i przespał z inną kobietą.

— Z kim? — Fiona nie spuściła wzroku, choć przyczyna, zarówno tego spotkania, jak i tego, że narzeczony miał przybyć później, stała się jasna. Ann Lewis była w liceum najlepszą przyjaciółką Elizabeth. Więc teraz wszyscy już wiedzieli. Rodzina wysłała swojego najżyczliwszego emisariusza, by zająć się, jak do tej pory, najnikczemniejszym występkiem Fiony. Rozpoznała błaganie w pełnych niepokoju oczach kuzynki. Dlaczego robisz te okropne rzeczy? Co jest z tobą?

— Ann mi nie powiedziała. — Elizabeth spojrzała na zegarek. — Ale posłuchaj, zanim przyjdzie Rudy, jest coś, o co chciałabym cię spytać. — Wzięła rękę Fiony w swoje dłonie. Drżały jej usta, a w oczach błyszczały łzy.

Fionie waliło serce. W porządku, powie prawdę, nie żeby to było jakieś usprawiedliwienie, ale Glidden ją wykorzystał, kiedy za dużo wypila. Nie, lepiej zaprzeczyć wszystkiemu. Jej słowo przeciwko jego słowu.

— Fiono, czy zechcesz być moją pierwszą druhną?

— O Jezu! — wykrztusiła. — Pierwszą druhną?

— Wiem. Wiem, co myślisz o całym tym zamieszaniu, ale możesz wybrać taką suknię, jaka ci się spodoba, nie przejmując się tym. Proszę.

— Oczywiście! Po prostu całkiem mnie zaskoczyłaś. Nie mogę uwierzyć, że poprosiłaś mnie, a nie Ginny, twoją siostrę. Czy nawet Ann.

Elizabeth wyglądała na zaskoczoną.

— Nie pamiętasz naszej obietnicy z dzieciństwa?

— Tak, ale... — Oczy Fiony wypełniły się łzami tak nagle, że zauważyła Rudy'ego Larkina dopiero wtedy, gdy odsuwał krzesło i siadał przy stoliku.

— No, ale będzie zabawa. Kolacja z dwiema płaczącymi kobietami! — powiedział, sprawiając, że śmiały się i płakały jeszcze mocniej, wydmuchując nosy i usiłując wytłumaczyć mu, jak bardzo są obydwie szczęśliwe.

Z początku Rudy wydał się Fionie wyższy, niż pamiętała. Po chwili zdała sobie sprawę, że to nie był jego wzrost czy masa, lecz raczej wewnętrzne ożywienie, jakaś pochodząca z jego wnętrza energia, zniewalająca i ekspansywna, jak zbierająca się burza, od której włosy stają dęba, gdy nabiera siły. Jego głęboki, szczery śmiech natychmiast zwracał życzliwą uwagę innych ludzi. Gdy mówił, bez przerwy poruszał rękami, rysował całe koła lub łuki zachwytów i zadziwień, a teraz niespodziewanie kął prosty, gdy skrzywił się na błaganie Elizabeth, by ściszył głos. Trzymając się kurczowo stołu, jakby po to, by się opanować, przeprosił, rzeczywiście zmartwiony, że mógł zakłócić spokój innym gościom. Wobec takiego entuzjazmu Elizabeth zdawała się mała i blada, choć było jasne, tak jak i w czasie ich zaręczynowego przyjęcia, że miała nad nim dużą władzę. Mogła pozwolić mu posunąć się do pewnego punktu, a potem, ostrym spojrzeniem czy westchnieniem, szybko go ujarzmić. Teraz zgrabnym ruchem odgarnęła mu włosy i wyładziła zmięty krawat.

— Uważa, że jestem flejtuchem — oświadczył ze śmiechem.

— Nieprawda! — wykrzyknęła Elizabeth, a jej głos był piskliwy, prawie łamiący się, po jej drugim daiquiri. Fiona była zaskoczona, widząc, że Elizabeth je więcej niż każde z nich. — Myślę, że jesteś po prostu jednym z tych geniuszy, którzy nigdy nie poświęcają czasu samym sobie.

— A zatem bystry flejtuch — oświadczył Rudy, mrugając do Fiony, i jakby dla podkreślenia tych słów, wypił ostatni łyk swojego piwa imbirowego z donośnym chlipnięciem.

— Więc doskonale do siebie pasujecie. Elizabeth jest urodzoną wychowawczynią — odparła Fiona i obydwie popatrzyły na siebie z ulgą. Siedziała cicho przez większą część kolacji. Gdy odezwała się tych niewiele razy, uwaga Rudy'ego tak ostro skupiła się na niej, że poczuła się

niemal tak, jakby była obiektem badań naukowych. Niepokojące było to, w jaki sposób potrafił włączyć i wyłączyć tak wielki entuzjazm. Jednak Fiona sama wystarczająco często musiała wkradać się na powrót w łaski Elizabeth, by rozpoznać ten syndrom. Rudy stał wyraźnie tutaj po rozpalonych węglach. Sprawiał wrażenie, jakby o wiele bardziej starał się nie ściągać na siebie niezadowolenia narzeczonej, niż wzbudzać jej zadowolenie. Ale może to jego lekarska natura, a także fakt, że one piły, a on nie. Założyła, że zachowuje trzeźwość, bo ma dzisiaj dyżur, dopóki Elizabeth nie poinformowała jej, że nigdy nie dotyka alkoholu. Widziała, jak wsuwa sobie do ust kostkę lodu. Abstynenci niepokoił ją, sprawiali, że czuła się skrępowana tym, że sama pije.

— Od razu coś w tym było, gdy tylko ją zobaczyłem — rzekł Rudy. Zaczął opowiadać Fionie o ich pierwszym spotkaniu. Pracował nocami w Miejskim Szpitalu Klinicznym, by spłacić zaciągnięte na studia medyczne pożyczki. Pacjentami kliniki byli miejscy biedacy, trochę nastolatków, ale głównie ludzie ulicy. Zdarzyło się to późno w nocy, w sobotę, i właśnie zszło czoło pijanej kobiecie, kiedy wolontariuszka ze Schroniska dla Kobiet weszła, by sprawdzić, czy już skończył. Czekala, żeby odwieźć kobietę z powrotem do schroniska.

— „To ona!”, wrzasnęła ta pijana kobieta. — Rudy roześmiał się. — „To ona mi to zrobiła! Wezwijcie policję! Chcę, żebyście ją aresztowali, a ja z samego rana przyjdę złożyć zeznanie.”

— A ty co wtedy powiedziałaś? — spytała Fiona Elizabeth, w której szczerą i prostą dobroć ironia uderzała zwykle z cichym, tępym łomotem.

— Nie wiedziałam, co powiedzieć! — odparła Elizabeth, potrząsając głową.

— Zamarła! — śmiał się Rudy. — Dosłownie zamarła.

— Ale powiedz jej, dlaczego! — nalegała Elizabeth, rozwierając szeroko oczy w udawanym rozdrażnieniu.

Wzruszył ramionami.

— Zadałem tylko oczywiste pytanie, nic więcej. Spytałem, dlaczego uderzyła tę uroczą, starszą damę, a ona po prostu stała, twarz mieniła jej się dziesięcioma różnymi odcieniami czerwieni. Jąkała się, gdy opowiadała, że to wszystko pomyłka, a ja źle to zrozumiałem...

Zdarzyło się to zeszłej zimy, ale nadal śmiał się z tego tak bardzo, że ledwie mógł mówić. Fiona popatrzyła po nich i uśmiechnęła się. W ich wspólnym życiu on będzie opowiadał tę historię jeszcze ze sto razy przyjaciółom i znajomym, dzieciom i wnukom. Tak samo było z wujkiem Charlesem i ciotką Arlene, z historią ich spotkania, legendarnym przecię-

ciem się dwóch linii życia, dzięki któremu powstała rodzina. Ambitny młody prawnik, który zakochał się w swojej znakomitej sekretarce, lecz obawiając się odrzucenia, odzywał się do niej tylko wtedy, kiedy było to niezbędne, aż do dnia, gdy poważna, młoda kobieta weszła do jego pokoju i złożyła wymówienie. Kiedy spytały ją o powód, powiedziały, że nie potrafi pracować dla kogoś, kto jej nie lubi. „Nie lubię cię? Ja cię Kocham!”, miał wyrzucić z siebie wujek Charles do zaskoczonej i zmieszanej ciotki Arlene.

Teraz Elizabeth miała opowiedzieć swoją część historii.

— A potem wyjrzał na korytarz i udawał, że rozmawia z policjantem, zwracając się do niego głośno „panie władzo”. Powiedziała, że nie tylko dopilnuje, by Wilma wróciła bezpiecznie do schroniska, ale nawet sam ją tam zawiezie!

— O Boże, co za mistrz podrywu — jęknęła Fiona, z łatwością wyobrażając sobie konsternację Elizabeth.

— Też tak myślałem! — odparł Rudy. — Ale potem przez całą drogę do schroniska Wilma siedziała jak najdalej od Elizabeth, kuliła się i mamrotała, żeby Elizabeth lepiej więcej jej nie dotykała, i że dobrze, że tu jestem, by ją bronić. Właściwie Wilma zaczęła się nawet do mnie trochę przystawiać...

— Powiedz jej, dlaczego! — ponaglała Elizabeth.

— No, mówiłem jej tylko, jak powinna się zrelaksować i że nie pozwolę, żeby coś jej się stało.

— Czyli innymi słowy udał ci się podwójny podryw, tak? — zauważyła Fiona.

— No, może i byłby, gdyby nie to, że kiedy w końcu udało mi się wy dostać Wilmę z samochodu i zaprowadzić do schroniska, Elizabeth wybiegła, żeby mi podziękować i powiedzieć, że nie chciała nic mówić z lęku, że znowu rozdrażni Wilmę, ale chciała, żebym wiedział, że nie miała absolutnie nic wspólnego z tą raną Wilmy! Możesz w to uwierzyć? — powiedział, śmiejąc się tak głośno, że ludzie przy sąsiednim stole odwrócili się i uśmiechnęli.

Elizabeth chwyciła go za rękę.

— Pst — wyszeptała. — Wszyscy słuchają.

— Wierzę — odparła Fiona, a potem opowiedziała podobną historię o naiwności Elizabeth z czasów ich dzieciństwa.

— Nie! Och nie! — Roześmiał się, a Elizabeth też się śmiała, aż nagle wstała i powiedziała, że zaraz wróci. Popędziła do toalety.

— Nie zrobiło jej się chyba niedobrze, prawda? — spytała Fiona, wyczuwając zaniepokojenie Rudy'ego, gdy obserwował oddalającą się Elizabeth.

Wziął głęboki oddech, jakby chciał coś powiedzieć. Darował sobie jednak. Zaczął zaginać brzegi pustej torebeczki po cukrze, równie pochłonięty małąkami zagięciami, co ona — niezręczną ciszą.

— No i co myślisz o starym, dobrym Dearborn? — spytała.

Podniósł wzrok z tak dziwną i nagłą intensywnością, że u kogokolwiek innego wydawałoby się to wyczerpującym nerwowo wyczynem.

— Pięknie tu! Uwielbiam Dearborn! Czuję się tak, jakbym tu mieszkał od lat.

— Cóż, gdyby tak rzeczywiście było, nie uważałbyś pewnie, że jest aż tak piękne.

— Dlaczego? Dlaczego tak mówisz? — spytał z wielką powagą.

— No cóż, nic nie jest tak piękne, jak wydaje się na samym początku. To tylko powłoka. Jeszcze nie dojrzałeś wszystkich rys i brudów.

— Pewnie masz rację — odparł z chichotem. — Ale nie zapominaj też, że jeżeli żyjesz wystarczająco długo wśród tych rys i brudów, przestajesz je widzieć.

— Ja ciągle widzę.

— Może dlatego, że ich szukasz.

— Nie, po prostu jestem realistką. Widzę świat tak, jak naprawdę wygląda — odparła, zirytowana jego zadowoleniem z siebie.

— Cóż, nie uważasz, że tak jest z większością ludzi?

— Nie! Wiem, że nie.

— Ale większość ludzi akceptuje fakt, że wszystko ma jakieś wady. Wszyscy popełniamy błędy.

Więc o to chodziło. Zmierzyła go wzrokiem.

— A co, do cholery, przez to rozumiesz?

Wybuchnął śmiechem.

— Cóż, na pewno nie to, co ty, do cholery, masz na myśli! Cokolwiek by to było!

— Wiem, co masz na myśli — odparła cichym głosem. — Wiem dokładnie, co masz na myśli. Tamten dzień. Dzień przyjęcia. Na polu? To, że byłam skuta kajdankami? Myślę, że pamiętasz, i to właśnie miałeś na myśli, prawda?

Zmarszczył brwi i potarł policzek.

— Wiesz, że może masz rację.

— Dobrze! W porządku! Więc wyłóżmy wszystkie karty na stół, tu i teraz. Już powiedziałaś Elizabeth?

— Nie. Nie powiedziałem!

— A zamierzasz? Bo chodzi o to, że nie obchodzi mnie, czy jej powiesz, naprawdę nie dbam o to, pod warunkiem, że będę o tym wiedziała. I nie chcę spędzić następnych dziesięciu lat, myśląc za każdym razem, gdy cię zobaczę: „No, powiedziała jej czy nie?”

Popatrzył na nią szeroko otwartymi oczami, kręcąc głową, a potem zaczął się śmiać tak mocno, że świeczka na stole zamigotała i zasyczała. Siedząca z nim kobieta odwróciła się, by na niego popatrzeć.

— Tak, słucham panią? — odezwała się wtedy Fiona, a kobieta natychmiast się odwróciła.

Potrząsnął głową.

— Powiem ci prawdę. Nie, nie zamierzam nic mówić, ale... — znów zaczął się śmiać. — Umieram z ciekawości. Mogłabyś mi powiedzieć? Za każdym razem, kiedy o tym myślę, poddaję się! To znaczy, w jednej chwili jesteś tam, przykuta do wozu policyjnego, a potem już nas sobie przedstawiają, jakbym nigdy w życiu nie spotkał tej kobiety. Podajemy sobie nawzajem nadzieję i sos do pieczenia, i obydwójce wiemy, co się właśnie wydarzyło.

— To długa historia — odpowiedziała, śmiejąc się również, lecz nie z taką samą rozkoszą jak on. Opowiedziała o tym, jak zgasł jej silnik i Todd zaproponował jej podwiezienie samochodem, który, jak powiedział, należał do niego. — Myślę, że prawda jest taka, że w moim życiu było zawsze zbyt wielu palantów. — Zerknęła w głąb restauracji. — Ona jest tam już strasznie długo. Lizzie nie jest przyzwyczajona do picia. Może powinnam pójść i sprawdzić, czy wszystko w porządku...

Właśnie się podnosiła, gdy pojawiła się Elizabeth, zmierzając szybko do ich stolika.

— Zaczynaliśmy już myśleć, że poszłaś do domu. — Rudy patrzył na nią, gdy siadała.

— Chcielibyście, co? — spytała z ożywionym uśmiechem.

Po kolacji poszli Essex Street do Dusty's Grill. Kiedy zajęli miejsca, Elizabeth spytała, czy Fiona nie pobiegałaby z nimi o wschodzie słońca, lecz Fiona nie mogła. Musiała być bardzo wcześnie w pracy. Rudy pił czarną kawę. Obydwie, Fiona i Elizabeth, zamówiły to samo: Jacka Daniela'sa i colę, lecz Elizabeth wypita już prawie całego drinka. Wydawało się, że myśli, iż musi krzyczeć, by ją słyszano. Wciąż uśmiechała się szeroko do Rudy'ego i opierała głowę na jego ramieniu.

— Kiedy byliśmy w liceum, Fiona była najszybszą biegaczką w drużynie lekkoatletycznej, a potem odeszła — powiedziała do Rudy'ego Elizabeth i popatrzyła poprzez stolik jak przez mgłę. — Dlaczego odeszłaś? Nigdy tego nie zrozumiałam. Byłaś taka dobra.

— Nie wiem. Pewnie czułam się skrępowana czy coś w tym rodzaju — odparła. Tak naprawdę została wyrzucona z drużyny za picie w autobusie po spotkaniu wyjazdowym.

— Skrępowana?! Ty? — powtórzyła Elizabeth, wskazując na nią. — Nie masz ani odrobiny skrępowania, Fiono Range. Nie ma — upierała się, zwracając się do Rudy'ego, który potakiwał uprzejmie.

Fiona uśmiechała się, lecz jej stopa w rozdrażnieniu wybijała pod stołem szaleńczy rytm, a w głowie kręciło jej się od obrazów: tańczy z Goldie, psem, potem z Larrym Belleau, a teraz niemal słyszy szcęk mechanizmu zapadkowego drabiny Patricka Grady'ego, gdy ten śpieszy się, żeby od niej uciec. Była zmęczona. Wkrótce wszyscy w mieście dowiedzą się, że to ona była kobietą, z którą przespał się Brad Glidden. Łyknęła swojego drinka. Pieprzyć to. To on był zony. To jemu właśnie urodziło się dziecko. To on złożył śluby, których powinien był dotrzymać. Nie ona. To on zrobił coś złego. Nie ona. Elizabeth spytała, jak jej kurs. Odpowiedziała, że w porządku. Chciała wracać do domu. Elizabeth zapytała niewyraźnym głosem, czy Lee Felderson jest dobrą nauczycielką. Fee Lelder-son. Fiona odparła, że jest w porządku. Elizabeth usiłowała powiedzieć Rudy'emu, że Lee była jedną z najlepszych koleżanek Ginny. Było gorąco, muzyka grała zbyt głośno i ból sprawiało jej obserwowanie, jak Elizabeth się nad tym mozoli. Rudy siedział bardzo cicho ze słabym uśmiechem na twarzy, jedynym śladem jego wcześniejszego ożywienia. Mieszał w pustej filiżance. Od strony baru nadpłynął dźwięk podniesionych, protestujących głosów i Rudy wygiął szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje.

— Jest tu jakiś twój przyjaciel? — spytała Elizabeth i w chwili, gdy Fiona odparła, że nie, wiedziała, co się szykuje.

— Fiona ciągle tu dawniej bywała — oznajmiła głośno Elizabeth. — Raz wdała się z kimś w taką straszną bójkę i barman kazał jej wyjść, ale ona nie wyszła, więc zadzwonili do mojego ojca, żeby tu po nią przyjechał i ją zabrał. Nie mógł w to uwierzyć. Miała tylko siedemnaście lat, ale Fiona zawsze miała najlepsze podrobione dowody osobiste, prawda, Fee? — spytała, chociaż to do Rudy'ego uśmiechała się uszczęśliwiona, usiłując zaimponować mu nieszczęśliwymi przypadkami Fiony.

— Tylko najlepsze — powiedziała Fiona, spuszczać wzrok, gdy Elizabeth ciągnęła dalej.

— W każdym razie, kiedy mój ojciec próbował ją stąd wyciągnąć, barman powiedział do niej coś brzydkiego czy coś w tym rodzaju, a mój ojciec chwycił go i powiedział, że jeżeli powie do niej jeszcze słowo, każe go aresztować za obsługiwanie nieletnich. Ciągle jeszcze pamiętam tę noc. Był taki wściekły. A potem, następnego ranka, wszystko było tak jak zawsze. Jakby nic się nie stało. Nigdy nie wiedziałam, jak udało ci się to zrobić. Jak to zrobiłaś, Fiono? — Ciężkie powieki Elizabeth były w połowie zamknięte.

— Czar — odparła miękko Fiona.

— A my, wystarczy, że coś przeszkrobaliśmy i już mieliśmy kłopoty — mówiła dalej Elizabeth. — Szczególnie Jack. Biedny Jack. Zawsze musiał wysłuchiwać tych wszystkich uwag, znosić kary. Ciągle miał szlaban. Ale Fiona nie.

— Ech, dziwne zwroty rodzinnej dynamiki — skwitował Rudy, przywołując szybkim gestem kelnera z rachunkiem.

— Rudy był jedynakiem — opowiadała Elizabeth Fionie, kiedy otoczyła jego ramiona swoimi. — I mieszkał tylko z matką. To niezwykła historia. Przez większość czasu musiał się nią opiekować, ciągle przyjmowali ją i wypisywali ze szpitali psychiatrycznych.

— Przestań, Elizabeth. To takie osobiste — powiedziała Fiona. Kelner stał przy stole, a Rudy wyjmował swoją kartę kredytową.

— Ale to takie zdumiewające — ciągnęła Elizabeth. — Tak bardzo go podziwiam. Myślę o tym i po prostu chce mi się płakać. Wyobrażasz sobie? Mały chłopczyk, a musiał robić zakupy i gotować, i robić po prostu wszystko, prawda? — spytała, nieświadoma ani tego, że kelner zdążył odejść, ani tego, że wrócił znów do ich stolika.

— Pozbawienie opieki ma swoje zalety — odparł Rudy i podpisał kwitek. — Jedliśmy to, co chciałem, i mogłem przez całą noc oglądać telewizję. — Podniósł wzrok i uśmiechnął się. — Przez wiele dni, jeżeli bym chciał.

— Biedactwo — oznajmiła Elizabeth, pocierając brodą o jego ramię. — Biedny Rudy.

— Przychodziłem i wychodziłem, kiedy mi się podobało — powiedział do Fiony. — I nigdy nie miałem godziny policyjnej.

— Szczęśliwiec — odparła, rozdrażniona widokiem Elizabeth, którą również łatwo odurzał alkohol, co smutek w życiu Rudy'ego. Chciała już iść.

— Pewnie. — Roześmiał się. — Na swój sposób. I ciągle nim jestem.

— Poczekaj! — odezwała się Elizabeth, gdy Fiona zaczęła wstawać.
— A co z Toddem? — Elizabeth rozejrzała się, jakby mógł gdzieś tu być.
— Widziałas go ostatnio?

— Staram się go unikać — odparła Fiona, a Rudy usiłował powiedzieć Elizabeth, że powinni już iść.

— Ojciec Todda ma najwytworniejszy magazyn meblowy w Massachusetts — mówiła Elizabeth, ignorując go. — On i Fiona zaczęli chodzić ze sobą na serio w gimnazjum. Ojciec dostał szału. Zawsze byli razem, a on był najbardziej szalonym chłopakiem w całym mieście, ale był taki bogaty, miał ważną rodzinę, wiesz, więc ojciec nie mógł za wiele zrobić. — Czknęła cicho. — Prawda, Fiono? — Zachichotała. — Nikt nie potrafił tak otumanić taty jak Fiona. Żadne z nas. Nieważne, co zrobiła. Tak się wściekał, ale nigdy nie wiedział, co zrobić, prawda, Fee? — Roześmiała się, jakby to było jakieś wybitne osiągnięcie. — Boże, zawsze udawało ci się ogłupić mojego biednego tatę. — Zamknęła oczy i potarła dłonią ramię Rudy'ego. — I ciągle to robi, prawda, Fee? — wymruczała.

— Cóż, gdybym tego nie robiła — odparła Fiona, świadoma pełnego zakłopotania uśmiechu Rudy'ego — ten człowiek poszedłby żywcem do nieba. Ja tylko sprawiałam, że pozostał istotą z krwi i kości.

Elizabeth złożyła się wpół ze śmiechu.

— To prawda. Jeszcze jak! — wykrztusiła. Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

— Lizzie! — powiedziała Fiona. — Ja tylko żartowałam!

— Wiem! Wiem... — szlochała teraz Elizabeth. — Jestem tu z dwójkiem najcudowniejszych ludzi na całym świecie i spójrzcie na mnie. Jestem wrakiem. — Łzy Elizabeth wsiąkały w serwetkę koktajlową, którą zakryła twarz. — Po prostu wrakiem.

— Tylko trochę się upiłeś, Lizzie, to wszystko — wyszeptała Fiona do ucha kuzynki. Rudy podniósł torebkę Elizabeth i pomagał jej założyć płaszcz.

— Przepraszam — odezwała się Elizabeth, kiedy wyszli na zewnątrz. — Ja naprawdę chciałam, żebyśmy dziś wieczorem wszyscy byli szczęśliwi.

— Byliśmy — odpowiedział miękko Rudy.

— I wciąż jesteśmy! — dodała Fiona. Zobaczyła teraz wyraz urazy na jego obliczu i zamarły uśmiech kuzynki. Słysząc było tylko suchy szelst i szuranie ich stóp wśród opadłych liści.

Do drzwi Fiony przyklepiona była taśmą klejącą karteczka od George'a. Skrzywiła się, czytając. Zupełnie zapomniała o wiadomości, którą zostawiła na jego sekretarce, że będzie w domu o dziewiątej. Podjechał o dziewiątej, poczekał chwilę w swojej furgonetce, a potem ruszył do Verzano's, by zobaczyć, czy jeszcze tam jest. Potem wrócił znów tutaj i czekał przez pół godziny, czy trochę dłużej, do pół do jedenastej. „MARTWIŁEM SIĘ”, wypisał drukowanymi literami. „ZOBACZYMY SIĘ JUTRO. GEORGE.” Zatrzymała się w drzwiach, rozważając, czy nie pojechać do całodobowego sklepu i nie zadzwonić z automatu, lecz była zbyt zmęczona, a George pewnie już teraz smacznie spał. Brodząc wśród stosów ubrań, wpełzła na łóżko.

O piątej trzydzieści ktoś zadzwonił do drzwi. Nie. To chyba nie Elizabeth i Rudy. Otworzyła jedno oko. Na dworze było jeszcze ciemno. Była pewna, że powiedziała im, że nie będzie z nimi biegać. Dzwonek znów się odezwał. Więc, jak zwykle, gdy Elizabeth wbiła sobie do głowy, że coś będzie dla kogoś dobre, nie można jej było od tego odwieść. Jęcząc i drżąc, ubrana tylko w stanik i majtki, stoczyła się z łóżka i namacała drogę do drzwi, które tylko troszkę uchyliła.

— Idźcie beze mnie. Śpię. Przepraszam — wymamrotała, zamykając drzwi.

— Fiono!

— George! — Otworzyła szybko drzwi.

— Po prostu zanim pojadę do pracy, chciałem się upewnić, że wszystko u ciebie w porządku. — Trzymał w rękach dwie małe, białe torebki.

— U mnie w porządku — odpowiedziała, szcękając zębami w chłodzie wczesnego poranka. — Muszę tylko wrócić do łóżka.

Idąc za nią do sypialni, powiedział, że wstąpił do piekarni i kupił pączki i kawę.

— Ale jeżeli jesteś zbyt zmęczona — dodał, kładąc torebkę na stoliku nocnym — możesz zjeść swoje pączki później.

— Aż tak zmęczona nie jestem. — Wczołgała się do łóżka. — Zjem teraz. — Uśmiechnęła się, gdy usiadł na brzegu łóżka i otworzył torebkę. — Ze śmietanką czy z cukrem?

— Ani takie, ani takie — odparła, wsuwając mu rękę pod koszulę.

— Jesteś pewna? — spytał, pozwalając jej gładzić swoje plecy, gdy rozpinał koszulę.

— Jestem pewna. — Patrzyła, jak wstaje, by zdjąć swoje ciemnoniebieskie robocze spodnie. Przewiesił je przez oparcie krzesła. On był taki

schludny, a w pokoju panował taki bałagan. Stał przy łóżku i wyciągnęła do niego ramiona. Cieszyła się, że jest ciemno, że on leży na niej, ciężki i ciepły, świeżo ogolony, z gładkimi, delikatnymi, miętymi policzkami.

— Jesteś słodki, jesteś słodki, jesteś taki słodki — szeptała mu do ucha, gdy on wciąż powtarzał jej imię, zdyszany, miękkim głosem, który teraz brzmiał jak płacz, nierówny, błagalny szloch.

— Fiono. Fiono. Fiono, mój Boże, Fiono.

Właśnie wtedy otworzyły się drzwi sypialni i ktoś zapalił górne światło, a on na nią opadł.

— Fiono, przyszedłszy... Och, och, ja... ja myślałam — krzyknęła Elizabeth i zatrzasnęła za sobą drzwi. Oślepieni nagle rozbłysłym światłem, obydwójce, Fiona i George, starali się czymś nakryć. George chwycił niebiesko-białą spódniczkę mini, którą zastonił się od przodu, a Fiona zakryła się poduszką.

— O Boże, tylko nie to — jęknęła, wstając z łóżka. Chwyciła płaszcz kąpielowy i zgasiła światło. Otworzyła drzwi sypialni i zerknęła na Rudy'ego i Elizabeth, ubranych w spodnie od dresów i bluzy. Stali przy drzwiach wejściowych.

— Nie mogę w to uwierzyć, czuję się taka zażenowana — wyszeptała Elizabeth. Miała zamknięte oczy, a dłonie trzymała przed sobą, zaciśnięte w pięści.

— Mówiłem ci, żebyśmy tak się tu nie pakowali — odezwał się Rudy.

— O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże — wykrztusiła Elizabeth, podnosząc i opuszczając ramiona, jakby zaraz miała zwymiotować.

— No, przestań już — powiedział Rudy, próbując spojrzeć jej w twarz, lecz ona odwróciła głowę, cofając się przed nim. — No, chodźmy. Chodźmy już! — nalegał.

— O mój Boże, o mój Boże.

— Elizabeth! — odezwała się Fiona. Zamknęła za sobą drzwi sypialni.

— Przepraszam — krzyknęła Elizabeth i ukryła w dłoniach swą pełną rozpaczny twarz. — Och, nie mogę uwierzyć, że coś takiego zrobiłam.

Rudy dotknął ramienia Elizabeth, a ona wzdrygnęła się i wydała z siebie wysoki, beczący dźwięk.

— Na Boga, przestaniesz w końcu? — zażądała Fiona, zbliżając się do kuzynki, która szlochała teraz niepohamowanie. — Kazałam ci przestać!

Krzywiąc twarz, Elizabeth próbowała na nią spojrzeć.

— Przepraszam — wykrztusiła i spojrzała na drzwi sypialni. — On musi być taki zażenowany. Tak mi przykro.

— Więc dlaczego po prostu nie pójdziesz? — spytała Fiona cichym głosem.

— Chodź — odezwał się Rudy, biorąc ją za rękę.

— Ale ja nie wiem, co mam zrobić — ryczała Elizabeth. — Tak mi przykro i nie wiem, co mam zrobić.

— Nie musisz nic robić, kochanie — tłumaczył Rudy. — Chodź tylko ze mną, i to wszystko.

— Ale ja muszę. Ty tego nie rozumiesz. Muszę. Muszę. Muszę. Muszę coś zrobić. Muszę! Muszę! — krzyczała, uderzając dłonią o dłoń.

— Mogłabyś stąd pójść — wysyczała ze wstrętem Fiona. — To by dużo dało.

— Chodź już — powiedział Rudy, wypychając ją do holu.

Fiona zamknęła drzwi i przyłożyła do nich ucho, nasłuchując cichego płaczu Elizabeth, który stawał się coraz odleglejszy, gdy schodzili po schodach.

— Nie mogę w to uwierzyć! — wymamrotała, wracając do sypialni, gdzie George siedział w nogach łóżka, ze zwieszoną głową. Był kompletnie ubrany. Próbował nawet pościelić łóżko. Żeby ukryć dowody, jak pomyślała, na wypadek, gdyby Elizabeth znów wtargnęła do sypialni.

— Jezu Chryste. — Podniósł wzrok. Brzegi powiek miał zaczerwienione, a oczy nabiegłe krwią od pocierania. — Co się stało?

— No, niech pomyślę — odparła, zdenerwowana bólem w jego głosie. — Myślę, że obydwójce właśnie szczytowaliśmy, gdy Elizabeth wparowała do sypialni. A myślisz, że co się, do cholery, stało?

Obgryzał paznokcie na kciuku i wbijał wzrok w podłogę.

— Czy to był on, ten narzeczony? Jego głos słyszałem?

— Taa. Rudy. To był on, ten narzeczony.

George podniósł się z ciężkim westchnieniem i pokręcił głową.

— To było okropne. — Przeszedł obok niej do saloniku i stanął przy drzwiach z ręką na klamce.

— Drzwi musiały być otwarte — powiedziała. — Może ich nie zamknęłam. Ale przecież nie wpada się do czyjejś sypialni w taki sposób.

— Nigdy nie słyszałem, żeby była taka zdenerwowana. — Oczy miał pociemniałe i zmęczone ze zmartwienia. — Nigdy.

— Cóż, powiedziałabym, że było to jedyne tego rodzaju doświadczenie w życiu Elizabeth. — Odchrząknęła, opanowując histerię i tę zjadliwość narastającą w jej piersi. — Nie sądzisz?

— Myślę, że dzieje się coś złego, coś strasznie, strasznie złego. To właśnie myślę — odparł niemal ze złością i otworzył drzwi.

— A co to ma niby znaczyć? — wypaliła. Widząc jego puste spojrzenie, w rozdrażnieniu wyrzuciła do góry ręce. — A co ze mną? Jak sądzisz? Jak ja się czuję?

Wciąż patrzył na nią z niejasnym zakłopotaniem, jakby starał się sobie przypomnieć, jak ona ma na imię.

— Wiem — wymamrotał, całując ją nieuważnie w czoło.

— George! — krzyknęła, gdy wychodził do holu.

Odwrócił się do niej i zatrzymał na górnym stopniu schodów, gdy powtórzyła jego imię. Podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję, lecz on stał sztywno w jej gwałtownych objęciach.

— Lepiej będzie, jak już pójdę. Przepraszam — odezwał się, odsuwając się od niej.

Rozdział 6

Zimny, deszczowy tydzień był jak godziny lunchu tego dnia, ponury i leniwy.

— Nie wiem, dlaczego nie pójdziesz do przychodni — odezwała się Maxine, idąc za Fioną do kuchni. — Rozchorujesz się jeszcze bardziej, a w dodatku pozarażasz wszystkich innych. I to pewnie jakieś naruszenie kodeksu: czyhać na zdrowych ludzi, kiedy ma się gripę.

— Mówiłam ci, że to nie grypa — odparła Fiona. Przyciągnęła krzesło do ciepłego pieca i usiadła. Teraz potrzebowała tylko spokoju. Przez ostatnie trzy dni bolała ją głowa i cierpiała na nudności, a jej samopoczucie pogorszyło się jeszcze, gdy zobaczyła, jak Todd Prescott podwozi Sandy do pracy. Odjechał jej samochodem z dwiema małymi dziewczynkami na tylnym siedzeniu.

— Och, to jest grypa — upierała się Maxine. Widziała kilka osób z podobnymi objawami i wszystkie miały gripę. — Musisz wziąć penicylinę czy coś w tym rodzaju. Podwożę cię. Nawet posiedzę z tobą w poczekalni.

— Maxine, posłuchaj, nie mam grypy, nie jestem ubezpieczona, więc zapomnij o przychodni. Proszę — jęknęła, przysuwając się do pieca.

— Wypij to. — Chester wręczył jej kubek rosółu z kurczaka. — To lepsze niż penicylina.

— Jak tam chcecie! Ty też chcesz pewnie się rozchorować! I co wtedy? Co wtedy zrobimy? — rzuciła Maxine z taką paniką w głosie, że Chester się roześmiał.

— Co? O czym ty mówisz? Ja chcę się rozchorować? — zapytał.

— Na pewno się rozchorujesz, chyba że pójdziesz się za darmo zaszcześcić w Centrum Seniora — odparła Maxine.

Fiona popijała rosół i spoglądała to na jedno, to na drugie z nich. Sprzeczki pomiędzy jej ciotką i wujkiem odbywały się zawsze po cichu,

na osobności. A chcąc odbyć poważniejsze dyskusje, wsiadali do samochodu i wyruszyli na przejażdżkę. Gdyby nie dni, gdy zachowywali się wobec siebie z przesadną, oficjalną uprzejmością, Fiona przysięgłaby, że nigdy się nie kłócili.

— Nie chorowałem od dwudziestu pięciu lat — oświadczył Chester. — I nie zamierzam nikomu pozwolić wstrzykiwać mi do żył żywych zaraków. Nie, dziękuję, proszę pani. Dziękuję pani, ale nie! — zawołała za oddalającą się na salę Maxine.

— Ona uważa, że wszystko, czego się tknie, zamienia się w gówno. Włączając w to mnie — dorzucił, gdy drzwi zakołysały się za nią.

— Chce tylko, żebyś był nadal zdrowy.

— Chce tylko, żebym nadal był — powiedział.

— Na jedno wychodzi, prawda?

Zerknął na nią z rozdrażnieniem.

— Po co tutaj ślęczysz? Dlaczego nie pójdziesz do domu?

— Czuję się dobrze. — Bała się myśli o następnej samotnej nocy spędzonej w tym zagraconym, małym mieszkaniu. Chociaż dzisiaj mieli jej podłączyć telefon. Nie widziała George'a ani nie rozmawiała z nim od czasu tego nieszczęsnego poranka w zeszłym tygodniu. Elizabeth też się nie odezwała. Podniosła wzrok, gdy ktoś głośno zabębnił palcami w tylne drzwi.

— Powinien był pan zadzwonić — odezwał się Chester do stojącego w drzwiach potężnego mężczyzny. Krople wody kapały z jego olbrzymiej, pomarańczowej peleryny, a kiedy ściągnął kaptur, Fiona rozpoznała Stanleya, tego samego mężczyznę o czerwonej twarzy, który przyszedł tu dwa tygodnie temu, by pogadać z Chesterem. Maxine była wtedy u fryzjera, a Fiona miała dać znać Chesterowi, kiedy wróci. Chester wyglądał dzisiaj na jeszcze bardziej zdenerwowanego. Wciąż zerkał w stronę sali.

Stanley wyciągnął spod peleryny manilową kopertę.

— Wiem — odparł, wręczając ją Chesterowi, który położył ją na lodówce. — Nie mogłem już czekać.

— Okej, okej, okej — powiedział Chester, kierując go szybko znowu do drzwi. — Ale dajcie mi jeszcze kilka dni — zawołał w deszcz dzwoniący o blaszany daszek. — Zadzwonię i zawiadomię was...

— O co chodzi? — spytała, gdy zamknął drzwi.

— O nic. — Otworzył lodówkę i wlepił wzrok w jej oświetlone ponurym blaskiem wnętrze. — No dobrze — odezwał się, zamykając drzwiczki. — Muszę komuś powiedzieć. — Uśmiechnął się szeroko. — To był Stanley Masters!

— A kim on jest?

— No wiesz, Masters, ten od Bagel Master! Ten facet, który występował w telewizji! Chca tu postawić lokal. — Wyciągną cienką, poznaczoną smugami deszczu kopertę. — Bardzo tego chce. Sam to tutaj przyniósł. To umowa kupna-sprzedaży.

— A co na to Maxine?

— Nie chciałem jej nic mówić, dopóki nie będę miał czegoś na piśmie.

— Uważasz, że spodoba jej się ten pomysł?

Chester podszedł do niej i wziął ją pod brodę.

— Jak tylko na to spojrzy, będzie zachwycona — odparł, machając kopertą.

Głowa rozbolała ją jeszcze bardziej. Bagel Master. Sprzedawali głównie dania na wynos. W Bagel Master pracowały dzieciaki z liceum. Wiodąca w dół ścieżka jej życia stawała się coraz bardziej stroma. Wczoraj nadszedł list z College'u Miejskiego w Dearborn z nazwiskiem Lee Felderson na kopercie. Wyrzuciła go, nie otwierając.

Drzwi otwarły się gwałtownie i Maxine wbiegła do kuchni, uśmiechając się szeroko i gestem przywołując ją na salę.

— Zgadnij, kto tam jest? Twój wujek! Sędzia Hollis! Właśnie przyszedł. Chce się z tobą zobaczyć!

— Mój wujek? Czego on chce? — Jak do tej pory wujek Charles przyszedł tu tylko raz, sześć lat temu, gdy zaczynała tu pracować. On i ciotka Arlene zostawili jej dwadzieścia pięć dolarów napiwku. A parę dni później wezwał ją do swojego gabinetu i zaproponował pracę rejestratorki w sądzie. Powiedziała mu, że nie może sobie wyobrazić bardziej nudnej pracy niż segregowanie dokumentów. Jako kelnerka spotykała przynajmniej wielu różnych ludzi i czas szybciej płynął. Ale kelnerowanie, jak próbował wytłumaczyć, to zajęcie, którym ludzie parają się w drodze do czegoś innego. Nie chce na pewno robić tego przez całe życie, prawda? Odparła, że dłaczego by nie. Zarobi pewnie co najmniej tyle, co rejestratorka, a może nawet więcej. Odparł, że przecież nie chodzi tylko o pieniądze. Chodzi o poczucie bezpieczeństwa i szacunek dla siebie. Czyli dla kogo? Ona nie miała kłopotów z szacunkiem dla siebie, więc z pewnością chodziło o jego szacunek dla siebie, a to był jego problem, a nie jej...

— Powiedział, że chce tylko kawę, ale chcę podać mu coś specjalnego — oznajmiła Maxine, rozglądając się po kuchni. — Ale ty nic mu nie mów. Od razu powie, że nie, a ja chcę mu zrobić niespodziankę.

Wujek Charles siedział w boksie przy oknie, gdzie Maxine sadzała zawsze swoich najznamienitszych gości. Nawet nie zdjął mokrego trencza, zgarbił się nad stołem, jakby znalazł się w ostatnim miejscu, w jakim chciał być.

— Cześć, wujku Charlesie! — Gdy pochyliła się, by go pocałować, drżącą ręką odstawił filiżankę i zadzwonił nią o spodek. Wyglądał na chronicznie zmęczonego, jakby nie spał od wielu dni. Pod oczyma miał ciemne obwódki, a jego blade policzki poznaczone były pajaczkowatymi, czerwonymi plamami.

— Cóż, wyglądasz oczywiście świetnie — odezwał się.

Rozpoznając ten ton, starała się nie poddawać irytacji. Zaakcentuj to, co pozytywne. Jeżeli nie jest dobrze, myśl, życz sobie, udawaj, że jest w porządku.

— Czy to przypadkiem nie ma nic wspólnego z tobą i Georgem Grimshawem, co? — dorzucił, kiwając głową.

— Co? Co masz na myśli? — odparła z dłońmi zaciśniętymi na kolanach. Widocznie Elizabeth mu powiedziała.

— No cóż, czyż ty i on nie spędzacie wspólnie czasu? — Uśmiechnął się. — Nie widujecie się? Nie chodzicie na randki? Nie jestem pewien, jakich jeszcze eufemizmów się dzisiaj używa.

A co powiesz, na przykład, na „bzykanie się”? — pomyślała Fiona z nieprzyjemnym uśmiechem.

— Zawsze lubiłem George'a. To dobry, zacyjny, pracowity młody człowiek i uwierz w to, co ci powiem: niewielu się takich spotyka w dzisiejszych czasach.

— Taa, wiem. To dobry facet — odparła. — Oczywiście, nigdy nie będzie bogaty jak Rudy, narzeczony Lizzie — dodała prowokująco, jak zawsze.

— Zacność i odpowiedzialność. To jest najważniejsze — odparł.

— I miłość, prawda? — spytała, rozbawiona tym, że zaczerwienił się aż po szyję.

— No, oczywiście. Tego nie trzeba mówić.

Tak jak i wielu innych rzeczy — pomyślała.

— Powiedz mi, jak ci idzie w szkole?

Popatrzyła na niego. Dodał szybko:

— Na twoich studiach w College'u Miejskim w Dearborn.

— Taa, na kursie historii. — Wierciła się na krześle, przypominając sobie nie otwarty list. Widocznie Lee Felderson zadzwoniła do Ginny,

która poleciała zaraz do ojca, by zdać mu relację z ostatniego niepowodzenia Fiony.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo się z tego cieszę, Fiono. Jesteś bardzo inteligentna. — Pochylił się i uśmiechnął się do niej. — Nikt nigdy w to nie wątpił. Jest tylko kłopot z tą twoją impulsywnością. I dlatego...

— No dobrze, ale porozmawiajmy najpierw o twoich problemach, wujku — powiedziała, a on jakby się cofnął. Spytała o badania, które robiono mu w Bostonie.

Według lekarzy wszystko było normalnie, nic złego się nie działo. Po prostu trochę za dużo stresu, jak powiedział, hałaśliwie zaprzeczając, że w jego solidnym jak skała życiu mogą pojawić się jakiegokolwiek skazy czy nieszczęścia.

Odparła, że to wielka ulga. Jej głos był ostry ze zdenerwowania, gdy tłumaczyła, że nie odwiedziła go wtedy i nie zadzwoniła, bo nikt nie pomyślał o tym, by zawiadomić ją, że wujek jest w szpitalu.

— Cóż, traktuj to jako przysługę — wszedł jej w słowo wujek Charles. — Okazało się, że to całe zamieszanie było zupełnie niepotrzebne.

— Ale nie o to chodzi — powiedziała. — Chodzi mi o to, że co by było, gdyby okazało się, że to coś poważnego. Co by wtedy zrobili? Zadzwoniliby i...

— Wybacz mi, Fiono, ale w tej chwili mamy inną sprawę, która wymaga omówienia. — Zerknął na Sandy, która gapiła się na nich zza kasy. Sandy uśmiechnęła się i pomachała do nich delikatnie.

— To jest nowa dziewczyna Todda Prescottta — oznajmiła Fiona, zaskoczona głębokim poczuciem straty, które ją ogarnęło, gdy wypowiadała te słowa. Nie chodziło o to, że chciała, by Todd znów pojawił się w jej życiu, lecz o to, że nie życzyła sobie, by zjawił się w życiu innej kobiety. A szczególnie nie w życiu Sandy. — Ma dwoje dzieci, każde z innym facetem. Prescottów chyba szlag trafia, nie? Myśleli, że to ja jestem złą dziewczyną! — Roześmiała się, a wujek się skrzywił.

— Może byłoby lepiej, gdybyśmy wybrali się na przejażdżkę — powiedział ze słabym uśmiechem.

— Nie mogę — odparła, wiedząc dobrze, że Maxine pozwoliłaby im nawet usiąść na dachu, gdyby to miało sprawić sędziemu przyjemność.

Pochylił się do niej i osłonił twarz dłonią.

— Któregoś dnia otrzymałem bardzo niepokojący telefon — oznajmił cicho.

I dzięki tej krótkiej przerwie, tej chwili, dzięki tej ciszy ujawniającej jego wewnętrzną walkę, wiedziała, była pewna, czuła to, że dzwoniła jej

matka. Uśmiechnęła się szeroko. Co za ironia. To nierozsądne kłamstwo stało się teraz tak bliskie prawdy.

— Dzwonił Patrick Grady. Powiedział, że go niepokoisz. Właściwie użył słowa „nękać.” Powiedział, że go nękasz i że to się musi skończyć.

Była zszokowana.

— Nękam go! Powiedziałam mu tylko, że to zupełnie bez sensu, że nigdy ze sobą nie rozmawiamy...

Drzwi kuchni otworzyły się gwałtownie i pojawiła się Maxine, niosąc talerz ciasteczek czekoladowych i kromeczek bananowego chleba ułożonych na ozdobnej serwetce ze złotej folii. Ustawiła go między nimi i zerkając przez ramię, kiwnęła ręką do Sandy. Był to sygnał, że powinna dolać sędziemu kawy.

— Nie! Żadnej kawy teraz! — warknęła Fiona. Nic w jej życiu nie należało do niej. Nic, a teraz on miał omawiać taką osobistą i bolesną sprawę w tak publicznym miejscu.

— Ale proszę krzyknąć, jeżeli będzie pan jednak chciał — rzuciła Maxine, a wujek Charles skinął głową z pełnym zmieszania uśmiechem. — Ale najpierw chciałabym panu powiedzieć, że Fiona jest naszą najlepszą kelnerką. — Maxine poklepała ją po ramieniu.

— Założę się, że to prawda — odparł wujek Charles.

— Och, tak, wszyscy kochają Fionę — roześmiała się Maxine.

— Miło mi to słyszeć — odparł wujek Charles z pełnym napięciem, słabym uśmiechem.

— Ma nawet jakby własnych klientów. Wie pan, jak jakiś fanklub, czy coś w tym rodzaju. A jeszcze do tego ci faceci, którzyją bez przerwy podrywają. — Maxine oparła się obiema rękami na stoliku. — Ale ona, jeśli musi, wcale się nie certoli, by kazać im iść w cholerę! — Widząc zaciśnięte szczęki Fiony i jej płonące wściekłością oczy, pochyliła się bliżej. — A to jest komplement, młoda damo, więc nie patrz tak na mnie — dodała cichym głosem.

Wujek Charles wziął ciasteczko i odgryzł mały kawałeczek. Była to cena za uwolnienie się od towarzystwa Maxine.

— Dziękuję — powiedział, machając ciasteczkiem. — Absolutnie przepyszne.

— Och. Na zdrowie. — odparła, rumieniąc się trochę. — Domowej roboty od początku do końca. Upieczone w mojej własnej kuchni. — Cały sekret w tym, jak wyznała, że użyła orzeszków pekan zamiast orzechów włoskich, no i jeszcze dodała o połowę więcej kakao niż w przepisie, i solidną łychę kwaśnej śmietanki.

— To dlatego mają taki charakterystyczny smak — orzekł.

Fiona wierciła się na swoim miejscu, poduszka zwilgotniała pod jej udami. Po piersiach płynął jej pot. Jego kontrola nad emocjami zawsze ją zachwycała i irytowała. Reporter z jakiejś gazety napisał kiedyś, że Charles Hollis cieszy się tak wielkim poważaniem ze względu na szacunek, z jakim odnosi się do każdego mężczyzny, kobiety czy dziecka, których spotyka. Mówiono, że jego wielkie dostojęstwo i mądrość przewyższa jedynie jego dobroć. Przyszło jej teraz do głowy, że jego uprzejmość wypływa na równi z jego poczucia wyższości, co z głębokiego i często bolesnego przeświadczenia o nikczemności innych. Niektóre procesy, niektóre zeznania klientów czy świadków, nawet postępowanie jego kolegów adwokatów, wprawiały go w przygnębienie i odbierały mu coś żywotnego. W ten sposób ciotka Arlene próbowała pewnego razu wyjaśnić to, że przez wiele dni spożywał posiłki w milczeniu, często wstając nagle od stołu, by siedzieć później w oświetlonym przyćmionym światłem gabinetu, za zamkniętymi drzwiami, słuchając muzyki klasycznej, aż do chwili udania się na nocny spoczynek. Okres przygnębienia, tak to nazywała ciotka Arlene. Jednak wystarczyło, że niespodziewanie jakiś gość zapukał do drzwi lub ktoś zadzwonił, a sędzia nie mógł uniknąć rozmowy, i na jego twarzy znów pojawiała się przyjazna maska, a odrętwiały głos znowu rozbrzmiewał donośnie w ciepłym powitanu.

Do kawiarni weszły dwie kobiety i Maxine pośpieszyła, by wskazać im stolik. Wujek Charles odłożył ciasteczko i pochylił się do Fiony.

— Nie wolno ci go niepokoić. — Mówił teraz szybko. — Wiesz, że jest niezrównoważony, a robiąc to nadal, tylko przysporzysz sobie kłopotów. Nam wszystkim — dodał, rzucając Maxine przelotny uśmiech, gdy krzątała się obok. — Czy mnie rozumiesz?

— Nie! Nie rozumiem.

— Mówił, że powiedział ci, żebyś go zostawiła w spokoju, ale nie posłuchałaś. Powiedział, że ciągle... — Jego poszukiwanie odpowiedniego słowa zdawało się sprawiać mu fizyczny ból. — Że ciągle go zaczepiasz.

— Bo jest moim ojcem! — odparła z takim opanowaniem, że przez chwilę mógł na nią tylko patrzeć.

— Ale zawsze temu zaprzeczał. Wiesz o tym, Fiono. Zawsze o tym wiedziałaś. Dlaczego zaczęłaś... zaczepiać go właśnie teraz?

— Bo wiem, że jest moim ojcem, i nie obchodzi mnie, co mówi on czy co ty mówisz, czy co ktokolwiek inny o tym mówi.

Przysunął się do niej.

— Cóż, lepiej uważaj, Fiono, bo jest bardzo zdenerwowany. Jest rozszaszczony i... i obawiam się tego, co mógłby zrobić.

— Co? — Usiłowała się roześmiać. — Co masz na myśli? Co mógłby zrobić?

— Proszę, Fiono, zaufaj mi. Długo i wnikliwie nad tym myślałem, zanim przyszedłem tutaj, by z tobą porozmawiać. Wiedziałem, że przyjmiesz postawę defensywną. I... — Wziął ją za rękę, trzymając ją bezwładnie. — I wiedziałem, że to cię zrani — wyszeptał.

Odsunęła się, obrażona zarówno tą manifestacją czułości, jak i jego słowami.

— Cóż, nie czuję się zraniona. Jestem po prostu wściekła. Jestem taka cholernie wściekła. Mam trzydzieści lat i jeśli tego zechcę, mam pełne prawo, żeby, jak to ująłeś, zaczepiać mojego ojca. — Znów usiłowała się roześmiać, ale na dźwięk łamiącego się śmiechu jej wujek tylko się wzdrygnął, jego twarz zaczerwieniła się, jakby właśnie usłyszał coś obrzydliwego. — Więc następnym razem, gdy powie, że go niepokoję, powiedz mu, żeby postarał się o sądowy zakaz zbliżania się. Właściwie, sędzio Hollis, mógłbyś się nawet o to dla niego wystarać...

Przez wiele dni po tej rozmowie ostrzeżenia wujka Charlesa pojawiały się niewyraźnie w jej myślach. Wielu rzeczy żałowała w swoim życiu, szczególnie tych wszystkich możliwości i lat, które zmarnowała dla Todda Prescottta. Żałowała, że nie uczyła się lepiej w szkole. Żałowała, że nie wolała czytać dobrych książek, zamiast zasypiać co wieczór przed telewizorem. Żałowała, że nie ma więcej samodyscypliny. Żałowała, że choć raz nie przeprowadziła czegoś do końca, żeby zobaczyć efekt. Żałowała, że nie potrafiła ułożyć sobie życia, zamiast czuć się tak beznadziejnie uziemioną przez cały czas. Ale najbardziej ze wszystkiego żałowała, że nie ma w jej życiu nikogo, kto by się o nią troszczył.

W nocy jej sny wypełniały gniewne głosy i najbardziej znajome, nieszkodliwe twarze stawały się nagle przebiegłe, groźne, uśmiechające się lubieżnie, nazywające ją szmata, wywłoką. Pewnego ranka obudziła się, zastanawiając się, czy właśnie dlatego Patrick Grady czuł wobec niej taką odrazę. Słyszał te historie, z których wiele sama kultywowała, pełne przesady i kłamstw, ale niektóre z nich zawierające też ziarno prawdy? Czy odrzucał ją z tego samego powodu, dla którego odmówił poślubienia jej matki? Bo była łatwa, bo sypiała ze wszystkimi dookoła? Jako antidotum usiłowała sobie przypomnieć wszystko, co dotyczyło George'a: dźwięk jego głosu, jego zapach, smak jego potu, jego mocarne ramiona

i pełen oszołomienia, konwulsyjny uśmiech, gdy unosił się nad nią. Jej wujek miał w każdym razie rację co do jednego. George był właśnie tym, kogo potrzebowała, kimś łagodnym, dobrym i wystarczająco solidnym, by można było na zawsze do niego przycumować. Przez te ostatnie dni tęskniła za nim, lecz nie z szaleńczym głodem, jaki odczuwała wobec innych mężczyzn, których pożądała, ale z pełnym smutku zrozumieniem, że prawdopodobnie straciła najzaciejszego mężczyznę, z jakim kiedykolwiek była, i nie miała nawet pewności dlaczego.

Było późne, piątkowe popołudnie. Chester zebrał się w końcu na odwagę. Nie było klientów, Sandy pojechała do domu, a na drzwiach wejściowych wisiała tabliczka z napisem „Zamknięte.” Fiona wycierała mokrą szmatką boksy, gdy Chester zawołał Maxine do kuchni. Fiona zaczęła się śpieszyć, mając nadzieję wydostać się z kawiarni, zanim pokaże jej umowę kupna-sprzedaży.

— Nie — krzyknęła Maxine. — Och, nie! — Wybuchnęła płaczem i zaczęła oskarżać go o to, że próbuje ograbić ją z jedynego szczęścia, które spotkało ją przez całe życie. Starał się przemówić jej do rozsądku, próbował wykazać, że będzie o wiele szczęśliwszajako kobieta, która nie musi pracować, ubrana w kwiecistą muumuu we własnym nowiutkim mieszkaniu w kondominium na Florydzie i mając tyle pieniędzy, że już nigdy nie będą musieli pracować.

— Ale ja uwielbiam pracować — szlochwała. — Kocham to miejsce.

— A ja go nienawidzę! — oświadczył. — Od trzydziestu ośmiu lat nienawidzę tego miejsca.

— Ale ty nie rozumiesz — jęknęła.

— Pewnie, że rozumiem — odparł łagodnie. — To jest znajome, a nowe rzeczy są przerażające. Wiem! To właśnie trzymało mnie tutaj przez te wszystkie lata. To samo, strach przed nieznanym, przerażenie. Chociaż nienawidziłem tego, łatwiej było przychodzić tu codziennie, niż zaryzykować i coś zmienić.

— Nie, nie, nie. Nie o to chodzi. Ze mną jest inaczej. Przez całe życie nie miałam niczego. Kiedy dorastałam, żyliśmy z pieniędzy z opieki społecznej. Wychowałam moje dzieci z zasiłku, a teraz w końcu coś mam, Chester. Jest tak, jak zawsze marzyłam. Wiesz, miły dom, gdzie możesz wykładać wszystkie swoje śliczne rzeczy, którymi możesz się bawić, żeby ludzie to widzieli. Czuję się tu taka ważna.

— Ważna?

— Tak, właśnie tak. Ludzie mówią, że tutaj jest dla nich taki dom z daleka od ich domu. Ciągłe mi to mówią. Podoba im się, że codziennie się stroję, że traktuję ich z całym należnym szacunkiem, jak rodzinę.

— Jak rodzinę! To tylko klienci, nic więcej. Cholerni, arogancy, chrzanieni klienci!

— To nie w porządku!

— Nie w porządku?

— Ty ich nawet nie widzisz!

— Jezu, Maxine, bądź rozsądna, proszę. Mam sześćdziesiąt sześć lat i nigdy już nie dostanę lepszej oferty. Nigdy! Więc nie mam wyboru, rozumiesz? — nalegał, podnosząc głos.

— Nie — odpowiedziała cicho. — Nie rozumiem.

— Ale ja zrobię to. Widzisz?! — krzyczał. Słychać było szelest rozkładanych papierów. — Patrz na mnie, bo teraz podpisuję. Podpisuję.

— Śmiało — odparła. — Ale wobec tego ja pójdę do domu, spakuję wszystkie moje rzeczy i odejdę.

Wybiegła na salę. Stała zaraz za swoim wąskim kontuarem przy drzwiach wejściowych i szlochała z twarzą w dłoniach.

— Już w porządku — próbowała ją pocieszyć Fiona. — A kto wie, może po jakimś czasie uda ci się nawet namówić Chestera, żeby otworzył taki sam lokal tam, na Florydzie.

— Nie. — Łkała Maxine. Ciekło jej z zaczerwienionego nosa. Atramentowy tusz do rzęs spływał strużkami po jej policzkach. — To nie byłoby to samo.

— A ja myślę, że by było. — Fiona wcisnęła jej do ręki kilka serwetek. — I pewnie byłoby tam znacznie milej niż tutaj, wszystko nowiuteńkie i dokładnie takie, jak zawsze chciałaś.

Przez chwilę, gdy Maxine wycierała oczy i wydmuchiwała nos, panowała całkowita cisza. Uniosła podbródek z dziwną godnością.

— To nie byłoby to samo, bo... bo tam nikt by mnie nie znał. — Szukała odpowiednich słów. — Tam nie miałyby to takiego znaczenia. Bo tutaj mogę pokazać się ludziom. Wiesz, o co mi chodzi?

Fiona kiwnęła głową. Przebiegł ją zimny dreszcz. Wiedziała doskonale, co Maxine miała na myśli.

Obydwie popatrzyły w stronę kuchni, gdy Chester otworzył ze zgrzytem tylne drzwi i zaczął ciskać, jedno po drugim, rondle, patelnie, chochle i łopatki, które obijały się i podzwaniały w alejce. Żadna z nich się nie uśmiechnęła, choć obydwie wiedziały, że Maxine zwyciężyła. Chester kochał Maxine bardziej niż wszystkie pieniądze i całą wolność, które

mógł uzyskać, sprzedając kawiarnię. A Maxine kochała kawiarnię bardziej niż pieniądze, bardziej niż mogła kiedykolwiek pokochać Chestera, a on o tym wiedział.

W poniedziałek Fiona zostawiła swój nowy numer telefonu na sekretarce George'a. Gdy zadzwoniła do Elizabeth, telefon odebrała ciotka Arlene. Elizabeth nie było w domu, ale ciotka wydawała się chętna do rozmowy. Elizabeth miała być na zebraniu komitetu rodzicielskiego do pół do dziesiątej albo jeszcze dłużej. Ostatnio miewała mnóstwo tych wieczornych spotkań, ale wyglądało na to, że jej to nie przeszkadza. A właściwie, jak z radością oznajmiła ciotka, przez tych ostatnich kilka dni była tak szczęśliwa, jakby powróciła ta dawna Elizabeth, radosna i tak pełna wigoru, że ona i wujek Charles męczyli się samym tylko jej słuchaniem. Co do Ginny, wychodziła właśnie z grypy, którą najprawdopodobniej złapała od któregoś z dzieci. W przedszkolu wszystkie zachorowały. Był to pierwszy rok, gdy nie zaszczepiła się przeciwko grypie... Ciotka Arlene zaprzestała nagle swojej paplaniny.

— Niech pomyślę, co tam jeszcze nowego? — wymamrotała.

Ach, tak. Jack sądzi, że może zostanie przeniesiony do któregoś z sądów bliżej Dearborn. Nienawidził codziennych, półgodzinnych dojazdów do Bostonu, a Susan właśnie została mianowana wicedyrektorem w swojej firmie, co oznaczało dużą podwyżkę i nowiutkie biuro w apartamencie na ostatnim, trzydziestym piątym piętrze wieżowca.

Ciotka znów przerwała, tym razem z lekkim sapnięciem. I dodała:

— Och, Fiono, nie mogę się już powstrzymać. Muszę ci powiedzieć. Wszyscy wiedzą oprócz ciebie, bo Ginny chce ci sama o tym powiedzieć. Jest w ciąży! To już prawie ósmy tydzień. Nie mogę w to uwierzyć! Po tych wszystkich latach. W końcu zostanę babcią!

— A ja w końcu będę ciotką! — wykrzyknęła Fiona.

— No, raczej kuzynką jego mamy! — poprawiła ciotka Arlene.

Jej uśmiech pękł jak balonik od ukłucia słów ciotki Arlene. Chciała spytać, dlaczego? Dlaczego nie mogła mówić o sobie „ciotka”? Po co było zawsze to pedantyczne określanie pokrewieństwa? Oczywiście wtedy, gdy nie chodziło o Patricka Grady'ego. I nikt nigdy nie usiłował go do tego zmusić.

Ciągnąc swoją pełną zarliwości paplaninę, ciotka Arlene wymogła na Fionie obietnicę, by udawała całkowicie zaskoczona, kiedy Ginny jej powie.

— I przepraszam, że nie powiedziałam ci o wujku Charlesie — dodała z niemal przyprawiającym o zawrót głowy pośpiechem. — Ale nie mogłam zostawić ci takiej niepokojącej wiadomości, a potem, gdy okazało się, że wszystko było w porządku, wydawało mi się, że nie ma sensu...

— No jasne — przerwała Fiona, wiedząc, że powinna być zadowolona, słysząc, że ciotka jest taka szczęśliwa. Zazwyczaj była najbardziej wylewna, gdy starała się zrekompensować chłód i dezaprobatę swojego męża. — A poza tym, kiedy już go sama zobaczyłam, nie martwię się. Pomyślałam, że wygląda na zmęczonego, ale nie na chorego.

— Kiedy to było? Kiedy się z nim widziałaś?

— W zeszłym tygodniu. Przyszedł do kawiarni.

— No, to było miłe. Cieszę się — odparła ciotka, przechodząc zupełnie niespodziewanie od ciepła do chłodu.

— Nie powiedział ci? — spytała Fiona.

— Wiesz, teraz już nie jestem pewna. Może powiedział, ale ostatnio po prostu tyle się działo, że pewnie nawet nie słuchałam.

Raz jeszcze brama zamknęła się ze szcękaniem i z niewytłumaczalnych powodów Fiona znalazła się po drugiej stronie.

— Fiono? — odezwała się szybko ciotka. — Powiedz mi jeszcze, jak było z tym telefonem. Od twojej matki. Czy naprawdę zadzwoniła? Czy tylko... drażniłaś się z nami? — Próbowwała się roześmiać. — Znam twoje szelmowskie poczucie humoru.

Fiona zapewniła ją, że matka dzwoniła, dodając jednak, że zdarzyło się to tylko ten jeden jedyny raz.

— Powiedziała, co porabiała? Wyszła za męża? A może powiedziała, gdzie teraz mieszka?

— Nie, mówiłam ci. To wszystko działo się tak szybko. Chciała się tylko dowiedzieć, co u mnie.

— Cóż, może znowu zadzwoni, teraz, kiedy masz podłączony telefon... — Przerwała. — Fiono, jeżeli to zrobi, to znaczy, jeśli zadzwoni jeszcze raz, czy mogłabyś ją poprosić, żeby do mnie też zadzwoniła? — Głos jej się załamał. — Czy powiesz jej, że za nią tęsknię, że strasznie za nią tęsknię przez te wszystkie lata...? — dokończyła cichym, pełnym cierpienia szeptem.

Następnego ranka przyszedł kolejny list z College'u Miejskiego w Dearborn. Fiona wrzuciła go do śmieci, gdy tylko weszła do mieszkania. Uśmiechnęła się na widok mrugającego światełka na swojej elektronicznej sekretarce. Były dwie wiadomości. Pierwsza — od Elizabeth. Jej wia-

domość była szorstka, krótka: zadzwoni później dziś wieczorem. Jako druga nagrała się jej przyjaciółka, Terry. Powiedziała, że za nią tęskni. Proponowała, by spotkały się tego wieczora o ósmej w Dunkin'Donuts po jej kursie robienia abażurów.

No to mów, co też porabiałaś? — spytała zaraz Terry, nadając ton ich spotkaniu, gdy siadały w swoim boksie. O niegrzecznym zachowaniu Tima nie będą przecież rozmawiać.

Fiona odparła, że niewiele — praca, no i ciągle urządza się w nowym mieszkaniu.

— A co u ciebie? — spytała. Po jej trwającym od kilku dni osamotnieniu opowieści Terry o domowym chaosie stanowiłyby doskonałe poکرzepienie.

— Och, bez zmian — okrucy, skaleczenia i kupki — westchnęła Terry i pochyliła się do Fiony. — A jak tam się rozwija ta sprawa z tobą i Georgem Grimshawem?

Odpowiedziała jej, starając się mówić lekkim głosem, że wyszli gdzieś razem kilka razy. Bolało ją nawet, gdy słyszała jego imię. Nie potrafiła przyznać sama przed sobą, że nie odezwał się do niej od ponad tygodnia. Zostawiła na jego sekretarce trzy wiadomości.

— A co z Elizabeth? Co ona o tym wszystkim myśli? — dociekała Terry, zwilżając językiem wargi. Oczy płonęły jej z podniecenia.

— Jest zaręczona — odparła — Z lekarzem. Z Rudym Larkinem — dodała, by pokryć swą rosnącą irytację. — Pracuje w Memoriał.

— Nie, to już wiem — powiedziała Terry, zbywając tę wiadomość machnięciem ręki, jako przedatowaną. — Ale mnie chodzi o to, że to musi być trochę... no, dziwaczne, oni chodzili ze sobą tak długo.

Właśnie w tej chwili dwie wysokie kobiety weszły na salę i usiadły w sąsiednim boksie.

— Czy to nie siostry Kendale? — spytała Terry. — Te, które mieszka ją koło was?

— Tak, mieszkały. Ściśle mówiąc, koło mojej ciotki i wujka. — Fiona pochyliła się do Terry.

— Słyszałam, że starają się o ubezwłasnowolnienie swojej matki — wyszeptwała Terry.

— Och, zawsze próbowały to zrobić — odparła Fiona, wdzięczna, że w tym plotkarskim rytmie powróciła ich dawna zażyłość. — Lucretia jest nieszkodliwa. Chce tylko dobrze się bawić.

— Dobrze się bawić! W każdym razie, musi już być chyba po osiemdziesiątce — odparła Terry, wzruszając ramionami.

— Taa? No i co? Mam nadzieję, że ja sama też będę miała ochotę na to i owo, kiedy będę po osiemdziesiątce, dziewczyno — oświadczyła. — Właściwie Lucretia stale próbuje mnie namówić na wyjazd na Florydę i wspólne balowanie. Najśmieszniej jest jednak na przyjęciach u mojej ciotki i wujka. Wiesza się cały czas na moim wujku, a on tak się tym de nerwuje. Nigdy nie wie, jak ma się wtedy zachować...

Terry przyglądała jej się teraz badawczo.

— Fiona, ty wiesz o Krissy i Bradzie, prawda?

— Tak. — Patrzyła Terry prosto w oczy.

— I słyszałaś, co się wczoraj stało?

— Nie.

Terry odwróciła wzrok.

— Krissy próbowała się zabić. Połknęła całe opakowanie tabletek nasennych, ale, dzięki Bogu, ojciec zdążył na czas zawieźć ją do szpitala.

Fiona podniosła poplamiony kawał rachunek. Wyjęła dwa dolary z portmonetki. Trzęsły jej się ręce, gdy kładła pieniądze na stole.

— Wspaniale było cię zobaczyć. — Wstała.

— Co? Co ty robisz? Czemu już idziesz? O co chodzi? — jąkała się Terry. Była czerwona na twarzy.

— Posłuchaj, dlaczego właściwie nie zapytasz mnie wprost?

— O co cię nie zapytam?

— Czy to prawda. Czy to przeze mnie ich dziecko umarło i rozpadło się ich małżeństwo.

Terry zbladła na twarzy, gdy Fiona zakładała kurtkę.

— Przecież to chcesz wiedzieć, prawda? Dlatego tu jesteśmy, nie? A może tylko chciałaś zobaczyć, jak skręcam się z nerwów. O to chodzi?

Fiona nachyliła się tak blisko do Terry, że otarły się policzkami, gdy do niej szepnęła.

— Może i jestem głupia, może jestem puszczalska, kiedy się upiję, ale nie jestem czarownicą. Nie rzucam uroków i nie zabijam dzieci. I możesz to podać dalej. — Wyprostowała się i zasunęła zamek kurtki. — Nie wątpię, że to zrobisz — dodała z zimnym uśmiechem.

Ostry wiatr szczypał ją w pięty, gdy pędziła do samochodu. Mgiełka cienkich, żółtych chmur wisiała na bezgwiezdnym niebie, a Fiona była świadoma pustki tak wygórdniającej i niezmierzonej, że czuła się, jakby coś wysysało ją głową naprzód do jej mrocznego brzucha. Szła, trzymając się

blisko budynków i sklepów. Ocierała sobie koniuszki palców do krwi, przeciągając nimi po szorstkich, ceglanych frontonach. Dawało jej to poczucie sensu i istnienia.

— Fiono! — krzyknął męski głos. — Hej, tak myślałam, że to ty — wołał Rudy Larkin, przebiegając przez ulicę. Ciekło mu z haczykowatego nosa, a kołnierz cienkiej kurtki miał podniesiony powyżej czerwonych uszu. — Co u ciebie? Miałem właśnie wstąpić na kawę po drodze do domu i pomyślałem, że to ty! — mówił, drżąc i machając rękami, by wskazać gestem drogę z Dunkin'Donuts do miejsca, w którym stali. — Więc co u ciebie?

Spytał tak niepewnie, że wiedziała, iż obydwoje przypominają sobie tę samą, rozgrywającą się o wczesnym poranku, scenę.

— Świetnie, kiedy tylko przestałam się czuć zażenowana — odparła z narastającą złością, skierowaną, jak sama wiedziała, nie na tego, na kogo być powinna.

— Wiem. To było okropne. A Elizabeth tak się zdenerwowała.

— Jak ona się czuje? — spytała.

— Lepiej. Tak myślę. Ale czasami trudno zgadnąć, jak czuje się Elizabeth...

— Taa? Cóż, dzwoniłam do niej trzy razy, a ona jeszcze nie oddzwoniła, więc zgaduję, że jeszcze jest zdenerwowana... w każdym razie na mnie — oświadczyła, zanosząc się krótkim, wymuszonym śmiechem.

— Właściwie ja też jej nie widziałem. Kilka razy udało mi się porozmawiać z nią przez telefon, ale to w sumie wszystko — odparł. — To jest mój pierwszy wolny wieczór od dwóch tygodni, ale myślę, że ona miała mnóstwo spotkań, zebrań rodzicielskich, takich tam spraw...

— No cóż, powinnam już uciekać — odezwała się. — Do zobaczenia. — Cofnęła się o krok i pomachała do niego.

— Poczekaj! Podwiozę cię — zawołał.

Kiedy wyjaśniła, że zaparkowała samochód tuż obok, na parkingu miejskim, uparł się, że ją tam odprowadzi.

Gdy przechodzili przez ulicę, spytała, czy życie w małym mieście zdążyło mu już zależeć za skórę.

— Nie, ani trochę — zaprzeczył, zalewając ją potokiem słów, gdy otwierała samochód. Dearborn okazało się oczywiście tak spokojne, jak mówiła Elizabeth. Cóż, właściwie bardziej odpowiednim słowem byłoby pewnie „ostrzegała.” Gdy tylko wspominał, że miałby ochotę tu przyjechać, Elizabeth opowiadała mu, jak małe jest to miasto, jakie spokojne, jak nieprzyjaźnie jego mieszkańcy potrafią traktować nieznajomych, co

okazało się kompletnie nieprawdziwe, o ile mógł to ocenić. Jak powiedziała, mieszkańcy Nowej Anglii bywali być może ostrożni i pełni rezerwy, lecz nikt nie był dla niego nieprzyjemny.

— Bała się, że zanutysz się tu na śmierć — odparła, wsiadając do samochodu.

Roześmiała się.

— Nie, po prostu bała się, że przyjadę.

Przez chwilę nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

— Elizabeth taka nie jest — przemówiła w końcu.

— Co masz na myśli? Nie jest jaka?

— To bardzo szczerą osobą. I jeśli powiedziała, że może tu być dla ciebie za spokojnie, właśnie to miała na myśli, nic innego.

— Tak sądzisz, hm? — odpowiedział z wymuszonym rozbawieniem kogoś, kto odkrywa, że stał się obiektem jakiegoś bardzo skomplikowanego żartu.

— Ja to wiem. Jest chyba najlepszą osobą, jaką kiedykolwiek znam. Właściwie nie sądzę, żeby kiedykolwiek w swoim życiu kogoś zraniła.

— Nie, masz rację. Po prostu popadam w lekką paranoję.

— Taa, a chciałbyś o tym porozmawiać...? — rzuciła, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Gdy stary silnik zaryczał, Rudy nachylił się do niej, by jej powiedzieć, że cieszy się, że na nią wpadł. To jeszcze jeden plus mieszkania w małym mieście: ciągle spotykało się tych samych ludzi.

— Właściwie to jest chyba najgorsze — sprostowała. — Nie możesz się nigdy ukryć.

— Naprawdę? No, Elizabeth z pewnością świetnie sobie z tym radzi — odparł i zamknął drzwi jej samochodu. Czekał, patrząc, jak wyjeżdża z parkingu.

Na rogu zerknęła w lusterko wsteczne i zobaczyła, jak stoi przed zaparowanym, oświetlonym, żółtym oknem sklepu z paczkami. Czuła się winna. On był samotny, a ona go spławiła, gdy wszystkim, czego chciał, była rozmowa o Elizabeth, a właśnie o niej zazwyczaj chciał rozmawiać George, kiedy z nią był. Elizabeth. Kochana, słodka Elizabeth. Cóż, nie mogła ich winić. Ona też ją kochała... Coś przykuło jej wzrok z powrotem do drogi, do wyblakłego, niebieskiego kombi jadącego przed nią. Głowa Patricka Grady'ego podskakiwała raz w jedną, raz w drugą stronę w rytm jakiejś muzyki. Ciekawa była, czy jedzie do domu, czy może ma zamiar się z kimś spotkać. Może z kobietą. Z kimś, do kogo nigdy by się nie przy-

wiązał, bo nigdy nie przestał kochać jej matki, nigdy nie przestał żywić nadziei, że do niego wróci.

Skręcił w Chestnut Street, więc skręciła za nim. W połowie drogi na wzgórzu zjechał niespodziewanie na podjazd przed wielkim, szarym domem naprzeciwko Rezerwatu Ptaków. Przejechała powoli dalej, a gdy tylko znalazła się za zakrętem i zniknęła z jego pola widzenia, zawróciła szybko i zaczęła zjeżdżać ze wzgórza, zwalniając przed pogrążonym w ciemnościach domem. Jednak podjazd był pusty. Widocznie zauważył jej samochód i zjechał tutaj tylko po to, by ją zmylić. Jechała powoli, wściekła, że go śledziła, że została na tym przyłapana, że kolejny raz poddała się tej beznadziejnej obsesji. Ale co on sobie wyobrażał, skarżąc się na nią wujkowi Charlesowi, gdy ta sprawa była osobistą sprawą między ojcem i córką, i nikim innym, nikim innym, nikim innym, do diabła! Jej ciotka i wujek, jak wielu innych ludzi, mogli się go obawiać, ale ona nie czuła przed nim strachu. Nie. Nie!

Jechała wzdłuż Parku Przemysłowego, aż dotarła do jego zaniedbanego, małego domku. Kiedy postawiła samochód na podejździe tuż za jego wozem, nadal nie wiedziała, co zamierza powiedzieć. Nim mogła zmienić zdanie, wyskoczyła z samochodu i popędziła wąską ścieżką przed domem. W oknach nie paliło się światło. Zielone rolety były zaciągnięte. Weranda skrzypiała przy każdym stąpieniu. Na obciążonej z farby framudze drzwi przybito gwoździami napis: „Zakaz wstępu.”

Podniosła rękę, by zapukać, a drzwi gwałtownie się otworzyły. Patrick Grady wynurzył się z cieni w przedpokoju, z na wpół odwróconą głową. Jego rzucone z ukosa przez przykurzoną siadłą spojrzenie było pełne niedowierzania i wściekłości.

— Teraz to już jest nękanie i jeżeli w tej chwili nie wyniesiesz się z mojego terenu, zadzwonię do Charlesa Hollisa i powiem mu, żeby brał dupę w troki i wywłókkł cię stąd.

— Mam prawo tu być...

— Nie, nie masz! — zawył, dźgając tak gwałtownie palcem powietrze, że odskoczyła, a jego palec wyrwał dziurę w kruchej siatce.

— Ale ja chcę tylko porozmawiać. — Nie mogła przełknąć śliny.

— Co z tobą? Oszalałaś? Zostaw mnie w spokoju. Nie potrzebuję tego całego gówna! Tylko zostaw mnie, do cholery, w spokoju! — ryczał z taką wściekłością, że poznaczona bliznami, zbita w jedną masę skóra zwisająca na jego policzku tak obciążyla i naciągnęła powiekę, że gałka oczna wydawała się wychodzić z oczodołu.

— Proszę, ja chcę tylko z tobą porozmawiać, to wszystko.

— Porozmawiać ze mną? — krzyknął. — Nie rozumiesz? Tu nie ma o czym mówić. Nic nie ma! Absolutnie nie!

— Ale ja tylko chciałabym dowiedzieć się czegoś o mojej matce. I to wszystko.

— Przecież ja nie mam o niej nic do powiedzenia, rozumiesz? — Cofnął się i zatrzasnął drzwi.

— Proszę! — krzyczała, waląc w nie. — Proszę, porozmawiaj ze mną. Tylko o to mi chodzi! Tylko o to! Tylko o to!

Wewnętrzne drzwi otworzyły się, a potem drzwi z siatki, które uchylił tylko na tyle, by mógł przecisnąć się na ganek. Powiew wiatru porwał puszkę po piwie, która potoczyła się, pobrzękując, po podłodze werandy. Chwycił ją i zgniótł, nim znów się odezwał.

— Jeżeli chcesz tylko, żeby ktoś z tobą porozmawiał, to znalazłaś się w naprawdę złym miejscu, bo ja nie mam nic do powiedzenia.

— Czy mogłabym ci zadać chociaż kilka pytań? — Zadrżała. Zaciśnęła szczęki, żeby zęby przestały jej szczekać.

— Jakich pytań? — Zdawał się zdumiony jej wytrwałością.

— No, jak długo ty i moja matka...

— Nie! — szczeknęła. — Nie mam o niej nic do powiedzenia.

— A czy ona...

— Jezu, ty nie rozumiesz. Powiedziałem: nie o tym! — warknął, dźgając palcem powietrze na poziomie jej oczu.

O tym. Nie o niej, ale „o tym”. Aż skuliła się od jego pogardy.

— Urodziłeś się tutaj, w Dearborn? Masz braci czy siostry? Czy twoi rodzice jeszcze żyją? — pytała w powodzi słów, znając już odpowiedzi. Urodził się w Maine. Jego siostra zamieszkała w Texasie i nigdy tu nie wróciła. Obydwoje jego rodzice nie żyli. — Masz tu jakichś krewnych?

Potrząsnął głową.

— Czego chcesz? Rozum ci odjęło? Masz problemy psychiczne? Co? No co jest?

— Chcę tylko wiedzieć. Naprawdę mnie to interesuje.

— Nie powinno, bo ja nikim dla ciebie nie jestem.

Wbiła w niego wzrok, zdecydowana nie pozwolić się zranić czy przepędzić jego okrucieństwem.

— Byłeś przyjacielem mojej matki — powiedziała.

Odskokczył gwałtownie.

— Miała mnóstwo przyjaciół. Dlaczego nie pójdziesz ich niepokoić? Idź i zadaj im kilka pytań.

— Większość ludzi nie będzie ze mną o niej rozmawiać. Czują się niezręcznie czy coś w tym rodzaju. — Wzruszyła ramionami. — Nie wiem, dlaczego. — Spuściła wzrok. Czuła, jak jego oczy szukają w niej Natalie, może nawet jakiejś części jego samego.

— Może po prostu dla większości ludzi za ostro się do tego zabierasz.

— Taa, cóż, może i tak. — Zadygotała w ostrym wietrze i musiała przytrzymać ręką włosy, żeby powiew nie zdmuchnął jej ich na twarz. — Może mam to po matce.

Spojrzał na zegarek.

— O to ci chodzi?

— A co? Jestem do niej podobna? — spytała szybko. — Uważasz, że tak? — Uśmiechnęła się i wstrzymała oddech, pozując, czekając, aż pstryknie migawka.

— Myślę, że powinnaś zapytać ich — Hollisów. Arlene, ona by wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny. — Otworzył drzwi, stanął na progu i spojrzał przez ramię. — Ja wracam do środka, więc lepiej będzie, jak już sobie pójdziesz.

— Poczekaj! Proszę, poczekaj! — zawołała. Odwrócił się.

— Nie! Uspokój się! — rzekł, dźgając ją palcem. — Nie chcę tego. Nie chcę żadnych kłopotów, rozumiesz? — Spoglądał to w jedną, to w drugą stronę drogi, jakby ktoś mógł ich obserwować, chociaż w promieniu wielu mil nie było żadnego domu, samochodu, nikogo.

Skinęła głową, w pośpiechu starając się wymyślić jakiś pretekst, by go zatrzymać. Widząc jego wylężnione spojrzenie, zbliżyła się szybko do drzwi.

— Nie sprawię ci żadnego kłopotu. Naprawdę. Nigdy bym tego nie zrobiła. Lubię cię po prostu, to wszystko. Bardzo cię lubię. Tak, i nie mogę nic na to poradzić, to jakby naturalna rzecz. To jak takie silne przyciąganie do kogoś, kogo tak naprawdę nawet się nie zna. Przepraszam, ale nic na to nie mogę poradzić.

Tak! Zobaczyła to: jakaś maleńką zmianę, jakiś najbardziej przelotny błysk głęboko w jego oczach. Była tego pewna.

— Pójdziesz czy nie? Pójdziesz z łaski swojej? — odezwał się.

— Tak, ale czy to będzie w porządku, jeżeli kiedyś znowu wpadnę? Żeby tylko powiedzieć „cześć” — dodała i teraz, gdy na nią popatrzył, nie odwróciła wzroku.

— Nie. Nie przychodź — powiedział i wszedł do środka. Zamknął drzwi. Szczęknął zamek.

Pierwsza wiadomość na jej sekretarce była od Elizabeth, która mówiła, że przykro jej, że się tak długo nie kontaktowały. Musiała wyjść dokądś dziś wieczorem, więc zadzwoni jutro. Fiona uśmiechnęła się, gdy taśma z warkotem przesuwiała się do następnej wiadomości. Myślała, że to George.

— Fiono! Tu Rudy. Rudy Larkin. Wiem, że widziałem cię ledwie parę minut temu, ale kiedy wszedłem do domu i zadzwoniłem do Elizabeth, i jej matka powiedziała, że jej nie ma, to miałem nadzieję, że może wstąpiła do ciebie, żeby się z tobą zobaczyć po drodze do domu. Ale w każdym razie myślę, że ciebie też nie ma w domu, skoro nikt nie podnosi słuchawki. No, przepraszam, że zużywam ci tyle taśmy, ale gdyby Elizabeth się pojawiła, powiedz jej, proszę, żeby do mnie zadzwoniła, ponieważ zaszło dziś to rzadkie zjawisko zwane wolnym wieczorem, i bardzo za nią tęsknię... — Przerwał. — No, dzięki — dodał niepewnie, jakby zdał sobie sprawę z tego, jak żałośnie to wszystko brzmiało.

Mimo że ślubowała sobie, że poczeka, aż on do niej zadzwoni, wybrała numer George'a. Telefon zadzwonił cztery razy, zanim George podniósł słuchawkę.

— Halo! — zawołał pełnym entuzjazmu głosem. — Halo? — powtórzył, a w tle westchnęła jakaś kobieta: — Och, nie myślałam, że już tak późno...

Fiona odłożyła słuchawkę z taką precyzją, tak ostrożnie, tak delikatnie, tak cicho.

Rozdział 7

Choć słońce świeciło promiennie, zimna, metaliczna ostrość rozrzedzała światło, którego z dnia na dzień ubywało. Kwiaty umarły, a większość drzew stała naga, prócz dębów i ich upartych, brązowych liści, z których część mogła nawet przetrwać wiatr i śnieg. Fiona drżała, gdy prowadziła samochód. Ogrzewanie nie działało, a lodowe pazury zimy zagłębiały się boleśnie aż do kości. Lękała się krótkich dni i wydłużających się nocy, miesięcy mrozu, które miała spędzić przed telewizorem. Wszystkim, czego potrzebowała, był ktoś, kto by się o nią troszczył, o to, jak się czuje i co myśli o najprostszych sprawach, ktoś, kto wiedziałby, kiedy wychodzi z pokoju, i spoglądałby na drzwi w oczekiwaniu na jej powrót. Czy to tak wiele?

Śpieszyła do kawiarni, by odnaleźć natychmiastowe ukojenie w pełnej pobrzękiwania, ciepłej kuchni. Woda bębniła o wielki, podwójny zlew, gdy Sandy napełniała dzbanki. Chester mieszał ciasto naleśnikowe. Uderzenia drucianej trzepaczki o ściankę metalowej misy były regularne jak puls. Plastry bekonu i paszteciki skwierczały na grillu.

W chwili gdy weszła na salę, Maxine oznajmiła jej, że Todd Prescott i Sandy mieszkają razem. To sama Sandy poprosiła Maxine, by „przekazała smutną nowinę.”

— Przekazała smutną nowinę! Jakby mi to miało złamać serce czy co?

— Ona nie chce cię denerwować — odparła Maxine.

— Denerwować mnie! Mnie? A co z jej dziećmi? Jakie popieprzone życie im szykuje? Czy ona w ogóle nie ma mózgu? Można ciężko myśleć, ale to jest pieprzone zaniedbanie! — wybuchła, przestraszona przyprawiającą o zawrót głowy, niemal niemożliwą do opanowania wściekłością. Rozejrzała się wokół, rozpaczliwie szukając czegoś, na czym mogłaby zawiesić wzrok, co by ją przyhamowało, lecz najbardziej

żywym obrazem była wytarta ścieżka na poplamionej wykładzinie wiodąca z kuchni obok pustych krzeseł, pustych boksów i pustych stołów, które zmywała gąbką, nakrywała, na które podawała i z których sprzątała więcej razy, z większą pilnością i troską, niż czyniła cokolwiek w swoim zmarnowanym życiu.

Drzwi zakołysały się i otworzyły, i Sandy wyszła tyłem z kuchni z tacą napełnionych wodą dzbanków. Pasemka włosów wysunęły się z jej końskiego ogona na kołnierzyk, nadając jej dziecinnie niewinny wygląd.

— Przywiózł wczoraj wieczorem nawet już wszystkie swoje rzeczy — wyszeptła Maxine.

— Co oznacza, że jest zdesperowany. Pewnie wyleciał z pracy i potrzebne mu miejsce, gdzie mógłby się zatrzymać. — Przynęła się do Maxine. — Wiesz, że ja nie mogę jej tego powiedzieć, ale ty możesz.

Ostatnio ona i Sandy właściwie się do siebie nie odzywały. W zeszłym tygodniu, gdy Sandy wspomniała, że Todd lubi zabierać dziewczynki na plac zabaw, Fiona ostrzegła ją, że może używać ich jako przykrywkę dla swoich narkotykowych interesów.

— Och, nie. Sandy mówiła, że właśnie dostał ogromną podwyżkę — wyszeptła Maxine. — Właściwie to jego ojciec nawet do niej zadzwonił, żeby podziękować, że ona ma na niego taki dobry wpływ.

— Ale on zawsze to robi — uśmiechnęła się z drwiną Fiona, chociaż do niej pan Prescott dzwonił jedynie z pełnymi wściekłości żądaniem, by zostawiła ich syna w spokoju.

— A ja nigdy jeszcze nie widziałam jej takiej szczęśliwej. — Maxine obserwowała, jak Sandy pędzi do toalety.

— To nie tak — odparła Fiona. — Prawdziwe szczęście polega na tym, co ty robisz dla siebie. Nie bierze się z tego, co robi dla ciebie jakiś facet.

Drzwi frontowe otworzyły się, a Maxine wyciągnęła błyskawicznie rękę do stojaka z menu. Podniosła wzrok z wyczekującym uśmiechem, lecz był to tylko Jimmy Leonard, pchający swój wózek z mlekiem.

— Dzień dobry paniom — krzyknął głośno i rozejrzał się dookoła, zawiedziony, że nie widzi Sandy, która z nim flirtowała i ocierała się o niego zawsze, kiedy tu przychodził. Dzisiaj miał na sobie koszulkę z krótkimi rękawami, zamiast jednego z tych podkoszulków z obciętymi rękawami, które eksponowały grube jak liny mięśnie, wybrzuszące się i prężące przy najlżejszym wysiłku. Wtoczył swoją dostawę do kuchni, gdzie jego dobry humor szybko przysł.

— Mówiłem ci raz, mówiłem ci sto razy — wrzeszczał Chester — dostawy od tyłu. Z alejki! Nie od frontu, kiedy klienci jedzą.

— Słuchaj, Fiona — zawołał wychodząc z kuchni. — Linda i ja urządzamy nasze przyjęcie na Halloween w czwartek wieczorem. Przyjdziesz, nie? — Ich przyjęcie, urządzone co roku, stało się w ostatnich latach przykrym obowiązkiem.

— Nie wiem, Jimmy, spróbuję — odparła.

— Wszyscy przyjdą — dodał, kiedy Sandy wychodziła z toalety. Uśmiechała się. Ułożyła sobie włosy i nałożyła świeżą warstwę pomadki. — No, ty też jesteś zaproszona, Sandy — odezwał się do niej. — Ty i Todd — dodał.

— Ale to Halloween — Sandy wyglądała na zakłopotaną.

— Bez niej nie masz co robić tej imprezy, prawda? — mrugnęła do niego Fiona, ale Jimmy wciąż szczyrzył zęby do Sandy.

— Tylko że Steve i Myrna chcą, byśmy przyprowadzili dziewczynki na zabawę w Halloween — wyjaśniła Sandy.

Steve i Myrna! Fiona nie mogła w to uwierzyć. Mała, głupia Sandy Rudman, córka barmanki, po imieniu z państwem Prescott.

— Poza tym Todd już tak nie lubi przyjęć. — Sandy uśmiechnęła się, niezdolna ukryć dumy z jego stabilizacji.

— Co, zartujesz? Todd Prescott? Wobec tego sam go zaproszę — krzyknął Jimmy od drzwi, wychodząc.

— Och, mam nadzieję, że tego nie zrobi — wymamrotała pod nosem Sandy.

— Stawianie mu ograniczeń to najgorsze, co możesz zrobić — odezwała się Fiona, a Sandy obrzuciła ją zimnym spojrzeniem. — Bo oni zawsze to robili. Prescottowie. To było jak jakaś chora gra, jakby chcieli, żeby pakował się w te koszarne kłopoty, bo potem mogli go znów mieć pod kontrolą.

— Cóż, myślę, że to wyjaśnia, dlaczego tak długo wytrzymywali z tobą! — odparła Sandy. Rzuciła tacę na stół.

Fiona odwróciła się, tak zaskoczona, że aż się roześmiała.

— Właściwie to mnie nienawidzili.

— I będą! — odparła z triumfem Sandy.

— Przestańcie! — zażądała Maxine.

— dzięki Bogu. Moja cześć nie ucierpiała! — powiedziała Fiona.

— Twoja cześć! — kpiła Sandy, gdy otwierały się frontowe drzwi. Weszły dwie kobiety w towarzystwie siwowłosego mężczyzny w trzyczęściowym garniturze. Wszyscy troje mieli w rękach teczki. — Twoja cześć!

— wyszeptła Sandy w drodze do ich boksu, niosąc dzbanek z wodą. — A to dobre. Naprawdę dobre.

Fiona ruszyła za nią.

— Dzień dobry! — odezwała się Sandy, nalewając im wodę.

— Przepraszam. — Fiona klepnęła Sandy w ramię, a Sandy odwróciła się, wystraszona. — Nie podoba mi się to, co przed chwilą do mnie powiedziałaś.

Tamtych troje przyglądało się z zaciekawieniem.

— Fiona! — wykrztusiła Sandy.

— Lepiej mnie przeproś.

— Fiona! — krzyknęła zdenerwowana Maxine. A okrągła broda Sandy, z dołeczkiem pośrodku, zadrżała z przestraszenia.

— Słyszałaś, co powiedziałaś?

— Przepraszam — wyszeptła Sandy.

— Nie dosłyszałam.

— Przepraszam — powtórzyła Sandy zduszonym głosem.

— Dziękuję — odpowiedziała Fiona i błysnęła uśmiechem do zdezorientowanych klientów. — Spróbujcie koniecznie gulaszu z ziemniakami. To specjalność Chestera.

Był wczesny poranek, gdy George Grimshaw w końcu zadzwonił. Nie usłyszała ani słowa wytłumaczenia czy przeprosin za jego trwające od dziesięciu dni milczenie. Poprosił, by zobaczyła się z nim tego wieczora. Jeżeli nie była zajęta, jak szybko dodał. Rozglądając się po bałaganie panującym w jej mieszkaniu, skłamała, że właściwie była zajęta. Lepiej byłoby jutro. Biegała po mieszkaniu, zbierając, co tylko się dało, a po pracy kupiła jasnioletowe prześcieradła, wyprodukowane z tak doskonałego włókna, że wydeły się jak jedwab, gdy rozkładała je na łóżku. Wsunęła pod poduszki koronkowe saszetki o zapachu róży. A następnego dnia przygnała z pracy do domu z zakupami, nowym obrusem i zasłonami do saloniku.

— Jak to ładnie wygląda — zawołała w holu do pani Terrill, która przyklejała taśmą na swoich drzwiach wyblakłą dynię z krepiny; jedną z ozdób, które zachowała z dni, gdy była nauczycielką. Halloween był jej ulubionym świętem, bo mogła zobaczyć tyle dzieci — wysapała ta drobniutka, starsza kobieta, starając się dosięgnąć czubka obwisłej dyni. Fiona postawiła swoje torby i szybko to przykleiła. Wdzięczna pani Terrill zaprosiła ją zaraz na jabłecznik. Fiona tłumaczyła się, że oczekuje kogoś na kolacji i ma tylko godzinę, by wszystko przygotować.

— Och! — zawołała pani Terrill, otwierając z szerokim uśmiechem drzwi. — Więc może wy dwoje moglibyście przyjść? Tak bym chciała. Naprawdę.

Fiona poklepała ją po szczupłym ramieniu i odpowiedziała, że nie może obiecać, ale spróbuje. Chociaż nie chciała rozpalać nadziei w tej uroczej starszej pani, była pewna, że George by z nią do niej poszedł.

Gdy zawieszła ostatnią przejrzystą firankę, rozległ się dzwonek do drzwi. Zaczepiła pręt na podpórce, zeskoczyła z krzesła i przysunęła je do stołu. Chwyciła przygotowane na Halloween słodycze i podbiegła do drzwi.

— Cześć, nieznajomy. — Wyciągnęła torebkę. — Wybieraj. Cukierek czy figiel.

George zawahał się. Wziął snickersa.

— Dzięki — powiedziała, wchodząc do środka.

Mieszkanie pachniało potpourri z jagód ostrokrzewu, które gotowało się na wolnym ogniu na kuchence, i aromatyzowanymi świecami rzucającymi pasy światła na sufit w saloniku.

— Sprytny kostium — odezwała się Fiona, zawiedziona, że nie przebrał się ze swojego ciemnoniebieskiego ubrania roboczego.

— Doszedłem do wniosku, że przyjadę prosto tutaj. — Wzruszył ramionami. — Nie było sensu, bym najpierwjechał do domu, żeby się przebrać. — Z wysiłkiem przełknął ślinę i skrzywił się, jakby powiedział nie to, co chciał.

Przyjemnie jej było, że tak się do niej śpieszył. Wyglądał cudownie, szczupły i muskularny, ale tak zdenerwowany, że było to prawie zabawne. Zgarbiony na brzegu jej różowej, aksamitnej kanapy, zakładał ramiona na piersi, krzyżował nogi, odchrząkiwał. Aż poszła dla niego po piwo. Wyrzała z kuchni i zobaczyła, jak stuka batonikiem w kolano i rozgląda się, jakby ktoś jeszcze był z nim w pokoju. Rozumiała to napięcie: to samo pożądanie, które czuła w dole brzucha od chwili, gdy otworzył drzwi. Tym razem nie będzie żadnego pośpiechu, napominała samą siebie, żadnego szarpania się z guzikami, a potem — żadnych wyrzutów sumienia.

Jednym łykiem osuszył pół piwa.

— Chciało mi się pić — wyjaśnił zmieszany i odstawił kufel na podkładkę. Przyglądając mu się uważnie, przesunął go najpierw na prawo, potem trochę na lewo, jakby przyszedł tu właśnie po to, by precyzyjnie ustawić ten kufel. Nagle zapisał minutnik piekarnika, a on wzdygnął się i spojrział w stronę drzwi z przestraszonym wyrazem twarzy.

— Nie martw się. Zamknięte na klucz — odezwała się i nie mogła powstrzymać uśmiechu. — Musisz być głodny. — Popędziła do kuchni, by wyłączyć minutnik. Zapiekanka mięsna i pieczone ziemniaki były już gotowe. — Włącz telewizor — zawołała i pochyliła się, by otworzyć piekarnik. George stanął w drzwiach w chwili, gdy gorące powietrze z piekarnika zakłuło ją w twarz.

— Och, nie — odezwał się z progu.

Chwyciła się brzegu blatu. Trochę kręciło jej się w głowie, kiedy się prostowała. Nie mógł się doczekać.

— Nie przyszedłem jeść...

— Ale wszystko już gotowe.

— Nie. Muszę z tobą porozmawiać. Dlatego tu jestem.

— No, ostry facet z ciebie. Możesz rozmawiać i jeść, prawda? — Wyjęła z piecyka skwierczący rondel i ziemniaki, świadoma jego głuchego milczenia, gdy tak tam stał, a jego spojrzenie wędrowało pośpiesznie wszędzie, tylko nie ku niej.

Powiedziała, że Jimmy Leonard urządza dziś wieczorem swoje przyjęcie, ale nie ma ochoty na szykowanie kostiumu i zarywanie nocy, gdy rano idzie do pracy. Mieszając szybko przyrządzoną naprędce sałatkę, dodała, że takie rzeczy przestały już bawić. Włała za dużo sosu, a teraz łyżka wymknęła jej się z ręki na podłogę. Nie wiedziała, dlaczego czuje się taka zdenerwowana. Ustawiła misę na stole, który, gdy podniosła jego ruchomy blat, niemal w całości wypełniał maleńką kuchenkę. Spytała, czy widział po drodze jakichś przebierańców.

— Może wcześniej zaczynają — ciągnęła, gdy nie odpowiadał. Chciała, by teraz jacyś zapukali do jej drzwi. Wyobraziła sobie, jak we dwójkę dają im słodycze, a potem, gdy tylko zamkną drzwi, wybuchają śmiechem ze zmieniających nie do poznania kostiumów dzieci. — Och! Kupiłam też wino, podobno dobre — odezwała się, odwracając się do niego z korkociągiem i butelką.

Widząc smutny grymas jego ust, stwierdziła, że on nie wie, jak ma to zrobić. Powiedziała mu jeszcze, że to hiszpańskie wino. Wkręciła korkociąg i wyciągnęła korek, rozbawiona tym, że skrzywił się na jego delikatne pyknięcie.

— George! — Objęła go ramionami i mocno przytrzymała. — Och, George, wiem, jak okropnie musiałeś się czuć tamtego ranka. To znaczy, jak bardzo wprawiło cię to w zakłopotanie. Wiem, bo sama się tak czułam. A biedna Elizabeth... — Westchnęła. — To po prostu takie cholernie żenujące, prawda?

— Nie o to chodzi. — Patrzył gdzieś obok niej na zegar, na stopioną, brązową masę potpourri, na pływającą w tłuszczu zapiekankę i dwa ziemniaki wysychające na blasze piecyka.

— Więc o co chodzi? No, George, powiedz mi. Możesz mi powiedzieć — wyszeptła mu do ucha, podczas gdy z dziecięcą przekorą trzymała zgięte palce przyciśnięte do jego krzyża, do jego sztywnych pleców, gdy mocno wciskała miednicę w jego miednicę, jakby siłą, ocieraniem się, samą intensywnością własnego pożądania mogła rozpałcić od nowa jakiś mrugający węgielek i zmusić jego bezwładne ciało do poruszenia się, żeby wszystko było znów dobrze.

— Nie pasujemy do siebie — odezwał się tak zdecydowanie, że była pewna, iż spędzał całe dnie, powtarzając te właśnie słowa w swojej furgonetce, gdy jeździł od klienta do klienta. — Jesteśmy po prostu zupełnie różnymi ludźmi.

— Co masz na myśli, George? — Uśmiechnęła się do rozpalonej twarzy tuż obok własnej.

— Obydwoje byliśmy, jakby, samotni, więc to po prostu, jakby, stało się — wydukał.

Z jego zmieszania odczytała, że albo już tłumaczył się w ten właśnie sposób przed Elizabeth, albo zamierzał to zrobić. Była zafascynowana tym, że jego uczucia dla jej kuzynki pozostały takie czyste, tak pełne czci, że nigdy nie złościł się ani nie czuł urazy, że odeszła i pokochała kogoś innego. Z Elizabeth łączyła go miłość abstrakcyjna, podczas gdy ona, Fiona, była jego rzeczywistością.

— To? Co to znaczy „to”? Co masz na myśli, George?

— Wiesz. My. — Sięgnął za siebie i odsunął jej ręce. — Przykro mi. Ale próbuję po prostu być uczciwy. Nie ma sensu, żebym cię oszukiwał. To znaczy, mógłbym pozwolić, żeby to wszystko samo się powoli skończyło, ale właściwie po co?

— Cóż, myślę, że jedną z korzyści byłby seks, którym ciągle mógłbyś się cieszyć — drażniła się z nim, klepiąc go w policzek. Zadrzał, a jego głowa odskoczyła, jakby cofał się przed jadowitym ukąszeniem. Jego oczy zaszkliły się takim nieszczęściem, że nie wiedziała, co powiedzieć. Ogarnęła ją panika. Brakowało jej tchu. Jak mogła być taka głupia i, po raz kolejny, taka ślepa? Wzięła gorącego ziemniaka i przerzucała go z ręki do ręki. — Ale wtedy czułbyś się dziwnie wobec Elizabeth, prawda? I to jest ten prawdziwy powód, tak?

— To nie ma nic wspólnego z Elizabeth. — Wyglądał na głęboko urażonego.

— Jezu Chryste, George, oczywiście, że ma! — ryknęła, ciskając ziemiaka i rozgniatając go o kafelki przy zlewie. — Przyznaj to! Przede wszystkim to z jej powodu poprosiłeś mnie wtedy, żebym z tobą wyszła! A teraz to z jej powodu chcesz wszystko zakończyć! Przyznaj to, George! Nigdy ci nie przeszło! Jesteś tak zdesperowany, że ciągle próbujesz wymyślić sposoby, by sprawić jej przyjemność i uszczęśliwić ją, i zwrócić na siebie jej uwagę. Ale posłuchaj, George! — prowokowała, machając mu ręką przed twarzą. — Posłuchaj, George'u Grimshaw, to koniec! Ona kocha kogoś innego i zamierza wyjść za niego za męża! Na Boga, George, przestań stać tak żałośnie! Staw czoła faktom! To już skończone!

Patrzył na nią.

— W porządku — odezwał się, mierzając ją zimnym wzrokiem. — Nie chciałem ci tego mówić. Ale może to jedyny sposób, żebyś zrozumiała. Wiem o tobie i Bradzie Gliddenie. O tym, co się stało.

— Co? — Głowa jej się zatrzęsła, jakby wymierzył jej cios. — O czym ty mówisz?

— Mówię, że to wszystko zmienia.

— Wszystko zmienia! O co ci chodzi? O czym ty, do diabła, mówisz?

— Po prostu nie mogę już czuć tego samego dla kogoś, kto to zrobił.

— Co zrobił, George? Powiedz! Powiedz mi! Powiedz mi, co zrobiłam! Śmiało!

— Przepraszam — odparł, wruszając ramionami tak mocno, że aż schował w nich szyję. — Po prostu chciałem być wobec ciebie uczciwy. I chyba dobrze. Chodzi mi o to, że znamy się od tak dawna. I dlatego musiałem przyjść i powiedzieć ci to osobiście. — Otworzył drzwi. — Przepraszam — powtórzył cicho i wyszedł pośpiesznie.

Wybiegła za nim do holu.

— Cholernie szlachetny z ciebie skurwysyn — krzyknęła, wychylając się przez poręcz, gdy on pędził na dół po schodach. — Dzięki, George! Dzięki, że byłeś taki cholernie szczerzy. Naprawdę to doceniam! — Cofnęła się zawstydzona, widząc, jak w holu zamykają się drzwi do mieszkania pani Terrill.

Wyrzuciła zapiekankę do kosza na śmieci. Ociekający tłuszczem rondel i całą resztę też. Wyjęła piwo i wyciągnęła się na kanapie, gapiąc się w telewizor, nieświadoma, że bandy objedzonych słodyczami dzieciaków wędrują po budynku. Stukanie do jej drzwi rozlegało się jak uderzenia gradu, ale ona cały czas je ignorowała. Kroki pośpieszyły do otwierających się drzwi pani Terrill.

— Cukierek czy figiel! — wrzeszczały dzieci, a starsza kobieta roześmiała się. Na pół zjedzona paczka snickersów leżała ciepła i miękka na brzuchu Fiony. Otworzyła następnego, zgmiotła w kulkę papierek i rzuciła go na rosnącą stertę na stoliku do kawy.

— Powiedziałem, jednego. Weź tylko jednego — nalegał pan Clinch ze swoich drzwi po drugiej stronie holu. Rozpoczął wieczór od podziwiania różnych kostiumów, ale teraz było pół do dziesiątej i głosy plądrującej dzieciarni brzmiały jak odgłosy starszej, bardziej zachłannej bandy. — No, w porządku, wystarczy! — ogłosił ostrym tonem. — Halloween się skończyło! Idźcie do domu! I tak już za późno! — zatrzasnął drzwi.

— Ale ja nic nie dostałem — zajęczało jakieś mniejsze dziecko.

Fiona otworzyła drzwi i wyrzuciła torebkę do holu do stóp przestraszonego chłopca o umazanej węglem drzewnym twarzy i w workowatym, połatanym stroju włóczędzy.

Założyła obcisłe, czerwone spodnie, czarną, koronkową górę, która ledwie sięgała talii, i złote szpilki. Śmiała się, nakładając makijaż: błyszcząca czerwona szminka, gruba warstwa czarnego tuszu na rzęsach i szkarłatny cień, nałożony od kącików oczu do skroni, jak skrzydła jakiegoś egzotycznego ptaka.

Cukierek czy figiel! — powiedziała, gdy otworzyły się drzwi domu Jimmy'ego Leonarda. Prowadziły do wąskiego foyer oświetlonego wielkimi, posykanymi lampionami z dyni. Siedząca na ławce naturalnych rozmiarów kukła czarownicy wydała z siebie cichy rechot.

— Fiona! Tak dawno cię tu nie było — wykrzyknęła Louise, dziewczyna Jimmy'ego, ubrana w kostium lamparta. Machnęła długim, sznurkowym ogonem, który trzymała w ręce. — Jimmy bardzo się ucieszy, że jesteś... — Reszta jej powitania utonęła w gwarze głosów i muzyki, gdy prowadziła Fionę do załoczonego, zadymionego pokoju.

— Fiona!

— Hej, Fiona, co u ciebie?

— O, Fiona! — wołali ludzie, których znała, ledwie znała lub nie mogła rozpoznać pod ich maskami, gdy przeciskała się obok nich.

— Bar jest tam! — krzyknęła Louise, wskazując w stronę jasno oświetlonej kuchni. Stół zastawiony był butelkami i plastikowymi kubkami. W rogu stały dwie beczki. Pięcioro ludzi stłoczonych przy kontuarze było, jak powiedziała Louise, krewnymi Jimmy'ego. Jeden z nich był ubrany na czarno, a na szyi dyndała mu katowska pętla. Krew ciekła mu z nosa i kącika ust. Jimmy był na dworze, na werandzie z boku domu. Pa-

lił, jak powiedziała Louise, przewracając oczami. Uczyła w gimnazjum i nie mogła ryzykować, że zapach trawki przylgnie do jej ubrań.

— Świetny kostium — rzuciła Fiona, głaszcząc cętkowane, futrzane ramię Louise.

Louise podziękowała jej. Odparła, że sama go zrobiła, a potem zapewniła Fionę, że nie jest jedyna. Mnóstwo ludzi nie miało kostiumów.

— Ale ja jestem przebrana! — oświadczyła Fiona.

— Wobec tego za kogo? To dla mnie o wiele za subtelne — odparła Louise, lustrując ją od stóp do głów.

— Och, dojdiesz do tego. — Uśmiechnęła się i napełniła kubek z kranika beczki.

Louise chwyciła pięcioletnie opakowanie precelków i oznajmiła, że idzie wyspać je do misek. Fiona przysunęła się do krewnych Jimmy'ego Leonarda, których ożywiona rozmowa o furgonetkach przygasła wraz z jej pojawieniem się. Przedstawiła się. Odpowiedzieli „cześć” i nic więcej.

— Cóż, miło was było poznać — powiedziała i odeszła o kilka kroków w kierunku drzwi. Słysząc było powolną, słodką balladę. Czuła, że ktoś jej się przygląda. Była to Sandy, siedząca obok Todda, wciśnięta w róg sofy i wyglądająca na zmartwioną. Na jej kolanach leżała maska goryla, którą zwijała i rozwijała. Maską Frankensteina zwiśla luźno na szyi Todda, który rozmawiał z ozywieniem z Lynn Clarino, siedzącą z jego drugiej strony. Fiona i Lynn były w liceum przyjaciółkami do dnia przyjęcia dla najstarszych klas, które odbyło się nad stawem miejskim. Od tego czasu Lynn jej nienawidziła. Chociaż Fiona w ogóle nie pamiętała tego zdarzenia, opowiadano jej o nim tyle razy, że do tej pory poznała już wszystkie domniemane szczegóły. Podobno stanęła na podwyższeniu i głosem doskonale naśladowującym jąkanie się Lynn wyrecytowała słowa, wypowiedziane w zaufaniu ledwie parę godzin temu. Pytała Fionę, dlaczego to nikt jej nigdy nigdzie nie zapraszał. Może przez jej grube uda, małe cycki. Co było z nią nie tak? Śmiech ucichł i nikt nawet nie mógł spojrzeć na Lynn, która siedziała wtedy w kucki na plaży z głową ukrytą w ramionach i płakała. Todd wdrapał się na podwyższenie i wepchnął Fionę do wody, a wszyscy wiwatowali.

Cóż, nie miała zamiaru naprawiać teraz tego połamanego płotu. Nie dzisiaj. Poza tym w jej życiu było zbyt wiele takich Lynn Clarino, wszystkie takie oceniające i zbyt obraźliwe. Znużona, powlokła się z powrotem do kuchni. Wzięła sobie następne piwo i wyszła na werandę, gdzie Jimmy Leonard i jakaś para siedzieli i palili. Gdy usiadła, Jimmy podał jej

wilgotnego, pomarszczonego jointa. Zaciągnęła się głęboko i zatrzymała dym, jak najdłużej mogła. Wydmuchnęła go i zaciągnęła się jeszcze raz, nim oddała skręta Jimmy'emu. Nic nie poczuła. Ostrzyżona na języka kobieta miała na imię Gretchen. Śmiała się ze wszystkiego, co mówił jej chłopak, Pete. Opisywał, jak to żółtowego dzieciaka chrupnął pod jego butem.

— „Tato, tato...”, syn podskakuje i krzyczy. „Stoisz na Freddy...” „Nie, nie stoję”, odpowiadam. „Freddy jest w kuchni. Dopiero co go widziałem.” Więc biegnie do innego pokoju, a ja sięgam ręką i praktycznie muszę zdrapywać to świństwo z buta i z podłogi. I wtedy słyszę, że ktoś nadchodzi, więc tak tam stoję z tym paskudztwem w ręce. To jego matka. Krzyczy na mnie, że spóźniam się z alimentami, a potem zaraz słyszy, że dzieciak się drze, że nie może znaleźć Freddy'ego, więc rusza, żeby go poszukać. Jej kurtka wisi na oparciu krzesła, więc wkładam Freddy'ego i jego pieprzone kawałki do jej kieszeni, jak tylko można najschludniej.

Kobieta przechyliła głowę na ramię, krztusząc się ze śmiechu. Jimmy zachichotał.

— Chłopie — powtarzał. — Chłopie, oj chłopie.

— Morderca — odezwała się Fiona.

Pete popatrzył na nią.

— Hm? Co powiedziałaś?

— Morderca — powtórzyła, wstając. — Ty morderco — dodała, pochylając się nad nim.

— Czemu zaraz: morderco? — krzyknął, gdy wycofywała się z wrandy. — Pete! Mam na imię Pete. — Gretchen i Jimmy Leonard chichotali.

Rozmawiając po drodze ze znajomymi, dotarła do salonu. Sandy wcisnęła się głębiej w róg kanapy, ale teraz Todd stał przy stereo i rozmawiał z Billem Hatcherem.

— Cześć, kuzynie! — odezwała się, dołączając do nich. Matka Billa Hatchera i wujek Charles byli kuzynami.

— Och, kuzynko! — Powitał ją długim pocałunkiem w usta. Żart od wieków polegał na tym, że mógł całować ją romantycznie, bo byli spokrewnieni tylko przez małżeństwo w rodzinie. Ręka Hatchera zbłądziła przy tej okazji na jej tyłek, a ona odwzajemniła mu się dobrodusznym pacnięciem.

— Hej, Toddie — powiedziała, dając mu sójkę w bok i obdarzając długim, leniwym uśmiechem, co kazało jej się zastanowić, czy jednak nie jest na haju.

Opowiadał Billowi, jaka była zabawa, kiedy chodzili wieczorem z po-przebieranymi dziewczynkami Sandy. On i Sandy zaprowadzili je do wszystkich domów przy ulicy, przy której mieszkają jego rodzice.

— To dopiero musiał być widok — wtrąciła. — Te małe diabły bie-gające w tę i z powrotem po Humphrey Street.

— Świetnie się bawiły — powiedział. — Jak to one...

— To jest Sandy — szepnęła na boku Fiona Hatcherowi, pokazując głową. — Pracujemy razem. Niezbyt bystra, ale milutka, co?

— Uhm — zgodził się Hatcher i powiedział, że idzie po piwo. Czy chcą, żeby przyniósł też coś dla nich?

— Nie, dzięki — odparła Fiona. — Nie zwracaj sobie głowy. A ona jest niepełnoletnia — zawołała, gdy ruszył w stronę Sandy. — Więc — ciągnęła, odwracając się do Todda z tak olśniewającym uśmiechem, że aż bolało — słyszę, że zrobił się teraz z ciebie prawdziwy tatuś.

— Mnóstwo z nimi radochy. Naprawdę lubię z nimi przebywać.

— Ho, ho! — Zatoczyła się, jakby od ciosu.

— Zawsze lubiłem dzieci — odparł.

— Naprawdę?

— Dzieciaki są świetne. Chcą się tylko bawić.

— To zupełnie tak jak ty, jeżeli dobrze pamiętam, ty sukinsynu! — wyszczała z drżącym uśmiechem. — Ty malutki sukinsynku.

— Co się dzieje? Co z tobą, Fiona? — spytał.

Bojąc się dalej mówić, starała się bez przerwy uśmiechać.

Opuścił głowę i udawał, że pociera nos.

— Wyjdź na zewnątrz. Przyjdę za chwilę...

Stanęli razem na górnym stopniu, twarzami zwróceni w stronę ulicy. On trzymał ręce w kieszeniach i przestępował z nogi na nogę, by się roz-grzać. Ona objęła się ramionami w obronie przed zimnem i mówiła mu, jak wszystko po prostu się rozpada, obojętne, jak bardzo by się starała. Przeprosił za ostatnie lato i za incydent z samochodem Dextera Careya, i za wszystko inne, przez co spieprzył jej życie.

Odparła, że nie, że to ona sama. Nikt inny.

— I najgorsze w tym wszystkim, że nigdy niczego nie czuję. To zna-czy, wiem to tutaj — powiedziała, dotykając swojej skroni. — Ale to się tu zaczyna i tu się kończy. Jak jakiś bardzo szybki proces. — Próbowała się rozeźmiać. — A potem mam to w dupie i pewnie przez to nigdy niczego się nie nauczę, co? — Przyjrzała mu się i musiała szybko odwrócić wzrok od jego smutnego półuśmiechu. — Odbiliśmy już wcześniej taką rozmowę, nie? Może ze sto razy przez ostatnie piętnaście lat? O Boże! — jęknęła

la z obrzydzeniem. — Co ja, do diabła, tu z tobą robię? Ze wszystkich ludzi właśnie z tobą! — Wyrzuciła w górę ręce i obróciła się gorączkowo w kółko. — Czyja zwariowałam? Musiałam! Co by to, do cholery, mogło być innego?

— Och, Fiona. — Podniósł kawałek złuszczonej farby i pstryknął nim na chodnik. — Cholera, wiem, przez co przechodzisz. Naprawdę! Wiesz, rzecz w tym, że musisz znaleźć kogoś, tak jak ja. Tak, jak ja znalazłem Sandy. Kogoś, kto cię potrzebuje. Kogoś, dla kogo naprawdę musisz się postarać.

— O Jezu! — Wybuchła śmiechem, w którym były łzy. — Kogoś jak Sandy! Taa, tani bilet do całkowitej katastrofy.

— Ale tego właśnie potrzebujesz.

— Cóż, wobec tego będziesz to ty, Todd — oświadczyła, wyciągając rękę. Pociągnęła w dół jego głowę i pocałowała go. Objął ją ramieniem. Ocierała się o niego. Musiała coś poczuć. Chciała, by ogień zapłonął w jej głowie, chciała poczuć się bez tchu, jakby tonęła, chciała poczuć głęboko w pachwinie żądzę, by ranić i być ranioną, proszę, proszę, proszę, ale czuła tylko, myślała i czuła, słyszała i odczuwała woń odrazy do niego, lecz przede wszystkim do siebie samej, gdy jego zimne dłonie wczepiały się w jej plecy, a potem wsuwały pod pasek. Otworzyła oczy. — Todd! — Próbowała się odsunąć i znów zamknęła oczy. — Dlaczego to robię? Dlaczego?

Dotknął boku jej twarzy, podbródka, obrysowywał palcem jej usta.

— Wiesz dlaczego. Obydwoje wiemy, prawda, kochanie? Zawsze wiedzieliśmy. Zawsze będziemy — wymruczał w jej włosy.

— Nie, nie o to... — zaczęła mówić, gdy otworzyły się drzwi.

Sandy wyjrzała z domu i zbiegła obok nich po schodach, szlochając z pięścią przyciśniętą do ust.

— Cholera! O, cholera! — krzyknął Todd, ścigając ją po schodkach i biegnąc za nią za róg domu.

Następnego ranka Chester w przygnębieniu siekał czerwoną paprykę. Wrzucił ją do omleta posykanego na czarnej patelni. Nie podnosząc wzroku, skinęli do siebie głowami, ale żadne się nie odezwało. Chester odrzucił ofertę Stanleya Mastersa i ostatni tydzień był bardzo trudny. Maxine pracowała z ożywieniem kogoś, komu właśnie powiedziano, że pozytywny wynik biopsji był pomyłką, podczas gdy w kuchni Chester włókł się od kuchenki do zlewu, wzdychając ciężko, rzucając wokół pełne paniki spojrzenia, jakby czuł, że wokół niego zamykają się ściany.

Choć naprawdę nie miała na to ochoty, Fiona przeprosiła Sandy, tłumacząc się, że była zmartwiona i Todd próbował ją tylko pocieszyć. Zaczepnęła głęboki oddech i zawiązała fartuch w drodze na salę. Miejsca szybko się zapełniały.

— Co u diabła? — wymamrotała, widząc, jak Sandy zbiera zamówienia od sześciu twardzieli, ściśniętych ramię przy ramieniu w największym boksie. Ścinali drzewa dla Begler Company. Zawsze prosili, by obsłużyła ich Fiona, która wiedziała doskonale, jakie każdy z nich lubił jajka i kto pił bezkofeinową zamiast normalnej kawy. Z zaciśniętymi pięściami obserwowała, jak żartują z Sandy, która chwytając się za boki i zginała w pół ze śmiechu. — Ta mała suka — wymamrotała Fiona i popędziła w stronę stolika, zszokowana na równi swoim wybuchem wściekłości, jak i przyprawiającą o mdłości ulgą, której dzięki niemu doznała.

Podrzucając swoim końskim ogonem, Sandy minęła ją szybko, pędząc do kuchni z zamówieniem.

Fiona obróciła się nagle i ruszyła za nią. Wyrwała jej zamówienie.

— Co ty robisz? — krzyknęła Sandy, chwytając je.

— To moi klienci. Ja ich zawsze obsługuję i dobrze o tym wiesz — warknęła.

— Nawet cię tam nie było! — zaprotestowała Sandy.

— Bo byłam tutaj i rozmawiałam z Chesterem. — Czuła jego spojrzenie na swoich plecach.

— Skąd to miałam wiedzieć?

— Pomyślmy — odparła, drapiąc się po głowie. — A może trzeba było spojrzeć? To byłoby pomocne.

— Powiedzieli, że się śpieszą. — Sandy popatrzyła na Chestera, który wylewał chochlą ciasto naleśnikowe na grill.

— Słuchaj, po prostu odpuść sobie, co, Sandy? Dobrze wiem, czemu się odgryzasz!

— O co ci chodzi, Fiona? — domagała się odpowiedzi Sandy, obracając się, by stanąć z nią twarzą w twarz. — Dlaczego nie powiesz, o co ci naprawdę chodzi!

Fiona zdobyła się na wymuszony uśmiech.

— Uwierz mi, robię to. Zawsze to robię — odparła, rozpaczliwie starając się zachować panowanie nad sobą.

— Nie, to przez to, że jesteś taka zazdrosna...

— Zazdrosna! Taa, trafiłaś! — Wywróciła oczami i zmusiła się do śmiechu.

— I dlatego przystawiałaś się do Todda zeszłej nocy, bo byłaś taka cholernie zazdrosna...

— Posłuchaj mnie, ty głupia dziewczyno! — Chwyciła Sandy za ramię. — Todd Prescott zmarnuje ci życie, jeśli...

— Ty szmato, to ty tylko rujnujesz ludziom życie! Nie możesz znieść, że ktoś inny jest szczęśliwy. Jesteś jak trucizna, i tylko tyle, i wszyscy o tym wiedzą!

Fiona popchnęła ją. Sandy zachwiała się i prawie by upadła, gdyby nie chwyciła się podstawy półki. Garnki i rondle uderzyły z brzękiem o siebie.

— Fiona! — ostrzegł Chester, pędem okrążając stół do pracy.

— Suka — zasyczała. — Ty głupia, mała suko. — Chwyciła Sandy za kitkę i pociągnęła jej głowę gwałtownie do tyłu.

Chester złapał ją za nadgarstek.

— Co ty robisz? Co ty chcesz zrobić? — warknął, ściskając jej rękę, póki nie puściła Sandy. — Co się z tobą dzieje?

— Przepraszam — Cofnęła się z wyciągniętą ręką. Ruszył w jej stronę. Sandy popędziła na salę, trzymając się za tył głowy. — Naprawdę przepraszam, Chester.

— Myślisz, że kim, do diabła, jesteś? — domagał się odpowiedzi. Twarz miał czerwona z wściekłości, a dłonie przyciśnięte do piersi.

— Nikim. Właśnie nikim. Nikim. Nikim! — wyszczała.

— Więc mam dla ciebie nowinę: każdy jest takim nikim. I tyle, do kurwy nędzy!

— Wyrzucisz mnie?

— A chcesz?

— Mam w dupie to, co zrobisz.

— Ale chcesz, żebym to zrobił? Chciałabyś. W ten sposób wszystko wraca na swoje miejsce, nie? I nie musisz kiwnąć palcem, żeby cokolwiek zmienić. I wszystko coraz bardziej się pieprzy, tak?

— O Jezu, posłuchaj, co ty mówisz! Jakbyś to ty miał tu naprawdę coś do powiedzenia, co?

— Robię to, co muszę, i nie pozwalam, żeby przypadek i jakieś popieprzone sukinsyny kierowały moim życiem.

— Taa, zgadza się! — Przewróciła oczami.

— Więc to ty zdecyduj. Chcesz zostać, to zostań. Nie chcesz, to idź. Ale coś ci powiem: to nie będzie miało wpływu na moje życie, obojętne, co zrobisz. Bo mam już po dziurki w nosie ciebie i tego twojego gówna — oświadczył, uderzając się w podbródek wierzchem dłoni.

Chciała przejść koło niego, lecz wyciągnął nagle ramię, by ją zatrzymać.

— Ale zdecyduj teraz. Chcę to wiedzieć teraz.

— Okej! Odchodzę. — Rozwiązała fartuch. — Masz — powiedziała, wyrzucając go w powietrze. Odczuwała rosnącą ulgę, gdy fartuch, wirując, opadał na podłogę. — Szczęśliwy?

— Nie! A ty? — krzyknął za nią.

Wskoczyła do samochodu. Podjęła właściwą decyzję i dobrze było mieć jakieś miejsce, dokąd można było pójść. Dobrze, że mogła pojechać do sądu. Rzadko jeździła do Collerton, choć graniczyło z Dearborn. Collerton, małe miasto, które dawało schronienie pokoleniom imigrantów, poszukujących pracy w jego fabrykach i schronienia w jego solidnych kamienicach czynszowych, zdawało jej się zawsze smutnym, udręczonym miejscem. Wujek Charles lubił mawiać, że puls tego miasta mógł być teraz trochę słabszy, lecz jego siła napędowa była wciąż ta sama: okazja i nadzieja. Cień zasłonił okno jej samochodu i z rozbawieniem zobaczyła dwóch młodych Latynosów śmigających obok niej na dziecięcych rowerkach. Po drugiej stronie ulicy trzy nastolatki pchały spacerowe wózki po szerokim betonowym moście, który łączył brzegi rzeki Merrimac. Stare fabryki tekstylne, wiele z nich pustych, niektóre ciągnące się przez całe przecznice, majaczyły ponad ulicami miasta. Dalej rozciągały się całe osiedla dwupiętrowych domów. Między nimi rozrzucone były zarośnięte przez chwasty puste parcele, na których opuszczone budynki strawiły pożary, a potem ich pozostałości zostały wyburzone przez miasto. Gdy czekała na zmianę świateł, spojrzała na samochód, który dwaj mężczyźni reperowali przy krawężniku. Silnik leżał na pasie zbitego pyłu między chodnikiem a jezdnią.

Wujek Charles urodził się i wychował w Collerton. Jego ojciec był robotnikiem w fabryce, a matka — sprzedawczynią w domu towarowym. Ich dwurodzinny domek był skromny, lecz zawsze z wielką skrupulatnością utrzymywany w dobrym stanie. Czasami po kościele wujek Charles zabierał ich na przejażdżkę po swojej starej okolicy, dając im wszystkim wykład o wartości wytrwałości i uczciwej pracy. Dla kogoś obcego jego historia o synu robotnika, który został sędzią, mogła wydawać się chełpliwa i samochwalcza, lecz każdy, kto znał sędziego Hollisa, wiedział, jak głęboko czcił wartości wyznawane przez swoich rodziców, dzięki którym możliwy stał się jego sukces. Kiedy Fiona ostatnio widziała jego dom, mieścił się w nim bar serwujący rybę i frytki, a potem, kilka lat temu, wujek Charles z przyjemnością oznajmił, że jest w nim obecnie wietnamski

sklep spożywczy i zakład krawiecki. Zawsze, gdy widziała ten nieładny, mały domek, nie mogła oprzeć się pokusie porównania go z wytwornym domem o kilka mil stąd, w Dearborn, gdzie dorastały jej matka i ciotka Arlene. Kiedyś, gdy wujek Charles rozszłościł się na nią za jej kolejny występki, powiedział Fionie, że nie będzie tolerować takiego zachowania w swoim domu. Z przyjemnością przypominała mu, że to nie był *jego* dom, lecz jej matki i jego żony, i dlatego tak samo jej, Fiony, jak i jego.

Zaparkowała za budynkiem sądu i popędziła do środka. Korytarze zapchane były ludźmi. Prowadzone po hiszpańsku i po angielsku rozmowy wzbijały się pełnym dysonansów szmerem, który był jednocześnie komiczny i poruszający. Prawnicy z teczkami, pracownicy sądu wykrzykujący nazwiska, pozwani o ponurych minach, nerwowe strony, dzieci o spoconych twarzyczkach, wyjące niemowlę, a teraz oto, zagradzająca jej drogę, woźny sądowy, starający się ułagodzić szlochającą, ciężarną, młodą kobietę, której wielki brzuch rozciągał bluzę z emblematem Patriotów. Wyglądał znajomo, lecz nie mogła sobie przypomnieć, skąd go zna.

— On jedzie prosto stąd do więzienia i może zobaczyć się tylko z rodziną.

— Ale mówiłam panu, że ja jestem z rodziny. Jestem jego żoną — krzyczała.

— A ja mówiłem pani, że on już widział swoją żonę — odparł woźny z pełnym znużenia uśmiechem wyższości.

— Ale to jego dziecko — powiedziała, dźwigając swój ogromny brzuch obiema rękami. — To jest jego rodzina. To!

— Przykro mi — odparł woźny. — Ale nic nie mogę zrobić. — Uśmiechnął się do Fiony. — W czym mogę pani pomóc?

Powiedziała, że idzie zobaczyć się z sędzią Hollisem. Odsuwając się od kobiety, poinformował Fionę, że sędzia przewodniczy teraz rozprawie. Spytała, czy może on mógłby jej w takim razie pomóc.

— Ty sukinyń — wybuchła kobieta. — Ochraniasz go, tak? To właśnie robisz! — wrzasnęła, nim zaczęła przepychać się wśród tłumu do drzwi wejściowych.

— Nie, poczekam w takim razie w jego biurze — odparła Fiona, obserwując odejście kobiety.

— Hej. Ja panią znam — powiedział, mrużąc oczy. — Pani jest... wiem, chwilkę, niech mi pani nie mówi. Wiem, pani jest...

— Siostrzenicą sędziego Hollisa — odrzekła.

— Och! — Uśmiechnął się szeroko. — Jesteś Leona, tak? A ja Pete. Przyjście u Jimmy'ego Leonarda, ten morderca żółwi...

— Ach, pewnie, Pete! — Próbowała się uśmiechnąć. — No, lepiej będzie, jak już pójdę na górę — oświadczyła, ruszając w stronę schodów.

— Nie wiedziałem, że jesteś siostrzenicą sędziego Hollisa — krzyknął za nią. — Powiem mu, że na niego czekasz.

W sekretariacie i w poczekalni nikogo nie było. Przeglądała czasopismo turystyczne, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie.

— Fiono! — Wujek Charles wszedł pośpiesznie do środka, a za nim falowała jego czarna toga. — Co się stało? Wszystko w porządku? Właśnie dostarczyli mi tę karteczkę. — Ręka mu się trzęsła, gdy ją do niej wyciągał. Zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zdenerwowany. Szybko poprowadził ją do swojego gabinetu, nacisnął przycisk telefonu i powiedział komuś, że wróci za trzydzieści minut.

Zapomniała już, jak mały jest jego gabinet. Wraz ze stażem sędziowie dostawali większe biura i chociaż sędzia Hollis zasiadał w Sądzie Rejonowym w Collerton od szesnastu lat, wolał zatrzymać pomieszczenie, które zajmował od początku. Rozejrzała się dookoła, jednocześnie zadowolona i rozgoryczona, dostrzegając swoje zdjęcie z liceum stojące na najwyższej półce z fotografiami jej kuzynów z uroczystości wręczenia dyplomów.

Przeprosiła, że go niepokoi. Ta karteczka, jak usiłowała wytłumaczyć, była pomysłem woźnego. Właściwie z przyjemnością obserwowała by jakakolwiek rozprawę, której przewodniczył wujek.

To, jak powiedział, byłoby jeszcze bardziej zaskakujące — podnieść wzrok i zobaczyć ją siedzącą na sali.

— Najwidoczniej przyszłaś prosto z pracy — rzekł, wskazując gestem jej uniform. Spojrzał na zegarek. — Ale przecież teraz podajecie jeszcze śniadanie.

— Tak. I właśnie dlatego. — Przełknęła nerwowo ślinę. — Wiesz, wujku, właściwie chcę mieć pracę, lepszą pracę, naprawdę dobrą posadę i miałam nadzieję, że może ty mógłbyś mi pomóc. To znaczy, znaleźć ją-kaś. — Siedziała sztywno na krawędzi krzesła.

— Ale przecież masz pracę, prawda? — odparł, obrzucając ją uważnym spojrzeniem.

— No tak. Właściwie to miałam. Ale już nie. Już nie pracuję w kawiarni.

— Od kiedy?

— No, niech pomyślę... ja, uhm...

— No mów, od kiedy... — Zgiął rękę, żeby pokazać jej tarczę zegarka. — Od pół godziny? Czterdziestu pięciu minut? Co się stało? Co zrobił Chester, wyrzucił cię?

— Nie, nie wyrzucił mnie!

— Więc co zrobiłaś, odeszłaś?

— No, ja...

— Co zrobiłaś? Wyszłaś po prostu w czasie śniadania, kiedy było najwięcej klientów?

— Tak, ale ty nie rozumiesz. Ja...

— A co tu jest do rozumienia, Fiono? Czy to nie stało się już u ciebie norma? Coś ci się nie podoba, więc po prostu odchodzisz, zgadza się?

— Nie, to ty nie rozumiesz, że ja chcę coś ze sobą zrobić. Mam trzydzieści lat i nie chcę pracować jako kelnerka w kawiarni przez resztę tego mojego życia.

Przyglądał jej się przez długą, pełną zakłopotania chwilę.

— Więc kim chciałybyś być? — spytał w końcu, składając ręce przy brodzie. Złowróbny gest, który zawsze wytrącała ją z równowagi.

— No, nie wiem. — Rozejrzała się po zagraconym gabinecie. Stosy ksiąg prawniczych i grubych papierowych teczek, tak jak jego posępna poza, sprawiały, że czuła się głupia i bez znaczenia. — Nie jestem całkiem pewna, ale może coś związanego z sądem. Powiedziałaś kiedyś, że mogłabym być w tym dobra, pamiętasz?

— Dobra w czym? Co masz na myśli?

— No, wiesz, jako registratorka albo coś w tym rodzaju. Wszystko mi jedno — odparła ze wzruszeniem ramion. — W czymkolwiek! Obojętnie, jakie posady tu mają. Jestem naprawdę elastyczna — dodała ze śmiechem, który rozległ się echem pod jego spojrzeniem.

— Nie ma teraz żadnych posad — odezwał się w końcu. — A na każdą, która się pojawia, jest trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt wykwalifikowanych osób na liście oczekujących.

— Och, no, w porządku. Okej. Myślałam tylko... — Jej głos słabł i zamierał. Myślała, że mogłaby jej pomóc tak, jak pomógł Jackowi. Żałowała, że tu przyszła. Popełniła błąd, myśląc, że taka sama lojalność i te same, wszem i wobec głoszone, zasady obowiązują wobec niej i wobec jego dzieci, a teraz musiała płacić tę znajomą cenę: pełną znużenia naganę, surowy wyraz jego twarzy, ponizający wykład, głaz, który będzie wlec za sobą przez wiele dni, ciężar wszystkich swoich porażek.

— Ty nie myślisz, Fiono. W tym leży twój problem. Wybuchasz, a potem potrzebny ci ktoś, kto pozbiera za ciebie szczątki. — Pochylił się do

niej i spojrzął na nią. — Nie działa się z tobą dobrze od dłuższego czasu, prawda? A z tego, co ostatnio do mnie dociera, domyślam się, że nie widać żadnej poprawy.

— Co masz na myśli? O czym ty mówisz? — domagała się odpowiedzi, na wpół podnosząc się z krzesła.

Było jasne, że odczytał z ogarniającej ją furii, że nie powinien wchodzić w szczegóły.

— Właściwie pochlebia mi, że tu przyszedłeś, że nadal mi ufasz.

— Chcę wiedzieć, o czym to słyszałeś? — odparła.

— Dlaczego? Po co?

— Dlatego, że to może być wyjęte z kontekstu, a ludzie kłamią i przesadzają, szczególnie, jeśli chodzi o mnie. Zaczynam czuć się jak jakiś cholerny magnes przyciągający kłopoty i mam już tego dość!

— Naprawdę? No cóż, czy Lee Felderson kłamała albo przesadzała, mówiąc, że kazałaś jej iść do diabła, pogniotłaś swój test i rzuciłaś nim w nią?

— Nie rzuciłam w nią. — Zamknęła oczy i jęknęła. — Tylko nie mów mi, że przybiegła z tym do ciebie.

— Ginny mi powiedziała. — Westchnął. — Wiesz, dlaczego postawiła ci dwóję, Fiono? Dlaczego musiała to zrobić?

— Taa, bo nie podoba jej się moje cholerne nastawienie.

— Bo nie zrobiłaś do końca tego testu. Opuściłaś całą ostatnią stronę. Próbowала do ciebie zadzwonić. Napisała nawet do ciebie listy, ale ty dochodzisz do jakiegoś punktu i po prostu tracisz zainteresowanie, zgadza się?

Zamurowało ją. Nawet nie spojrzała na tę ostatnią stronę. Cóż, w końcu... to nie była jej wina. I dlaczego postawiła jej dwóję? Zamiast uprawiać umysłowe gierki, Lee Felderson powinna była coś powiedzieć i dać jej szansę, by poprawiła test.

— Dawniej myślałem, że to nasza wina, ciotki Arlene i moja. Sądziłem, że w jakiś sposób zawiedliśmy cię... A tu znowu wyszło to z Patriciem Gradym. Pojechałaś nawet do jego domu któregoś dnia, Fiono. — Potrząsnął głową i zniżył głos do pełnego bólu szeptu. — Po tym, jak specjalnie prosiłem cię, byś zostawiła go w spokoju.

Aż podskoczyła.

— Nic ci do tego, wujku Charlesie! To moja sprawa. Ja tu decyduję!

— Nie. Bo on znów przyszedł do mnie w tej sprawie. Chce, żebyś zostawiła go w spokoju.

— Naprawdę? Cóż, przestało mnie obchodzić, czego on chce czy czego ty chcesz! — Otworzyła drzwi. — A co powinno? Dlaczego, do cholery, miałoby mnie to obchodzić?

— Fiono!

Musiała użyć całej siły woli, by nie trzasnąć drzwiami. Pędem zbiegła ze schodów. Gdy skręcała na półpiętrze, zza rogu wyszedł mężczyzna niosący metalowe wiaderko i rolki papierowych ręczników. Wpadli na siebie, ręczniki wyfrunęły w powietrze.

— Hej! Co robisz? — warknął Patrick Grady, goniąc po schodach podskakującą rolę.

— Nie! Co ty robisz? Idziesz się znowu na mnie poskarżyć? — Skoczyła za nim i podniosła jedną z rolek. — Słuchaj, jeżeli masz ze mną kłopot, sam mi to powiedz. Powiedz mi to w twarz!

— Zrobiłem to. — Grady obrócił się i popatrzył na nią. — Powiedzia-
łem ci.

— Fiono! — zawołał z półpiętra wujek Charles. — Fiono, czy mogła-
byś wrócić na górę? Proszę. Chciałbym z tobą porozmawiać.

— Nie. Myślę, że już wszystko powiedziałaś. — Widziała, jak płoną-
ce oczy Grady'ego rzucają spojrzenia to na nią, to na jej wujka. — Ale on najwidoczniej chce złożyć na mnie następną skargę — dodała, rzucając Grady'emu papierowe ręczniki.

Dwie kobiety wchodziły akurat po schodach, niosąc kubki z kawą. Natychmiast przerwały rozmowę.

— Proszę, Fiono, to zajmie tylko chwilę — ciągnął wujek Charles. Był czerwony na twarzy i odchrząkiwał nerwowo, starając się uśmiechnąć. Skinął głową do przechodzących kobiet.

— Powiedziałam, że nie. — Odwróciła się i ruszyła dalej po scho-
dach.

— Dzień dobry, panie sędzio! — usłyszała głos Grady'ego.

— Och, no widzisz, Patrick. Wszystko gra — rzucił wujek Charles, odpowiadając jakby na jakieś nie zadane pytanie.

Nazajutrz znów pracowała w kawiarni. Chester przyjął ją z powrotem, ale prawie się do niej nie odzywał. Przeprosiła Sandy, która dokładała wszelkich starań, by odwracać wzrok za każdym razem, gdy Fiona się do niej zbliżała. Tylko Maxine z nią rozmawiała. Ani George, ani Elizabeth też nie odezwali się do niej. Potrafiła **zrozumieć**, że George nie zadzwonił po tej pożałowania godnej scenie, którą mu urządziła, lecz bolało ją okropnie, że Elizabeth wciąż jej unika. Wczoraj wieczorem Rudy zostawił

związłą, niemal gniewnie brzmiąca wiadomość na jej sekretarce. Mówił, że próbuje złapać Elizabeth i jeżeli wstąpiłaby do Fiony, bardzo ją prosi, żeby oddzwoniła. Trzymając rękę na słuchawce, prawie już odebrała telefon, gdy Rudy się nagrywał. Chociaż bardzo chciała z kimś porozmawiać, ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, była rozmowa o Elizabeth.

Zbliżało się Święto Dziękczynienia i postanowiła, że spędzi je samotnie. Hollisowie mogli sobie wierzyć, w co chcieli, w jakąkolwiek plotkę z ich bogatego zbioru. Mogli ją wybrać, jakby zrywali grono z obciążonego już krzewu winorośli. Rozstanie miało być ostateczne. Któregoś dnia wyrwała też z gazety ogłoszenie skierowane do młodych ludzi zainteresowanych pracą na statku wycieczkowym. W chwili gdy wybierała numer, przypomniła sobie jednak o weselu Elizabeth i odłożyła słuchawkę. Nie mogła wyjechać teraz, gdy obiecała, że zostanie pierwszą druhną swojej kuzynki. Nieważne, jak bardzo Elizabeth mogła być z jej powodu zdenerwowana. W miarę zbliżania się dnia ślubu, mogła coraz bardziej potrzebować Fiony. Chociaż zachowała to ogłoszenie, jako przypomnienie. Po weselu nic nie będzie jej już tutaj trzymać. Mogła odejść, dokądkolwiek chciała.

Minęła godzina największego ruchu. Gdy wyszła z kuchni, w boksie siedział zgarbiony nad gazetą mężczyzna.

— Dzień dobry — odezwała się, stawiając przed nim szklanek wody z lodem i kładąc menu.

— Dobry — odpowiedział Patrick Grady z szybkim skinieniem głowy. Trzęsły mu się ręce, gdy składał gazetę. Usiadł tak, że pokryta bliznami strona twarzy znalazła się bliżej ściany. Swoją czapkę baseballową miał tak mocno wciśniętą na czoło, że ledwo było widać jego twarz.

— Czego chcesz? — spytała zimno.

— Sok pomarańczowy, gorącą bułeczkę, kawę — odparł, nie podnosząc wzroku.

— Wiesz, o co mi chodzi.

— Chcę zjeść jakieś śniadanie, tylko tyle.

Pochyliła się nad stołem, by nikt jej nie słyszał.

— Posłuchaj, chciałam być tylko miła i nic więcej, ale ty musiałeś polecieć na skargę do mojego wujka, więc dobrze. Super! Ale nie przychodź tu teraz i nie próbuj bawić się ze mną w jakieś łamigłówki.

— Nie próbuję.

— To czego chcesz?

— Sok pomarańczowy, bułeczkę... jakie tam macie, i kawę. Czarną.

— To wszystko?
— To wszystko — powtórzył, nie będąc w stanie spojrzeć jej w oczy.
— Nie, to nieprawda. Widzę to po tobie.
— Naprawdę? — Jego usta wykrzywiły się z rozbawienia czy ze złości. Nie była pewna. — No to powiedz mi, po co tu przyszedłem.
— Bo przysłał cię mój wujek.
— Dlaczego miałyby to zrobić?
— Bo pewnie ma już dość tego, jak zawracasz mu głowę w pracy skargami na mnie.

Albo może w końcu powiedział Grady'emu, żeby po tych wszystkich latach zrobił to, co do niego należy i uznał swoją córkę.

— Widziałas mnie w sądzie tylko dlatego, że tam pracuję.

Ogłuszona, spytała, od jak dawna. Przyglądając się jej, odpowiedział, że od tygodnia.

— To sędzia Hollis — odparł z powolnym, kwaśnym uśmiechem, gdy spytała, jak dostał tę pracę.

Jej wujek pomógł Patrickowi Grady'emu znaleźć pracę, ale jej nie pomoże.

— Mógłbym teraz dostać moje śniadanie?

Wybrała największą bułeczkę z jagodami i nalała mu kawy ze świeżo naparzonego dzbanka. Uznała jego pochrząkiwania za podziękowanie. Kiedy wypił sok, przyniosła mu następny.

Wyciągnął rękę, nim zdążyła postawić go na stole.

— Nie prosiłem o to.

— W porządku — odparła cicho, żeby Maxine jej nie usłyszała. — To od firmy.

— Och. — Jego napięte wargi rozwarły się znów w tym dziwnym skurczu. — Więc będzie nawet jeszcze lepiej smakował. — Zerknął na Maxine, która wciąż sprawdzała paragony, dając pokaz wielkiej pracowitości.

Jał z gazetą rozłożoną na stoliku. Fiona obserwowała go z innych części sali. Zadowolona była, że może patrzeć zza kredensu czy z wnęki przy toaletach, czy od stolika, który nakrywała, a on ciągle tam jest. Tak się denerwowała, że aż brakowało jej tchu.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Rozległ się wybuch śmiechu i na salę weszły trzy kobiety w średnim wieku. Jedna z nich pozdrowiła Patricka, gdy podążyły za Maxine do ostatniego boksu. Kiwnął głową. Gdy tylko usiadły, zerknęły za siebie, a potem pochyliły nad stolikiem i pograżyły w rozmowie.

— Co to tak długo trwa? — wyszeptła Maxine, wracając. — Sprawdź, czy nie chce rachunku. — Miała na myśli Patricka Grady'ego.

— Jeszcze je. — Fiona była zirytowana.

— Nie, nie je. Już skończył — wysyczała Maxine. — Daj mu rachunek i niech się wynosi.

Zamiast tego Fiona napełniła ponownie jego filiżankę. Podniósł wzrok. Zobaczyła, że ma brązowe oczy, takjak ona. Mieli takie same grube, czarne włosy, choć jego były proste i zaczynały już siwieć. Ciekawa była, czy zauważył, że jej włosy były kręcone jak u jej matki. Dopił szybko kawę i poprosił o rachunek. Podniósł się i zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu drobnych. Miała już powiedzieć, że nie musi zostawiać jej napiwku, lecz bała się, że mógłby źle odczytać jej intencje.

— Śpieszyłeś się wczoraj — powiedział, ustawiając na kupce cztery dwudziestopięciocentówki.

— Taa, zgadza się.

— Sędzia nie wyglądał na szczęśliwego. — Popatrzył na nią i znów wykrzywił usta. — Zdenerwowałeś go.

— Nie miałam takiego zamiaru. — Poszła za nim do kasy.

— No, ale zrobiłeś to. Naprawdę go zdenerwowałeś — odparł i teraz skurcz przemienił się w uśmiech. — Powiem mu, że cię widziałem. — Wręczył rachunek i pieniądze Maxine, która odsunęła złożone banknoty na bok z taką odrazą, jakby roiły się na nich larwy much. — Oczywiście, on jest taki zajęty — dodał, wyciągając otwartą dłoń po resztę. Maxine położyła monety na kontuarze. Przeliczył, nim włożył je do kieszeni. — Nie chcę go niepokoić. Zazwyczaj tego nie robię. — Obrócił się, by popatrzeć na Fionę. Przechylił głowę. Dziwny grymas zmienił się w nieśmiały, niemal żartobliwy półuśmiech. — Chyba że sprawa jest naprawdę ważna. — Przyjrzał jej się z taką uwagą, że mogła tylko odwrócić wzrok. — Dzięki — rzucił, biorąc sobie centa z wystawionego przez Maxine kubeczka na datki i wkładając go do kieszeni.

— Nie po to tutaj są — warknęła Maxine, ale on zignorował ją i pchnął drzwi.

Fiona obserwowała z okna, jak przechodzi przez ulicę do swojego kombi. Odjechał. W powietrzu pozostał czarny dym z jego rury wydechowej.

— Ten to dopiero ma tupet, żeby tak tu przychodzić — odezwała się Maxine.

— Zjadł tylko śniadanie, nic więcej — odparła Fiona. — Myślę, że chciał mnie zobaczyć, żeby wyprostować pewne sprawy — dodała.

- Nie dlatego — oświadczyła cichym głosem Maxine. — To psychol.
- To mój ojciec. — Nie potrafiła opanować szerokiego uśmiechu.
- Z nim jest coś nie tak, Fiono. Coś naprawdę nie w porządku.
- Po prostu miewa złe nastroje, to wszystko.
- Nie — odparła Maxine. — On lubi ranić ludzi. Potrzebuje tego. Szuka sposobów, żeby to robić. Uwierz mi, ja to wiem.

Kiedy poszła sprzątać jego stolik, zobaczyła kraciatą kurtkę z podpinką pozostawioną na siedzeniu. Podniosła ją i ostrożnie zwinęła. On jej nie zapomniał. Nie. Zostawił ją celowo.

Rozdział 8

No szybciej, szybciej — mamrotała, tylko zwalniając przed znakiem stopu. Dopiero co wyjechała z pracy, a silnik zdążył już dwa razy zgasnąć. Na siedzeniu obok, schludnie zwinięta, leżała kurtka Patricka Grady'ego.

Jechała pełną zakrętów drogą. Z ulgą dostrzegła na podjeździe jego wyblakłe kombi. Nie chcąc go niepokoić, weszła cichutko po wypaczonych frontowych schodkach i podniosła rękę, by zapukać.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

— Och! — wykrztusiła. — Zaskoczyłeś mnie!

— Właśnie wszedłem — odparł, przyglądając jej się przez rozerwaną siatkę z dziwnie nadaśanym wyrazem twarzy.

— Zapomniałeś kurtki. — Wyciągnęła ją przed siebie i spróbowała się uśmiechnąć.

— Odebrałbym jutro. — Nadal nie otwierał siatkowych drzwi. — A może bałaś się, że to zrobię, o to chodzi?

— Myślałam po prostu, że możesz jej potrzebować, i tyle. Proszę. — Znów wyciągnęła ją przed siebie, lecz on się nie poruszył. — Wobec tego zostawię ją tutaj — oznajmiła, próbując zawiesić kurtkę na przeżartej przez rdzę klamce. W końcu wepchnęła kołnierz za siatkę. Pożegnała się i ruszyła w stronę schodków.

— Możesz wejść, jeśli chcesz! — zawołał. Otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz z niemal dziecinnym, łączącym w sobie nadzieję i strach, przerażeniem.

Chłód, który poczuła, wchodząc do ciemnego domu, zdawał się równie naturalny i głęboki, jak zimno bijące od wilgotnego, zapiaszczonego klepiska i ścian z kamieni polnych. Chłód jak w grocie. Pocierała nos, czując gryzący zapach dymu z płonących szczap i mokrego popiołu. Poszła za nim do małego saloniku, gdzie chybotliwa lampa stojąca z mosiądzu zatrzęsała się, gdy ją włączył. Zamiast kanapy stała tu zapadnięta otoma-

na nakryta porwaną, brązową narzutą. Obok niej znajdowało się ogromne, staromodne, wyściełane krzesło, którego płaskie siedzenie pokrywały okruszki i monety. Stolik do kawy zaśmiecały czasopisma i gazety, puszki po piwie i po wodzie sodowej oraz na wpół opróżnione kubki z kawą, które teraz sprzątał, biorąc po dwa w każdą rękę.

— Kto to? — spytała, wskazując na oprawione w ramkę zdjęcie na telewizorze.

— Moja matka — odparł.

Pochyliła się nad czarno-białą fotografią młodej kobiety o poważnej twarzy.

— Nie jesteś do niej podobny.

— Myślisz, że zawsze wyglądałem tak jak teraz? — odezwał się tak ostro, że aż odskoczyła od zdjęcia.

— Chodziło mi o rysy — odparła cichym głosem. — Jej oczy. Ona ma kręcone włosy, a ty masz proste.

— Jestem bardziej podobny do ojca — oświadczył. — Byłem, w każdym razie.

Objęła się ramionami. Drżała.

— Jak miała na imię twoja matka? — Poszła za nim do kuchni.

— Mary. — Wstawił kubki z fusami do zlewu i zgarnął ze stołu steretę kopert, które wepchnął do pudełka po butach stojącego na półce nad kuchenką.

— Mary — powtórzyła. Mary. Jej babcia. — Kiedy zmarła?

— Dlaczego pytasz? Jakże to ma znaczenie?

Ponieważ wszystko miało znaczenie, każda cząstka dziedzictwa, którego jej odmówiono.

— Nie wiem — odparła z tak bezceremonialnym wzruszeniem ramion, na jakie tylko mogła się zdobyć, przyglądając się wygodniałym wzrokiem każdemu szczegółowi. — Byłam po prostu ciekawa. — Ciekawa, czy Mary wiedziała o Natalie i dziecku, ciekawa, jak długo mieszkał samotnie w tym ponurym miejscu, ciekawa, ile czasu trzeba, by jej zaufał. — Masz wiadomość. — Wskazała na mrugające światło.

Jego elektroniczna sekretarka stała na stole obok pozostałości niedawnego posiłku — umazanego ketchupem talerza, kubka z fusami po kawie, pustej torebki po chlebie. Kuchenka gazowa stała obok lodówki, którą do połowy zasłaniały otwarte drzwi wysokiego, białego, metalowego kredensu, gdzie na zapadniętych półkach tłoczyły się półmiski, szklanki, puszki i pudełka z jedzeniem. Nie było żadnych innych szafek, żadnych blatów, żadnych obrazków na ścianach. Nawet kalendarza. Próbo-

wała ogarnąć to wszystko — sztywny, przybrudzony ręcznik na oparciu krzesła, magnesik z napisem „Mobil” na drzwiach lodówki, wypełnione kopertami pudełko nad kuchenką. To nie w porządku, pomyślała, dotykając pofalowanego, porcelanowego ociekacza. Był tylko chłopcem, odważnym i przystojnym, gdy wysiali go, by stoczył wojnę. Nie potrafiła tego zrozumieć. Miał tak wiele, a teraz zostało mu tylko to. To ubóstwo. Wyszczerbiony zlew z biegnącymi na wierzchu rurami wchodzącymi w wypaczone, zielone linoleum zdawał się ucieleśnieniem wszystkiego, co poszło źle i zostało bezpowrotnie utracone.

Pochylił się nad stołem, słuchając, i z ruchu jego ramienia, gdy sekretarka zaczęła odtwarzać wiadomość, odgadła, że robił to co wieczór: nawet nie włączał światła, lecz przychodził prosto tutaj z pocztą, by sprawdzić, czy Natalie napisała czy zadzwoniła. Bolało ją, gdy pomyślała, że jej kłamstwo mogło tylko rozdrapać stare rany czy pobudzić płonne nadzieje. Za nim, za wąskim oknem widziała płamę spletanego, zdzieczalonego żywopłotu i sękatę winorośli.

Wiadomość nagrała pani Latterly. Skarżyła się, że dzwoniła trzy razy, a on do tej pory nie oddzwonił.

„Proszę, zadzwoń zaraz, Patricku — nakazała ostrym głosem. — Albo będę musiała wynająć kogoś innego, żeby zajął się oknami”.

— No to zrób to — wymamrotał.

„A sam wiesz dobrze, że bardzo cenię twoją pracę” — ciągnęła swoje pochlebstwa.

— Moją cenę — wymamrotał.

„Więc proszę, zadzwoń, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość!”

— Taa, pewnie! — Dźgnął przycisk przewijania i wyszedł z kuchni.

— Śmiało. — Wskazała gestem wciąż jeszcze warkoczącą sekretarkę. — Przecież musisz teraz do niej zadzwonić.

— Nie muszę. — Stał w progu z nachmurzoną miną.

— To ta pani Latterly z Sunset Rock Road, prawda? — Nie chciała jeszcze wychodzić. — Byłam w tym domu. Jest ogromny. To musi być duże zlecenie, wszystkie te okna... A te w drzwiach? Też są wliczone?

— Wliczone? Co masz na myśli? — Cofnął się do kuchni.

— Tak jak okna. To znaczy szyby, wiesz, w drzwiach. To znaczy, jeśli w drzwiach jest szkło, oczywiście.

— A po co ci ta wiedza? — odparł z nachmurzoną miną. Jego pokryty bliznami policzek zmienił się w purpurowy, sękaty węzeł mięsa. Zauważyła, że blizna podciągała część jego wargi nad zęby tak samo, gdy się chmurzył i gdy się uśmiechał.

— Właściwie niepotrzebna. Po prostu usiłuję podtrzymać rozmowę.
— O oknach?

— O czymkolwiek. Chodzi tylko o to, żeby rozmawiać — odparła z wahaniem w głosie, zerkając jednym okiem na pudełko po butach. Mogły w nim być stare listy, które jej matka pisała do niego do Wietnamu. Może trzymał je tam, by czytać je przy stole.

Założył ręce na piersi.

— Okej, więc rozmawiajmy.

No, okej, to pomyślmy... Wjej głowie kłębiły się myśli i nagle, nie wiadomo dlaczego, zaczęła opowiadać mu o swoim pierwszym rowerze. Ona i Elizabeth, obydwie, dostały je na swoje siódme urodziny. Patrick oparł się o ścianę, z wyrazem lekkiego rozbawienia na twarzy, gdy opisywała swoją wielką radość i wielki zawód Elizabeth. Ona była nieustraszona, a Elizabeth — lękliwa, wahała się ryzykować, bała się spróbować czegoś nowego.

— Ciągle jesteś taka nieustraszona? — spytał.

— Tak. Ale teraz ryzykuję głównie, jeśli chodzi o ludzi. Nie jestem z tych typów taksujących. Myślę, że każdy ma swoje powody, żeby robić to, co robi. — Z ulgą dostrzegła, że się uśmiecha.

— Z typów taksujących — powtórzył. — Jak nasz dobry sędzia Hollis, to masz na myśli?

— Cóż, taką ma pracę.

— Swoją pieprzoną misję, to chciałaś powiedzieć — wymamrotał, przewracając oczami, w których pojawił się dziwny blask.

Odwrociła wzrok, zakłopotana i jednocześnie mile połączona pogardą Patricka dla jej wujka.

— Więc o co chodziło tamtego dnia? Pokłóciłaś się z nim czy co? Był wściekły, nie? — Jego krzywy, pobrużdżony uśmiech zdrzął.

Wzruszyła ramionami.

— Chyba mogę powiedzieć, że nie zawsze zgadzamy się co do pewnych spraw.

— Och, tak? Jakich spraw?

— Właściwie prawie co do wszystkiego. Jestem po prostu inna od nich wszystkich, wiesz, i to cholernie ich wkurza.

— Co to znaczy „inna”? — Podszedł bliżej i oparł się o zlew.

— Nie wiem. Inna! Jak powiedziałam, biorę ludzi takimi, jakimi są, a Hollisowie, oni wszyscy muszą mieć zasady, wiesz, na każdą okazję. Ale życie nie jest takie proste. Nie takie łatwe. Nie można tylko...

Podniósł rękę, by jej przerwać.

— Chodziło o mnie, prawda? O to, co się stało, tak? — Przyglądał jej się z radosną niecierpliwością.

— No, ja... wiesz, hm... — wyjąkała. — No, tak, częściowo. W dużej mierze — dodała, ogrzewana widoczną przyjemnością, którą odczuwał.

— A ja mu powiedziałem — odezwał się, prychając. — „Co powinienem zrobić?” Tak powiedziałem. — Szeroko otworzył oczy. — Ostrzegam cię, prawda? Tak?

— Tak, ale...

— Powiedziałem ci, że nic nas nie łączy, nie? Nie ma żadnego związku, niczego. Zgadza się?

— Wiem, ale to już po prostu nie ma sensu. Przecież jestem już dorosłą kobietą. Cokolwiek się stało, dam sobie z tym radę.

— Tak myślisz, hm? Cóż, upewnij się, że powiesz to wtedy naszemu dobremu sędziemu — pochylił się bliżej, szepcząc te słowa.

— Dlaczego? On coś mówi? Robi ci jakieś trudności?

Potrząsnął głową i roześmiał się.

— Och, nie, nigdy tego nie robił, nie sędzia. Uhm. Wiesz, łączy nas bardzo delikatna relacja — odpowiedział, tak nagle posmutniały, że od razu zrozumiała: ta relacja dotyczyła jej.

— Wiem, ale chodzi o to, że nie chcę ci sprawiać żadnych kłopotów! Naprawdę, nie chcę. Ja tylko chciałabym... poznać cię, móc z tobą porozmawiać. — Zaczepnęła głęboko powietrza i napotkała jego przeszywające spojrzenie. — Czy nie moglibyśmy tego zrobić?

— Po co?

— Bo cię lubię. I chcę, żebyś został moim przyjacielem.

— Cóż, ja nie mogę. Bo ja nie jestem twoim ojcem, obojętne, co mówi nasz dobry sędzia.

— Och, nie! Nigdy nie powiedział, że jesteś! Nigdy!

Wybuchnął śmiechem.

— Ale nigdy nie powiedział też, że nie jestem, prawda?

— Właściwie o tym się nigdy nie rozmawia. Jakby to wszystko nigdy się nie zdarzyło. Jakbym nagle się pojawiła i nikt niczego nie wiedział. Ale ty wiesz. I o to chodzi. Chcę tylko móc z tobą porozmawiać, to wszystko. Naprawdę!

— Taa? No, nie jestem zbyt gadatliwy.

— To nie szkodzi. Naprawdę! Po prostu lubię tu być. Być z tobą! Nie potrzebujemy etykietek ani nazw, to znaczy, dla nas, dla tego, co jest. — Położyła mu dłoń na ramieniu. — Lubię cię. Naprawdę bardzo cię lubię. I wszystko, czego chcę, to żebyś i ty mnie polubił.

Z na w pół odwróconą głową popatrzyła na swoją rękę nadal dotykając jego ramienia. Jego pierś unosiła się i opadała w głębokim, ciężkim oddechu.

— Idź już lepiej — odezwał się, pociągając nagle za sznurek i gasząc górne światło.

Jechali kombi Patricka wzdłuż Chestnut Street. Kiedy uruchomiła samochód, silnik zgasł i musiała wrócić do jego domu. Tłumaczyła, że to się czasami zdarza, ale jeśli mu to nie przeszkadza, poczeka tylko chwilę i spróbuje jeszcze raz.

— Nie, to mogłoby za długo trwać — odparł Patrick, nie starając się ani trochę ukryć tego, że chce, żeby już sobie poszła. Powiedział, że przyprowadzi jej samochód później, jeżeli uda mu się go uruchomić. Dojeżdżali już prawie do jej domu. W jej głowie kłębiły się pytania, które chciała mu zadać.

— To ile miałeś lat, kiedy pojechałeś do Wietnamu? — Wstrzymała oddech.

— Dziewiętnaście. Dwadzieścia, gdy wróciłem.

— Boże, byłeś taki młody! Bałeś się?

— Byłem zbyt naćpany, żeby się bać.

— Ale byłeś bohaterem. Dostałeś Srebrną Gwiazdę, prawda?

— Tak — odpowiedział z pełnym goryczy parsknięciem.

— No, zasłużyłeś na nią. To znaczy zostałeś tak strasznie...

— Popieprzony — przerwał jej. — Stąd się to wszystko wzięło... — dotknął blizny. — Ktoś zrobił błąd, i tyle. — Popatrzył na nią. — Więc odpuść sobie, dobrze?

Zamilkła na chwilę.

— Myślę, że wielu weteranów nie chce o tym mówić.

— Bo nie ma o czym.

— Musi być. A ja jestem zainteresowana. Jestem. Naprawdę.

— To nie bądź — warknęła z tak ostrym spojrzeniem, że aż poruszyło powietrze między nimi. — To jak wyjście do łazienki. Każdy wie, po co poszedłeś, więc kiedy wyjdiesz, kto potrzebuje szczegółów?

Próbowała się roześmiać.

— No, choćbyja! Czy ktokolwiek inny, kto tam nie był.

— Dlaczego? Chcesz się porzygać? Chcesz poczuć smak i zapach, jakby był przez cały czas na tobie? Nie sądzę — oświadczył dziecinnym, wznoszącym się i opadającym głosem.

Znaleźli się już prawie u podnóża wzniesienia. Żeby zdążyć przejechać na żółtym świetle przez skrzyżowanie, dodał gazu i skreślił za róg z piskiem opon. Właśnie wtedy dwóch nastolatków wyskoczyło spomiędzy zaparkowanych samochodów na jezdnię.

— Uważaj! — wrzasnęła, gdy nacisnęła klakson i wdepnął hamulec. Z nerwowym śmiechem chłopcy wleźli z powrotem na chodnik i dołączyli do przestraszonej grupy nastolatków drepczącej w miejscu przed drogerią. Patrick opuścił szybę.

— Głupi gówniarze — wymamrotał, wlepiając w nich wzrok.

— Ty, Patrick, lepiej zwolnij! — zawołał jeden z chłopaków.

— Taa, Patrick, Jezu, po co ten pośpiech? — krzyknął inny.

Rozległ się wysoki, przeszywający gwizd, a potem dotarła do nich powódź młodych, męskich głosów.

— Hej, a kto to jest?

— To twoja dziewczyna?

— Niezła, Patrick.

— Gratulacje, Patrick!

— Zaraz, przecież ją znam. To Fiona Range. Fiona, hej, Fiona! — zaryczał jakiś niższy głos.

Fee-yona! Fee-yona! — zaczęli zawodzić chłopcy. — Fee-yona!

Na to Patrick otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Stał na środku ulicy, twarzą w twarz z chłopakami, z rękami na biodrach. Dwa inne auta wyjechały z za rogu i przystanęły z silnikami pracującymi na wolnych obrotach zajego wozem.

— Chcecie pogadać? Nie za dobrze was słyszę. Chodźcie tu. No, chodźcie do mnie — popędzał, gestykulując.

Zbili się w ciasną gromadę, gdy ruszył na nich. Patrzyli na niego z takim samym przerażeniem jak Fiona. Tylko pogarszał sprawę. Samochody przecisnęły się obok. Kierowcy spoglądali na Fionę i na scenę rozgrywaną się na chodniku. Patrick chwycił za ramię najwyższego, najbardziej masywnego z chłopaków i coś do niego powiedział. Chłopak skulił się i żałośnie pokręcił głową. Fiona z jękiem zsunęła się na fotelu i zasłoniła oczy.

— Zostaw go w spokoju, dobra? — wrzasnęła jakaś dziewczyna.

— Jezu, to przecież jest Larry — krzyknęła inna.

Obracając się, Fiona zdała sobie sprawę, że to Larry Belleau w swojej niebiesko-żółtej, satynowej kurtce futbolisty.

Mając za sobą dwie dziewczyny pokrzykujące jak małe pieski, Patrick puścił ramię Larry'ego z pełnym odrazy gestem. Kiedy szedł do samochodu, Fiona widziała, jak wszyscy na chodniku z trudem powstrzymują śmiech. Tylko Larry wciąż wyglądał na zmartwionego.

Patrick wsiadł do samochodu i wrzucił bieg.

— Dupki — chrząknął, gdy ich mijali. Obejrzała się do tyłu i zobaczyła, jak zataczają się jedno na drugie w histerycznym śmiechu.

— Żadnego szacunku, w tym rzecz. W tym cały kłopot. — Popatrzył na nią, a ona zakłopotana skinęła głową.

— Oni się tylko wygłupiali, to wszystko. — Obserwowała go kątem oka. — A Larry, on nie miał nic na myśli. Jest nieszkodliwy.

— Taa, nieszkodliwy jak pieprzony łoś. — Roześmiał się. — A wiesz, co się robi, kiedy trzeba przegnać łosia z jezdni? — Podniósł obie ręce i zmrużył oko, jakby celował ze strzelby nad kierownicą. — Pif-paf!

Włoski na rękach stanęły jej dęba.

— Biedny Larry — powiedziała.

— Biedny Larry, zgadza się — odparł przez zaciśnięte zęby. — Nie powinni go byli wyciągać. Co to, do cholery, była za przysługa?

— To nie jego wina.

— Nic nigdy nie jest niczyją winą, tak? — oświadczył z taką złością, że odwróciła wzrok i nic już nie powiedziała. Skreślił za róg i spojrzał na nią. — Czy ty i on byliście przyjaciółmi?

Skinęła głową.

— W liceum.

— Wiem. I ciągle urządzaliście sobie przejażdżki z tym piękniśm Prescottem.

Usiłowała nie okazać radości z tego, że on ją obserwował, śledził jej kroki przez te wszystkie lata.

— Ty i on nadal...

— Nie! — odparła szybko. — Boże, nie.

— A co z Grimshawem? Jaka w tym jego rola? — spytał.

Skrecała się, słysząc w jego głosie obrzydzenie. *W tym? W czym?* W tym bagnie, którym było jej życie? Czy potem zapyta o Brada Glidde-na?

— George to stary przyjaciel, nic więcej — odpowiedziała, dodając, że on i jej kuzynka, Elizabeth, chodzili ze sobą przez lata.

Nie odezwał się. Zamilkł tak gwałtownie, jak gwałtownie skreślił w jej ulicę.

— Ile mieliście lat, ty i moja matka, kiedy zaczęliście ze sobą chodzić? — spytała.

Szarpnął kierownicą i zatrzymał się przed jej domem.

— Powiedziałem ci — warknął przez zaciśnięte zęby. — Jeżeli chcesz dowiedzieć się czegoś o takich sprawach, idź zapytać kogoś innego.

— Przepraszam. Ja...

— Ich spytaj. Spytaj swoją ciotkę i wujka. Oni ci powiedzą. To nie ma ze mną nic wspólnego.

— Przepraszam. Naprawdę. Naprawdę...

— Posłuchaj — rzekł, zaciskając obie dłonie na kierownicy i próbując się opanować, podczas gdy wciąż kiwał się w przód i w tył. — Muszę jechać. Po prostu muszę już jechać. Nic więcej nie chcę słyszeć.

— Okej — odparła. Powiedziała mu, żeby nie robił sobie dziś wieczorem kłopotu z uruchomieniem jej samochodu. Pójdzie pieszo do pracy, a potem ktoś ją podwiezie do jego domu, żeby zabrać wóz. Podziękowała mu pośpiesznie, nim zatrzasnęła drzwi. Zatrzymała się na schodach przed budynkiem. Ulga, którą odczuwała, widząc, jak odjeżdża ulicą, równała się tej, którą czuje się, obserwując, jak oddala się nawałnica. Jedno było jasne. Będzie musiała być bardziej cierpliwa. Nie może wspominać o Natalii. Przyjaźń będzie musiała wystarczyć. Przynajmniej na razie. Lepsze to niż nic. Lepsze niż bycie ignorowaną. Lepsze niż ból i poniżenie, i ten chłód przez te wszystkie lata.

— Cześć, Fiona! — Obróciła się i zobaczyła wysokiego, szczupłego mężczyznę biegnącego w jej kierunku. Miał na sobie podartą, workowatą bluzę, a w świetle ulicznej latarni daszek baseballowej czapeczki rzucał cień na jego twarz. — To ja, Rudy — powiedział, wyłączając stoper w swoim zegarku. Pot lał mu się po skroniach. Spytał, co porabia.

— Porabiam? — Roześmiała się — Masz na myśli „kombinuję”?

— Nie, tylko to pierwsze. Jakbym spytał, co robiłaś od czasu, gdy ostatni raz cię widziałem?

— Niewiele — odparła, ruszając się, by nie zmarznąć.

Wskazał gestem ulicę.

— To był George Grimshaw?

— Nie, Patrick Grady — odparła. Była zawiedziona, że wyraz jego twarzy pozostał bez zmiany. Elizabeth na pewno wprowadziła go we wszystkie paskudne szczegóły rodzinnego skandalu. — Samochód mi zdechł na jego podjeździe, więc podrzucił mnie do domu. — Nie potrafi-

ła powstrzymać uśmiechu, chociaż wydawało się, że on nie wie, kim jest ten Patrick Grady.

— Fiono, muszę cię o coś spytać. — Wycierał sobie czoło rękawem. — Chodzi o Elizabeth. Nie wiem, jak to powiedzieć, ale wiesz, tamten ranek? No, od tamtej pory... — Podniósł dłonie w rozdrażnieniu. — Sam nie wiem. Czuję się, jakbym zrobił coś złego. To znaczy, naprawdę, naprawdę złego, ale nie wiem co. A ty wiesz? Czy ona coś powiedziała?

— Coś powiedziała! — Roześmiała się z goryczą. — Nie widziałam jej od tamtego czasu, ale myślę, że masz rację. Ona jest zdenerwowana, ale nie z twojego powodu. Chodzi o mnie...

Dodała, że zadzwoni dziś wieczorem do Elizabeth i jakoś wyprostuje sprawę.

— A ja lepiej już pójdę. — Wyglądał na zadowolonego, lecz ona miała dziwne uczucie, że jest obiektem intensywnej, pełnej troski obserwacji. — Hm, tak sobie teraz pomyślałem. Co powiesz na wspólne bieganie? Obiegnę przecznicę, a ty się przygotujesz.

— Nie mogę.

— Nie możesz? Co to znaczy, nie możesz?

— Nie mam żadnego stroju do biegania.

— Stroju do biegania? Wszystko, czego potrzebujesz, to jakieś stare ubranie i tenisówki.

— Ich właśnie nie mam. Tenisówek — skłamała, zirytowana jego uporem.

Spoglądając w dół, spytał, jaki nosi rozmiar. Siódmkę? Tak jak Elizabeth? Odpowiedziała, że ósemkę. Był zawiedziony. Elizabeth zostawiła swoje tenisówki w jego mieszkaniu i gdyby nosiły ten sam rozmiar, pobiegłby i przyniósł je. Powiedział to z takim zapałem, że aż się roześmiała.

— Chyba naprawdę musi ci brakować partnera do biegania!

— Taa, no, właściwie tak — odparł, włączając stoper w zegarku i odbiegając o parę kroków.

— No, ale dzięki! — zawołała za nim. — Dzięki, że mnie spytałeś. Wielkie dzięki.

— Znajdź lepiej jakieś tenisówki, żebyś mogła wybrać się następnym razem!

— Może tak zrobię!

— Poczekaj jeszcze, a czy ty wiesz, przy jakiej ulicy mieszka George Grimshaw?

— Przy Elm Street.

— Pod którym numerem?

— Nie wiem — krzyknęła w odpowiedzi. — Ale to mały, niebieski domek z białymi okiennicami.

To dopiero byłoby ciekawe: Rudy i George jako koledzy od biegania — pomyślała, wchodząc po schodach na górę. Była już w mieszkaniu, gdy zdała sobie sprawę, że Rudy nie chciał biegać z Georgem. Chciał przebiec koło domu George'a, by sprawdzić, czy jest u niego Elizabeth. To dlatego poprosił ją, żeby z nim biegała — by pokazała mu, który to dom. Pewnie przebiegał tędy dziś wieczorem niezliczoną ilość razy, wypatrując jej samochodu, czekając na jej powrót do domu.

Czy Elizabeth spędzała swój wolny czas z Georgem zamiast z Rudym? Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do domu. Z ulgą usłyszała głos Elizabeth, a nie wujka. Wyjaśniła, że właśnie widziała Rudy'ego na przebieżce i pomyślała, że może Elizabeth miałyby chęć zrobić coś razem z nią. Taki babski wieczór. Może poszłyby do kina albo wypożyczyły kasetę wideo. Elizabeth ziewnęła i odparła, że właściwie kładła się już spać. Miała zwariowany tydzień. Fiona zaproponowała, że może wobec tego jutro wieczorem. Zjadłyby razem kolację. Elizabeth nie wiedziała, czy będzie mogła. Może będzie zebranie...

— Słuchaj, Lizzie, nie bądź śmieszna — przerwała Fiona. — Musimy porozmawiać. Wiesz, że musimy.

— O czym ty mówisz? — spytała Elizabeth zadyszczonym, wystraszonego głosem.

Fiona zamilkła na chwilę.

— O ślubie, Lizzie! Już nie tak dużo czasu do niego zostało — powiedziała, uśmiechając się, gdy usłyszała pełen ulgi głos Elizabeth, która zgadzała się, że tak, rzeczywiście już nie tak dużo czasu, prawda? Będą się musiały niedługo spotkać. Naprawdę niedługo.

— Jutro wieczorem — oświadczyła Fiona.

Następnego ranka niemal się rozpłakała, gdy wyrzała przez okno i zobaczyła na parkingu swój samochód. Na karteczce na przedniej szybie napisał, że włożył kluczyka do skrzynki na listy. Ogarnęło ją uderzające do głowy ciepło. Jej ojciec nie chciał, by musiała iść do pracy na piechotę.

Spotkały się na kolacji, znów w Verzanno's. Kelnerka **zebrała** ich zamówienia, a teraz Fiona z niecierpliwością oczekiwała zakończenia pełnej **szczegółów** opowieści Elizabeth o dwóch **dziewczynkach** z pierwszej klasy, w której uczyła, bliźniaczkach mieszkających na maleńkiej, zaniedbanej farmie ze swoim dziadkiem. Starszy człowiek robił, co tylko **mógł**,

lecz dziewczynki zazwyczaj przychodziły do szkoły w tych samych pobrudzonych ubraniach. Zeszłego lata, kiedy ich długie, kręcone włosy stały się tak splecione, że nie można ich było rozczesać, postanowił zrobić najprostszą rzecz — zacząć od początku — więc ogolił im głowy.

— Ich włosy zaczynają w końcu odrastać, ale wciąż wyglądają jak drżące, małe gąsienki — oświadczyła Elizabeth głosem małej dziewczynki.

Fiona zgarbiła się na krawędzi krzesła z wymuszonym uśmiechem. Zamierzała, gdy tylko usiadły, porozmawiać o tym poranku z Georgem, lecz Elizabeth nie dała jej szansy. Ta entuzjastyczna paplanina, którą ludzie uważali za tak słodką i prostoduszną, była zawsze szklanym kloszem Elizabeth, fortecą ze szkła, dzięki której pozostawała bezpieczna i bez zarzutu.

— Bliźniaczki były wytykane palcami. Wszyscy się na nie gapili — ciągnęła Elizabeth, przesadnie wydymając wargi, tak że wyglądała jak kłown, zamiast sprawiać wrażenie ujmującej. Przez pierwsze tygodnie w szkole rozmawiały tylko między sobą, lecz teraz, dzięki Bogu, już się to zmieniało. Elizabeth codziennie podwoziła je do szkoły. Kupiła im kilka ładnych strojów, a ciotka Arlene dziergała dla obydwu swetry. — To po prostu najśodsze małe dziewczynki. Zawsze są takie podekscytowane, gdy robi się dla nich choćby najdrobniejszą rzecz. Tato umierał z niecierpliwości, żeby je zobaczyć, więc któregoś wieczora zabraliśmy je do Friendly's na desery lodowe. Za każdym razem, gdy tato coś do nich powiedział, patrzyły po sobie i chichotały. Cóż, znasz tatusia. Po prostu się roztopił. Teraz chce obu kupić rowery i nowe kurtki na zimę.

Typowe — pomyślała Fiona. Kochany, świątobliwy sędzia, który odmówił pomocy własnej siostrzenicy, sam już nie wiedział, co by tu jeszcze zrobić dla dwóch małych obszarpańców.

— Lizzie — odezwała się szybko. — Nie, żebyś chciała zmieniać temat, ale...

— Wiem, wiem, ślub. Mama dzwoniła do ciebie, prawda?

— Nie!

— Jest w kompletnej rozsypce, bo nic jeszcze nie zaczęłyśmy robić w sprawie ślubu, ale za każdym razem, gdy nawet o tym pomyślę, serce zaczyna mi się tłuc. Nie wiem, dlaczego te sprawy doprowadzają mnie do takiego zdenerwowania. Mama chce, żebyś poszła po receptę, tak jak przed ślubem Ginny, ale spytałam ją, jak ma to wobec tego wyglądać. Czy będę brała leki przez cały następny rok?

— To wychodzi przecież krócej niż rok, prawda? We wrześniu, zgadza się? — spytała Fiona.

— O Boże, tak. Tak! — Zamknęła oczy i wzdrygnęła się. — Och, sama nie wiem. To wszystko wydaje się po prostu takie zwariowane, całe to zamieszanie. Czy tak trzeba? No wiesz, tak logicznie biorąc, to tylko jedna uroczystość! Jeden dzień! Mama ciągle mówi, że to nie ma nic do rzeczy. Nie powinnam w ten sposób na to patrzeć. To nie jest tylko jakaś uroczystość, ale mój ślub, tak mówi, a potem nagle czuję, że mnie to aż dławi...

— Lizzie! — Fiona wyciągnęła rękę, by chwycić jej dłoń.

— Nie powiem ci nawet, ile osób chcą zaprosić. A ja wtedy zaraz myślę o wydatkach, to znaczy, o tych wszystkich pieniądzach. I chociaż wiem, jaki tatuś...

Zamilkła nagle i rozsiadła się na krześle, gdy pojawiła się kelnerka. Jej blade policzki stały się nagle tak czerwone, że wyglądały na pomalowane i nienaturalne. Obserwowała, jak kelnerka ustawia kieliszki na stole.

— Lizzie — zaczęła Fiona w chwili, gdy kelnerka odeszła.

— Ale poczekaj, pozwól mi tylko dokończyć — powiedziała Elizabeth z kieliszkiem przy ustach. Łyknęła szybko i uśmiechnęła się. — Widzę z tego, jak na mnie patrzysz, że gadam, jak jakaś okropna neurotyczka, ale ty przynajmniej nie naciskasz na mnie jak Ginny i, Boże, jak Susan! Umówiła nas w sobotę w tym sklepie ze strojami ślubnymi w Concord. Mamy iść we trzy, żeby obejrzeć sukienki. Nie mogę tego zrobić! Szczególnie z Susan. Wiesz, jak to będzie. Zrównają mnie z ziemią. To właśnie zrobią. Po prostu zrównają mnie z ziemią! Wiem, że to zrobią! Nigdy nie dam rady stawić im czoła. Och, Fiono, chciałabym być bardziej taka jak ty, żeby mogła powiedzieć wszystkim, żeby zostawili mnie, do diabła, w spokoju i pozwolili mi żyć własnym życiem! Tego właśnie chcę. Chcę tylko postępować po swojemu.

— Więc śmiało. Zrób to, Lizzie. Powiedz im!

Elizabeth zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

— Nie mogę — odezwała się cichym, zbolalym głosem.

— No to ja z tobą pójdę. I poszalejemy! Tylko my dwie!

— No, nie wiem. Poczują się dotknięte. — Elizabeth łyknęła ze swojego kieliszka. — Och, nie wiem już, co mam zrobić.

— Lizzie, to twój ślub. Zrób to, na co, do diabła, masz ochotę. A poza tym to ja jestem twoją pierwszą druhną, a nie Susan!

— Nie sprawiłoby ci to kłopotu?

— Kłopotu! Nie, bardzo chciałabym to z tobą zrobić.

— A co, jeżeli nie znajdę niczego, co mi się będzie podobać? Co, jeżeli wszystko będzie paskudne?

— Wtedy pójdziemy gdzie indziej. Po prostu będziemy się rozglądać, i tyle.

Elizabeth uśmiechnęła się.

— Ale jest jeszcze jedna sprawa, Lizzie. Nie uważasz, że najlepiej by było, gdybyśmy raz na zawsze załatwiły tę sprawę z Georgem Grimshawem?

— O czym ty mówisz? — Policzki Elizabeth oblały się szkarłatnym rumieńcem.

— O czym ja mówię? Lizzie!

— No, to znaczy, wiem, o co ci chodzi. — Rozejrzała się wokół z niepokojem. — Ale nie uważam, by to miało sens, żebyśmy o tym rozmawiały i żebyśmy znowu obydwie czuły się... no... zażenowane. Znowu.

— Zażenowane? Lizzie, ja byłam wściekła! Nie zażenowana.

— A ja tak — odparła cichym głosem Elizabeth.

— Nie. Ty byłaś zdenerwowana.

Elizabeth spuściła wzrok i przez chwilę narastał wokół nich gwar rozmów innych gości. Gdzieś w oddali zadzwonił telefon.

— I to jest normalne — ciągnęła Fiona. — To znaczy, po tych wszystkich latach, po tych latach, które ty i George... — głos jej zamarł, gdy Elizabeth poderwała nagle głowę.

— Tak, byłam zdenerwowana — przyznała Elizabeth, wbijając wzrok w Fionę. — Ale nie w ten sposób, jaki masz na myśli.

— O czym ty mówisz? Jaki sposób?

— No, chodzi o mnie, ja... po prostu wszystko stało się teraz takie pogmatwane, i tyle. — Zamachała dłonią i potrząsnęła głową z szeroko otwartymi oczami, w których zabłyśły łzy. Nie uchodzi, by panna Hollis traciła głowę w Verzanno's. Byli takimi grzecznymi dziećmi, nigdy nie płakali publicznie, nie sprzeczali się czy, Boże wybaczone, nie odszczekiwali się rodzicom. Biorąc głęboki oddech, zmusiła się do posępnego uśmiechu. — Zrobiłam się taka emocjonalna. To wszystko przez ten ślub. Najmniejsza rzecz i wybucham. W każdym razie — powiedziała, unosząc dziarsko kieliszek i przechylając go do siebie — lepiej już porozmawiamy o szczęśliwych wydarzeniach.

Czy jej ślub nie był szczęśliwym wydarzeniem? Jednak obserwując, jak Elizabeth popija wino i układa swoje tortellini w coraz to nowe wzory na talerzu, Fiona nie musiała pytać. Elizabeth była teraz jeszcze szczer-

plejsza. Jedwabna bluzka w kolorze kości słoniowej opadała płasko na jej piersi. Fiona z nagłym przypływem odrazy zdała sobie sprawę, że Elizabeth praktycznie nie miała teraz biustu. Usiłowała utrzymać wzrok na delikatnej twarzy kuzynki, na białej, gładkiej skórze połyskującej w blasku świec, na jej żrenicach, tak dziwnie rozszerzonych, że jej wielkie oczy wydawały się płaskie i puste.

— Lizzie! — wyrwało jej się. — Dlaczego ty i Rudy po prostu nie uciekniecie?

— Och, nie, nie mogłabym tego zrobić. — Elizabeth wyglądała na szokowaną.

— Dlaczego nie?

— Nie mogłabym! Po prostu nie mogłabym, i tyle.

— Okej, ale dlaczego wy dwoje nie mieszkacie razem? Po prostu odłóżcie ślub i bądźcie ze sobą bez żadnej presji, Lizzie. Bawcie się! Cieszcicie się sobą nawzajem! Chodzi mi o to, że teraz wcale się nie widujecie. Rudy jest nieszczęśliwy. Po co to wszystko?

— Och, słyszysz, teraz ty też się zdenerwowałeś. — Elizabeth poklepała dłoń Fiony. — Nie martw się, wszystko będzie świetnie. Po prostu musiałam o tym porozmawiać, i to wszystko...

Elizabeth zaczęła opowiadać o ciąży Ginny, zmieniając temat tak gładko, jak zawsze. Wszyscy Hollisowie starali się za wszelką cenę unikać potyczek i wszyscy byli w tym tacy sami: nie wybacжали i nie tłumaczyli, lecz w pośpiechu przymykali oko na grzechy, własne i cudze. Zachowanie uprzejmości było o wiele ważniejsze niż zmierzenie się z problemem.

Elizabeth opisywała pokój dziecięcy, który jej matka urządziła dla swojego pierwszego wnuka.

— Pokój dziecięcy? — powtórzyła Fiona.

— No, ten stary pokój, w którym stała maszyna do szycia — odparła Elizabeth, dodając, jakby jej o tym chciała przypomnieć, że był tam już kiedyś pokój dziecięcy, kiedy ich matki były małe.

Fiona była ciekawa, dlaczego nikt jej nigdy o tym nie powiedział. Ale dlaczego mieliby, skoro na każdą wzmiankę o jej matce ciotka Arlene zwykła była wtrącać: „Lepiej nie mówmy o tym teraz” i jej matka stawała się tak paskudnym tematem, jak daleki kuzyn Hannibal Tooley, którego aresztowano za obnażanie się przed małymi dziewczynkami.

— Mama pomalowała na biało stare łóżeczko dziecinne i teraz robi te piękne wzory z szablonów. Zielone i żółte słoniki, które pasują do wykładziny w kolorze mięty...! — Elizabeth dodała, że Ginny była właśnie na USG, ale ona i Bob Fay nie chcą znać płci dziecka.

— Boże, jak mogą? To takie dziwaczne! — odezwała się Fiona, wdzięczna za to, że jej powstrzymywana irytacja wobec Elizabeth znalazła wreszcie łatwy cel. — A ty i Rudy nie chcielibyście wiedzieć, tak szybko, jak to tylko możliwe, jakiej płci będzie wasze dziecko?

— Cóż, nie wiem. To znaczy, ja nie... no, jeszcze w ogóle o tym nie myślałam — wyjąkała Elizabeth. Znów wyglądała na przypartą do muru.

— Lizzie — odezwała się Fiona, gdy prawie kończyła jeść. Talerz jej kuzynki był wciąż pełny. — Ciągle chcę cię o to zapytać... Jak to się stało, że wyjechałaś z Nowego Jorku i wróciłaś do domu? Myślałam, że uwielbiałaś tam mieszkać.

— Nie wiem. Myślę, że przestałam to aż tak bardzo lubić. I tęskniłam za wszystkimi. — Elizabeth odłożyła widelec. — Nie byłam tam tą samą osobą, jaką jestem tutaj. Ludzie nie chcą nic o tobie wiedzieć, gdy mieszkasz w wielkim mieście. Po prostu nie chcą, żeby ich niepokoić.

— To coś dla mnie! — roześmiała się Fiona.

— Wszędzie tylko takie powierzchowne relacje, liczy się tylko tu i teraz — ciągnęła Elizabeth z niespotykaną u niej goryczą.

— A Rudy? — Widziała, jak wokół oczu jej kuzynki pogłębiają się kurze łapki. — On też się tak czuł?

— Och, nie. Przecież się tam wychował. Kocha wielkie miasto. To dlatego tak długo nie potrafiłam mu powiedzieć, że wyjeżdżam.

— Jak to: tak długo?

Elizabeth zamknęła oczy i westchnęła.

— Byłam już gotowa do wyjazdu — mówiła, krzywiąc twarz. — Złożyłam wymówienie w pracy. Znalazłam kogoś, żeby podnajął moje mieszkanie i tutaj czekała już nawet na mnie nowa praca, a ja jeszcze mu nie powiedziałam. Po prostu nie potrafiłam. I im dłużej czekałam, tym było gorzej.

— Więc kiedy mu powiedziałaś?

— Na cztery dni przed wyjazdem.

— Żartujesz!

Elizabeth potrząsnęła głową z tak bezgranicznym smutkiem, że Fiona nie wiedziała już, co powiedzieć. Niewielka zwłoka byłaby zrozumiała, biorąc pod uwagę niezdolność jej kuzynki do ranienia innych czy nawet sprawiania im zawodu. Ale Rudy nie był przecież jednym z tych innych. Był jej narzeczonym. Właśnie się zaręczyli, zrobili pierwszy krok do wspólnego życia. A może w tym właśnie leżał problem? Fiona zastanawiała się nad tym, gdy Elizabeth muskała usta serwetką. Czy ta presja zaczęła ją już wtedy przytłaczać?

— To było okropne — odezwała się Elizabeth. — Był taki zdenerwowany. Myślałam, że będzie miał załamanie nerwowe. Usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł. Płakał — wyszeptęła, odwracając wzrok jakby od wciąż zbyt żywego wspomnienia.

— To znaczy, gdy po raz pierwszy się o tym dowiedział?

Przygryzła tylko usta i skinęła głową.

— Nie miał o tym pojęcia?

Znowu potrząsnęła głową.

— Boże, Lizzie! — Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wiele energii wymagało podtrzymywanie kłamstwa, że go kocha. Nic dziwnego, że Elizabeth wciąż wyglądała na tak wyczerpaną i zagubioną. — Więc co zrobiłaś? — spytała łagodnie.

Elizabeth zaczerpnęła głęboko powietrza.

— Wyjechałam. — Złapała szybko oddech. Nie potrafiła podnieść wzroku. — To pewnie najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam.

— Taa, myślę, że tak — zgodziła się Fiona. — Przynajmniej najgorsza, o jakiej ja słyszałam.

— Przyjechał tu tej samej nocy, a następnego dnia znalazł pracę w Szpitalu Ogólnym i pokój w schronisku YMCA w Collerton.

— Cóż, powiedziałałabym, że to było cholernie odważne z jego strony. Boże, jakby mi to pochlebiało, gdyby jakikolwiek facet zrobił kiedyś coś takiego dla mnie...!

— Ale to tylko część problemu. On tak mnie denerwuje. Czasami jest po prostu zbyt impulsywny.

— Hm, a ty nie byłaś, gdy tak po prostu wyjechałaś?

Elizabeth roześmiała się, lecz tak słabo, że Fiona, myśląc o tym później, uznała to raczej za westchnienie, długie, smutne, beznadziejne westchnienie.

Było wietrznie, gdy szły potem ulicą, pod ramię, skopując na boki tworzące zasy liście. Fiona czuła, jak kościste jest ciało wspierającej się o nią Elizabeth. Śpiewały swoją starą piosenkę o gumie do żucia, usiłując przypomnieć sobie słowa, by Elizabeth mogła nauczyć ich swoich uczniów.

Żuję, żuję, żuję sobie, sobie żuję,

I wiem, jak się żuje, żuje sobie, sobie żuje, hej!

— Tak! — krzyknęła Elizabeth, wznosząc pięść, gdy bez błędu przebrnęły przez ostatnią linijkę.

Fiona nie wiedziała, czy to dzięki winu, czy uldze, że mogła się w końcu komuś zwierzyć, Elizabeth znów była tą dawną, czułą istotą.

Rzeńska jesienna noc była pełna gwiazd, smugi chmur pędziły na de złotego półksiężyca, a z oddali, z ciemności napływał cierpki dym z palonego drewna.

— W każdym razie — odezwała się, ściskając Elizabeth za ramię. — Tak, dla twojej wiadomości, ta sprawa między Georgem a mną, to...

— Okej — wtrąciła Elizabeth. — Nie ma po co się w to tak zagłębiać. — Szła dalej i choć Fiona była tuż obok niej, wydawało jej się, że nie może za nią nadażyć.

— Ale ja chciałam, żebyś wiedziała. To już skończone. My...

— Wiem. Nie musisz tego mówić. To była po prostu jedna z tych... tych sytuacji, w których ludzie się czasem znajdują. Obydwoje byliście samotni, ale jesteście po prostu zupełnie różnymi ludźmi, i tyle. — Elizabeth zatrzymała się, by stanąć z nią twarzą w twarz. Uśmiechała się słodko. — A teraz to już się skończyło, więc nie musimy o tym rozmawiać. Nigdy! — Zrzuciła ręce na szyję Fionie, która nie mogła przestać zastanawiać się, czy Elizabeth nie tylko przez cały czas wiedziała, że to skończone, ale czy również wyuczyła George'a jego tekstu, sama odgrywając rolę Fiony, aż wreszcie udało mu się wszystko bezbłędnie powtórzyć.

Rozdział 9

W ciągu nocy temperatura spadła poniżej zera. W chwili otwarcia zaczął się ogromny ruch i teraz wszystkie stoliki były zajęte. W pełnej gwaru kawiarni było tak ciepło, że na szybach skraplała się para. Trzy grupki klientów czekały na stoliki. Sandy i Fiona nie miały chwili na oddech. Kiedy Maxine nie obsługiwała kasy, dolewała kawy z dzbanków, którymi wymachiwała, po jednym w każdej ręce: w jednym — normalna, w drugim — bezkofeinowa. Porzuciła wszelkie próby prowadzenia przyjacielskiej pogawędki. Dopracowana, pleciona fryzura opadła jej z jednej strony na ucho.

Fiona wyszła akurat tyłem z kuchni z czterema talerzami omletów. Otworzyły się drzwi frontowe i Larry Belleau wbiegł pędem do środka, mijając kolejkę oczekujących klientów.

— Fiona! — krzyknął, przeciskając się nieuważnie między zatłoczonymi stolikami. — Fiona, muszę z tobą porozmawiać, muszę ci coś powiedzieć, muszę, naprawdę muszę! — obwieścił, przydeptując jakiemś mężczyźnie stopę, trącąc jakąś kobietę w ramię, rozlewając ich kawę, strącąc płaszcze z wieszaka, a teraz potrącając stolik, gdy rzucił się, by ratować płaszcze. — Przepraszam... Przepraszam... ja nie chciałem... przepraszam — powtarzał, kiedy dotarł w końcu do Fiony z płaszcami przewieszonymi przez ramię. Wszyscy przestali jeść. Wszystkie głowy obróciły się na jego gwałtowne przeprosiny. Niczego złego nie miał na myśli, kiedy tamtego wieczora wołał ją po imieniu. Nigdy by nie powiedział o niej niczego złego. Nigdy. Szczerze, nie powiedziałaby. — Przysięgam na Boga!

— W porządku, Larry. Wiem. Wiem, że byś tego nie zrobił — odparła, gdy udało jej się ustawić talerze na stoliku. Chwyciwszy go mocno za ogromne ramię, próbowała skierować go do drzwi.

— Lubię cię. — Wciąż oglądał się za siebie. — Bardzo cię lubię, zawsze cię lubiłem i ty o tym wiesz, prawda?

— I ja też cię lubię, Larry, ale nie ma wolnych miejsc — rzekła, prowadząc go dalej.

— Nie chcę miejsca, chcę tylko powiedzieć, że zawsze jesteś miła, jesteś taka miła, zawsze jesteś, zawsze!

— Okej, w porządku. Tylko się nie zatrzymuj i zaraz mi opowiesz, jaka jesteś miła, tam na zewnątrz.

— Taa i nigdy nie mówię o tobie nic złego, nigdy! — powtarzał coraz głośniejsze.

— Wiem, że nie mówisz — przytaknęła cicho, już bojąc się tych słów, które zapowiadała jego wykrzywiona, poważna twarz.

— I kiedy robisz złe rzeczy, nigdy nic nie mówię, nie mówię, naprawdę, naprawdę! — dał się.

— Ten człowiek ma mój płaszcz! — wykrzyknęła starsza kobieta. — On ma mój płaszcz!

— O Jezu — wymamrotała pod nosem Fiona, wyszarpując Larry'emu płaszcz.

— To... To powiesz Patrickowi, że nie mówię nic złego, proszę, proszę, Fiona, bo następnym razem, on powiedział, że skopie mi dupę. — Jego ręka podskoczyła do ust. — Przepraszam. — Skrzywił się i rozejrzał po sali. — Przepraszam, powiedziałem: przepraszam.

Gdy wyszedł w końcu, popędziła do kuchni. Sandy stała za stołem do pracy i opowiadała Chesterowi o tym, co się stało. Kręcił głową i kroił seler.

— Biedny Larry — westchnęła Sandy w drodze na salę.

Po tym zajściu Chester mało co mówił, a Maxine prawie w ogóle się do niej nie odzywała. W godzinach lunchu był prawie taki sam ruch jak podczas śniadania. Pod koniec dnia wszyscy byli wyczerpani. O pół do czwartej zadzwoniła sąsiadka Sandy z domu, żeby powiedzieć, że Todd jeszcze nie przyjechał, by odebrać dzieci.

— Coś musiało się stać — oświadczyła Sandy, chwytając kurtkę. — Todd nie zapomniaby o nich tak po prostu.

— Taa, na pewno — odezwała się Fiona, patrząc, jak biegnie ulicą. — Jest taki odpowiedzialny.

Maxine z trzaskiem zasunęła szufladę kasy.

— Dlaczego sobie po prostu nie odpuścisz, Fiona?

— A czemu? - roześmiała się Fiona.

— Nie możesz znieść tego, że oni są razem szczęśliwi, nie?

— Szczęśliwi? — spytała, wskazując ulicę. — Czy ty w ogóle masz pojęcie, jakie życie będzie z nim miała?

— Tak, bardzo przyjemne życie. Pewnie najlepsze, jakie mogłoby jej się zdarzyć — odparła Maxine.

— To obrzydliwe! — wypaliła. — Jak tak możesz!

Popatrzyły na siebie i to Fiona musiała pierwsza odwrócić wzrok.

Zawieszała tabliczkę z napisem „Zamknięte”, gdy Patrick Grady zastukał w szybę. Otworzyła drzwi. W pierwszym odruchu chciała nakrzyknąć na niego za to, że straszyl biednego Larry'ego. Zmieniła zdanie, gdy dostrzegła, jak bardzo jest zdenerwowany. Oblizywał wargi i drapał się w kark. Ciekawa była, czy umówił się z kimś w mieście. Miał ostrzyżone włosy i był świeżo ogolony. Zadraśnięcie na jego brodzie jeszcze krwawiło. Miał na sobie zielone, sztruksowe spodnie i koszulę w czerwono-białe paski, leciwą i przyciasną. Jednak była to wielka poprawa w stosunku do jego zwykłych, ciemnych, zapuszczonych ubrań. Trochę starania wystarczyło, by okazało się, jak przystojnym jest mężczyzną, mimo tych blizn. I jak przystojny musiał być, gdy ich jeszcze nie miał.

— Nie ma sprawy — wymamrotał, gdy podziękowała mu za przeprowadzenie jej samochodu tamtej nocy. Powiedziała mu, że była jednak zawiedziona, że nie wszedł do niej.

— Było późno — odparł.

Ale nic by się nie stało. To nie miałyby znaczenia.

— Pomyślałem, że śpisz. Wszystkie światła były zgazzone — oświadczył, a ona poczuła w środku dziwną słabość, słysząc, że wie nawet, które okna należą do niej. Więc przynajmniej zdawał sobie sprawę z jej istnienia, może nawet interesował się nią. Na pewno bardziej się o nią troszczył niż ona — o niego.

Do tej chwili nawet nie zastanowiła się, jak dostał się z powrotem do domu. Ktoś musiał po niego przyjechać. Kobieta, z której powodu tak się dzisiaj wyszykował. Szedł na spotkanie z jakąś kobietą, a ona, bezsensownie i zupełnie dziwacznie, poczuła ukłucie zazdrości. Już za wiele czasu stracili do tej pory, by teraz miała dzielić się nim z kimkolwiek. Szczególnie z jakąś kobietą, która mogłaby usiłować ich rozdzielić.

— To jak wróciłeś wtedy do domu?

— Taryfą — odparł.

— Och, nie powinieneś. Proszę — powiedziała, wyciągając z kieszeni dziesięć dolarów i kładąc je na stole. Właśnie zamieniła na grubsze swoje napiwki. — Musiałeś wydać fortunę. To przecież kawał drogi.

— Nie chcę tego! Proszę, weź to! — Zepchnął pieniądze na krawędź stołu i popatrzył na nią z wściekłością. — Powiedziałem, zabierz to! — Oczy rozszerzyły mu się, nie ze złości, lecz z desperackiego pragnienia, by pozwoliła mu to dla siebie zrobić.

— No, jak tam chcesz — odezwała się, chowając pieniądze do kieszeni. — Dziękuję.

— Dobrze zapala? — spytał.

— Tak! Właściwie świetnie działa. Lepiej niż kiedykolwiek.

— To akumulator. Była luźna końcówka. Plus korozja. Przykleiłem końcówkę taśmą i zdjąłem część tego świństwa.

Podniosła gwałtownie rękę do ust.

— Dziękuję! Bardzo ci dziękuję!

Wzruszył ramionami. Skrzywił usta, jakby onieśmielony.

— Nie musiałeś tego robić. — Nie mogła powstrzymać szerokiego uśmiechu.

— No... musiałem! Musiałem go uruchomić, nie?

— To... bardzo miło z twojej strony. I doceniam to. Naprawdę, naprawdę doceniam.

Poprosił o kawę i kawałek placek z jagodami. Kroiła potem ten placek w kuchni, gdy Maxine spytała, dla kogo to. I zaraz powtórzyła to piskliwym głosem, aż Chester poderwał głowę.

— Dla Patricka — odparła cichym głosem.

— Lepiej będzie, jak zaraz zapłaci — zawołał Chester, gdy ruszyła w kierunku drzwi.

Zawróciła, nie chcąc, by Patrick usłyszał jej słowa.

— Oczywiście, że zapłaci — oświadczyła.

— Nie o to chodzi — powiedziała Maxine do Chestera. — Idź tam i powiedz mu, żeby wyszedł!

— Dlaczego? Nikomu nie przeszkadza — odparła Fiona.

— Wie, że nie powinien tu przychodzić! — odezwała się do Chestera Maxine.

— Ale on nic złego nie robi! — ciągnęła Fiona. — Czeka tylko, aż skończę — dodała, nie mogąc ukryć uśmiechu.

— Może poczekać gdzie indziej! Idź tam natychmiast i powiedz mu, że ja tak mówię — nalegała Maxine.

— Nie. Nie powiem.

— To ty mu powiedz — zażądała Maxine od Chestera, który chwycił ręcznik i przyłożył go do czoła i policzków. był to jego rytuał przed wyjściem na salę.

— Poczeka! — odezwała się Fiona, nim zbliżył się do drzwi. — Ja mu powiem. — Nie mogła znieść myśli, że zostanie upokorzony, gdy przyszedł tu tylko po to, żeby jej sprawić przyjemność.

Kiedy wyszła z kuchni, Patrick opuścił gazetę.

— Gdzie ty byłeś? Wyszłaś nzbierać jagód?

— Nie, piekłam ciasto — odparła.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— To gdzie ono jest?

— No cóż, mam złą wiadomość, panie Grady.

— Moje ciasto się spaliło?

— Nie.

— Upuściłaś je.

— Nie. Gorzej. Znacznie gorzej.

— A co mogłoby być gorsze?

— No, chodzi o Maxine — odparła cicho. Nie zamierzała dać jej tej satysfakcji. Nie chciała, by usłyszała, jak mu to mówi. — To dla niej problem, że ty tu jesteś.

Jego szeroki uśmiech zmienił się w drżący, szyderczy grymas.

— Co ona plecie?

— Chce, żebyś wyszedł.

— Ta suka — wymamrotał. Podniósł się, chwytając gazetę. Wpadł na zewnątrz. Zatrzymał się przy krawężniku, a potem odwrócił się gwałtownie i popędził do tylnych drzwi. — Powiedz tej cholерnej suce, żeby lepiej uważała, co o mnie mówi — wrzasnął, uderzając się w piersi tak mocno, że Fiona skrzywiła się na dźwięk tego pustego dudnienia. Jego pierś falowała w rytm płytkiego, świszczącego oddechu. W kącikach ust zapieniła mu się ślina. Kołysał się w tył i w przód. — Nie muszę wysłuchiwać tego gówna ani od niej, ani od nikogo innego. Słyszysz mnie? — wrzeszczał w głąb pogrążonej w przyćmionym świetle kawiarni. — Słyszysz mnie? Myślisz, że kim ty, do cholery, jesteś, ty suko, ty cholerna dziwko!

Drzwi kuchni otwarły się gwałtownie. Udręczona twarz Patricka wygładziła się. Pojawił się na niej niecierpliwy, szeroki uśmiech. Oczy mu zapłonęły, gdy Chester ruszył w jego stronę.

— Ty sukinsynu! Tak mówisz do mojej żony? Ty cholerny sukinsynu! — darł się Chester.

— Nie! Proszę, nie! — krzyczała Fiona, starając się zablokować przejście w drzwiach między dwoma mężczyznami. Maxine w tym czasie uwiesiła się ramienia Chestera.

— No już, Chester! — szydził Patrick. — Wyjdź i dobiez mi się do skóry!

— Nie, Patrick, proszę. Nie rób tego. Proszę, po prostu idź stąd — błagała Fiona, odpychając go. — Proszę!

— Taa, pójdę. Pójdę — krzyczał, zataczając się do tyłu. — Ale nie zamierzam o tym zapomnieć, ty sukinsynu. Zapłacisz za to, ty cholerny padalcu, ty...

Przechodnie uciekali na boki. Wrzeszcząc i wyrażając pięściami w powietrzu, Patrick wypadł na ulicę. Dzwony, które miał na sobie, miały pewnie tyle lat, co Fiona. Biedny Patrick. Czy wszystko skończyło się dla niego wtedy, tyle lat temu?

— Szalony sukinsyn — wymamrotał Chester, obserwując, jak Patrick znika za rogiem.

— Nie mów tak — ostrzegła. Cała dygotała.

— To prawda, i jeśli masz trochę oleju w głowie, będziesz się trzymać od niego z daleka — powiedział Chester.

— To mój ojciec — odparła.

— Nigdy nie chciał nim być — zakpił Chester.

— Miał ciężkie życie. Nic mu się nigdy nie układało. Nic.

— I to właśnie lubi Patrick Grady. I gdyby miał wybór, wątpię czy coś by zmienił w tym swoim popapranym życiu.

— Ty nie wiesz, o czym, do cholery, mówisz — warknęła.

— I ty, cholera, też nie wiesz! — odszczeknęła Chester. — Myślisz, że wszystko wiesz. Myślisz, że to biedny, niezrozumiany Patrick i ja też tak myślałem, nim dowiedziałem się, co zrobił Maxine.

— Co? — Spojrzała na płaczącą Maxine. — Co zrobił?

Maxine potrząsnęła głową.

— Spytaj swojego wujka. I jeśli będzie chciał, to ci powie. — Wyciągnęła papierową serwetkę z zasobnika i wysmarkała spuchnięty, czerwony nos.

— Dlaczego? Czemu ty nie możesz mi powiedzieć?

— Bo nie — łkała. Opadła na krzesło ze zwieszoną głową, zasłaniając dłonią oczy. Chester stał za nią z dłońmi na jej ramionach.

— Tak ją pobił, że zemdłała — odezwał się.

— Dlaczego to zrobiłeś? — wykrztusiła Maxine. — Dlaczego jej powiedziałeś?

— Bo powinna o tym wiedzieć — odparł Chester, pochylając się nad nią, by ją pocieszyć.

— Ale ja nigdy **nikomu o tym** nie powiedziałam — upierała się. Sędzia poprosił ją, by o **tym** nie mówiła. Tyle **tylko** mogła zrobić. Zawsze będzie mu wdzięczna. — Dopilnował, żeby wszystkie rachunki zostały zapłacone. Wynajął nawet pielęgniarkę, żeby przychodziła do mnie, kiedy wyszłam ze szpitala. Twój wujek to dobry, dobry człowiek. Jak długo żyję, nie zapomnę, jaki był dla mnie dobry. — Podniosła wzrok i próbowała się uśmiechnąć, lecz znów wybuchnęła płaczem. — Ale nigdy nie zapomnę, co zrobił mi Patrick Grady.

— Nie rozumiem — odezwała się Fiona, chociaż w chwili, gdy wymawiała te słowa, rozumiała. Jej wujek nie uwierzył w historyjkę Maxine, ale, co dla niego typowe, zamiast zakwestionować ją, zamiast dokończyć się prawdy, zrobił wszystko, co mógł, by ułagodzić Maxine.

— Cóż, dałam słowo, więc nie zamierzam o tym mówić. Ale wiesz, osiągnęłam teraz największą stabilizację w moim życiu. Jestem taka dumna. To jakby mój prawdziwy dom. I takie same uczucia mam dla ciebie, kochanie — wyszeptała, biorąc Fionę za rękę i ściskając ją. — Naprawdę, naprawdę cię lubię. Nie wiesz nawet, jaka jestem dumna, że pracuje tu siostrzenica sędziego Hollisa. — Pochyliła się do niej. — Więc gdy przyszedł tu pierwszy raz, starałam się nie zwracać uwagi. Ale potem, kiedy zobaczyłam, że znowu przyszedł, jakby nic się nie stało, jakby nic złego nie zrobił... nie. Nie, nie mogę mu na to pozwolić. Bo u kogoś takiego jak ja wszystko jest takie niepewne, wiesz, jakby w każdej chwili, najmniejszy drobiazg... — Pstryknęła palcami — I wszystko znika. Tacy ludzie jak ja muszą być ostrożni. Rozumiesz? Wiesz, o co mi chodzi?

był wczesny, piątkowy wieczór. W zimnym, wieczornym powietrzu na parkingu przy supermarkecie opadały migocące płatki śniegu. Fiona miała **tylko** dwie torby z zakupami w odmawiającym posłuszeństwa wózku, który przed sobą popychała. Była zmęczona. Przez ostatnie dwie noce nie spała dobrze. Tego ranka obudziła się, drżąc i czując chłód, którego nie mogła ukoić żadna ilość koców czy swetrów. Było to coś więcej niż zimno, głębokie poczucie osamotnienia, gdzieś w głębi jej samej. Przez cały dzień wydobywała z pamięci każdą porażkę i zawód, który sprawiła, poddając je bezlitosnej analizie. Całe życie strawiła na ciągnięciu tego, co nie miało perspektyw. I oto cała ona: ma trzydzieści lat, nie ma wykształcenia, porządnej pracy, nawet przyjaciół. Większość mężczyzn do wzięcia była zbyt młoda, a ona za któryś rok będzie już zbyt stara, by mieć dzieci. Jak zgasła gwiazda, życie pełne imprez wypaliło się. Zawsze łatwiej było podążać za własnymi kapryсами, **niż narzucić** sobie **dyscyplinę**, ła-

twiej było brnąć przez gruzy do wyparcia się wszystkiego, do tego zimnego i cichego grobu, chroniącego przed bólem i wyrzutami sumienia. Lecz po tych wszystkich latach toksyny zaprzeczenia tak wyniszczyły w niej dumę i nadzieję, że już niewiele rzeczy potrafiło sprawić jej ból, a jeszcze mniej — uczynić ją szczęśliwą.

Gdy wsiadła do samochodu, włączyła radio na cały regulator i siedziała tak, patrząc na ruch uliczny, na robiących zakupy, na ich dzieci, na ogromne wózki wypełnione wypchanymi torbami, na wysokiego, chudego chłopaka w samej koszuli i w nausznikach, który blokował jej teraz drogę, pchając chybotliwą karawanę pustych wózków, mocno opornych, w stronę sklepu.

— Niech to cholera! — krzyknęła, waląc w kierownicę obiema pięściami. Powinna była pojechać dziś wieczorem na zajęcia, by przeprosić Lee Felderson i omówić z nią swój test, powinna była powiedzieć rodzinie, że jej matka nie dzwoniła, powinna była wyprostować sprawę z Georgem Grimshawem, zamiast wpadać w złość... Włączając się do ruchu, powtarzała sobie, że nie jest jeszcze za późno.

Jego półciężarówka stała na podjeździe, ale na werandzie nie paliło się światło. Miała nadzieję, że nie położył się dziś wcześniej. Wciąż jeszcze przyciskała dzwonek, gdy otworzyły się drzwi.

— Cześć! — zawołał. Jego uśmiech zbladł, a głos — zamarł, gdy zbliżyła się do światła. — Och! To ty Fiona.

— George, muszę z tobą porozmawiać. Muszę wszystko wyjaśnić.

— Nie musisz tego robić — odezwał się zmieszany. — Niczego nie musisz mi wyjaśniać.

— Ale ja muszę. Chcę. Proszę. Mogę wejść...?

Jedynе oświetlenie w małym pokoju pochodziło z migającego telewizora. Włączył lampę. Był bosy. Miał na sobie spodnie od dresu i podarty podkoszulek. Na sofie leżały koc i poduszka, a w zasięgu ręki, na stoliku do kawy — przenośny telefon. Gdy tylko usiadła, pożałowała wyboru chybotliwego fotela, który skrzypiał przy najsłabszym poruszeniu. Ze spuszczonej oczyma i założonymi na piersi ramionami George siedział na kanapie, podczas gdy ona opowiadała mu, jak to impreza u Terry i Timma była jej pierwszym wyjściem od dwóch miesięcy. Opowiedziała mu, jak tańczyła z podnieconym collie i całowała go w pysk, a wszyscy się śmiali, jak potem tańczyła z Larrym Belleau, bo z żadnym z nich nie zańczyłyby nikt inny, a następnego ranka, gdy się obudziła, w jej łóżku leżał mężczyzna.

— Ale było ciemno i nie mogłam sobie przypomnieć, kto to jest. — Głos jej się załamał, zamknęła oczy. Nigdy jeszcze nie czuła się tak zawstydzona.

— Nie musisz mi tego wszystkiego mówić, Fiono. To znaczy, ja wiem, jak czasami...

— Nie, pozwól mi skończyć. Proszę. — Zaczerpnęła głęboko powietrza. Fotel zatrzeszczał.

George skrzywił się i odwrócił wzrok.

— Wiesz, chodzi o to, że to nie miało znaczenia, co o nim wiedziałam. Powinno mieć znaczenie, powinno być ważne, że ja wiedziałam, kim jestem i co robię, tak jak on wiedział, kim jest i co robi. Wiedział, że jest żonaty. Wiedział, że jego żona właśnie urodziła dziecko. Chodzi mi o to, że wiem, że to, co robiłam, było złe i głupie, i obrzydliwe, i to był naprawdę sygnał dla mnie, żeby się obudzić. Ale rzecz w tym, że nie możesz mnie obwiniać za to, że jego dziecko umarło, a jego małżeństwo rozpadło się.

— Nie winię cię — odparł tak szybko, że się uśmiechnęła. — Tylko że teraz i mnie naprawdę nie jest lekko.

— Dlaczego? Co się stało?

— Nic! — odpowiedział. — To znaczy, nic szczególnego. Tylko wszystko zrobiło się teraz takie poplątane. — Potrząsnął głową i podniósł dłoń w rozpaczliwym geście. — Przepraszam.

— W porządku. Rozumiem. Potrzebujesz czasu, i to wszystko. Nie ma pośpiechu — zapewniała go z cichym śmiechem, wstając z krzesła. — W końcu żadne z nas stąd nie wyjeżdża, prawda? — Przy drzwiach odwróciła się i pocałowała go w policzek. — Zadzwoń do mnie, dobrze? — dodała.

Popatrzył na nią z tym samym posępnym wyrazem twarzy.

Śnieg padał coraz mocniej, gdy wjeżdżała na swoje miejsce na parkingu. Jutro była sobota i Chester dał jej wolny dzień, by mogła pojechać z Elizabeth do sklepu z sukniami ślubnymi w Concord. Miała wcześniej wstać, poćwiczyć, jak długo będzie mogła, posprzątać mieszkanie i o jedenastej podjechać po Elizabeth.

Kiedy szła, powłóczęc nogami, przez pokryty rozmokłym śniegiem parking, usłyszała, jak za nią otwierają się i zamykają drzwiczki samochodu, i ktoś woła ją po imieniu. Odwróciła się i zobaczyła, jak pędzi ku niej Patrick Grady.

— Muszę z tobą porozmawiać — odezwał się, mrugając oczami, gdy płatki śniegu opadały mu na głowę i rzęsy. Miał na sobie niebieską kosz-

lę w kratę. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach. Zgarbił się w porywistym wietrze.

— Pewnie. Taa, wejdź na górę. Byłam właśnie po zakupy — oznajmiła, prawie nie mogąc złapać tchu z podniecenia, gdy szedł za nią po schodach. Wiedziała, widząc jego zmartwioną twarz, że przyszedł porozmawiać o zajściu w kawiarni.

— Ja pomyślałem, że może masz randkę — odparł, gdy brała obie torby w jedną rękę, by włożyć klucz do zamka.

— Nie, nie, żadnej randki — odpowiedziała, wchodząc do wychłodzonego mieszkania. — Tylko następna noc z pilotem w ręce. — Chciała, by zobaczył ten obraz: spokojne, ustabilizowane życie jego rozsądnej córki. Nie była jakiejś matka, a jednak zaczynała wyczuwać te chwile, gdy widział w niej Natalię. Wystarczająco często widziała ten szok rozpoznania w spojrzeniach innych, by teraz nie rozpoznać go w jego wzroku. — Zimno tu — odezwała się, podkreślając termostat. — Mogę zaferować ci kawę albo piwo, albo coś innego?

— Poproszę kawę. — Obserwował z kuchennych drzwi, jak stawiała czajnik na gazie, zanim zaczęła wyjmować zakupy. — Chciałem wyjaśnić, co się stało tamtego dnia — powiedział. — To znaczy z mojego punktu widzenia.

— Doceniam to, ale nie musisz tego robić — odparła dotknięta. — Naprawdę. Sama wiem, jak to jest czasami...

— Tylko po to, żebyś wiedziała. To wstrętne, kłamliwa suka! Nie wierz w nic, co ona o mnie mówi. — Wciąż stapał w przód i w tył. Był coraz bardziej poruszony. — W ani jedno słowo!

— Nie będę — odparła miękko, by go uspokoić.

— Po prostu nam się nie układało, i tyle.

— Cóż, to całkiem zrozumiałe. — Zmusiła się do śmiechu.

— Ciągłe dostawała wariacji i wyładowywała się na mnie. A teraz opowiada o mnie kłamstwa. I co powiedziała? Czego ci naopowiadała?

— Nic — odparła.

Zagłębił się w końcu w fotelu. Głowa mu opadła, a głos ucichł, gdy pocierał oczy.

— Nie chcę tylko, żebyś o mnie źle myślała.

— Nie myślę — odparła. Maxine nie tylko miała dar dramatyzowania, lecz też bardzo szybko wpadała w złość.

— No, cholernie dużo ludzi jednak tak myśli — rzekł z pozbawionym radości uśmiechem.

— To dlatego, że idziesz własną drogą.

Prychnął, słysząc to, i ze wstrętem potrząsnął głową.

— Tak właśnie było z nią, z tą suką. A najbardziej szalone w tym jest to, że ja nawet nie chciałem jej przy sobie. Wstrętna suka, doprowadzała mnie do szaleństwa — wymamrotał. — Ciągłe tylko ryczała i ryczała.

— Tak się czasami zdarza — odparła pośpiesznie. Znowu wpadał w złość. — Ludzie nie potrafią znieść tego, gdy ktoś ich nie potrzebuje. Kiedy ktoś taki jak ty potrafi po prostu odejść i robić to, co chce.

Odchylił się do tyłu z pełnym goryczy chichotem.

— Robię, co chcę. Taa. Robię to, co chcę. Na pewno.

Nalała kawy do swojego najlepszego kubka i postawiła go przed nim, patrząc, jak zbliża twarz do unoszącej się z niego pary i bierze głęboki oddech. Sama też często tak robiła.

— Właśnie to jest w tobie takie interesujące — odpowiedziała, poruszona głodem w jego szybkim spojrzeniu. — Nie obchodzi cię, co myślą inni, prawda?

— A czym się tu przejmować? — Podniósł filiżankę w obu dłoniach i głośno popijał gorącą kawę.

— Wiem. — Westchnęła. — Wszystko, na co zwraca uwagę większość ludzi w tym mieście, to ile zarabiasz i z jakiej jesteś rodziny — ciągnęła. Ostatnie słowa wymówiła z delikatnym chrząknięciem, wypychając resztę zakupów do lodówki.

Milczał przez chwilę, a ona wstrzymała oddech, obawiając się, że wyraziła się zbyt jasno. Odwróciła się do niego. Wpatrywał się w nią. Uśmiechnęła się i usiadła.

— Ale czasami myślę, że może jestem tu już po prostu za długo. Nigdy nigdzie indziej nie mieszkałam. I myślę, że to nie jest najzdrowsze, a ty?

— Pytasz nie tę osobę. To jedyne miejsce, w jakim kiedykolwiek mieszkałem.

Właśnie w tej chwili podskoczyła, przestraszona głośnym pukaniem w drzwi. Otworzyły, z irytacją zobaczyła przestępującego z nogi na nogę Rudy'ego Larkina.

— Cześć! Zobacz, co tu mam. — Wręczył jej pudełko z butami. — Rozmiar ósmy, damskie buty do biegania... — Wygrał je w szpitalnej loterii i oczywiście od razu o niej pomyślał.

Był ostatnią osobą, którą chciała w tej chwili oglądać, lecz zaprosiła go do środka, pewna, że odmówi, widząc, że ma już gościa. Zamiast tego podszedł prosto do stołu i uściśnął rękę Patrickowi, który nie podniósł się z krzesła. Wiedziała, że jeśli poprosi Rudy'ego, by usiadł, on to zrobi, więc

rozmawiali na stojąco. Patrick kiwał głową i pochrząkiwał potakująco, gdy Fiona wyjaśniała, że Rudy jest narzeczonym Elizabeth i pochodzi z Nowego Jorku, ale teraz mieszka tutaj i pracuje w szpitalnej izbie przyjęć.

Rudy nie zdawał się ani trochę zakłopotany posępnym milczeniem Patricka. Opowiadał im o dziecku, które badał dziś po południu. Jego matka przyprowadziła je w popłochu do szpitala, ponieważ połknęło pięciocentówkę. Jak się okazało, w żołądku chłopca było mnóstwo drobniaków. — Prawdziwa świnka-skarbonka — orzekł Rudy, a Fiona uśmiechnęła się.

Patrick pił uparcie swoją kawę i nawet nie podniósł głowy. Spytała, co u Elizabeth. Wiedziała, że jeśli wspomni o ich spotkaniu tamtego wieczora albo o planowanej na jutro wycieczce na zakupy, nijak już nie pozbędzie się Rudy'ego.

— Cóż, szczerze mówiąc, gdybym nie miał tak zdrowego ego, pomyślałbym sobie, że mnie unika. — Roześmiał się i położył dłoń na oparciu krzesła, kołyszając nim hałaśliwie w tył i w przód. Bojąc się, że usiadzie, podziękowała mu za tenisówki. — Nie mogę się doczekać, kiedy je wypróbuję — dodała.

— Może więc jutro rano? Powiedz mi, o której, a będę w pobliżu — podchwycił z zapałem.

Patrick popatrzył na niego.

— O siódmej — oznajmiła, żeby sobie poszedł. Zadzwoni później i odwoła to.

Ruszył do drzwi, radząc jej, by ciepło się ubrała. Temperatura miała spaść w nocy poniżej zera. Powiedział to, pocierając ręce, jakby już było mu zimno.

— Miło mi było pana poznać — krzyknął jeszcze na koniec do Patricka, który odchrząknął tylko.

— O co mu chodzi? — spytał Patrick, gdy drzwi się zamknęły.

— O moją kuzynkę Elizabeth.

— Tamtej nocy w Pacer's byłeś z Grimshawem, prawda?

— Taa, z Georgem. Jest naprawdę porządnym facetem.

— Ty i on chodzicie ze sobą?

— Jesteśmy przyjaciółmi. Albo kimś w tym rodzaju. — Czuła, że twarz jej się czerwieni pod jego uważnym spojrzeniem. Już wcześniej odbyli tę rozmowę.

— Więc kiedy do niego idziesz, to nie jest randka?

— Niby tak, ale ja do niego nie chodzę...

— Byłaś tam dziś wieczorem — odparł, przekrzywiając głowę.

— Taa, zgadza się. Byłam. Byłam u niego tak krótko, że o tym zapomniałam. Musiałam mu coś powiedzieć. — Była równie zmieszana swoim kłamstwem, jak tym, że on ją śledził.

— A ten Larkin, ten lekarz... uważaj na niego. On coś knuje — oświadczył.

— Rudy? — Roześmiała się. — Jest nieszkodliwy.

— Nie, nieprawda! — Walnął pięścią w stół. — On tylko czeka stosownej chwili, uwierz mi, wiem o tym — powiedział takjadowicie, że dostała na rękach gęsiej skórki. Zaczęła się bać, lecz, jak dziecko, nie wiedziała właściwie, czego się tu obawiać oprócz ciemności za oknami i krwi tętniącej jej w uszach, jakby biegła, jak tylko mogła najszybciej, i nie mogła donikąd dotrzeć. Nie spuszczała z niego wzroku.

— Tak właśnie to robią — odezwał się.

— Co robią?

— Kontrolują — odparł, z nutą zaskoczenia, że trzeba jej to tłumaczyć. — A potem nic już z tym nie możesz zrobić.

— Nie, Rudy jest porządnym facetem — oświadczyła, bardziej po to, by przerwać jego trudne do zrozumienia zadumanie, niż by go przekonać.

— Taa, i będziesz musiała z nim jutro biegać, czy tego chcesz, czy nie. — Wskazywał ręką tenisówki i dźgał ją palcem.

— Nie, nie będę! — Odrzuciła głowę do tyłu z wymuszonym uśmiechem. — I nigdy nie robię niczego, czego nie chcę robić!

Wstał ze swoim zniekształconym uśmiechem na twarzy i wcisnął sobie pudełko z butami pod ramię.

— A ja nawet ci to ułatwię. Wywalę je gdzieś po drodze.

— Ale są nowiutkie — zaprotestowała. — I drogie. Nie muszę biegać, ale mogę je przynajmniej nosić.

— Okej — odparł zde gustowany i upuścił pudełko na stół. — Ale coś ci powiem. On ich nie wygrał. Poszedł i kupił je, ten podstępny sukinyś. To część tego wszystkiego: inny sposób, w jaki to robią...

Później tego wieczora Elizabeth zadzwoniła, by powiedzieć, że nie czuje się dobrze. Muszą przełożyć swoją wyprawę do Concord.

— Może na następny tydzień — zaproponowała cichutkim głosem.

Albo może nigdy — pomyślała sobie Fiona, odkładając słuchawkę.

Następnego ranka obudziła się na dźwięk telefonu. W chwili gdy usłyszała głos Rudy'ego, uświadomiła sobie, że zapomniała odwołać ich

wspólne bieganie. Była szóstą czterdzieści pięć, a on mówił jej teraz, że nie wyrobi się na siódmą. Był okropny wypadek kilka godzin temu na dziewięćdziesiątej trzeciej, ciężarówka i dwa samochody. Wezwano go do szpitala i był tam do tej pory.

— Nie przejmuj się tym — odparła, zamykając oczy.

— Ale nadal możemy się wybrać — powiedziała szybko.

— Nie musimy. — Ziewnęła.

— Powiniennem być wolny za pół godziny albo trochę dłużej.

— Rozumiem, będziesz jednak wyczerpany. Wracaj po prostu do domu i kładź się do łóżka.

— Ale chodzi o to... — Przerwał. W tle kobiecy głos wypowiadał monotonnie nazwy materiałów medycznych. — Chodzi o to — ciągnął — że naprawdę chciałbym z tobą porozmawiać. Jeżeli masz czas... Jeżeli nie masz nic przeciwko temu — dodał.

Zgodziła się spotkać z nim w Dunkin'Donuts. Tam będzie się go mogła przynajmniej pozbyć, gdy będzie tego chciała.

Nie założyłaś ich! — odezwał się Rudy, wskazując na jej stopy, gdy dotarła na miejsce.

— Bo nie biegam, prawda? — Była zirytowana. Spóźnił się o prawie pół godziny.

— Ja też jeszcze dzisiaj nie biegałem. Może pobiegaliśmy razem dzisiaj po południu? — spytał.

Nie mogła. Miała za dużo roboty, a teraz rano już prawie minął.

— Przepraszam — powiedział, wrzucając kostkę lodu do kawy i mieszając ją. Wyglądał na zmęczonego. Był nieogolony, a z tyłu głowy sterczał mu kogut. — Ja naprawdę nie chcę cię niepokoić... to znaczy, wiedziałem, że nie chcesz biegać, ale znalazłem się w takiej dziwacznej sytuacji... nie mam z kim porozmawiać. — Westchnął i odchrząknął. — Bo Elizabeth nie... To znaczy, nie rozmawia ze mną. — Zaczął jej opowiadać, jak szczęśliwi byli w Nowym Jorku i jak wkrótce po tym, gdy się oświadczył, zaczęła mówić mu, jak nie znosi wielkiego miasta i jak tęskni za rodziną i życiem w małym miasteczku. Pewnego dnia, po tygodniach wypełnionego łzami milczenia, oświadczyła, że wraca do domu. Powiedziała mu, że nie chce, by porzucał swój styl życia i jechał z nią do Dearborn. Mimo że upierał się, że tak nie będzie, powiedziała, że będzie tam nieszczęśliwy. I wtedy oświadczyła, że za cztery dni wyjeżdża. Gdy zobaczyła, jak bardzo się zdenerwował, nawet nie mogła z nim o tym rozmawiać. W kilka godzin po tym, jak opuściła miasto, wsiał do samochodu, przy-

jechał prosto tutaj i znalazł pracę w Dearborn Memoriał. Ale wtedy, gdy jej o tym powiedział, zareagowała w najdziwniejszy sposób. Czegoś takiego w ogóle się nie spodziewał. Zamiast zadowolenia okazała niemal panikę, strach.

— Wtedy myślałem, że boi się, że ma jakiś negatywny wpływ na moje życie. Była taka zdenerwowana, kiedy byłem w pobliżu.

— Zawsze tak reagowała na wszelkie zmiany — odparła Fiona. — Najgorsze były wielkie uroczystości. Tak było na ślubie Ginny. Po prostu mówili tam Lizzie, kiedy i gdzie ma się pokazać. A najstraszniejszy był bal na zakończenie szkoły. Spędziła większość wieczoru w swoim pokoju, śpiąc po całym tym xanaxie, który zażyła.

Westchnął.

— Cóż, może i tak, ale w końcu rozjaśniło mi się w tej mojej głupiej głowie. Tak naprawdę Elizabeth wyjechała z Nowego Jorku po to, by uciec przede mną. Ponieważ nie potrafiła się zmusić, by mi powiedzieć, że mnie nie kocha. Elizabeth nie potrafi znieść tego, że mogłaby kogokolwiek zranić. Ale ty pewnie wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Fiona kiwała głową. To mogła być prawda. Elizabeth wyjechała do Nowego Jorku, nie zrywając właściwie wcześniej z Georgem. Ich związek po prostu powoli się rozpadał i może miała nadzieję, że tak samo będzie z Rudym.

— Taa, cóż, tak jak powiedziałam, to te wielkie uroczystości, ta cała presja. Ona zwyczajnie traci głowę.

— Myślę, że poczuła się zablokowana, złapana tu ze mną w pułapkę, więc teraz zaczęła mnie unikać — oświadczył z pełnym rezygnacji wzruszeniem ramion.

Fiona zauważyła, że znów usiłuje wytłumaczyć emocjonalne zawrota głowy swej kuzynki, które obserwowała przez te wszystkie lata.

— Z wielu jej zachowań możesz wywnioskować, że ona nie chce cię tutaj. Ten jej niepokój... Byłaby pewnie nawet zszokowana, gdyby dowiedziała się, że odbywamy tę rozmowę. — Przerwała, patrząc, jak on dopija swoją kawę. — A rozmawiałeś z nią o tym wszystkim?

— Próbowałem, ale ona nie chce tego słuchać.

Nie była zaskoczona. Biedny Rudy, przywleczony tutaj przez niekłamną dobroć Elizabeth, stał się teraz jej zakładnikiem.

— To co zamierzasz zrobić?

— Myślałem, że może właśnie tego będę się mógł od ciebie dowiedzieć. — Usiłował się roześmiać, ale śmiech przeszedł w pełne bólu prychnięcie.

— Więc może powinieneś wrócić do Nowego Jorku? Niech pogodzi się z własnymi uczuciami, nie czując się taka... taka zobowiązana — powiedziała, krzywiąc twarz. Nie chciała go ranić.

— Rozważałem to. Niestety, podpisałem ze szpitalem umowę na rok... Jezu — westchnął, lekko uderzając dłonią w blat. — Czuję się jak taki straszny głupiec. — Nachylił się nad stolikiem. — Wiem, że w to nie uwierzysz, ale jestem pewnie jednym z największych nieudaczników, jakich kiedykolwiek spotkałaś.

— Nie jesteś! — odparła zaskoczona i roześmiała się, widząc jego uśmiech.

Otworzyły się boczne drzwi i zorientowała się, że do środka weszły trzy kobiety. Nadal nie spojrzała w ich kierunku, chociaż słyszała słabe sapnięcie, gdy jedna z nich zamajaczyła przy stole. Jej wąska pierś podnosiła się i opadała, gdy ręką wskazywała na Fionę.

— Ty dziwko — padło z jej ust. — Ty obrzydliwa świnió, ty dziwko, ty! — mówiła jeszcze Krissy Glidden, gdy jej matka i siostra zdołały odciągnąć ją do drzwi.

Niezdolna się poruszyć, Fiona siedziała z zamkniętymi oczyma, przykrywając dłonią usta.

— Fiono? — odezwał się Rudy, gdy drzwi znów otworzyły się i zamknęły, i ktoś znowu zbliżał się do stolika.

— Jak możesz tak tu po prostu siedzieć? Powinnaś się wstydzić, Fiono Range — wyszczała pani Soule, matka Krissy, która była jej drużynową w skautach, kiedy Fiona chodziła do trzeciej klasy. — Powinnaś bardzo, bardzo się wstydzić tego, co zrobiłaś! Ty masz w ogóle pojęcie, ile nieszczęść wywołałaś? Życie ilu osób...

— Przepraszam — przerwał jej cichym głosem Rudy. — Ale to nie miejsce...

— Krissy ma rację. Jesteś obrzydliwa! — oświadczyła pani Soule, nim pospieszyła na zewnątrz.

Fiona wciąż miała zamknięte oczy.

— Chodźmy — odezwał się znowu Rudy. — No, Fiono, wstań. Chodźmy stąd.

Było pół do trzeciej po południu, a Rudy wciąż przy niej był. zaproponował, że zostanie dłużej, lecz upierała się, że czuje się świetnie. Zabrała mu już za wiele czasu. Powiedział, że czas to coś, czego ma w bród. Odczuła ulgę, kiedy w końcu wstał i podszedł do drzwi. Bądź co bądź, nie była przyzwyczajona do tego, by ktoś poświęcał jej tak wiele uwagi. Od-

kryła, że jego ponadnormalna energia całkowicie ją wyczerpała. Dwa razy wychodził z mieszkania: raz po tylenol do drogerii, a drugi — po pizzę dla nich dwojga.

— Zadzwońię za chwilę, żeby sprawdzić, jak sobie radzisz — powiedział z ręką na klamce.

— Nie musisz dzwonić. Czuję się świetnie — odezwała się z sofy, gdzie siedziała okutana w koce, które zdjął z jej łóżka. — Naprawdę!

— Pewna jesteś?

— Tak! — Nie potrafiła ukryć swego rozdrażnienia z jego powodu, z powodu ich wszystkich. Pani Soule miała rację. Wstydziła się, a teraz była zła.

— No, tylko dopóki nie zaczniesz tego rozpamiętywać — odpowiedział.

— Nie rozpamiętuję — odparła, przypominając sobie, co Patrick opowiadał o Wietnamie. To się kiedyś zdarzyło. Ale teraz już się skończyło i nie zamierzała wciąż czuć tego zapachu i smaku.

— I tak byłoby najlepiej — orzekł, przytakując skinieniem głową. — Bo z tego wszystkiego, co powiedziałaś, wynika, że to ty zostałeś wykorzystana, a nie on.

— Wiem. To właśnie wcześniej powiedziałam.

— No, więc nie rozpamiętuj tego, i tyle.

— Ja tego nie robię, za to ty — tak.

Jego ręka opadła z klamki.

— Ja po prostu nie mogłem patrzeć na to, że... że zostałeś tak poniżona. — Podeszedł z powrotem do kanapy i stanął nad Fioną. — Wiem, jakie to może być bolesne.

— Taa, ale nie wiesz, jak bardzo potrafię być wytrzymała.

— Gdyby tak naprawdę było — rzekł z tak zmartwionym wyrazem twarzy, że się roześmiała.

— Pewnie, że tak jest! Jestem królową drugiej szansy. Każdy o tym wie.

— Podobnie jak z twoim wysokim progiem odczuwania bólu. O to ci chodzi? — spytał z pobłażliwym uśmiechem.

— Jakbym była jakimś robakiem? Jeden kawałek odpada, wyrasta mi nowy, i nie ma sprawy? Nie! Wiem tylko, że nie mogę bać się żyć w moim własnym życiu, i tyle. Przecież to jedyne życie, jakie mam, правда? Więc lepiej, jeśli nie będę bała się jeszcze kilka razy zaryzykować. A jeżeli to spieprzę, to wtedy wiesz co? — Zniżyła głos. — To nie koniec świata — wyszeptała, myśląc teraz o Patricku. Wepchnięcie się w jego ży-

cie było najlepszą rzeczą, jaką dla samej siebie kiedykolwiek zrobiła. A jeżeli po drodze zarzucało na wybojach, więc niech będzie i tak.

Rudy przyglądał jej się, kiwając głową.

— Wiesz co, ty masz rację! Masz całkowitą rację! To wszystko jest śmieszne! Czas wreszcie wyrzucić to z siebie. Tak! To właśnie zrobię! Po prostu uprę się, żebyśmy wyłożyli w końcu karty na stół. — Popatrzył na nią. — Ale z drugiej strony nie chcę też być teraz dla niej zbyt surowy. Była ostatnio taka nerwowa.

— A czego się obawiasz, Rudy? — spytała Fiona, po raz pierwszy chyba wypowiadając jego imię. — Sądysz, że Elizabeth może stracić głowę? Że się na ciebie wścieknie? — Ciekawa była, czy uważa, że wszystkie kobiety są równie emocjonalnie niestabilne, jak jego matka.

— Nie wiem. — Wyglądał na autentycznie wprawionego w zakłopotanie.

— No, więc masz na to moje słowo: tak się nie stanie.

— Fiono... — Usiadł z powrotem na krześle. — A zrobiłabyś coś dla mnie? Porozmawiałabyś z nią? Nie chcę teraz po prostu niczego na niej wymuszać. Myślę, że to o mnie chodzi. Sądzę, że to ja sam wciąż pogarszam sytuację.

Długa sukienka zwisała w sutych fałdach z kościstych ramion Elizabeth. Z każdym oddechem jej obojczyki wypiętrzały się pod materiałem, jak jakaś część mechanizmu, która zaraz się urwie. Jej wąskie usta i delikatne rysy zdawały się dziwnie wyostrome w ostrym słońcu wczesnego popołudnia. Siedziały w pokoju telewizyjnym. Ogień płonął w małym, narożnym kominku i od czasu do czasu chmurki dymu cofały się do pokoju. Zimny wiatr zaczął kołysać nagimi drzewami i grzechotać w okna starego, farmerskiego domostwa. Tej nocy spodziewano się pierwszych tej zimy większych opadów śniegu. Fiona pomyślała, że miło byłoby znów spędzić noc w domu. Zajadałyby popcorn, każda skulona pod własnym pledem, oglądałyby stare filmy, a wujek Charles drzemałby w swoim fotelu, otwierając szeroko oczy z udawanym zaskoczeniem za każdym razem, gdy ciotka Arlene, przebijając igłę raz na wierzch, raz pod spód jasnego płótna, sugerowałaby, żeby położył się do łóżka.

Teraz był w śródmieściu, załatwiając swoje sobotnie sprawy, z których większą część stanowił zawsze lunch w Hegman's Diner z trzema lub czterema starymi przyjaciółmi. Ciotka Arlene stała na składanej drabince w jadalni, zawieszając nowe, białe zastawy, które prasowała

w chwili przybycia Fiony. Fiona spytała, czy ciotka Arlene przygotowywała dom na wrzesień.

— Na wrzesień? — spytała Elizabeth, rozglądając się wokół z niezrozumieniem.

— Na ślub — odparła Fiona. — Pamiętasz, jak to było na ślub Ginny...? Wszystko musiało być wysprzątane i pozmieniane! Kazała nam nawet wysprzątać strych, pamiętasz?

— Tak było — przyznała Elizabeth ze słabym uśmiechem.

— Właśnie wtedy kazała je wszystkie uszyć — ciągnęła Fiona, wskazując niebiesko-żółte perkalowe pokrowce na fotelach i sofie. Zaczynały już płowieć. Cztery ściany, należące dawniej do posepnie wyglądającej szopy na tyłach domu, stanowiły teraz rozległą płaszczyznę białych ścian i okien, z których rozciągał się widok na rozległy trawnik i mały staw, którego świeżo zmrożone brzegi połyskiwały lodem. Ten zawsze uroczy dom i jego utrzymanie było w mniejszym stopniu przykrym obowiązkiem dla ciotki Arlene, niż przedmiotem jej dumy i troski. Przez kilka ostatnich lat dom Hollisów, jak zaczął być nazywany po stu latach, podczas których znany był jako dom Range'ów, stanowił ważny przystanek dla niejednej wycieczki, którą grupy kobiet z miasteczka odbywały, by zbierać datki.

— Myślisz, że na twoje wesele założą nowe?

Elizabeth rozejrzała się wokół z przerażeniem.

— Święto Dziękczynienia jest za trzy tygodnie — odezwała się. Przycisnęła swoją szklankę z wodą sodową do policzka, jakby chciała się ochłodzić. — Wiesz, jak matka uwija się przed świętami.

— No właśnie, Święto Dziękczynienia! — powtórzyła Fiona. — Czy Rudy będzie tu jadł obiad? Z nami? — dodała.

— Prawdopodobnie — odpowiedziała Elizabeth. — O ile w tym dniu nie będzie musiał pracować.

— Ostatnio wpadłam na niego kilka razy — oświadczyła Fiona, którą uderzyło beznamiętne spojrzenie Elizabeth. — Wygląda na trochę zdołowanego. Nieszczęśliwego, to chyba lepsze słowo. Nawet przygnębionego — dodała, nie doczekawszy się odpowiedzi Elizabeth.

— Wiedziałam, że nie będzie w Dearborn szczęśliwy. Powiedziałam mu to, nim tu przyjechał. — Oczy Elizabeth rozbłyły, lecz jej głos pozostał tak spokojny, jakby rozmawiały o kimś nieznanym.

— Myślę, że czuje się po prostu samotny... — Fiona przerwała, chcąc, by te słowa nabrały odpowiedniego znaczenia. — Mówił, że ostatnio nie widywał cię zbyt często — tłumaczyła, obserwując, jak jej kuzyn-

ka skubie skórkę, zdzierają, odsłaniając długą kreskę czerwonego mięsa przy paznokciu kciuka.

— Byłam po prostu bardzo zajęta — odparła w końcu cichym głosem. Zamknęła oczy, a po policzkach popłynęły jej łzy.

— Lizzie! — Fiona wstała i przysiadła na podłokietniku fotela. — Czy ty go już nie kochasz? — wyszeptała i Elizabeth podniosła wzrok.

Tuż za drzwiami usłyszały skrzypnięcie drabinki, którą ciotka Arlene składała, a potem ciągnęła do szafki w holu.

— Po prostu wszystko stało się teraz takie trudne — wyznała Elizabeth. — Wszystko wydaje się takie zagmatwane. — Potrząsnęła głową.

— Co masz na myśli? — Fiona pochyliła się bliżej.

— Nie powinien był tu za mną przyjeżdżać. Nie powinien tu przyjeżdżać. Rzecz w tym, że ja próbowałam zastanowić się, co mam robić. Dlatego przyjechałam do domu. Żeby dowiedzieć się, co powinnam zrobić. — W drzeniu jej delikatnej szczęki było coś niemal katastrofalnego.

Fiona wstrzymała oddech.

— I myślałam, że już wiem, że spróbuję mu to wytłumaczyć — ciągnęła coraz ciszej Elizabeth. — Ja, ja zamierzałam mu powiedzieć. Myślałam, że będzie łatwiej, jeśli będę tutaj, ale wtedy on tu przyjechał! — Ukryła twarz w dłoniach. — Więc tego nie zrobiłam. Nic nigdy nie zrobiłam — zaszlochała.

— Och, Lizzie. — Fiona pogłaskała płaczącą kuzynkę po głowie. Siedziały tak przez chwilę. — To najgorsza rzecz, całe to martwienie się i dręczenie, i nierobienie niczego, by coś zmienić.

— Ale tak właśnie jest. Nie wiem, co mam zrobić — odparła Elizabeth, spoglądając na nią.

— Powiedz mi po prostu prawdę. Tylko tyle możesz zrobić. Musisz mi powiedzieć, że popełniłaś błąd, że jest naprawdę wspaniałym facetem, a problem jest nie z nim, lecz z tobą, i bardzo ci przykro, ale po prostu go nie kochasz.

— Ależ tak! — wykrztusiła Elizabeth, zaczynając znów płakać.

— Co tak?

— Kocham go. To dlatego jest to takie trudne. Wszystko jest takie skomplikowane.

Współczucie Fiony słabło. Zawsze była ta niewiarygodna ślepotą w zachowaniu Elizabeth, która doprowadzała Fionę do szaleństwa.

— A mogę cię o coś spytać? — zaczęła, tłumacząc, że nie wyciąga tego po to, by zranić Elizabeth, lecz tylko dlatego, że mogło jej to pomóc

zrozumieć lepiej własne uczucia. — Tego ranka, kiedy ty i Rudy wpadliście na... na George'a i mnie...

Elizabeth wbiła spojrzenie w oczy Fiony. Nie rób tego, zdawało się ostrzegać.

— Jaka była reakcja Rudy'ego, kiedy się tak zdenerwowałaś?

— On zrozumiał — odparła Elizabeth.

— Aleja nie — wypaliła. — Okej, mogę zrozumieć, że byłaś zakłopotana, ale to było coś więcej. Chodzi mi o to, że ty i George nie chodziliście ze sobą od lat, a ty zachowywałaś się tak, jakbyś przytapała mnie ze swoim mężem czy kimś takim.

Elizabeth wzdrygnęła się. Przygryzła wargę i zaczerpnęła głęboko powietrza.

— Przepraszam, ale tak to wyglądało. Tak to właśnie odczułam — dodała Fiona tak łagodnie, jak tylko potrafiła.

— A ja myślę, że ty wiesz coś o tym, prawda? — odparła Elizabeth, a jej malutki język wysuwał się i cofał do ust, jakby smakowała kawałki każdego swojego obrzydliwego słowa.

Fiona była zszokowana. Zerwała się, aż głowa Elizabeth odskoczyła do tyłu. Pamiętała, jak raz uderzyła ją, gdy miały po sześć czy po siedem lat. Krew popłynęła Elizabeth z nosa, plamiąc przód jej koszulki i szortów, nim zdążyły dotrzeć do domu. „Coś ty zrobiła?” — zażądała wtedy wyjaśnień ciotka, potrząsając nią. — „Coś ty zrobiła?”

— Przepraszam. Przepraszam, że to powiedziałam — wykrztusiła Elizabeth, gdy Fiona otwierała teraz gwałtownie drzwi. Uderzyły o ścianę.

— Wystarczy, że jesteś hipokrytką, więc nie bądź przynajmniej kłamczuchą — rzuciła. — Jedyne, czego żałujesz, to to, że czekałaś tak długo, by mi to powiedzieć!

— Nie, Fiono! — zawołała Elizabeth, idąc za nią do holu. — Nie powinnam była tego mówić, nie wysłuchawszy wcześniej twojej wersji.

— Mojej wersji! — ryknęła. — Jezu Chryste, a to dobre! Naprawdę dobre! Chciałabym wiedzieć, kiedy to, do diabła, moja wersja liczyła się dla kogośkolwiek z was! — krzyknęła jeszcze w progu.

Ciotka Arlene stanęła właśnie na schodach, trzymając w ramionach doniczkę z chryzantemami.

— Fiono! Co się stało? Co się tutaj dzieje? — zażądała wyjaśnień, przenosząc wzrok z siostrzenicy na córkę.

Wujek Charles wchodził po schodkach na ganek. Otworzył frontowe drzwi.

— Witaj, Fiono! — odezwał się. Uśmiech, który błyskawicznie pojawił się na jego twarzy, już zniknął. — Coś się stało? — Jego nieufne spojrzenie spoczęło na żonie. — O co tu chodzi? — spytał, przyglądając się jej znad okularów w złotych oprawkach.

— Nie jestem pewna — odparła ciotka Arlene, schodząc po schodach. Ustawiła doniczkę na stole, a potem szybko znów ją podniosła. Ciągłe rozglądała się dookoła. Całe to nieporozumienie skończy się oczywiście, jeżeli tylko uda jej się znaleźć odpowiednie miejsce dla tych kwiatów. Kontynuowała swe poszukiwania w jadalni.

— Czy wy dwie wybieracie się dokądś? — spytał wujek Charles, obejmując je obie gestem.

— Nie — odpowiedział mu słaby chór ich głosów.

— Ja właśnie wychodziłam — oświadczyła Fiona, a ciotka Arlene wyłoniła się szybko z jadalni, by ucałować ją na pożegnanie.

Elizabeth wymamrotała tylko „do widzenia”, a wujek wyszedł z nią na ganek.

Spytał, co się stało. Odparła, że nic.

— Szedłem ścieżką i usłyszałem krzyk.

— To nic takiego, uwierz mi — odpowiedziała, świadoma jego powolnego, spokojnego chodu, jego ramienia ocierającego się o jej ramię.

Zatrzymał się i obrócił, a ona popatrzyła obok niego na swój powgniatany, rdzewiejący samochód stojący na łuku wysypanego żwirem podjazdu.

— Słyszałem o tym zdarzeniu z Patrickiem Gradym w kawiarni — odezwał się.

Wzruszyła ramionami.

— Nic wielkiego.

— Nie wiem. Obawiam się, że to bardzo poważna sprawa.

— To dobry facet. Po prostu stracił panowanie nad sobą, i tyle.

— Uwierz mi, w nim nie ma nic dobrego. Nic.

— Naprawdę? Więc dlaczego znalazłeś mu pracę w sądzie, skoro jest taki zły?

— Chcesz wiedzieć? W porządku, powiem ci. Miałem nadzieję, że w ten sposób uda mi się go utrzymać z daleka od ciebie.

— Albo mnie z daleka od niego, to masz na myśli — odparła z pełnym gorczy śmiechem.

— Są pewne sprawy, Fiono, których nie można nigdy lekko traktować. — Popatrzył na nią. — Nie masz pojęcia, z czym masz tu do czynienia.

— Myślę, że mam. Wiem, że mam.

— Nie, nie możesz, to niemożliwe. Wiesz tylko to, w co postanowiłaś uwierzyć. Stworzyłaś sobie jakąś bajkową wersję tych strasznych czasów.

— Cóż. — Jeszcze raz wzruszyła ramionami, trzymając przed sobą odwrócone wnętrzem do góry dłonie. — Dopóki ktoś nie zechce opowiedzieć mi o tym, co naprawdę się stało, myślę, że po prostu będę musiała nadal próbować sama wypełniać luki. — Ruszyła przed siebie, bardziej po to, by podkreślić swoje słowa, niż by naprawdę odejść.

— Mówiono ci. Wiedziałaś o tym, od kiedy byłaś małą dziewczynką! Obróciła się szybko.

— Co wiedziałam? O czym ja wiedziałam? — domagała się odpowiedzi, zbliżając się szybko ku niemu.

Jego bladeść przeszła w szkarłatną czerwień, a uszy i koniec nosa były purpurowe. Ogarnęła go niespotykana u niego furia.

— Prawdę, oczywiście — wykrztusił. — Prawdę! — Stapał sztywno w tył i w przód. — A teraz ty narażasz się na takie niebezpieczeństwo. Wiesz, że jest niezrównoważony. Zawsze mówiono ci o tym prawdę. A jednak upierasz się przy tym całkowicie chybnym pomysłe, że on... że on ma w twoim życiu jakąś rolę, że troszczy się, że sam jest kimś, o kogo warto się troszczyć.

— Jest moim ojcem. Mówisz o moim ojcu. Czy ty to rozumiesz?

— Powiedział ci to? Powiedział, że nim jest?

— Nie musi. — Otworzyła drzwi samochodu.

— Fiono! — zawołał nagle, choć łagodnie, z tułowiem, ramionami, głosem wrywającym się do niej, jakby był pod obserwacją tysięcy oczu ukrytych wśród wrzecionowatych krzewów, wśród przypominających szkielety drzew, w stodole i w domu, w wiszącej na niebie ciężkiej masie białych chmur. — Posłuchaj mnie! Nie ufaj mu. Jest przebiegły. Jeżeli jest miły czy troskliwy, to tylko dlatego, że czegoś od ciebie chce.

Zamknęła drzwi i zbliżała się do niego, powoli, pewnie, cał po calu, zaczerwieniona, z umysłem tak czystym, że czuła, jak ogarnia ją tak wielka jasność, że niemal kręciło jej się w głowie.

— Zapomniałaś, że moja matka do mnie dzwoniła? Wiem, co jej powiedzieliście. I wiem, dlaczego odeszła. Wygoniliście ją, prawda? Ty i ciotka Arlene, wy dwoje. Bo była taka jak ja, nie? Zbyt wiele było z nią problemów. Zbyt była kłopotliwa! Zbyt, och, teraz przypomniałam sobie. Tak. Ginny powiedziała mi raz, powiedziała, że moja matka była zbyt beznadziejna i dlatego musiała wyjechać. Cóż, przepraszam, wujku

Charlesie. Niestety dla was wszystkich nie tylko tu zostaje, ale mam zamiar utrzymywać więź z własnym ojcem. Normalną rodzinną więź!

Jakże wielkiej i oczywistej przyjemności dostarczyło jej następnie trzaśnięcie drzwiami, ryk silnika, kamyki pryskające spod kół i jego patrycjuszowska twarz zastygła w osłupieniu.

Zawsze chcieli przerobić ją na kogoś, kim nigdy nie mogła być. Była dumna z tego, że jest córką Natalie Range i Patricka Grady'ego. Energia wystrzeliła w górę do wnętrza jej ciała z pedału gazu. Działała tu jakaś moc, a jej wujek był wobec niej bezsilny.

Tak — pomyślała, pędząc wąską drogą do miasta — uderzyłam w głęboko ukryty i istotny nerw...

Jeszcze nigdy nie widziała go tak wstrząśniętego.

Przyniosłem je dla ciebie — oświadczył Patrick, wręczając jej od progu owinięte w złotą folię pudełko cukierków. Właśnie dotarła do domu. Musiała przyjechać zaraz po niej.

— Och, Patricku — odpowiedziała, biorąc pudełko i zapraszając go do saloniku.

Rozejrzał się tam szybko dookoła.

— Dziękuję ci. Bardzo ci dziękuję — powiedziała głosem ochrypłym z czułości. — Ale dlaczego? Z jakiej okazji?

— Bez okazji. Po prostu je przyniosłem — odparł tak szorstko, że bała się, że go uraziła.

— Więc bardzo się cieszę, że to zrobisz. Uwielbiam prezenty — szczególnie, jeżeli nie ma dla nich żadnego powodu. — Jej energia opadała, czuła się dziecinna i podenerwowana.

— Czy ten facet, ten z tenisówkami, wrócił? — spytał, znów się rozglądając.

Rudy był pewnie teraz w pracy, jak powiedziała, w Dearborn Memorial. Nie wspomniała o ich spotkaniu w Dunkin'Donuts i o ich powrocie tutaj.

— On ciągle tędy przejeżdża, wiesz? — dodał po chwili Patrick i klapnął na sofę. Siedział z rękami rozpostartymi na oparciu. Patrzył w górę na Fionę.

— Taa, cóż, nie mieszka zbyt daleko ode mnie. — Zdjęła cienką, złotą folię. — Właściwie tylko kilka przecznic dalej.

— Salem Street. Wielki szary dom, ten stary, z tymi wszystkimi mieszkaniami.

Nie mogła sobie przypomnieć, by mówiła mu, w którym domu mieszka Rudy, ale najwidoczniej musiała mu to tym wspomnieć.

— Zawsze tu zwalnia — ciągnął.

— Pewnie, żeby zobaczyć, czy na parkingu nie stoi samochód Elizabeth. — Wyciągnęła do niego otwarte pudełeczko, ale odepchnął je.

— Zawsze patrzy w górę. Właśnie tak — powiedział, wyginając szyję do przodu. — Dokładnie w twoje okno.

— Sądzę, że on i Elizabeth przeżywają teraz ciężkie chwile. — Popatrzyła na niego, by sprawdzić jego reakcję. — A I e myślę, że to bardzo często się zdarza przed samym ślubem — rzekła ostrożnie. — Ta cała presja i wszystko inne...

— Kilka razy nawet się zatrzymał, a potem po prostu siedział, gapiąc się w górę w twoje okno.

— Kiedy? — spytała, uświadamiając sobie, jak zimno jest w jej mieszkaniu. — Kiedy to było? — Wstała i podkręciła ogrzewanie.

— Najczęściej późno wieczorem. Mniej więcej około północy. — Obserwował, jak Fiona zapala dwie lampy w pogrążającym się w mroku pokoju. — Innej nocy robił to po drodze do pracy — dodał.

Sięgnęła ręką za drzwi i włączyła górne światło w kuchni. Strumień światła padający na niechlujnie wyglądający blat w dziwny sposób ją uspokajał. Jedną z niewielu rzeczy, które ciotka Arlene opowiedziała jej o matce, to to, że bała się ciemności. Mogła zasnąć tylko przy włączonym świetle. Przez całe lata sosny otaczały północną stronę domu, lecz gdy ośmioletnia Natalie narzekała, że przez nie w jej sypialni jest ciemno, ojciec kazał je wyciąć. Ciotka relacjonowała to z nutką zadumy nad tym, jak wielką władzę miało zawsze to dziecko nad dorosłym mężczyzną, nad swoim surowym ojcem.

— A co ty, do jasnej cholery, robisz na ulicy o tak późnej porze? — roześmiała się. — To jakiś rodzaj jednoosobowego patrolu?

— Czasami nie śpiam zbyt dobrze — odpowiedział.

— I to wtedy robisz? Wychodzisz i jeździsz po okolicy?

— Czasami. A nieraz sobie chodzę.

— Dokąd? Dokąd tak chodzisz?

— Dokądkolwiek. Mam różne ścieżki.

— Boże, musisz oglądać dziwne rzeczy o takiej nocnej porze — odparła. Posmutniała trochę, widząc, jak jego twarz się rozjaśnia.

— Tak. Pewnie, że tak. — Zachichotał, a ona pochyliła się do niego z uśmiechem.

— Na przykład jakie? Co widzisz?

— Nie wiem, czy powinienem mówić. — Stłumił szeroki uśmiech.
— Tak! Och, dalej, powiedz mi!
— No... — Podniósł wzrok i poklepał poduszkę sofy. — Usiądź, to ci opowiem.

— No? — Czuła się wielka i niezdarna, siadając obok niego. Jej uda zdawały się ogromne obok jego chudych jak patyki nóg. Zdawała sobie sprawę z ciężaru swoich piersi wspartych ciężko na założonych ramionach.

Była taka ścieżka, którą zawsze chodził, wzdłuż grzbietu, wysoko nad gruntową drogą prowadzącą do parku rekreacyjnego. Stamtąd mógł sobie patrzeć, nie będąc widzianym przez pasażerów przejeżdżających w dole samochodów...

Oblała się rumieńcem. Oczywiście płonęły. Wstrzymała oddech. Ile razy widziała ją tam, własną nastoletnią córkę, z rozłożonymi nogami, czasami nawet dyndającymi przez otwarte okno. Albo w gorące noce, na kocach, szaleńczo rozpostartą na pokrytej igłami ziemi. Gdy mówił, przypominała sobie zapach sosen i kłującą tkaninę pod plecami.

— Czasem mi to jednak przeszkadza. Ci, którzy rach-ciach, zapinają spodnie i już ich nie ma. Jakby to była tylko jeszcze jedna czynność fizjologiczna, wiesz?

Pokiwała sztywno głową. Wiedział. W ten sposób jej o tym mówił.

— Szczególnie, kiedy są teraz te wszystkie choroby. To ważne, żeby być z kimś, na kim ci zależy. Ja byłem samotny przez długi czas... — powiedział.

Zjeżyły jej się włosy na karku i starała się odrobinę pochylić do przodu, z daleka od jego chudego, owłosionego ramienia.

— A teraz już tak przywykłem do samotności, że kiedy jestem z kobietą, mówię same nieodpowiednie rzeczy.

— Na przykład jakie? Co nieodpowiedniego mówisz? — Wstrzymała oddech. W końcu chciał porozmawiać o jej matce.

— Nie wiem. Po prostu. — Wzruszył ramionami. — Smakuje ci ciukierek?

— Bardzo. Jest pyszny. — Wzięła czekoladkę i podała mu pudełko. Potrząsnął głową. Odparł, że woli patrzeć, jak onaje. Przełknęła i chociaż poczuła lekkie mdłości, wzięła następną, mając na względzie przyjemność, którą odczytała w jego spojrzeniu, gdy ją przeżuwała.

— Czekaj. Ubrudziłaś się tu trochę. — Pochylił się bliżej i stał z jej brody smugę czekolady.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

— Nie otworzysz? — spytał, gdy się nie poruszyła.

— W porządku. Pójdą sobie. — Ze sposobu, w jaki na nią patrzył, odczytała, że chce powiedzieć coś o jej matce.

— Otwórz! — zażądał, rzucając jej piorunujące spojrzenie.

— Ale...

— W takim razie ja otworzę! — Podskoczył i otworzył drzwi. Był to Todd Prescott. Oczy miał szkliste. Szczerzył do nich zęby w uśmiechu.

— Patrick, stary przyjacielu! — zawołał. Popatrzył na zegarek, a potem przysłonił oczy, przyglądając się Fionie. — Co jest! — rzucił, wyciągając ramię, by złapać równowagę. — Gdzie ja, do diabła, jestem? Jestem w twoim domu, Fee, czy jestem u Paddy'ego? Jezu Chryste! — Śmiał się, wchodząc do środka. — Dwoje moich największych ulubieńców na całym bożym świecie. Fee — ciągnął, zarzucając jej rękę na ramię i przyciągając ją do siebie. Przyłożył usta do jej ucha. — Jestem w czymś w rodzaju kłopotów i potrzebuję jakiegoś miejsca, żeby się zatrzymać — oznajmił scenicznym szeptem.

— Wynos się stąd! — odparła, uwalniając się od niego gwałtownym ruchem.

Był na takim haju, że wciąż się śmiał, chwiejąc się i zataczając do tyłu.

— Ale ja cię kocham, Fee! Tak za tobą tęskniłem.

— Idź! Po prostu idź stąd!

— Będę tu tylko przez kilka godzin, nic więcej — ciągnął. — Bo wiesz, Sandy zamknęła przede mną drzwi na klucz.

— Nie ma mowy. Nawet na parę minut.

— Ale ja muszę!

— Powiedziała, że nie. Co jest, nie zrozumiałeś? — warknął Patrick.

— Ale tak mi jej brak. I ciebie też, Paddy. Za tobą też tęskniłem — mówił Todd, szczerząc zęby. — Chcesz towaru? Mam tu bardzo dobry towar, Paddy.

Dłoń Patricka zamknęła się na karku Todda. Pociągnął go do drzwi.

— Wynocha stąd, ty dupku — mamrotał Patrick, kiedy szli przez hol. Ich kroki rozlegały się ciężko na schodach, jakby jeden z nich się potykał. — Co ty, do diabła, próbujesz zrobić? — usłyszała warknięcie Patricka, nim drzwi wejściowe zatrzasknęły się z hukiem za nimi.

Rozdział 10

Dzwonił telefon. Z automatycznej sekretarki zabrzmiał męski głos. Fiona otworzyła jedno oko: za dziesięć siódma, niedzielny poranek. Naciągnęła poduszkę na głowę.

— Halo? Fiono, mam nadzieję, że tam jesteś... Tu wujek Charles. Coś się stało, i to jest bardzo ważne...

— Wujku Charlesie! — odezwała się, chwytając słuchawkę. — Co się stało? O co chodzi?

— Chodzi o Todda. Doznał zeszłej nocy obrażeń, obawiam się, że bardzo poważnych — powiedział, a jego przeciągłe westchnienie napełniło ją lękiem.

— O Boże. Co to było, jakiś wypadek? Kto prowadzi? — Zamknęła oczy. Coś stało się Patrickowi, a on nie wiedział, jak jej o tym powiedzieć.

— To nie był wypadek. Najwyraźniej został pobity. Poważnie pobity.

— O Boże. O Boże... — Rozejrzała się wokół w panice.

— Właśnie zadzwonił do mnie jego ojciec — ciągnął wujek Charles. — Wygląda na to, że został gdzieś wysadzony z auta. Właściwie Steve użył słowa „wyrzucony”. I jedyne słowo, które wyraźnie wymówił do tej pory, to twoje imię...

Z trudem złapała powietrze.

— Och, biedny Todd!

— I Patricka Grady’ego! — mówił dalej ze złością. — Jadę teraz, żeby się z nim zobaczyć.

— O czym ty mówisz? Dokąd jedziesz?

— Na posterunek policji. Właśnie go tam przywieźli.

— Ale dlaczego? On miał tylko podwieźć Todda. Nie rozumiem. To nie ma sensu.

— Widziałas ich wczoraj wieczorem?

— Tak. Patrick był tu i...

— Co takiego? — odezwał się wujek, zszokowany. — To znaczy u ciebie? Z tobą? W twoim mieszkaniu?

— Tak, wstał po drodze. Przyniósł mi pudełko czekoladek. Rozmawialiśmy i wtedy pojawił się Todd. Coś wzięła. Chodzi mi o to, że było widać, że naprawdę **JEST** na haju, i to zdenerwowało Patricka, i to, jak do mnie mówił — ciągnęła, a jej głos stawał się coraz cichszy. — Więc kazał mu się wynosić. Powiedziała, że podwiezie go do domu.

— Och, nie — jęknął wujek.

— Ale widocznie wysadził go gdzieś po drodze — powiedziała. — Boże, Toddie chodzi wszędzie. Zna chyba wszystkich w mieście, wiesz o tym.

— Wszystko, co wiem, to to, że Steve Prescott jest przekonany, iż Patrick zbił jego syna na krwawą miazgę.

— Patrick tego nie zrobił. Wiem, że tego nie zrobił! — upierała się, zaciskając powieki, by nie widzieć obrazu Patricka odciąganego od młodego mężczyzny w Pacer's i wyrazu jego twarzy, gdy próbował dobrać się do Chestera.

— Fiono, jak myślisz, dlaczego kazałem ci trzymać się od niego z daleka? — rzekł wuj Charles, a jego twardy, zmęczony głos poczuła aż w dołku. — Bo obawiałem się, że może zdarzyć się właśnie coś takiego.

PRZEZ ostatnich dziesięć minut, gdy czekali na przyjazd sędziego Hollisa, Steve Prescott siedział na kanapie Fiony z rękoma zaciśniętymi na kolanach. Ten drobny mężczyzna był zawsze starannie ubrany. Nawet tego ranka, po pełnej bolesnych przeżyć nocy, potrafił wyglądać elegancko we francuskiej, jedwabnej koszuli z mankietami, onyksowych spinkach, czarnym kaszmirowym blezerze i spodniach w pepitkę. A do tego jeszcze na niewzruszonego. Przyszedł, „działając całkowicie pod wpływem impulsu”. Ta skłonność była mu tak obca, że wydał wargi, wymawiając te słowa, gdy stanął w drzwiach, by dowiedzieć się, co się tu wydarzyło zeszłej nocy. Wyjaśniła, że z przyjemnością by mu to powiedziała, lecz najpierw musi porozmawiać z wujkiem. Nie wygadała się, że dzwoni do niego na posterunek policji.

— Wujku Charlesie — wyszeptała, gdy podszedł do telefonu. — Jest tutaj pan Prescott.

— Nic nie mów. Zaraz tam będę — odpowiedział.

Słyszała jego kroki, gdy wbiegał na górę, przeskakując po dwa stopnie.

— Fiono — odezwał się, poklepując ją po ramieniu, gdy tylko otworzyła drzwi. — Steve! — Z wyciągniętą ręką pośpieszył przez środek pokoju. Przemknęły jej przed oczyma obrazy podobnych spotkań: zimna, wilgotna noc w Rocky Point, Maine, kiedy ci dwaj mężczyźni przyjechali tam dwoma samochodami, by ich zabrać. Gdy mieli po szesnaście lat, ona i Todd próbowali uciec, lecz jedyny sędzia pokoju, którego, jak sądzili, udało im się przekonać, że Fiona ma osiemnaście lat, kazał im poczekać w sali ślubów, kiedy on będzie zakładać garnitur. A gdy tak siedzieli, trzymając się za ręce i chichocząc, na pachnącej stęchlizną, bordowej kanapie, on rozmawiał przez telefon z policją stanową, która zidentyfikowała ich jako nieletnich uciekinierów z Massachusetts. Wciąż pamiętała monotonne tykanie mahoniowego zegara kominkowego i jego puste *bim bam bom*, gdy obydwaj mężczyźni płacili sędziemu za jego czas i za kłopot... Teraz wyciągnęła rękę i wzięła czekoladkę z pudełka, które nadal leżało na stoliku do kawy.

— Dzięki Bogu, jest przytomny — oznajmił wujek Charles, zdejmując płaszcz. Gdy Prescott nie odpowiadał, zwrócił się do Fiony: — Właśnie rozmawiałem po drodze z Rudym. — Spojrzał znów na Prescottta. — Rudy jest narzeczonym Elizabeth. Pracuje w Memorial.

— Chcę wiedzieć, co właściwie wydarzyło się zeszłej nocy — odezwał się Prescott, ignorując słowa sędziego. Wiele lat temu byli bliskimi przyjaciółmi. Ich rodziny odwiedzały się nawzajem w swoich domach, razem obchodziły urodziny i święta. Jedno z najwcześniejszych wspomnień Fiony było z czasów, gdy miała sześć lat: skakała do wody na głębszym końcu tokretowanego basenu Prescottów, ponieważ Todd wzywał pomocy i myślała, że tonie. Przez kilka lat opowiadano tę historię o zabawnym zdarzeniu, jednym z przykładów ich skłonnych do psikusów charakterów, a gdy podrośli, stała się ona modelowym przykładem ich wzajemnej autodestrukcji, ich negatywnego przyciągania.

— Nic się nie wydarzyło — odparła i opowiedziała, jak Todd przyszedł do niej, w jakim był stanie i że został bardzo krótko, gdyż jego język stał się wkrótce nie do zaakceptowania.

— Co to znaczy „nie do zaakceptowania”? — spytał Prescott.

— No, wulgarny. Bezczelny. Wie pan, jaki Toddie potrafi być, kiedy... no, kiedy jest na hajcu... głupiej — starała się wyjaśnić, widząc jego utkwiony w sobie pusty wzrok. — Do tego nachalny. I taki rozstrojony, jakby miał zaraz zwariować. — Czuła ucisk w piersiach, brakowało jej tchu pod ostrym, krytycznym spojrzeniem wuja.

— Więc Grady się na niego wściekł?

— Nie, nie wściekł się. Todd chciał tutaj zostać. Nie pozwoliłam mu, a Patrick powiedział mu, że musi wyjść, i tyle — odparła.

— No to gdzie go wtedy zabrałaś? — spytał Prescott.

— Nigdzie go nie zabierałam! — odparła niemal jednocześnie ze swoim wujkiem.

— Fiona nigdzie go nie zabierała, Steve. Ona tego nie powiedziała — powtórzył.

— To znaczy, że został tu... — Prescott zmrużył oczy, starając się zrozumieć.

— Nie, wyszedł — odparła.

— Sam? Bez nikogo? — pytał Prescott.

— Teraz pomyśl uważnie, Fiono — ostrzegł wujek. — Bądź precyzyjna. To bardzo ważne.

— Cóż, Patrick zszedł na dół z Toddem, by upewnić się, że sobie poszedł — zaczęła powoli, patrząc tylko na Prescottta. — Ale potem wrócił od razu tutaj. Wyjrzałam przez okno i widziałam, jak Todd odchodzi ulicą. Przez cały czas, kiedy na niego patrzyłam, był sam — oświadczyła, niemal pewna, że jej wujek zerwie się na równe nogi i zażąda prawdy.

Obydwaj mężczyźni na nią popatrzyli. Jej wujek był poszarzały na twarzy, czuł się chyba okropnie z powodu jej kłamstwa i swojej lojalności wobec niej.

— Nie wierzę ci — odezwał się Prescott.

— Przykro mi, ale tak właśnie było — odparła.

— Nie, nie jest ci przykro. Ani trochę nie jest ci przykro. Sandy opowiadała nam, co się dzieje, jak okropnie ją traktujesz. I jak w noc Halloween próbowałaś nawet uwieść...

— Wynocha stąd! — wrzasnęła nagle, podrywając się na nogi. — Wynoś się natychmiast z mojego domu!

— Fiono! — odezwał się wujek, który również się podniósł.

— Ona namówiła do tego Grady'ego. — Prescott wskazał na nią. — Wiem, że to zrobiła. Ona jest wstrętą...

— Wystarczy, Steve! Już wystarczy — ostrzegł wujek Charles. — Uważaj, co teraz mówisz. Wiem, że jesteś zdenerwowany. Wiem, że jesteś zmartwiony, ale mówisz teraz do członka mojej rodziny, Steve. Rozumiesz?

— Czyrozumiem! Już niczego nie rozumiem — jęknął Prescott, pocierając twarz. Podniósł wzrok. — Chodzi mi o to, że coś tu jest bardzo nie w porządku. Patrick Grady to niebezpieczny człowiek, Charlie.

— No, cóż — zaczął wujek Charles, gdy Fiona rzuciła Prescottowi piorunujące spojrzenie. — Patrick to dziwak, wszyscy to wiemy...

— Dziwak? — nalegał Prescott. — Dziwak to mało powiedziane, Charlie. Pomyśl lepiej o tym, pomyśl o tych kłopotach przez te wszystkie lata, o tych bójkach i prochach, o tych wszelkich dziwnych i niewyjaśnionych wypadkach. O małym Belleau!

— To był wypadek przy skoku do wody — odparł pośpiesznie wujek.

— No i jeszcze twoja własna szwagierka! — powiedział Prescott, spoglądając na Fionę.

— Nie odbiegajmy od tematu. Ważne jest, jak Todd...

— Od tematu? — przerwał mu pan Prescott. — Jak możesz tak mówić? Charlie, ile to już minęło, dwadzieścia dziewięć lat, trzydzieści, odkąd Natalie zniknęła i ostatni raz, gdy ktokolwiek...

— Poczekaj chwilę! Nie zapędzaj się, Steve — nalegał wujek Charles. — Przyjmijmy do wiadomości fakty. Natalie wyjechała. Z własnej woli, z własnej inicjatywy.

— I od tej pory nikt o niej nie słyszał — dodał Prescott, patrząc ze zdumieniem. — Albo może to też jest tylko dziwaczne?

— No nie, cóż, właściwie Fiona była z nią w kontakcie. — Wujek Charles popatrzył na nią. — Kiedy twoja matka do ciebie dzwoniła?

— Kilka miesięcy temu. Zeszłego lata — odparła, lecz Prescott był już w drodze do drzwi.

Nie musiałaś tego robić — powiedział Patrick. Siedział tak, by Fiona nie widziała jego poznaczonego bliznami policzka.

— No, widziałam przecież, co się dzieje — odparła.

— Nie potrzebuję, żebyś dla mnie kłamała.

— Wiem, jak działają Prescottowie. Im bardziej uda im się obwinić kogoś innego, tym łatwiej im przebaczyć Toddowi — odparła, uważając by nie wspomnieć o oskarżeniach, jakie rzucał Prescott.

Patrickowi nie postawiono żadnego zarzutu. Todd doznał niezbyt poważnego wstrząsu mózgu i ran pleców, lecz nie przypominał sobie, jak go zaatakowano. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, było to, że błagał Fionę, by pozwoliła mu spędzić noc w swoim mieszkaniu. Był tam Patrick Grady, lecz tylko tyle mógł sobie przypomnieć. Na ciele Patricka nie było żadnych śladów, niczego, co wskazywałoby na to, że to on zaatakował Todda.

— On mówił o tobie różne naprawdę wstrętne rzeczy — odezwał się po chwili Patrick, wykręcając sobie ręce.

— Taa, cóż, zważywszy, w jakim był stanie, nie jestem zaskoczona. — Wstała, by nalać mu następną filiżankę kawy.

— Kazałem mu przestać. Ciągłe mu to powtarzałem — mówił, patrząc na nią. — Uważał, że to zabawne.

— Cóż, w każdym razie, najważniejsze, że to się już skończyło — odparła, stawiając przed nim filiżankę. — Jednak przykro mi, że zostałeś w to wszystko wmieszany.

— To było chore, to, jak się ciągle śmiał... Nawet kiedy był ranny, nawet kiedy...

— Nie. Proszę, przestań. — Dotknęła jego nadgarstka. — Po prostu więcej o tym nie mówmy. — Nie potrafiła myśleć o tym, co się stało, nie tylko ze względu na ból, jaki zadano Toddowi, lecz także z powodu zabarwionej poczuciem winy przyjemności, jaką sprawiało jej to, że Patrick pragnął się nią opiekować.

— Okej. — Siedział bardzo cicho, a kiedy zabrała rękę, zaczerpnął głęboko powietrza. — Ale chciałbym tylko powiedzieć, jak bardzo się cieszę... — Przełknął z trudem ślinę. — Jak bardzo się cieszę, że się nawzajem poznajemy.

Niejadł od zeszłego wieczora, więc zrobiła mu kanapkę, którą pożarł łapczywie, oglądając telewizję. Zaczął się właśnie film dokumentalny o drugiej wojnie światowej. Przygotowała dla niego drugą kanapkę, którą jadł teraz równie szybko. Patrzył na czarno-białe obrazy na ekranie, na nie ogolonych żołnierzy posuwających się powoli na obmywany słońcem ganek wiejskiego domu. Jeden z nich pchnął drzwi swoim karabinem. Drzwi otworzyły się na oścież, a on odskoczył pod ścianę. Trzej żołnierze idący za nim znieruchomieli. W kilka sekund później rzucili się naprzód i zaczęli wybijać kolbami karabinów szyby w wielodzielnych oknach. Wkrótce białowłosa mężczyzna i bezzębna kobieta wysunęli się, powłócząc nogami, zza drzwi, trzymając ręce zaciśnięte nad głową.

— To takie żałosne — odezwała się, gdy na ekranie zamigotała następna scena. Amerykańskie czołgi toczyły się z łoskotem po wąskich, kamiennych uliczkach starego, włoskiego miasteczka.

Patrząc uważnie, Patrick odstawił pusty talerz. Na jego ustach powoli pojawiał się szeroki uśmiech.

— Czy tak było w Wietnamie? — wyrwało jej się i w tej samej zawstydziła się, że mu o tym przypomina.

Wziął pilota i wyłączył telewizor, a potem pochylił się i zdjął przykrywkę z pudełka czekoladek.

— Co jest? Nie smakują ci? — spytał.

— Smakują. Są pyszne!
— Zjadłaś tylko trzy. — Wyciągnął do niej pudełko.
— Chcę mieć je jak najdłużej.
— Nie musisz tego robić. Przyniosę ci więcej. — Wziął jedną i odwinął folię. — Proszę. Spróbuj tego. — Podał jej zgrabnie czekoladowy nugat, trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym i podnosząc go do jej ust z wyrazem lękliwego podniecenia.

Ciągle jeszcze przeżuwała, gdy zaczął dzwonić telefon.

— Wujek Charles! — rzuciła do słuchawki, usiłując przełknąć.

Powiedział, że chciał tylko sprawdzić, co u niej, upewnić się, że wszystko w porządku.

— U mnie okej. Wszystko w porządku — odpowiedziała, świadoma bliskości Patricka, który położył teraz rękę na oparciu kanapy.

— Mówiłem właśnie cioci Arlene, że będziemy musieli się spotkać, my wszyscy, któregoś dnia na kolacji — oznajmił wujek.

— Tak, byłoby miło.

Milczał przez chwilę.

— Druga sprawa, Fiono: chciałem ci powiedzieć, że Todd wyszedł ze szpitala. Jest w domu z rodzicami. To może trochę potrwać, ale wszystko powinno być w porządku.

— Och. To dobrze.

— Fiono, co się dzieje? Nie mówisz normalnie. Czuję jakieś napięcie. Czy ktoś tam jest? Fiono, to nie Patrick, prawda?

— Tak. Właśnie piliśmy kawę.

— I jedliśmy cukierka — odezwał się Patrick, ściskając przez chwilę jej ramię.

— Daj go do telefonu — nakazał wujek.

— Ale po co? — spytała, starając się, by zabrzmiało to miło.

— Chce ze mną rozmawiać? To ja z nim pogadam — powiedział Patrick, biorąc z jej ręki telefon, gdy głos wujka wciąż jeszcze rozbrzmiewał w słuchawce. — Cześć, sędzio. To ja, Patrick. Właśnie tędy przechodziłem, żeby upewnić się, że wszystko tu w porządku... — Popatrzył na nią. Słuchał, uśmiechając się. — Nie. Nie — powiedział. — Nie jest zdenerwowana. Nie. Czuje się świetnie. Czujesz się świetnie, prawda, Fiono? — Słuchał. Wybuchnął śmiechem. — Wiem. Wiem, ale to było, zanim się nawzajem poznaliśmy. Bo teraz jesteśmy przyjaciółmi. — Znów słuchał. Przygryzał wargę w rozradowaniu. — Jesteśmy przyjaciółmi! — powtórzył. — Zaczynamy być naprawdę dobrymi przyjaciółmi — dodał

z tak wysokim, piskliwym wybuchem śmiechu, że aż musiał oddać jej słuchawkę.

— Wujku Charlesie...

— Fiono, każ mu wyjść! Powiedz mu, że chcę, żeby natychmiast stąd wyszedł!

— Nie, nie sądzę, żebym miała to zrobić.

— Fiono, on jest...

— Do widzenia, wujku Charlesie. — Odłożyła słuchawkę.

Patrick nadal się śmiał.

— Nie wie, co ma zrobić, prawda? Nie może uwierzyć, że to się dzieje!

— On nic nie może zrobić — odpowiedziała cicho.

— Nie, ja wiem. Ja wiem. W tym rzecz. Nic, kompletnie nic nie może zrobić! — wykrztusił, opierając się na niej w niepowstrzymanym śmiechu. — Nic. Nic a nic, prawda?

Odkąd Todd został pobity, Sandy nie przychodziła do pracy. Maxine powiedziała, że Sandy spędza teraz cały czas u Prescottów, opiekując się Toddem razem z jego matką i pielęgniarką. Któregoś dnia Maxine widziała też panią Prescott, jak pchała dziewczynki Sandy przez park w kunsztownym, podwójnym, angielskim wózku spacerowym.

— Zrobiłabyś wszystkim wielką przysługę, gdybyś przyznała tylko, że Patrick to zrobił — oświadczyła Maxine.

— Ale to nieprawda — odparła Fiona, przypinając specjalność dnia do menu.

— Sandy powiedziała, że lekarze uważają, że ktoś go skopał. — Maxine zamilkła. Głos jej drżał, gdy znów zaczęła mówić: — Nie powiedziałam jej, ale mnie właśnie to zrobił. Bił mnie, aż upadłam, a potem zaczął mnie kopać. Zwinęłam się w kłębek, a potem zemdlałam. To samo zrobił z Toddem. Wiem, że tak.

— Mój Boże, Maxine — westchnęła Fiona. — Co za zdolność dedukcji! Teraz pomyślmy... zastanawiam się, ilu ludzi w tym mieście ma po dwie nogi. Hm, całkiem sporo, tak uważam. — Podniosła głowę, zszokowana, gdy Maxine chwyciła ją za nadgarstek i ścisnęła aż do bólu.

— Myślisz, że wszystko wiesz, prawda? Nikt nie może ci nic powiedzieć. Nikogo nie posłuchasz, tak?

— Słucham, kiedy ktoś wie, do cholery, o czym mówi — odparła, wyrwijając się.

— Współczuję ci. Ja też musiałam uczyć się wszystkiego na własnych błędach, ale ja przynajmniej słuchałam. Chciałam wiedzieć, jak postępować dobrze. Ty przez całe życie miałaś wszystko, czego chciałaś, ale tak naprawdę nic z tego nie potrzebujesz. Prawda?

Ciotka Arlene zaprosiła Fionę przez telefon, by wybrała się z nią i Elizabeth w sobotę do sklepu z sukniami ślubnymi w Concord. Potem miały zatrzymać się na lunch w gospodzie. Ginny i Susan były tam w zeszłym tygodniu i jedzenie było...

— Ale dlaczego to ty do mnie dzwonisz? — przerwała jej Fiona. — Czemu nie Elizabeth?

— No wiem — westchnęła ciotka Arlene. — Ona chciała, ale ostatnio nie miała ani chwili dla siebie. Biedny Rudy... Myślę, że przez tych parę tygodni rozmawiał więcej ze mną niż z własną narzeczoną, a teraz do tego wszystkiego podjęła się reżyserowania szkolnego widowiska na Święto Dziękczynienia. — Ciotka Arlene zaśmiała się. — A twój wujek i ja jesteśmy odpowiedzialni za stogi siana, ze wszystkich tych rzeczy, które są do zrobienia. Musimy przygotować trzy stogi.

— Więc powiedz jej, żeby zadzwoniła, jeśli chce, bym pojechała.

— Tak. Oczywiście, kochanie. I jestem pewna, że zadzwoni, jak tylko będzie miała okazję — odpowiedziała ciotka Arlene.

W godzinę później zadzwoniła Elizabeth. Fiona wyobraziła sobie, jak ciotka wręcza Elizabeth telefon, gdy ta tylko przestąpiła próg, a stalowy uśmiech ciotki Arlene wygładza wszystko, upycha wszystko i każdego na swoje miejsce.

— Przepraszam — odezwała się Elizabeth słabym głosem. — Przepraszam, że to powiedziałam. — Przerwała. — Naprawdę. Przepraszam. Naprawdę cię przeproszam, Fiono. Tak mi przykro. Powiedz mi, że nie jesteś na mnie wściekła, proszę.

— W porządku — odparła sztywno Fiona. Nigdy nie potrafiła sprawić bólu Elizabeth.

— Więc wybierzesz się z nami? — spytała. Elizabeth nigdy nie miała nic przeciwko temu, by pierwsza przeprosić. Nie mogła jednak znieść jakiegokolwiek wstrętnego i męczącego dociekania, kto został skrzywdzony i kto co powiedział. Żadne dalsze dyskusje nie będą miały miejsca.

— Cóż, czy ty i Rudy jesteście znów... — Fiona zawahała się. — Znów jesteście w kontakcie?

— Podoba mi się to — oświadczyła Elizabeth, trochę zbyt pogodnie.

— Tak, to odpowiednie określenie.

Tak — pomyślała Fiona. — Spodobało jej się to. Podchwyci to bezpieczne, bezkrwiste wyrażenie z jego nutką konwensu, rutyny i nieuchronności, i uczyni je własnym.

Potem zadzwonił wujek Charles, zapraszając ją na kolację w klubie w piątek z nim i ciotką Arlene, i Ginny, i Bobem Fayem. Kampania się zaczęła, a jej celem był powrót Fiony do owczarni, gdzie można ją było łatwiej obserwować i radzić sobie z nią. Mogła być destrukcyjna i kłopotliwa, lecz przynajmniej wujek mógł wkroczyć wcześniej, nim wmieszanych zostało zbyt wiele osób, nim opisano to w gazetach, nim obraziła czy zszokowała pół miasta.

— Powiedziała, że od wieków nie widziała swojej małej kuzyneczki — ciągnął wujek. Starał się zachowywać jowialnie, ale mu to nie wychodziło.

— To znaczy, od kolacji zaręczynowej — odparła, zdumiona jak zawsze jego umiejętnością bagatelizowania przykrych zdarzeń. W czasie ich ostatniej rozmowy krzyczał, żądając, by kazała Patrickowi Grady'emu opuścić swoje mieszkanie. A teraz, ledwie kilka dni później, nie padłoby ani jedno słowo na temat Patricka, chyba że ona sama pierwsza by o nim wspomniała.

— Kolacja zaręczynowa. Cóż, minęło już nawet więcej czasu, niż myślałem — powiedział z łamiącym się śmiechem.

— Zapowiada się to świetnie, ale nie mogę — oznajmiła.

— Proszę, Fiono. Myślę po prostu, że nadszedł czas, by nasza rodzina znów się połączyła. Chyba jesteś za tym?

— O czym ty mówisz? — spytała, jeżąc się.

— Życie jest zbyt krótkie. Jesteśmy rodziną i kiedy któreś z nas zadaje ból, wszyscy to odczuwamy, i żadne z nas nie czuje się najlepiej.

— Chodzi ci o mnie? — odcięła się. — Że to ja ranię?

— Ja... — Odkasznął. — To znaczy którekolwiek z nas, my wszyscy. My wszyscy znajdowaliśmy się w tej... sytuacji od czasu do czasu.

— Sytuacji? Jakiej sytuacji?

Zamilkł. Gdy znów przemówił, jego głos był opanowany i dziwnie głuchy, jakby w dłoni przyłożonej do warg trzymał ustnik.

— Wiesz, o co mi chodzi. Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

— Nie. Nie wiem. Nigdy nie wiem, co masz na myśli. Skąd miałabym wiedzieć? Nigdy nie wiedziałam i pewnie nigdy nie będę wiedzieć.

— Bo nie chcesz! Czasami myślę, że świetnie się bawisz, gdy jesteś taka trudna. Świetnie się bawisz, gdy widzisz, że czujemy się nieswojo — powiedział.

— Cóż, skoro tak, to myślę, że lepiej będzie, jeśli odłożę teraz słuchawkę — odparła.

— Och, posłuchaj Fiono! — ciągnął, odchrząkując w sposób, który sygnalizował zbliżanie się ciotki Arlene. — J e s t coś jeszcze. Chciałem, żebyś usłyszała to ode mnie. Okazuje się, że biorą pod uwagę moją kandydaturę na sędziego w Sądzie Powszechnym.

— Gratulacje — odpowiedziała sztywno. — Jestem z ciebie bardzo dumna, wujku Charlesie. Jestem dumna. Naprawdę — zapewniła, starając się bezskutecznie wznieść ponad to zobojętnienie, które czuła wewnątrz.

— Tak, cóż, dziękuję ci. Doceniam to, Fiono. Bardzo się starałem dobrze żyć i sprawić, by moja rodzina była ze mnie dumna.

A ty przeciwnie — mógł równie dobrze powiedzieć... Bo właśnie czuła się tak, jakby już padły te słowa.

Ciotka Arlene po raz kolejny zadzwoniła do drzwi. W trójkę czekały przed małym, zabytkowym, drewnianym domem przy Main Street w Concord.

— Może jeszcze nie otworzyli — odezwała się Elizabeth, drżąc w chłódzie wczesnego poranka.

— Pała się światła — odpowiedziała ciotka Arlene. — Są tam.

— Cóż, to dziwne — wtrąciła Fiona. — Trzeba dzwonić do drzwi, żeby wejść do sklepu.

— Serena's to nie jest typowy sklep — odparła ciotka Arlene. — Zawsze trzeba się umówić wcześniej.

— No tak, jasne. — Fiona mrugnęła do Elizabeth, która uśmiechnęła się słabiutko.

— Sprzedają tylko własne projekty. I wszystkie suknie są szyte tutaj, w ich zakładzie — mówiła do nich ciotka Arlene, już po raz trzeci. — Panny młode przyjeżdżają tu z całego kraju — dodała, obejmując na chwilę Elizabeth.

Już sama jazda ich do tego sklepu przebiegała w napięciu. Elizabeth wyglądała przez okno, a ciotka Arlene paplała nerwowo albo o weselu, albo o zasiadaniu w Sądzie Powszechnym, na co wujek Charles sądził, że nie ma szans, lecz pochlebiało mu, że choć wymieniono jego nazwisko.

— Może powinnaś jeszcze raz zadzwonić — podsunęła Fiona.

— Przyjda! — odparła ciotka Arlene. Nagłe drgnienie jej pogodnego uśmiechu było tak nieodwracalnie złowróbnym znakiem, jak cieniutkie jak włos pęknięcie w kryształ.

— Może to nie dzisiaj — odezwała się Elizabeth.

— Chciałabyś — odparła Fiona i roześmiała się.

Ciotka Arlene szybko znowu nacisnęła na dzwonek. Tym razem przytrzymała palec dłużej. I w końcu drzwi otworzył wysoki, mocno opalony mężczyzna w chabrowym kombinezonie.

— Dzień dobry, drogie panie. Jestem Desmond i chciałbym powitać panie w Serena's — oznajmił, zaganiając je do środka w chmurze słodkiej wody kolońskiej i pogrzebowego zapachu eukaliptusowego odświeżacza powietrza. Podążyły za nim przez łagodnie oświetlony hol. Fiona naśladowała go, kręcąc biodrami i gestykulując zamasyście za każdym razem, gdy się odezwał.

— Fiono! — rzuciła pod nosem ciotka. — To okrutne.

Nie była pewna, czy ciotką ją gani. W każdym razie poczuła się zakłopotana. Jakby znów była dzieckiem, które chciało sprowadzić uśmiech na smutną twarzyczkę swojej kuzynki, a któremu udało się tylko zdenerwować wszystkich wokół. Właśnie wtedy Elizabeth zaczęła kichać.

— Na zdrowie! Na zdrowie! Na zdrowie! — wołał przez ramię Desmond za każdym razem. Aż Fiona wybuchnęła śmiechem. W końcu nie wytrzymała. Ciotka Arlene wbiła spojrzenie w jej oczy, a Elizabeth wyglądała na jeszcze bardziej przygnębioną.

— Zapraszam do salonu od tyłu — powiedział jeszcze Desmond, prowadząc je do blad różowego pokoju, gdzie powitały je dwie elegancko ubrane kobiety.

Ze swoimi orientalnymi dywanikami i antykami Serena's wyglądał bardziej na wytworny dom niż na sklep z sukniami ślubnymi. Lampa na stole przypominała Fionie dwie podobne w sypialni ciotki Arlene.

— To Belleek — oznajmiła, chcąc sprawić przyjemność ciotce, która skinęła sztywno głową.

Usiadły zaraz obie w obitych perkalą krzesłach w stylu Marthy Washington, wyczekująco spoglądając na szeroką przestrzeń różowej mory zasłaniającej przymierzalnię. Młodsza, szczuplejsza kobieta stała w pogotowiu, by rozsunać draperie, gdy tylko Elizabeth zostanie związana, pozapinana na haftki, zatrzaski i guziki przez starszą sprzedawczynię, kobietę przy kości, która weszła z nią do przymierzalni. Desmond po chwili wrócił, niosąc srebrny dzbanek z kawą i tacę z miniaturowymi ciasteczkami.

— Uhm. Jakie pyszne — odezwała się Fiona, nagryzając delikatnie lukrowane ciasteczko z owocami.

— Tak. Nigdzie nie robią takich ciastek ze śliwkami jak w Henri's — odpowiedział, pochylając się nisko z tacą przed ciotką Arlene.

— Och, Henri's — wymamrotała ciotka Arlene, zerkając ostro na Fionę. Wzięła z rzeźbionej tacki maleńkiego rogalika i podziękowała Desmondowi. Cały czas się uśmiechając, patrzyła, jak drzwi cicho się za nim zamykają. Zgromiła Fionę wzrokiem. Szczupła kobieta weszła za zasłonę, by naradzić się z ekspedientką zajmującą się Elizabeth.

— Proszę, nie rób tego — wyszeptała ciotka Arlene z niezmiennym uśmiechem na twarzy.

— Czego? — spytała cicho Fiona. — Co takiego robię?

— Robisz sobie ze wszystkiego żarty.

— Nieprawda!

— Proszę — błagała ciotka Arlene.

— Usiłowałam być po prostu miła — wyszczała w odpowiedzi.

— To i tak jest wystarczająco trudne.

— Chodzi o Lizzie?

Ciotka skinęła głową.

— Nie masz pojęcia — powiedziała, a Fiona nie potrafiła odgadnąć, czyjej jasne, błękitne oczy przepełnione są gniewem czy łzami. Ciotka Arlene westchnęła ciężko, a jej kanciaste ciało zdawało się zapadać wśród połyskliwych, jasnioletowych, ogromnych róż.

— Dlaczego? Co się dzieje? — spytała Fiona, zaskoczona widokiem zgnębionej ciotki, tej statecznej kobiety, która zawsze miała wszystko pod kontrolą, która nigdy nie okazywała gniewu i nie płakała w obecności obcych czy nawet znajomych. Ciotka miała silne przekonanie, że obciążanie innych własnym bólem i kłopotami było samolubne i niegrzeczne. *Jesteśmy tu po to, by uczynić ten świat lepszym miejscem.* Fiona wychowywana była zgodnie z tą maksymą, chociaż uważała ją zawsze w większym stopniu za spuściznę jej kuzynów niż własną.

— Wszystko jest nie tak. — Ciotka westchnęła i wyprostowała się na krześle, z rozszerzonymi oczyma i sztywnym uśmiechem, gdy szczupła kobieta wynurzyła się z przymierzalni i pociągnęła za sznur.

Zasłony rozsunały się, ukazując Elizabeth, bladą i mizernie uśmiechniętą w jeszcze jednej sukni. Wyszywana perłami góra o przedłużonym stanie wyglądała jak przybita do jej chudego ciała, tak że Elizabeth zdawała się jeszcze bardziej delikatna i krucha.

— Piękna — odezwały się chórem Fiona i ciotka.

— Naprawdę? — spytała Elizabeth. Jej spojrzenie było dziwnie rozbiegane, jakby je słyszała, lecz nie była w stanie zobaczyć.

— Och tak! — zapewniły ją.

— To przepiękny wzór. Doskonały przy takiej drobnej budowie — powiedziała kobieta, przechadzając się wokół Elizabeth i zatrzymując się teraz, by wskazać kilka szczegółów kłęzącej ekspedientce, która usiłowała wygładzić zmarszczkę na koronkowym brzegu sukni. Kucnęła teraz i popatrzyła w górę. — Widzisz? Za wysoko! Za wysoko! — besztła ekspedientkę. Wskazała na tył sukni, a ekspedientka zakołysała się, usiłując wstać. — Stanik — wyjaśniła kobieta. — Jest nieodpowiedni. Potrzebny jest gorsecik.

Elizabeth zadrzała, gdy ekspedientka zaczęła wpychać jej stanik pod suknię. Jej ramiona i pierś pokryły się gęsią skórką.

Ciotka Arlene pochyliła się w napięciu na krześle.

— Co myślisz, kochanie? — Przygryzła wargę.

— Nie wiem — odparła Elizabeth, gdy kobieta przyciągała spod ściany złocone, trzyczęściowe lustro na kółkach. Elizabeth obróciła się, spojrzała w lustro i odwróciła głowę. — Myślę, że mi się podoba. Jest tylko trochę ciężka.

— Wszystkie się z początku takie wydają — odezwała się kobieta.

— To nowe uczucie — orzekła ciotka Arlene. Zaciskała swoje duże dłonie, aż zbieleły jej kostki. — Przeważnie nosisz takie luźne rzeczy.

— Musi się pani po prostu przyzwyczaić — przytaknęła kobieta.

— Taa, po prostu ponoś ją po domu przez kilka dni — dodała Fiona, ale nikt się nie roześmiał, ani nawet nie uśmiechnął.

Elizabeth nadal wpatrywała się w lustro, nie w suknię, lecz we własną twarz. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

— Więc co o niej sądzisz? — spytała cicho ciotka Arlene, tak łagodnie, jakby bała się ją spłoszyć.

Elizabeth zerknęła na nią w lustro.

— Nie wiem.

— Wszystkie wyglądały na tobie pięknie, ale ta jest po prostu przecudna — oznajmiła ciotka Arlene. Jej szept potęgował ciszę panującą w oświetlonym delikatnie pokoju.

Elizabeth założyła ręce na piersiach, obejmując się tak mocno, że jej kościste ramiona i pierś zdawały się wystawać z naszywanej koralikami sukni, jakby Elizabeth była z niej wyciskana.

— Ta podoba mi się najbardziej — powtórzyła ciotka Arlene.

— Widzę dlaczego — odezwała się przez ramię kobieta. Podniosła dłonie, jakby ujmując w kadr scenę. — To fascynująca elegancja. Wyrafinowana, a jednak eteryczna.

— Jak Grace Kelly — orzekła sprzedawczyni, usiłując wzbudzić taki sam entuzjazm w Elizabeth.

Trzeba będzie podwinąć brzeg. I zebrać w pasie. I jeśli chce, można naszyć na obrąbku małe perełki. Kobieta mówiła to wszystko do ciotki Arlene, bo Elizabeth stała się manekinem w tej nagle pełnej krzątaniny, a mimo to niezgrabnej scenie. Spoglądając nieufnie na Elizabeth, która stała zupełnie nieruchomo, wyczekująco, ciotka Arlene spytała, czy przez to suknia nie stanie się jeszcze cięższa. Ekspedientka zapewniła ją, że ani trochę. Byłoby ledwie kilka perełek, tylko odrobina, dla efektu, by poprowadzić spojrzenie z góry na dół. I może kilka na welonie, by dopełnić wrażenia. By stworzyć iluzję.

Iluzję, że Elizabeth jest szczęśliwą panną młodą — pomyślała zaraz Fiona.

— No, co myślisz, kochanie? — spytała ciotka Arlene.

— Nie wiem — odparła powoli Elizabeth, mrugając oczami, jakby powracała z innego stanu świadomości.

— Czy ta podoba ci się najbardziej?

— Nie jestem pewna. A ile kosztuje? — Pomacała pod pachą, lecz nie było metki.

— Zapomnij o tym teraz i pomyśl po prostu, która najbardziej ci się podoba — odpowiedziała ciotka Arlene cichym, kojącym tonem.

Fiona była zdumiona. Takie słowa z ust kobiety, dla której rozrzutność była nie tylko skazą charakteru, lecz niemal niewybaczalnym przejawem wulgarności.

— Nie wiem. Nie jestem pewna. Nie potrafię powiedzieć — rzekła Elizabeth z pełnym drżenia pośpiechem.

Matka poderwała się z krzesła i szybko do niej podeszła. Fiona też zerwała się na równe nogi.

— Wiem! — zawołała. — Może ja bym ją przymierzyła. Ty sobie posiedzisz i odpoczniesz, a ja przejdę za ciebie przez te wszystkie korowody.

Wzięła Elizabeth za jej wilgotne dłonie i próbowała je przytrzymać, ale wyśliznęły się jak małe, zimne rybki.

I tak Fiona znalazła się w przymierzami. Teraz ją zapinano na guziki i zatrzaski, ściskano mocno i wpychano w tę samą wyszywaną perłami suknię. Bardzo podobała jej się skupiona na niej uwaga. Zaprezentowała się najpierw w czterech innych sukniach, wzbudzając pełne zachwyty okrzyki dwóch kobiet i rosnący entuzjazm ciotki Arlene. Jednak wymuszony uśmiech Elizabeth zbladł. Przy ostatnim wyjściu z za zasłony Eliza-

beth zaproponowała, by na rym skończyły. Bolała ją głowa. Chciała iść do domu i spokojnie pomyśleć.

— O czym pomyśleć? — zapytała wtedy ciotka Arlene tak ostro, że wszystkie na nią spojrzały.

— O sukniach — odpowiedziała Elizabeth zbolalym głosem.

— No, to tylko jeszcze jedna — namawiała ciotka Arlene. — Ta, którą miałaś na sobie jako ostatnią...

Ekspedienta jęknęła na koniec, podnosząc się z klęczek.

— Okej, gotowa — zawołała przez zasłonę. Kiedy ją odsunięto, wskazała gestem, z lekkim ukłonem, wchodzącą Fionę.

Fiona stapała powoli, stawiając stopę za stopą, ze złożonymi dłońmi, jakby szła już wzdłuż nawy.

— Ach — wyrwało się kobiecie.

— Cóż za widok — odezwał się Desmond, nieruchomiejąc, gdy zbierał ich puste filiżanki.

— Jak Audrey Hepburn — dodała ekspedientka. — Ta długa szyja i wielkie oczy.

— Ta jest piękna — powiedziała ciotka Arlene. — Prawda, że piękna? — spytała Elizabeth. I wtedy, jakby zdając sobie sprawę z niedopatrzenia, dodała, że Fiona oczywiście też wygląda pielenie. Absolutnie pięknie. Zawsze to robiła, pośpiesznie dokładając starań, by włączyć Fionę, która nawet nie zdawała sobie sprawy, że została wykluczona czy że nie zwracano na nią uwagi.

Elizabeth popatrzyła na nią. Broda jej drżała. Fiona nie potrafiła odgadnąć, czy chce się uśmiechnąć, czy przemówić.

— No, Lizzie, co o tym myślisz? — Obróciła się powoli z wyciągniętymi rękami i odwróconymi do góry dłońmi.

— Nie wiem — wykrztusiła Elizabeth, starając się usilnie złapać oddech, wzdychając, otwierając szeroko oczy, a potem zaciskając je mocno. Każde słowo wymawiała tak wolno, z tak pełnej bólu głębi, że nikt w pokoju nie potrafił na nią spojrzeć. — Ja... ja po prostu nie wiem, co mam zrobić — odparła. Łzy popłynęły po jej zapadniętych policzkach.

— Więc niech Rudy przyjdzie tu z tobą, kochanie — powiedziała Fiona, schylając się, by objąć kuzynkę, lecz suknia spiętrzyła się pomiędzy nimi tak, że mogły się do siebie przytulić tylko głowami. — Pomoże ci zdecydować.

— Nie — jęknęła cicho Elizabeth ze zwieszoną głową. — Och nie.

— Nie może — dodała ciotka Arlene z irytacją w głosie. — To przynosi pecha, jeśli pan młody zobaczy suknię przed ślubem.

— Nie, moja droga, nie chciałybyś tego. — Kobieta cmoknęła i potrząsnęła głową.

— To możemy tu wrócić — wyszeptała Fiona do ucha kuzynce. — Jeśli chcesz. Tylko my dwie. Albo możemy pójść gdzie indziej. A może wy dwoje moglibyście po prostu wyjechać, Lizzie! Uciec razem. Wiesz, ja znam dobrego sędziego pokoju w Rocky Point, w Maine... — Uniosła podbródek Elizabeth. — Zawiozę was nawet, jeżeli chcecie.

Elizabeth próbowała się uśmiechnąć i nagle zakryła twarz dłońmi w histerycznym, pełnym łez śmiechu, od którego Fionę aż przeszedł dreszcz, póki nie spojrzała w dół.

— Twoje cycki — wyszeptała Elizabeth, przyciskając dłonie do twarzy. — Wyszły ci!

— Jezu Chryste, wracać mi z powrotem, ale już! — wymamrotała Fiona, starając się wepchnąć swoje ciężkie piersi z powrotem do sztywnych, pustych miseczek.

— O Boże, Boże, Boże, już mnie tu nie ma! — krzyczał Desmond, umykając za drzewi.

Elizabeth nadal się śmiała. Ciotka Arlene szukała w torebce chusteczki. Teraz to ona płakała.

Rozdział 11

Fiona wychodziła właśnie z łazienki, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Pomyślała, że to Patrick, zawiązując po drodze płaszcz kąpielowy. Nie odzywał się od wielu dni. Pewnie przyczynił się do tego wujek Charles. Gdy otworzyła drzwi, jej pełen zapału uśmiech przygasł.

— Spałeś — odezwał się Rudy, krzywiąc twarz. — Przepraszam. — Zaczął się cofać. — Wracaj do łóżka — zakończył głośnym szeptem. — Zadzwonię do ciebie później.

— Dlaczego? Co się stało? O co chodzi? — spytała zaniepokojona. Był nieogolony. Miał czerwone oczy, jakby nie spał przez całą noc.

— Nic się nie stało. Naprawdę. Nic — odpowiedział, a ten jego sceniczny szept irytował ją jeszcze bardziej.

Upierała się, by powiedziała, czego od niej chce. Najwyraźniej przyszedł tu z jakiegoś powodu.

Tłumaczył się, że zapomniał, że to niedziela. Ostatnio, przy swoim zwariowanym rozkładzie pracy, jego dni po prostu zlewały się ze sobą.

— No i wiedziałem, że ty i Elizabeth oglądałyście wczoraj jakieś suknie ślubne. Więc po prostu, no, wiesz, ciekaw byłem, jak wam poszło. — Pełnym zakłopotania gestem potarł kark, a potem wzruszył ramionami i podniósł dłonie. — Co ty o tym myślisz — zakończył, z trudem przełykając ślinę.

— Chodzi ci o suknię? — spytała, a potem, uświadamiając sobie, że ma na myśli Elizabeth, zaprosiła go do środka.

Z rękoma założonymi na piersi skulił się nad stołem w kuchni i mówił do niej, podczas gdy ona przygotowywała kawę. Cienka marynarka opinała się ciasno na jego ramionach, a rękawy podjechały w górę na jego długich rękach. Mankiety wełnianych spodni miał wystrzępione. Jego mokasyны były przetarte, a rozdarty szew na wierzchu jednego z nich odsłaniał mały palec. Wciąż potrząsał głową, by odgarnąć włosy z czoła.

Ciekawa była, jak Elizabeth znosiła jego niechlujstwo, podczas gdy sama zawsze była taka schludna.

On i Elizabeth wybrali się wczoraj na kolację. Nie mógł się doczekać opowieści o ich „najeździe na sklepy.” Ale jak tylko usiedli, zatrzymał się przy ich stoliku stary przyjaciel Elizabeth. Zaprosili go, by wypić z nimi drinka. Ten przyjaciel niczego dla siebie nie zamówił, w końcu jednak przesiedział z nimi całą kolację.

— Powiedziałybym, że to trochę dziwaczne. Nawet więcej, niegrzeczne. — Nalała kawę i usiadła. — Kto to był?

— George. George Grimshaw. — Obserwował uważnie, oceniając jej reakcję.

— Z kim był?

— Z nikim.

— Sam? George? W Orchard House? Sam?!

Rudy skinął głową. — Coś tam tłumaczył, ale potem w środku tego gadania nagle bardzo się zdenerwował. Nie wiem. To wszystko wydawało się dość mętne.

— No i pewnie musiało przeszkadzać Elizabeth, że tak się wprosił w czasie waszego wspólnego wieczoru — powiedziała, przyglądając mu się uważnie.

— Może i jej przeszkadzało.

— Szkoda. Cieszyła się przecież na tę kolację z tobą.

— Powiedziała ci to? — Zaczął się uśmiechać.

— Była ostatnio taka zajęta. Wiem, że niepokoi ją myśl, że ty jesteś taki osamotniony... — Tak naprawdę to tylko ciotka Arlene wspomniała wczoraj o Rudym.

— Poważnie? — odparł z wyraźną drwiną. — Wziąłem nawet kilka nocnych dyżurów. Myślałem, że w ten sposób uda mi się ją zobaczyć w dzień o jakiejś normalnej porze. Ale nic z tego nie wychodzi.

— Po prostu za bardzo się zaangażowała. Lizzie to taka perfekcjonistka! We wszystkim!

— Oprócz mnie. — Podniósł na nią wzrok ze smutnym uśmiechem. — Polepszyło się trochę po waszej rozmowie, ale teraz wydaje mi się, że znów idzie ku gorszemu. — Zaczerpnął głęboko powietrza, wciąż pocierając kark. — Naprawdę nie chcę ci sprawiać kłopotu — odezwał się cichym, ochrypłym głosem. — Nie potrafię ci powiedzieć, jak głupio się czuję.

— Rudy! O czym ty mówisz? — Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. — Żenisz się! Lizzie mierzyła wczoraj suknie ślubne! To ta presja,

i tyle. Tłumaczyłam ci już wcześniej, że takie sprawy wytrącają ją z równowagi. W jej świecie wszyscy muszą być szczęśliwi i wszystko musi być idealne. A jeżeli tak nie jest, cóż, staje się wrakiem człowieka. Zawsze czuje się taka odpowiedzialna za wszystko.

— Ciekaw jestem dlaczego — powiedział, marszcząc brew i spoglądając w bok.

— Zawsze taka była. Nawet wtedy, gdy byłyśmy dziećmi. Nie wiem, ale wydaje mi się, że im gorzej ja się zachowywałam, tym lepsza ona starała się być. A kiedy dorosłyśmy, ona chyba próbowała nadrobić to, co ja źle zrobiłam, czy coś w tym rodzaju. — Roześmiała się, lecz on wciąż patrzył w bok. By zwrócić na siebie jego uwagę, trąciła go w rękę. — Pamiętasz, co ci opowiadałam o ślubie Ginny? Może ona powinna znów zacząć brać xanax czy coś w tym rodzaju...

Zdawało się, że ta nazwa leku wywołała u niego jakąś reakcję. Złożył ręce na brzegu stołu.

— To, co stało się wczoraj, to nie był przypadek. To nie było tak, że George Grimshaw pojawił się tam przypadkowo.

— Co masz na myśli? — spytała. Czuła mrowienie na skórze głowy i była bliższa niż kiedykolwiek oblania się rumieńcem. Czy George jej szukał? Czy myślał, że może przyłączy się do Elizabeth i Rudy'ego?

— Był tam z jakiegoś powodu. Jakby miał jakąś gotową mowę, którą postanowił wygłosić, lecz potem on i Elizabeth nawet na siebie nie spojrzeli. Wyglądali obydwójce na takich zakłopotanych, więc zacząłem gadać za dwóch. Potem znienacka on powiedział coś dziwnego. Coś o „trwającej sile”. Ciągłe na niego patrzyłem. Nie wiedziałem, o czym mówi, a potem wtrąciła się Elizabeth. Powiedziała, że idzie do nas kelner i powinniśmy spojrzeć w nasze menu, których nawet jeszcze nie mieliśmy. To wszystko było takie dziwne. Przesiedział z nami prawie do końca kolacji. Gdy tylko rozmowa nawet na chwilę przygasła, odchrząkiwał, jakby w końcu zamierzał coś z siebie wydusić. Ale wtedy Elizabeth zaczynała mówić, nim on zdążył powiedzieć choć słowo. Nigdy nie słyszałem, by tak dużo mówiła! Pod koniec kolacji on już tylko się na nią gapił. Właściwie obydwaj to robiliśmy...

Kiedy Rudy w drodze do swojego mieszkania próbował porozmawiać o tym zdarzeniu, Elizabeth zdenerwowała się i oskarżyła go, że ciągle ją o coś podejrzewa. Powiedział Fionie, że roześmiał się na te słowa i oświadczył, że mogłaby, co byłoby w pełni uzasadnione, oskarżyć go o to, że czuje się zakłopotany i samotny, i może nawet czasami zaborczy, ale nigdy podejrzliwy — w każdym razie aż do tego wieczora. Gdy dotar-

li do jego mieszkania, objął ją, a ona zaczęła płakać. Próbował ją pocieszyć, lecz to jeszcze bardziej ją zdenerwowało. W końcu powiedziała mu, że bardzo jej przykro, ale musi wracać do domu. Wypiła za dużo wina i nie myślała rozsądnie.

— Więc zawiozłem ją do domu, a sam po paru godzinach snu poszedłem do pracy. No i teraz jestem tutaj — dokończył z ponurym uśmiechem.

— Musisz się czuć wyczerpany — powiedziała.

— Nie wiem już sam, jak się czuję. — Patrzył za nią, jak w swoich poplamionych kapciach przechodzi cicho przez kuchnię, by przynieść dla nich obojga dolewkę kawy.

Fiona przypomniała sobie pewien letni wieczór po ukończeniu przez Elizabeth pierwszego roku w Smith College. George przyszedł do ich domu, by powiedzieć wujkowi Charlesowi to, czego ona wyznać nie potrafiła: że bardzo się kochają i nie mogą znieść rozłąki. Chcieli się pobrać. Wszystko sobie obmyślili. Elizabeth przeniesie się na Boston University. George i jego ojciec radzili sobie wystarczająco dobrze, by zarobić na utrzymanie ich obojga i zapłacić za jej naukę. Wujek Charles oświadczył jednak, że absolutnie się nie zgadza. Gdy wysłał George'a do domu, powiedział Elizabeth, że pewnego dnia podziękuje mu za uratowanie przed życiem w nudzie i przeciętności. Co też miał na myśli? Fiona spytała o to, gdy Elizabeth, szlochając, wczołgała się na swoje łóżko.

— Ma na myśli George'a! — ryknęła wtedy Elizabeth.

Teraz Fiona potrząsnęła głową, nalewając kawę do kubków. Rozsiała się wygodnie. Czy wczoraj wieczorem George poszedł do Orchard House, by znów przemówić w imieniu Elizabeth? By powiedzieć Rudy'emu to, do czego ona nie potrafiła się zmusić?

— Chcesz tosta? — spytała.

— Byłoby świetnie. Ale tylko, jeżeli dla siebie też będziesz robić. Nie chcę sprawiać ci kłopotu.

— Kłopotu? W jaki to niby sposób tost mógłby sprawić mi kłopot? — wypaliła i spróbowała zamaskować irytację szybkim uśmiechem. Już wcześniej zauważyła, jak wdzięczny, jak bardzo zadowolony zdawał się zawsze w obliczu nawet najzwyczajszego przejawu troski, najmniejszej grzeczności. Wyolbrzymiając przez swą nadmierną wdzięczność ten gest, zdawał się tylko pomniejszać jego wartość. Przez to Fiona czuła się pusta i fałszywa, jakby nie robiła wystarczająco dużo, bo jemu trzeba było więcej, o wiele więcej niż tylko ten tost.

— Nie wiem. — Roześmiał się. — Myślę, że nagle wszystko zaczyna robić się coraz bardziej skomplikowane.

— Więc nie analizuj każdego drobiazgu. Zrelaksuj się! Pozwól, żeby to się działo. Po co ten cały pośpiech? Przecież Lizzie nie zamierza wyjechać z miasta ani nic w tym rodzaju.

— Nie, tego już spróbowała — odparł ze smutnym śmiechem.

Kiedy kręciła się po kuchni, wyjmując chleb i masło z lodówki, a potem półmiski z kredensu, świadoma była jego przenikliwej czujności, jakby każdy drobiazg domowej krzątaniny miał jakieś ukryte, przerażające znaczenie. Jakby otwarcie słoika z dżemem zasługiwało teraz na o wiele większą niż zazwyczaj uwagę.

— To strasznie miło z twojej strony, Fiono — odezwał się, gdy opuściła nożem brzeg pokrywki, aż w końcu udało jej się ją odkręcić. — No, że pozwoliłaś mi wpakować się tutaj w niedzielę rano z moimi wszystkimi... wszystkimi... No, w każdym razie, to tak dobrze móc po prostu porozmawiać. I przynajmniej dowiedziałem się, jak bardzo mi brakuje umiejętności bycia w związku. Myślałem, że to będzie dużo, dużo łatwiejsze. Wiesz, logiczny porządek — krok A, potem krok B, potem — C: kończysz medycynę, pracujesz ciężko, spotykasz odpowiednią dziewczynę, pobieracie się. Opuściłem jakiś krok. Musiałem. Ale, za cholere, nie wiem, który...!

— Może po prostu za bardzo się starałeś.

— Taa, intensywna opieka — powiedział, śmiejąc się słabo. — Może dlatego.

Pomyślała o nim, jak radził sobie sam jako mały chłopiec, mając chorą matkę. Jak Elizabeth, wiedząc o tym, mogła robić mu coś takiego? To zupełnie do niej nie pasowało. Nigdy nie była taka zimna i samolubna. Odwróciła się i zobaczyła go rozpartego na krześle, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— Nie bądź taki posepny.

— Chodzi o to... — Zaczerpnął głęboko powietrza. — Zanim spotkałem Elizabeth, nie byłem z nikim na serio związany. Myślę, że nie za bardzo jej to ułatwiałem. Ona chyba pragnie się wycofać, ale nie chce mnie zranić. Ciagle myślę, że może to ja powinienem zerwać. — Umilkł, jakby oczekiwał, że się z nim nie zgodzi. — A co, jeśli nie mam racji? Nie wiem. Jak myślisz, co powinienem zrobić?

— Teraz? To samo, co ona teraz pewnie robi: wypić kawę, zjeść tosta i posłuchać muzyki — odparła, włączając radio.

— Masz rację. Ty masz całkowitą rację — zawołał przez muzykę, uśmiechając się szeroko z taką przyjemnością, że aż musiała odwrócić wzrok. Nawet jego szczerłość była gwałtowna i obezwładniająca, jak potężna fala, w której Elizabeth zawsze tylko miotałaby się i z trudem łapała powietrze.

Małeńką kuchnię wypełniły pogodne dźwięki fortepianu. Rudy kiwał głową i stukał nogą do rytmu.

— To świetne. Uwielbiam ragtime — odezwał się, pstrykając palcami.

— Wiedziałam, tylko skąd? — wymamrotała, wstając od stołu.

— Co mówisz?

— Przyniosę gazetę. Idę zobaczyć, czy jeszcze tam jest.

Uchyliła odrobinę drzwi i wyrzała na korytarz. *Boston Globe* leżał przed drzwiami mieszkania pan Clincha. Zrobiła to już kilka razy: zdążyła przeczytać jego gazetę i odłożyć ją na miejsce, nim sąsiad się obudził. Wyśliznęła się do holu, zamykając szybko drzwi, by nie dotarła tam hałaśliwa muzyka, a potem na palcach przemknęła przez korytarz. Gdy schyliła się po gazetę, zamajaczył nad nią jakiś cień.

— Fiona! — Na jej ramieniu zacisnęła się czyjaś dłoń i pociągnęła ją w górę.

— Patrick! — wykrztusiła, gdy zbliżył do niej wyraźnie wykrzywioną złością twarz.

— Muszę z tobą porozmawiać!

— W porządku. Chodź. — Próbowała się odwrócić, lecz pociągnął ją z powrotem.

— On tam jest!

— To przecież Rudy, narzeczony...

— Byłem tu! Czekałem! — oświadczył, uderzając się w pierś przy każdym zdaniu.

— Cóż, nie wiedziałam. Dlaczego nie zapukałeś?

— Czekałem, żeby sobie poszedł!

— Pójdzie — wyszeptła uspokajająco. — No, wejdź.

— Powiedz mu, żeby zaraz poszedł! — zażądał przez zaciśnięte zęby. — Powiedz mu, żeby wyniósł się stąd, do cholery!

— Nie mogę tego tak zrobić. Ale on zostanie jeszcze najwyżej parę minut.

— Parę minut! Jest tu już od pół godziny! Co się dzieje? Co wy tam robicie? — domagał się wyjaśnień.

— Rozmawiamy. — Wpatrywała się w jego zniekształcone usta, czerwone i tak mokre, że cieniutka nitka śliny połykiwała na jego brodzie. — Rozmawiamy o mojej kuzynce, Elizabeth.

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi jej mieszkania, a Patrick puścił jej ramię.

— Myślałem, że może drzwi się zatrzasnęły — odezwał się Rudy, mrugając i przechylając głowę na bok, by przyjrzeć się Fionie. — Wszystko w porządku?

— Będzie, kiedy sobie stąd pójdziesz, koleś — odparł Patrick, zanim nawet zdążyła skinąć głową. Minał ją i stanął przed Rudym. — Co ty tu, do diabła, robisz? Czego chcesz? Taa! Nie odpowiadaj! Lepiej tego nie rób, bo ja wiem, czego ty chcesz. Wiem! — oświadczył, wskazując na Rudy'ego. — Ciągłe przejeżdżasz obok, ciągle spoglądasz w okno. Ile razy dziś rano tędy przejechałeś, cha, ty wstrętny sukini...

— Patrick!

Cała jego twarz wyglądała jak kawał surowego mięsa, a rana była tak wstrętna i przerażająca, że Fiona ledwo mogła wypowiedzieć jego imię.

— Patrick... Patrick... Patrick.

— Słuchaj — odpowiedział spokojnie Rudy. — Nie jestem pewien, o co tu chodzi, ale nie sądzę, żeby trzeba było...

— Zamknij się! — ryknął Patrick, dźgając Rudy'ego palcem w pierś. — Po prostu zamknij się, do cholery!

Po drugiej stronie holu pan Clinch otworzył nagle drzwi na tyle, na ile pozwalał mu łańcuch.

— Ludzie, czy wy zdajecie sobie sprawę, że jest niedziela rano i niektórzy z nas próbują spać? — odezwał się, patrząc tylko na Fionę.

— Wiem. Przepraszam, panie Clinch — powiedziała do delikatnego, małego człowieczka, który wyglądał bardziej tak, jakby odczuwał w tym momencie mdłości niż złość.

— To moja gazeta, prawda? Masz moją gazetę! I wzięłaś ją w zeszłym tygodniu, nieprawdaż? Wiedziałem. Tak pomyślałem, bo była zupełnie źle poskładana.

— Proszę! — oświadczyła, wpychając mu ją do rąk. — Tylko ją podniosłam, to wszystko. Może pan już zamknąć drzwi. Wszystko w porządku. Nie będzie zaraz tych hałasów.

— Zamknę je, kiedy ten cholerny hol będzie pusty. Dopiero wtedy, do jasnej cholery, je zamknę! — upierał się Ned Clinch, chroniony przez zamknięte na łańcuch drzwi.

— Nie! Zamkniesz je teraz — krzyknął Patrick, rzucając się do przodu, a drzwi natychmiast się zatrzasnęły. — Ty mały pedziu! — Walił pięściami w drzwi. — Ty cholerna, mała mendo...

— Fiono! — Rudy położył jej dłoń na ramieniu. — Co ja mam zrobić? — spytał cichym głosem, zbliżając twarz do jej twarzy.

— Ona chce, żebyś stąd poszedł, koleś! — ryknął na niego Patrick, odpychając jego wyciągniętą rękę. — Ona chce, żebyś się, do cholery, stąd wyniósł!

Rudy popatrzył na nią. Zwykle tak ożywiony, w tej chwili okazywał tak nieugięty spokój, że mógłby być ceglany murem, który Patrick starał się poruszyć z miejsca.

— No idź! Jazda...

— Nie! — odezwała się. — Ty stąd idź, Patricku. To ty musisz stąd iść. Chcę, żebyś natychmiast sobie poszedł!

Cofnął się chwiejnie o krok, wyglądając na zmieszanego, jakby nie wierzył w to, co usłyszał.

— Naprawdę! Musisz! Proszę! Po prostu idź! Idź stąd! — wyszczała, machając dłonią, jakby próbowała go wypłoszyć.

— Ja zadzwonię do ciebie! — oświadczył. Jego słowa zabrzmiały jak groźba. — Zadzwonię. Nie obchodzi mnie, co on, do diabła, gada. Słyszysz? — Wskazał na nią. — Ja zadzwonię!

Skinęła głową. — Tak. Zadzwon. Zadzwon do mnie.

— Już wszystko w porządku? — spytał potem Rudy, gdy weszli z powrotem do mieszkania.

Skinęła głową, wybierając numer. Pan Clinch odpowiedział po pierwszym dzwonku. Przeprosiła go.

— Przeprosiny nie przyjęte — odparł, dodając, że to miejsce było przyjemne i ciche, dopóki ona się tu nie wprowadziła.

— Przepraszam — powtórzyła, modląc się, by nie złożył skargi u właściciela. — Tak mi przykro. To się nie powtórzy, proszę mi wierzyć. Obiecuję, panie Clinch. Daję panu słowo.

— Lepiej niech tak będzie, bo mówię ci, że jeżeli jeszcze raz zobaczę, że ten straszny człowiek czai się tutaj, wezwę policję.

— To było nieporozumienie. On się nie czaił.

— Oczywiście, że się czaił! I wczoraj też tu był! Widziałem go! Przyłożył ucho do twoich drzwi. Widziałem, że nie ma cię w domu, więc powiedziałem sobie: „W porządku, dam sukinsynowi jeszcze dwie minuty i wzywam policję”, ale wtedy sobie poszedł...

Zapewniła pana Clincha, że Patrick już nie wróci.

— O Boże — jęknęła, odkładając słuchawkę. Dlaczego Patrick to robił?

Rudy usiadł obok niej. — Fiono?

— Miłe mam życie, nie? — odezwała się, podnosząc wzrok. — Pomyślmy: najpierw kajdanki, potem kobiety, które na mnie wrzeszczały w Dunkin'Donuts. A teraz to! Jezus, myślisz na pewno, jaki to ze mnie doskonały twór...

— Oczywiście, że nie. Czasami tak się po prostu układa. Każdemu.

— Taa, no jasne.

— To prawda. I pamiętaj: „kiedy kogo nawiedzają smutki, to nigdy luzem, a zawsze gromadnie.”*

— Skąd to?

— To „Hamlet.”

— Och. No tak. Hamlet. To ten szalony, prawda?

— Powiedziałbym raczej „udręczony”.

— Taki właśnie jest Patrick. Boże! — westchnęła, potrząsając głową, by uwolnić się od tego koszmaru.

— To ten sam facet, który tutaj był, kiedy przyniosłem ci tenisówki, prawda?

Skinęła głową.

— Chciał zrobić ci krzywdę?

— Nie. Nie, nie zrobiłby tego.

— Źle z nim, to oczywiste, Fiono. On był pijany. Pijany wściekłością!

— Nie, to raczej ból i zawiedzione nadzieje. Przez całe swoje życie niczego właściwie nie miał.

— To może być wyjaśnienie. Ale nie usprawiedliwienie. Nie dla tego, co właśnie zobaczyłem.

— Ty nie rozumiesz.

— Fiono — powiedział, kładąc dłoń na jej dłoni. — A co, jeżeli ty stajesz się celem, kiedy znów straci panowanie nad sobą?

— Nie stanę się celem — odparła, wrywając mu się.

— Skąd wiesz?

— Bo to mój ojciec — oznajmiła, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu.

W poniedziałek przez kawiarnię przewalały się tłumy od śniadania do samego zamknięcia. Fiona była wdzięczna. Nie chciała o niczym myśleć.

* W tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego.

Jeśli zeszły dzień był zły, to noc okazała się jeszcze gorsza. Patrick zadzwonił późnym wieczorem, by ją przeprosić, lecz potem tak się zdenerwował, że zaczął wrzeszczeć, że Fiona zachowuje się jak dziwka, i on tego nie potrafi zrozumieć, nie potrafi zrozumieć, dlaczego robi to samej sobie. Zagroziła, że odłoży słuchawkę, jeżeli nie przestanie.

— Lepiej tego nie rób — warknął, aż włosy stanęły jej dęba.

— Odkładam teraz słuchawkę. Nie dzwoń do mnie, dopóki się nie uspokoisz. I nie chcę, żebyś tu jeszcze kiedykolwiek przychodził. Nigdy! — Wciąż trzęsły jej się ręce, gdy odkładała słuchawkę. Zadzwonił natychmiast. Zdjęła słuchawkę z widełek na resztę nocy. A kiedy rano położyła ją znów na widełkach, zaraz zadzwonił telefon. Zdjęła ją znowu i wyszła do pracy.

Łagodne ocieplenie pośród tych przenikliwie zimnych, listopadowych dni wywabiło klientów z centrów handlowych. Frontony sklepów w centrum były udekorowane bożonarodzeniowo już od początku miesiąca. Do Świąta Dziękczynienia też było już blisko i służby miejskie w Dearborn zawieszały malutkie, białe światełka na wszystkich drzewach przy Main Street. Na słupach latarni ulicznych umieszczono wcześniej w ciągu tego dnia wielkie wieńce z jodły balsamicznej i czerwone kokardy.

— Boże Narodzenie czuć już w powietrzu — odezwała się śpiewnym tonem Donna Drouin, spoglądając przez okno. Była nową kelnerką zatrudnioną na miejsce Sandy, która wprowadziła się do domu Prescottów. Sandy była w ciąży. Donna mówiła, że Prescottowie mają nadzieję, że dziecko stanie się dla Todda sygnałem do przebudzenia.

Fiona zamiatała podłogę. Miała już dość krzykliwego głosu Donny. Donna nie przestawała mówić, odkąd przyszła rano do pracy. Wystarczyło wspomnieć czyjekolwiek nazwisko i jeżeli nawet nie znała tej osoby, poznała przynajmniej jej najlepszego przyjaciela czy najbliższego żyjącego krewnego. Ta korpulentna, zbliżająca się do pięćdziesiątki kobieta pracowała już prawie wszędzie w tym mieście. Była nawet tutaj kilka lat temu, póki Chester jej nie zwolnił za niechlujstwo i nieznośną gadatliwość. W zeszłym tygodniu, po tym jak przez wiele dni dawał ogłoszenie, które przyciągało na pęczki tylko młode, samotne matki takie jak Sandy, Chester kazał Maxine zadzwonić do Donny Drouin. Wyznał Fionie, że może teraz lepiej będzie znosił paplaninę Donny, skoro Maxine pracowała od frontu. Ledwie jednak się pojawiła, już go denerwowała. Ona i Maxine szybko stawały się bliskimi przyjaciółkami. W sobotę Donna zrobiła też Maxine trwałą. Pracowała przecież ostatnio jako recepcjonistka w salonie fryzjerskim Carlene's Cute Cuts.

— Jest taka uzdolniona. Wszystko potrafi zrobić — oznajmiła Fionie Maxine.

— No nie, ty pamiętaj jeszcze, że w dobie techniki raketowej to żaden wyczyn — zawołała Donna swym grzmiącym głosem przez pustą salę. Agrafki przypięte do brzegu jej uniformu połyskiwały, gdy wlokła się od stolika do stolika, napełniając pojemniczki solą i pieprzem. Fiona pomyślała, że nie dość, że grube, czarne włosy na jej nieogolonych nogach wyglądały paskudnie, to jeszcze wyjątkowo wstrętnie dziś od niej cuchnęło.

Maxine dotknęła swoich suchych, skręconych włosów.

— Brakuje tylko pasemek. Ale już Donna założy mi folię.

— Ty nie ryzykuj — odezwała się zbyt szybko Fiona, a urażona Maxine otworzyła szeroko oczy. — Wyglądają doskonale tak, jak teraz.

— A ty nie chcesz, Fiona? — zawołała Donna. — Byłabyś piękną blondynką. — Podeszła i uniosła podbródek Fiony, przesuając go w prawo i w lewo. — Pamiętam, jak twoja matka ufarbowała włosy na blond, a ty masz ten sam odcień skóry i oczu.

— Ty nie rób z niej żadnej blondynki — naśmiewała się Fiona, uciekając od jej brudnych paluchów.

— Ale była! — Donna uszczypnęła ją lepkimi palcami w policzek. — W każdym razie przez krótki czas. Wszyscy opowiadali, jak pięknie wygląda, aja to wiem, bo pracowałam wtedy w drogerii i sprzedawałam jej taki zestaw. A potem, kiedy zobaczyłam ją następnym razem, jej włosy były postrzępione i krótkie, jakby oberżnięte czy coś w tym rodzaju.

— Kiedy to było? — spytała Fiona, idąc za nią do następnego boksu.

— Tuż przed jej wyjazdem. W sześćdziesiątym dziewiątym albo w siedemdziesiątym. Nie wiem, zdaje się, jakby wszyscy wtedy stąd uciekali. Czasami myślę, że to właśnie też powinnam była zrobić...

— Co masz na myśli? Jakby oberżnięte? To co jej się stało? Nie powiedziała?

— Z początku próbowała mi wmówić, że to był taki pokręcony kaprys, że zachciało jej się to zrobić. Ale to nie była prawda. To znaczy, widać było... to wyglądało tak... tak przycięte na siłę. Tak, jak powiedziałam, jakby ktoś je oberżnął. W niektórych miejscach przy samej skórze. Widać było nawet skaleczenia od nożyczek.

— Powiedziała, co się stało?

— Taa. Patrick Grady to zrobił. Mówiła, że wściekł się, bo utleniła włosy. Powiedziała, że cokolwiek robiła, on zaraz się wściekał. Poradziłam jej, że powinna pójść z tym do glin, ale odparła, że on ma już i tak

dość problemów. Ale potem dodała, że przecież wyjeżdża, więc to już nie będzie miało znaczenia.

Gdy zbliżyła się do nich Maxine, Fiona odsunęła się, nim mogły dalej wspólnie obmawiać Patricka. Nie wierzyła Donnie. Nigdy nie słyszała ani słowa o tym, że Natalie utleniła włosy, czy o tym, że Patrick je obciął. Donna była w stanie paplać wszystko, by zwrócić na siebie uwagę.

— Ale powiem ci jeszcze coś — krzyknęła, zaniepokojona utratą publiczności. — Kochała swoją małą dziewczynkę. Szalała na twoim punkcie, dzieciaku! — dodała, mrugając okiem. — Nigdy nie widziałam jej bez ciebie.

— Naprawdę? — Fiona odwróciła się i nie mogła powstrzymać uśmiechu.

— Taa. Właściwie dlatego tam przyszła. Byłaś chora. Przyszła po lekarstwo na receptę. I tak zaczęłyśmy rozmawiać. Musiała poczekać. Kiedy teraz o tym myślę, to był pewnie ostatni raz, kiedy ją widziałam...

Gdy wróciła do domu z pracy, połyskliwy, czarny lincoln wujka pracował na wolnych obrotach przed budynkiem. Poczowała ból w żołądku. Wujek wysiadł z samochodu i ruszył do niej pośpiesznie.

— Wujku Charlesie! — Próbowała się uśmiechnąć, lecz z jego lodowatego spojrzenia odgadła, że przyszedł w sprawie wczorajszego zajścia.

— Muszę z tobą porozmawiać.

— Och, taa, pewnie! Wał śmiało!

Ulżyj sobie — pomyślała, zakładając ręce na piersi i zasłaniając plamę od ketchupu na swoim uniformie.

— Wolałbym nie robić tego tutaj, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Rozejrzała się po pustym parkingu.

— Taa, jasne, ludzie mogliby pomyśleć, że to trochę dziwaczne, hm, że widzą ciebie i mnie, jak rozmawiamy...

Oddychał coraz szybciej, gdy wchodzili na górę. Tego ranka zostawiła w mieszkaniu bałagan. To woda na jego młyn. Czuła, że całe jej ciało jest jakby trwale skurczone, zablokowane. Nie odzywali się do siebie, dopóki nie weszli do środka. Poprosiła go, by usiadł, ale odparł, że po całym dniu siedzenia chce trochę postać. Przy każdej innej okazji mógłby to być żart, lecz nie było ani śladu wesołości w jego przystojnej twarzy, która była teraz pomarszczona i zszarzała. Zaczerpnął głęboko powietrza, by uspokoić się, nim zacznie mówić.

— Przychodzi czas...

— Posłuchaj, wujku Charlesie, wiem doskonale, dlaczego tu jesteś, ale najpierw powinieneś wiedzieć, że to było po prostu głupie nieporozumienie, i tyle — oświadczyła, wdychając ciężko.

Popatrzył na nią. — Powtórzę ci, że przychodzi taki czas w naszym życiu, kiedy fakty nie pozostawiają złudzeń, że pewne sprawy znajdują się całkowicie poza naszą kontrolą — ciągnął powoli.

— Właśnie! — wykrzyknęła z ulgą. — I tak było...

— Fiono! Nie przerywaj mi znowu. Proszę.

— Więc pozwól mi powiedzieć, co się stało!

— Zawsze tak to robimy, prawda? Lecz tym razem to ty wysłuchasz *mnie*. Tym razem ja będę mówił pierwszy. — Przerwał, a jego zimne spojrzenie uciszyło ją całkowicie. — Mój błąd polegał na tym, że zajmowałem się tobą i wszystkimi twoimi kłopotami, jakby to były niefortunne wypadki, które przytrafiają się dziecku. Zawsze zbierałem kawałki do kupy i łatałem dziury. Lecz ty jesteś dorosłą kobietą, a spustoszenie, które siejesz, jest tak poważne, jego konsekwencje tak wielkie, tak długotrwałe, tak ustawiczne, że teraz widzę, jak rujnujesz ludziom życie, i już nie mogę podchodzić do tego w ten sam sposób. Po prostu nie mogę!

Wstała bez słowa i wyszła do kuchni. Otworzyła lodówkę i wyjęła dwie butelki piwa. Postawiła jedną przed wujkiem na stoliku do kawy. Odkręciła zakrętkę na swojej butelce i stała z odchyłoną do tyłu głową, pijąc powoli, celowo prosto z butelki. Odstawiając ją, wytarła usta ręką i uśmiechnęła się.

— Więc co zrobisz?

— Dlaczego? Dlaczego to robisz, Fiono? Jaką przyjemność sprawia ci ranienie nas w ten sposób... — Poderwał ręce do twarzy, a potem podniósł szybko wzrok, jakby nie śmiał odwrócić spojrzenia, nie mógł zaryzykować ani chwili nieuwagi. — Niszczenie nas — wykrztusił.

— Nie pochlebiaj sobie — odparła. — Proszę! Kiedy zdarza mi się wejść w jakieś gówno, robię to tylko z jednego jedynego powodu. Bo po prostu nie wiedziałam, że ono tam jest.

— Czy ty wiesz, jaką krzywdę wyrządzasz swojej kuzynce? Masz w ogóle pojęcie?

— Myślę, że nie. Bo nie wiem nawet, o czym, do cholery, mówisz. — Podniosła butelkę i znów długo z niej żłopała, choć nie miała nawet ochoty na piwo. W ustach pozostał jej posmak zimnego, mokrego metalu.

— Mówię o Elizabeth — odparł i rozejrzał się dziko po pokoju, jakby nagle zdał sobie sprawę, że może ktoś tu jeszcze jest. — Boże mój! Boże! — jęknął, chwytając się rękami za głowę.

— Elizabeth? A co ją to obchodzi?

Popatrzył na nią z otwartymi ustami.

— Oczywiście. Teraz to wszystko nabiera sensu. Boże mój! Boże! — Zakołysał się, a potem obrócił się do niej. — Fiono, zapytam cię wprost i żądam w odpowiedzi prawdy. Tylko prawdy. Co dzieje się między tobą i Rudym Larkinem?

Odstawiła z hukiem butelkę i piwo trysnęło na stolik. Popatrzyła na niego; patrzyła bez przerwy, aż wszystkie krzywizny i załamania, wszystkie dźwięki zlały się w zamazane, widmowe obrazy i głosy z na wpół zapomnianego filmu.

— Och rozumiem! Teraz rozumiem! Oczywiście. Naturalnie, kiedykolwiek pojawiają się kłopoty, ja jestem pierwszą podejrzaną, prawda? Cóż, nie zamierzałam nadużyć zaufania naszego poczciwego doktora, ale skoro myślisz o mnie takie wstrętne rzeczy, to sądzę, że będzie lepiej, jeśli to zrobię. Rudy przyszedł tutaj, bo obawia się, że Elizabeth chce zerwać zaręczyny.

— A dlaczego nie poszedł z tym do niej? — spytał, przyglądając się jej uważnie.

— Powiedział, że próbował. Ale ona nie zamierza o tym rozmawiać. Brzmi znajomo? — oświadczyła, już w tej chwili żałując swojego sarkazmu.

Stał ze zwieszoną głową. Wyglądał tak nędznie, że dotknęła jego ramienia.

— Ułóży im się. Nie martw się tym. Znasz Lizzie. Ona później jest zawsze szczęśliwa i zawsze tak będzie. Jest taka jak ty. To perfekcjonistka i czasem wyolbrzymia różne rzeczy, traci proporcje, prawda? Tak się dzieje, zgadza się? — dodała, próbując się uśmiechnąć. — Wujku Charlesie! — Potrząsnęła go za ramię. — Wszystko będzie dobrze. Uwierz mi. W porządku wszechrzeczy to nie jest wielka sprawa!

Teraz przyglądał jej się z jakąś zgrozą.

— Nie, żadna sprawa nie jest wielka, prawda? Nawet rozbiecie małżeństwa. Słyszałem, co stało się z Gliddenami. Co ty zrobiłaś — dodała, odwracając głowę, jakby poczuł jakiś odrażający zapach.

— Co zrobiłam? No nie. Nie — rzekła ze śmiertelnym spokojem. — Chcę, żebyś stąd wyszedł. Chcę, żebyś natychmiast stąd wyszedł.

— Tak nie może dalej być. To zbyt destrukcyjne. Co mogę powiedzieć? Co mogę zrobić? Musi być coś, Fiono, coś, co cię uszczęśliwi. Masz trzydzieści lat! Czy tak ma być przez resztę twojego życia? Zamieszanie i wstyd? Tego chcesz?

— To dlaczego? Dlaczego, do diabła, nie możesz powiedzieć tak czy nie? Tylko tyle musisz powiedzieć. Tak czy nie. Naprawdę, dla mnie nie musisz bawić się w żadne grzeczności!

— Patricku!

— Nie potrzebuję tego gówna, rozumiesz? Albo jesteś wobec mnie uczciwa, albo nie! — krzyczał, a ona słuchała, oniemiała. — Tak to właśnie widzę, więc nie mów mi, że nie sądzisz albo że nie wiesz, albo może, albo nie jesteś całkiem pewna, bo ja nie mam czasu na te duperele, zrozumiałaś? Chcesz mnie zobaczyć — świetnie, jestem tutaj! A jak nie, to nie zwracaj mi głowy! Nie zwracaj mi, do cholery, głowy! Słyszysz, co mówię?

— Lepiej będzie, jak się teraz rozłączę, Patricku.

— Taa! Zrób to! Odłóż tę... — wrzeszczał, gdy odkładała słuchawkę. Chwyliła płaszcz i wybiegła z mieszkania, nim zdążył znów zadzwonić.

Niech się uspokoi — pomyślała, jadąc do supermarketu. Byli tacy podobni, zmienni i impulsywni. Stawianie czoła konsekwencjom własnych czynów było ciężką próbą, lecz wciąż się starała. Tym, czego potrzebował Patrick, była kojąca miłość i troska jego córki. I cierpliwość. Wchodziła właśnie do Shop And Save, gdy zobaczyła Terry mocującą się w drzwiach z załadowanym wózkiem. Jej młodszy syn siedział na siedzeniu dla dzieci, podczas gdy starszy stał z przodu, trzymając się kurczowo boków wózka.

— Fiona!

— Terry! — zawołała w odpowiedzi, gdy obie jednocześnie zatrzymały się w otwieranych elektronicznie drzwiach. Weszła do środka, a potem cofnęła się na zewnątrz, by pójść z Terry do jej samochodu. Terry bardzo przytyła w czasie tej ciąży. Miała podpuchnięte, czerwone oczy, przez co jej twarz wyglądała na lekko obrzmiałą. Włosy miała ściągnięte z tyłu gumką, a luźne kosmyki zwisały w strąkach nad uszami. Przy jej kurtce brakowało guzika, a do czarnej wełny przyczepiły się kłaczki i psie włosy.

Terry powiedziała, że jest wyczerpana. Obydwa chłopcy chorowali ostatnio na zapalenie gardła, a Timowi brakowało ludzi w sklepie, więc pracował w tym tygodniu we wszystkie wieczory.

Fiona pomogła załadować jej zakupy na tył kombi, a Terry usadzała w tym czasie chłopców w ich fotelikach. Nim ich przypięła, Fiona opróżniła wózek. Dziękując jej, Terry zatrasnęła tylną klapę.

— Dawniej tak się na to cieszyłam. Ale teraz tego nienawidzę — oświadczyła Terry, wciskając się za kierownicę. — Nienawidzę tego bardziej niż chyba można... Przezań! — Sięgnęła do tyłu i wyrwała skrobaczkę do szyb starszemu chłopcu, który stukał nią w okno.

Fiona spytała, czy może dać chłopcom gumę. Pod warunkiem, że ich to uspokoi, usłyszała od Terry.

— Musisz mieć mnóstwo roboty, co? — zagadnęła Fiona, wręczając każdemu z nich po listku gumy.

— I jeszcze muszę ciągnąć ze sobą tych dwóch — mówiła dalej Terry. Jeszcze raz podziękowała Fionie i zerknęła do tyłu na chłopców, ostrzegając ich, by nie spali, chyba że mają ochotę zostać w samochodzie przez całą noc. Dość miała zakupów do wnoszenia do domu.

— Poczekaj! — zawołała Fiona, nim Terry zasunęła szybę. — Może bym ci pomogła? Chociażby wnieść te wszystkie torby...

Terry zaprotestowała. Powiedziała, że Fiona miała przecież zrobić własne zakupy. Jednak Fiona była uparta.

Gdy podjechały pod dom, Fiona powiedziała Terry, by zajęła się chłopcami, a ona zabierze torby. Wyłożyła ich zawartość na blat, uśmiechając się na dobiegający z góry tupot stóp.

— Wracajcie tu! — słyszała ostry głos Terry z góry. — Wracajcie tutaj natychmiast. — Zabrzmiało tylko więcej kroków, krzyków, a potem chichot i gulgotanie wody w biegnących w ścianie rurach.

Fiona zebrała razem wszystkie puszki, suche produkty, środki czystości. Łatwo psujące się artykuły ułożyła przy lodówce na blacie do krojenia mięsa. Wyprostowała i złożyła na kupkę wszystkie torby. Nalała wody do czajnika i postawiła go na kuchence, by przygotować herbatę. Opłukała brudne talerze w zlewie i otworzyła zmywarkę. Widząc zapełnione półki, wyjęła czyste półmiski i szklanki i odłożyła je do szafki. Dawniej bardzo lubiła pomagać w ten sposób Sandy, dopóki nie zdała sobie sprawy, że Sandy nie widzi żadnego problemu w tym, żeby Fiona wszystko za nią robiła.

Gdy Terry zesza na dół, Fiona siedziała przy stole, przeglądając czasopismo o remontowaniu domów. Podniosła się szybko i zalała wodą herbatę.

— Fiono, to tak miło z twojej strony. Nie musiałas robić tego wszystkiego — orzekła Terry, układając resztę zakupów.

— Żeby moje zamiłowanie do prac domowych nie wygasło — odparła. — Właściwie to myślałam sobie w tej chwili, że jeślibyś chciała, mogłabym ci tak pomagać co tydzień.

Terry zamilkła z tęsknym uśmiechem na twarzy.

— I znając ciebie, Fiono, pewnie byś to robiła. — Westchnęła, sadowiąc się na krześle.

— Oczywiście! Mogłabym nawet opiekować się dziećmi, kiedy ty robiłabyś zakupy. Pewnie to byś wolała. — Już zapomniała, jak bardzo lubiła przebywać w towarzystwie swojej starej przyjaciółki. — Przepraszam, że tak wtedy na ciebie napadłam w Dunkin' Donuts, Terry. Bo wiesz, wszystko się na mnie naraz zważyło. To znaczy, cała ta sprawa. Oczywiście to nigdy nie powinno się wydarzyć, ale ja przecież nie robiłam tego celowo.

— Nie, ja wiem — odpowiedziała Terry, nachylając się do niej z czujnym spojrzeniem.

— Nie mam zamiaru wdawać się w krwawe szczegóły, ale widziałas, w jakim byłam stanie, kiedy stąd wychodziłam tamtej nocy. Czy on był tak pijany jak ja? Nie sądzę.

— Nie, ja też tak nie uważam... Och, Fiono — westchnęła Terry. — Sama nie wiem. Co Brad powiedział? Co do tego doprowadziło?

— Więc jednak chcesz znać krwawe szczegóły... — Fiona zmierzyła ją wzrokiem.

— Nie! — zaprotestowała Terry. — Chciałabym tylko, żebyśmy znów stały się sobie bliskie. To wszystko. I przepraszam, że wtedy o tym wspominałam. Pomyślałam tylko, że lżej ci będzie, jeśli o tym porozmawiasz.

— No, właśnie dlatego tak długo jesteśmy przyjaciółkami. Nigdy nie bałyśmy się mówić o tym, co nas gnębi. Ale niektóre sprawy są po prostu zbyt... zbyt bolesne.

Terry spuściła wzrok na torebeczkę z herbatą, którą wciąż wkładała i wyjmowała z wody.

— Ostatnio nie byłam zbyt dobrą przyjaciółką, prawda?

— Jesteś zajęta. Wiem o tym. Nie jest ci łatwo z dwojgiem dzieci. — Fiona próbowała się roześmiać. — I z mężem, który nienawidzi mnie jak nikogo na świecie.

— Och, nie, Fiono. Znasz Tima, ostatnio zachowuje się tak, jakby miał za chwilę dostać kota.

— Co? — wykrztusiła Fiona, śmiejąc się. — A co to ma niby znaczyć?

— No, z początku było okej, byłam super laską — lubił to, ale teraz, kiedy mamy dwójkę dzieci, powinnam zostać Świętą Bożą Rodzicielką czy czymś w tym rodzaju. Dzieci! — Westchnęła. — Wtedy właśnie wszystko się zmienia. Zaraz! — odezwała się, wylewając niespodziewanie swoją herbatę do zlewu. — Ja mam ochotę na kieliszek wina. A ty?

Fiona spytała, czy Terry na pewno może pić teraz, kiedy jest w ciąży.

— Mój lekarz powiedział, że mogę wypić od czasu do czasu piwo albo kieliszek wina — zapewniła ją Terry.

Minęła potem godzina, a one wciąż siedziały w kuchni. Ich rozmowa zeszała na Todda Prescottta i Sandy Rudman, i wtedy Terry zarumieniła się, przyznając, że jej ciąża była wynikiem wpadki. Oznaczała okropne komplikacje finansowe. W ósmym tygodniu ona i Tim pojechali do kliniki aborcyjnej w Bostonie.

— Przez całą drogę w ogóle nie rozmawialiśmy. Nawet na siebie nie patrzyliśmy. Jakby żadne z nas nie chciało tego zrobić. Ale z drugiej strony, żadne z nas nie chciało też tego dziecka. Więc wypełniliśmy wszystkie papiery, a potem poszłam się przebrać do takiej małej, metalowej przegrody. Było koszmarnie zimno, a ja stałam tylko w koszuli i papierowych kapciach. Zaczęłam się tak strasznie trząść, że zęby bolały mnie od szczykania. Pielęgniarka zaczęła kręcić się obok, żeby sprawdzić, czy jestem gotowa. „Jeszcze nie” — odpowiedziałam. — „Prawie.” I tak tam stoję i obejmuję się. W końcu, kiedy przyszła po raz czwarty, spytała, czy wszystko w porządku. Powiedziała, że lekarz czeka już od piętnastu minut. Zaczęłam się ubierać. „Muszę iść” — powiedziałam. — „Muszę zobaczyć się z mężem.” Gdy tylko wyszłam, Tim zerwał się na równe nogi i objął mnie ramieniem, i ciągle pytał mnie, czy wszystko w porządku. Czy powinnam tak szybko chodzić zaraz po zabiegu. Nie chciałam mu tego powiedzieć przy wszystkich, tam, w poczekalni, więc poczekałam, aż wyszliśmy na zewnątrz. Pomyślałam, że będzie okropnie wścickły, ale zamiast tego zaczął płakać, a potem ja też zaczęłam ryczeć. I tak staliśmy razem na Commercial Avenue, otoczeni przez pikietujących, i płakaliśmy jak bobry.

— To piękne. — Fiona pomyślała o swojej matce, która nie miała męża i sama musiała stawić wszystkiemu czoła. Kiedyś spytała ciotkę Arlene, czyjej matka brała w ogóle pod uwagę aborcję. Nie. Nigdy. Ta krótka, wypowiedziana nieprzyjaznym tonem odpowiedź zdradziła, jakie lodowate potępienie musiała znosić jej matka.

— Ale teraz obydwoje bardzo się denerwujemy — ciągnęła Terry.

Obie podniosły głowy na tupot nóg. W chwilę później Will, młodszy z chłopców, wpadł z płaczem do kuchni i wskoczył matce na kolana. Powiedział, że jego brat, Frankie, ciągle trzaska drzwiami i go straszy.

— Za każdym razem, kiedy o tym myślę, tak bardzo się boję. Obydwoje się boimy — wymamrotała Terry, opierając brodę na głowie chłop-

ca. — Wiesz, jakbyśmy byli na krawędzi, jakbyśmy kusili los, więc teraz wszystko może się zdarzyć.

Fiona patrzyła, jak Terry tuli swego spoconego synka. Nogi miał zwinęte pod swoim małym ciałkiem, wygiętym w łuk przy wielkim brzuchu matki.

— Ale przecież zawsze wszystko może się zdarzyć — odezwała się. Jakby nie było w życiu żadnych gwarancji, żadnych zabezpieczeń. Bo nawet przykładowe życie nie mogło zapewnić nikomu dobrego zdrowia czy szczęścia. Piorun mógł uderzyć gdziekolwiek i kiedykolwiek. Święci też chorują na raka. A niewinne dzieci wpadają pod samochody...

— Nie mów tak. — Terry zadrżała, patrząc na swojego śpiącego synka. Wstała i zaniosła go na kanapę. — Przez to wszystko wydaje się takie... takie jakieś chwiejne — mówiła, wracając do kuchni. — Wiesz. Pełne niebezpieczeństw.

— Ale wszystko takie właśnie jest! — odparła Fiona z całkowitym przekonaniem.

Terry dolała im wina. — Dawniej nie byłaś taka zgorzkniała.

— To nie gorycz. Po prostu jestem realistką, i tyle. Dorastałam, słysząc, że dobrym ludziom zdarzają się dobre rzeczy, ale ciągle widziałam, jak dobrym ludziom dzieje się też czasami źle. Oczywiście moja rodzina — to znaczy Hollisowie — spełniają dobre uczynki, tak jak większość ludzi odpukuje w niemalowane. Niekoniecznie po to, by komuś pomóc, ale żeby zabezpieczyć siebie, żeby poczuć się lepiej.

— Nie masz chyba na myśli Elizabeth. Ona nie jest taka, prawda? — spytała Terry, obserwując Fionę.

— Cóż, Elizabeth to inna wersja tego samego syndromu. Zawsze musiała być dobra, żeby nadrabiać za mnie. — Roześmiała się. — Jak ta dobra bliźniaczka z bajki, tak sądzę. — Odstawiła kieliszek. Wino pite na pusty żołądek wprawiło ją w beztroski nastrój. Zatapiając się znów w ich wygodnej, łatwej intymności, pomyślała, że od dawna nie czuła się taka rozluźniona.

Opowiedziała Terry o problemach Rudy'ego i Elizabeth. Wiedziała, że nie powinna, ale po tym, co Terry właśnie wyznała, jak mogłaby tego nie zrobić? Wymiana sekretów była zawsze ich sposobem na godzenie się po kłótniach. Terry słuchała uważnie, a potem spytała, jaki jest Rudy. By go opisać, Fiona opowiedziała jej o ich pierwszym spotkaniu, po tym, jak Jim Luty skuł ją kajdankami.

— Jim Luty! O mój Boże! — ryknęła Terry, trzymając się za boki, gdy Fiona relacjonowała resztę tej dziwacznej opowieści.

— I nawet nie powiedział o tym Elizabeth? — spytała potem Terry.

— Nie! Właśnie o to mi chodzi. Jest naprawdę szczerą osobą. Oczywiście jest inteligentny, jest lekarzem, ale ma ten jakiś inny rodzaj inteligencji. Wiesz, jakby płynęła gdzieś stąd — dodała, dotykając swojej pierś. Tak, w tym właśnie rzecz. Właśnie o to chodziło.

Terry przyglądała jej się, popijając powoli wino. — Jeśli ci coś powiem, zatrzymasz to dla siebie?

— Oczywiście.

— Ale nie możesz tego powiedzieć absolutnie nikomu. Timmy by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że się wygadałam.

— Nie powiem. Przysięgam! No mów...

— Ale ty pewnie już wiesz.

— Co? Jak mogłabym wiedzieć?

— Chodzi o George'a. — Terry oparła się obiema rękami o stół. — Wiesz, sam powiedział ci, że wszystko stało się teraz dla niego takie zammatwane...

Fiona przytaknęła i już wiedziała, co usłyszy od Terry. Elizabeth i George znów się spotykali. Tim wpadł pewnego wieczora do George'a i zastał tam Elizabeth. Tim powiedział, że to było takie oczywiste. Wyglądało na to, że George nie ucieszył się z jego wizyty, a potem, zanim zdążył wyjść, Elizabeth zeszała na dół w płaszczu kąpielowym George'a. Była potwornie zażenowana. Kiedy weszła z powrotem na górę, George wyznał Timowi prawdę. Chcieli być razem, lecz Elizabeth wciąż nie była w stanie zerwać zaręczyn. „Nie może się przemóc, żeby zranić tego tam jej koleśia...”

— Rudy'ego — wtrąciła Fiona. — Rudy'ego Larkina. — Przecież on miał imię!

— No właśnie, jego — ciągnęła Terry — ale, co gorsza, według George'a, ona nie może znieść myśli, że mogłaby zamartwić swoich rodziców. Jak tylko pada ten temat, ona traci głowę.

Fiona popijała swoje wino.

— Ty naprawdę nie wiedziałaś — odezwała się znowu Terry.

Fiona potrząsnęła głową.

— Niby nie. Ale teraz, kiedy to powiedziałaś, myślę, że po prostu nie chciałam wiedzieć. — Opisała ich dziwną wycieczkę po suknię ślubną. Terry była tak zaintrygowana, że otworzyła szeroko oczy. Niemal poruszała ustami wraz z Fiona, jakby już ćwiczyła się w opowiadaniu tej historii. Fiona wiedziała, że będzie czuła się winna, obnażając Elizabeth, lecz teraz sama czuła się zbyt zdradzona i wściekła. Poczwała w ustach cierpki

smak. To nie dobroć kierowała jej kuzynką, lecz bojaźliwość i fałsz, mieszanica tchórzostwa.

W drugim pokoju Will zapłakał krótko. Terry poszła tam.

— Nic mu nie jest — oświadczyła, wracając szybko. — To, co się stało, kiedy założyłaś suknię? — Podniosła gwałtownie głowę, gdy szyba w tylnych drzwiach rozbłysła światłem reflektorów wjeżdżającego na podjazd samochodu. — Cholera — wymamrotała, zbierając kieliszki. Była już prawie przy zlewie, gdy otworzyły się drzwi.

Wszedł Tim, śmiejąc się i mówiąc coś przez ramię do idącego za nim niższego mężczyzny. — Hej, kochanie, spójrz, kto... — zatrzymał się, spoglądając ze zmieszaniem na Fionę. Brad Glidden już wszedł i zamykał za sobą drzwi.

Terry tłumaczyła się, jękając, że Fiona pomogła jej z zakupami.

— A co to jest? — Tim zabrał jej kieliszki. Cisnął je do zlewu.

— My tylko rozmawiałyśmy. — Terry rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

— Cześć, Tim — odezwała się od stołu Fiona. Ignorowała Gliddena.

— Tatuś! — odezwał się Will, przecierając oczy, gdy powłócząc nogami, wchodził do kuchni.

— Cześć, kolego! — Tim pochylił się, by go dźwignąć. — Chodź — powiedział do Gliddena, przechodząc obok stołu. — Włączymy sobie mecz.

Glidden pośpieszył za nim, odwracając wzrok.

— Dupek — wymamrotała Terry, gdy zagrzmiął telewizor w salonie, jakby głośny dźwięk mógł ich w jakiś sposób osłonić. — Przepraszam — powiedziała, gdy Fiona wstała i założyła kurtkę.

Fiona czuła na twarzy gorąco.

— Nie ma sprawy — odparła. Musiała się stąd wydostać. Kątem oka widziała, jak Tim niesie synka na górę.

— Nie, poczekaj! Poczekaj tu po prostu. Ja zaraz wracam — nalegała Terry, pędząc za mężem.

Z góry dobiegły ją przytłumione głosy. Otworzyła tylne drzwi.

— A właśnie, że nie, do cholery — wyszeptała, a potem obróciła się i wmaszerowała do salonu.

Brad Glidden siedział zgarbiony na kanapie, gapiąc się na biegających na ekranie koszykarzy.

— Wybacz — odezwała się tak głośno, by usłyszał ją przez głos komentatora. — Ale coś tu chyba trzeba wyjaśnić.

— Co? — Jego spojrzenie przeskakiwało nieufnie od niej do schodów w górze.

Podniosła pilota ze stolika do kawy i wyłączyła telewizor. W ciszy, która nagle zapanowała, usłyszała płacz małego Willa, a potem ciężkie kroki zbliżające się do schodów.

— Powiedz mi — odezwała się, zbliżając się do niego. — Czy zrobiłam ci coś złego?

— Nie wiem, o czym ty mówisz — odpowiedział ledwie słyszalnym głosem, z odchyłoną w niedowierzaniu głową.

— Czy zrobiłam ci jakąś krzywdę? Co takiego zrobiłam? Czy w jakiś sposób cię wykorzystałam? Czy zaatakowałam cię? No właśnie, co takiego zrobiłam?

— Nic — wykrztusił, potrząsając głową.

— Było wręcz odwrotnie, prawda? — Czuła, że nie tyle zbliża się ku niemu, lecz wznosi się nad nim, góruje.

— Obydwoje za dużo wypiliśmy, obydwój — odparł pośpiesznie, w oczywistej obawie przed dalszymi szczegółami.

Na klatce schodowej zamajaczył cień.

— Cóż, więc będzie lepiej, jeśli powiesz to swojej żonie. I teściowej też! I lepiej będzie, jeśli powiesz im także, że jeżeli jeszcze raz znieważą mnie tak, jak to zrobiły, pójdę z tym do sądu i wyduszę z nich każdy grosz, jaki tylko się da. — Drżała z mocy i wściekłości. Uchylił się, gdy cisnęła pilota na stolik.

— Przykro mi — odezwał się wysokim, rzęzącym głosem.

— I mnie też jest przykro, że twoje dziecko umarło, ale wiesz równie dobrze jak ja, że to nie miało ze mną nic wspólnego.

— Wynoś się! — krzyczał teraz Tim, pędząc po schodach. — Wynoś się, do cholery, z mojego domu!

— Taa, wyniosę się, ale najpierw chcę zobaczyć się z Terry. — Uśmiechała się, ale serce waliło jej w piersi.

— Nie! Wyjdziesz natychmiast! — zażądał.

Brad wstał. — W porządku, Tim. Ja już...

— Nie. To ona wyjdzie! Nie ty.

Fiona zaśmiała się krótko i stanęła u podnóża schodów.

— Terry? — zawołała. — Czy mogłabyś zejść na chwilę? — Zamilkła. — Terry? — zawołała trochę głośniej. — Czy zechciałabyś tutaj zejść?

— Ona nie zejdzie — odparł Tim z uśmiechem wyższości. — Więc dlaczego po prostu sobie nie pójdziesz?

- Terry! Słyszysz mnie? Terry? — Niemal krzyczała.
- Obudzisz te dzieciaki... — ostrzegł ją Tim, zaciskając pięści.
- Terry! — zawołała jeszcze raz.

Terry pojawiła się u szczytu schodów.

— Fiono — wyszeptała cieniutkim głosem. — Myślę, że lepiej będzie, jeśli już pójdziesz.

Zadzwoiła następnego dnia do Terry, nie po to, by przeprosić, ale by powiedzieć, że ma nadzieję, że nie stała się powodem niesnasek między Terry i Timem. Tłumaczyła, że na widok Brada Gliddena zupełnie straciła głowę.

— W porządku — odparła Terry tak beznamiętnym głosem, że Fiona wiedziała już, że straciła swoją ostatnią przyjaciółkę.

Przez resztę dnia wciąż myślała o Rudym. Jeżeli ona czuła się tak odizolowana we własnym rodzinnym mieście, mając swoją rodzinę, mogła sobie tylko wyobrażać, jak bardzo on czuł się samotny. Pomyślała, że mogli równie dobrze być samotni razem. Wybrała jego numer, lecz odłożyła słuchawkę, nim telefon zdążył zadzwonić. Bała się, choć nie wiedziała, dlaczego. Zapewniała sobie zaraz, że to było głupie, gdy znów do niego telefonowała. Tym razem pozwoliła, by telefon zadzwonił. Czego miała się bać? Że będzie zajęty albo źle zinterpretuje jej telefon, albo z tonu jej głosu odczyta, że jej kuzynka jest mu niewierna? W końcu, gdy nie odbierał, odłożyła słuchawkę, zaskoczona tym, jak bardzo poczuła się zawiedziona. A potem, gdy zdała sobie sprawę, że Rudy jest pewnie w pracy, była chyba jeszcze bardziej zakłopotana z powodu ulgi, jaką odczuła.

Parę dni później wujek Charles zadzwonił, by przypomnieć jej o ich rocznym przyjęciu. Urządzali je zawsze w weekend przed Świętem Dziękczynienia, wystarczająco wcześnie, nim wszyscy mieli nerwy w strzępach od zbyt wielu wycieczek na zakupy i świątecznych spotkań. Nadmienił też przy okazji, że Rudy będzie towarzyszył Elizabeth. Następnie, jakby machinalnie, zaproponował, że byłoby naprawdę świetnie, jeśli ona sama chciałaby kogoś zaprosić.

— Nie wiem, zobaczę — odparła zdumiona, z jaką łatwością potrafił zapomnieć o tym, co powiedział podczas ich ostatniej rozmowy. Lecz to było typowe. Ignoruj coś, a zniknie.

— Tak. Cóż. — Odchrząknął. — Może George'a Grimshawa?

— A co tam u niego? — Rozpoznała podstępny ton w jego głosie. Ostracyzm znów się nie sprawdził. Gniew i postawione ultimatum niepo-

koiły go bardziej niż ją. Mógł kierować nią lepiej, gdy miał ją tuż pod nosem.

— Czemu sama nie spytasz George'a? Byłoby tak miło znów zobaczyć was młodych, wszystkich razem...

— Och, taa? — Nie mogła powstrzymać śmiechu.

— Fiono, chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. To wszystko.

— Ale jestem. Jestem szczęśliwa — odparła chłodno.

Jego głos zmienił się w drżący szept:

— Więc zacznijmy jeszcze raz. Spróbujmy. Postarajmy się obydwójce naprawdę dobrze.

Następnego dnia zadzwoniła ciotka Arlene, by spytać, czy może potrzebuje trochę gotówki na "jakaś śliczną sukienkę." Fiona podziękowała jej i odmówiła. Powiedziała, że nie wie, czy przyjdzie.

— Proszę, przyjdź. — W głosie ciotki słychać było szczere zaniepokojenie. — Elizabeth będzie taka zawiedziona, jeśli się nie zjawisz. Liczy na to, że będziesz. Nawet nie wiesz, jak bardzo się na to cieszy.

Odkładając słuchawkę, pomyślała, że to dziwne. Dlaczego kuzynka miałaby przejmować się tym, czy ona przyjdzie, czy nie? Pośród przyjaciół rodziców Elizabeth byłaby w swoim żywiole, podziwiana i rozpieszczana.

Następnie zadzwoniła Elizabeth, proponując, by Fiona została u nich w domu w noc po przyjęciu, żeby nie musiała sama jechać do swojego mieszkania. Teraz chcieli roztoczyć już nad nią pełną kontrolę.

— Może nie będę sama — odparła Fiona, trzymając słuchawkę opartą na ramieniu i malując paznokcie. — Może kogoś zaproszę.

— O tak, myślę, że powinnaś — zgodziła się Elizabeth. Zamilkła. — A masz kogoś na myśli?

— Nie wiem. Jak sądzisz, Lizzie, kogo powinnam zaprosić?

— Nie wiem. Interesujesz się kimś?

— Uhm, być może — odpowiedziała, dmuchając na swoje paznokcie. — Nie wiem.

— No, o kogo chodzi? — nalegała Elizabeth. — Kogo byś zaprosiła?

— Cóż, myślałam o George'u. To znaczy, wiesz, tylko jako o przyjacielu. — Uśmiechnęła się, wsłuchując się w płytki oddech kuzynki, rozbrzmiewający w ciszy. Niech się wierci. Biedny Rudy. Jak długo mogła utrzymać tę farsę? Wkrótce wszyscy oprócz niego będą już wiedzieli.

— Nie wiem, on nie za bardzo lubi przyjęcia. Może się czuć niezręcznie.

— Dlaczego miałyby się czuć niezręcznie? — Przełożyła słuchawkę i zaczęła malować lewą rękę.

— Nie wiem. Po prostu myślę, że mógłby. Już tak dawno u nas nie był.

— Och, nie martw się. Zaopiekuję się nim. — Fiona westchnęła, dmuchając na swoje paznokcie.

— Ty naprawdę chcesz to zrobić? — odezwała się Elizabeth po chwili milczenia. — Zamierzasz go spytać?

— Nie wiem. Być może — odpowiedziała, nim odłożyła słuchawkę.

Kiedy paznokcie wyschły, zaczęła składać do kosza brudne ubrania, które leżały przez cały tydzień na kanapie. Była w połowie tej pracy, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Był to Rudy.

— No, o wilku mowa! — rzekła, zapraszając go do środka.

Patrzył, jak składa ubrania. Powiedział, że przejeżdżał obok i zobaczył zapalone światło, więc postanowił do niej podskoczyć.

— To znaczy „zwalić się”, tak? — spytała, podejmując na nowo składanie.

— Nie wiem. Czy to nie sugeruje czegoś związanego z katastrofizmem, wiesz, jakby zwałało się z nieba? — odpowiedział, gestykulując.

— Być może, ale „podskoczyć” brzmi jakoś tak kobieco. Wiesz, jak coś, co powiedziałyby kobieta.

Roześmiał się.

— Co dowodzi, że językowo jest dla ciebie biseksem. Mój Boże, Fiono, myślałem, że jesteś bardziej tolerancyjna.

— Człowiek się zmienia, jeśli porozmawia w ciągu godziny ze zbyt wieloma Hollisami.

— Rozumiem — odparł, kiwając głową. Dotknął swojej piersi. — I stąd ten wilk, o którym wspomniałaś.

— Właściwie to nie. Rozmawiałam przedtem z Elizabeth, ale nie o tobie. Szczerze mówiąc, twoje imię w ogóle nie padło.

— Nie jestem zaskoczony — skwitował i opowiedział, jak Elizabeth zadzwoniła zeszłego wieczora, by go przeprosić za swoje zachowanie. Odbyla długą rozmowę ze swym ojcem, który pomógł jej spojrzeć na sprawę z właściwej perspektywy. Elizabeth i Rudy zgodzili się, że należy zwolnić. Na razie nie będzie więcej mowy o ślubie. Jeżeli odbędzie się zgodnie z planem — świetnie. Jeśli nie, cóż, wtedy wybiorą po prostu inną datę. Nie ma potrzeby się śpieszyć. Mieli przed sobą całe życie. A teraz

powinni dobrze się bawić, cieszyć się sobą nawzajem i pomagać Rudy'emu poczuć się w większym stopniu członkiem rodziny i społeczności.

— To dlatego u mnie jesteś? Chcesz poczuć się w większym stopniu członkiem rodziny? Albo może ja jestem społecznością?

— I tym, i tym! — Roześmiał się.

— Cóż, jakoś nie wydajesz się specjalnie zmartwiony — stwierdziła, starając się ukryć za uniesionym ręcznikiem wyraz irytacji na swojej twarzy.

— A o co miałbym się martwić? — spytał.

— No, nie chcesz dowiedzieć się, na czym stoisz?

— Po co? — zachichotał. — Myślę, że lepiej, jeśli nie wiem.

— A myślisz, że jakie to, do cholery, ma być życie? — wyrwało jej się. Sama tak porywcza i łatwo wpadająca w złość, czuła się zakłopotana jego spokojną akceptacją.

— Moje jedyne, jakie mam! — odparł, przerzucając nieuważnie kartki czasopisma leżącego na stoliku do kawy.

— Cóż, ja myślę, że to śmieszne — odparła, obserwując go.

— Nie wiem — zadumał się. — Według mnie ma to sens.

— No, może dla ciebie!

— Rzecz w tym, że tak długo byłem sam. Naprawdę bardzo długo. — Zamknął czasopismo i podniósł wzrok. — Pod pewnymi względami właściwie prawie zawsze zdany byłem sam na siebie. Więc gdy ktoś taki jak Elizabeth pojawił się w moim życiu, to jakbym od razu wiedział. Po prostu wiedziałem.

— Co wiedziałeś?

— Że już nie chcę być dłużej samotny. Że nie mogę pozwolić jej odejść. — Zachichotał. — Wiesz, jakbyś słyszała jakieś wyrażenie przez całe życie i nigdy nie zwracała na nie uwagi, i pewnego dnia staje się nagle takie odpowiednie. Staje się takie głębokie, takie osobiste. „To zbyt dobre, żeby było prawdziwe.” Właśnie to wciąż sobie powtarzałem. Za każdym razem, gdy widziałem Elizabeth, myślałem: „Mój Boże, to ona!” Jest taka dobra. Taka szczerza i taka miła, i taka troskliwa. Lecz potem dopadła mnie ta dziwna myśl: „A jeśli jest zbyt dobra, by była *prawdziwa*?” Czy to możliwe? Czy ktoś może być *zbyt dobry*? Taki miły i dobry, że może uszczęśliwić wszystkich innych, ale nigdy samego siebie?

— I tu mnie masz, doktoru. Ja tego nie wiem. — Westchnęła. To był właśnie błąd George'a. Idealizując Elizabeth, mógł nie zważać na rzeczywistość. — Ja mam wręcz przeciwny problem. Wygląda na to, że przeze

mnie ludzie stają się bardzo nieszczęśliwi i przez większość czasu nie muszą się nawet o to starać.

Śmiejąc się, wstał i stanął przy stole. Obserwował, jak Fiona wytrząsa z kosza z praniem prześcieradło i rozpościera je wysoko przed sobą.

— Wiesz dlaczego, prawda? Bo jesteś zbyt prawdziwa, by być dobra.

— Dzięki, Rudolphie. — Składała prześcieradło. — Mogłeś przynajmniej udawać, że się nie zgadzasz. To byłoby chyba miłsze...

— Ale dzięki temu jesteś taka interesująca, Fiono. Jesteś bardzo prawdziwa. Jest w tobie taka uczciwość. dzięki temu tak łatwo jest być z tobą.

— dzięki — odparła. — Myślę, że jestem po prostu taka łatwo dostępna.

— I mam nadzieję, że George cię docenia — odezwał się, zapinając kurtkę.

— George...?

— George.

— No tak! George.

— Co u niego? — spytał, pochylając się, by zawiązać ciasniej sznurowadła.

— Świetnie — odparła. Nie była nawet w stanie wymówić jego imienia z lęku, że wyrwie jej się prawda.

— Twój wujek powiedział, że zapraszasz go na przyjęcie.

— A jak to się stało, że o tym wspomniał?

— Jakoś tak to wyszło, normalnie — oświadczył, wzruszając ramionami. — Więc go zapraszasz?

— Jeszcze nie wiem.

— Nie mów mi tylko, że wasz związek jest podobny do naszego.

— Nie!

— No, to dobrze.

— Miałam na myśli to, że nie łączy nas żaden związek.

Wydawał się zakłopotany, niepewny, co ma dalej powiedzieć. Zawiązał szalik. Pomyślała, że nigdy nie wygląda, jakby było mu wystarczająco ciepło. Uznał, że lepiej będzie, jak już pójdzie. Otwierając drzwi, dodał, że nie chce ryzykować, że jego też zaczną mieć dosyć.

— Zaczekaj! — zawołała. — To co z wami? Nadal jesteście zaręczeni?

Zastanowił się, jakby w tej chwili podejmował decyzję.

— Tak sędzę. Nie wiem.

— Nie wiesz?

— No, myślę, że w tym cały problem. Mamy wszystko brać na luzie, a Elizabeth potrzebuje trochę luzu i jeszcze trochę czasu.

— Jeszcze trochę czasu! — zakpiła. — Albo cię kocha, albo nie! Spytałeś ją chociaż o to? Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Zamknął drzwi i wszedł z powrotem do środka.

— Dlaczego? — powtórzył. Na widok jego zbolełej twarzy jej frustracja z powodu kuzynki zmieniła się w gniew. — A dlaczego tak się denerwujesz?

— Bo nie rozumiem, czemu to wszystko znosisz!

— Co znosisz?

— To, jak jesteś traktowany!

Przez chwilę spojrzenie jego ciemnych oczu wwiercało się w jej źrenice.

— O co ci chodzi, Fiono?

— O to, co przed chwilą powiedziałam.

— Nie. Chcesz mi coś powiedzieć, prawda? Proszę. Chciałbym, żebyś to zrobiła. Muszę to usłyszeć. — Patrzył na nią. — W porządku — westchnął, gdy nie odpowiedziała. — Myślę, że już wiem.

Nie — pomyślała, stojąc przy oknie i obserwując, jak pędzi przez parking do swojego samochodu. To niemożliwe, by wiedział i nadal tu był.

Rozdział 13

Patrick wyjrzał przez okno i usiadł, by dokończyć lasagnę, którą przyniosła Fiona. Zgarbił się nad stołem, ściskając w dłoni widelec. Podniósł na chwilę wzrok i odwrócił go pośpiesznie. Nie był przyzwyczajony do dzielenia z kimś stołu. Usiłowała zagaić rozmowę, lecz przez to stał się jeszcze bardziej niespokojny. Odłożył widelec, odchrząkując cicho, i odepchnął pusty talerz. Siedział przez chwilę sztywno, z przekrzywioną głową.

— Słyszałaś to? — Znów się podniósł.

— Nie — odparła, gdy wyglądał przez okno. Spytała, czy ktoś ma przyjść. Czy oczekuje kogoś? Odpowiedział, że jest po prostu zdenerwowany. Właśnie to czasami robił, kiedy był zdenerwowany.

— Co? Podchodzisz do okna i wyglądasz co dwie minuty? — Zaśmiała się, sprząając ze stołu.

— Nie, po prostu patrzę, żeby się upewnić, że nikt nie idzie. Wtedy czuję się lepiej — odpowiedział.

— Na jedno wychodzi — oświadczyła, wypełniając zlew ciepłą, mydlaną wodą.

— To taki zły nawyk. Jak zacznę, to nie mogę już nic na to poradzic.

— Jeśli już mówimy o złych nawykach, to może ty mógłbyś mi powiedzieć. Czy moja matka utleniła sobie kiedykolwiek włosy? Po prostu usłyszałam o tym któregoś dnia. Czy to prawda? — Odwróciła się. Wlepiła w nią wzrok i załowała już, że w ogóle coś powiedziała. Szczególnie dziś wieczorem, gdy był taki podenerwowany. — Chcesz jeszcze kawy? — Sięgnęła po ręcznik. — Jest ciasto...

— Myślę, że powinnaś już iść.

— Dlaczego? — Odwróciła się, wycierając ręce. Wystraszyła się, widząc go tak blisko. — O co chodzi?

— Śnieg może zacząć padać — odparł.

— Nie sędę. W każdym razie, nie zapowiadali śniegu. — Musiała się odsunąć, by zdjąć fartuch. — Ale jeśli chcesz być sam, to...

— Nie chcę być sam. Nie o to chodzi.

— Więc o co? — Odpowiedziała mu spojrzeniem, czekając, by powiedział, że rozmowa o jej matce sprawia mu ból. Widziała to w jego oczach, cały ten ból i tęsknotę. Wszystkie te zmarnowane lata, kiedy mógł być przynajmniej blisko ze swoją córką, gdyby tylko chciał.

Otworzył usta i zamknął je, jakby zmienił zdanie. Potrząsnął głową.

— Myślę, że chyba jednak właśnie o to.

— Że chcesz być sam?

Pokiwał głową i przygryzł wargę.

— W porządku — powiedziała szybko. Dotknęła jego ramienia. — Rozumiem. Ze mną też się tak dzieje. Czasami czuję się, jak jakiś wściekły pies, który chce, żeby wszyscy trzymali się od niego z daleka.

Popatrzył na jej dłoń, a ona ją cofnęła. Nie chciał, by go dotykano. To, że ona zdecydowała, że chce mieć ojca, nie oznaczało, że on był gotowy przyjąć tę rolę. Mógł znieść ją tylko w niewielkich dawkach, a potem musiał pobyć sam. Błagał, by przyszła, lecz przyniesienie kolacji było jej pomysłem i teraz Fiona działała mu na nerwy. Żałowała, że wspomniała o matce. Wkładając płaszcz, pomyślała, że to było jednak w porządku. Mogła zrozumieć, że on czuł się niezręcznie. Ona też tak się czuła, choć nie była pewna dlaczego. W powietrzu wisało napięcie. Za bardzo się starała, śmiała się hałaśliwie z rzeczy, które były ledwie zabawne, z przesadą opowiadała o najzwyklejszych sprawach, by przyciągnąć jego uwagę. Jej wesołość krępowała go, a potem, gdy starała się być cicho i pozwolić mu jeść w spokoju, stał się jeszcze bardziej poirytowany i czujny. Pomyślała, zauważając jego dłoń zaciśniętą na klamce, że było prawie tak, jakby właśnie zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo jej nie lubi.

— Przepraszam — powiedział, nim zamknął drzwi.

Zamki zaszczeptały, gdy przedzierała się przez zamarzną trawę, by dostać się do swojego zaparkowanego za garażem samochodu. Ruszyła podjazdem i pomachała na pożegnanie, zanim wykręciła w ulicę. Stał w oknie. Obserwował.

Nie odzywał się już sporo dni. Tego wieczoru, w przypływie samotności, zadzwoniła do Rudy'ego, sądząc, że może chciałby zabić trochę czasu przed pracą, ale nie było go w domu. Założyła więc kurtkę i wyszła szybko do samochodu. Zaczął padać lekki śnieg, lecz topniał, gdy tylko opa-

dała na przednią szybę. U Patricka nie paliło się światło. Zamierzała już zawrócić, gdy zobaczyła mrugający blask jego telewizora.

Trafiła na istny bałagan. Zaczęła potem zbierać z podłogi puste puszki po piwie, lecz Patrick uparł się, by usiadła. Pokryty skorupą sera rondel po lasagni stał na stoliku do kawy. Był w nim widelec.

Przebywała tu już od godziny, a on wciąż mówił.

— College, taa. Spróbowałem, ale po prostu nie mogłem tego znieść. Byłem... — Zwiesił głowę, chichocząc. — Zamierzałem powiedzieć, że byłem marnym studentem, ale byłem po prostu marny. W tym rzecz. — Jego głos unosił się w półmroku. — Później było tak samo. Zbyt wielu ludzi, zbyt wielu ludzi, po prostu zbyt wiele ludzi, do cholery — wymamrotał. Słowa zamierały jak odgłosy pracy słabego silnika. Westchnął.

W powietrzu czuć było gryzącą słodycz. Był naćpany. Powiedział, że popalał przez cały dzień. Nie był w pracy od zeszłego tygodnia. Wdał się w bójkę ze swoim kierownikiem i miał tego dość, dość miał widoku ludzi, dość rozmów z nimi, bycia obok nich, wachania ich smrodu.

— Wystarczy, że przechodzą obok, i te małe kawałeczki i cząsteczki odpadają — mówił, pocierając palcami o palce. — To się zbiera w powietrzu i nic nie może tego zmyć. Nic, nic, nic. Nigdy z nimi nie rozmawiam, nigdy, przenigdy.

— To dlaczego chciałeś tam pracować? — Naciągnęła rękawy płaszcza na dłonie. Było tu lodowato.

— A kto powiedział, że chciałem? — spytał, szczerząc zęby w uśmiechu. Pochylił się do niej i wyszeptał: — Może nie miałem wyboru.

— Co masz na myśli?

— Właśnie to. — Rozsiadł się wygodnie.

— No, poprosiłeś przecież o tę pracę, tak?

— To ci powiedział? Czy to powiedział nasz dobry sędzia? — Potrząsnął głową ze śmiechem. — On chce po prostu utrzymać mnie z dala od ulic, i tyle. Trzymać mnie z dala od kłopotów. Trzymać mnie przy sobie. — Otworzył szeroko oczy. — I z dala od ciebie.

— Więc dlaczego ją przyjąłeś? — spytała, czując się winna.

— Bo tak tego nienawidzę. Nienawidzę tego. Nienawidzę tego, jak na mnie patrzą. A może po prostu nienawidzę własnej twarzy — wyszczał. Pełen mocy szepot przeszedł w chichot.

Zamknęła oczy. Kręciło jej się w głowie, czuła się dziwnie zdezorientowana. Powietrze wokół niej wypełnione było jego żywą obecnością. Nigdy tak chętnie nie opowiadał o sobie. Lecz każda refleksja zdawała się tonąć w narastającej goryczy.

— Więc co zrobiłeś po skończeniu szkoły? — spytała, by wrócić na bezpieczniejszy grunt. Dostał stypendium sportowe w Boston College. Z tego, co zrozumiała z jego bezładnej opowieści, zrezygnował po trzech miesiącach. Choć wiedziała, że lepiej o to teraz nie pytać, ciekawa była, czy wrócił po to, by być blisko jej matki. Natalie była wtedy w ostatniej klasie liceum.

— Wróciłem do domu, obijałem się. Niewiele się działo, wiem o tym. Pracowałem w kilku miejscach, przez jakiś czas na stacji benzynowej. Potem trochę jeździłem pługiem śnieżnym. — Ręka mu drżała, gdy sięgał po jointa. Zaciągnął się i koniec papierosa rozżarzył się pomarańczowym blaskiem. Wciągnął powietrze i zakrztusił się. Był to taki dźwięk, jakby w piersi pękła mu z trzaskiem kość. Jego głowa drgnęła, gdy trzymał w płucach słodki, gorący dym. Jedyne światło pochodziło z żarówki zawieszanej pod sufitem w kuchni. Widziała stos brudnych naczyń w zlewie. Czuł się zawiedziony, że się do niego nie przyłączyła, ale myśl o dzieleniu skręta z własnym ojcem napełniła ją odrazą. Wypuścił dym z rzęzącym kaszlem, który zdawał się odbierać mu siły. Jego głowa opadła z powrotem na spiętrzone na otomanie poduszki. — Dostarczałem przesyłki. Wiesz, do Bostonu i z Bostonu. Coś w rodzaju przesyłek kurierskich, tak byś to teraz nazwała. Ale wtedy było tylko: „Ty zadzwoń do Patricka. Zawiezie ci to migiem. Nie ma nic innego do roboty.” — Roześmiał się. Przez kilka chwil panowała cisza. Leżał rozwalony na wystrzępionej otomanie. Pledy tworzyły stos na podłodze.

Miał podartą koszulę, brakowało w niej większości guzików, jakby rozerwały ją, by ją zdjąć. Musiała się teraz pochylić, by dosłyszeć, co mówi.

— Tak, tak było. Było tak — powtarzała z ponurym uśmiechem. — Prawdę mówiąc, nudziłem się śmiertelnie. Miałem bardzo niski numer. Ciagle kołatało mi się w głowie, no, że mogą mnie dorwać każdego dnia i już mnie tu nie będzie...

Pomarańczowy koniuszek skręta rozjarzył się w półmroku. Patrick ucichł. Była pewna, że zasnął. Wstała i popatrzyła na niego.

— Patrick? — odezwała się miękko.

— Tak?

— Och! Myślałam, że usnąłeś.

— Tylko myślałem.

— O czym? — spytała, z ulgą siadając z powrotem na krześle. Nie odpowiedział. — Myślałeś o wojnie? To musiał być straszny szok. Byłeś taki młody.

— Myślałem o twojej twarzy.

- O mojej twarzy! — powtórzyła z nerwowym śmiechem.
- Uwielbiam na nią patrzeć. Jesteś piękna.
- Dziękuję. Myślę, że wyglądam jak moja matka. Albo przynajmniej wszyscy tak mówią. — Skrzywiła się, żałując, że to powiedziała.
- Jesteś ładniejsza.
- Ona była bardzo ładna!
- Masz wspaniałe ciało. — Podniósł głowę, by na nią popatrzeć.
- Co robiła, kiedy wróciłeś z Wietnamu? — spytała pośpiesznie.
- Natalie? To, co zawsze, latała jak jakaś... — Usiadł.
- Po raz pierwszy usłyszała, jak wymawia imię jej matki.
- Chodziliście nadal ze sobą, kiedy wróciłeś?
- Wróciłem? Kiedy wróciłem? Skąd?
- Z Wietnamu. Kiedy wróciłeś do domu!
- Do domu? Taa, zgadza się — powiedział, ugniatając czubek głowy obydwiema dłońmi, jakby go bolała. — Wróciłem do domu. Wróciłem, prawda? Ale tylko dla chwały, i tyle. Tylko po to. — Zachichotał. — Musisz mieć kogoś, komu możesz pokazywać swoje pieprzone medale.
- Musiałeś być dumny — odparła, nie mając pewności, czy zrozumiał jej pytanie.
- To było gównno warte, nic więcej. Gównno. Zwykłe gównno. Każdy dostawał medal. Ta wojna była po to, żeby rozdać wszystkie medale. — Roześmiał się.
- Więc wtedy nadal chodziłeś z Natalie? — Może jeśli obydwoje będą nazywali Natalie, będzie mu łatwiej.
- Miałem kolejne przeszczepy. To wszystko, co wtedy robiłem. Spytała, jak długo był w szpitalu.
- Przez kilka miesięcy — odparł, patrząc na nią.
- A ile byłeś w Wietnamie?
- Tyle samo. Kilka miesięcy.
- Ale w końcu musiałeś przyjeżdżać do domu. To znaczy, przyjechałeś wcześniej z wizytą, prawda?
- Potrząsnął głową, szczerząc zęby w uśmiechu.
- Ludzie mnie tam odwiedzali.
- A Natalie?
- Nie. — Znów się zaciągnął.
- Dlaczego? Dlaczego cię nie odwiedzała?
- A dlaczego miałyby to robić? Nic dla niej nie znaczyłem. — Uśmiechnął się.
- Ale musiała być wtedy w ciąży.

— Och. No, to może właśnie dlatego. — Zachichotał cicho do samego siebie.

Nie wierzyła mu, lecz musiała być cierpliwa.

Kapało z kranu nad zlewem. Agregat lodówki wyłączył się i kapanie stało się głośniejsze. Śmierdziały mu stopy. Tych niewiele ubrań, które miał, było szare i przybrudzone. Miał kłopoty finansowe, a jednak był właścicielem całego tego gruntu, ponad trzydziestu akrów. Na zewnątrz śnieżyca przeszła w deszcz ze śniegiem, który ściekał po szybach.

Spytała, co robił, gdy wrócił do domu ze szpitala.

— To samo, co teraz. Leżałem tu, popaliłem trawki. Wstawałem, wsiadałem do samochodu, popaliłem. Wracałem, popaliłem...

— Jaki miałeś samochód?

Uśmiechnął się.

- Thunderbirda z sześćdziesiątego piątego. Był czarny.

— Brzmi super.

— Taa. Mam gdzieś tutaj zdjęcie.

— Mogłabym je zobaczyć? Bardzo chciałabym je zobaczyć.

— Taa, kiedyś tam. Jeżeli w ogóle je znajdę — odparł, ponurym gestem wskazując otaczające go graty.

— A masz jakieś zdjęcia Natalie?

— Nie — rzekł stanowczym głosem. Bała się, że go rozzłościła.

— To zawsze wydawało się takie dziwne — ciągnęła szybko dalej, mając nadzieję, że wzbudzi jego sympatię. — Dorastałam, a wokół nie było prawie żadnych jej zdjęć. W całym tym wielkim domu zostało tylko jedno. Ciotka Arlene powiedziała, że po prostu było jej zbyt smutno na ich widok, ale to nie powinno mieć znaczenia. Powinni byli pomyśleć o mnie, o moich uczuciach.

Nic nie odpowiedział. Oczy miał zamknięte. Skręt leżał zgaszony w popielnicze.

— Patrick? — wyszeptwała. Spał. Zaniosła garnek po lasagni do kuchni, nalała do niego wody i odstawiła na ociekacz, by się odmoczył, podczas gdy zmywała naczynia, które leżały tu od dobrych kilku dni. Szorując, odwracała wzrok od wypchanego pudełka na półce przy jej głowie. Gdy skończyła, wstawiła talerze do metalowej szafki. Kusiło ją, by poprzestawiać naczynia na półkach, lecz on uznałby, że się tu panoszy. Mieszkał w tym rozpadającym się domu przez całe życie, prócz tych miesięcy, które spędził w Wietnamie i szpitalu dla weteranów. Minęło trzydzieści lat i gdzie teraz był? Co zrobił? Nawet nigdy już nie pojechał do Bostonu. W bardzo realnym znaczeniu tych słów, przestał żyć. Co wywołało

taką pustkę? Tyle nieszczęścia? Czy jej matka nienawidziła go tak bardzo, że znienawidziła też ich dziecko?

— Co z niej musi być za suka. Jaka zimna, samolubna suka! — wyszeptała, zdumiona radosnym podnieceniem, które wzbudziła w niej własna złość. Przez lata wyobrażała sobie pełen radości uśmiech powitania po latach, lecz teraz, gdy poznała Patricka, zdała sobie sprawę, że przez te wszystkie lata traciła tylko czas, tęskniąc za swoją matką. Nic dziwnego, że ludzie rzadko o niej mówili. Nic dziwnego, że jej ciotka i wujek wiercili się niespokojnie, słysząc jej natarczywe pytania i swoimi niejasnymi odpowiedziami celowo wprowadzali ją w błąd. Natalie Range nie była tragiczną, romantyczną postacią, lecz niedojrzałą, samolubną, młodą kobietą, która nie chciała podjąć odpowiedzialności za macierzyństwo. Zrobiła właśnie to, co powiedziała Donna Drouin: po prostu wycofała się i ruszyła przed siebie. Ale przecież musiała być przynajmniej ciekawa, co dzieje się z jej córką. Albo z Patrickiem.

Obejrzała się przez ramię, ściągając pudełko z półki. Położyła je na stole. Jeden list, kartka, wiadomość. Cokolwiek. Lecz natrafiła głównie na rachunki, niektóre sprzed nawet dziesięciu lat, sądząc po stemplach pocztowych na wyblakłych kopertach. W grubej, poplamionej tłuszczem, papierowej teczce znalazła nieważne talony sklepowe, gwarancje od tosterów i budzika z radiem, pokwitowania za dostawy paliwa olejowego, stare deklaracje podatkowe. Już zamykała teczkę, gdy rozpoznała odręczne pismo wujka Charlesa na odwrocie koperty pochodzącej z biura asesora miejskiego. Zerknęła nerwowo na nieruchomy kształt na otomanie. Zimnymi palcami usiłowała otworzyć kopertę. Wewnątrz znajdował się druk podatku gruntowego za zeszły rok, 4784 dolary za dom Patricka i trzydziestoczworoakrową działkę. Wujek Charles pisał: *Patricku, w załączeniu przesyłam ci to, co trzeba. A jeżeli znów wzrośnie w przyszłym roku, wtedy po prostu się tym zajmijmy. Nie martw się o to. C.*

— Co ty, do diabła, robisz? — żądał wyjaśnień stojący w progu Patrick. Miał czerwone oczy i krzywił twarz w świetle.

Wepchnęła teczkę do pudełka.

— To te zdjęcia. Myślałam, że może jakieś tu będą. — Wyciągnęła rękę, by wsunąć pudełko z powrotem na półkę, lecz on je chwycił.

— Nie ma tu żadnych zdjęć! — oświadczył, rzucając pudełko na stół.

— Nie ma, żadnych nie widziałam.

— Następnym razem zapytaj mnie!

— Powinnam była. Przepraszam. Już wychodziłam. Nie chciałam cię budzić.

— Nie spałem. Obserwowałem cię. — Wbijał w nią wzrok.
— Mój wujek zapłacił za ciebie w zeszłym roku podatki? — spytała, odpowiadając mu spojrzeniem.

— Robi to co roku.

— Dlaczego?

— A jak myślisz? — Próbował powstrzymać uśmiech.

— Nie wiem.

— Więc powinnaś go zapytać.

— Dlaczego nie mogę zapytać ciebie?

— Bo to tajemnica — odpowiedział, gdy się do niego zbliżyła. Położył jej dłonie na ramionach. Jego szczeciniasty zarost ocierał się o jej policzek. — Nie wolno mi tego powiedzieć — wyszeptał jej do ucha.

— Dlaczego? — spytała. Rozwarła szeroko oczy, czując we włosach jego gorący oddech.

— Jak myślisz, dlaczego?

Stała nieruchomo i starała się udawać, że jego brzuch nie przyciska się do jej talii, a jego pierś — do jej piersi, lecz gdy westchnął głęboko, nie potrafiła opanować złości.

— Nie baw się ze mną w żadne gierki! — krzyknęła, odpychając go. — Dlaczego nie odpowiadasz na moje pytania? Dlaczego nie możemy rozmawiać bez tych... tych chorych zagrywek? — Nareszcie. Powiedziała w końcu to, o czym nie była w stanie nawet myśleć. Próbowała odwrócić wzrok, lecz było to niemożliwe. Zrobiło jej się niedobrze.

Jego usta otworzyły się i zamknęły, gdy się ku niej zbliżał. Jego dłonie szukały jej po omacku.

— Kocham cię — powiedział w końcu, skonsternowany. — Wiesz, że tak jest. Mówiłem ci. Kocham cię! — ryknął, uderzając się z całej siły w pierś. — Kocham cię!

— Nie! Ty nie możesz! Nie w ten sposób! Jezu Chryste, Patricku, ty jesteś moim ojcem!

— Nie — jęknął. — Nie jestem. Nie jestem. Nie jestem. Ile razy muszę ci to powtarzać? Dlaczego mi nie uwierzysz? O Boże. — Zakrył twarz rękoma. — Boże, Boże, Boże.

— Pójdę teraz do domu. Nie paljuż. Nie wiem, może po prostu kompletnie się naćpałeś. Może to się właśnie stało. — Przebiegła obok niego do drzwi frontowych. — Pewnie nawet nie wiesz, co się dzieje — powiedziała, otwierając drzwi.

— Wiem, co się dzieje — warknął. Jego twarz wykrzywił grymas pogardy. — I ty też wiesz.

Wyszła na ganek i z trudem złapała powietrze, gdy uderzył w nią lodowaty deszcz. Nim zdążyła zamknąć drzwi, uderzyły z hukiem o ścianę. On już trzymał ją za nadgarstek. Szarpał, próbując wciągnąć ją do środka. Popchnął ją na ścianę i przycisnął się do niej gwałtownie.

— Patricku! Patricku, proszę... — zdołała krzyknąć, nim ustami przykrył jej wargi. Nie mogła poruszyć głową. Zaciśnął dłonie na jej gardle, a kciuki wbijał w jej szczękę. Chrząkał przy tym. Krztusiła się, czując w ustach jego język. Cofnął się trochę, lecz nadal trzymał ręce na jej szyi. Zamknął oczy i przycisnął czoło do jej czoła.

— Teraz masz już dowód, nie? — wydyszał. — Teraz już wiesz. Nie jestem twoim ojcem, przysięgam przed Bogiem. — Jedna jego ręka opadła z jej szyi i zsunęła się powoli wzdłuż jej boku, by spocząć na udzie. — Kocham cię. Wiesz, że cię kocham.

— Patricku, proszę, pozwól mi odejść. Muszę już iść. — W gardle zrobiło jej się tak sucho, że ledwie mogła mówić.

Cofnął się szybko.

— Poczekaj! — zawołał, gdy odskoczyła już na ganek. — Wierzysz mi? Tylko to mi powiedz.

Pobiegła do swojego samochodu i zablokowała drzwi, lecz gdy wyjechała na drogę, zobaczyła, że on nadal stoi na ganku i patrzy.

Dopiero gdy dotarła do miasta, mogła w końcu normalnie oddychać. Wciąż dotykała swojej szyi. Deszcz znów zmieniał się w śnieg i jezdnia stała się śliska. Bardziej niż zraniona fizycznie czuła się zbezczeszczona, czuła, że naruszona została najważniejsza dla niej więź. Pomyślała o Rudy. On by jej pomógł. Nie rozumiała, co się przed chwilą stało.

Dotarła do Dearborn Memorial i wjechała na parking. Popatrzyła na drzwi izby przyjęć. Nie potrafiła przemóc się, by wejść do środka. Przy wejściu silnik karetki pracował na wolnych obrotach. Za każdym razem, gdy kogut rzucał czerwone smugi światła na mokra szybę, krzywiła się, widząc własne zniekształcone odbicie. Była o wiele starsza, niż jej matka wtedy. Wciąż pamiętała, co mówiła Donna Drouin, a o czym nie chciała nawet myśleć. Czy on to zrobił? Czy ściał włosy jej matki? Czy uciekła od niego w przerażeniu?

Wszyscy ją ostrzegali, nawet Rudy. Lecz tak naprawdę nie była to wina Patricka. W swej samotności pomylił jej potrzebę i pragnienie, by sprawić mu przyjemność, z próbą uwiedzenia go. Nigdy nie chciał być jej ojcem, a teraz pragnął tylko zostać jej kochankiem. Czuła się równie winna, jak jej ciotka i wujek, którzy także wykorzystali jego samotność. Czy praca dla Patricka i płacenie za niego podatków od nieruchomości były

ceną za ich opiekę przez te wszystkie lata? Rocznym honorarium za jego zaprzeczenie, za niewtrącanie się? Byli silniejsi od niego. Płacili mu, by trzymał się z daleka. Zmusili go do zawarcia tego nikczemnego paktu. Wykorzystując jego słabość, odarli go z dumy i zredukowali jego uczucia do tej goryczy i pokrętnej nienawiści do samego siebie. *W porządku, możecie ją wychować, ale ja potrzebuję pomocy.* Tak musiał pewnie powiedzieć. Przez lata cena z pewnością rosła i Fiona stała się faktycznie polisą ubezpieczeniową Patricka. Nie wolno mu było powiedzieć jej prawdy, lecz nie mógł nic poradzić na to, że ją kochał. Pieniądze na wyjazd jej matki też pewnie pochodziły od nich. Pewnie nadal jej płacili, by trzymała się z daleka... Uruchoimiła samochód i ruszyła do domu.

Gdy przekreślała klucz w zamku, w mieszkaniu dzwonił telefon. Pewna, że to Patrick, chwyciła słuchawkę.

— Och! Fiono! — W głosie Elizabeth słychać było zaskoczenie. — To miała być moja ostatnia próba. Dzwoniłam do ciebie przez cały wieczór.

— Nie widzę żadnych wiadomości — odparła, sprawdzając sekretarkę. — Powinnaś była jakąś zostawić.

— Nie noszę zostawiać wiadomości. Nie lubię mówić do maszyny.

— Och, a wszyscy inni lubią, nie? — wypaliła.

Elizabeth zamilkła na chwilę. — Przepraszam — rzekła w końcu. — Myślę, że to samolubne z mojej strony, prawda? No, w każdym razie — ciągnęła z wymuszonym ożywieniem. — Mama chciała, żebym zadzwoniła. Uważa, że coś jest nie tak, bo nie jesteśmy w kontakcie. Ale powiedziałam jej, że to taka pora roku, i tyle. Taka byłam zajęta w szkole, no i bieganie, i wiem, jak bardzo ty byłaś zajęta.

— Ja? Nie byłam zajęta. Właściwie śmiertelnie się ostatnio nudziłam.

— Och. Teraz naprawdę czuję się winna. Ale było tyle tych wieczornych zebrań, że wydaje się, jakbym się niczym innym nie zajmowała przez tych ostatnich kilka tygodni.

— Och, naprawdę? A gdzie masz te...?

— Zebrania?

— No, jak zwał, tak zwał — odparła Fiona, nie starając się ukryć swojego obrzydzenia.

— W szkole! Właściwie to przedstawienie na Święto Dziękczynienia zabiera najwięcej czasu. Ale po prostu tak to jest, kiedy stoisz na samym dole drabiny. Nie proszą cię. Wyznaczają. — Westchnęła. — Ale to świetna zabawa! Naprawdę. Nie powinnam narzekać. Kocham moją klasę.

Dzieciaki są takie milutkie. Szczególnie bliźniaczki — opowiadałam ci o bliźniaczkach, prawda?

— Taa, opowiadałaś — odparła, ziewając. Rudy musiał pewnie słuchać tej bezmyślnej, gównianej paplaniny przez cały czas. A jednak właśnie ta prostota, ta naturalna czystość przyciągała ludzi do Elizabeth. Jak piękny kryształ, była traktowana inaczej niż wszyscy inni — z bezwarunkową troską i uznaniem. Dzięki swej słodkiej naturze zdawała się jeszcze delikatniejsza. Należała do tego rodzaju kobiet, na myśl o których inne kobiety przewracały oczami, lecz skrycie im zazdrościły, do tego rodzaju kobiet, które mężczyźni boją się narazić na szwank.

— Cóż, nie będę cię zagadywać. Masz zmęczony głos — odezwała się Elizabeth.

— I jestem zmęczona — zgodziła się Fiona.

— Nie zapomniałaś o tym piątkowym przyjęciu, prawda? — spytała Elizabeth, a Fiona odparła, że nie. — Dobrze! Więc będziemy miały świetną zabawę! — dodała z radosnym drżeniem w głosie, pod którym Fiona rozpoznała strach.

— Będzie Rudy? — spytała.

— Tak. No, w każdym razie tak mówi — odpowiedziała Elizabeth, tłumacząc, że miał nie przyjść, lecz w końcu znalazł kogoś na zastępstwo w szpitalu. Wydawała się tym niemal rozdrażniona.

— To dobrze. Prawda? — Nie mogła oprzeć się pokusie, by to dodać, rozciągając przewód telefonu aż do lustra w łazience.

— No, w każdym razie — ciągnęła Elizabeth, ignorując ją — mama zastanawiała się, czy czegoś nie potrzebujesz — pieniędzy, ubrań, podwózki, czegokolwiek

— Tak. Randki. Powiedz jej to. — Dotknęła swojej szyi. Była ciągle obolała. Przyglądając się uważnie, widziała tylko kilka czerwonych plam.

Elizabeth zaśmiała się. — Nie martw się. Będzie pełno starych sędziów. Obawiam się, że aż za wielu.

— Właściwie to — zaczęła Fiona, szczerząc zęby w złowrogim uśmiechu do swojego odbicia — postanowiłam zaprosić George'a. — Przerwała. — Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

— Cóż, ja... To znaczy, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, wołałabym, żebyś tego nie robiła.

— Dlaczego? — Chociaż było to okrutne, męka jej kuzynki, która teraz wierciła się i skręcała, zdawała się zadośćuczynieniem za to, co właśnie się stało. Wciąż dotykała swojego gardła, a teraz podbródka, gdzie najbardziej bolało.

— Nie wiem. Będę się po prostu czuła skrępowana, i tyle. Na pewno jest mnóstwo innych facetów, których mogłabyś zaprosić. Wiesz, że tak.

— Ale dlaczego? Nadal mi tego nie powiedziałaś — upierała się, wzdrygając się na prawdziwe znaczenie słów Elizabeth: mnóstwo facetów, z którymi spałaś, Fiono. — Dlaczego miałabyś czuć się skrępowana?

— No, właściwie nie tylko ja. Rudy też.

— To jest bez sensu, Lizzie. Co to może obchodzić Rudy'ego, że George ze mną przyjdzie? Poza tym, czy nie byliście w zeszłym tygodniu we trójkę w Orchard House? Ja tylko potrzebuję kogoś, kto mi będzie towarzyszył. — Przerwała. — Kogoś bezpiecznego. Nie odmówisz mi tego, prawda? — Wsłuchując się w ciszę, czuła, jak jej kuzynka wszelkimi siłami powstrzymuje łzy.

Cichy głos Elizabeth przypłynął z wielkiego oddalenia. — Dlaczego to robisz?

— Co?

— Stawiasz mnie w takiej sytuacji.

— O czym ty mówisz?

Elizabeth zaczerpnęła głęboko powietrza.

— Myślę, że doskonale wiesz, o czym mówię. — Głos jej drżał. — I zaskoczyłaś mnie, Fiono. Wiesz, że przeżywam ostatnio ciężkie chwile. Naprawdę ciężkie chwile, ale staram się nad tym wszystkim panować. Przynajmniej do końca świąt i do ogłoszenia nominacji taty. A teraz, kiedy Ginny jest w ciąży... och, chcę tylko, żeby mama i tato byli spokojni i szczęśliwi. Tylko tego chcę.

Teraz Fiona zamilkła. Nikt nawet nie pokwapił się jej powiedzieć, że wujek Charles otrzymał urząd sędziego. Nie da się zbić z tropu.

— Cóż, może jedna osoba nie powinna aż tak wiele pragnąć, Lizzie. Może jedyne, co każdy powinien naprawdę zrobić, to zbudować własne szczęście. A potem wszystko się jakoś ułoży.

— Gdyby to tylko było takie proste.

— Może takie być! Ale musisz być wierna własnym uczuciom, Lizzie. Zawsze martwisz się o wszystkich innych. Jeżeli ty i Rudy przechodzicie ciężkie chwile, nie czekajcie, zróbcie coś z tym. Wyłóżcie karty na stół. To powinna być teraz dla ciebie najważniejsza sprawa. Zapomnij o przedstawieniu na Święto Dziękczynienia i o całym tym gównie. I co z tego, jeśli nawet święta będą zepsute? Kogo to, do diabła, obchodzi! Wszyscy jesteśmy dorośli! A co, jeśli nie będzie to najbardziej słoneczny i najszczęśliwszy dzień, kiedy ogłoszą nominację. To co? A co z dzieckiem Ginny? Dobrze, jest w ciąży — świetnie, ale to ich sprawa, a nie twoja!

— Chodzi o Boba. On i Ginny znów mają problemy.

— Taa? I co? — odparła z lekkim prychnięciem. — Zawsze je mają. I dalej będą mieli. Ale co to ma wspólnego z tobą, Lizzie?

— Chodzi o mamę i tatę. Wydają się ciągle tacy zdenerwowani, tacy zestresowani. Szczególnie tato. Martwi się o ciebie.

— No, to jego problem, nie?

— Nie, właśnie o to mi chodzi. To nie takie proste. Musisz myśleć o innych ludziach, Fiono. To jakbyś wrzuciła kamień do stawu. Ból dotyka wszystkich, rozchodzi się, jak zmarszczki na powierzchni wody.

— Jakich wszystkich?

— Chodzi mi o nas wszystkich. Wszyscy jesteśmy ze sobą związani.

— Wy wszyscy — być może, ale jestem pewna jak cholera, że ja ostatnio nie czułam się z wami zbyt związana.

— A czyja to wina, Fiono? — odparowała Elizabeth wysokim, zgrzytliwym głosem.

— Zaczekaj chwilę! Więc chodzi o to, że to moja wina.

— Ja tego nie powiedziałam.

— Oczywiście, że moja! Kamienie? Zmarszczki na wodzie? Jezu Chryste, Lizzie! Powiedz mi, kto zrobił z ciebie tę pieprzoną wyrocznię całej rodziny? Jak ty to mówisz: ja wywołuję wszystkie kłopoty, a wy musicie to wszystko porządkować...!

— Ja tego nie powiedziałam.

— Nie, ja to zrobiłam. To, co mówisz, to brednie. Kompletne bzdury, bo ty nigdy nie mówisz tego, co naprawdę masz na myśli, prawda? Powiem ci coś, Lizzie. Mogę być rodzinnym nieudacznikiem, ale przynajmniej uczciwie się do tego przyznaję! Nie staram się unikać własnych problemów, skupiając się na problemach wszystkich wokół!

— W porządku, Fiono. Nie oczekiwałam, że zrozumiesz. Nigdy nie rozumiałaś.

— Tak, masz rację, Lizzie! Nigdy nie rozumiałałam. Do cholery z tobą! Do cholery z wami wszystkimi! — Trzasnęła słuchawką. Nie rozumiała tylko, dlaczego znów siedzi sama w tym ciasnym mieszkaniu. Obojętnie, jak bardzo się starała, mogła dojść tylko tutaj, nim ściągnęła ją z powrotem niewidzialna pętla.

Rozdział 14

Obudził ją łoskot ciężarówek posypujących piaskiem błyszczące jezdnie. W świetle wschodzącego słońca drzewa, krzaki, skrzynki pocztowe, linie wysokiego napięcia i samochód Fiony lśniły od lodu. Była już spóźniona do pracy, gdy udało jej się w końcu otworzyć zamrożone drzwi i wyskrobać okrągłe okienko w przedniej szybie.

Tylko jeden klient popijał kawę w boksie od tyłu. Stojące przy kasie Maxine i Donna Drouin chichotały, przeglądając katalog z bielizną.

— Dzień dobry! — zakrzyknęły chórem, gdy Fiona sięgnęła nad kontuarem po bloczek.

— Taa, mam nadzieję — wymamrotała. Ostatnim, czego teraz potrzebowała, był leniwy dzień i mnóstwo czasu na rozmyślanie.

— No może i tak, jeśli zdobędziesz się na trochę uśmiechu na tym kwaśnym ryjku! — odparła Donna, mrugając do niej.

Podniosła wzrok znad bloczka.

— Co to, do cholery, ma znaczyć?

— Ona żartuje! — tłumaczyła pośpiesznie Maxine. — Znasz Donnę, ona tylko żartuje.

— Taa, i znasz Fionę, ona tylko nie jest w nastroju do żartów — odparła.

— Kiepska noc? — spytała Donna, wydymając wargi w zatroskaniu. Przynęła się do niej ukradkiem. — Naprawdę wyglądasz na zmęczoną.

— Ledwie spałam — odparła Fiona, przewracając stronę w katalogu. Modelki miały na sobie skąpe biustonosze i majteczki. W niektórych pozach przechylały się do tyłu, wsparte na rękach, z rozłożonymi szeroko nogami. Przypominając sobie, co zdarzyło się zeszłej nocy u Patricka, zadrzała, ogarnięta falą wstydu i poczuciem winy. Spędziła tyle samo czasu, przygotowując się do spotkania z nim, co gdyby szykowała się na randkę. Bardziej zależało jej na tym, by był zadowolony z niej samej, niż

na tym, by sprawić mu przyjemność kolacją i poświęceniem mu uwagi. Chciała być podziwiana, chciała, by jej potrzebował, by poczuł, co stracił przez te lata, by pragnął jej teraz w swoim życiu. Było to uwiedzenie, lecz emocjonalne, nie seksualne, i diabelnie się nie powiodło.

— Więc jak on ma na imię? — zapytała Donna niskim, seksownym głosem.

— Kto?

— Ten facet. Ten, przez którego ledwie spałaś — nie ustępowała Donna.

— Nie było żadnego faceta! Nie wiem, o czym mówisz.

— A to było takie oczywiste! — odezwała się piskliwym głosem Maxine.

— Mój Boże? Nie wiesz co?! — wykrzyknęła Donna, pokazując palcem. Nachyliła się do niej. — Twoja szyja — cała jest czarna i niebieska, i na podbródku też!

Fiona błyskawicznie podniosła dłoń do szyi.

— To tylko jakaś dziwaczna wysypka. Nie mam pojęcia, co to jest. — Dziś rano bolały ją ramiona i szyja.

— To są siniaki — odparła Maxine, wychodząc zza kontuaru. Szczękaj jej opadła. — Tak! Popatrz — powiedziała do Donny.

— No, kto to jest? — Donna przysuwała i odsuwała głowę, starając się dokładnie przyjrzeć szyi Fiony. — Jakiś dziwny facet, który lubi ostry seks? Widziałam coś takiego któregoś dnia w telewizji. Można umrzeć, kiedy robi się niektóre z tych rzeczy!

— Nie bądź śmieszna! Nic takiego się nie stało. Nie miałam wczoraj wieczorem randki. To naprawdę jakaś dziwna wysypka. Obudziłam się z tym — odparła, świadoma uważnego spojrzenia Maxine.

— Albo ktoś próbował udusić cię we śnie — odezwała się Donna ze śmiechem, gdy pędziła skasować klienta.

Maxine dotknęła jej ramienia.

— Ktoś ci to zrobił, prawda? — wyszeptwała. Jej oczy o wytuszowanych rzęsach zrobiły się malutkie ze strachu.

— Ależ nie! Oczywiście, że nie! — upierała się.

— To był Patrick — powiedziała Maxine, wpatrując się w jej szyję. — On ci to zrobił...

W kawiarni zrobił się przeciąg, gdy drzwi otworzyły się i do środka weszło trzech mężczyzn. Prawnicy z pobliskich biur. Zawsze prosili, by pozdrowić od nich wujka. Stanęli przy kasie, zdejmując płaszcze i czekając, by Maxine poprowadziła ich do stolika.

— On jest szalony — ostrzegła Maxine. — I to nie są tylko puste słowa.

To nieprawda — pomyślała Fiona, patrząc, jak prowadzi mężczyzn do ich stolika. Nie był szalony, tylko tak strasznie samotny i zdezorientowany, że nie wiedział, jak kochać, więc pokochał ją nie tak, jak powinien. Nie mogła tak po prostu odejść. Nie mogła opuścić własnego ojca, nie po tym, jak przez te wszystkie lata chciała, by pojawił się w jej życiu. Nie wtedy, gdy potrzebował jej pomocy.

Gdy wróciła z pracy do domu, na sekretarce były nagrane dwie wiadomości. W pierwszej Patrick schrypniętym głosem prosił, by do niego zadzwoniła. A w drugiej, nagranej niedługo później, mówił, że przeprasza, „bardzo przeprasza”, i szybko się rozłączył. Stała teraz przy telefonie. Dwa razy zbliżała dłoń do słuchawki i pośpiesznie ją cofała.

Nadeszło późne popołudnie i na dworze było już ciemno, że oko wykol. Nienawidziła tych miesięcy, tego wilgotnego, przenikającego do kości zimna, tej stwardniałej, martwej ziemi. Najkrótsze dni miały jeszcze nadejść. Noce miały się stać jeszcze dłuższe, ciemności — głębsze. Przesunęła ręką po szyi i jeszcze raz pomyślała z goryczą o wujku, o nich wszystkich, którzy mieli tak wiele, ponieważ mieli siebie nawzajem. Jednak wszystko to było takie fałszywe. Elizabeth wolała żyć w kłamstwie, niż zdenerwować rodziców. Po to, by byli szczęśliwi, trzeba było ukryć prawdę, zaprzeczyć jej, zniszczyć ją.

Włączyła światło i wybrała numer George'a Grimshawa. Uśmiechnęła się do siebie, gdy szybko podniósł słuchawkę. W jego głosie zabrzmiało napięcie, gdy usłyszał jej imię. Małe rozczarowanie. Widocznie czekał na telefon od Elizabeth. Nie wydawał się zaskoczony zaproszeniem na przyjęcie. Fiona uświadomiła sobie, że Elizabeth ostrzegła go i pewnie zabroniła mu je przyjąć. Fiona oświadczyła, że to byłoby całkowicie platoniczne i przypomniała mu o jego dawnej propozycji, że będzie jej towarzyszył, gdy tylko będzie tego potrzebowała.

— I nie martw się, to nie będzie randka. Po prostu mam już dosyć chodzenia wszędzie samotnie. Wiesz, o co mi chodzi? — dodała.

— Taa — odparł z westchnieniem. — Taa, wiem.

— No, to co myślisz?

— Nie wiem. Nie chciałbym, żeby Lizzie się wściekła albo czuła się niezręcznie.

— Dlaczego miałyby się czuć niezręcznie?

— No, wiesz — odparł tak cicho, że ledwie dosłyszała.

— No, co się stało, to się stało. Jak sam powiedziałeś, George, takie były okoliczności. — Chciała to rzucić bezceremonialnie, lekko, lecz niemal dławiła się gniewem. Więc na tym polegał podstęp. Taka była przyczyna. Spali ze sobą, a jedna zdrada była odpowiedzią na drugą.

— No, wiem.

— Dla mnie nie ma już żadnego problemu. Więc ty lepiej też przestań się tym przejmować. A jeśli nie, to wiesz, jaka jest Lizzie — dodała, zawieszając dla efektu głos. — To mogłoby się ciągnąć w nieskończoność.

Nie odpowiadał. Czuła, że się waha.

— I kiedy spotkacie się w jednym domu starców, też się będziecie unikali. — Roześmiała się. — Już was widzę: obydwójce wychodzicie z za rogu, szurając nogami, na swoich chodzikach, a potem obydwójce odwracacie się i próbujecie, powłócząc nogami, rozejść się w przeciwnych kierunkach najszybciej, jak tylko możecie.

Nabrał głęboko powietrza, lecz wciąż milczał.

— Wiem! Zrobimy jej niespodziankę — ciągnęła. — Pomyśli, że to zabawne. Wiesz przecież, że tak. Odczuje ulgę, że ty tam jesteś i że właściwie nie musiała cię zapraszać, czy co tam, bo ty wiesz, że ona naprawdę chce, żebyś przyszedł. Naprawdę chce. No, choroba, jesteście przecież starymi przyjaciółmi — dodała, przewracając oczami. Zaczynała się już płatać w zawiłościach swojej argumentacji.

— Ale co z tym narzeczonym? — spytał George.

— On ma imię, George.

— Taa, Rudy — burknął. — Co z nim?

— A dlaczego miałoby go to obchodzić? To ja cię zapraszam. Poza tym — ciągnęła dalej, krzywiąc się na to kłamstwo. — Z tego, co ostatnio słyszałam, może będzie musiał zostać w pracy...

No i się udało. Ona i George mieli pójść razem na przyjęcie. Zapewniła go, że Elizabeth nie będzie się denerwować, i przygryzła wargę, by powstrzymać śmiech. By uniknąć jazdy furgonetką George'a, zaproponowała, że ona zawiezie go na przyjęcie. Ręka jej drżała, gdy odkładała słuchawkę, i przez chwilę zastygła, patrząc na ścianę.

— Co ja robię? — zastanawiała się, oddychając głęboko, by się uspokoić. Dlaczego jej mdlący gniew zmienił się tak nagle w mrozący krew w żyłach strach? To przecież nieszkodliwe i w końcu Elizabeth będzie jej wdzięczna. Mówiła tak do siebie, starając się zapomnieć wyraz twarzy swej kuzynki tamtego ranka w progu sypialni. Zaczął dzwonić telefon. Wyłączyła sekretarkę, na wypadek, gdyby dzwonił George, by powie-

dziecjej, że zmienił zdanie. Telefon wciąż dzwonił. Zamknęła oczy i podniosła w końcu słuchawkę, lecz nikogo nie było na linii.

Nachyliła się potem do lustra w łazience. Była zszokowana widokiem różnokolorowych plam na swojej szyi. Patrick zostawił na jej ciele coś więcej niż odcisk palców. To był tatuaż jego frustracji i niekontrolowanej siły, zapis ich rozłąki, niezatarty ślad jego bólu, odrażający dowód na to, jak niewiele mogła się po nim spodziewać.

— Nieprawda — wymamrotała i zgasiła światło. Nie pozwoli, by znów ją odrzucono. Jego wściekłość mogła bronić go przed innymi, lecz nie przed nią. Siniaki na jej podbródku da się ukryć pod makijażem, lecz te na szyi były zbyt ciemne, by je zatuszować.

Na piątkowy wieczór musiała kupić sukienkę z wysokim kołnierzem. Zdjęła uniform i szybko założyła spodnie i sweter, by pojechać do centrum handlowego. Chwyliła z szafy kurtkę. Musiała się stąd wydostać. Musiała być ciągle zajęta. Nie chciała już więcej myśleć ani o Patricku, ani o swojej kuzynce... Podniosła nagle wzrok. Czy zadzwoniła do George'a z powodu tego, co zrobił jej Patrick Grady? Czy chciała zranić Elizabeth, bo sama została zraniona? Czy była aż tak pokrecona i okrutna? Oczywiście, że nie. Kochała kuzynkę i próbowała jej tylko pomóc. Zatrzymała się w progu, gdy zaczął dzwonić telefon. Jeżeli to George, powie mu, że miał rację. Nie powinien przychodzić. Wbiegła do mieszkania.

— Halo?

— Fiona! — odezwał się z ulgą w głosie Patrick. — Chcę z tobą porozmawiać. Muszę. Czy możesz przyjechać? Muszę cię zobaczyć.

— Nie mogę. Muszę akurat coś zrobić — odparła tak obojętnym tonem, na jaki tylko mogła się zdobyć. Ręce jej się trzęsły.

— Proszę, tak mi przykro. Naprawdę. Proszę, uwierz mi. Tak strasznie mi przykro.

Wzięła głęboki oddech.

— Przeraziłeś mnie.

— Wiem. Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć. Nie chciałem tego.

— No, ale to zrobiłeś i sprawiłeś mi ból. — Dotknęła swojego gardła. — Powinieneś zobaczyć, jakie zostawiłeś ślady.

— Nie chciałem sprawić ci bólu. Przysięgam, że nie chciałem. Kocham cię, Fiono.

— Nie! Nie mów tego! Nie możesz tak mówić!

— Ale tak, jak powinienem. Tak, jak ty chcesz, o to mi chodzi, tylko tak.

— Więc dlaczego to się stało? Czy to przez trawkę? Nie rozumiem.
— Proszę! Proszę, przyjeźdź.
— Nie mogę. Nie dzisiaj. Może jutro.
— Dlaczego? — nalegał. — Dlaczego nie? Masz randkę czy co? —
Od sposobu, w jaki wypluł z siebie słowo „randka”, włosy stanęły jej dęba.

— Nie. Muszę jechać na zakupy. Muszę coś kupić.
— No, to wstąp tutaj, jak będziesz wracać. Proszę. Och, proszę, Fiono — błagał. — Tylko na kilka minut. Nie będziesz musiała nawet zdejmować płaszcza. Możesz nawet zostać na ganku, jeśli chcesz. Muszę cię tylko zobaczyć. Muszę!

Ból w jego głosie rozbroił ją. Czuła się winna i powiedziała, że spróbuje. Kiedy? — chciał wiedzieć. Może koło pół do dziesiątej, kiedy zamykają centrum handlowe. Dodała szybko, że mogłaby zostać tylko na kilka minut. Nasłuchiwała słów pożegnania, lecz usłyszała tylko jego gniewne mamrotanie, gdy odkładał słuchawkę.

Oczy ją piekły, bolały plecy, a włosy miała w nieładzie po przymierzeniu tych wszystkich sukienek, lecz w końcu znalazła jedną, z wysokim kołnierzem, która jej się spodobała. Była czarna i krótka, z odkrytymi plecami. Czekwała w kolejce do kasy w dziale z sukniami wieczorowymi w Filene's. Właśnie obwieszczono przez głośniki, że sklep zostanie zamknięty za dziesięć minut. Była na zakupach przez prawie trzy godziny. Żałowała, że powiedziała Patrickowi, że do niego wstąpi. Gdy spojrzała na zegarek, zdała sobie sprawę, że pewnie nie dotrze tam nawet przed dziesiątą. Była wciąż zbyt wyczerpana po wczorajszej nocy, by sprostać jakimkolwiek jeszcze emocjonalnym zawirowaniom. Znajdzie po drodze do wyjścia automat i zadzwoni do niego. Zobaczy się z nim jutro, w drodze z pracy do domu. Kiedy jeszcze nie będzie za bardzo naćpany.

Zapłaciła za sukienkę i zbiegła po ruchomych schodach do rzędu automatów telefonicznych przy wyjściu.

Patrick zezłościł się, gdy powiedziała, że jest zbyt zmęczona, by przyjechać. Odparł, że liczył na spotkanie z nią. Przez ostatnią godzinę wyglądał przez okno za każdym razem, gdy przejeżdżał jakiś samochód.

— Przepraszam — powiedziała, myśląc, że może jednak mogłaby zatrzymać się koło niego na parę minut. Usunęła swoją torbę z drogi, gdy grupa klientów skupiła się w pobliżu, czekając, aż ochroniarz otworzy drzwi i wypuści ich na zewnątrz.

— Gdzie jesteś? — spytał.

Niespokojny tłumek wciąż się powiększał. Czy były to wytyczne centrum handlowego, czy też własna dziwaczna praktyka tego starszego ochroniarza, mężczyzna nie chciał otworzyć drzwi, nim nie zebrała się wymagana liczba osób.

— Mówiłam ci. W centrum handlowym — oznajmiła. — Zamykają teraz.

— Z kim jesteś?

— Z nikim. To znaczy, stoję obok grupki ludzi, którzy czekają, żeby wyjść. — Odwróciła się, gdy ktoś klepnął ją w ramię. Rudy Larkin uśmiechał się zza naręcza toreb. Pomachała do niego.

— To śmieszne! — wściekała się jakaś kobieta, a inni wymamrotali słowa poparcia.

— Ratunku! Ratunku, jesteśmy zakładnikami! — krzyczał jakiś nastolatek głośnym falsetem. Stojący przy drzwiach ludzie roześmieli się.

— Podjadę jutro — powiedziała, odpowiadając Rudy'emu uśmiechem. Dolną połowę koszuli miał rozpiętą, a włosy — nieuczesane.

— W porządku, nie musisz — odparł Patrick.

— Ale chcę. — Podniosła już torbę.

Ochroniarz rozmawiał z kimś przez telefon komórkowy. Powiedział coś do telefonu, a potem odwrócił się i otworzył drzwi. Oczekujący tłum wypłynął obok niego na zimny, jasno oświetlony parking.

— To o której? — spytał Patrick.

Rudy znów poklepał ją w ramię i pomachał jej na pożegnanie.

— Do zobaczenia — zawołał cicho. — Zobaczymy się na przyjęciu?

Gdy się odwrócił, wyciągnęła rękę i chwyciła go za rękaw. Podniosła palec, prosząc, by zaczekał. Stał, słuchając, gdy zapewniała Patricia, że wstąpi zaraz po pracy. Na pewno myślał, że umawia się na randkę.

— I nie dzwoń w ostatniej chwili, żeby powiedzieć, że nie przyjdiesz. Nie potrzebuję więcej tych cholernych bredni, wiesz o tym — ostrzegł Patrick.

— Hej, proszę pani! — Ochroniarz wskazał na swój zegarek.

— Że co? — nalegała, odwracając się plecami do Rudy'ego. Czuła, jak twarz oblewa jej rumieniec. — Co powiedziałaś?

— Słyszałaś mnie — warknął Patrick.

Zamilkła.

— Masz rację. Słyszałam — odparła i odwiesiła słuchawkę.

Wyszła na zewnątrz z Rudym. Czuła dziwny zawrót głowy, jakby kręciła się w przyprawiającym o mdłości kręgu, nim wysłano ją w to lodowate, nocne powietrze. Ona i Rudy zaczęli opowiadać sobie, jak bardzo byli

zmęczeni i jak nienawidzili robić zakupów. Żadne z nich nic dziś wieczorem nie jadło. Chórem oznajmili, jak bardzo są głodni.

— No to proste — orzekł wtedy Rudy. Powinni pójść coś zjeść, i to natychmiast. Zaproponowała Pacer's. Rudy pojechał za jej samochodem. Gdy dotarli na miejsce, na sali i przy barze był komplet gości. Trzeba było czekać pół godziny, więc stali w zatłoczonym przedsionku, przyciśnięci, ramię do ramienia, krzycząc do siebie, by móc się usłyszeć w dymie i gwarze.

Rudy wyglądał na zadowolonego. Kupił właśnie spodnie i koszulę, i parę butów. Określił siebie jako patologicznie niepewnego klienta. Za każdym z niewielu razów, gdy wybrał się na zakupy z matką, ta uciekała w końcu ze sklepu, by poczekać na niego na zewnątrz.

— Miała klaustrofobię? — spytała Fiona. — Czy agorafobię?

Uśmiechnął się.

— Jakaś tam fobię.

— Więc marnie by się tu czuła! — krzyknęła.

— Właściwie to pewnie by jej się tu podobało — odparł, rozglądając się dookoła. — Miała kłopoty z podejmowaniem decyzji i z radzeniem sobie z pojedynczymi ludźmi.

Czy dlatego był nadal taki cierpliwy wobec Elizabeth? Bo przypominała mu własną matkę?

— Jestem zaskoczona, że Elizabeth się z tobą nie wybrała! — krzyknęła mu do ucha. — Ona zawsze... — Przerwała. — Ona zawsze dobrze bawiła się na zakupach. — Prawie poinformowała go, że Elizabeth zawsze chodziła na zakupy z Georgem, gdy ten czegokolwiek potrzebował. W liceum, wszystko, co posiadał George, nawet jego skarpetki, wybierała Elizabeth.

Rudy coś powiedział, ale ona dotknęła ucha i potrząsnęła głową, by pokazać mu, że nie usłyszała. Weszło sporo nowych ludzi, a hostessa wywoływała nazwiska tych, na których czekały już stoliki.

— Miała się wybrać — krzyknął, opierając dłoń na ścianie i pochylając się nad nią, by ludzie mogli się obok nich przedostać. — Ale potem powiedziała, że czuje się winna, bo za mało pomaga swojej matce!

— Zawsze czuje się winna! — odparła Fiona z szerokim uśmiechem.

— Co? — zawołał, zbliżając do niej twarz i zamykając oczy, jakby dzięki temu mógł ją lepiej słyszeć.

— Nic! — powiedziała mu do ucha, świadoma tego, że muska policzkiem jego policzek. Odsunęła się sztywno.

— Oznajmiła mi, że dostała ogromną listę! Rzeczy, które musiała zrobić jej matka, a na które nie miała czasu! — Wyprostował się i rozejrzał wokół z uśmiechem. — Jedzenie musi być tu całkiem niezłe! — krzyknął. — Sądząc po tym tłumie! — Znów się do niej nachylił. — Umieram z głodu! Nic nie jadłem od śniadania!

— Więc chodźmy gdzie indziej! — odkrzyknęła. — Po co czekać, jeśli umierasz z głodu!

— Nie, tu jest świetnie! Podoba mi się tutaj! Ten cały hałas i ci wszyscy ludzie! Wspaniale się dzięki temu czuję!

— No tak, zapomniałam. Jesteś facetem z wielkiego miasta! — zawołała, a on się roześmiał.

Obserwował, jak wysoka, młoda kobieta w kowbojkach i zamszowej kurtce z frędzlami pstryka palcami i tańczy w rytm ryczącej muzyki.

— Lubię patrzeć na tańczących ludzi! — oświadczył, obracając się do Fiony. — Sam mam dwie lewe nogi, ale mógłbym tak patrzeć przez całą noc! — Znów oparł dłoń o ścianę. — Założę się, że jesteś dobrą tancerką, zgadza się?

— Cholernie dobrą! — odparła, lecz on jej nie usłyszał, więc przysunęła się bliżej. — Cholernie dobrą! — krzyknęła, znów ocierając się policzkiem o jego twarz. Tym razem uśmiechnął się szeroko tak uszczęśliwiony, że przez chwilę nie potrafiła odwrócić wzroku.

— Pokaż! No, pokaż mi jakieś kroki! — zachęcał, pstrykając palcami.

Uniosła ręce i obróciła się, wijąc się przesadnie. Obydwoje się roześmieli.

Pochylił się do niej z wyrazem troski. Dotknął jej podbródka.

— A co to takiego? — Odchylił jej głowę odrobinę do tyłu.

— Och, siniak, tak sądzę. — Wyswobodziła się. — Nabiłam go sobie w pracy.

— Tutaj też masz jednego. — Zmrużył oczy, zginając się trochę, by przyjrzeć się jej szyi z obu stron.

— Taa. Wiem. Dziwi cię? — Podciągnęła wyżej kołnierz.

W godzinę później ich stół ugiął się od talerzy. Żadne z nich nie pamiętało, kiedy ostatnio tak dużo zjadło. Fiona była pełna, jej apetyt rósł wraz z przyjemnością, jaką dawało jej jego aprobujące spojrzenie. Każdy jej kęs, słowo i gest zdawały się go zachwycać. Spróbował kawałek jej fajty z kurczakiem, a potem przewrócił oczami i poprosił o jeszcze trochę. Zgodziła się, lecz tylko w zamian za jeszcze jedno żeberko, które wydziełał po jednym za każdym razem, aż w końcu kupka kostek na jej talerzu

była równie wysoka, jak ta na jego. Ze śmiechem wskazał na lepki sos barbecue na jej brodzie. Odparła mu, żeby pilnował własnej. Jedzenie zmieniało się w rywalizację. Poprosił o dokładkę dzikiego ryżu, więc ona też to zrobiła. Potem zamówiła czarną kawę z gałką lodów waniliowych. To samo czarne z białym — oświadczył wtedy. A gdy kelnerka przyniosła potem jeszcze kartę deserów, oboje wybuchnęli śmiechem i zamówili dwa kawałki ciasta z kremem czekoladowym.

— Lepiej nie róbmy tego następnym razem — jęknęła Fiona, człapiąc powoli do wyjścia.

— Dlaczego? — spytał, przytrzymując dla niej drzwi. — Coś nie tak?

— Nie, tylko że niedługo ważyłabym z dwieście funtów. Dzięki tobie to wszystko wydaje się zbyt zabawne.

— No, powinno chyba być zabawne, prawda?

— Może raz na jakiś czas — odparła, idąc z opuszczoną głową i starając się omijać oblodzone miejsca między samochodami.

— Dlaczego? Dlaczego nie bawić się dobrze przez cały czas? — spytał, gdy zatrzymała się przy swoim samochodzie.

— Doktorze Larkin! Jestem w szoku! Nie wiedziałam, że moja kuzynka jest zaręczona z hedonistą.

— Jestem tak daleki od hedonizmu, że to aż śmieszne — odparł cicho. Położył rękę na dachu jej samochodu. — Myślę, że śmiałem się dziś wieczorem więcej niż przez cały czas, odkąd przyjechałem do Dearborn.

— Och, taa? — Podniosła na niego wzrok. — A jak sądzisz, dlaczego?

— Dlaczego? Dlaczego dziś wieczorem? Czy dlaczego, odkąd przyjechałem do Dearborn?

Wzruszyła ramionami.

— I to, i to.

Z gorzkim chichotem walnął trzy razy w dach wozu.

— Dzisiaj wieczorem była świetna zabawa. Jasna i prosta sytuacja, żadnych ukrytych intencji. Ani przez chwilę nie martwiłem się, że mógłbym powiedzieć coś niewłaściwego albo że ty mogłabyś wybuchnąć płaczem bez żadnego widocznego powodu. — Westchnął. — Myślę, że odpowiedziałem już na oba pytania. — Poklepał ją po ramieniu. — To nie w porządku. Przepraszam. Nie chodziło mi o to, by stawiać cię w kłopotliwej sytuacji.

— To ty jesteś w trudnej sytuacji.

Popatrzył na nią, otwierając i zamykając usta. Był sfrustrowany.

— Zamierzamy po prostu dostosować się do tej sytuacji, że tak powiem, Lizzie i ja. — Spróbował się roześmiać. — Żadnej presji. Wydaje mi się, że to jest teraz hasłem dnia. Ja tylko sobie tutaj jestem, wiesz, i nie powinienem mieć żadnych szczególnych oczekiwań czy... — Westchnął i potrząsnął głową.

— Czy czego? Potrzeb?

Spojrzał na nią i skinął głową.

— Coś w tym rodzaju.

— Czy aż tak ją kochasz? — Popatrzyła na niego uważnie. — Czy może po prostu przepieprzyłeś tutaj już za dużo czasu?

Usiłował odeprzeć jej spojrzenie, lecz oczy same mu się zamykały.

— Nie wiem — odpowiedział tak cicho, że ledwo dosłyszała. — Jedno, co wiem, to że czuję się głupio. Naprawdę, naprawdę głupio.

Teraz... Teraz nadszedł czas, by powiedzieć mu o George'u i Elizabeth. Ale nie potrafiła. Ze wszystkich dobrych i złych powodów.

— Boże, chyba zaraz zamarzniesz! — odezwała się, sama drżąc. — No, zapinaj się. Czas do domu — orzekła, stukając w zatrask na jego kurtce.

Położył dłoń na jej dłoni.

— Jednak jest jedna rzecz, której w tym wszystkim nie żałuję. Tego, że poznałem ciebie. Naprawdę. — Roześmiał się. — Nie wiesz, ile razy ostatnio podnosiłem słuchawkę, żeby zadzwonić, a potem myślałem sobie: „Co ja, do cholery, robię? Nie mogę tego zrobić.” — Ścisnął jej rękę.

— Powinieneś być — odparła, a serce biło jej jak szalone. — A właściwie dlaczego teraz do mnie nie wpadniesz? Zrobię kawę. — Podjęła decyzję. Zasługiwał na to, by mu powiedzieć. Elizabeth mogła go nie chcieć, lecz było mnóstwo kobiet, które by go pragnęły.

— Nie mogę. Za niecałą godzinę muszę już być na dyżurze. To ta koszmarne podwójna zmiana, którą wzięłem, by przyjść w piątek.

Pożegnał się i stał, obserwując, jak wyjeżdża tyłem ze swojego miejsca na parking. Gdy opuściła szybę, by się z nim jeszcze raz pożegnać, podbiegł do samochodu.

— Zaczekaj! — powiedział. — Pojadę za tobą do domu. Upewnię się, że dotarłaś bez kłopotów.

Jechała powoli, spoglądając na jego odbicie w lusterku wstecznym. Gdy dotarli na parking za budynkiem, wysiadł z samochodu i czekał, aż ona zaparkuje. Odprowadził ją do drzwi wejściowych, a ona jeszcze raz zaprosiła go na kawę.

— Żałuję, że nie mogę, ale nie ufam sobie — odpowiedział.

— Co masz na myśli? — spytała, a serce znów biło jej jak oszalałe.
— Cóż, kiedyjechałem tutaj, właśnie teraz, myślałem o całej naszej rozmowie i wtedy mnie to uderzyło! O czym my właściwie rozmawialiśmy? — Roześmiał się. — Nie pamiętałem!

— Cóż, to by było na tyle, jeśli chodzi o mój obraz samej siebie jako błyskotliwej rozmówczyni — podsumowała, gdy przytrzymał dla niej drzwi.

— Ależ nie! Właśnie o to mi chodziło. W tym rzecz. Po prostu jesteś aż za łatwa w kontakcie.

— Za łatwa! Och, świetnie — powtórzyła, przewracając oczami.

— Chodzi mi o to, że bardzo łatwo jest z tobą być. To wydawało się takie naturalne, że ja... — Tutaj, teraz, wzruszył ramionami, jakby zabrakło mu słów. — Fiono! — Chwyć jej dłoń i przytrzymał ją w obydwu swoich. — Mam jeszcze pół godziny. McDonald's jest tylko kawałek stąd. Moglibyśmy mnóstwo zjeść przez te pół godziny. Kilka BigMaców, kilka porcji frytek, kilka shake'ów. Moglibyśmy to zrobić. Wiem, że jesteśmy do tego zdolni...

Roześmiała się i śmiała się nadal, gdy podniósł jej dłoń do ust i pocałował ją z zamkniętymi oczami.

Stała potem w progu, obserwując go, dopóki nie wyjechał z parkingu. Wtedy też w jednym z samochodów zaparkowanych w rzędzie po prawej zapaliły się reflektory. Opony wyblakłego, niebieskiego kombi Patricka Grady'ego zapisaćzały, gdy wyjeżdżał tyłem z parkingu. Podbiegła do tegojego wozu i otworzyła drzwi, podczas gdy on ciągle manewrował samochodem.

— Patrick! — odezwała się, zszokowana jego zimnym spojrzeniem. — Nie zauważyłam cię. Nie wiedziałam, że tu jesteś. — Wśliznęła się na przednie siedzenie, ale drzwi zostawiła otwarte. — Patricku, co ty...?

— Wsiadaj! — warknął, sam wyskoczył na zewnątrz i podbiegł z jej strony do samochodu. — Wsiadaj i koniec! — Chwyć ją za ramię.

— Patrick! — wykrztusiła, kurcząc się na fotelu.

— Czekałem na ciebie! — Nachylił się bliżej. — Wiedziałaś, że czekam.

— Przecież zadzwoniłam. Powiedziałam ci, że nie przyjadę.

— Ale ja czekałem — powtórzył przez zaciśnięte zęby. Jego twarz znalazła się na poziomie jej twarzy. — Czekałem. — Sprawił wrażenie zmieszanego, wstrząśniętego, jakby wiedział, że zrobił głupstwo, tyle że został zablokowany, nie był w stanie wydostać się poza pewien punkt. Puścił ją.

— Przepraszam — odezwała się, wysiadając z samochodu. — Nie chciałam cię zdenerwować.

— Skłamałaś. Byłaś na randce. Okłamałaś mnie... — Głos mu się zatępeł.

— Nie, byłam na zakupach. A potem wpadłam na Rudy'ego, i tyle. Jedź teraz do pracy!

— Powiedziałaś, że to narzeczony twojej kuzynki — odparł, zerkając w kierunku, w którym skręcił Rudy.

— Bo jest!

— Pocałował cię w rękę. — Jego twarz wykrzywiła się ze wstrętem.

— To był żart! On żartował. — Pomyślała o tym, jak Patrick pobił Todda, i poczuła mdłości. Patrick mógł być jej ojcem, lecz był człowiekiem z wielkimi problemami, a ona wprawiała go w zakłopotanie i działała na niego tak, że przekraczał granice swej samokontroli. Nacięła czyrak, lecz żadne z nich nie potrafiło zatamować trującego wycieku.

— Już prawie północ — powiedział. — Gdzie byliście przez ten cały czas?

— Zatrzymaliśmy się na kawę. — Mówiła łagodnie, by go uspokoić. Wciąż potrząsała głową. — Rozmawialiśmy o Elizabeth i ich...

— Nie! To tak samo, jak z tenisówkami — wypluł z siebie. Wyciągnął rękę, by złapać ją za ramię, lecz zamiast tego chwycił kurczowej rękaw, przyciągając ją tak blisko, że jego ślina tryskała na jej twarz. — Używaj jej, żeby dostać się do ciebie. Ale ty zachowujesz się tak, jakbyś tego nie widziała. Jakbyś nie wiedziała, co się dzieje.

— Nie. Nie, on jest...

— To o ciebie mu chodzi. To ciebie chce i nie myśl, że tego nie wiem — warknął, wskoczył do samochodu i z rykiem silnika wyjechał z parkingu.

Gdy tylko weszła do mieszkania, zaczęła kartkować książkę telefoniczną, aż znalazła telefon do szpitala Dearborn Memorial. Operatorka centrali połączyła ją z izbą przyjęć. Słyszała, jak wzywają Rudy'ego przez głośnik.

— Rudy! To ja, Fiona — odezwała się i zdała sobie sprawę, jak nerwowo musi być jej głos. Zaczepnęła głęboko powietrza.

— Fiono? Wszystko w porządku? Czy coś się stało?

— Och, nie, nic się nie stało. Tylko ja... ja martwiłam się o ciebie — wyjąkała. Nie chciała zrobić Rudy'emu krzywdy, lecz nie mogła również zaryzykować, że jeszcze bardziej rozwścieczy Patricka.

— Martwiłaś się o mnie? — Roześmiał się. — Dlaczego? Myślisz, że coś jeszcze jem?

— Nie wiem. Chciałam się tylko upewnić, że byłeś ostrożny, i tyle.

— Ostrożny, mówisz? — Przerwał. — A w czym ostrożny?

— Nie wiem. Wydawało mi się, że widziałam, jakjechał za tobą jakiś samochód. Więc chciałam ci to tylko powiedzieć.

— Co powiedzieć?

— O samochodzie! Ale już zapomnij o tym, Rudy — oświadczyła, potrząsając z niecierpliwością głową. — To było dziwaczne. Nie powinienam była dzwonić.

— Nie, cieszę się, że to zrobiłaś. Więc na jakiś samochód powinienem uważać? Kto w nim siedzi? — W jego głosie słychać było rozbawienie.

— Nie wiem. Nieważne. Jakoś dziwnie się poczułam, i to wszystko.

— Powinnaś słuchać swoich uczuć. Za mało ludzi to robi.

— Taa, cóż — odparła z gorzkim śmiechem — nie miałam ostatnio zbyt wiele szczęścia w tej dziedzinie. — Zamilkła. — W każdym razie, pozwolę ci wrócić już do twoich nagłych przypadków.

— Fiono! — rzucił z takim pośpiechem, że przycisnęła słuchawkę do ucha, wsłuchując się tak uważnie, że buczenie na linii zabrzmiało jak ryk. — Chciałbym ci tylko powiedzieć, jak świetnie bawiłem się dziś wieczorem. Naprawdę świetnie.

— To dobrze! — odpowiedziała, siląc się na radosny ton. — Cóż, może następnym razem będziesz mógł zabrać Elizabeth.

— Może następnym razem zrobimy coś innego — odparł.

Jeszcze sporo godzin później otworzyła w ciemności oczy i wciąż usiłowała rozgryźć, co miał na myśli.

Był wczesny poranek i Fiona właśnie wyszła spod prysznicza, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

— Lizzie! — krzyknęła, zawiązując płaszcz kąpielowy i otwierając drzwi. — Wszystko w porządku? — Spojrzała na zegar. Za piętnaście siódma.

— Tak — odpowiedziała, podążając za nią do kuchni, gdzie Fiona zaczęła robić kawę. Elizabeth obserwowała ją zza stołu. — Nawet świetnie, no może poza tym że mam dzisiaj milion spraw do załatwienia. Dlatego tak wcześnie zaczynam. Nie uwierzyłybyś, jaką listę przygotowała mi mama — dodała, potrząsając złożoną kartką.

— Wyobrażam sobie — odparła Fiona, zdumiona tym, jak gładko jej kuzynka potrafi żeglować nawet po najbardziej wzburzonych wodach.

Elizabeth była chyba jeszcze bledsza niż zwykle. Trudno było stwierdzić, czy tak bardzo schudła, czy wyglądała tylko na tak przytłoczoną pod wszystkimi warstwami ubrań, które miała na sobie: pod długą spódnicą, ogromną koszulą, długim, workowatym swetrem. Pod oczyma miała ciemne kręgi, jak smugi popiołu.

— Pięć worków lodu — okrągłe kostki, a nie sześcienne klocki — odczytała, zerkając na Fionę. — Srebrne, plastikowe mieszadełka do koktajli. Mają je zazwyczaj w Bettelman's. Białe serwetki koktajlowe ze srebrnym brzegiem — znów, spróbuj najpierw w Bettelman's. Dwie puszki srebrnej farby w sprayu. Pięć funtów orzechów włoskich. — Podniosła wzrok. — Jest tego jeszcze więcej — westchnęła, składając kartkę. — A to tylko lista na dzisiejszy dzień.

— Wiem, że ciotka Arlene jest zorganizowana, ale nie potrzebuje chyba tego wszystkiego od razu, dziś rano, prawda? — spytała. Jeśli Elizabeth nie przysłała tu po przeprosiny albo by sama przeprosiła, to dlaczego zjawiła się tak wcześnie? Fiona wierciła się niespokojnie na krześle, przypominając sobie o George'u.

— Nie, to są moje obowiązki po szkole — oświadczyła Elizabeth.

— Boże, te detale! — odparła Fiona, nalewając kawę. — To jak poszukiwanie skarbów, prawda? Ale w końcu dlatego jej przyjęcia są zawsze takie doskonałe.

— To przyjęcie może nie być takie — rzekła Elizabeth. — Ginny i Bob są w separacji. To się stało dwa tygodnie temu. Najwyraźniej widywał się z tą samą kobietą przez cały ten czas, więc Ginny kazała mu się wyprowadzić.

— Dwa tygodnie temu? Dlaczego nikt mi nie powiedział? — spytała, potrząsając głową.

— Wiem. Dlatego tu jestem. Żeby ci powiedzieć — odparła z westchnieniem Elizabeth. — Mnie też nie powiedzieli aż do wczorajszego wieczora, a ja mieszkam przecież w tym samym domu. Myślę, że mieli nadzieję, że sprawy, cóż, wiesz, ułożą się.

— Ułożą się! Jezu Chryste! — prychnęła Fiona, a Elizabeth oblała się rumieńcem.

— No, w każdym razie uspokoją — dodała cicho Elizabeth.

— Nie mów mi tylko, że chcą, by przyjęła tego bydlaka z powrotem, tylko dlatego, że jest w ciąży!

— Nie, chcą tylko, rozumiesz, żeby było spokojnie i... — Zmusiła się do uśmiechu. — Optymistycznie! — dodała, jakby był to najbardziej pożądanym celem dla każdego, kto był w kłopotach.

— Optymistycznie! Pomyślmy: Ginny jest w ciąży, a jej mąż, Bob, o którym wszyscy wiedzą, że jest dupkiem, pieprzy inną kobietę, swoją dwudziestoletnią sekretarkę, jeśli to w ogóle ma znaczenie, bo najważniejsze tutaj jest to, żeby wszyscy byli optymistyczni! Nikt nie powinien dać się zbić z tropu. Dzień jak co dzień. Życie toczy się dalej. My przetrwamy. Niech nikt nie płacze i nie wpada we wściekłość. To też minie. Dobrze to zrozumiałam?

Elizabeth skrzywiła twarz.

— Martwię się też o tatusia. Wciąż wygląda na takiego zestresowanego. Nie chce, by ktokolwiek wiedział, szczególnie mama, ale znów ma te bóle. Spytałam go i w końcu się przyznał.

— Jezu Chryste! — Fiona zerwała się z krzesła. — Więc powinien iść do lekarza i przestać odgrywać Boga w życiu wszystkich dookoła! — Stała w tył i w przód, a Elizabeth w tym czasie wpatrywała się w swoje złożone dłonie. — Dlaczego po prostu nie wyłożyć kart na stół? Oto gównno, oto brud, zróbmy coś z tym! Dlaczego wszystko musi być takie cholernie doskonałe? Dlaczego on uważa, że musi mieć wszystko pod kontrolą? Że to on musi być tym, kto wszystko wyprostuje? — domagała się odpowiedzi, myśląc o drukach podatkowych Patricka i bliźniaczkach w klasie Lizzie, i pracy dla Jacka, i o tych niezliczonych ludziach, którzy przez te wszystkie lata mówili jej, jak wdzięczni są jej wujkowi.

— Nieprawda, on nie... — odezwała się Elizabeth z takim wahaniem, że Fiona nagle zatrzymała się i pochyliła nad stołem, gdy cel tej wizyty stał się jasny.

— On cię tu przysłał, prawda? Co? — pytała, wrywając kuzynce listę z ręki. — Czy ja też na niej jestem? „Powiedz Fionie, żeby przestała stawiać rodzinę w trudnym położeniu!” — udawała, że czyta, nim zwinęła papier w kulkę. Rzucona na stół, stoczyła się na podłogę.

— Martwię się o niego, Fiono. To jedyny powód, dla którego tu jestem — powiedziała Elizabeth, pochylając się, by odzyskać swoją listę. Wyglądziła ją na stole.

Fiona popatrzyła na kuzynkę, która kolejny raz błagała ją, żeby była dobra. „Proszę, Fiono, bądź dobra.” Jak udało im się utrzymać taką władzę nad tym jednym posłusznym dzieckiem, a nad drugim nie? Czy Elizabeth była po prostu bardziej miła, bardziej wrażliwa? Czy też może dlatego, że zawsze była bardziej kochana?

— Lizzie, w życiu ludzi może się gorzej układać. To zdarza się cały czas. Wszędzie i każdemu. Ale wujek Charles i ciotka Arlene nie potrafią

stawić temu czoła. Nie akceptują tego, a teraz to samo dzieje się z tobą, prawda?

— Nie widzę nic złego w tym, żeby starać się, by byli szczęśliwi — odparła Elizabeth. Jej porcelanowe rysy zbiły się w twarde, biały węzeł, tak ciasny, jak ona sama była nieugięta.

— No, ale jak mogą być szczęśliwi, jeśli ty nie jesteś? — spytała Fiona, starając się złagodzić ton swego głosu. Przyparta do muru, Elizabeth, jak zawsze, była nieustępliwa.

— Jestem. Jestem szczęśliwa. — Niepewny uśmiech Elizabeth rozjaśnił się stanowczością. — Szczególnie teraz, gdy nie muszę się martwić ślubem — dodała, mieszając szybko kawę, choć niczego do niej nie wsyłała.

Rozpacz Fiony narastała wraz z uporczywym podzwanianiem łyżeczki. Jej cichutkie uderzenia przejmowały ją dreszczem, tak jak lekceważenie, z jakim Elizabeth traktowała swój ślub i narzeczonego.

Biedny Rudy — pomyślała ze złością. Nie miał pojęcia, w jakiej znalazł się pułapce: pomiędzy pragnieniem Elizabeth, by ojciec był zadowolony, a jej uczuciami dla George'a. W imię dobroci w tak przebiegły sposób dopuszczano się okrucieństwa. Pod sztandarem dobra kryło się takie samolubstwo. Poznawszy wszystkie bezkrwawe metody wycinania serca, udoskonaliли sztukę cudownego życia i prezentowania całej kompozycji swych uroczych cech. Pomyślała o tym z nagłym, pełnym wstrętu, rozradowaniem. Obserwując uważnie, wyczulona na każdy znak, najłżejsze drżenie, opuszczenie ramion, wzrok wbity w ziemię, zaczęła opowiadać kuzynce, jak ona i Rudy wpadli na siebie w centrum handlowego wieczora, a potem poszli do Pacer's, żeby coś zjeść. Zdumiała się, widząc na twarzy Elizabeth tylko zadowolenie. I ulgę.

— Och, to tam byliście. Cóż, to dobrze. Tak się cieszę. Czułam się winna na myśl, że Rudy jest zdany tylko na siebie, ale musiałam pomóc mamie. Wszystkie te drobiazgi. No i wtedy powiedziała mi o Ginny, więc naturalnie nie zostawiłabym ich samych w takiej chwili. Właściwie dzwoniłam do ciebie kilka razy, ale nie było cię w domu, i przepraszam, wiem, że myślisz, że to dziwaczne, ale nie jestem dobra w zostawianiu wiadomości. A potem zrobiło się za późno, by jeszcze wykręcać, więc dlatego pomyślałam, że wyjadę dziś rano trochę wcześniej i spróbuję złapać cię, nim wyjdiesz do pracy. Chodzi mi o to, że wszystko zaczyna się tak komplikować. To znaczy... — Głos jej się załamał. Zacerpnęła głęboko powietrza.

Fiona nie odrywała od niej wzroku.

— Fiono, poprosiłam cię, żebyś nie zapraszała George'a, a teraz dowiaduję się, że jednak to zrobiłaś. Nie rozumiem tego. Przecież sprawy są już teraz wystarczająco skomplikowane. Nie potrzebuję tam George'a. Nie chcę, żeby tam był! Absolutnie nie!

— O czym ty mówisz, Lizzie? Co George ma wspólnego ze wszystkim innym?

— Chodzi mi o to, o czym ci właśnie powiedziałam. To wszystko, co się teraz dzieje. Mama i tatuś zapraszają tych wszystkich ludzi i napięcie jest po prostu zbyt wielkie. Nie potrzebują tego!

— Napięcie! Z tego powodu, że George przychodzi, napięcie ma być zbyt wielkie? O czym ty, do diabła, mówisz, Lizzie? O co ci naprawdę chodzi?

Usta Elizabeth zadrżały. Siedziała z pochyloną głową.

— Proszę, powiedz mu, żeby nie przychodził — wyszeptała.

— Nie — odparła Fiona, potrząsając głową. — Nie zrobię tego, dopóki nie powiesz mi, dlaczego.

— Proszę. Proszę. Błagam cię, Fiono. — Ukryła twarz w dłoniach. — Ty nie rozumiesz. Po prostu za dużo już tego wszystkiego. Wszystko się nawarstwia, a ja nie wiem, co mam zrobić — wykrztusiła.

Fiona dotknęła jej ramienia.

— Dlaczego nie spróbujesz być po prostu uczciwa? — spytała łagodnie.

Elizabeth gwałtownie odsłoniła swoją delikatną twarz o doskonałych, cyzelowanych rysach. Była zimna, nietknięta, bez śladu łez.

— Wszystko było dla ciebie zawsze takie proste, prawda? Ty robisz tylko to, na co masz ochotę, mówisz to, co chcesz, chodzisz tam, gdzie chcesz, i nigdy nie oglądasz się za siebie. Więc nigdy się nie dowiesz, jak bardzo ranisz ludzi. Nie masz pojęcia, jakie szkody wyrządzasz i jaką krzywdę robisz ludziom.

Fiona podniosła swoją kawę i stanęła nad Elizabeth.

— Wynoś się, Lizzie! I to szybko, chyba że chcesz, żebym dodała to do tego trzydziestofuntowego przebrania, które masz na sobie.

Rozdział 15

Nadeszło późne popołudnie. Dzień był słoneczny, lecz zimny. Wiał bezli-
tosny, ostry wiatr. Fiona podniosła głowę i zobaczyła, jak Larry Belleau
wysiada z samochodu Patricka, który zatrzymał się przy krawężniku.
Larry pochylił się i powiedział coś do Patricka. Odwrócił się i, kiwając
energicznie głową, popędził do kawiarni. Miał na sobie tylko dżinsy i ko-
szulkę. Jego nos i pulchne policzki były czerwone z zimna. W podniece-
niu pocierał wielkimi dłońmi jedną o drugą. Oczy miał szkliste.

— Fiona! Fiona! — wrzasnął, choć stała tuż przed nim. — Patrick
mówi, żebyś szybko wyszła z kawiarni, chce z tobą porozmawiać.

— Larry, a co ty robisz z Patrickiem?

Wzruszył ramionami.

— Nic.

— Piliście razem?

— Nie!

Maxine weszła na salę. Przeniosła ostrożnie wzrok z poruszającego
się spazmatycznie cielska Larry'ego na huczący na zewnątrz samochód
i zawróciła pośpiesznie do kuchni.

Fiona zbliżyła się o krok i zniżyła głos.

— Paliliście czy coś? — spytała, pewna, że czuje słodki, piżmowy za-
pach trawki.

— Patrick mówi, żebyś wyszła zaraz do samochodu, mam ci to po-
wiedzieć — oświadczył z nerwowym rechem, który rozległ się jak seria
czkniąc. — On chce tylko porozmawiać, powiedział, żeby ci powiedzieć,
że on chce tylko porozmawiać, to wszystko, to wszystko, czego on chce.
Widzisz? — dokończył, popychając ją do frontowych drzwi. — On tam
jest, to jego samochód, o tam.

— A ja myślałam, że nie lubisz Patricka.

— No, nie lubię, nie lubię, jak jest podły, nie lubię, jak się wścieka, ale widzisz, że się teraz nie wścieka, widzisz? Widzisz? — Larry zamachał ręką, lecz Patrick mu nie odpowiedział.

— Teraz jesteśmy przyjaciółmi, teraz jesteśmy przyjaciółmi, ja i Patrick. — Oparł się o okno i znów zamachał. Patrick uniósł ciężko rękę w niechętnym pozdrowieniu. — Widzisz, mówiłem ci, mówiłem ci, że jesteśmy przyjaciółmi — krzyczał tuż za nią, gdy wypadła na zewnątrz.

Patrick opuścił szybę, szczerząc zęby. Samochód śmierdział trawką.

— Wsiadaj! Wsiadaj! — zawołał. — Przeziębisz się.

Drżąc i obejmując się ramionami, odpowiedziała, że nie może. Musi pomóc Maxine zamknąć kawiarnię.

— Pieprzyć Maxine. Muszę ci tylko coś powiedzieć. To wszystko. Tylko parę minut twojego cennego czasu. To wszystko, czego chcę.

— Teraz nie mogę, Patricku. Muszę dokończyć — odparła, wskazując gestem za siebie.

Larry otworzył drzwi od strony pasażera, a Patrick gwałtownie obrócił głowę.

— Ty tu poczekaj! Powiedziałem: poczekaj! — rozkazał, przecinając dłońią powietrze.

— Ale jest mi zimno, jest mi naprawdę zimno! — powtarzał Larry. Wsunął głowę i jedną stopę do samochodu. — Zamarzam na kość, Patrick.

— Słuchaj, zadzwonię... — zaczęła.

— Powiedziałem, zaczekaj! A ty czekaj! — ryknął Patrick, uderzając Larry'ego w głowę. — To zajmie tylko minutę! — błagał Fionę. — Możesz mi tyle poświęcić, nie? Jedną minutę?

— Ty! — wrzasnął Larry, przykładając obie dłonie do głowy. — Po co to robisz, nic nie zrobiłem, powiedziałaś, że chcesz się zaprzyjaźnić!

— Nie musiałeś go bić — odezwała się Fiona. — Jest mu zimno, to wszystko.

— Wiem! Wiem! Nie myślę jasno. — Patrick przeciągnął palcami po swoich potarganych włosach. — Muszę z tobą tylko porozmawiać, a potem już będzie w porządku. Muszę wyjaśnić. Widzisz, to nie tak, jak sobie myślisz.

Larry stał na chodniku, krzyząc, że jeśli Patrick nie wpuści go do samochodu, to sobie pójdzie.

— I możesz iść sobie sam szukać towaru, no śmiało, idź i sobie sam znajdź, i więcej mnie nie proś!

Drzwi kawiarni otworzyły się i wypadł z nich Chester, wycierając ręce o swój poplamiony, biały fartuch. Maxine obserwowała to wszystko z szeroko otwartymi oczami przez okno.

— Co się tu, do diabła, dzieje? Czemu się tak drzecie? — Chester przesunął wzrok między Fioną i Larrym, który ruszył zaraz ku niemu, by opowiedzieć mu swoją wersję historii.

Błagał Chestera, żeby nie dzwonił do jego rodziców i żeby nie pako- wał go w kłopoty, jak wszyscy inni.

— Nie, proszę, nie, nic nie zrobiłem, poważnie, Chester, nie zrobi- łem, naprawdę, naprawdę nie zrobiłem — upierał się Larry, podrygując tuż przy jego łokciu. — Och, chłopie, chłopie, chłopie, chłopie — zaczął wyśpiewywać monotonna, kiedy Chester krzyczał na Fionę.

— Co ty mi chcesz zrobić? — darł się Chester. — Powiedziałem ci. Nie chcę, żeby ten sukin...

— Wejdz do środka. Proszę, po prostu wejdz do środka — odparła.

— Nie, to ty wejdz! — zawył Chester.

Patrick otworzył gwałtownie drzwi. — Hej, Chester! — zawołał przez dach samochodu. — Masz problem, to gadaj ze mną, nie z nią. Ona nie zrobiła. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Chester podszedł bliżej. — Dlaczego po prostu nie wyniesiesz się stąd w diabły!

— Przecież nikogo nie niepokoję, a już najmniej ze wszystkich cie- bie, Adenio! — zawołał Patrick. Szczęki miał zaciśnięte, oczy — zwężone w szparki, a spojrzenie — twarde jak stal.

— Nieprawda, mnie niepokoisz! — zawył Larry. — Tak, on mnie uderzył, tak!

— Uderzyłeś Larry'ego? — Chester potrząsnął z odrazą głową.

— Słuchaj, po prostu wejdz do środka, Chester, proszę — odezwała się Fiona. — Zajmę się tym.

— Zajmiesz się tym? — zakpił Chester, wyrzucając w górę rękę. — Jezu Chryste! Ty nawet sobą nie potrafisz się zająć!

Patrick wyszedł na chodnik. Był nieogolony, a na sobie miał tę samą koszulę w kratę z poobrywanymi guzikami i te same poplamione spo- dne, w których widziała go ostatnio.

— Masz teraz szansę. No, od tak dawna tego chcesz, to teraz masz okazję! Proszę bardzo. No, chodź! — Położył dłoń na ramieniu Chestera i popchnął go. Chester zatoczył się o kilka kroków do tyłu.

— O Boże, tylko nie to! — Fiona chwyciła Patricka za ramię.

Trzymając słuchawkę przy uchu, Maxine waliła w szybę jak oszalała.

— Ona wzywa policję! Patrick! Zobacz! Ona wzywa policję! — Fiona musiała wrzeszczeć, by ją wreszcie zrozumiał.

Wpatrywał się w nią przez chwilę. Spojrzenie miał pochmurne i złowróźbne, jak niebo przed burzą.

— Lepiej stąd odjedź! — powiedziała. — Wsiądź do samochodu i ruszaj! Zadzwoń do ciebie. Obiecuję. Naprawdę. Lepiej już jedź! — wołała, wycofując się w kierunku kawiarni.

Odjechał z piskiem opon. Poczwała w ustach smak spalin, jak posmak zimnego, tłustego metalu.

Maxine wciąż trzymała słuchawkę, choć naprawdę do nikogo nie zadzwoniła. Widok radiowozu policyjnego stojącego przed kawiarnią byłby zbyt zawstydzający.

— To jedyne, czego kiedykolwiek się bał — odezwała się Maxine, gdy weszli do środka.

Larry błagał Chestera, by nie dzwonił do jego ojca.

— Proszę, nie, proszę, nie, proszę, nie — powtarzał rzęzącym głosem, wlokąc się krok w krok za Chesterem.

— W porządku. Ale pod jednym warunkiem. — Chester obrócił się nagle i wskazał na Larry'ego palcem. — Jeżeli się nie zamkniesz, to zadzwonię do niego. Zrozumiałeś?

Larry wyglądał na zagubionego. Jego twarz nabrzmiała od łez.

— On nie zadzwoni do twojego taty, Larry, ale musisz być cicho — wyjaśniła Fiona. — Po prostu nic nie mów, okej?

Kiwając głową, Larry przygryzł wargę, by powstrzymać się od mówienia.

Fiona kazała mu na chwilę usiąść. Obiecała, że go podwiezie do domu. Wtedy popędził do ostatniego boksu, by ukryć się tam, jak najdalej od tyrady Chestera.

— Diabła tam! — krzyczał Chester, ciskając zasobnik z serwetkami przez całą długość sali. Rozrzucił cały stos menu, a teraz podkładki, które Maxine dopiero co ułożyła schludnie na miejscu. Miał już potąd tej budy, był nią zmęczony. Był zmęczony tym, że ciągle musiał znosić cudze kłopoty. — A co z tego mam? — wrzeszczał, waląc się w pierś. — Pytam cię, co z tego mam?

Maxine zamknęła drzwi wejściowe na klucz i odwróciła tabliczkę na drzwiach napisem „Zamknięte” na ulicę.

— Jak ja mam tego dość, jaki jestem zmęczony oglądaniem tej twojej długiej, smutnej twarzy. Jak ja mam dość tego, że zawsze starasz się, żebyśmy się czuli winni — ciągnął, gdy ku niemu ruszyła.

— Myślisz, że tylko ty jesteś zmęczony? Myślisz, że tylko ty ciężko pracujesz? Wiesz co? Ja też jestem zmęczona. Ale ja mam dość twojego nastawienia, Chester. Mam, do diabła, dość tego, że zachowujesz się, jakbyś robił mi łaskę, że nie zamknąłeś tego lokalu. Więc jeśli chcesz go sprzedać, proszę bardzo. Po prostu zrób, co chcesz, bo mnie już to nie obchodzi. — Zarzuciła na siebie swoją futrzaną pelerynę i wypadła do kuchni. Trzasnęły tylne drzwi.

— O matko, o matko, o matko — jęczał Larry, przygryzając wargę.

— Cholera! — rzucił Chester.

— Jest po prostu zdenerwowana, i tyle — zawołała za nim Fiona, gdy ciężkim krokiem, z posępną miną wchodził do kuchni.

Wycierał stół do pracy, gdy weszła parę minut później, by mu powiedzieć, że jest zamknięte od frontu i że przygotowała wszystko na następny dzień.

— I ja też pomagałem, naprawdę — odezwał się Larry, wchodząc za nią. — Pomogłem posprzątać, więc nie wściekaj się, proszę, nie wściekaj się na mnie, proszę, Chester. — Powycierał boksy i zamiótł podłogę.

— Po prostu wynoś się, w cholere, z mojej kuchni. Tylko tego chcę — oświadczył Chester.

Fiona rzuciła Larry'emu swoje kluczyki i kazała mu poczekać w samochodzie. Ona zaraz przyjdzie.

Chester jakby się skurczył. Spodnie pofałdowały mu się przy pasku. Zdała sobie sprawę, że jego włosy są zupełnie białe. Żyły na jego rękach nabrzmiały w grube, niebieskie węzły, gdy teraz szorował grill.

— Oj, Chester. Nie wściekaj się, proszę. — Próbowała go przytulić, lecz on zeszywniał i cofnął się.

— Powiedz mi coś — rzekł. — Co jest z tobą? Dlaczego nikogo nie słuchasz? Myślisz, że urodziłaś się z jakąś specjalną wiedzą albo czymś, czego nie ma nikt inny? Ludzie mówią ci coś z dobroci serca, bo troszczą się o ciebie, ale ty nie słuchasz! — Potrząsnął w zdumieniu głową. — Nigdy nie słuchasz! I co ty próbujesz udowodnić, spotykając się z nim?

— Nie zamierzam o tym z tobą rozmawiać — odparła.

— Dobrze, to może raz mnie posłuchasz, bo ja zamierzam ci coś powiedzieć. Trzymaj się z daleka od Patricka Grady'ego! On robi ci krzywdę!

— Przestań, Chester! — Przewróciła oczami. — To nie jest tak, jak z Maxine. Na Boga, on jest moim ojcem!

— Nie ma znaczenia, jak go nazwiesz albo jak on o sobie mówi. A ma znaczenie to, kim on jest. A on jest złym człowiekiem.

— Nie jest zły — zaprzeczyła. — Jest po prostu zagubiony. To przez wojnę. Nic nie może na to poradzić.

— Toja byłem na wojnie! Byłem w pieprzonej Korei, w chińskim obozie jenieckim! Jezu Chryste! Naprawdę, jeszcze do tej pory budzę się i jestem śmiertelnie przerażony, serce mi wali. Leżę wtedy po prostu, patrzę dookoła całkowicie zagubiony, bo nie wiem, co się, do cholery, dzieje, i gdzie, do cholery, jestem. Jedyne, o czym mogę myśleć, to że może wciąż tam jestem. Skąd mam wiedzieć? Ale, Chryste, zawsze biorę się w końcu w garść! A on, kim on, do cholery, jest?

— Ale to były dwie różne wojny. To nie to samo.

— Nie, to dokładnie to samo! Nie kupuję tego pieprzonego skomlenia, tego uzalania się nad sobą!

— Ale są pewne sprawy w życiu Patricka, z którymi po prostu nie może sobie poradzić, obojętne, jak bardzo się stara.

— Taa, na przykład bicie kobiet. — Popatrzyła na nią przez chwilę. — Powiedz mi coś. Czy pomyślałaś sobie kiedykolwiek, że może twoja matka odeszła dlatego, że on coś jej zrobił? I dlatego trzymała się z daleka przez cały ten czas. Pomyślałaś kiedyś o tym?

— Co? Co ty masz na myśli? Co on niby zrobił? — Musiała wciąż zwilżać wargi.

— Na przykład zranił ją czy coś w tym rodzaju. — Z poczerniałej, stalowej myjki wyciekał tłuszcz za każdym razem, gdy zanurzała ją w wiadrze wypełnionym wodą z amoniakiem.

— O czym ty mówisz? Zranił ją? Jak?

Słuchać było tylko zgrzyt metalu o metal, gdy teraz szorował.

— Nie wiem — odparł w końcu. — Nie mówię tu nic konkretnie. Wiem tylko, że jednego dnia Natalie Range tu była, a następnego już jej nie było. — Odwrócił się. — Nigdy też nie widziałem, żeby ktoś był tak przerażony, jak Maxine na jego widok. Powiedziała mi kiedyś, że gdy tamtego razu tak straszliwie ją pobił, wiedziała, że próbował ją zabić. Zaczął ją dusić i szeptał, jakie by to było proste, że wystarczy tylko ścisnąć trochę mocniej i będzie po wszystkim. Nie mogę przestać o tym myśleć...

— Taa, ale zapominasz o jednym. — Pokiwała palcem i zmusiła się do uśmiechu. — Ja rozmawiałam z moją matką. Zadzwoiła do mnie. Mówiłam ci o tym. Zeszłego lata.

Chester zaczerpnął głęboko powietrza, jego ciężkie spojrzenie badało jej oczy. Jakby pytało: Czy naprawdę? Czy ona naprawdę zadzwoniła, Fiono?

— Więc możesz zapomnieć o tych chorych teoriach. — Westchnęła i ściągnęła swój płaszcz z wieszaka. Sama wierzyła już teraz w swoje kłamstwo, bo musiała, bo żeby wszystko działało i pasowało do siebie, nie mogła się mylić.

— Chciałbym naprawdę. — Znów rozpoczął swoje szorowanie.

Rodzina Belleau przeprowadziła się z Dearborn do Middleton kilka lat temu. Larry'emu nie podobało się tam przez to, jak ludzie go traktowali, jakby był opóźniony w rozwoju czy coś w tym rodzaju. Gdy **chciał** spotkać się z przyjaciółmi, zawsze musiał łapać okazję do Dearborn. Teraz opowiadał o tym Fionie, nachylając się nad radiem w jej samochodzie i majstrując przy gałce. Usiłował złapać stację WBZN, bo kwadrans po piątej mieli grać Rude Dog Boys.

— Lubisz ich? — spytał, z uchem przyciśniętym do głośnika. Prawie udało mu się znaleźć stację.

— Nie wiem — odparła nieobecny głosem. Słowa Chestera wiowały jej w głowie. Wciąż myślała o rękach Patricka na swojej szyi, lecz przecież on chciał ją pocałować, a nie skrzywdzić. Donna Drouin powiedziała, że oberznął jej matce włosy tak brutalnie, że poranił jej skórę. Lecz jeśli była to prawda, to dlaczego nikt jej o tym wcześniej nie powiedział?

— O! O! Słyszysz ich? Słuchaj! — Larry rozsiadł się na fotelu, uśmiechając się szeroko, podczas gdy wewnątrz samochodu wypełniła chrapliwa, bełkotliwa, łomocząca muzyka.

Muzyka dla licealistów, pomyślała, gdy wystukiwał dłońmi rytm o swoje ogromne udo. Ściszyła radio po pierwszej piosence.

— Hej! — zaprotestował. — To moja ulubiona. — Zaczął śpiewać. — Sądny dzień to dobry sposób. Sądny dzień to mój jedyny sposób... — Odwrócił się i wskazał radio. — Żeby dla ciebie umrzeć! — prawie krzyczał. — Umrzeć! Umrzeć! Umrzeć, ty głupia wariatko!

— Ładna! — zawołała do niego. — Ładna, beznadziejna piosenka, Larry.

Popatrzył na nią smutno.

— Są dobrzy — wymamrotał. — To, że ich nie lubisz, nie znaczy, że nie są dobrzy, wiesz.

— To prawda — odparła. Poklepała go po ręce i uśmiechnęła się. Wyszczrzył do niej zęby w uśmiechu.

— Lubię cię, Fiona.

— dzięki, Larry. Ja też cię lubię.

— Wiem, ty nigdy mnie nie traktujesz tak, jakbym był jakimś debilem czy coś.

— No, ale przecież nie jesteś!

Roześmiał się.

— Taa, no, jestem — powiedział, kiwając głową w rytm muzyki. — Dawniej nie byłem, ale jestem, teraz jestem!

— Nie, nieprawda. Tylko czasami po prostu za bardzo się starasz. Nie musisz ciągle robić wszystkiego, żeby ludzie cię lubili, Larry. Albo cię lubią, albo nie...

— Posłuchaj! — Pochylił się do przodu, gdy zaczęła się następna piosenka. — To najlepsza, ta, którą uwielbiam, ta jest moja ulubiona, moja ulubiona.

W liceum Larry był jednym z najostrzejszych facetów w klasie. Kiedy wielu innych odsunęło się od Fiony i Todda, ogłaszając ich ćpunami, którzy już tylko się staczają, Larry pozostał z nimi w przyjaźni, bezpośredni jak zawsze. Więcej niż kilka razy, gdy obydwoje byli naćpani albo pijani, Larry odwoził ich w nocy do domu.

— O już, to tutaj! — krzyknął, wskazując na tabliczkę przed nimi. — To moja ulica.

— Larry — zagadnęła, zwalnając przed skretem. — Nadal mi nie powiedziałeś. Co ty robiłeś z Patrickiem?

— Nic! — qdparł szybko. — Tylko sobie jeździliśmy, i tyle, i Patrick lubi Rude Dog Boysów, naprawdę, teraz ich lubi, kiedy mu wszystko o nich opowiedziałem, i teraz on też ich lubi.

— Więc o czym wy dwaj rozmawialiście? — starała się przekrzywić muzykę.

— O tobie. — Poklepał się dłonią po udach i zaczął kiwać się w tył i w przód.

— O mnie? Co o mnie mówiliście?

— Spytał mnie o przyjęcie, tamto, u Tima i Terry. — Odwrócił wzrok.

— Co?! I co on chciał wiedzieć?

— Wiesz. — Wbił wzrok w swoje kolana.

— Nie. Nie wiem. Powiedz mi.

— Spytał mnie, czy byłaś w basenie bez ubrania, a ja powiedziałem: „Nie wiem, nie wydaje mi się.” — Zerknął na nią. — „Może”. Tak powiedziałem, a on na to: „No, a ty, Larry, czy ty miałeś coś na sobie?” I ja mu mówiłem, ja mu powiedziałem: „Tak myślę.” — Skrzywił się, a jego po-

liczki zatrzęsły się, gdy pokręcił głową. — Ale my nie byliśmy rozebrani, prawda?

— Pewnie, że nie. — Zrobiło jej się niedobrze. Wbiła wzrok przed siebie, przypominając sobie nagle połysk swych mokrych piersi podskakujących w wodzie, gdy dryfowała na plecach, i bulgoczący śmiech, gdy sflaczałe ramiona Larry'ego uderzały w wodę, kiedy płynął w jej kierunku. Przypomniała sobie widok owłosionego, białego przedziałka między jego ogromnymi pośladkami, kiedy pod nią nurkował.

— No, w każdym razie — ciągnął Larry, waląc się mocno w nogę w rytm muzyki — powiedziałem, że się całowaliśmy i potem powiedziałem, że próbowaliśmy tańczyć, ale pies ciągle na nas skakał, a potem on powiedział, że ty pozwoliłaś Bradowi Gliddenowi...

— Nie, to nieprawda! — przerwała. — Wiesz, że to nieprawda, zgadza się, Larry? — Zjechała do krawężnika przed małym, białym domkiem.

Otworzyły się drzwi frontowe. Pan Belleau, w czerwonych kapciach za kostkę, był już w połowie prowadzącej na ulicę ścieżki, nim Larry go zobaczył.

— O matko, o matko, o matko — mamrotał, szarpiąc się gorączkowo z klamką. Jego ojciec otworzył gwałtownie drzwi.

Fiona od lat nie widziała pana Belleau. Wyglądał jak stary człowiek, lecz w jego głosie był ten sam niski warkot, który pamiętała z dzieciństwa. Rozkazał Larry'emu wysiąść z samochodu, lecz potem stanął mu na drodze, wrzeszcząc na niego. Nie było go od wczesnego ranka. Nie mógł przynajmniej zadzwonić i powiedzieć, gdzie jest i kiedy wróci?

— Twoja matka jest wrakiem! Przez cały dzień zachowywała się, jak wrak człowieka! — darł się pan Belleau. Pani Belleau obserwowała ich zza podwójnych drzwi.

— Przepraszam, naprawdę, naprawdę przepraszam, tatusiu — odezwał się Larry ze spuszczoną głową.

Gdy już powiedział, co miał do powiedzenia, pan Belleau przeniósł wzrok na Fionę. Rozpoznał ją. Popatrzył na nią z obrzydzeniem. Pociągnął nosem i nachylił się do syna. Podniósł prawą rękę Larry'ego i obwąchał jego palce.

— Znowu paliłeś trawę. Do jasnej cholery! — krzyknął, odrzucając rękę Larry'ego, aż uderzyła go w twarz. — Wsiadaj z tego cholernego samochodu i wracaj do cholernego domu! — Patrzył, jak jego niedźwiedziowaty syn powłóczy nogami po ścieżce. Szerokie dżinsy Larry'ego wisiały tak nisko na jego biodrach, że przydeptywał sobie mankiety.

Zerknął za siebie i pomachał. — No! No! Pośpiesz się! — szczechnął znowu pan Belleau.

Larry usiłował biec, ale nogi mu się zaplątały, potknął się na pierwszym stopniu i złapał się poręczy z kutego żelaza. Otworzyły się drzwi i jego drobniotka matka pośpieszyła mu z pomocą. Trzymając go za łokieć, wprowadziła go do domu.

Fiona odwróciła wzrok.

— Powiedz mi coś. Co ty w tym widzisz? Myślisz, że to zabawne? Naprawdę tak cię to bawi, kiedy doprowadzasz go do takiego stanu? — odezwał się pan Belleau. — On jest nienormalny. Nie potrafi inaczej. Ale jaką ty, do cholery, masz wymówkę?

— To nie tak — próbowała powiedzieć, lecz on jej nie słuchał.

Mówił dalej.

— Gdyby nie to, że twój wujek był dla nas taki dobry, wszedłbym zaraz do domu i zadzwoniłbym do niego. Ale tego nie zrobię. W każdym razie nie teraz. Ale ostrzegam cię, Fiono, że jeżeli jeszcze raz wróci do domu w takim stanie, nie będę sobie zwracać głowy dzwonieniem do twojego wujka. Każę cię po prostu zamknąć w więzieniu!

Tego wieczora włączyła sekretarkę i nie odbierała żadnych telefonów. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, był to Patrick, który albo błagał ją, by zadzwoniła, albo złościł się, że nie ma jej w domu. Teraz znów zadzwonił telefon. Siedziała w łóżku, usiłując czytać biografię Abrahama Lincolna, którą zaczęła zeszłej jesieni. Nie mogła wciągnąć się w lekturę, lecz podejrzewała, że wina leży nie tyle po stronie książki, co w nastroju jej samej. Tak jak ze wszystkim w jej życiu. Pan Belleau spytał ją: „Jaką masz wymówkę?” Chester powiedział, że myśli, że zna wszystkie odpowiedzi, podczas gdy prawdziwy problem polegał na tym, że nigdy nie potrafiła zadać właściwych pytań. Telefon przestał dzwonić i z sekretarki zabrzmiała nagrywająca się wiadomość. Obróciła głowę w stronę saloniku, gdzie w mroku rozlegał się pozbawiony ciała głos Patricka.

— Proszę, zadzwoń do mnie — mówił bez tchu, jakby jednocześnie zajmował się jakąś żmudną czynnością. — To bardzo ważne, Fiono. Mam coś dla ciebie. Coś, co chcę ci pokazać.

Odrzuciła książkę i podbiegła do telefonu. Stała nad nim, czekając, podczas gdy on także czekał, na ten dźwięk, na podniesienie słuchawki. Słychać było tylko jego miarowy, ciężki oddech. To wszystko to była jej wina. To ona wywołała ten gniew i zakłopotanie, których nic nie potrafiło już chyba stłumić.

— Do diabła z tym — wymamrotał. — Wiem, że tam jesteś. Dlaczego zmuszasz mnie, żebym ciągle dzwonił? Dlaczego mi to robisz?

Podskoczyła, gdy po drugiej stronie linii Patrick odłożył z hukiem słuchawkę.

Nadszedł piątek. Miała podjechać po George'a o siódmej. Prawie już zadzwoniła, by powiedzieć, że może w końcu nie powinien iść na to przyjęcie. Lecz potem zatelefonowała Elizabeth i zostawiła wypowiedaną nerwowym głosem, pojednawczą wiadomość, przypominając Fionie, że przyjęcie zaczyna się o pół do ósmej i żeby zadzwoniła, jeżeli będzie potrzebowała podwózki czy czegokolwiek. Ponieważ nie wspomniała o George'u, Fiona uznała, że przedyskutowali między sobą jego przyjście.

Patrick zadzwonił dwa razy rano, a potem jeszcze trzy — po południu. Skurczyła się, słysząc jego głos w listopadowym słońcu, którego ukośne promienie wpadały do pokoju. Wypowiedział jej imię niskim, wygodnym głosem, w którym poufałość brzmiała na równi z groźbą. Prosił ją, żeby jak najszybciej oddzwoniła. Chciał wyprostować wszystkie sprawy. I żeby to zrobić, musiał jej coś pokazać. To pomoże oczyścić atmosferę, jak powiedział. O pół do szóstej, gdy wychodziła spod prysznicza, znów zadzwonił telefon. Drżała w zimnym uścisku podniesionego głosu Patricka, informującego ją z drugiego pokoju, że dzwoni z automatu. Właśnie przejeżdżał koło jej domu i zobaczył jej samochód, więc wiedział, że ona jest w mieszkaniu. Wiedział, że teraz, w tym właśnie momencie, stoi tam i go słucha.

— Dlaczego to robisz? — krzyczał. — Dlaczego nie pozwoliś mi wyjaśnić? Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? Co ty, do cholery, knujesz? Czego, do cholery, chcesz? — Przerwał. — Proszę, Fiono, proszę, podnieś słuchawkę. Jestem za rogiem. Chcę tylko, żebyśmy byli przyjaciółmi. Tylko tego chcę. — Znów umilkł. — W porządku. Rozumiem. Nie będę cię więcej niepokoić. Tego właśnie chcesz? Tego, do cholery, chcesz? Do diabła z tym! — Trzasnął słuchawką.

Było z nim źle, a ona, nic nie robiąc, tylko pogarszała sprawę. Nie ważne, jak miałyby to być bolesne, musiała stawić czoła prawdzie. Nie mogła porzucić Patricka, tak jak wszystkiego w swoim życiu.

W chwilę później telefon znów zadzwonił i pobięła, by odebrać. Próbowwała ukryć rozczarowanie, gdy usłyszała głos Rudy'ego. Spytał, czy mógłby do niej wstąpić przed przyjęciem. Nie, nie mógłby. Usiłowała się przygotować. Chciała jak najszybciej odłożyć słuchawkę, żeby Patrick mógł znów zadzwonić.

A może w takim razie by ją podwiózł? W ten sposób żadne z nich nie musiałyby samo jechać na przyjęcie.

— Właściwie nie będę sama. Jadę po George'a — odparła.

— Po George'a? Och! Tak, George. — Wjego głosie słysząc było zakłopotanie. — Grimshaw, tak?

— Taa, zaprosiłam go w końcu — oznajmiła szybko, by nie pomyślał, że to pomysł Elizabeth.

— Naprawdę? No, nie wiedziałem o tym. Oczywiście — rzekł z pełnym skrępowania śmiechem. — Myślę, że po prostu założyłem, że przyjdiesz sama.

— Taa, cóż, to by było na tyle, jeśli chodzi o fałszywe założenia — oświadczyła, a on na chwilę zamilkł.

— Fiono, gdybym mógł tylko pojechać... naprawdę, wiem, że zostało już niewiele czasu, ale to ważne.

— Przykro mi, ale naprawdę zaczyna mi brakować czasu...

— Muszę ci tylko coś powiedzieć — przerwał.

— Zobaczmy się na przyjęciu. Będziesz mi mógł powiedzieć... — Wszystko o tobie i Elizabeth — dokończyła w myśli, odkładając słuchawkę i wybierając numer Patricka. Nie odebrał, więc zostawiła krótką wiadomość: Nie będzie mogła zadzwonić później z powodu przyjęcia u ciotki i wujka, ale zadzwoni do niego z samego rana.

W chwili, gdy wjechała na podjazd przed jego domem, George wychynął pośpiesznie zza drzwi.

— Nie mogłeś się mnie doczekać, co? — odezwała się, gdy wsiadał do jej samochodu. Zdenerwowała ją myśl, że tak wyskoczył i nawet nie zaprosił jej do środka.

Nie odpowiedział. Najpierw przyciął drzwiami pas bezpieczeństwa, a teraz, gdy już go wydostał, nie mógł trafić klamrą we właściwe miejsce.

— Pozwól mi — powiedziała, wyciągając rękę i kładąc dłoń na jego dłoni, by ją poprowadzić. — Co się stało? — Śmiała się, wyjeżdżając tyłem z podjazdu. — Nagle stałeś się niesprawny ruchowo?

— Nie, tylko towarzysko. — Wciąż przełykał ślinę i oblizywał usta. Jeszcze raz pociągnął za krawat, by go wyrównać. Zacerpnął głęboko powietrza i spróbował się uśmiechnąć. — Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz byłem na jakimś przyjęciu. — Popatrzył na zegarek. — Jesteśmy za wcześnie czy może jesteśmy już spóźnieni? Nie mogłem sobie przypomnieć, czy przyjęcie zaczyna się o pół do ósmej, czy o ósmej.

— O pół do ósmej. Będziemy mieli wielkie wejście.

— Och — odparł, a potem jechali przez chwilę w ciszy.

Słyszała, jak westchnął jeszcze kilka razy.

— No, wyglądasz naprawdę świetnie, George. Podoba mi się ta marynarka. — Zapomniała już, jaki był przystojny, szczególnie gdy ubrał się odświętnie.

— Dzięki. Ty też bardzo ładnie wyglądasz. — Popatrzył na nią. — Podoba mi się ten płaszcz.

— Och, naprawdę? — Roześmiała się. — Nosiłam go tylko przez ostatnie pięć sezonów, ale poczekaj, a zobaczysz, co pod nim jest.

Wyjrzał przez okno.

— Będzie tam dziś wieczorem mnóstwo ludzi? — zagadnął pośpiesznie.

— Tak sądzę. To jest chyba największe przyjęcie, jakie do tej pory wydali. Wiesz, teraz, kiedy wujek Charles został nominowany do Sądu Najwyższego.

— Sądu Powszechnego — poprawił. — Albo może ktoś tak tylko powiedział...

— Myślisz? — przerwała, by ukryć irytację. Od kiedy byli dziećmi, zawsze informował ją i poprawiał, gdy mowa była o wydarzeniach w jej rodzinie. — No dobrze. A co powiedziała Elizabeth?

Zerknął na nią zakłopotany. — To samo: Sąd Powszechny.

— Chodzi mi o dzisiejszy wieczór. No wiesz, o tym, że przyjdiesz ze mną?

— No, nie za wiele. Właściwie ona... To znaczy, to była jedna z tych bardzo krótkich rozmów. Nie mieliśmy szansy porozmawiać — odpowiedział, lojalny jak zawsze.

— Więc to dla niej jest w porządku, jeśli dzisiaj przyjdiesz. — Popatrzyła na niego. Dotarli już prawie na miejsce. — Przyjdiesz ze mną, o to mi chodzi — dodała.

— No, mam wielką nadzieję, że tak! — zadeklarował z zawadiackim śmiechem, który zdawał się tylko drażnić jego gardło. Kaszlnął cicho, zakrywając dłonią usta, a potem wyjął chusteczkę i wydmuchał nos.

Wjechała na długi podjazd, a potem zawróciła, by stanąć przodem do ulicy. Po obu stronach drogi stały już samochody, aż do posiadłości Lucretii Kendale. Uśmiechnęła się na widok tego wytwornego, starego domu, w którym się wychowała, a który dziś był rzęsiście oświetlony. Zawsze pierwsi dekorowali dom na święta. Widok wieńców z czerwonymi wstążkami na skrzących się oknach napełniał ją przyprawiającym o zawroty

głowy podnieceniem, gdy przypominała sobie, jak cudowny był to zawsze czas.

— Zanim wejdziemy do środka, chciałabym cię o coś zapytać — odezwała się.

Patrzył w przygnębieniu ponad deską rozdzielczą.

Przyglądała mu się. Z Georgem nie było zbyt wielkiego wyboru: wszystko było albo czarne, albo białe. Zbyt to upraszczało.

— Kochasz mnie, George? — wypaliła, nie potrafiąc się oprzeć pokusie, a potem wybuchnęła śmiechem na widok jego otwartych ze zdziwienia ust. — Nie, nie. Tylko żartuję. To żart! To był tylko żart! Tylko żart — krzyczała, krzywiąc twarz. — Nie, naprawdę. Tak naprawdę chciałam cię spytać, czy jest okej? Czy jesteś pewien, że Elizabeth nie będzie zdenewrowana? Wiesz, nie chcę, żeby w samym środku przyjęcia dostała ataku paniki czy czegoś w tym rodzaju.

— Wie, że przychodzę — odparł, obrzucając dom zaskakująco butnym spojrzeniem.

Rozdział 16

W drugim końcu pokoju jej wujka otaczali adorujący go przyjaciele. Wysoki i szczupły, o jasnoniebieskich oczach i śnieżnobiałych włosach, był wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Jego skóra miała zawsze niezwykle połysk, blask płynący jakby z jakiejś niespotykanej wewnętrznej witalności, który zarówno oddzielał, jak i przyciągał do niego innych ludzi. Ciotka opowiadała jej o tym, co ogłoszono wczoraj wieczorem na wieczorku tanecznym w Izbie Handlowej. Sędzia Hollis został wybrany Obywatелеm Roku Miasta Dearborn.

— Na pewno jest zadowolony — orzekła Fiona.

— Powinien być, ale znasz swojego wujka — wyznała ciotka. — Mówi, że musieli wskrobać go z samego dna beczki.

Odrzucił głowę, śmiejąc się z czegoś, co opowiadał młodszy mężczyzna stojący w otaczającej go grupie, a potem odwrócił się i spojrzał na Fionę. Przeprosił swoich towarzyszy i pośpieszył do niej, by się przywitać.

— No, patrzcie państwo! — oznajmił, trzymając jej dłonie na odległość wyciągniętego ramienia. — Czy ta młoda dama nie wygląda dziś szczególnie pięknie, Arlene?

— Tak, rzeczywiście — zgodziła się ciotka, uśmiechając się do Fiony. — Pięknie, po prostu pięknie.

— Nie mogę wprost tego ogarnąć — dodał, pochylając się, by ucałować Fionę w policzek.

— Co? — zeszywniała. — Czego nie możesz ogarnąć?

— No, tego jak ładnie wyglądasz — odparł z pełną spokojem ostrożnością, a jego uśmiech znikł tak szybko, jak zmarszczki na wodzie. Wbił spojrzenie w jej oczy.

— Wyglądasz na bardzo zaskoczonego. Myślałeś może, że zamierzam się pokazać w stroju striptizerki? — powiedziała, już się za to nie-

nawidząc i chcąc, by te słowa dało się cofnąć, lecz oczywiście, jak zwykle, kolejny raz, było już za późno.

— Fiono, twój wujek powiedział ci tylko komplement. I myślę, że o tym wiesz — odezwała się łagodnie ciotka.

— Przepraszam.

— Żeby odpowiedzieć na twoje pytanie, Fiono: Spodziewałem się, że będziesz wyglądała właśnie tak ślicznie, jak teraz.

— Dziękuję. — Była okropnie zawstydzona.

— Cóż! Do zobaczenia wkrótce — rzucił głuchym, zranionym głosem, który tylko ona potrafiła z niego wydobyć. Ktoś zawołał go po imieniu. A ciotka Arlene ruszyła za nim do drzwi.

Jako dziecko Fiona uwielbiała go, lecz potem, wraz z dorastaniem, zaczęła wyczuwać, że wprawia go w zakłopotanie. Zaczęły obowiązywać niewidzialne granice, niewypowiedziane reguły, zasady wyrażone tylko błyskiem jego oczu lub ostrzegawczym zaciśnięciem dłoni na jej ramieniu. Niepewność przerodziła się w niemal ustawiczną dezaprobatę. Spoglądała na niego i widziała, jak na nią patrzy z taką samą awersją, z jaką mógł obserwować na swojej sali sądowej notorycznego przestępcę. W ich konfliktach ciotka usiłowała występować w roli mediatora, starając się, by obydwójce uznali przynajmniej fakt, że są od siebie krańcowo różni. Wujek Charles miał postarać się być bardziej cierpliwy i wyrozumiały, lecz świadomość tego, że potrafi poruszyć go tak jak nikt inny, zbyt uderzała jej do głowy. Szczyciła się, widząc zszokowanie swoich kuzynów za każdym razem, gdy przekroczyła jakąś granicę albo znów postawiła na swoim. Zdawało się to nie tylko dowodem jej siły, lecz także potwierdzeniem jej tożsamości, jej roli w tej blisko powiązanej ze sobą rodzinie. Najważniejszym ogniwem w ich narastającym konflikcie była jakaś silna potrzeba, którą w nim instynktownie wyczuwała. Jakby tak rozpaczliwie starał się, by ona była szczęśliwa, gdyż zależało od tego szczęście wszystkich innych. Lecz każde z nich niewiele mogło zrobić, by sprawić przyjemność drugiemu. Jej samowola zawsze oddalała ją od wujka. Jeśli nie mogła mieć własnej matki, mogła przynajmniej być taka jak ona. Jednak im bardziej starała się być inna, tym głębiej oburzała ją jego pełna urazy akceptacja. Była skazą w idealnym życiu, podrzutkiem, którego ani nie mógł porzucić, ani pokochać równie mocno jak własne dzieci.

Tego wieczora on i ciotka Arlene wyglądali na taką szczęśliwą i bezpretensjonalną parę, jaką zawsze byli. Co roku nosili te same ubrania. Ona miała na sobie długą, bezkształtną, czerwoną, aksamitną suknię, a on — blezer w kolorze ostrokrzewu, czerwone szelki i czerwony krawat

Świętego Mikołaja, który miał zakładać na wszystkie przyjęcia od teraz aż do Bożego Narodzenia. Ciotka Arlene zatrzymała się przy udekorowanym wawrzynem kominku, by porozmawiać z mężczyzną z nadwagą, którego Fiona chyba kiedyś poznała, i jego malutką żoną. Fiona była ciekawa, co mogła do nich powiedzieć, że śmiali się teraz tak hałaśliwie. Nigdy nie uważała ciotki za szczególnie bystrą, a zwłaszcza za dowcipną. Największą troską jej życia była pomyślność jej rodziny i niezliczonych przyjaciół. Kobiety zawsze mówiły Fionie, jak bardzo uwielbiają jej ciotkę. Była najżyczliwszą osobą i taką liczącą się z innymi, po prostu najśłodszym, najukochańszym stworzeniem. Ciągłe wypisywała liściki z podziękowaniami, wiadomości ze słowami otuchy, z gratulacjami i kondolencjami. Wysyłała kwiaty i kosze ciastek, które sama upiekła. Dostarczała garnki z jedzeniem na posiłki dobroczynne. Mimo całego swojego miłosierdzia niewiele mogła otrzymać w zamian. Mimo całej jej czułości z uścisków ciotki Fiona pamiętała najlepiej twardy, kościsty dotyk jej ciała. Była jakaś oddalona, nie zimna, lecz niemal po królewsku nietykalna. I jak często dzieje się z kobietami, o których mówi się, że dorosły do swojego wyglądu, prostota stała się jej najbardziej atrakcyjną cechą, a brak urody — jej prawdziwą ozdobą. Nigdy nie farbowała swoich szorstkich, stalowoszarych włosów. Nawet teraz miała na ustach tylko odrobinę białej szminki, a jej jedyną biżuterię stanowił cienki sznur nieskazitelnych pereł.

Wszystkie pokoje na dole wypełnione były gośćmi. Kelnerzy w czerwonych kamizelkach roznosili przystawki ma małych srebrnych tackach. Bar urządzono w pokoju telewizyjnym, a bufet — w długiej, wąskiej jadalni. Szynka, polędwica, homar w cieście, makarony gotowane na zamówienie na małych, przenośnych palnikach, sałatki. Było to świąteczne przyjęcie, w stosunku do którego miały być oceniane wszystkie inne. Fiona włóczyła się po pokojach, ciesząc się z krótkich spotkań. Większości z tych osób nie widziała od zeszłorocznego przyjęcia. Przystanęła teraz na skraju kręgu kobiet podziwiających jodełkowy naszyjnik i kolczyki Lily Tyler. Wszystkie zgodziły się, że kamienie mają ten sam odcień zieleni, co oczy właścicielki. Ciotka Arlene poprosiła wcześniej Fionę, by zajęła się, jak najlepiej mogła, swoją dawną przyjaciółką. Było to pierwsze wyjście Lily od śmierci jej męża w sierpniu. Lily uściśnęła Fionę i powiedziała jej, że pięknie wygląda. Fiona odwzajemniła uścisk i komplement, a potem wśliznęła się do gabinetu. Zapomniała już, jak była w tym dobra, jak Zręcznie i niepostrzeżenie potrafiła dołączyć do każdej grupki, włączyć się bez wysiłku do rozmowy, a potem podryfować do następnego towa-

rzystwa. Tylu ludzi, taki szmer głosów, taki blask, te urywki słów, gdy przechodziła, te migoczące płomienie świec — wszystko to połyskiwało wokół niej jak ogromna bańka. Czowała, jak coraz bardziej się ożywia, a przecież nic jeszcze nie wypięła. Kochała zamieszanie, kochała przyjęcia, kochała się śmiać, wiedząc, że przez cały czas obserwują ją i zazdroszczą jej inne kobiety, które chciałyby być równie jak ona inteligentne, zabawne i naturalne w tej wymyślonej inscenizacji. A ona naprawdę taka była.

Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu Elizabeth, która pewnie ukrywała się na górze. Był to zawsze jedyny wieczór, gdy ciotka Arlene naprawdę doceniała pełną animusz naturę Fiony, jej niezmordowaną determinację, by świetnie się bawić. Lecz wujek oczywiście sądził inaczej. Starał się trzymać ją cały ten czas pod obserwacją. Chciał być pewien, że nie wypięła za dużo, nie śmiała się zbyt głośno, nie wygłaszała nieodpowiednich komentarzy przy starszych. Zastanawiała się, co teraz robi Patrick. Nie. Nie chce o nim myśleć wśród tego świątecznego nastroju. Biedny Patrick. Nie chciała tego wieczora znów poczuć się winna.

Nie wiedziała, gdzie podział się George. Nie widziała go już od dłuższego czasu. Gdy ona i George przyjechali, Rudy i Elizabeth byli w kuchni. Elizabeth, poblądła na twarzy, stała w kącie z ciasno założonymi na piersi rękami i spojrzeniem wbitym w podłogę. Rudy był obok niej i coś do niej mówił. Jego głęboka troska i lodowaty smutek kuzynki znów rozłożyły Fionę, gdy teraz o tym pomyślała. Żałowała, że przyprowadziła George'a. Usiłowała sobie przypomnieć, dlaczego to w ogóle zrobiła. Powinna była to najpierw przemyśleć. Kolejny raz zachowała się zbyt impulsywnie... Powachlowała się ręką. Robiło się tu ciepło.

Skręciła do pokoju telewizyjnego i łyżką wazową nalała sobie kwaśnego ponczu do kryształowego kubka. Wychyliła go szybko, a potem wypięła jeszcze jeden. Idąc wzdłuż holu, zobaczyła wujka Charlesa wracającego z Rudym do salonu. Przyłączyli się do dwóch mężczyzn stojących w kącie: doktora Costello, lekarza i starego przyjaciela wujka, oraz doktora Prestona, który był świadkiem przyjścia na świat trojga jej kuzynów, tutaj, w mieście. Fiona urodziła się w Bostonie, a poród odbierał nikomu nie znany lekarz. Ciotka Arlene powiedziała, że taki był wybór jej matki. Zważywszy okoliczności, anonimowość była ważniejsza niż znajome otoczenie i przyjazne twarze. Fiona była ciekawa, ile porodów odebrał Rudy. Dziwnie się poczuła, wyobrażając go sobie między rozłożonymi, ujętymi w strzemiona nogami kobiety, odsłaniającymi owłosiony sekret. Teraz wujek go przedstawiał. Był z niego, oczywiście, dumny. Zauważyła, że ręk-

kawy nowej, tweedowej marynarki Rudy'ego są za krótkie, a nogawki spodni — zbyt długie. Usiłował zawinąć do góry mankiety i nad wierzchem butów utworzyły mu się grube zwoje materiału. Chociaż chciała podejść i je odwinąć, mogła teraz tylko stać. Wujek Charles poklepał Rudy'ego po ramieniu i pochylił się, by posłuchać, co mówi. Rudy gestykulował z ożywieniem. Cokolwiek powiedział, mężczyźni śmiali się, a wujek Charles śmiał się najserdeczniej.

George musiał gdzieś złapać Elizabeth. Fiona nie widziała żadnego z nich już od co najmniej dwudziestu minut. Ruszyła w stronę jej kuchni, Jacka, i jego żony, Susan, która stała obok fotela z szerokim oparciem i rozmawiała z Billem Herbertem, łysiejącym zastępcą gubernatora, i z Ann, jego wysoką żoną o kolosalnej fryzurze. Rozmawiali o golden retrieverach, który to temat poruszyła Ann.

— Skoro już mowa o naszych milusińskich — odezwał się Jack, obejmując Fionę ramieniem — chciałbym, żebyście obydwójce poznali moją ulubioną kuzynkę.

Susan popatrzyła na niego, a potem zerknęła błagająco na Fionę, która poczułaby się znieważona, gdyby powiedział to ktokolwiek inny. Kiedy Jack się napił, starał się być równie inteligentny jak jego ojciec.

Zastępca gubernatora spytał ją, czym się zajmuje. Odparła, że pracuje jako kelnerka w kawiarni w Dearborn.

— No, to ciężka praca — oznajmiła Ann Herbert.

Och, tak — potwierdziła im zaraz Fiona. Dodając, że nie miała z tego zbyt wiele pieniędzy, oczywiście, ale z drugiej strony było to niezwykle wymagające stanowisko.

— Tak też myślałam — zgodziła się Ann Herbert, kiwając głową z powagą. Tylko zastępca gubernatora się uśmiechnął. Jack wyglądał na zmieszanego, a Susan — na zmartwioną.

— A pan? — spytała Fiona zastępcę gubernatora. — Czy uważa pan swoją pracę za równie stymulującą jak moja?

— Szczerze? Nie za bardzo. Praca zastępcy bywa bardzo wyczerpująca — odpowiedział.

— Powinniśmy się więc zamienić. Pan mógłby naładować akumulatory, a ja mogłabym trochę spuścić z tonu — oświadczyła.

— Świetnie — odparł ze śmiechem. — Ale powinienem cię ostrzec, że trzeba często pracować do późnego wieczoru. — Wyjaśnił, że było tak głównie wtedy, gdy musiał zastępować gubernatora na kolacjach, przyjęciach, uroczystościach i takich tam. Gdy oświadczyła, że brzmi to bardziej jak zabawa niż jak praca, zwrócił uwagę, że to praca, co oczywiście

oznacza, że, jak w każdej pracy, nie można pić alkoholu. Czy nadal chce się zamienić?

— Chwileczkę! — Uniosła rękę. — Więc innymi słowy, dziś wieczorem jest pan w pracy, zgadza się? Tak naprawdę nie przyszedł pan się tu bawić.

— Nie, nie, nie — odparł pośpiesznie. — Dzisiaj jestem prywatnie. To nie praca. Twój wujek to mój stary przyjaciel. Znamy się jak łyse konie.

Zanurzyła mały palec w jego drinku. Spróbowała i skrzywiła się.

— Więc jak to się stało, że pije pan wodę sodową?

Mrugnął do niej okiem.

— Och, zobacz, Fiono, jest Ginny! Wybaczycie nam na chwilę? — odezwała się Susan, biorąc Fionę za ramię i prowadząc ją do holu od frontu. — Jak mogłaś to zrobić? — powiedziała, uśmiechając się szeroko i kiwając głową mijanym osobom. — Jak mogłaś postawić go w takiej sytuacji?

— Susan — ostrzegła ją Fiona, uśmiechając się jeszcze szerzej. — Traktujesz mnie jak cholerną szmatę i bardzo mi się to nie podoba!

— Ciszej, ludzie mogą cię usłyszeć — odparła Susan, nie przestając uśmiechać się i kłaniać.

Ginny wyraźnie im wyglądała na wyczerpaną. Jej oczy otaczały ciemne, opuchnięte kręgi. — Jestem tutaj, ale jakby mnie nie było — mówiła do swojej matki, gdy Fiona i Susan do nich dotarli.

— Może dzięki temu oderwiesz się trochę od tego wszystkiego — powiedziała ciotka Arlene, ściskając Ginny pompującym ruchem, jakby w ten sposób chciała natchnąć ją radością.

Fiona widziała swoją kuzynkę po raz ostatni wczesną jesienią. Choć tak apodyktyczna, Ginny zawsze była w czasie przyjęć świetną kompanią, ponieważ tak łatwo dawała się rozbawić słabostkom innych i tak była skora do śmiechu.

— Och, tak się cieszę, że tu jesteś — wyszeptała Fiona, gdy dotknęły się policzkami. — Bo jak dotąd był to wieczór strofowań Susan.

Ginny starała się, lecz ledwie udało jej się uśmiechnąć. Jej szeroka, zębata twarz była cała opuchnięta. Ginny bardzo przybrała na wadze.

— Wyglądasz świetnie! — wykrzyknęła Susan, zarzucając ręce na szyję Ginny, przyjmując to z drżeniem.

— Nie zostanę zbyt długo, jeśli nie masz nic przeciwko temu — odezwała się do matki, która odparła, że oczywiście nie będzie miała nic przeciwko temu. To cudowne, że zdobyła się choć na taki wysiłek. —

Gdzie tatuś? — spytała jeszcze Ginny, rozglądając się wokół, a potem ruszyła z Susan na poszukiwanie ojca.

— Biedactwo — wymamrotała ciotka Arlene, ściskając przez chwilę dłoń Fiony. — Nie mogę uwierzyć, że jej się to przydarzyło.

— Wszystko będzie dobrze — zapewniła Fiona, odwzajemniając uścisk. Ich ręce i ramiona oparły się o siebie. — Wyjdzie z tego. — Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu radości, czując bliskość ciotki.

— Nie wiem — westchnęła ciotka. — Zostać tak zdradzonym, to takie bolesne. I właśnie teraz, kiedy jest taka bezbronna.

— To się musiało stać — odparła Fiona. — Zawsze mówiłam, że to sukinsyn, ale nikt mi nigdy nie wierzył.

— Cóż, najważniejsza była lojalność... dla dobra Ginny — odparła ciotka, zabierając rękę. Uśmiechnęła się do ich sąsiadki, Lucretii Kendale i jeszcze jednej starszej kobiety, mijających je w poszukiwaniu swoich martini, które odstawiły gdzieś parę chwil temu. — Dobry wieczór paniom — zawołała za nimi ciotka Arlene.

— Nie — oświadczyła Fiona. — Dla dobra Ginny powinniśmy byli powiedzieć prawdę... — Przypomniała ciotce tamtą kolację, gdy spytała Boba Faya, czego sobie życzy. Odpowiedział szybko, że niczego. Więc dlaczego wpycha swoje nogi między jej. Na co wujek Charles odparł, że może gdyby przesunęła swoje krzesło, Bob miałby więcej miejsca. Zmierzył lodowatym spojrzeniem swoją siostrzenicę i zięcia, a wszyscy zamarli w milczeniu.

— Wiem. Wiem — przerwała ciotka. — Lecz, w każdym razie, kochanie, chciałabym tylko powiedzieć, jak bardzo twój wujek i ja, my obydwoje, jesteśmy zadowoleni, nie tylko z tego, że jesteś tu dziś wieczorem, ale że spotykasz się z Georgem.

— Jesteśmy tylko przyjaciółmi — odparła Fiona.

— Cóż, lepszego przyjaciela nie mogłabym sobie dla ciebie wymarzyć — rzekła ciotka, poprawiając perły Fiony i przesuwając zapięcie do tyłu. — Albo — wyszeptwała Fionie do ucha — lepszego bliższego przyjaciela, jeżeli tak by się sprawy potoczyły.

— Ale się nie potoczą — ucięła Fiona.

Elizabeth stała w salonie z Matleyami, niskim mężczyzną o jaskraworudych włosach i otyłą kobietą w kostiumie z białej krepy. Laura Matley uczyła razem z Elizabeth, a John był księgowym.

— Właściwie jest teraz księgowym George'a — oznajmiła Elizabeth, a potem dodała, mrugając do Johna Matleya: — Trudno mi wyrazić, jak

bardzo jestem zadowolona. Przez tych ostatnich kilka lat sam prowadził swoje księgi. Mogę sobie tylko wyobrazić, w jakim są stanie!

Fiona była zaskoczona zmianą, jaka zaszła w jej kuzynce, odkąd ostatni raz widziała ją w swojej kuchni. W rozgorączkowanych oczach Elizabeth błyszczało szczęście.

— Cóż, wkrótce wyjdziemy na prostą — odpowiedział John Matley, rozglądając się wokół. — A tak w ogóle, to gdzie się podział George?

— Jest w kuchni — objaśniła Elizabeth z szerokim uśmiechem. — Człowiek z firmy cateringowej dostał chyba ataku wściekłości. Jeden z palników mamy się zepsuł, więc George powiedział, że go naprawi.

John Matley spytał, gdzie jest kuchnia. George mógłby potrzebować pomocy.

— Znając George'a, wątpię w to — orzekła Elizabeth, z zapałem prowadząc go do kuchni.

Fiona spytała Laurę Matley, odjak dawna uczy w Crane School. Laura odparła, że zaledwie kilka miesięcy. Zaczęła we wrześniu, razem z Elizabeth. Ona i John znali tylko kilka osób w mieście. On denerwował się dzisiejszym przyjęciem, lecz Elizabeth naprawdę chciała, by przyszli. Pomyślała, że będzie to dobry sposób, by poznał trochę ludzi.

— To po prostu urocza osoba — oświadczyła Laura. — Mam wrażenie, jakbym ją znała przez całe życie. Wszyscy w szkole, my wszyscy, mówimy to samo. Wszyscy szalejemy na jej punkcie. Zawsze przynosi do szkoły ciastka i drobiazgi, którymi robi ludziom frajdę. A jeżeli któregoś dnia jesteś w dołku, idziesz do swojego biurka i znajdujesz jakiś słodki, krótki wierszyk, który napisała. Nazywa je haiku. I jeszcze origami! Robi te delikatne ptaszki z kawałeczków papieru. Jej uczniowie po prostu ją uwielbiają. Nie może zrobić kroku, żeby zaraz nie pojawiła się za nią cała paczka, jak małe gąsiątka. — Laura roześmiała się. — Oczywiście na pewno ciągle coś takiego słyszysz. — Zerknęła w stronę salonu. — No a który to jej narzeczony? — spytała. — Jeszcze go nie poznałam.

— Tam — odparła Fiona, pokazując na Rudy'ego, który właśnie się obrócił. Pomachała mu krótko, lecz on rzucił zatroskane spojrzenie gdzieś obok.

— Och — powiedziała Laura z zaskoczeniem w głosie. — Czy to nie zabawne? Zupełnie inaczej sobie go wyobrażałam.

— To znaczy jak? — spytała.

— Teraz, gdy pytasz, to już właściwie nie wiem — zadumała się Laura, jeszcze raz oglądając się za siebie.

— Pewnie jest przystojniejszy, niż myślałaś — drażyła Fiona, obserwując ją.

— Cóż, być może — odparła Laura, śmiejąc się przez chwilę uprzejmie, gdy Rudy przedzierał się do nich, wyglądając niezgrabnie w swoim niedopasowanym ubraniu, ze spiczastym kogutem stojącym mu na głowie i z posępnym wyrazem twarzy.

Prosząc o wybaczenie, Fiona spotkała się z nim w połowie holu.

— Wyczułam na co polujesz. Na wielki talerz żeberek, zgadza się? Jego słaby uśmiech przygasł. Westchnął.

— Wiesz, dokąd poszła Elizabeth?

— Jest w kuchni. George i jego nowy księgowy próbują naprawić tam piec...

W kuchni George klęczał przed spoczywającymi na rozłożonym na podłodze ręczniku, pokrytymi smarem, częściami kuchenki. Wyraźnie poirytowani, pracownicy firmy cateringowej usiłowali koło niego pracować. Z założonymi na piersi ramionami i również zagradzając im drogę, John Matley i Elizabeth stali nad Georgem, obserwując jego poczynania. Jak zauważyła Fiona, Elizabeth przedstawiła Rudy'ego Matleyowi tylko z imienia.

— To jej narzeczony — dodała Fiona z niezręcznej ciszy, która między nimi zawisła.

— Och, taa! Jasne! — przytaknął John Matley.

Rudy patrzył na Elizabeth, lecz ona na niego nie spojrzała. Podbródek jej drżał, a ścięгна na jej długiej, cienkiej szyi były napięte jak stalowe druty. Niezręczną ciszę przerwał John Matley, mówiąc, że będzie lepiej, jeśli sprawdzi, gdzie jest jego żona.

— O tak, zostawiliśmy ją już na zbyt długo — zgodziła się Elizabeth, śpiesząc za nim.

— Jak ci tam idzie, George? — spytał Rudy, gdy tamci odeszli.

— Właściwie prawie skończyłem. Myślę, że się po prostu zatkał — odparł, przyglądając się długiej, metalowej rurce.

— Chodziło mi raczej o ciebie, co u ciebie słychać. — Rudy stał nad nim z rękami na biodrach.

— Całkiem nieźle — odparł George, skupiając wzrok na swojej pracy, gdy wtykał stalowy szpikulec do wnętrza rurki. — Nie mogę w każdym razie narzekać.

— O tak, też myślę, że nie możesz — rzekł Rudy. — Nawet gdybyś chciał, zgadza się? — dodał, wbijając w niego spojrzenie.

Fiona wsunęła sobie nerwowo do ust truskawkę w czekoladzie, a Darrin, facet z firmy cateringowej, rzucił na nią piorunujące spojrzenie. Pracowała kiedyś dla niego, ale odeszła w środku przyjęcia weselnego, które obsługiwała jego firma, bo wrzeszczał na kelnerki. Nie mógł jej znieść, lecz przyjęcie u Hollisów było jedną z jego najlepszych wizytówek. Wzięła jeszcze jedną truskawkę.

George miał jaskrawoczerwone uszy. Wytarł szpikulec o papierowy ręcznik i wstał.

— Wybaczcie mi — powiedział, przeciskając się obok Rudy'ego. Wsunął rurkę do wgłębienia przedniego palnika i manipulował gałką, ale płomień się nie pojawił.

— Potrzebna ci pomoc? — spytał Rudy.

— Nie, dzięki — wymamrotał George, wyjmując rurkę. — Powiniennem ją w minutę wyczyścić.

— Więc nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli pożyczę sobie Fionę na tę właśnie minutę? — spytał Rudy, a ona popatrzyła na niego zaskoczona i uśmiechnięta.

— Oczywiście, że nie. — W głosie George'a zabrzmiała ulga. — Czekokolwiek ona chce.

— No, niech tylko nikt tutaj nie nabierze mylnego wrażenia. Cieszę się tu całkowitą swobodą działania. — Roześmiała się i wzięła następną truskawkę.

— Miałem ci coś powiedzieć, pamiętasz? — odezwał się Rudy, intensywnie jej się przyglądając. Była pewna, że jest na nią zły za przyprowadzenie tu George'a, gdy Elizabeth prosiła ją, by tego nie robiła.

Właśnie w tej chwili drzwi do jadalni zaczęły otwierać się i zamykać gorączkowo, gdy wnoszono naczynia z podgrzewaczem. W środku tego zamieszania ciotka Arlene wparowała do kuchni.

— Tu jesteś! — wykrzyknęła, chwytając ramię Rudy'ego w mocny uścisk. — Nasz stary przyjaciel czeka, żeby cię poznać — oznajmiła, wychając go w tę krzątanicę, która stawała się teraz coraz bardziej hałaśliwa. Przybyło więcej gości. Śmiech i uszczęśliwione głosy napływały i odpływały wraz z otwieraniem i zamykaniem się drzwi.

— George, co ty, do diabła, robisz? — w końcu wyrzuciła z siebie Fiona, gdy sięgał po kolejną część.

— Rurka była zatkana — wymamrotał, zginając się nad kuchnią.

— Taa? A co zamierzasz robić, kiedy z tym skończysz? Pójdiesz sobie posiedzieć na piwnicznych schodkach? — Widziała, jak napinają się mięśnie jego pleców, gdy zeszytniał, słysząc jej słowa. — Wiesz, o co mi

chodzi. Przyszedłeś tutaj, żeby coś udowodnić, a teraz tylko ukrywasz się w kuchni.

Dalej dokręcał śruby, a teraz — sam palnik. Odwrócił się do niej, wycierając ręce w poplamiony ręcznik. Jego opanowanie, jak zawsze, nieodparcie ją prowokowało.

— Ty nie rozumiesz — odezwał się w końcu.

— Co? A cóż tu jest do rozumienia? Że ona nie może się zdecydować? Czy to dlatego przyszedłeś? Żeby jej pokazać, że musi?

Dwie stojące teraz przy zlewie kelnerki wciąż zerkały do tyłu, by usłyszeć, o czym rozmawiają.

— Ona się boi — odpowiedział cichym głosem.

— Czego się boi?

Pokręcił głową.

— Siebie samej, tak sądzę.

— Więc to jej problem i musi sobie z nim poradzić, zamiast marnować czas wszystkich wokół, a szczególnie biednego Rudy'ego.

— Zbyt wiele jest na nią nacisków — ciągnął. — Zawsze było.

— To cholerne bzdury, a ty wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

— Nie. Mówię ci — powiedział cicho. Przysunął się do niej. — Martwię się o nią. Wiem, przez jakie przechodzi piekło. Ukrywa to. Nikt inny tego nie widzi. Ale ja tak! — dodał zdławionym ze zmartwienia głosem.

— Chłopie — odezwała się, potrząsając głową. — Czy ona kiedykolwiek cię zrozumiała. Właściwie nas wszystkich.

— Mówię ci, źle z nią!

— Więc jeśli ona nie potrafi, to ty lepiej weź za to odpowiedzialność, George! — odparła, a on jeszcze raz zacisnął szczęki w ponurym zdecydowaniu.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i teraz do kuchni wszedł wujek Charles.

— Tu obydwoje jesteście. — Jednym ramieniem objął George'a, a drugim — Fionę. — Wyjdźcie stąd i bawcie się na przyjęciu — zachęcał, prowadząc ich do drzwi. — Słuchaj, George, kiedy potrzebujemy hydraulika, dzwonimy do ciebie. Ale nie dziś wieczorem. Dziś jesteś tu z Fioną — dodał, przyciskając ją, aż zabołały ją ramiona. — I chciałbym tylko, żebyście obydwoje wiedzieli, jak bardzo jestem z tego zadowolony. — Popatrzył na nich. — To naprawdę ma sens — ciągnął. — Wy dwoje byliście od dawna takimi dobrymi przyjaciółmi.

— Właściwie, proszę pana — odezwał się George, czerwieniąc się na twarzy. — Nie jestem tu jako...

— Wujku Charlesie! — przerwała Fiona i nawet gdy już mówiła, nie wiedziała, dlaczego powiedziała to, co powiedziała. Wiedziała tylko, że nie chce mieć żadnego udziału w rewelacjach George'a na temat jego i Elizabeth. — Właściwie to George chce to zrobić za darmo — rzekła, biorąc go pod ramię. — Ale właśnie mu mówiłam, że ty, wujku, nie chciałbyś tego, że zawsze nalegasz, żeby płacić. Że musisz, jako sędzia.

— Cóż, oczywiście. Tak, zgadza się. Zawsze płacę.

— Och, nie, proszę pana — zaczął George. — To...

— Zazwyczaj dostaje czterdzieści dolarów za godzinę — ciągnęła. — Ale to jest nocne wezwanie, prawda, George? Ile za to bierzesz? O połowę więcej, więc wychodzi sześćdziesiąt dolarów za godzinę.

— Oczywiście. — Wujek wyciągnął portfel. — To najzupełniej rozumiałe, szczególnie że musiał pracować w środku tej całej wrzawy! — Wyciągnął trzy dwudziestki, a George się wzdrygnął.

— Nie, proszę pana. Nie chcę tego. Nie po to tu jestem — upierał się.

— Nie, nie, ja wiem — odparł pośpiesznie wujek. — Ale proszę, pomóż mi i weź to. — Roześmiał się. — Jeśli nie, to będę miał później do czynienia z Fioną. — Bezskutecznie usiłował wsunąć pieniądze do kieszeni marynarki George'a.

— Absolutnie nie! — zapierał się George.

Wujek Charles uśmiechnął się i potrząsnął jego ręką.

— Cóż, wobec tego dziękuję ci. Dziękuję ci za wszystko — powiedział. Jego skinienie głową w kierunku Fiony miało oznaczać wdzięczność dla George'a za troskę w materii o wiele delikatniejszej niż nieposłuszny piec.

Zirytowana Fiona chwycił George'a za ramię i wsparła się na nim.

— Podziękuj Elizabeth. Nie mogła przecież wszystkiego zatrzymać dla siebie, prawda?

— Na pewno ma nadzieję, że wy dwoje jesteście tak szczęśliwi, jak ona i Rudy — oświadczył wujek.

— Cóż, cholernie się staramy, prawda, George? — Uśmiechnęła się do niego słodko i poczuła, jak jego ramię sztywnieje w jej uścisku.

Wujek Charles potrząsnął głową z życzliwym uśmiechem i spojrzawszy prosto w oczy.

— Być może będziesz miał więcej szczęścia w temperowaniu jej języka. Bóg wie, jak bardzo się starałem. — Poklepał George'a po ramieniu i otworzył drzwi.

George wyrwał jej się. Drzwi zakołysały się, wpuszczając falę pogodnych głosów i po chwili wypuszczając ją z powrotem.

— To wcale nie było śmieszne — odezwał się.

— Nie o to mi chodziło. Próbowалам ci tylko pomóc. — Pchnęła drzwi i otworzyła je.

— Nie — oświadczył, zagradzając jej drogę ramieniem. — Chciałaś popatrzeć, jak się skręcam, prawda? Bo to takie zabawne, co?

— Pewnie, że nie! — odparła, dotknięta na równi oskarżeniem, jak i świadomością tego, jak bardzo jest ono słuszne. Obserwowanie zamieszania w życiu innych dostarczało jej satysfakcji. Lecz nie było to zabawne. Raczej pozwalało jej zrehabilitować samą siebie i dodawało energii. Wszystkie jej zmysły ożywały, instynkty czekały w pogotowiu. Wiedziała, co trzeba zrobić, wiedziała, czego potrzebował mężczyzna i czego naprawdę chciała kobieta. Zawsze można było zwinnie wdrapywać się na wyszczerbione szczyty i pokonywać skalne szczeliny, gdy chodziło o kogoś innego. Po latach chaosu jej krok stał się niezawodny i szybki, o wiele bardziej pewny podczas lawiny niż na spokojnej ścieżce. — Nie mogę tylko znieść tego, co się przez to dzieje z Rudym — próbowała wytłumaczyć. — I, do cholery, nie była to na pewno odpowiednia pora, by ujawnić teraz wszystko mojemu wujkowi.

Potrząsnął głową z rozdrażnieniem.

— Co się przez to dzieje z Rudym! A jak myślisz, co dzieje się ze mną? — zapytał. W jego głosie słyszała zaskakującą gorycz. — Wciąż błaga mnie, by poczekać. „Proszę, poczekaj”, tak mówi. Nie może znieść myśli, że mogłaby go zranić albo zdenerwować swoich rodziców.

— Być może nie jest w stanie znieść tego, że mogłaby zobowiązać się wobec kóregokolwiek z was.

— Myślałem o tym — odparł, potrząsając głową, jakby chciał usunąć z niej kurz i pył. — Czasami myślę, że mieszkałaby tu już zawsze, gdyby tylko mogła. Bo wtedy musiałyby być tylko kochaną, oddaną rodzicom córeczką, i nikim więcej...

Z otwartych właśnie drzwi napłynęły do nich głosy. Fiona czuła się wyczerpana. Troszczyła się tylko o Elizabeth. To wszystko. Nic z tego ją nie bawiło. Ani odrobina. Oczywiście, że nie. Chciała tylko... chciała tylko — pomyślała, że niczego nie chciała, rozglądając się dookoła, próbując wypatrzeć, dokąd poszedł Rudy. Miał jej coś powiedzieć. Przemieszczała się z pokoju do pokoju, uśmiechając się i kłaniając każdemu, kto spojrzał w jej stronę, lecz teraz goście stali zbici w małe grupki i nie obchodziło ich nic, co mogłaby mieć do powiedzenia. Ale gdyby tylko udało jej się znaleźć Rudy'ego, wszystko byłoby dobrze i serce przestałoby się tak tłuc w jej piersi. W gardle miała tak sucho, że aż ją bolało. Wzięła

sobie piwo z baru i wypija większość, lecz nie pozbyła się tego upartego, ostrego pulsowania.

Chatleyowie wciąż stali z Elizabeth. George zmierzał szybko w ich kierunku. Ginny i Susan rozmawiały z żoną zastępcy gubernatora i jedną z dwóch sędzin z sądu wujka. Nigdy nie wiedziała, która jest która, a dziś przybyły obie. Ruszyła przez hol i zobaczyła, jak Lucretia Kendale rozmawia z potężnym mężczyzną, którego wcześniej nie rozpoznała. Był to Stanley Masters, jak sobie uświadomiła, przyłączając się do nich.

Choć Lucretia Kendale była ich sąsiadką, jej elegancki, stary dom znajdował się o dobre dwie mile dalej. Była już dobrze po osiemdziesiątce, lecz nadal farbowała swoje długie, kręcone włosy na głęboką czerń o błękitnawym połysku. Opierała się na mahoniowej lasce i wyglądała, jakby zaraz miała stracić równowagę pod ciężarem grubych, sztucznych rzęs, pełnych, karmazynowych ust i mocno uróżowanych policzków. Lucretia była właścicielką większości gruntów ciągnących się na wiele mil wokoło. Gros jej gości przez ostatnich kilka lat stanowiły pary, które przejeżdżając obok, zainteresowały się jej domem, albo budowniczymi, którzy mieli nadzieję na kupno działki pod budowę domu lub kilku akrów, czy nawet, jak próbowała teraz skusić Stanleya Mastersa, „wszystkiego hurtem.”

Większość inwestorów budowlanych wiedziała, że ta zabawa w kotka i myszkę dostarczała Lucretii uciechy. Gwarantowała jej godziny pełnych powagi dyskusji, gdy niespiesznie oprowadzała „gości” po domu i włościach, opowiadając im szczegółowo historię swego barwnego życia. Szafy ścienne były otwierane, stare suknie wyciągane, kapelusze z piórami zakładane zamasyście na głowę. Jej albumy z fotografiami były zawsze strategicznie rozmieszczone na stołach i poduchach sofy. Z prawdziwym zapałem i zachwytem podawała odwiedzającym specjalnie parzoną herbatę i ciasteczka. Nikt nie pomyślałby, że kiedyś, w bardziej wypełnionych zajęciami i bardziej towarzysko selektywnych czasach, bez najmniejszych skrupułów, większą troską niż ich obdarzałyby swoje psy. Po tych wizytach następowały dalsze rozrywki, których dostarczały porady prawne, a ona przetrawiała oferty i kontroferty, których i tak nie miała zamiaru zaakceptować.

Nagryzmoliła właśnie swój numer telefonu na serwetce.

— I proszę przyprowadzić żonę — rzekła, wręczając serwetkę Mastersowi.

— Pani Kendale — odezwała się Fiona — to pani chce naprawdę mieć hurtownię bajgli na podwórku za domem?

— Tak się składa, że bardzo lubię bajgle — odparła Lucretia. — Właściwie, kiedy byłam młodsza, byłam pewnie jedną z nielicznych w mojej paczce, którzy kiedykolwiek nawet jedli bajgla. Wiesz, w tamtych czasach były uważane za bardzo żydowskie. Co oczywiście — dodała, jedynie przelotnie spoglądając z troską na Mastersa — nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

— Pani Kendale zawsze wyprzedzała swoje czasy — poinformowała Fiona.

— A mnie chodzi o lokalizację — odezwał się Masters, odsuwając się od nich. — Z tymi wszystkimi ciężarówkami, powinienem poszukać czegoś w strefie przemysłowej.

— Ciężarówkami... — zadumała się Lucretia, odganiając wachlarzem wymaginowane spaliny. — Cóż, pan i pańska zona możecie przyjść i się rozejrzeć, ale ja nie wiem, co z tymi ciężarówkami.

— Jednak miło mi było z panią porozmawiać. — Masters odwrócił się, by odejść.

— Ja wiem, gdzie jest taka ziemia! — odezwała się pośpiesznie Fiona. — Myślę, że to jest właśnie coś, czego pan szuka. Nie jestem pewna, ile tam dokładnie jest akrów, ale wiem, że całkiem sporo. I to jest tuż za Parkiem Przemysłowym, więc musi to być chyba odpowiednia strefa.

— Cóż, niekoniecznie, a tak w ogóle, to gdzie to jest? — zapytała, powracając szybko do nich.

— Zna pan Patricka Grady'ego? — spytała, nie zniechęcona jego wymuszonym skinieniem głową. To mógł być bodziec, którego trzeba było Patrickowi. Ta ziemia była tylko ciężarem. Jeżeli sprzedałby wystarczająco duży kawałek, mógłby wyremontować dom, kupić nowy samochód, złagodzić swoją gorycz.

— Właściwie to była jedna z pierwszych osób, do których się zwróciłem — oznajmił Masters. — Ale Grady nawet nie pozwolił mi przestąpić progu. Powiedział, że ta ziemia nigdy nie będzie na sprzedaż.

— To bez sensu. Wiem, że potrzebuje pieniędzy — odparła.

— To po prostu typowe zachowanie Grady'ego, z tego, co słyszałem. — Masters odrzucił głowę do tyłu, by osuszyć do końca swoją whisky.

— Patrick — wymamrotała Lucretia. — Och! Mówisz o Patricku, który myje u mnie okna. O Patricku Natalie. Co za przystojny chłopak. Właściwie jaka to była piękna para młodych ludzi...

— Może gdybym z nim porozmawiała — powiedziała Fiona do Mastersa. I uśmiechnęła się do Lucretii; należała ona do niewielu osób, które w ogóle wspominały o jej matce. — Może udałoby mi się go namówić, że-

by chociaż to rozważyć — dodała pośpiesznie. Zbliżał się do nich wujek Charles.

— Jasne. — Masters wzruszył ramionami. — Ale kim pani jest, jego agentką?

— Fiona jest najprawdopodobniej jego córką — oświadczyła Lucretia ze śladem swej dawnej władczości. — Nie, żebym kiedykolwiek zauważyła jakieś podobieństwo. Prawda, Charlesie? — zagadnęła, gdy do nich dołączył. Wpatrywała się w Fionę, badając wzrokiem jej twarz. — Dla mnie ty byłaś zawsze wykapaną matką. A jej matka, Natalie Range — poinformowała Mastersa — była bez wątpienia najbardziej pełną życia, najładniejszą dziewczyną w Dearborn.

— Zawsze myślałem, że to ty byłaś najpiękniejszą dziewczyną w Dearborn, Lucretio. — Wujek Charles pochylił się, by pocałować jej pokryty grubą warstwą makijażu policzek.

— To niemały komplement i to od najprzystojniejszego mężczyzny w mieście — szepnęła mu do ucha Luckretia. Chwyciła go za krawat, by przyciągnąć go bliżej. — Pamiętaj, Charlesie, wystarczy tylko zadzwonić. Torbę mam zawsze spakowaną. Jestem gotowa i czekam.

— Cóż, Stan — odezwał się wujek. — Widzę, że spotkałeś tu naszą sąsiadkę, Lucretię Kendale, niepoprawną syrenę z Timony Road.

— Tak — odparł Masters — a twoja córka mówiła mi właśnie, że mogłaby chyba porozmawiać z Patrickiem Gradym o tym, żeby sprzedał mi część tej swojej ziemi.

— Fiona jest moją siostrzenicą — rzekł powoli wujek Charles. — Jej matka i Arlene były siostrami.

— I nadal są — wtrąciła Fiona.

— Natalie Range, piękna dziewczyna — opowiadała Lucretia swojej starszej przyjaciółce, która właśnie do nich dołączyła. W jednej ręce trzymała swoje martini, a w drugiej — talerz, na którym piętrzyła się góra jedzenia. — Błyszczące czarne włosy. Wielkie, ciemne oczy. Ta mlecznobiała skóra, której już się nie widuje. Oszałamiająca, naprawdę.

— Och, pamiętam ją. To siostra Arlene. Ta ładna — odparła starsza dama, kiwając głową.

— Hm, a może ja to paniom potrzynam i wtedy będą panie mogły coś zjeść — wtrącił wujek Charles, biorąc zaraz talerz i przytrzymując go w wyciągniętej ręce, a obie kobiety konsumowały zawzięcie, gdy on mówił dalej: — Stan i ja przewodniczymi komitetowi zbierającemu pieniądze na budowę schroniska YMCA. Choć z zakłopotaniem muszę przyznać, że on wykonuje lwią część pracy. A teraz coś, co pewnie cię zainte-

resuje, Lucretio. — Obrócił się do Mastersa: — Rodzina Kendalów odegrała znaczącą rolę w zbudowaniu pierwszego schroniska YMCA w Col-
lerton.

— Potrzebna mi każda pomoc — rzekł Masters. — Tak samo, jak ze sprawą tego Grady'ego — dodał, kiwając głową do Fiony. — Proszę, porozmawiaj z nim, z twoim ojcem. I powiedz, że uważam, że to świetne grunty. Naprawdę świetne.

— Porozmawiam! — odparła, uśmiechając się szeroko mimo piorunującego spojrzenia wujka. — Byłoby świetnie!

— Nie sędzę — odezwał się wujek Charles, zaciskając dłoń na jej ramieniu. — Patrick nie jest zainteresowany sprzedażą. Nigdy nie był.

— Ale on potrzebuje tych pieniędzy — upierała się Fiona, gdy obie kobiety oddaliły się, pozostawiając pusty talerz, który jej wujek nadal trzymał w ręce. Popatrzyła na niego. — Nie stać go nawet na zapłacenie podatku od tej ziemi.

— Zapłacę mu z pewnością tyle, ile ta ziemia jest naprawdę warta — mówił podekscytowany Masters. — Od kiedy tu przyjechałem, wciąż myślę o tej ziemi.

— Właściwie są tam prawie same półki skalne — wyznał wujek. — Odwadnianie będzie okropnym problemem. A z prawnego punktu widzenia kamieniołom to ogromna odpowiedzialność. Tylko patrzeć jakiego wypadku, jakiejś tragedii. Nie chcę nawet myśleć, ile kosztowałyby taka sprawa.

Masters pokiwał głową w zamyśleniu.

— Ja nigdy tam nie wchodziłem. Grunt jest tak obstawiony tabliczkami, że nie śmiałem.

— Ale mógłby pan osuszyć kamieniołom — odezwała się Fiona, ignorując zimne spojrzenie wujka. — Mówili o tym kilka lat temu... — Streściła szybko Mastersowi starą opowieść o wypadku Larry'ego Bel-leau.

— Koszt osuszenia kamieniołomu byłby naprawdę astronomiczny — przerwał jej wujek. — I właśnie z tego powodu wówczas tego nie zrobiono.

— Ale — powiedział Masters, kiwając palcem w tył i w przód — są teraz pewnie jakieś tańsze sposoby.

— Taa! — poparła go Fiona, jakby już świetnie wiedziała, o jakie sposoby mu chodzi. — Teraz byłoby to naprawdę o wiele tańsze.

— Coś ci powiem — odezwał się wujek, obracając się i stając między nią a Mastersem. — Grady miał propozycje w przeszłości i do tej pory był

zawsze nieugięty. Ale kto wie, może tym razem będzie inaczej. Jeżeli chciałbyś, mógłbym... — Jego głos cichł powoli, gdy obydwaj mężczyźni przechodzili do holu.

Fiona drżała. Po plecach ściekał jej pot. Nienawidziła go. Zawsze była tak traktowana. Przez niego, przez nich wszystkich.

Nigdy nie należałam do tego domu — pomyślała, obserwując Susan otoczoną przez wianuszek pełnych uwielbienia przyjaciół ciotki Arlene. Susan była inteligentna i doskonała. Jakość przyciągała jakość. Jak te najlepsze obrusy i porcelana, mogła być pewna, że zostanie wyciągnięta na specjalne okazje, podczas gdy każdy musiał uważnie obserwować Fionę, jak to chybotałiwie krzesło, które mogło załamać się w najbardziej niespodziewanym momencie.

— Fiona?

Odwróciła się zaskoczona.

— Właśnie rozmawiałem z waszą sąsiadką — mówił do niej Rudy. — Najwyraźniej jest w posiadaniu ostatniej, najlepszej działki budowlanej w tym mieście.

— Tak. Lizzie by się to naprawdę spodobało, bliźniutko do mamusi i tatusia — odparła. Była zaskoczona, gdy się roześmiał.

— Taa, też o tym pomyślałem — powiedział. — Ale w każdym razie powiedziałem jej, że ze mnie jest jednak typowy chłopak z miasta. Nie chciałyby mieć mnie za sąsiada. Musiałbym przecież ściąć wszystkie drzewa i wszystko wybetonować.

— A co na to Lucretia? „Dlaczego nie wpadniesz któregoś dnia i po prostu o tym nie porozmawiamy, ty duży, przystojny chłopcze z miasta, ty...” — Pokręcił głową z zaskoczeniem. — Właśnie tak powiedziała. — Rozejrzał się dookoła, a potem pochylił się i wyszeptał. — Chce, żebym był jej lekarzem.

— Powiedziała ci, że już od lat nie miała naprawdę gruntownego badania lekarskiego?

— Mój Boże. Skąd wiedziałaś? Czekaj! Nie mów mi. Właśnie dostałem propozycję od okolicznej ladacznicy, nieprawdaż?

— Nie, ponieważ to ja jestem okoliczną ladacznicą.

— Więc masz naprawdę lepszą konkurentkę w tym podstarzałym dziewczęciu — powiedział i skinął głową w kierunku Lucretii. Stała z zastępcą gubernatora i Crosbym, członkiem zarządu miasta.

— Och taa? A dlaczego? — spytała Fiona, odwracając się.

— Doskonale wie, co robi. Zna świetne zagrywki.

— A ja nie?

Podniósł ręce w górę.

— Ja tego nie powiedziałem!

— No cóż, bo nie znam. W każdym razie już nie. — Westchnęła. — To, o czym chciałeś ze mną porozmawiać? Mówiłeś, że chcesz mi coś powiedzieć.

— Dokąd poszedł George?

— Dokądś. Nie wiem. A gdzie Elizabeth? — spytała, wzruszając ramionami.

— Czy nie ma czasami takiej gry, która nazywa się: „Gdzie jest Elizabeth Hollis?”

— Jeśli nawet nie, to powinna być — zgodziła się.

— Może pomaga George'owi naprawiać piec czy coś w tym rodzaju.

— No, to było już wstrętne. A może to tylko twoja paranoja puka do drzwi?

— Ten wstrętny, paranoiczny, zmęczony ja. Masz przed sobą całkowitą emocjonalną dezintegrację, zachodzącą właśnie tutaj, dziś wieczorem, na twoich oczach.

— Widzę zmęczonego i paranoicznego faceta. — Przyjrzała mu się. — Ale wstrętne — nie.

— Stoi przed tobą. — Chciał położyć dłoń na jej ramieniu, lecz cofnął ją skrępowany. Zamiast tego przysunął się bliżej. — Muszę z tobą porozmawiać — wyszeptał. — Możemy? Proszę... Teraz...

— Mówisz poważnie, tak? Coś się stało, Rudy?

— Tak, coś się stało ze mną! Rozejrzałem się przed chwilą dookoła i wszyscy śmiali się i rozmawiali, a ja ciągle myślałem tylko o tym, w głowie miałem tylko tę jedną myśl.

— O czym myślałeś? Co to była za myśl?

— Że ja tu nie przynależę. Wciąż sobie myślę: Co ja tutaj robię? Mój Boże, co, do cholery, tutaj robię?

— Cóż, witamy w klubie. Właściwie to akurat rozpoczynałam zebranie!

— Nie, naprawdę. — Dotknął jej nadgarstka. — Muszę z tobą porozmawiać, Fiono, bo czuję się tu jak w pułapce. — Przełknął ciężko i spróbował się uśmiechnąć. — Jakbym został uwięziony w czymś, na czym mi nawet nie zależy. A teraz doszło jeszcze to: boję się tego, co się stanie, gdy zaczniesz mi zależeć. Na tym, czego nie mogę mieć... — Zamknął oczy i westchnął. — Zdarzały mi się do tej pory różne trudne sytuacje, ale nigdy jeszcze nie byłem w takich kłopotach.

Ścisnęła go za rękę.

— Biedny Rudy...

Popatrzyła na drugi koniec pokoju. Jej wujek właśnie wrócił i rozmawiał ze swoimi starymi przyjaciółmi, Jorgensonami. Powiedziała Rudy'emu, by ruszył w chwilę po niej i spotkał się z nią u szczytu schodów. Czuła się winna z powodu jego bólu. Nie powinna była przyprowadzać tu George'a dziś wieczorem. Wychyliła się nad poręczą, zastanawiając się, dlaczego serce znów bije jej tak szybko. Dlaczego była taka podniecona? Czy George miał rację? Czy bardziej niż przyjęcie bawiło ją nieszczęście innych?

Rudy podniósł wzrok, wspinając się po schodach, a ona gestem nakażała mu, by za nią poszedł. Podeszła na palcach do drzwi w końcu holu na piętrze. Otwierając je, znów kiwnęła do Rudy'ego. Podążył za nią po stromych, pomalowanych na brązowo stopniach na zimny, mroczny strych. Włączyła żarówkę pod sufitem i zobaczyła, jak zdziwiony mruga oczyma na widok mnóstwa porozstawianych tu pudeł i lustek, i obrazów, i wszystkich tych starych łyżew i wrotek zawieszonych za pętelki zrobione ze sznurowadeł na starych, zardzewiałych gwoździach pod dachem. Na końcu strychu znajdowało się jeszcze jedno pomieszczenie. Wyłączyła górne światło i zapaliła przyćmioną żarówkę w wielkiej, pozbawionej okien, otoczonej cedrowymi ścianami szafie ściennej, którą ona i Elizabeth opróżniły dawno temu ze składowanych tu wełnianych ubrań, oznajmiając, że to ich tajemny pokój.

— Dawniej przebierałyśmy się tutaj. — Zamknęła drzwi. — Widzisz. — Otworzyła chybotały, stary, rattanowy kosz z przykrywką i wyjęła czarny kapelusz z szerokim rondem. Założyła go i uśmiechnęła się do swego odbicia w cętkowanym lustrze. — Należał do mojej matki. Udawałam, że nią jestem...

— Muszę ci coś powiedzieć — odezwał się, gdy wyplątywała pachnący stęchlizną, biały, wełniany szal z masy starych ubrań wypełniających kosz.

— Och. Biedny Rudy — powtórzyła z drzeniem, narzucając szal na ramiona. Tu na górze było okropnie zimno. — Czuję się taka winna. Powinnam ci była powiedzieć, ale wciąż myślałam, że ona ci powie.

— Nie sądzę, żebyśmy mówili o tym samym, Fiono.

— Ty mówisz o Elizabeth, prawda?

Pokręcił przecząco głową i wyrzucił w górę ręce.

— To dlatego chciałem zobaczyć cię przed przyjęciem. Żebym mógł ci powiedzieć. To znaczy, żebym mógł *to* przynajmniej powiedzieć. Zrobić to, tak czy owak — dodał.

— Co powiedzieć?

Popatrzył na nią przez chwilę.

— Że cię kocham.

— Rudy!

— Wiem. Przepraszam. Przepraszam cię. Nie mogłem wybrać gorszego miejsca i czasu, prawda? Tak długo ukrywałem to i zaprzeczałem temu, i unikałem tego, a potem, dziś wieczorem, wciąż cię szukałem i obserwowałem cię, i za każdym razem, gdy wychodziłaś z pokoju, czułem się tak, jakbym tonał... O Boże, przepraszam. To nie w porządku. Nie powinienem ci tego robić. Wiem, że nie powinienem.

— Rudy! — powtórzyła już łagodniej. Zdjęła kapelusze i usiadła na zimnej, wilgotnej otomanie, która zapadła się pod nią ze zgrzytem wiekowych sprężyn, który pamiętała z dzieciństwa. Czuła, jak szal zsuwa jej się z pleców, lecz nie mogła się poruszyć.

— Wiem. — Podniósł ręce w rozpaczliwym, beznadziejnym geście. — Tak mi przykro. Wiem, co czujesz wobec Elizabeth i co ona czuje wobec ciebie. — Westchnął. — Ale, o Boże, wiem, co ja do ciebie czuję... Przepraszam, ale musiałem to powiedzieć. — Zaczął otwierać drzwi.

Podniosła się i objęła go ramionami w pasie. Przycisnęła twarz do jego pleców.

— Nie odchodź, nie odchodź — powtarzała.

Musiał odsunąć jej ręce, by móc się obrócić.

— Proszę, nie odchodź. Nie zostawiaj mnie. Proszę, nie odchodź — błagała, gdy całował jej oczy, jej skronie, koniuszek jej nosa, miękką skórę na podbródku, jej usta. Zapadł się na otomanie i całował jej piersi przez sukienkę. Całował jej ramiona, jej żebra. Szepcząc jego imię, przycisnęła jego głowę do brzucha.

— Każdej nocy marzę o tobie — wyszeptał w jej ciało. — Marzę o tym. — Patrzył na nią, muskając jej skórę, rysując linię wzdłuż wnętrza każdego z jej ud.

— Rudy. Och, Rudy — jęknęła.

— Wiem. Za pierwszym razem wszystko powinno być odpowiednie — rzekł, podnosząc się i całując od nowa każdą część jej twarzy.

— Zrobimy to odpowiednio. To moje ulubione miejsce. Zawsze było — odpowiedziała, wsuwając dłonie z tyłu pod jego marynarkę.

— Jak mogłoby być? Dopiero pierwszy raz mnie dotknęłaś. — Roześmiał się tuż przy jej uchu.

— Chodzi mi o to pomieszczenie. Ten pokój. To było nasze tajemne miejsce.

— Och. Myślałem, że mnie masz na myśli.

— No, ciebie też — odparła ze śmiechem.

Odchylił się do tyłu i przytrzymał ją na odległość wyciągniętej ręki.

— Ale czy to w porządku, że cię kocham?

Skinęła tylko głową.

— Czy ty będziesz mogła czuć to samo wobec mnie? Myślisz, że mogłabyś? — wyszeptał.

— Już czuję.

Uśmiechając się szeroko, pociągnął ją w kierunku drzwi.

— Chodź, wydostańmy się stąd. Pojedziemy dokądś. Gdzieś, gdzie jest ciepło i gdzie będziemy mieli spokój.

— Nie. — Roześmiała się i wyłączyła lampę. — Zostaniemy tutaj, nad nimi, a oni nigdy się nie dowiedzą, co tu robimy — rzekła, zdejmując ubranie.

Usiadł na skraju otomany i wyciągał ręce w ciemności, by jej dotknąć.

— To będzie nasze prywatne przyjęcie. — Jęknęła, gdy pociągnął ją na zimny, płaski materac.

Był najbardziej namiętnym kochankiem, z jakim kiedykolwiek była, i najdelikatniejszym. Gdy skończyli, leżali z głową w zgięciu jego łokcia. Naciągnęli na siebie kłujący szal. Nie miała pojęcia, która jest godzina. Nie była pewna, czy weszli tu dwie godziny czy dwadzieścia minut temu.

— Co teraz zrobimy? — odezwał się, kładąc otwartą dłoń na jej wilgotnym brzuchu.

— Ja zejść na dół tylnymi schodami, a ty przyjdiesz parę minut później. Wszyscy będą od frontu.

— Miałem na myśli Elizabeth.

Usiadła i przetoczyła się na niego.

— Cóż, myślę, że pierwsza rzecz, którą musimy zrobić, to przedostać się na dół, tak żeby nikt nas nie widział.

— Moglibyśmy po prostu tu zostać, a potem wyjść jutro, kiedy wszyscy będą w kościele — powiedział.

— Okej. — Położyła się z powrotem, zamknęła oczy i zasnęła.

Obudziła się, słysząc stłumiony dźwięk silnika ruszającego z podjazdu samochodu. — Rudy!

— Lepiej się ubierzmy — wyszeptał. Uniósł się na łokciu.

— Przecież powiedziałeś, że możemy tu zostać do jutra.

— Próbowałem tylko być inteligentny i romantyczny — odparł z ustami przy jej ustach.

Z westchnieniem wyciągnęła rękę i zapaliła światło. On usiadł i obejrzał się za siebie, zaniepokojony. Wskazał na jej szyję.

— Te ślady. Masz je po obu stronach szyi!

— To od szalika — oświadczyła, dotykając gardła. — Sama to sobie zrobiłam. Kiedy próbowałam go zawiązać. W pracy, w kawiarni — dodała, przypominając sobie, że już mu powiedziała, że siniaki na podbródku zrobiła sobie właśnie tam.

— Już widziałem takie ślady. To ślady czyjejś ręki, Fiono. — Szczęka mu opadła. — Czy to Grady? Czy on to zrobił?

— Nie! — odpowiedziała, patrząc mu w oczy. — Oczywiście, że nie.

— To w takim razie kto?

— Nikt! — odparła, drżąc, gdy naciągała pończochy. Była zmarznięta i nagle zaczęła się bardzo denerwować zejściem na dół.

— Wiem, co to jest, Fiono — rzekł, zapinając guziki koszuli. — I wiem, jakiej siły potrzeba, by zostawić takie ślady.

Odwróciła się gwałtownie.

— Słuchaj! Nie rób mi tego! To był tylko przypadek, to, co się stało, i nie ma to nic wspólnego z tobą, okej?

Chciał coś powiedzieć, lecz zamiast tego pokiwał głową.

Zeszła na dół pierwsza. Przyjęcie jakoś się uspokoiło. Większość jedzenia została już pochłonięta, a w kuchni parzyła się kawa. Elizabeth, Susan i Ginny siedziały na sofie w głębi salonu. Elizabeth rzuciła zatroskane spojrzenie gdzieś obok Fiony, gdy ta wchodziła do pokoju.

— Gdzie George? — spytała szybko Fiona. — Szukam go po całym domu.

Elizabeth poinformowała ją, że odjechał z Matleyami chwilę temu.

— Prosił, żeby ci powiedzieć, że cię przeprasza, ale jest naprawdę zmęczony.

— Nie wie, że powinien opuścić przyjęcie z dziewczyną, która go przywiozła? — odparła, starając się wyglądać na zirytowaną.

— Myślał, że już pojechałaś. To ja powiedziałam mu, żeby jechał z Matleyami — rzekła Elizabeth, mierząc ją wzrokiem.

— Wyglądasz na zmęczoną — odezwała się wtedy Ginny, wstając. Przyklepała włosy Fiony z jednej strony, a potem przyłożyła wierzch dłoni do jej policzka. — I taka jesteś rozpalona. Zupełnie jakbyś miała gorączkę.

— Bo zrobiło się tu bardzo gorąco — oświadczyła Susan. Zastanawiała się głośno, czy powinna powiedzieć Arlene, by przykręciła termostat. Żadna z nich nie odpowiedziała, a ona się nie poruszyła.

— Widziałaś Rudy'ego? — Elizabeth znów zerknęła z ukosa.

— Może on też pojechał z Matleyami — odparła Fiona z głupim uśmiechem, którego nie potrafiła stłumić nawet pod bacznym spojrzeniem Ginny.

— Tak źle się tutaj czuł. Prawie nikogo nie znał — mówiła Elizabeth. — Pewnie kiepsko się bawił...

— Wyglądało raczej na to, że bardzo dobrze się bawi, gdy go ostatnio widziałam — odezwała się Ginny.

— Taa, rzeczywiście, kiedy ja go widziałam, też dobrze się bawił — powiedziała Fiona i wybuchnęła śmiechem. Popatrzyły na nią. — Proszę, nie zwracajcie na mnie uwagi — dodała, machając ręką. Zasłoniła usta i zaczerpnęła głęboko powietrza. — Myślę, że sama też trochę za dobrze się tej nocy bawiłam. — Znów się zaśmiała. Z ich pośpiesznych spojrzeń wywnioskowała, że myślą, że jest pijana.

— Jeżeli mowa o zabawnych sprawach, właśnie opowiadałam Elizabeth o tym nowym zleceniu, które dostałam — odezwała się Susan. — To specjaliści od organizowania wesel. Robią wszystko. Wyszukują odpowiednią suknię, planują menu, kwiaty. Oni nawet — tylko pomyślcie — rozsyłają zaproszenia.

— Naprawdę? — spytała Fiona i znów musiała zakryć usta.

— Spójrzcie lepiej, kto tu jest! — zawołała Ginny, gdy Rudy wynurzył się zza węgła. — Zaginiony narzeczoney.

Elizabeth pośpieszyła do niego i wzięła go za rękę. Trzymała ją w obu dłoniach, gdy coś do niego mówiła. Skinął głową.

— Biedactwo. Wygląda na takiego zagubionego — odezwała się Susan.

— A mama uważa, że Lizzie sobie z nim pogrywa — oświadczyła Ginny, obserwując narzeczoney. — Wypytałam, co się dzieje, ale Lizzie mówi, że to tylko ten zwariowany rozkład zajęć. Mówi, że on tyle pracuje, że już się prawie nie widują...

— Wiesz, Fiono — zawołała nagle Susan konspiracyjnym tonem. Nachyliła się bliżej. — Właśnie usłyszałam tę dobrą nowinę.

— Jaką dobrą nowinę?

— O tobie i George'u. Że wy... no, chodźcie ze sobą — dokończyła Susan, spoglądając niepewnie na Ginny.

— Ale nie chodźmy — odparła Fiona, lecz one już tego nie słuchały, bo obydwie zaczęły paplać, gdy tylko Elizabeth i Rudy do nich podeszli.

— Rudy! — rzuciła karcąco Susan.

— Tak się martwiłyśmy — dodała Ginny. — Ojciec powiedział, że kiedy ostatni raz cię widział, rozmawiałeś z Lucretią Kendale.

— Zgadza się. I uwierzcie mi, że niezgorsza z niej dama — odparł, unosząc brwi.

— Wyobrażałyśmy sobie, że odbywasz rundkę kulinarną — dodała Susan.

— Och, więc to się teraz tak nazywa! — wymknęło się Fionie. Zażmiała się rubasznie.

— Rudy będzie już jechał — oznajmiła Elizabeth.

— Tak — potwierdził, spoglądając na wszystkie oprócz Fiony. — Mam jutro od rana dyżur.

— Wyglądasz na wyczerpanego — stwierdziła Susan.

Fiona wzięła jakieś czasopismo i zaczęła je kartkować. Żuła wnętrze swoich ust, by powstrzymać się od śmiechu.

— Czytałam niedawno artykuł o stażystach i o tym, jak są zestresowani, pracując osiemnaście czy dziewiętnaście godzin pod rząd — odezwała się Ginny.

— No, ja już tego nie robię — odparł. Zerknął na Fionę, a ona uśmiechnęła się szeroko.

— Rudy nie jest stażystą — wyjaśniła Elizabeth.

— Nie, ja wiem — odparła szybko Ginny. — Ale kiedy to przeczytałam, nie mogłam powstrzymać się od myśli o tobie. Elizabeth opowiadała nam o twoim zwariowanym rozkładzie i jak...

— Więc w takim razie lepiej już zabiorę cię do domu — powiedziała do Rudy'ego Elizabeth, odwracając się, by wyjść, nim Ginny zdoła powieść więcej.

— To ty nie przyjechałeś tutaj własnym samochodem — odezwała się Fiona, patrząc na niego ze zmieszaniem.

— Elizabeth mnie podwiozła. Wysłali do miasta, żeby załatwiła jakąś sprawę w ostatniej chwili — tłumaczył, a one wszystkie mu się przyglądały.

— Aha. — Kiwnęła głową. Ta sprawa do załatwienia w ostatniej chwili musiała być sposobem wymyślonym przez jej ciotkę i wujka, by Elizabeth wylądowała tej nocy w łóżku Rudy'ego. — Mogę go podwieźć. Będę przejeżdżać tuż koło jego domu — powiedziała do Elizabeth.

— Och, taa, pewnie — przytaknął Rudy, a na twarzy Elizabeth odmalowała się ulga. — To ma sens.

Uśmiechnęli się oboje do Fiony i odezwali w tej samej chwili.

— Jesteś pewna? — spytała Elizabeth.
— To znaczy, jeżeli nie masz nic przeciwko temu — dodał Rudy.
— Nie, oczywiście, że nie — rzekła, uśmiechając się szeroko w odpowiedzi. — Gdybym miała coś przeciwko temu, to czybym to zaproponowała?

Stali potem razem w holu od frontu, zakładając płaszcze. Otarła się o niego ramieniem. Zerknęli na siebie i starali się nie roześmiać. Serce biło jej jak oszalałe, a uszy wypełniał jej dźwięk jakby lejącej się wody. Tak silnie odczuwała jego bliskość, że aż mrowiły ją policzki. Upuściła rękawiczkę, a on ją podniósł i przytrzymał, by włożyła w nią dłoń. Gdy wsunęła rękę pomiędzy warstwy skóry, miała wrażenie, jakby sięgała w jakąś głęboką część jego samego.

Otworzyły się drzwi do holu.

— Och! — odezwał się wujek Charles, wyłaniając się z rozświetlonych płomykami świec cieni w kuchni, gdzie ostatni goście zasiedzieli się nad kawą. — Tu jesteście. Arlene właśnie mi powiedziała, że wychodzicie. — Poruszył mimowolnie głową. — Nie zdawałem sobie sprawy, że jedziecie razem.

— Podwiozę go do domu.

— Podwozi mnie do domu.

Odpowiedzieli chórem, a żadne z nich nie śmiało wymienić imienia drugiego.

— A Elizabeth nie może? Chodzi mi o to, czy wszystko jest w porządku! Nie widziałem cię tam przez dłuższą chwilę — mówił do Rudy'ego wujek.

Fiona nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Pozwoliła Rudy'emu wytłumaczyć, że będzie przejeżdżał tuż obok jego mieszkania i w ten sposób Elizabeth uniknie samotnej jazdy z powrotem.

— Ale jestem pewien, że ona nie ma nic przeciwko temu — obstawał przy swoim wujek.

— Nie i ja też nie mam — odparła Fiona z niepohamowanym chichotem, gdy całowała wujka na pożegnanie.

— No, nie wiem, Fiono, ty piłaś — rzekł sztywno. — Prowadzenie samochodu to chyba nie najlepszy pomysł.

— Wypiłam jedno piwo! — oświadczyła.

— A może obydwójce zostaniecie? — spytał, patrząc na Rudy'ego. — Wstaniecie rano, zjecie konkretne, wiejskie śniadanie.

— On nie może.

— Nie mogę. Ale dziękuję.

Nie mogli na siebie spojrzeć. Ciekawa była, czy jej oczy błyszczały z pożądania tak jak jego.

— O Boże — jęknęła, gdyszli ścieżką, z założonymi na piersiach ramiionami, uważając, by iść w należytej odległości od siebie. Czuła, że wujek obserwuje ich przez całą drogę do samochodu.

Uruchomiła silnik i wyjechała na wąską dróżkę. Połówka księżycy wyglądała jak plama postrzępionej mgiełki na zachmurzonym niebie. Gdy skręciła na skrzyżowaniu, obydwójce wybuchnęli śmiechem. Położyła dłoń na jego udzie, a on przebiegł palcami po jej włosach.

— Masz zimne uszy. — Pogłaskał jej ucho, trzymając je między palcami. Milczał przez chwilę. — Nie zbliżysz się już do tego faceta, prawda?

— Jakiego faceta? — Pochyliła policzek do jego dłoni.

— Tego, który cię skrzywdził.

— Mówiłam ci. Nikt mnie nie skrzywdził — odparła, spuszczając na chwilę wzrok, gdy w lusterku wstecznym odbiło się oślepiające światło reflektorów. Tuż za nimi jechał następny samochód. Gdyby się zatrzymała, uderzyłby w nią. Jeszcze raz spojrzała w lusterko, lecz wśród tego blasku mogła tylko rozpoznać kształt męskiej głowy. Jechała powoli, zerkając do tyłu, a potem mrugając oczyma, by skupić wzrok na drodze.

— Czy mogę dziś z tobą spać? — spytał Rudy chrapliwym głosem, przesuwając palcami wzdłuż krzywizny jej podbródka.

— Nie, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł — odparła.

— Mam na myśli tylko to, tylko spanie. Chcę być z tobą, Fiono. Muszę z tobą być.

— Nie. Nie tej nocy. Nie mogę. — I teraz, gdy spojrzała w lusterko, zobaczyła to, czego się obawiała. To był on. Czekał, aż wyjdzie z przyjęcia i podążył za nią do domu. Ich oczy spotkały się we wstecznym lusterku. Jej — pełne zaskoczenia i zmieszania, a Patricka Grady'ego — płonące wściekłością.

Rozdział 17

była to pierwsza sobota od dłuższego czasu, w którą Fiona pracowała. Maxine zadzwoniła o szóstej, by powiedzieć, że Donna Drouin jest chora na gripę i nie może przyjść. Dwadzieścia minut później Fiona wlokła się przez drzwi kawiarni, z mokrymi włosami i drżąc jeszcze od snu. W kawiarni przez cały dzień panował ruch. Słoneczna pogoda i niezwykła jak na tę porę temperatura, ponad szesnaście stopni, przyciągnęły ludzi na śródmiejskie ulice i do sklepów. Gorączkowe tempo pracy utrzymywało myśli Fiony z dala od jej złości na Patricka, a teraz, w bezlitosnym, oślepiającym, popołudniowym świetle, także od jej poczucia winy i zakłopotania z powodu tego, co zdarzyło się zeszłej nocy z Rudym.

Do kawiarni weszła właśnie Sandy z córeczkami, ubranymi w lakierki, dopasowane do nich wełniane płaszczyki i aksamitne bezrękawniki. Jedna miała bezrękawnik w kolorze żurawin, druga — zielony. Sandy nie spodziewała się zobaczyć dziś Fiony pracującej zamiast Donny. Miała podrażnione oczy i czerwony nos, jakby płakała. Fiona słyszała, że Todd się poprawił i znów pracuje w sklepie. Pomyślała, sądząc po zmęczeniu Sandy, że pewnie jednak zaczął się włóczyć. Fiona powiedziała dziewczynkom, jak ślicznie wyglądają. Była zaskoczona, słysząc, jak nie tylko jej podziękowały, lecz odparły, że ona też bardzo ładnie wygląda. Kiedy widziała je ostatnio, sprzeczały się i jedna mówiła do drugiej, żeby się zamknęła. Spytała, czy wystroiły się tak na przyjęcie.

— Babi chce, żebyśmy nosiły ładne sukienki — odpowiedziała Brandy, starsza z dziewczynek.

— A kto to jest Babi?

— Matka Todda — odparła Sandy. — To był jej pomysł, zamiast babcia czy babunia.

— Sprytnie — stwierdziła Fiona. Matka Todda nie chciała, by ktoś pomyślał, że faktycznie była babką małych bękartów Sandy Rudman.

— Zgadzam się. To tak jakby mówiła: „Och, jestem tą specjalną osobą w waszym życiu, ale możemy się też świetnie bawić, wiecie?” — wydeklowała Sandy, kręcąc głową i gestykułując palcami.

Mój Boże — pomyślała Fiona. — Musi doprowadzać Prescottów do kresu wytrzymałości.

Dziewczynki zamówiły hot dogi i frytki. Poprosiły o mleko czekoladowe, lecz Sandy powiedziała, że nie ma go w menu. Fiona odparła, że przygotowuje trochę specjalnie tylko dla nich.

— To bardzo miło z twojej strony — oświadczyła Sandy, wracając z kredkami i papierowymi podkładkami do kolorowania dla córeczek. — Dziewczynki, dziękujecie pannie Range za to, że jest dla was taka miła.

— Dziękujemy, panno Range — powtórzyły dzwięcznie dziewczynki, biorąc się za rysowanie.

— Ależ proszę bardzo, Brandy i Mandy — odpowiedziała z uśmiechem Fiona. Były ślicznymi dziećmi. — Ale jest jedna sprawa — dodała, pochylając się nad nimi. — Proszę, nie nazywajcie mnie panną Range. Nigdy tego nie robiłyście. Jesteśmy starymi przyjaciółkami! Więc mówcie do mnie tak, jak mówi wasza mamusia.

— Ja nie mogę. Miałabym duże kłopoty — odezwała się Brandy, nie podnosząc wzroku znad małych oczu, nosa i ust, które dorysowywała do wielkiej, niekształtnej głowy.

— Nie, kochanie. Tak nie będzie, skoro ja powiem, że możesz — zapewniła Fiona.

— Mogę? — spytała Brandy, zerkając sceptycznie na matkę. — Ja też mogę to powiedzieć? Mogę powiedzieć „ta suka”?

— Brandy! — krzyknęła Sandy i uderzyła ją w rękę. Kredka poleciała na podłogę. Brandy zamknęła oczy i cicho zaszlochała, kiedy matka mówiła jej, że to nie było miłe. Miłe dziewczynki nie używają brzydkich słów. Tylko złe dziewczynki mówią takie rzeczy. Czy chciała być złą dziewczynką? Tego właśnie chciała? Być złą dziewczynką i nie mieć żadnych przyjaciół, i żeby wszyscy dookoła mówili: „Och, nie baw się z nią, z tą Brandy Rudman, to zła, zła dziewczynka.” — Tego właśnie chcesz? Tak? Tak? — wyszczała Sandy.

— Sandy, daj spokój. — Fiona westchnęła i pokręciła głową. — Biedny dzieciak, to nie jej wina. Przecież...

— Umie się już dobrze zachować! — tłumaczyła Sandy. Usta jej drżały, a oczy miała szeroko otwarte i mokre. — Wie, jak powinna się zachowywać. Wie!

— Ale ona ma tylko cztery lata, Sandy. Myślę, że to chyba nie w porządku obwiniać małe dziecko za to, co mówi. No, przestań...

Ścisnęła Sandy za ramię, a ta opuściła głowę i pociągnęła nosem, stając się nie rozpłakać.

— Wyglądasz na zmęczoną — stwierdziła, gdy wróciła z ich lunchem.

Sandy odparła, że spędziła dwa ostatnie dni na pakowaniu.

— Och! — wykrzyknęła Fiona, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to tak podle, jak podle było zadowolenie, które odczuwała. Więc o to chodzi. Głupia, ufa Sandy dostała w końcu od Prescottów kopniaka.

Sandy wyjaśniła, że ona i Todd przenoszą się do własnego domu.

Fiona nerwowo przełknęła ślinę.

— Kupujecie dom?

Cóż, wynajmują, z pomocą Prescottów. Sandy powiedziała, że matka Todda była po prostu zbyt surowa dla dziewczynek. Przy tych wszystkich zabytkowych dywanikach nie mogły nawet nosić po domu butów. Nie wolno im było wychodzić z sypialni przed pół do ósmej rano i musiały być w łóżku nie później niż o siódmej.

— To już było za wiele — stwierdziła Sandy. — Ona jest taka okropnie surowa.

— Tak, zdecydowanie, to widać — odparła, lecz Sandy nie zauważyła ironii w jej głosie.

— Taa, myśleliśmy nawet, żeby wrócić do mojego starego mieszkania, ale wtedy ona cała się zdenerwowała i błagała nas, żebyśmy zostali. A potem zaprowadziła mnie, żebym obejrzała ten dom. Ma trzy sypialnie i wykończony pokój do zabaw w piwnicy. Naprawdę fajny.

— Ale Todd mówi, że to nora — odezwała się Brandy, zerkając znad swoich bazgrołów.

— Trzeba tylko trochę pracy, i tyle — rzekła Sandy z wyraźnym rozdrażnieniem. — Babi mówi, że to będzie dobre ćwiczenie dla Todda — wiesz, na potem, kiedy naprawdę kupimy własny dom.

Zmuszając się do uśmiechu, Fiona usiłowała wmówić samej sobie, że czuła w piersi ukłucie współczucia, a nie zazdrości. Teraz do stolika podeszła Maxine, pytając o ich plany w sprawie ślubu. Sandy odpowiedziała, że ślub został przełożony na przyszły miesiąc.

— Myrna mówi, że nie ma sensu czekać. Z tego czekania Todd ma tylko więcej czasu, żeby się spalać.

Maxine nie zrozumiała.

— Spalać?

— No wiesz, martwić — odparła Sandy.

Fiona wywróciła oczami, ruszając do kuchni, na pożegnanie pracy. Niepokoiło ją to, że wciąż coś tam czuje do Todda. Nie chodziło o to, że chciała go dla siebie. Nie chciała po prostu wiedzieć, że miała gojakaś inna. To właśnie musiała też poczuć Elizabeth na widok George'a w jej ramionach. A teraz jeszcze był Rudy.

— Mój Boże — wymamrotała, pędząc do samochodu. — Co ja, do diabła, zrobiłam? Co jest ze mną? Czy zwariowałam? Jezu Chryste, najwidoczniej!

Ściemniało się. Nie zauważyła zatkniętej pod wycieraczkę karteczki, zanim nie uruchomiła samochodu i nie włączyła świateł:

MUSZĘ CIĘ ZOBACZYĆ. MAM COŚ DLA CIEBIE.

PROSZĘ, PRZYJEDŹ. TO BARDZO WAŻNE. PATRICK.

Nikt nie odpowiadał, więc zapukała jeszcze raz. Jego samochód stał na podjeździe, w domu jednak panowały ciemności. Uderzyła pięścią w drzwi.

— Patrick! — krzyczała, waląc w nie z całej siły. Gdy się w końcu otworzyły, stanął w nich ze szklistymi oczami i rozczochrany, lecz szeroko uśmiechnięty. Zmrużył oczy w świetle płynącym z ganku i wyjaśnił, że zasnął, ale miał nadzieję, że ona przyjedzie. Cekał przez cały dzień.

— Wejdź! — Otworzył drzwi jeszcze szerzej, lecz ona nadal nie wchodziła.

— Jechałeś za mną zeszłej nocy! Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś! — odezwała się ze złością. — Cekałeś tam na mnie, a potem pojechałeś za mną!

— Proszę, wejdź — błagał, wskazując gestem ciemności za sobą. — A potem będziemy mogli przynajmniej porozmawiać.

— Nie! Kiedy byłam tu ostatnio, sprawiłeś mi ból.

Wziął głęboki oddech i potrząsnął głową.

— Ty nie rozumiesz — wymamrotał.

— Nie, to moja wina, i przyjmuję to do wiadomości, ale to się musi teraz skończyć. Nie możesz czekać, kiedy dokąds pojadę, a potem mnie śledzić. To dziwaczne. To wszystko robi się zbyt dziwne.

— Przepraszam — odparł, wzruszając ramionami. — Ale miałem coś dla ciebie. Miałem zamiar ci to dać, kiedy wyjdiesz, i tyle. Dlatego czekałem. — Zwiesił głowę.

— Ale czy ty nie rozumiesz, że nie możesz tak za mną jeździć. To przerażające.

— Wiem. Przepraszam, więcej tego nie zrobię. Obiecuję — powiedział tak posępnie, że zupełnie ją zaskoczył. W końcu to ona pierwsza go śledziła. Próbowwała to wyjaśnić, wskazując, jak bardzo przytłoczony musiał się czuć, kiedy wpychała się na siłę w jego spokojne życie.

— Więc widzę, jak sprawy mogą wymknąć się spod kontroli — przyznała, a przez jej głowę przebiegały szybko myśli. Bała się powiedzieć to, co naprawdę miała na myśli, że to wszystko było tak beznadziejnie pokrecone, to, że chciała tylko tego, co należało do kogoś innego, czego nie mogła mieć, włączając w to Patricka, więc naturalnie granice się zatarty. — Wprowadziłam cię w zakłopotanie. Wiem, że tak, bo jestem taka...

— Nie wprowadziłaś mnie w zakłopotanie! — przerwał. — Myślisz, że tak się czuję, bo jestem zakłopotany? — Stał tak blisko, że czuła, jak jego pierś wznosi się i opada. — Bo nie wiem, co robię?

— Ale ty widziałeś to na swój sposób, aja chciałam, żeby było po mojemu. Więc ciągle na ciebie naciskałam — odparła łagodnie, żeby go uspokoić. — Nie powinnam była tego robić.

— Ale ja cieszę się, że to zrobiłaś. Uratowałaś mnie — odpowiedział z rozmarzonym uśmiechem. — Nie miałem nic, zanim ciebie poznałem. Byłem zamarznęty, martwy w środku, a ty mnie uratowałaś.

— Po prostu żyjeś z dala od ludzi, to wszystko — rzekła, dobierając ostrożnie słowa.

— Nie miałem wielkiego wyboru. Aż do teraz.

Nic nie powiedziała.

— Czy wiesz, co jest najgorsze w kłamstwie? — spytał. — To, że zawsze starasz się przypomnieć sobie prawdę.

— Co masz na myśli? — zapytała.

— Mam na myśli ciebie.

Uśmiechnęła się, pewna, że zrozumiała, chociaż wyjaśnienie tego byłoby teraz niemożliwe.

— Długo byłem samotny. Jestem już zmęczony samotnością — wyznał.

— Wiem. To dlatego, że żyjesz tu w takiej izolacji. Czasami wygląda to tak, jakbyś nawet nie lubił tu być — rzekła, czując ból na widok jego nieszczęśliwego spojrzenia. Jego usta skrzywiły się, jakby czuł potrzebę powiedzenia czegoś, lecz nie mógł tego zrobić. — Ale czujesz się tu uwięziony, o to chodzi? — dodała łagodnie.

Wciąż na nią patrzył.

— Nienawidzę tego miejsca! — wykrzyknął w końcu. — Nie masz pojęcia, jak go nienawidzę!

— Więc je sprzedaj, Patricku! Nie musisz tu być. — Opowiedziała mu o zainteresowaniu Stanleya Mastersa jego nieruchomością. — Powinieneś do niego zadzwonić. Przynajmniej go wysłuchaj — namawiała.

— A potem co zrobisz? — Zaczął stapać w tył i w przód, rzucając szybkie spojrzenia to na nią, to na drogę, jakby należąca do Mastersa flota ciężarówek do przewozu bajgli już tam czekała z silnikami pracującymi na wolnych obrotach, wyglądając tylko sygnału od Fiony.

— Cokolwiek chcesz! — odparła. — Cokolwiek! Przeprowadź się do miasta! Pojedź dokądś! Podróżuj! Jesteś jeszcze młody, Patricku. Jest tyle rzeczy, które możesz robić.

Zatrzymał się nagle.

— A pojechałabyś ze mną?

— No... nie wiem. Ja... to znaczy... mogłabym cię odwiedzić! — powiedziała z pełnym nadziei uśmiechem. — Dlaczego pytasz? Masz już jakieś upatrzone miejsce? Wiesz, dokąd byś pojechała? — spytała, śmiejąc się cichutko.

— Alaska! — oznajmił, znów zaczynając swój spacer. Obrócił się na pięcie. — Ale rzecz w tym, żeby nikomu nie mówić. Tylko jechać! Wiesz, po prostu zniknąć. — Wciąż na nią patrzył.

— No, nie wiem. Jestem jakby trochę uprzedzona do znikania — odparła, wzruszając niepewnie ramionami, lecz wiedziała, że jemu umknęło znaczenie tej dowcipnej uwagi.

— Ale pomyślisz o tym?

— W porządku... jeżeli ty pomyślisz o telefonie do Stanleya Mastersa. — Popatrzyła na zegarek i powiedziała, że musi już jechać. Musiała wyprostować sprawy z Rudym. Pomyślała o tym, uświadamiając sobie, że poczyniła postępy: doszła od przespania się z mężem przyjaciółki do uwiedzenia narzeczonego kuzynki. Poczwała mdłości.

— Po co ten pośpiech? — spytał Patrick, upierając się, że jest jej winien kolację. Pobiegnie i kupi dwa steaki, a potem zajmie się gotowaniem, podczas gdy ona poogląda telewizję. — Dlaczego? — domagał się wyjaśnień, rozwścieczony, gdy powiedziała, że nie może. — Masz randkę? Masz zamiar znowu zobaczyć się z tym facetem, tak? Tym, z którym byłaś zeszłej nocy.

— Powiedziałam ci. Odwiozłam go tylko do domu. To narzeczonego Elizabeth.

Nachylił się do niej.

— Taa, a ja ci powiedziałem, że chodzi mu o ciebie. Chce ciebie, a nie twojej kuzynki — wyszeptał jej w twarz.

— Nie mów takich rzeczy — odparła wstrząśnięta. Poczuła w gardle gorzki smak. Przypomniała sobie, jak Patrick maglował Larry'ego, by wydobyc z niego informacje na jej temat.

— Wiem to z tego, jak na ciebie patrzy. Jego oczy, one płoną. One...

— To śmieszne — odparła, usiłując nieudolnie zapiąć guzik przy swojej kurtce.

— Wiesz, czego on chce, nie? Małego co nieco na boku, właśnie tego. Rozrywki — powiedział, odgarniając włosy z boku jej twarzy. Przytrzymał je na wysokości skroni i popatrzył na nią. — Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby ta twoja wieszakowata kuzynka... była taka, no, zabawna, jeżeli wiesz, o co mi chodzi — ciągnął cichym, świszczącym szeptem. — Przypomina swoją matkę, nie? Wybredna. Założę się... że grymaśna w różnych sprawach. W pewnych sprawach. — Przerwał na chwilę. — A potem on spotyka ciebie i wie, że cokolwiek by się stało, ty nigdy nic nie powiesz. Nigdy go nie wydasz. Bo za bardzo kochasz swoją kuzynkę. Nigdy nie chciałybyś jej skrzywdzić.

— To chore — odparła, czując zimno przenikające ją ze strachu przed Patrickiem i tym, że jego słowa mogłyby okazać się prawdą.

— Powiem ci, co jest chore — warknął z czołem przyciśniętym do jej czoła, z dłonią wciąż ściskającą kurczowo jej włosy. — Spanie z każdym mężczyzną, który się do ciebie zbliży, jakby to było nic, jakby to nic, do cholery, nie znaczyło.

— O czym ty mówisz? — Nie mogła złapać tchu.

— Wiesz przecież. — Popatrzył na nią przez chwilę. — Nie obchodzi cię to? Chodzi mi o męża twojej przyjaciółki. Dopiero co urodziła dziecko. Jak mogłaś to zrobić? A teraz narzeczony twojej kuzynki? — spytał łamiącym się głosem.

— Sprawiasz mi ból! — ostrzegła, gdy zacisnęła mocniej palce na jej włosach. — Tego właśnie chcesz? Chcesz mnie zranić? Bo wyglądam tak jak ona? To dlatego? Jestem taka jak ona? Tak?

Zamknął oczy, jakby przed jakimś obrzydliwym, a jednak hipnotyzującym widokiem. Jego chwyt się rozluźnił, ale nie puścił jej włosów.

— Tak samo zraniłeś moją matkę — powiedziała tak spokojnie, jak tylko potrafiła. Wydawało jej się, że Patrick kiwa głową. — Tak, prawda? Obciąłeś jej włosy. Oderżnałeś je, tak?

— Nie — wyszeptał, potrząsając głową.

— Tak, zrobiłeś to. Wiesz, że tak. Przeraziłeś ją. To przez ciebie uciekła. — Odepchnęła jego rękę od swoich włosów. — Nie zbliżaj się — ostrzegła, gdy wyciągnęła rękę. — Nie dotykaj mnie więcej. Muszę już iść!

— Nie! Poczekaj! Posłuchaj mnie! — Chwycił ją za ramię. — Ciągle wypytyjesz mnie o twoją matkę. Dlaczego? Chcesz być bardziej do niej podobna? Bez żadnego szacunku dla samej siebie? Burzyć jak ona wszystko, czegokolwiek się tkniesz? Tego właśnie chcesz?

— Powiedziałam, że już idę — odparła, odsuwając się od niego.

— Nie, nie pójdziesz! — rzekł, przyciągając ją bliżej. Dotknął jej policzka, a potem obwiodł palcem jej usta. — Ty nie jesteś taka jak ona. Ona była zbyt głupia i ufną. A ty nie jesteś. — Uśmiechnął się. — Była zepsuta do szpiku kości. Miała wszystko, czegokolwiek chciała. Więc pomyślała, że już zawsze tak będzie. Ale jak mogłoby tak być? Nie mogło. — Westchnął i puścił jej ramię. — Nie tak, jak ona tego chciała.

— Czego ona chciała? O co jej chodziło? Co masz na myśli? O czym tym mówisz?

— Nie chcę już więcej rozmawiać. — Popatrzył na nią i potrząsnął głową. — Nie mogę. Więc idź. Idź śmiało. Po prostu sobie idź. Zaczekaj! — krzyknął, gdy otworzyła drzwi. Sięgnął do kieszeni. — Masz. Wziął ją za rękę i położył na jej dłoni mały, złoty medalion. — Zatrzymaj go.

Na misternie zdobionym medalionie wryto inicjały „D. R. S.”

— Co to takiego? — spytała Fiona, wciąż wystraszona, lecz jednocześnie zmieszana i boleśnie dotknięta, że on oddaje jej medalion jej matki. Gdy go otworzyła, ujrzała w środku dwa miniaturowe zdjęcia dzieci. Przynęła się do światła. Szczegóły pulchnych twarzy niemal zniknęły pod siecią drobniutkich pęknięć.

— Należała do twojej matki — oświadczył, a ona poderwała głowę. — Chcesz go?

— Och! Tak — odparła, zamykając medalion. — Dziękuję.

— Nosiła go. — Niezgrabnym ruchem wskazał na jej szyję.

— D. R. S. — wymówiła, przyglądając mu się dokładniej. Oczywiście. Dina Skillings Range. Nazwisko jej babki. Medalion musiał należeć do niej, nim dostała go jej córka, Natalie. Popatrzyła na maleńkie, pokryte cętkami twarzyczki, które musiały należeć do jej matki i ciotki Arlene. Była to pewnie jedyna rzecz będąca własnością Natalie, którą posiadał Patrick. — Czy ona ci go dała? — spytała, wyciągając do niego rękę z medalionem. Otworzył szeroko oczy i chociaż się nie poruszył, wydawało się, jakby od niej odskoczył. — Chciałam spytać, czy ty go nie chcesz?

Potrząsnął głową.

— Chcę, żebyś ty go miała. Dlatego czekałem zeszłej nocy. Żeby ci go dać. Nie wściekaj się na mnie, Fiono. Proszę, nie wściekaj się — powiedział, wpatrując się w nią.

— W porządku, ale teraz muszę już iść. — Otworzyła drzwi i wyszła powoli na zewnątrz. Zastanawiała się, czy on słyszy, jak serce wali jej w piersi.

Fiona, jeszcze w uniformie, zawieszała medalion na jednym ze swoich łańcuszków, gdy nadszedł Rudy. Kiedy otworzyła drzwi, on po prostu tam stał i uśmiechał się szeroko. Na swoim zielonym, szpitalnym ubraniu miał tę samą sportową marynarkę, co wczoraj wieczorem. Spróbowała się uśmiechnąć, ale słowa Patricka dźwięczały jej w uszach. *Spanie z każdym mężczyzną, który się do Ciebie zbliży, to jest właśnie chore.*

— Wyglądasz chyba jeszcze piękniej niż wczoraj — odezwał się, zamykając za sobą drzwi.

— Do cholery z tym — wymamrotała, usiłując zapiąć łańcuszek. *

— Ja to zrobię — powiedział, stając za nią. Udało mu się przy pierwszej próbie. Pocałował ją też w szyję. Popatrzyła na siebie w lustrze. Patrick miał rację. Obydwoje potrzebowali tego samego i wiedzieli, że żadne nie zdradzi drugiego przed Elizabeth.

— Dzwoniłem do Ciebie przez cały dzień — wyszeptał, odwracając ją twarzą ku sobie. — Wydawało mi się, że mówiłaś, że masz wolny dzień. — Pocałował jej czoło, oczy i nos, miejsce nad ustami, a teraz jego wargi poruszały się na jej wargach. — Zmartwiłem się. Więc przyjechałem od razu ze szpitala. Zaczynałem już myśleć, że nie odbierasz moich telefonów.

— Nie zrobiłabym tego — wymruczała w jego usta. Jego dłonie ugniatały jej plecy. Usiedli na sofie. Gdyby zamknęła oczy, zapadłaby w głęboki sen.

— Nie?

— Jeżeli nie chcę kogoś widzieć, mówię mu to wprost.

— To dobrze — wyszeptał, całując ją. — To naprawdę dobrze.

Jej ciężkie powieki opadły. Ześlizgiwała się z piaszczystego nabrzeża, a teraz tonęła, zagłębiając się w bezkresnej, wodnej otchłani. Trzymała go za głowę. Jego usta tak żarłocznie wpijały się w jej wargi, że ich zęby zgrzytały o siebie. Zsunęli się z brzegu sofy na kolana. Drżeli. Była tak wyczulona na najego dotyk, że skóra ją bolała, oczy płonęły, a w uszach czuła pulsowanie od rosnącego ciśnienia. Wbiła paznokcie w jego ramiona. Chciała sprawić mu ból. Upadła na plecy i pociągnęła go za sobą.

— Nie tutaj — jęknął. — Chodźmy na łóżko.

— Nie! — krzyknęła z taką złością, że spróbował się roześmiać, lecz zdołał tylko jęknąć, słysząc żądanie, by jej pomógł, skandowane znowu

i znowu, jej błaganie, by pomógł jej teraz. W końcu zaczęła płakać. — Proszę, proszę, proszę, pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi — łkała. Czuła do siebie taki wstręt, że tego potrzebuje, że tak bardzo tego chce, że aż chciała umrzeć, po prostu umrzeć i nie czuć tego już nigdy więcej.

— Pomogę ci! Pomogę! Wiesz, że pomogę! — wciąż ją zapewniał, że próbuje, że jej pomoże. Pomoże. Zrobi, co tylko w jego mocy. Czegokolwiek ona chce, on to zrobi. Cokolwiek. Cokolwiek. Cokolwiek, bo ją kocha. — Kocham cię! Kocham cię! — dyszał, a potem opadł na bok. Popatrzył na nią. — Słyszałaś, co powiedziałem? Kocham cię — wyszeptał, dotykając jej twarzy.

— Nie, nie kochasz — odparła, odsuwając jego rękę.

Roześmiał się i schował twarz w jej włosach, i powiedział jej znów, że ją kocha.

— Nie. Jesteś tylko tak bardzo wdzięczny, że powiedziałabyś wszystko — odparła.

— Co masz na myśli? Wdzięczny? — Podparł głowę na dłoni i patrzył, jak ona siada.

— Dwa razy w ciągu dwudziestu czterech godzin? Kiedy ostatni raz miałeś taki wynik? — spytała, wstając. Chwyliła swoje ubranie i popędziła do łazienki.

Gdy wyszła, z irytacją spostrzegła, że on nadal siedzi w ciemności. Zapaliła światło i zaczęła porządkować pokój. Obserwował ją bez słowa przez kilka minut, a potem zaproponował, by poszli na obiad. Pracował przez cały dzień, więc mógł spędzić z nią dzisiejszy wieczór.

— I całą noc — powiedział, patrząc, jak zbiera następne naręczce ubrań. Podniósł porzuconą skarpetkę i wyciągnął do niej rękę, lecz ona udała, że tego nie widzi.

— Nie sądzę — odparła, niosąc to wszystko do łazienki. — Jestem bardzo zmęczona.

— To zostaniemy w domu — stanął w progu łazienki, patrząc, jak odkłada ubrania. — Jestem całkiem niezłym kucharzem — ciągnął, kołysząc skarpetką. — Chociaż właściwie to byłem za skromny. Jestem doskonałym kucharzem. Może coś meksykańskiego? Lubisz...

— Właściwie tak naprawdę muszę pobyć sama — oświadczyła, stojąc do niego plecami. Zastygła w bezruchu, krzywiąc twarz. Wiedziała, że się nie poruszył i że ją obserwuje. — Przykro mi — dodała. Obróciła się i spojrzała mu w oczy. — Naprawdę.

Rzucił skarpetkę na łóżko.

— Boże, rzeczywiście coś mi tutaj umknęło, prawda? Coś bardzo ważnego, a teraz czuję się jak zupełny głupek, bo nie mam pojęcia, co to jest.

— Nie masz?

Potrząsnął głową.

— Cóż, oto więc wskazówka: „Pieprzenie narzeczonego mojej kuzynki.” Tak właśnie brzmi — odparła.

Otworzył usta.

— Ale przecież nic nie ma. Nic między nami nie ma — upierał się. — Wiesz o tym!

— No, pomyślmy. Jesteście zaręczeni. Dla mnie to jest coś. Jakiś tam związek w każdym razie.

Nie za bardzo, jak odpowiedział, a potem usiłował wytłumaczyć, że nie zerwał tego wcześniej, ponieważ był tak wytracony z równowagi i zmieszany, zarówno przez niejasne sygnały płynące od Elizabeth, jak i swoje nagłe i silne uczucie w stosunku do Fiony. Ale teraz wszystko było już jasne. Teraz już wiedział, co musi zrobić. Wypowiadał te słowa, stąpając bezwiednie w tył i w przód.

— I masz rację. Masz całkowitą rację! — oznajmił. — To nie w porządku, robić coś takiego tobie, mieszać cię w sam środek czegoś takiego. — Zrobi to, co musi być wreszcie zrobione. Pojedzie tam teraz i powie Elizabeth, że to koniec, że kocha Fionę. — Więc tylko poczekaj. Poczekaj tutaj — dodał, ruszając do drzwi.

— Nie! — Chwyciła go za rękę. — Proszę, nie rób tego. Proszę.

Wziął ją w ramiona i ucałował czubek jej głowy, zapewniając ją, że wszystko będzie dobrze.

— Całe życie cię szukałem — wyszeptał, a ona wyrwała się gniewnie.

— Ale najpierw znalazłeś Elizabeth — oświadczyła.

— A potem znalazłem ciebie! — odparł, jakby wszystko to było doskonale logiczne.

Roześmiała się.

— Znalazłeś mnie! Znalazłeś mnie? Jakby to było jakieś niespotykane osiągnięcie? Czy ty wiesz, ilu mężczyzn „znalazło” mnie? Nie sądzę, żebyś sobie zdawał sprawę, jak łatwo mnie znaleźć. Kilka piw, miły facet, tyle wystarczy. — Znów się roześmiała. — Przecież sam mnie widziałeś, w tym właśnie miejscu, w tym właśnie łóżku z Georgem Grimshawem. I wystarczyła tylko filiżanka kawy!

— Wiem, co usiłujesz zrobić, Fiono... twarda skorupa, inteligentna gadka. Ale to nie działa. — Potrząsnął głową z pobłażliwym uśmiechem.

Rzuciła na podłogę sweter, który właśnie składała.

— No tak, zapomniałam! Twoja matka. Masz już takie doświadczenie z popieprzonymi kobietami, że niby zniesiesz wszystko, tak? — Wzdrygnął się, a ona znienawidziła się za te słowa.

— Kocham cię. Kocham w tobie wszystko. Wszystko! — Popatrzył na nią. — To takie proste.

— Proste! — Wyrzuciła w górę ręce. — Jezu Chryste, sprawy nie mogłyby być bardziej skomplikowane.

— Ale właśnie dlatego wiem, że to jest dobre. Kocham cię i teraz wszystko *jest* proste. Nic więcej się nie liczy, i tyle.

Potrząsnęła głową.

— Nie, w tym właśnie problem. Byłam tak cholernie pokręcona przez tak długi czas, że wciąż paprzę wszystkim życie, i muszę przestać. Nie mogę tego dłużej robić.

— Świetnie! Ale czemu nie zabijesz tylko pcheł? Nie musisz też wyrzucać cholernego psa, nie? — Usiłował położyć dłonie na jej ramionach, lecz się wykręciła.

— Nie mogę! Nie mogę znieść tego, żeby dalej tak na mnie patrzyli. Jakbym właśnie potwierdziła ich najgorsze lęki. Nie mogę tego zrobić mojej ciotce i wujkowi. Byli dla mnie zbyt dobrzy. Ale przede wszystkim nie mogę tego zrobić Elizabeth.

— Nie będziesz musiała. Jadę tam teraz, żeby jej powiedzieć. — Ruszył do drzwi.

Obróciła się gwałtownie.

— Powiedzieć jej? Co jej powiedzieć?

— To, co ona i ja, obydwójce, wiemy. Że to koniec.

— Rób, co chcesz, Rudy. Cokolwiek musisz zrobić. Ale nie z mojego powodu. Nie oszukuj się, że coś się wydarzyło. Nie ma tu żadnej tajemnicy. Byłeś samotny, a ja się tam znalazłam.

— Nie. Kochałem cię, a ty tam byłaś.

Zaśmiała się.

— Jeszcze to do ciebie nie dotarło? Zawsze tam jestem! Zawsze! Dla każdego, kto chce. — Podeszła do niego. — Czy mogę to powiedzieć jeszcze jaśniej? A może to? Rudy, nie kocham cię.

Przyglądał jej się przez chwilę, jakby była jedną z jego bardziej irytujących pacjentek.

— Ty nie chcesz mnie kochać, to masz na myśli. — Wyszedł do holu i cicho zamknął za sobą drzwi.

Ukryła twarz w dłoniach, a potem nagle przestraszyła się tego, co miało się stać, i wybiegła aż do szczytu schodów.

— Rudy! — zawołała, przechylając się przez poręcz, a on podniósł głowę, zatrzymując się na półpiętrze. Jego uśmiech zbladł, gdy usłyszał jej pełne złości ostrzeżenie. — Nie wspominaj o mnie! Nie rób tego! Ostrzegam cię... Bo jeśli to zrobisz, znienawidzę cię! Znienawidzę cię na wieki!

Gdy wracała do mieszkania, pan Clinch zamykał właśnie drzwi. Zatrzymała się i zapukała.

— Tak? — zabrzmiał słaby głos.

— Panie Clinch, czy może pan otworzyć drzwi? To ja, Fiona Range. Mam coś dla pana.

— Och! O Boże, o co znowu chodzi? — odezwał się zza drzwi, gme-rając z obawą przy łańcuchach i ryglach. Otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

— Coś, czego pan szukał. Proszę — oświadczyła, ściskając mocno jego krocze. — To musi być takie nudne, zawsze robić to samemu!

Musiała być ostrożna. Zamrugła oczami, obracając powoli medalion pod światłem. Cieniutki, złoty zatrzask był delikatny, a jego maleńki haczyk tak wytarty, że ledwie pstryknął. Otwierała go przez cały czas, by popatrzeć na miniaturowe twarzyczki. W końcu delikatnie go zamknęła. Poczła zimno, gdy dotykał jej skóry. Ułożyła się na poduszkach i zatoczyła kciukiem kółko na wyrytym na nim napisie, jakby w poszukiwaniu jakiejś wiadomości od kobiet, które nosiły kiedyś ten medalion, od kobiet, których nigdy nie poznała. Wcześniej starannie wyłuskała kruche fotografie. Poczła się zawiedziona, gdy niczego za nimi nie znalazła, ani adresu, ani numeru telefonu, ani sekretnego życzenia szczęścia dla córki. Nie mogła uwierzyć, że Patrick znalazł po prostu medalion w swoim domu. Zadzwoiła do niego parę chwil wcześniej, żeby dowiedzieć się, czy jej matka poprosiła go, by dał jej go pewnego dnia, gdy będzie wystarczająco duża, by zrozumieć.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł. Głos miał słaby i zaspany.

— Dlaczego odeszła. Chodzi mi o to, dlaczego musiała, czy może...

— Posłuchaj. Powiedziałem ci, nie? Dopiero co go znalazłem, i tyle.

— Wiem, ale jak on...

— I tyle! Nie chcę już więcej o tym rozmawiać! Obudziłaś mnie! — Trzasnął słuchawką.

Wyciągnęła rękę i zgasiła światło. Trzymała medalion z oczyma szeroko otwartymi w ciemności. Ten ból, który czuła w środku, to nie samotność czy żal, lecz głębokie poczucie zawodu samą sobą. Dobrze zrobiła, wyganiając Rudy'ego. Na zegarze płonęły czerwone cyfry. Kwadrans po jedenastej. Wyszedł pięć godzin temu. Może był już w drodze do Nowego Jorku. Przetoczyła się na łóżku i położyła się plecami do zegara. Była zadowolona, że nie zadzwonił. Byłoby łatwiej, lepiej dla wszystkich, gdyby wyjechał z Dearborn. Nie powinien dręczyć Elizabeth, jadąc za nią tutaj. Miłość nie sprawiała, że cokolwiek stawało się proste. Przydając fałszywego blasku bólowi, zezwalała na popełnianie straszliwych okrucieństw, a potem przymykanie na nich oka i wybaczenie ich.

— Nigdy więcej — przysięgała, przekręcając się na brzuch i naciągając poduszkę na głowę. Medalion wbił jej się w mostek. Jeżeli ma szczęście, to nie będzie już musiała nigdy go oglądać i nikt się nie dowie. — O Boże — jęknęła, ciskając poduszką w ścianę. Jej życie wypełniali mężczyźni, których widoku nie była w stanie znieść. Może powinna wyjechać. Mogła zacząć od nowa gdzie indziej. To nie czas traciła, lecz samą siebie. Tyle zużytej energii i żadnych rezultatów, nic, nic w ogóle, nawet przyjaciele jej nie zostali. Dzięki Bogu, opamiętała się z Rudym. Jeśliby tego nie zrobiła, jej rodzina opuściłaby ją na zawsze.

Usiadła i zapaliła światło. Otworzyła medalion. Na zdjęciu jej matka wyglądała jak ona sama w wieku trzech czy czterech lat. Twarz na drugiej połówce przypominała Ginny jako dziecko.

— Tak. Tak — wyszeptwała, dotykając cieniutkiego zawiasu łączącego owalne wizerunki sióstr. Po co jej była ta walka przez te wszystkie lata? Dla jakiegoś jej życia, którego teraz nie mogła sobie przypomnieć. Potrzebny był Patrick, by jej to uświadomić. Bo to pozostaje, pomyślała, badając miniaturową twarz swojej matki, a potem — ciotki. Tak. Teraz, kiedy to jest w porządku, pójdzie za tym reszta i znajdzie się rozwiązanie. Ona nie ściagała tylko Patricka, lecz tę właśnie rzecz, którą trzymała w dłoni, jej pogmatwane węzły i głęboko wciśnięte w ziemię korzenie, które ją nadal podtrzymywały. Zamknęła medalion. Jej smutki wydawały się takie nieważne i samolubne w porównaniu z wielką cierpliwością i dobrocią jej rodziny przez te wszystkie lata.

Zadzwonił telefon, a ona skoczyła przez łóżko, a potem zatrzymała się. Z ręką gotową do chwycenia słuchawki czekała, aż zabrzmie czwarty dzwonek.

To był Rudy.

— Obudziłem cię?

— Tak — skłamała, ziewając.

Właśnie wyszedł od Elizabeth i musiał z nią porozmawiać. Przyjdzie, jeżeli można.

— Jest za późno.

— Nie zostanę długo. To ważne. — Miał zmartwiony głos.

— Co się stało? Powiedz mi teraz.

— Wolałbym przyjść, jeżeli to właściwe.

Zamknęła oczy.

— Nie — zmusiła się, by mu to powiedzieć. — To absolutnie nie jest właściwe. Jeśli to nie może poczekać do rana, będziesz musiał powiedzieć mi przez telefon.

— Jadę do ciebie.

Rudy nie zdjął kurtki. Opadł ciężko na brzeg krzesła. Jego długie, kościaste nogi wyglądały na jeszcze chudsze pod pomarszczonym szpitalnym ubraniem. Gestykulował, mówiąc. Pokazywał na swoją pierś, a teraz dźgał ją ze złością i żalem, że tego nie przewidział. Powinien był. Były oczywiście wszystkie oznaki. Ale tak się zdarza, gdy jest się za blisko. Nawet jej rodzice nie byli pewni, co się dzieje. Matka sądziła, że zaatakował ją jakiś wirus, który odbierał jej energię. Była pewna, że dwa dni spędzone na wypoczynku w łóżku postawią ją na nogi i w poniedziałek pójdzie do szkoły.

— Cóż, ty jesteś lekarzem. Powiedziałaś jej?

— Powiedziałem, że to oczywiste, że jest w głębokiej depresji i że chcę, by ktoś ją natychmiast obejrzał. Elizabeth odpowiedziała, że chce, żebym zajął się nią tylko ja.

— Chodziło mi o ciotkę! — sprostowała Fiona, niezdolna ukryć zniecierpliwienia. — Powiedziałaś jej?

— Elizabeth poprosiła mnie, żebym tego nie robił. Nie chce ich martwić.

— Boże! — jęknęła. — Jak mogłeś tak to po prostu zostawić? Powiedz mi, czy zawsze pozwalasz swoim pacjentom, żeby sami o sobie decydowali?

— Ona nie jest moją pacjentką. W tym problem.

Pokiwała głową.

— Jest twoją narzeczoną. Zapomniałam...

Opisał, jak Elizabeth siedziała w łóżku w zaciemnionym pokoju, gdzie pozostawała tak od zakończenia przyjęcia. Nie pozwoliła mu zapalić światła. Przeprosił, że się wtrąca. zaproponował, że wróci później, gdy ona poczuje się lepiej, lecz odpowiedziała, że cieszy się z jego przyjścia. I że muszą porozmawiać. Powiedziała, że zasługuje na lepszą kobietę niż ona. Błagała go, by jej przebaczył. Powiedziała, że była tak zakłopotana tą sprawą z Georgem, że wprowadziła go w błąd i zrujnowała mu życie. Usiłował jej powiedzieć, że nie zrujnowała mu życia — właściwie wręcz przeciwnie, bo był tu szczęśliwszy niż gdziekolwiek i kiedykolwiek. Niczego nie żałował, w ogóle niczego.

Elizabeth wybuchnęła łzami.

— „Nie. Och, proszę, nie” — płakała. — „Byłam po prostu taka samolubna i przepraszam. Przepraszam. Przepraszam” — wciąż szlochała w złożone dłonie, kiwając się w tył i w przód, upierając się, że zrujnowała wszystko wszystkim wokół, a nie chciała tego. „To ostatnia rzecz na ziemi” — wykrztusiła — „jakiej kiedykolwiek chciałam.”

Czy mógłby, proszę, proszę, przynajmniej uwierzyć jej, że nigdy nie chciała nikomu sprawić bólu.

Oparł, że oczywiście, że to wiedział. Powiedział jej, że nie była samolubna, tylko zagubiona i poddana wielkiej presji, i to była jego wina, że ciągnął związek, którego najwidoczniej ona nie pragnęła. Po chwili, kiedy zdawała się już trochę spokojniejsza, powiedział jej, że zrozumiał jej niezdecydowanie wobec George'a i że wszystko było w porządku.

„Nie, to nie jest w porządku” — odparła. Zrobiła coś okropnego, ale chciała, żebym wiedział, że między nimi wszystko skończone. Przysięgała, że tak.

„Nie” — rzekłem wtedy. — „Nie musisz przede mną przysięgać.”

„Tak, muszę!” — odparła. — „Bo muszę wiedzieć, że mi wierzysz.” Powiedziała, że musiała się upewnić co do swoich uczuć do George'a i teraz była już całkowicie pewna. Mówiła, że się pozbiera i udowodni mi, że dobrze zrobiłem, przyjeżdżając do Dearborn.

„Elizabeth” — próbowałem jej powiedzieć. — „Ty nie kazałaś mi tu przyjeżdżać. Przyjechałem, bo sam chciałem. Potrzebowałem tego.”

„Przyjechałeś, bo nie byłem wobec ciebie uczciwa” — rzekła na to.

„Więc bądźmy teraz uczciwi wobec siebie” — odparłem.

„Ja jestem” — oznajmiła i wtedy...

— Powiedziała ci, że cię kocha — dokończyła Fiona, a on skinął głową. — Dobrze. — Westchnęła. — Słodko-gorzka historia, szczęśliwe zakończenie. Mój ulubiony rodzaj. — Usiadła jak najdalej od niego na sofie.

Obydwoje świadomi byli ogromnej ciszy, jaka między nimi zapanowała. Na zewnątrz pogwizdywał wiatr, a nagie gałęzie smagały szybę.

Wciąż przygryzał wargę.

— Przepraszam — odezwał się w końcu. — Ale to naprawdę nie była odpowiednia chwila, żeby jej powiedzieć.

— Przepraszasz? Dlaczego masz przeproszać? Powiedziałam ci, prawda? Tak musi po prostu być. — Wstała, chcąc, by wyszedł.

— Ale tak nie będzie. Oczywiście, że nie — oznajmił, podnosząc na nią wzrok. — Elizabeth musi tylko zacząć jaśniej myśleć, i tyle.

Zaśmiała się.

— Nie, Rudy, to ty nie myślisz wystarczająco jasno. Elizabeth podjęła decyzję, więc od teraz wszystko powinno się gładko ułożyć.

Wstał, a ona poczuła ulgę. Była zmęczona, zmęczona nim, zmęczona mężczyznami, ale bardziej niż czymkolwiek innym, zmęczona ciągłymi próbami usprawiedliwienia swoich błędów. Popełniła wielką gafę. Obydwoje ją popełnili, ale po co tracić na to jeszcze więcej czasu? Obydwoje kochali Elizabeth i to było najważniejsze.

— Więc dobranoc i żegnaj. — Zaczęła otwierać drzwi.

Przytrzymał je.

— Kocham cię. Troszczę się o Elizabeth, a ona się teraz zupełnie rozkleiła. Martwię się o nią, naprawdę. Ale to ciebie kocham, Fiono, bardziej niż kogokolwiek w całym moim życiu. — Wyciągnął rękę, by dotknąć jej podbródka, lecz odwróciła głowę.

— Wiesz, jak się czuję, więc, proszę cię, wyjdź. Proszę. — Próbowała znów otworzyć drzwi.

— Powiedz mi, jak się czujesz. Spójrz na mnie i powiedz mi.

— Już powiedziałam.

— Więc powiedz mi jeszcze raz. Spójrz na mnie i powiedz. — Usiłował się uśmiechnąć.

— Przykro mi, Rudy, ale cię nie kocham — odparła, odpowiadając mu uśmiechem.

Rozdział 18

Gdy w niedzielę Fiona szła ścieżką przed domem, zasłonięte okna pokoju Elizabeth stanowiły rażący widok. Zaciąganie rolet w ciągu dnia uważano tu zawsze za wadę charakteru. Pracowici ludzie, którzy nie mieli nic do ukrycia, odsłaniali rolety każdego ranka, gdy tylko wstali. Pomyślała, że to wielka strata czasu. To całe skrupulatne skupienie uwagi na drobiazgach: nie tylko odsłanianie rolet co rano, lecz także ustawianie każdej idealnie równolegle do trzeciego okiennego słupka, aby przechodzić, widząc taką symetrię, wiedział, że w tym domu panuje porządek.

W zamierającym, szarym świetle zimnego popołudnia dom zdawał się tak uśpiony, jak wysokie krzaki bzu, które jej pradziadek zasadził przy drzwiach ponad sto lat temu. Niektóre z nich miały teraz pnie tak grube, jak małe drzewka. A on miał chyba na imię Philip. Ciotka Arlene by wiedziała. Ona i wujek Charles przykładali zawsze ogromną wagę do historii, przodków, korzeni i przynależności, co wpoili swoim dzieciom. Jednak Fionie te sprawy wydawały się błahe, gdy własne dziedzictwo było tak bolesnym pomieszaniem ślepych uliczek i zaprzeczenia. Mało interesowały ją ich opowiadane przy kolacji historie o temperamentnej prababce, która hodowała świnie i kurczaki, i o jej bystrym, żującym tytoń mężu, który gdy odmówiono mu kredytu w lokalnym banku, założył własny, Collerton Co-op, który działał do dziś.

Zaskoczona, że zastała drzwi zamknięte, trzy razy nacisnęła dzwonek, nim ktoś wreszcie się pojawił.

— Fiono! — Ciotka Arlene przyciągnęła ją do siebie w zachłannym uścisku. — Co za niespodzianka! — Odstąpiła na krok, uśmiechając się. Zdjęła pyłek z rękawa Fiony, a potem przeprosiła za zamieszanie. — Tak się cieszę, że tu jesteś. Właśnie myślałam, jak mniej więcej o tej porze, w niedzielne popołudnia, zaczynałaś nam mówić, że łupie cię w głowie

albo że bardzo boli cię brzuch. — Ciotka Arlene roześmiała się. — Żeby przygotować sobie grunt na poniedziałkowy poranek.

— Ale nic nigdy z tego nie wyszło — przypomniała jej Fiona.

— Nie, bo ja tego dopilnowałam, moja panno — odpowiedziała ciotka, kiwając palcem. — Wiesz co, właśnie chwilkę temu powiedziałam do twojego wujka: „Czy ty pamiętasz, jakie niedziele były dawniej hałaśliwe, kiedy dzieci były w domu?” Narzekał wtedy, że nie słyszy własnych myśli, a ja przypominałam mu to, co powtarzała zawsze moja matka: by się tym cieszyć, bo któregoś dnia zrobi się tak cicho, że będzie mógł tylko usłyszeć skrzypienie własnych kości.

— To dlatego muzyka jest nastawiona tak głośno? — spytała Fiona, przekrzykując pełną lamentów irlandzką balladę, która wylewała się z małego pokoju do pełnego przeciągów holu.

— Charlesie! — krzyknęła, prowadząc ją do drzwi ciotka.

W kominku płonęła wielka kłoda drewna. Oprócz ognia, jedyne światło w przytulnym pokoju pochodziło z palącej się nisko lampy i rozpraszające się na pustym krześle ciotki Arlene i jej pośpiesznie odłożonym płótnie do haftowania. Wujek Charles drzemał z odchyłoną do tyłu głową w swoim skórzanym fotelu w kolorze kasztanów, a stopy w kapciach opierał na otomanie. Miał otwarte usta. Niedzielne gazety leżały rozrzucone wokół niego na podłodze.

— Charlesie, obudź się. Spójrz, kto przyszedł! Fiona właśnie przyjechała! — Ciotka wyłączyła stereo.

W zapadłej nagle ciszy wujek otworzył szeroko oczy, rzucając szybkie spojrzenia na żonę i siostrzenicę. Rękoma chwycił się podłokietników fotela.

— Co to? Co się stało? — zażądał wyjaśnień głuchym głosem.

— Nic. Nic a nic, kochanie — odparła ciotka Arlene, klepiąc go czule po nodze. Podniosła swój haft i usiadła. Przypominając Fionie, jak zimno robi się w starym domu po południu, namawiała ją, by siadła blisko kominka. Fiona odparła, że to zrobi, ale nie teraz.

— Dlaczego? Dlaczego nie teraz? — dopytywał się wujek Charles ze ściągniętymi ustami, zaczepny jak zawsze w pierwszych minutach po przebudzeniu.

— Charlesie — skarciła go ciotka Arlene, rzucając mu jeszcze surowe spojrzenie zza okularów do czytania.

— Pójdę najpierw na górę i zobaczę, co u Lizzie — oznajmiła Fiona.

Wujek powiedział, że pewnie jeszcze śpi. Przespała większość dnia.

— Tego najbardziej teraz potrzebuje — dodał, spoglądając w górę wśród migoczących cieni.

— Jeżeli śpi, to zaraz zejdę. — Nie chodziło mu o to, by nie zakłócała kuzynce snu, lecz o to, by nie krzywdziła samej Elizabeth. Patrzył na Fionę z tą samą pełną wstrętu obawą, którą zobaczyła tamtej nocy, gdy opuszczała przyjęcie z Rudym. — Chcę tylko zobaczyć, jak ona się czuje. Chcę się upewnić, że to nie nasza stara, niedzielna choroba — dodała ze śmiechem.

— Cóż, mam nadzieję, że to tylko to — powiedziała ciotka, wyciągając igłę z haftowanego jasną nicią płótna, na którego białej kratce wyszywała teraz krwistoczerwoną różę. — Bo nikt nie potrzebuje odpoczynku od szkoły bardziej niż twoja kuzynka i, proszę cię, powiedz jej, że ja tak mówię. — Odcięła zakręcone włókno czerwonej przędzy i zgrabnie związała supełek. — Porozmawiaj z nią o tym jej dawaniu z siebie wszystkiego — ciągnęła tym pogodnym, delikatnym głosem, który zawsze przypominał Fionie zawieszony na drucikach, drżące, szklane ptaszki, połykujące i podzwaniające przy najmniejszym wstrząsie na przeszklonej werandzie. — Nadszedł czas, by Elizabeth zatroszczyła się o Elizabeth! — oznajmiła ciotka, a jej wymuszona wesołość nie tylko zawisła chmurą w powietrzu, lecz dotykała każdej powierzchni, każąc Fionie i wujkowi Charlesowi wbijać wzrok w trzeszczące płomienie.

Na górce Fiona zapukała cichutko do drzwi pokoju Elizabeth, a potem otworzyła je i zajrzała do środka. W widocznym przez szparę w uchylonych drzwiach, pograżonym w mroku pokoju powietrze było ciepłe i stęchłe.

— Lizzie? — szepnęła.

— Nie śpię — odparł słabowity głos. Elizabeth usiadła, wsparta na poduszkach.

Otwierając szerzej drzwi, zobaczyła, jak Elizabeth odsuwa gwałtownie głowę od światła padającego z holu.

— Proszę, zamknij drzwi!

— Hej, co się dzieje? — Przysiadła na krawędzi łóżka.

— Jestem zmęczona. Czuję się tylko taka mocno wyczerpana — rzekła Elizabeth.

Fiona złożyła rękę na lodowatych palcach Elizabeth.

— A wiesz, dlaczego tak się czujesz?

— Nie.

Chciała zapalić światło, lecz Elizabeth powiedziała, że drażni jej oczy. Dodała, że teraz czuje się lepiej, ale w ciemności.

— Teraz czujesz się lepiej? — dociekała Fiona. — Więc jak to wyglądało, kiedy czułaś się gorzej?

— Nie wiem — powiedziała Elizabeth, dławiąc szloch.

— Lizzie! — Dotknęcie kościstego ramienia pod flanelową koszulą było dla niej szokiem. — Nie płacz — wyszeptała, zmuszając się, by zbliżyć się do płynącego spod prześcieradeł kwaśnego, piżmowego odoru. — Wszystko w porządku. Wszystko będzie dobrze. Nie musisz płakać.

— Wiem — załkała kuzynka. — Nie powinnam. Nie ma nawet żadnego powodu, wiem, ale nic nie mogę na to poradzić. — Zastaniając twarz ramionami, opadła na poduszkę. — Teraz najbardziej potrzebuję snu. A potem poczuję się lepiej.

Fiona oznajmiła jej, że wie od wujka Charlesa, że Elizabeth przespała cały weekend. Elizabeth prychnęła, aż zabulgotało jej w zapchanym nosie, i powiedziała, że nie potrafiła nawet wyglądać na śpiącą przez więcej niż parę minut za każdym razem. Gdy tylko słyszała kroki, udawała, że śpi.

— Zawsze byłaś w tym taka dobra! — przypomniała Fiona. — Ja zaczęłabym się zaraz uśmiechać albo oko by mi drgnęło, albo musiałabym przełknąć ślinę, ale tobie zawsze się udawało. Nigdy cię nie złapali! — dodała ze śmiechem.

— Wiem — wykrztusiła Elizabeth i zaszlochała długo, rozdierająco.

Fiona czekała.

— Ale teraz czujesz się złapana, prawda? — spytała łagodnie.

Elizabeth chwyciła przez chwilę powietrze, nim odpowiedziała.

— Nie czuję się teraz w żaden szczególny sposób. Myślę, że jestem po prostu przemęczona.

— To coś więcej niż zmęczenie, Lizzie. — Znów dotknęła jej dłoni.

— Nie wiem. Może.

— I im dłużej siedzisz tutaj w ciemnościach, za zamkniętymi drzwiami, tym wszystko wydaje się gorsze.

— Muszę po prostu odpocząć, i tyle. Wszystko będzie w porządku.

— Nie, bo nie jesteś tylko zmęczona, Lizzie. Cierpisz na depresję. — Przerwała. — Wiesz, dlaczego jesteś w depresji? — Elizabeth nie odpowiedziała, więc Fiona drażyła dalej. — Czy tamtej nocy zdarzyło się coś związanego z Georgem? — Poczekała. — Tak było, prawda?

Elizabeth cofnęła rękę.

— Możesz mi powiedzieć, Lizzie. — Westchnęła. — Co? Myślisz, że to wszystko o tobie i o George'u było wielkim sekretem? Ja wiedziałam.

I teraz przykro mi, ale przyznam, że właśnie dlatego przyprowadziłam go na przyjęcie. Wiem, że był to jeszcze jeden z moich głupich, podstępnych planów, o jakie mnie zawsze oskarżałaś. Ale to po prostu nie ma sensu. Dlaczego nie chcesz z nim być, jeżeli go kochasz?

— Ale ja go nie kocham! Nie powinien być więcej go zobaczyć! Prawie już popełniłam ten straszliwy błąd!

— Nie wierzę w to. — Włączyła lampkę na stoliku. Elizabeth skuliła się w świetle. Powieki miała otarte i spuchnięte od płaczu. — I nie sędzę, żebyś ty sama w to wierzyła. — Fiona wyciągnęła ręczne lustro, lecz Elizabeth zakryła twarz. — Popatrz na siebie! Jesteś na krawędzi załamania nerwowego.

— Nie. — Elizabeth powoli podniosła głowę. — Jestem tylko bardzo zmęczona i... bardzo... przykro mi, że wyrządziłam tyle bólu i narobiłam tyłu kłopotów. Widzisz, zawsze byłam zbyt związana z Georgem, a on ze mną. Więc wróciłam, by się upewnić, że to skończone, ale potem przyjechał Rudy, więc wiedziałam, że to musi się skończyć. I myślałam, że się skończyło, nim zobaczyłam George'a i ciebie, i wszystko się tak okropnie poplątało. Ale teraz wiem i tamtej nocy powiedziałam George'owi, jak jest naprawdę. Że była między nami więź jak długotrwałe, głębokie przyzwyczajenie. Ale to nie była miłość. I że wiem, co należy zrobić. Powiedziałam mu, że w końcu wiem, co muszę zrobić, że gdybym nie wyszła za Rudy'ego, znienawidziłabym siebie na zawsze.

— Dlaczego? — spytała Fiona przez zaciśnięte zęby. Prawie nie mogła oddychać w zatęchłym, martwym powietrzu. Pod oknem stukał kaloryfer. — Dlaczego byś siebie znienawidziła?

— Bo on... on jest taki dobry i... i... — Elizabeth znów płakała.

— I dlatego, że go kochasz? Bo tak bardzo go kochasz?

Elizabeth skinęła głową i drżenie ust pomiędzy jej zapadniętymi policzkami wyglądało bardziej jak złośliwy grymas, niż uśmiech.

Fiona wstała. Musiała wyjść, nim powie coś, czego będzie później żałować. Gdy dotarła do drzwi, światło zgasło, a Elizabeth westchnęła. Fiona obróciła się nagle.

— Taa, śmiało, Lizzie, zostań w łóżku! I wtedy wszystko będzie tak, jak chcesz!

— Co? O czym ty mówisz? Fiono! — zawołała Elizabeth, gdy drzwi się zamknęły.

Kosztowało ją wiele wysiłku, by nimi nie trzasnąć. Gdy wróciła do saloniku, zmusiła się, by siedzieć z ciotką i wujkiem, odpowiadając na pytania na temat swojej pracy, samochodu, mieszkania.

— Och, i tak przy okazji. — Ciotka zerknęła na nią, przewlekając nić. — To tak miło ze strony George'a, że spędził tyle czasu, naprawiając kuchenkę tamtego wieczora. Wujek Charles powiedział, że próbował mu zapłacić, ale George nie chciał o tym słyszeć, więc pomyśleliśmy, czy może nie wysłać mu bonu do jakiejś restauracji, która mogłaby mu się spodobać. Wiesz, do jakiegoś naprawdę miłego miejsca, gdzie moglibyście się we dwoje dobrze bawić. Masz jakiś pomysł? — Wzruszyła niepewnie ramionami. — A może jakieś propozycje?

— Nie.

— Cóż, w pierwszej chwili przyszła mi na myśl Orchard House. Moja ulubiona. Ale wujek Charles wydaje się uważać, że młodym ludziom się tam nie podoba, z czym ja niekoniecznie się zgadzam. Przecież widuję tam młodych ludzi. Ciągłe ich tam widuję!

— Od czasu do czasu — odezwał się wujek Charles. — Ale już nie tak, jak dawniej. Teraz prawie wszyscy, którzy tam chodzą, są w naszym wieku!

— A ja zastanawiam się, dlaczego tak — zadumała się ciotka Arlene, spoglądając na niego.

— Cóż, rzecz w tym — powiedział wujek Charles, pochylając się do nich — że wszyscy starsi ludzie, których znaliśmy, umarli.

Ich żartobliwe przekomarzanie się było dziwnie kojące. Dobrze je znała. Słowa, które miały wypełnić luki w barykadzie, a ich całkowita banalność miała wykazać bogactwo i głębię ich związku. Pewnie, jeśli było to ich największe zmartwienie, to byli w rzeczywistości pozbawieni trosk i stali ponad najbardziej pospolitymi nieszczęściami. Swoje wspólne życie uczynili wielkim sukcesem. Chociaż na górze ich córka siedziała w ciemnościach.

— I? — ponaglała ciotka Arlene. — Cóż z tego wynika?

— To my jesteśmy teraz starszymi ludźmi! — zachichotał i podniósł gazetę.

— Och, Charlesie! — Spojrzała na Fionę i potrząsnęła głową z udawaną konsternacją. — No, w każdym razie, wybierzemy po prostu jakieś miłe miejsce, co, jestem pewna, świetnie się uda, ponieważ George Grimshaw nigdy nie był ani troszkę grymaśny. Nie zmienił się, prawda? Zawsze jest taki sam, zawsze taki słodki i odpowiedzialny. Taki kochany, młody człowiek.

— Jeden z najlepszych — dodał wujek Charles, patrząc szeroko rozwartymi oczami na swoją żonę.

— Och, Fiono, nim zapomnę! — odezwała się ciotka Arlene. — Pewnie nie jesteś zainteresowana, ale powiedziałam Luckretii Kendale, że spytam. Chce wiedzieć, czy może miałabyś chęć zawieźć ją jej samochodem do West Palm Beach i zostać...

— Nie — odparła Fiona. — Miałaś rację. Nie jestem zainteresowana.

— Tak, cóż, tak właśnie myślałam. — Ciotka Arlene zaczerpnęła głęboko powietrza.

— Chce jechać zaraz po Świącie Dziękczynienia — oznajmił wujek Charles. — Ma nowiutki samochód, cadillaca, a wiem, że ty nie za bardzo lubisz zimę...

— Nigdy tego nie powiedziałam.

— Może nie mówiłaś o tym za wiele, ale chodzi mi o to, że jest tu zimno, i wiem, jak może być ciężko, kiedy nie zarabia się za wiele, a szczególnie z tym starym samochodem i...

— Co masz na myśli? — przerwała Fiona. — Co naprawdę usiłujesz mi powiedzieć?

— Tylko to! Po prostu myślę, że to cudowna okazja, to wszystko — powiedział.

— Cóż, nie jestem zainteresowana. Ani trochę.

— Ale powinnaś to przynajmniej rozważyć, Fiono — oświadczył z brzmiającą w głosie dawną irytacją. — Przychodzi taki moment w życiu, wiesz, kiedy mało jest okazji takich jak ta i podobnych.

— Wycieczka samochodem na Florydę z Lucretia Kendale? Uważasz, że to jest okazja? Mówisz poważnie? Okazja do czego? — spytała, siląc się na szyderczy uśmiech. — Do popadnięcia we wczesne zniedołężnienie starcze?

— Okazja do rozpoczęcia wszystkiego od nowa! — Popatrzył na nią znad okularów.

— Boże, obrażasz mnie! — Nim zdążyła wstać, ciotka chwyciła jej dłoń. Przytrzymała ją.

— Och, Fiono, proszę. Twój wujek wcale nie miał tego na myśli. Prawda, Charlesie?

— Wiem, co miał na myśli — odparła Fiona.

— Nie, ty nie rozumiesz — powiedział.

— To ja powiem ci, czego nie rozumiem: Jak wy dwoje możecie tak tu po prostu siedzieć i udawać, że nic złego nie dzieje się z Lizzie.

Płomienie odbijały się od ich twarzy, gdy wpatrywali się w kominek. Olbrzymia kłoda skwierczała i trzaskała.

— Lizzie przechodzi ciężkie chwile, wiemy o tym. Jest wyczerpana. Po prostu przesadziła ze wszystkim — odezwała się w końcu ciotka.

— Rudy uważa, że to coś więcej. Chce, żeby zobaczyła ją... ktoś — powiedziała Fiona, tak świadoma gniewu wzbierającego w spojrzeniu wujka, że nie mogła się zdobyć na to, by wymówić słowo „psychiatra.”

— Wiem. — Zacisnął szczęki.

— Cóż, oczywiście, jeżeli nadal będzie się tak czuła jutro albo we wtorek — odezwała się ciotka. — W każdym razie Rudy ma wstąpić dziś wieczorem, żeby sprawdzić, co z nią — dodała. — Może do tego czasu będzie już nawet na nogach. Z tymi wirusami nigdy nic nie wiadomo.

— Powiedz mu, żeby też do mnie zadzwonił — poprosiła Fiona, rozbawiona czujnym milczeniem wujka.

— Czy mogę spytać, dlaczego chcesz, żeby do ciebie zadzwonił? — zapytał, składając trzymaną w rękach gazetę.

— Żebym mogła mu powiedzieć, jak według mnie czuje się Lizzie. Zdjął okulary i przygryzł oprawkę.

— To znaczy? Jak według ciebie się czuje?

— Niedobrze — odparła, starannie wymawiając każdą sylabę, podczas gdy oni patrzyli po sobie.

— Fiono! — Ciotka pochyliła się i przekrzywiła głowę, jakby usiłowała coś zlokalizować w drgających w blasku ognia cieniach. — A cóż to jest? — spytała, podnosząc się z krzesła z wysuniętą ręką. — Ten medalion. Skąd go masz?

Fiona wyciągnęła go do niej na naprężonym łańcuszku.

— O mój Boże — powiedziała ciotka, pochylając się, by go otworzyć. — To ten. Należał do mojej matki. Dała go Natalie. To nasze zdjęcia z dzieciństwa.

— Wiem. To jest drugi powód, dla którego tu przyszłam. Chciałam ci go pokazać. Prawie zapomniałam. — Wciągnęła podbródek, by popatrzyć na medalion w dłoniach ciotki. — Uważam, że jest piękny.

— Tak — odparła ciotka. — Natalie też tak sądziła. Nosiła go cały czas. Czasami zapominała i pływała w nim. Powiedziała, że to nie dlatego, ale wiem, że to właśnie przez to zdjęcia tak bardzo się zniszczyły, tak bardzo popękały. Znalazaś go po prostu? Nie mów mi, że przez cały ten czas był tam na górze.

— Patrick mi go dał.

— Patrick? Dlaczego miały go mieć? — spytała ciotka, potrząsając głową z konsternacją.

— Nie wiem. Myślę, że po prostu się na niego natknął.

— Gdzie? — spytał wujek.

— Właściwie nie powiedział mi. W jego domu, tak sądzę.

Ciotka Arlene zamknęła medalion i opadła na krzesło. Podniosła robotkę, ale nie wyciągnęła igły z płótna. Patrzyła żałośnie, jakby właśnie zobaczyła skazę w na wpół wyhaftowanych płatkach, lecz nie miała serca, by je poprawić.

— Pewnie zostawiła go tam kiedyś. Może wcisnął się za poduszki czy gdzie indziej — odezwał się wujek.

Fiona zdała sobie sprawę, że mówi tylko do jej ciotki.

— To było trzydzieści lat temu — odparła cicho ciotka.

— Tak, a znając Patricka, pewnie bardzo mało się zmieniło w jego domu przez ten cały czas — powiedziała.

— Wybaczcie mi — poprosiła ciotka, wstając. Wyszła do kuchni.

Fiona podniosła się, by za nią podążyć, lecz wujek kazał jej zaczekać.

— Fiono, jak to się stało, że Patrick dał ci ten medalion? W jakich to się stało okolicznościach?

— Nie wiem, o co ci chodzi. Znalazł go i dał go mnie.

— To było takie proste? Takie nieskomplikowane?

— Tak! — Nie miała zamiaru przyznawać, co zaszło naprawdę.

Wujek wciąż na nią patrzył z jakimś przestachem — jakby już wiedział.

— A co w tym dziwnego? — domagała się wyjaśnień. — Jaki inny mógłby być powód?

Popatrzył na nią z głową odchylną na oparciu fotela, spojrzeniem beznamiętnym i pustym.

— Nic, taką mam nadzieję. Ale z Patrickiem nigdy nie wiadomo.

— Ze mną był zawsze bardzo bezpośredni.

— Powtórzę to, co powiedziałem już wcześniej, Fiono. Jest niezrównoważony i może okazać się naprawdę okrutny. — Teraz niemal szeptał.

— Ale to coś więcej, prawda? Nie ufasz mu, tak?

— Nie. Nie ufam.

— Więc to dlatego co roku płacisz jego podatki? Co to jest, jakaś odprawa, żeby nie przyznawał się, że jest moim ojcem?

— On tego nie powiedział, prawda?

— Nie tymi słowy. Nie.

— Cóż, mam nadzieję, że nie, ponieważ to naprawdę całkiem proste. Od czasu do czasu Patrick potrzebował pomocy, a ja udzielałem mu jej, kiedy mogłem.

— Dlaczego? Dlaczego miałbyś to robić?

— To trudna sytuacja. Jest tak pełen gniewu i goryczy, i litości dla samego siebie, że nie wygląda na to, by mógł sobie sam poradzić przez ten cały czas.

— Cóż. Winisz go? Przecież nie tylko wyleciał z pracy po mniej niż dwóch tygodniach, ale potem powiedziałeś mu jeszcze, żeby nie zbliżał się więcej do sądu. Czy wiesz, jakie to poniżające?

— Ma szczęście, że tak się to skończyło. Niewiele brakowało, a zostałby aresztowany.

— Aresztowany! Za co aresztowany? — nalegała, niezadowolona z powodu swej irytacji.

— Za napaść... — Wyjaśnił, że Patrick i jego kierownik kłócili się, a wtedy Patrick go popchnął. Widząc, jak Fiona wzrusza ramionami, wujek dodał, że Zender od urodzenia jest kulawy. Kiedy Patrick go popchnął, spadł do połowy wysokości schodów i uderzył się w plecy.

— Patrick powiedział, że to była sprzeczka. Właściwie mówił, że popchnął go wtedy jakiś inny facet, ale ze względu na ciebie po prostu stamtąd odszedł.

— Cóż. — Wujek westchnął. — Co mogę powiedzieć, Fiono? Dlaczego miałbym kłamać? Po co? — Płomień igrał na jego twarzy, gdy pochylił się, by wziąć gazetę ze stosu.

— Ja mu po prostu tak bardzo współczuję — odparła. — Jest taki samotny. Nie mogę znieść tego, że jest taki samotny...

Na te słowa twarz wujka wykrzywiła się, współgrając z pogardą jego głosem.

— Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.

— Co to ma znaczyć? — spytała słabo, nie pragnąc tak naprawdę odpowiedzieć.

— Nie zasługuje na twoją litość. I na pewno nie zasługuje na twoje dobre serce.

Nie umiała nic na to odpowiedzieć, nic zrobić. Starła się tylko nie uśmiechać w drodze do kuchni. Dobre serce... Nie miała pojęcia, że wujek tak o niej myślał.

Ciotka Arlene obierała ze skórki pomarańcze i grejpfruty. Kroiła je na kawałki, które wkładała do szklanej miski. Powiedziała, że zawsze udaje jej się zmusić Elizabeth do zjedzenia sałatki owocowej. Częściowo powodem jej wyczerpania była dieta. Prawie nic nie jadła.

— Myślę, że to jedna z przyczyn jej kłopotów z Rudym — wyznała. — Znowu popadła w swoje stare nawyki żywieniowe. I nie mogła go oszukać. Wiesz, Fiono, z wszystkich ludzi... chodzi mi o to, że on jest le-

karzem, na miłość boską! Więc zaczęła, tak sędzę, unikać go. Czemu oczywiście gorąco zaprzeczy i powie, że to przez te jej wszystkie szkolne obowiązki. Ale jestem pewna, że to jest powiązane. Po prostu za wiele od siebie wymaga. Zawsze tak robi, a ja nie wiem dlaczego. Nigdy tego nie rozumiałam. Nie sędzę, żeby była aż taka wielka różnica w tym, jak się wychowuje dwie dziewczynki... A to, dlaczego Elizabeth uważa, że zawsze musi być taka perfekcyjna, po prostu mnie przerasta. — Odłożyła deskę i nóż do zlewu. Odkręciła kurek. W świetle jej kręcone włosy były srebrzystoszare. Jej bioder i klatki piersiowej nie oddzielała już dostrzegalna talia. Pochyliła się, by wyszorować deskę. Wszystkim, czego zawsze pragnęła, było szczęście jej rodziny.

— A może to właśnie to — odpowiedziała łagodnie Fiona. — Może to dlatego, że w im większych widziała mnie kłopotach, tym bardziej starała się być dobra.

Ciotka obróciła się. Wytarła dłonie w ręcznik i objęła Fionę.

— Och, nie miałam na myśli ciebie, kochanie. Mówiłam o Ginny, więc nie myśl czasami, że ty jesteś tu przyczyną czegokolwiek. Elizabeth musi po prostu nauczyć się wypoczywać i trochę zwolnić tempo.

Kolejny raz, chociaż dobrotliwie, ciotka zdołała podkreślić jej marny status w tym domu. Fiona powiedziała, że będzie lepiej, jak już pójdzie. Ciotka przypomniawszy, żeby przyszła do nich wcześniej w Święto Dziękczynienia. Gdy Fiona odpowiedziała, że będzie pamiętać, ciotka przesuwała spojrzenie na medalion.

— Czy jeszcze do ciebie zadzwoniła?

Fiona dopiero po chwili zdała sobie sprawę, o co pyta.

— Nie. — Zawahała się. — Ciociu Arlene, ja to zmyśliłam. Przepraszam. Moja matka nigdy do mnie nie zadzwoniła. Myślę, że chciałam ściągnąć na siebie uwagę czy coś w tym rodzaju. Nie pomyślałam, jak się przez to możesz poczuć.

Ciotka Arlene uśmiechnęła się i zapewniła Fionę, że rozumie. I to oczywiste, że pragnęła uwagi.

— Czy my wszyscy od czasu do czasu jej nie pragniemy? — odparła niemal beztrzesko, napełniając plastikowy pojemnik sałatką owocową, by Fiona mogła ją sobie wziąć do domu. — Dzięki Bogu, że nigdy nie musiałam martwić się twoimi nawykami żywieniowymi. Zawsze miałaś taki wspaniały apetyt. — Wręczyła Fionie pojemnik i jej spojrzenie zatrzymało się na medalionie.

— Czy denerwuje cię, że go noszę? — spytała Fiona.

— Och nie! Oczywiście, że nie! To taka niespodzianka zobaczyć go po tych wszystkich latach, to wszystko! — Poklepała Fionę po policzku.

— Proszę. — Fiona sięgnęła do tyłu, by rozpiąć zatrask. — To ty powinnaś go mieć. Należał do twojej matki i jest w nim twoje zdjęcie.

— Nie — odpowiedział ciotka, cofając się i potrząsając głową. — Należał do twojej matki i twojej babki, a teraz należy do ciebie.

Był wtorkowy ranek.

— Gratulacje! — krzyknęła Maxine z frontu sali, gdy Fiona weszła przez wahadłowe drzwi, zawiązując fartuch.

— Hm, a coś wygrałam? — Fiona popatrzyła dookoła. Goście przy trzech stolikach uśmiechali się do niej. — No dobrze, to co mi się urodziło, chłopiec czy dziewczynka? Bliźniaki? Kto jest ojcem? I kiedy się pobieramy?

— Chodzi o twojego wujka Charlesa! — obwieściła Maxine głośno, by wszyscy usłyszeli. Wsparła się na rękach nad gazetą i odczytała na głos: — Wczoraj gubernator James Proctor ogłosił mianowanie Charlesa H. Hollisa na sędziego Sądu Powszechnego. — Artykuł wymieniał liczne osiągnięcia jej wujka i stowarzyszenia zawodowe, do których należał, a następnie informował, że sędzia zostanie zaprzysiężony po pierwszym styczniu. Fiona zerknęła Maxine przez ramię, gdy ta czytała, podążając za jej karmazynowym paznokciem od linijki do linijki. — Sędzia Hollis poślubił Arlene Range Hollis i jest ojcem trojga ich dorosłych dzieci, Johna, Virginii, i Elizabeth... — Maxine podniosła głowę, wydymając usta. Ale twojego imienia tu nie ma!

Fiona roześmiała się.

— Bo ja nie jestem dorosła!

— Powinno być jakieś odwołanie do tego — oświadczyła Maxine, jeszcze raz przebiegając wzrokiem artykuł, by się upewnić, że niczego nie przeoczyła.

— Masz na myśli sprostowanie — poprawiła Fiona, sięgając pod kasę po bloczek.

— O właśnie! — odparła Maxine, uderzając dłońią w gazetę. — I powinni dopisać w nim twoje imię! Przecież Hollisowie wychowali cię razem z własnymi dziećmi. Byłaś wychowywana jak jedno z nich i...

— Maxine — odezwała się cicho Fiona.

— ...mój Boże, przecież sędzia ciągle tu przychodzi, żeby...

— Maxine!

— Co?

— Ja już to wiem. Komu to mówisz, mnie czy im? — spytała, przewracając oczami w kierunku milczącej sali.

— No, ja tylko myślę, że twoje imię też powinno tu być — nalegała Maxine, szczerze zawiedziona.

— Cóż, ale go nie ma — wyszeptała Fiona. — I jeśli mnie to wisi, to czym ty się przejmujesz?

Twarz Maxine pobladła.

Przez resztę ranka Fiona pracowała w ciszy. Klienci wciąż jej gratulowali.

— Dziękuję, ale ja niczego nie zrobiłam — powtarzała za każdym razem.

— Wszyscy są z niego tacy dumni — powiedział Reese Fogarty, farmaceuta, uśmiechając się szeroko znad zapiekanych kanapek, które właśnie podajęmu i jego ekspedientowi, Johnowi Dale'owi.

— I naprawdę ważne jest to — dodał John Dale — że większość dobrych ludzi, ludzi takich jak sędzia Hollis, nigdy nie doczeka się żadnych dowodów uznania.

— Szczególnie, jeśli ma to coś wspólnego z polityką — mówił Fogarty, gdy ruszyła do kuchni. Jej ciotka i wujek musieli już wiedzieć, gdy odwiedziła ich w niedzielny wieczór, że nominacja zostanie ogłoszona następnego dnia, lecz żadne z nich nic jej nie powiedziało. To było dla nich typowe. Nigdy nie zwracać na siebie uwagi. Zawsze starać się stać w cieniu. Nie wychylać się. Przez całe życie słyszała wiele wersji tego przesłania. Ich rezerwa była niewiarygodna, nawet w stosunku do siebie nawzajem. Ze wszystkich lat spędzonych w domu, nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek słyszała, jak się kłócili — była pewnie nadal jedyną osobą, która potrafiła zmusić Charlesa Hollisa, by podniósł głos.

Była też ciekawa, czy Elizabeth poczuła się na tyle dobrze, by wrócić do pracy. Gdy Chester stawał na blacie jej zamówienia, pomyślała, że to nie jest najlepszy czas dla córki sędziego, by dostawać kręčka. Kiedy weszła na salę, dwie grupki gości czekały na wolny stolik.

— Fiono! — usłyszała męski głos z ostatniego boksu. — Chodź tu, chodź tu, chodź tu szybko! — wrzeszczał Larry Belleau. Zgarbił się tak nisko, że brodą niemal dotykał stołu.

— Larry! — Cofnęła się i wsparła brzég załadowanej tacy na jego stoliku. — Mam ci coś podać?

— Musimy pogadać, musimy teraz, Fiona, proszę, proszę, proszę! — Chwycił się kurczowo za przód swojej koszuli i usiłował złapać oddech. Jego rumiane policzki połyskiwały od potu.

Obiecując, że zaraz wróci, pośpieszyła do następnego stolika, gdzie dwie starsze kobiety jęknęły, gdy podała ich zamówienie. Nie podobały im się ich sałatki z tuńczykiem. Chciały tuńczyka bez majonezu. Zwróciła je do kuchni i musiała znieść stek obelg Chestera na tych „pieprzonych maniaków zdrowej żywności” i na nią samą przy okazji za to, że źle przyjęła zamówienie. Gdy w końcu wróciła na salę, Larry łkał cicho z twarzą ukrytą w dłoniach. Rósł przed nim stos serwetek, w które bez przerwy wycierał nos. Wśliznęła się obok niego do boksu.

— Co jest? Co się stało, Larry?

— Mam kłopoty, mam wielkie kłopoty, naprawdę wielkie kłopoty. — Wybuchnął łzami i płakał tak bardzo, że stół trząsał się od drżenia jego ciała.

— Co się stało? Uspokój się teraz i powiedz mi, co się stało.

— To nie była moja wina. Ja nie chciałem... wszyscy faceci, wszyscy się tylko objaliśmy, to wszystko, a oni ciągle powtarzali: „Taa, myślisz, że możesz, ale nie możesz, jesteś wielki, ale jesteś tylko półgłówkiem, Larry, i tyle, i tyle, jesteś półgłówkiem”, no i ja pociągnąłem ten, no, na śmieci, no, pojemnik, tak mocno, jak tylko mogłem, i on naprawdę, naprawdę odpadł od słupa, ale potem się wyrwał, buuum! — opowiadał, odrzucając ręce za głowę. — Prosto przez pieprzone okno, Fiona, ojej, brzydkie słowo, przepraszam — wykrztusił, zasłaniając usta. — Przepraszam, przepraszam, nie chciałem tego powiedzieć, ale jestem przerażony, jestem taki przerażony, Fiona!

— W porządku, Larry. Powiedz mi, które okno rozbiłeś?

— W drogerii. — Skrzywił się.

— CVS? — Była to największa szyba przy całej Main Street.

Skinał głową.

— Taa, cały front rozbity.

— Kiedy to się stało?

— Teraz.

— I co zrobiłeś? Przyszedłeś prosto tutaj?

Skinał głową. Obydwoje patrzyli teraz na ulicę. Samochód policyjny przemknął obok kawiarni. Jego syrena zawyła krótko kilka razy, by przechodnie usunęli się z drogi. Spytała, gdzie poszli inni. Odparł, że wszyscy uciekli, kiedy okno się stłukło.

— Czy ktoś widział cię, jak tu wchodziłeś?

— Nie wiem! — krzyknął, potrząsając głową, gdy następny radiowóz mignął koło kawiarni. — Ale ja nie chcę iść do więzienia, Fiona, nie chciałem tego zrobić, a teraz będę miał wielkie kłopoty — ryczał.

Maxine i Donna pojawiły się razem przy stoliku.

— Przystań! Przystań! — wysyczała Maxine, dźgając palcem jego masywne ramiona, jakby szukała guzika, za pomocą którego mogłaby go wyłączyć. — Przystań natychmiast!

— No, Larry. — Fiona wzięta go za rękę. — Zabiorę go na zaplecze — powiedziała do Maxine, która żądała ciągle, żeby był cicho albo wyszedł. Niepokoił jej klientów. Wszyscy zamilkli i przestali jeść. Wszystkie głowy odwróciły się, by posłuchać jego oszalałego beczenia.

— Znam jego ojca. Pracowaliśmy razem w fabryce tenisówek. Ed będzie wkurzony, ale wiem, jak sobie z nim dać radę — rzekła Donna do Fiony, której udało się w końcu zmusić Larry'ego, by wstał. — Nie martw się, Larry. Zaraz zadzwonię do twojego taty — oświadczyła Donna.

— Nie! — jęknął Larry, odsuwając się. — Nie, nie, nie rób tego, nie rób tego, proszę, proszę, nie rób tego.

— Nie zadzwoni — zapewniła go Fiona. — Tylko chodź ze mną do kuchni. No, Larry. Pomyślimy, co zrobić. No chodź, Larry — namawiała, prowadząc go za rękę do kuchni.

Na widok ogromnego, szlochającego mężczyzny Chester rzucił swój ręcznik i zaczął się śmiać.

— To jakiś żart, nie? — zawołał wysokim, drżącym głosem. — Co ty mi odstawiasz? Już mam się bać?

— Muszę zadzwonić do wujka! — Przebiegła obok niego do telefonu i wybrała numer sądu, modląc się, by wujek nie wyszedł na lunch. — To nagły wypadek — poinformowała jego sekretarkę.

— Fiono! — odezwał się wujek Charles w kilka sekund później. — Co się stało?

Opowiedziała mu o Larrym.

— Cały czas płacze. Jest taki zdenerwowany. Policja jest na ulicy. Wiem, że powinnam go tam zaprowadzić, ale nie mogę znieść myśli, że będzie musiał sam przejść przez to wszystko. Dlatego zadzwoniłam.

— Powiedz mu, żeby się nie martwił. Zaraz tam będę. Popracujemy nad tym. Zajmiemy się tym — oświadczył wujek Charles, a ona uśmiechnęła się do Larry'ego.

Przyjechał po dziesięciu minutach. Fiona obserwowała, jak pochyla się nad Larrym, trzymając dłoń na jego ramieniu i zapewniając go, że wszystko będzie w porządku. Będzie pewnie grzywna i będzie musiał zapłacić za nową szybę, ale nie pójdzie do więzienia, jak powiedział wujek Charles. I nie była to czcza obietnica.

Maxine stała za nim wyczekująco. Chester pokazał jej gestem, żeby przyniosła sędziemu coś do picia. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach, Larry kołysał się lekko na drewnianym krześle, z szeroko otwartymi oczami, kiwając gorliwie głową na wszystko, co do niego mówiono. Maxine wróciła szybko i podała sędziemu szklankę napoju imbirowego. Wręczyła ją Larry'emu, który połknął w pośpiechu jej zawartość, beknął głośno, a potem przeprosił, zmieszany. Chester pokazał jej gestem, by przyniosła jeszcze jedną.

— Więc teraz pójdziesz ze mną, Larry. Pójdziemy tam i wyjaśnimy, co się stało — odezwał się wujek Charles.

— Nie! Oni będą tam na mnie wrzeszczeć, kierownik, on mnie nienawidzi, on mnie zawsze wyrzuca ze sklepu.

— Miałem na myśli posterunek policji. Pojedziemy na posterunek i powiemy im, co się stało, i zadzwonimy do twojego taty...

— Nie! — jęknął Larry. Skulił się. — Niech pan nie dzwoni do mojego taty, proszę, niech pan do niego nie dzwoni, proszę, niech pan do niego nie dzwoni.

— Musimy — odparł łagodnie wujek.

— Nie!

— Ja z nim porozmawiam, Larry. I powiem mu, jak bardzo jesteś przerażony i że to naprawdę był wypadek. On zrozumie.

— Nie! On się tak wścieknie, będzie na mnie wrzeszczał i będzie przeklinał, ja wiem. — Jakby krępował się sam kaftanem bezpieczeństwa, skrzyżował ramiona na piersi i zacisnął obie dłonie na oparciu krzesła.

— Będę z tobą szczerzy, Larry. Na pewno będzie wściekły, ale jeśli chcesz, zostanę z tobą, kiedy będziesz z nim rozmawiał. I powiem mu, że naprawdę nie chciałeś tego zrobić. Może być ciężko przez chwilę, ale potem będzie już tylko lepiej, Larry. Zobaczysz. Najtrudniej jest teraz, kiedy tak tutaj siedzisz i zamartwiasz się, ale gdy tylko coś zrobimy, nie będziesz już taki przerażony. Więc chodź — powiedział, wyciągając rękę. — Zajmijmy się tym teraz.

— A czy może pan zadzwonić do mojej mamy, może pan jej powiedzieć, żeby przyjechała zamiast taty? — spytał Larry, wycierając ciekawy nos o ramię.

Wujek przypomniał mu, że jego mama dochodzi do siebie po operacji serca i Larry znowu załkał.

Fiona uklęknęła i wzięła go za rękę.

— Larry! Nie pozwolimy, żeby stało ci się coś złego. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

— Zgadza się. — Wujek pochylił się nżej. — Słuchaj Fiony, Larry.

Obejrzała się i zaproponowała, że najlepiej by było, gdyby zadzwonili do pana Belleau teraz, przed pójściem na posterunek.

— Przynajmniej to będzie już z głowy. Bo wygląda na to, że ta sprawa go najbardziej przeraża.

— Dobry pomysł — odpowiedział wujek, a Chester zaprowadził go do telefonu przy drzwiach chłodni.

Maxine przyniosła Larry'emu następny napój imbirowy, a Fiona dalej do niego przemawiała. Wujek szybko wrócił i oznajmił Larry'emu, że jego ojciec cieszy się, że nic mu się nie stało. Obiecał nie krzyżeć, ale Larry musi zaraz wstać i iść na posterunek. Wtedy Larry podniósł się i poszedł za wujkiem do drzwi. Fiona jeszcze go uściśnieła.

— Mój wujek Charles dobrze się tobą zaopiekuje. Wiesz, że tak, więc się nie martw.

— Zgadza się — przytaknął wujek, poklepując spocone plecy Larry'ego. — Dobrze się tobą zaopiekuje, Larry — oświadczył, gdy wychodzili przez drzwi.

— Phi! Był i znikł jak jakiś jeździec-widmo! — Chester westchnął, wycierając twarz ręcznikiem.

— Nawet tak sobie nie żartuj — odezwała się Maxine, potrząsając głową. — On jest jednym z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałam. Niewielu ludzi by to zrobiło.

Nie, nie zrobiliby tego — pomyślała Fiona z tak obcym jej przypływem rodzinnej dumy, że przez resztę popołudnia czuła się porwana tym optymizmem. Ogarnął ją tak wielki spokój. Tyle było przy tym do zrobienia i wszystko wydawało się takie proste. Warstwy zasłaniające światło stały się nagle przezroczyste. W niedzielny wieczór wujek mówił o jej dobrym sercu i jego krótkie słowa uznania nie były tylko najwyższą z pochwał, lecz w końcu, po tylu latach, potwierdzeniem tego, że naprawdę była członkiem tej rodziny.

Rozdział 19

Och, cześć, wujku Charlesie! Tu Fiona. — Jej uśmiech zbladł, gdy na drugim końcu linii zapanowała cisza. — Hm... Co u ciebie?

— W porządku, Fiono. Dziękuję — odparł sztywno.

Powiedziała, że chciałyby się dowiedzieć, co ma przynieść na obiad w Święto Dziękczynienia.

— Arlene — zawołała od telefonu.

— Ale poczekaj! Wujku Charlesie... — Spytała, jak zakończyła się ta sprawa z Larrym Belleau. Po to naprawdę zadzwoniła.

— W porządku. — Jego głos był nieprzyjazny i odległy. — Jego rodzina zapłaci za szkody, a drogeria zgodziła się nie wnosić skargi.

— Och, to dobrze. — Sprawilo jej to ulgę, ale poczuła się dotknięta, że jej nie zawiadomił. — Bo już miałam z ciekawości dzwonić do państwa Belleau.

— Nie, nie dzwoń. Nie dzwoń do nich — powiedział pośpiesznie. — Ed Belleau nie chce, żebyś niepokoiła Larry'ego.

— Co masz na myśli? Niepokoiła?

— Powiedział, że go drażnisz. Że cię to bawi.

— Co? Co to ma, do cholery, znaczyć? — wypaliła.

— Wspomniał o jakimś przyjęciu zeszłej jesieni. Powiedział, że ty i Larry pływaliście razem. Bez niczego — dodał stłumionym głosem.

— A ty w to wierzysz? — spytała, kuląc się i łapiąc za czoło.

— Czasami trudno jest zdecydować, w co wierzyć, Fiono. — Wręczył słuchawkę ciotce Arlene, która zapytała, czy wszystko w porządku. — Fiona chce tylko wiedzieć, co ma przynieść na kolację — poinformował, gdy ciotka brała od niego słuchawkę.

— Cóż, to proste! — oznajmiła ciotka Arlene. Tę samą galaretkę z żurawin, którą zrobiłaś w zeszłym roku. Tak elegancko prezentowała się na stole. Pięknie wyglądała w świetle świec.

Fiona przypomniała, że nikt jej nie jadł.

— Na pewno jedli — upierała się ciotka. — Och, a przy okazji, jeśli chciałabyś przyprowadzić kogoś na kolację, Fiono, to, proszę, zrób to. Kogo chcesz.

— Naprawdę? Cóż, wobec tego może poproszę Patricka.

— Proszę, kochanie. Wiesz, że nie to miałam na myśli. Właściwie myślałam tylko o biednym George'u i o tym, jak samotny będzie się czuł. To będzie jego pierwsze Święto Dziękczynienia bez jego taty, wiesz. Założę się, że jeśli go spytasz, bardzo się ucieszy. I proszę, powiedz mu, że niczego nie musi przynosić. Jego towarzystwo to wszystko, czego nam trzeba.

— Nie zaproszę go.

— Och, ale dlaczego?

— Bo nie chcę.

— Ale wiem, że to by wiele dla niego znaczyło. Zawsze bardzo dobrze się u nas bawił — nalegała ciotka. — A teraz, kiedy ty i on...

— Ciociu Arlene — przerwała Fiona. — To Lizzie powinna go zaprosić. Nie ja.

— No dobrze, w każdym razie chyba będziemy mieć dwójkę dodatkowych gości. Małe bliźniaczki Buelmann z klasy Elizabeth. Ich dziadek jest w szpitalu i może nie wyjść na święta.

— Och! Więc Lizzie czuje się lepiej. — Najwidoczniej, skoro jej dwie uczennice przychodziły na kolację.

Tęsknota Fiony za Rudym przerodziła się w nieustanny ból, który czuła w piersi. Gdy obudziła się tego ranka, wybrała jego numer, mając nadzieję, że będzie już wiedziała, co powiedzieć, do czasu, gdy włączy się jego sekretarka. Odebrał po pierwszym dzwonku. W jego głosie słychać było pośpiech. Był rozdrażniony. Odłożyła zaraz słuchawkę.

— Właściwie nie. — Ciotka mówiła powoli i zdawała się badać każde słowo, jakby to była moneta, zbyt cenna, by ją wydać. — To znaczy, nie tak szybko, jak mieliśmy nadzieję. Ale przecież trochę czasu zabrało jej doprowadzenie się do takiego wyczerpania, więc sędzę, że musi też trochę potrwać, nim wróci do siebie.

— Czy lekarz już ją widział?

— Rudy jest teraz u niej na górze.

— Mam na myśli psychiatrę. — Słowo spadło między nimi jak kłoda.
— Powinna brać środki antydepresyjne czy coś w tym rodzaju.

— Ale nie będzie — odparła szybko ciotka. — Boi się konsekwencji. Wiesz, w pracy i w ogóle.

— Konsekwencje będą o wiele gorsze, jeżeli to skończy się załamaniem nerwowym.

— Cóż, tak, i właśnie nad tym tutaj głównie pracujemy — oświadczyła ciotka, a w tle narastały głosy. — Czas i wypoczynek, myślę, że tego potrzebuje teraz najbardziej. Tak, i dużo dobrego jedzenia. Rudy mówi to właśnie wujkowi Charlesowi.

Rudy. Fiona powiedziała, że chciałaby z nim teraz porozmawiać. Słyszała, jak odkaslnął w drodze do telefonu.

— Halo? — odezwał się z niepokojem. — Fiono? Jesteś tam? — zapytał, gdy nie odezwała się od razu.

— Taa, jestem. — Zamknęła oczy.

— Co u ciebie? — spytał cichym, beznamiętnym głosem. — Wszystko w porządku?

— Och, taa. Wszystko świetnie. Wspaniale. Właściwie nie mogłoby być lepiej.

Zapanowała cisza.

— Jesteś pewna? Mówisz... no, jakbyś miała trochę zapchany nos.

— Naprawdę? — Przyłożyła chusteczkę do oczu i wytarła nos.

— Tak. Jakbyś była bardzo przeziębiona. Potrzebujesz na to czegoś?

— Nie wiem. Jak sądzisz?

— No, chyba wystarczą zwykłe zalecenia: odpoczynek, dużo płynów i tylenol.

— A coś jeszcze? — spytała.

— Nie, to zazwyczaj wystarcza — odpowiedział.

Przytrzymując ramieniem słuchawkę, przebierała zurawiny, słuchając jednocześnie Patricka. Zadzwoił już trzeci raz tego wieczora i znów odbywali tę samą rozmowę. Im więcej o tym myślał, tym bardziej był **zdecydowany**. Jeżeli **chciał** mieć jeszcze jakieś **życie** przed sobą, musiał się stąd wydostać. Nie było sensu czekać. A co ze sprzedażą nieruchomości? Odpowiedział, że nie, że za długo by to trwało. Lecz potrzebował pieniędzy, a ta ziemia była dużo warta, więc dlaczego nie uzbroić się w cierpliwość i po prostu jeszcze trochę nie zaczekać? Pewnie nie zabrałoby to wiele czasu, a ona była pewna, że gdyby tylko doszło do sprzedaży, wujek Charles pomógłby przyśpieszyć sprawę... Nie! Absolutnie nie. Hollis nie może się o tym dowiedzieć. Zdecydował się. Trzeba wyjechać szybko, ale ona musi obiecać, że nikomu nie powie. Zbiorą się jakoś w krótkim czasie... Znów sam doprowadzał się do szału.

— Patricku — odezwała się najłagodniej, jak potrafiła. — Przecież to ty masz stąd uciec, a nie a.

— Nie. Właśnie ci to mówię. Usiłuję ci to cały czas powiedzieć. Nie mogę. Chodzi mi o to, że bez ciebie się to nie uda. Musisz jechać ze mną. Musisz! To jedyny sposób!

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową. Starła się być cierpliwa, lecz jejmu nie można było przemówić do rozsądku. Uparł się i miała wrażenie, że już nigdy nie przestanie, a ona mogła winić tylko siebie za to, że w ogóle poddała mu pomysł sprzedaży domu.

— Ja nie mogę tak po prostu odejść i zostawić cię tutaj — nalegał. — Nie mogę!

— Dlaczego? Dlaczego nie możesz?

— Bo nie mogę, do cholery. Nie mogę! Nie mogę! Nie mogę! — rycał. Po drugiej stronie linii rozległ się łomot, jakby uderzył w coś pięścią.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

— Lepiej będzie, jak się rozłączę.

— Dlaczego? Ktoś tam jest? Kto to? Kto tam jest?

— Nie, to piekarnik. Dzwoni minutnik. Muszę coś wyjąć.

— Ale ja muszę z tobą porozmawiać.

— Zadzwonię.

— Kiedy?

— Za chwilę. Nie powinno mi to zabrać dużo czasu.

Otworzyła drzwi i ze zdumieniem ujrzała George'a Grimshawa. Prosił, że się tak do niej pakuje, ale właśnie był u Elizabeth. Musiał z kimś porozmawiać, z kimś, kto kochał ją tak jak on.

— Nigdy nie widziałem jej w takim stanie — wyznał. — Płakała, potem usiłowała coś powiedzieć, ale potem znów zaczęła płakać. — Przysiadł na brzegu krzesła i złapał się dłońmi za głowę. — Nie mogę zapomnieć tego jęku. Jakby był w niej ból, głęboki, głęboki ból, który się z niej wylewa. — Podniósł na nią pełne paniki spojrzenie. — Co mogę zrobić? Muszę coś zrobić! — oświadczył, uderzając pięścią w swoją dłoń.

— Dlaczego? Dlaczego musisz coś zrobić?

— Bo to wszystko moja wina! — wykrztusił.

Zadzwonił telefon. W chwili, gdy podniosła słuchawkę, Patrick znów zaczął mówić o wyjeździe. Powiedziała, że jeszcze nie skończyła gotowania i nie może teraz rozmawiać. Ma więc potem oddzwonić. Tym razem zdjęła słuchawkę z widełek. Nigdy nie widziała George'a ogarniętego takim szaleństwem.

Wstał teraz, rozgrzany, i chodził tam i z powrotem.

— Nigdy nie powinienem był próbować jej odzyskać. Powinienem zostawić ją w spokoju, ale nie umiałem. Byłem taki samotny, nie potrafiłem tego znieść. Ciągłe do niej wydzwaniałem. Przez cały czas, kiedy mieszkała w Nowym Jorku, dzwoniłem i tylko rozmawialiśmy, wiesz, jak przyjaciele. Albo to ona tak myślała. A potem ona raz do mnie zadzwoniła. To było parę tygodni po śmierci mojego ojca, aja powiedziałem jej, jak wiele znaczy dla mnie jej telefon. Ale ona wyznała, że ma mi coś do powiedzenia. Powiedziała, że się zaręczyła, aja straciłem głowę. Powiedziałem jej, że nie, że nie może, że nie może tego zrobić. Mówiłem jej, jaki czuję się samotny i że ona jest wszystkim, co mi zostało. Błagałem ją, by wróciła do domu, żeby przynajmniej dała mi szansę. Powiedziałem, że po tych wszystkich wspólnych latach jest mi winna przynajmniej to. — Przerwał. — I potem nie potrafiłem w to uwierzyć. Powiedziała, że w porządku, że przyjedzie. Że wróci i zobaczy, co się stanie...

Fiona słuchała w zdumieniu, gdy opisywał powrót Elizabeth. Opanowani radością i świadomością tego, że mało brakowało, a utraciliby siebie nawzajem już na zawsze, spędzili razem pierwszą noc po jej przyjeździe. Ale kilka dni później przyjechał Rudy. To był szok dla Elizabeth. Była skonsternowana. Znalazła się w pułapce pomiędzy oczekiwaniami wszystkich. Nie była w stanie powiedzieć Rudy'emu prawdy o swoich uczuciach i przestała spotykać się z Georgem.

— Okej, niech sobie to ułożę w głowie — odezwała się Fiona. — To wtedy zacząłeś mnie podrywać.

— Nie. Nie, nie, bardzo cię lubiłem, Fiono. Ja...

— Lubieś mnie! — Chwyliła jakieś czasopismo leżące pod ręką, a on uchylił się, gdy je rzuciła. — Lubieś mnie, ty fałszywy, nerwowy sukinsynu. Zerznąłeś mnie, pamiętasz? Mnie! Tutaj! — krzyczała, wskazując drzwi sypialni.

Zamknął oczy. — Wiem. Przepraszam. Naprawdę mi przykro. Naprawdę. Narobiłem takich kłopotów.

— Cóż, nie pracowałeś na to sam, George, uwierz mi. — Potrząsnęła głową z pełnym goryczy śmiechem. — Właściwie przez chwilę myślałam, że dzieje się tu coś niezwykłego.

Zakrył twarz dłońmi i jęknął.

— Och, przestań, George. To nie takie straszne.

Popatrzył na nią.

— Ona zawsze była taka dobra, a ja... ja to wykorzystałem.

— Nie, nie zrobiłeś tego! — odparła.

— Tak. Zrobiłem. O tak — oświadczył z bezradnym, napawającym wstrętem piskiem w głosie.

— Ależ, George, posłuchaj, ona jest dorosłą kobietą. Wiedziała, co robi.

— Ale przeze mnie znenawidziła samą siebie. Przeze mnie zrobiła coś, co było tak bardzo wbrew jej naturze, że teraz niszczy samą siebie.
— Zaszlochał.

— Ale to nie z powodu czegoś, co ty zrobiłeś. — Wstała i usiadła obok niego na sofie. Obserwowała go przez chwilę. Nie mógł przestać płakać. Biedny George, został schwytany w uplecioną z dobroci Elizabeth sieć, tak jak Rudy. — George! Lizzie... cóż, prawda jest taka, że zawsze była trochę neurotyczna! To znaczy, w niektórych sprawach. Tak jak teraz woli leżeć w łóżku w swoim pokoju, zamiast powiedzieć prawdę albo zdecydować, kim naprawdę jest i czego chce.

— Ona chciała być tylko dobrym człowiekiem. Tylko tego chciała — wykrztusił. — A ja o tym wiedziałem.

— Nie, George, tu się mylisz. Nie widzisz tego? To nie na byciu dobrą zależy Lizzie. Ona po prostu nie może znieść myśli, że ktoś mógłby *uważać*, że ona nie jest dobra. — Położyła rękę na jego ramieniu. — George, nie możesz się tak obwiniać. To nie twoja wina.

— Nie, ty nie rozumiesz.

— Rozumiem. Bo ja też ją kocham, więc wiem, jak się czujesz.

— Nie, nie rozumiesz. Wiesz, jak było tego wieczoru, kiedy poszliście do Verzanno's? Cóż, wpadłem na nich. — Popatrzył na nią. — A właściwie prawda jest taka, że ich śledziłem. On mnie nie znal, ale ja wiedziałem, kim on jest. Właśnie podrzucili cię do domu, a ona była taka zdenerwowana, że nawet nas sobie nie przedstawiła. Zaproponowałem, że postawię im drinka, ale Elizabeth powiedziała, że musi wstać wcześniej rano, żeby z tobą pobiegać. Więc dlatego — powiedział ochrypłym szepcetem. Usiłował patrzeć na Fionę, lecz nie mógł. — Czy wiesz, co ja mówię? Przyszedłem tutaj tamtego ranka celowo. Zostawiłem nawet otwarte drzwi. Chciałem, by zobaczyła mnie z tobą. Wiedziałem, że to zrani ją bardziej niż cokolwiek innego, a ja chciałem zranić ją głęboko. Chciałem, by wiedziała, jak to jest, kiedy widzę ją z nim. Jak to będzie przez resztę naszego życia — zaszlochał.

— Ty sukinsynu.

— I tego pierwszego wieczora, kiedy poszliśmy do Orchard House. Mieli tam wtedy być, ale ona zobaczyła moją furgonetkę na parkingu, więc powiedziała, że źle się czuje. — Wciąż nie podnosił wzroku.

— Ty sukinsynu. Ty cholerny sukinsynu.

— Wiem. Przepraszam. Ale ona była moja. Chodzi mi o to, że w końcu miałem ją z powrotem po tych wszystkich latach i nie mogłem jej znów stracić. Po prostu nie mogłem.

— Wyjdź stąd, George. Po prostu wynoś się stąd, proszę cię.

Skinął głową, lecz nie ruszył się z miejsca.

— Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, Fiono, że to była najgorsza, najbardziej obrzydliwa rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Uwierz mi.

— Wierzę ci. O Boże, jak mogłam inaczej pomyśleć! — Wybuchnęła śmiechem i nie przestała się śmiać, dopóki nie wyszedł.

Ranek w dniu Święta Dziękczynienia był zimny i rozświetlony słońcem. Telefon zadzwonił, gdy się ubierała. Pobiegła, by go odebrać. Jej dłoń odskoczyła jednak od słuchawki. Z automatycznej sekretarki rozległ się krzyk Patricka.

— Fiono! Odbierz telefon! Odbierz ten cholerny telefon! — żądał. — Wiem, że tam jesteś. Słuchasz mnie, nie? Nie zadzwoniłaś wczoraj wieczorem, nie, bo ten pieprzony Grimshaw u ciebie był, zgadza się? Widziałem jego furgonetkę. Prawie już tam wszedłem. Powinienem być. I następnym razem to zrobię, więc słuchaj naprawdę uważnie, bo mam już tego dość. Mam dość tych twoich gier. Mam dość tego gówna i już tego dłużej nie będę znosić. Powiedziałaś, że zadzwonisz. Musimy porozmawiać. Wiesz, że musimy. Musimy to zrobić i byłem całą noc na nogach, czekałem, a teraz muszę z tobą porozmawiać, więc podnieś słuchawkę! Podnieś tę pieprzoną... — Taśma się skończyła i jego głos urwał się.

Było jej niedobrze. Gdy George wyszedł, zasnęła na kanapie.

Telefon znów zaczął dzwonić. Wybiegła do samochodu. Patrick ją martwił. Przez George'a czuła się zużyta i nic niewarta, ale to na Elizabeth była naprawdę zła.

Było wietrznie. Nagłe, ostre podmuchy wiatru podrywały z ziemi papiery i tworzyły nad jezdnią kominy wirujących liści. Mimo że podkręciła ogrzewanie w samochodzie, wciąż drżała, gdy wjeżdżała na podjazd. Zobaczyła samochody i wiedziała, że wszyscy już są — wszyscy oprócz Rudy'ego. Głęboko zawiedziona, pomyślała, że widocznie pracuje. Słyszała śmiech ciotki i Susan, które kończyły nakrywać do stołu w jadalni. Zanim cokolwiek zrobiła, znalazła w lodówce miejsce na swoją galaretkę z żurawin. Wstała o piątej rano, by ją zrobić, lecz galaretka nadal nie do końca się zsiadła. Gdy odwieszala płaszcz, uświadomiła sobie, że czuje dym. Otworzyła piecyk, by sprawdzić, czy indyk się nie pali. Odwinąwszy

aluminiową folię, zobaczyła, że mięso jest złotobrazowe. Wtedy też otworzyły się drzwi przy tylnych schodach i do kuchni weszła Ginny, niosąc tacę na wpół opróżnionych szklanek i kubków.

— Och, dobrze. Jesteś tu — odezwała się Ginny, odstawiając tacę. Porządkowała sypialnię Elizabeth. Elizabeth nie czuła się wystarczająco dobrze, by zejść na obiad, lecz Ginny właśnie jej powiedziała, że zmarnuje wszystkim ten dzień, jeśli zostanie w łóżku. — Spytała, czy ty już jesteś, więc może weszłabyś na górę i zobaczyła się z nią. Zejdzie dla ciebie. Wiem, że tak.

Fiona odparła, że raczej nie. Po co zmuszać ją, by schodziła na dół?

Ginny oświadczyła na to, że rodzice będą zdruzgotani, jeśli Elizabeth zostanie na górze.

— Mama jest wrakiem człowieka — wyszeptwała, zerkając w kierunku, z którego dobiegał dźwięk rozkładanych sreber. — Nigdy nie widziałam jej takiej zmartwionej, i taty też. Jest taki nieuważny. Zapomniał nawet otworzyć przewód kominowy, nim rozpalił ogień. Jack usiłuje teraz wywietrzyć cały ten dym. Otworzyli wszystkie okna. Można zamarznąć...

— Ginny, jak myślisz, co tak naprawdę dzieje się z Elizabeth? — Fiona uważnie obserwowała kuzynkę.

— To stres, tak sądzę. Matka mówi, że po prostu wzięła na siebie zbyt wiele na raz — odparła Ginny, znów zerkając w stronę jadalni.

— No, to przynajmniej odpuścili sobie tę teorię na temat wirusa.

— Wiem — przytaknęła Ginny. — Ale co innego mogą powiedzieć? Muszą! — dodała, widząc, jak Fiona uśmiecha się z wyższością. — Chodzi mi o to, że przecież nie mogą teraz opowiadać wszystkim dookoła, że Lizzie ma coś w rodzaju załamania nerwowego, prawda?

— Zrobiliby to, jeśli chodziłoby o mnie! — prychnęła Fiona. — Nikt nie miałby w związku z tym żadnych skrupułów!

— Naprawdę tak uważasz? — spytała Ginny, na co Fiona przewróciła tylko oczami. — Nie zrobiliby tego — oświadczyła Ginny. — Wiem, że nie. Oczywiście, że nie.

— Żartujesz? Skąd ci w ogóle przemknęło przez głowę, że znieśliby to u mnie? Myślisz, że pozwoliliby mi zwinąć się w kłębek i ukryć w ciemnościach? Nie! Dobrze wiesz, do cholery, że nie!

— Fiono! — zawołała ciotka Arlene, wchodząc do kuchni i wnosząc stos talerzy. Za nią podążała Susan.

— Szczęśliwego Święta Dziękczynienia! — Przywitała ją Susan, przysuwając na chwilę policzek do jej policzka. Wzięła półmiski od ciotki

Arlene i zaczęła wkładać je do zmywarki. Nakryły stół do połowy, nim zdały sobie sprawę, że porcelana jest zakurzona.

Jack wpadł do kuchni w poszukiwaniu zapałek.

— Teraz tacie ciągle przygasa ogień — wyjaśnił, otwierając szuflady i macając wśród rękawic do przytrzymywania rondli i ścierek do wycierania naczyń.

— Jack! — powiedziała do niego matka. — Przywitaj się z Fioną.

— Wybacz, dziewczyno. — Przytulił ją. Zawsze był taki skupiony, gdy spełniał jakąś misję dla swojego ojca. Tak bardzo niepokoił się, że mógłby zawieść. Matka wręczyła mu pudełko zapałek. — Tato chce rozpaść ogień, nim wróci Rudy — oświadczył, wychodząc z kuchni.

— Wróci? — wymknęło się Fionie. Uśmiechnęła się szeroko. — Dlaczego? Dokąd pojechał?

— Ma przywieźć te bliźniaczki Buelmann. — Ciotka Arlene jeszcze raz wyjaśniła, że były to uczennice Elizabeth, których dziadek kilka dni temu wyszedł ze szpitala i był jeszcze zbyt słaby, by gotować.

Wypełniali luki. Umacniali barykady przeciwko chaosowi i destrukcji. Litania drobiazgów uspokajała jak modlitwa, a każde powtórzenie było potwierdzeniem ich dobroci i głębokiej więzi. Gdy Fiona zrobiła coś szczególnie katastrofalnego, dla przeciwwagi ich dobroć sięgała szczytów. Podobnie było teraz z tą „Kantyczką o Bliźniaczkach Buelmann”. Elizabeth bierze udział w śródmiejskim biegu na dziesięć kilometrów, by zebrać pieniądze na Hospicjum w Dearborn. Ciotka Arlene zamierza szyć trzy kołdry miesięcznie dla dzieci z wirusem **HIV**. Jack gotuje w Kuchni Dobroczynej w Collerton w każdy środowy wieczór. A w swoich sercach tak naprawdę błagali ją: *Bądź jak my. Nie trać wciąż życia na kłopoty. Bądź dobra. Pomagaj ludziom.*

Tak, ich wielka pomoc, która pozwoliła Patrickowi spędzić samotnie Święto Dziękczynienia. Mimo wszystkich aktów miłosierdzia rodziny Hollisów, biedny, zgorzkniały ojciec Fiony był ostatnią osobą, jaką chcieli dziś widzieć przy swoim stole. Zawsze bezpieczniej było pomagać nieznanym. Pomyślała o Patricku, popalającym i przez cały dzień oglądającym telewizję w tym zimnym, ponurym domu. Powinna była z nim porozmawiać, gdy zadzwonił, zamiast uciekać tutaj, do tych ludzi, którzy nie byli jej tak bliscy jak on.

— Pomyśleć tylko, taki samotny i chory w Święto Dziękczynienia. Biedny staruszek — westchnęła ciotka.

— Rudy upewni się, że wszystko u niego w porządku. Sprawdzi, czy niczego nie potrzebuje — odezwała się Ginny.

— Cóż, przynajmniej ten biedaczek zje gorącego indyka na obiad. Rudy przywiezie mu go później, kiedy podrzuci bliźniaczki — powiedziała Susan z dramatycznym szelstem długiej, kraciastej spódnicy z tafty, ruszając z powrotem do jadalni.

— A ja pomyślałam, że naszykuję potem talerz dla Patricka. Jeżeli to nie problem — wtrąciła wtedy Fiona.

— Hm — odezwała się ciotka w sekundę później. — No dobrze. — Zamilkła, wyglądając nagle na podenerwowaną. — Mam tylko nadzieję, że Rudy pamięta, by mu powiedzieć o tym indyku.

— Och, na pewno — zapewniła ją Ginny od kuchni, gdzie pośpiesznie mieszała sos pieczeniowy.

— Chciałabym. — Ciotka Arlene westchnęła. — Jak na takiego inteligentnego człowieka, zdumiewa mnie swoim roztargnieniem. Zajrzyjcie do szafy w przedpokoju. Te wszystkie marynarki i swetry, które ciągle zostawia.

— A może one należą do George'a — odezwała się Fiona.

— Do George'a? Nie, nie sądzę — odparła ciotka Arlene.

— No tak, rzeczywiście. To Lizzie zazwyczaj chodzi do George'a, a Rudy przychodzi tutaj. Zupełnie mi się pomieszało.

Obydwie się obróciły. Ciotka Arlene wyglądała na zmieszaną. Ginny zacerpnęła głęboko powietrza i potrząsnęła głową.

— Może poszłabyś na górę i sprawdziła, czy uda ci się namówić Elizabeth, by do nas zeszła — zaproponowała ciotka, a Fiona wypadła zaraz z kuchni. — Ale nie mów nic o bliźniaczkach. To ma być niespodzianka! — zawołała za nią.

Elizabeth siedziała w nogach łóżka, wycierając włosy ręcznikiem. W lustrze odbił się jej mizerny uśmiech, gdy zobaczyła Fionę zerkającą przez otwarte drzwi. Fiona weszła i usiadła obok niej. Popatrzyły na siebie w lustrze.

— Staram się — westchnęła Elizabeth, gdy Fiona spytała, czy czuje się choć trochę lepiej.

— No, to dobrze. — Fiona zdecydowała, że nie będzie przeproszać za to, co powiedziała w niedzielny wieczór. W ciszy ich spojrzenia spotkały się i Fiona nie mogła powstrzymać uśmiechu. — A ty ciągle je gładzisz — powiedziała, gdy Elizabeth czesała swoje mokre włosy. Układała je tak samo przez całe życie — proste, sięgające podbródka, przedzielone pośrodku i z grzywką.

— Tylko w ten sposób wyglądają jako tako — odparła Elizabeth.

— Skąd wiesz? Nigdy nie spróbowałaś niczego innego. Proszę — rzekła, biorąc grzebień. — Pozwól mi spróbować. — Przeciągnęła grzebieniem po różowej skórce Elizabeth, robiąc z boku przedziałek. Zaczesała włosy za uszy, a potem ugniotła boki w głębokie fale. — No proszę. Jak wyrefinowanie... — Teraz Elizabeth wyglądała bardziej jak osoba w jej wieku, mniej — jak dziecko. Spostrzegła, że Elizabeth ma zamknięte oczy. — Płaczesz? — spytała łagodnie.

Elizabeth nabrała głęboko powietrza i potrząsnęła głową.

— Staram się nie płakać — wyszeptała.

— Dlaczego? — domagała się rozzłoszczona Fiona. — Bo to zrobiłam? Bo zmieniałam twoją fryzurę?

— Muszę tylko przez minutę pobyć sama, to wszystko — oświadczyła, przeczesując palcami włosy, aż znów stały się proste.

Fiona skoczyła na równe nogi i ruszyła do drzwi.

— Nic mi nie będzie — wyszeptała Elizabeth cichym, zdławionym głosem.

Fiona obróciła się i cofnęła do niej.

— Zejdiesz w końcu na dół, prawda? — odezwała się, stając nad Elizabeth.

— Bardzo tego nie chcę — powiedziała Elizabeth ze spuszczoną głową. — Bardzo.

— Ale musisz! — odparła. — Rozumiesz to, tak?

Elizabeth podniosła na nią wzrok.

— Tak? — powtórzyła Fiona, a Elizabeth skinęła głową. Jej oczy wyglądały jak martwe jeziora wypełnione nieszczęściem. Fiona chwyciła ją za ramię i potrząsnęła nią. — Lizzie! Musisz z tym skończyć. Nie możesz tego dłużej robić. Wszyscy tam stąpają jak po rozpalonych węglach. Twoja matka jest wrakiem człowieka, a twój ojciec podobnie. Czujesz ten dym? On o mało nie spalił domu!

— Naprawdę? — Elizabeth usiłowała zdobyć się na uśmiech.

— Tak! I z Georgem też jest źle.

— Nie ma go tu, prawda? — wykrztusiła, trzymając się ręką za serce.

— Nie! On uważa jednak, że to wszystko jego wina. — Przerwała, czekając na choćby najmniejszą zmianę w jej tępych spojrzeniu. — Ale tak nie jest, prawda? Obydwie wiemy, że to nieprawda, tak, Lizzie?

Elizabeth wstała.

— Ubiorę się teraz. A potem zejdę na dół. Obiecuję.

— Nawet nie zamierzasz o tym rozmawiać! Czy to nie samolubne? Czekasz, żeby inni się tym za ciebie zajęli, co? I tak naprawdę nie obchodzi cię, kto w międzyczasie zostanie zraniony, nie? Nawet jeśli to będą ja, prawda, Lizzie? Albo może szczególnie, jeśli to jestem ja. Dlaczego? Bo na to zasługuję? Bo sama to sprowadziłam na moją beznadziejną, nieważną osobę. Czy tak właśnie myślisz? A co zrobiłaś? Napisałaś tę szlachetną mówkę dla George'a, żeby mógł się mnie pozbyć? Żeby przestała się za nim uganiać? Żeby zostawiła go w spokoju i przestała się do niego bez przerwy przystawiać? No, a czy on ci powiedział, jak to naprawdę było? Powiedział ci, jak nas obie ustawił? Powiedział ci, jak mnie wykorzystał, żeby odzyskać ciebie? — wyszeptwała, pochylając się do niej, zdumiona, że jedyną reakcją Elizabeth było zamknięcie oczu. — Ale to cię tak naprawdę nie obchodzi, prawda?

— Obchodzi mnie. Nienawidzę go za to. Za to, co zrobił tobie i mnie. I powiedziałam mu to. Nie chcę go więcej widzieć. Nigdy!

— Ale Lizzie! — Fiona nie mogła wydostać się z narożnika, do której sama się zagnała. — Lizzie, to teraz powiedz mi, powiedz prawdę. Czy kochasz Rudy'ego? Czy naprawdę go kochasz? — Czekwała z zaciśniętymi dłońmi, a Elizabeth nie odwróciła spojrzenia. Było oczywiste, że nie. — Przecież wiesz. Mnie możesz powiedzieć. — Pochyliła się do niej i ścisnęła dłoń swojej kochanej kuzynki. — Nie kochasz go, prawda?

— Nieprawda! — Elizabeth uniosła podbródek. — Kocham. Oczywiście, że kocham.

Gdy Elizabeth zeszła w końcu na dół, miała na sobie workowate spodnie i bezkształtny, czarny sweter. Rudy nadjechał właśnie z bliźniaczkami.

— Panna Hollis! — krzyknęły obie dziewczynki, ruszając ku niej biegiem.

— Margaret! Lucille! — odezwała się Elizabeth, klękając, by je uściskać. Powiedziała im, jak zaskoczona i szczęśliwa jest, że je widzi.

— Czy już pani lepiej? Wszyscy tak za panią tęsknią! A Lucy to powiedziała pani Matley, że nie wrócimy do szkoły, dopóki pani nie przyjdzie — oznajmiła Margaret buntowniczym tonem. Wyższa z bliźniaczek była też bardziej śmiała.

— Och, ale nie powinnyście tego robić, dziewczynki! — Ciotka Arlene śmiała się, ściągając im kurtki. Fiona poznała po bacznym spojrzeniu, jakim ciotka obrzuciła pobrudzone rękawy, że obie kurtki zostaną uprane i wysuszone, nim dziewczynki opuszczą ten dom.

— Ale ultimatum! — odezwał się wujek Charles, uśmiechając się i poklepując je po głowach. — No, Lucy, to ja myślę, że będziemy musieli dziś bardzo się postarać, żeby panna Hollis była znów zdrowa i gotowa do pójścia do szkoły.

— A na początek Maggie i Lucy mogłyby wziąć po tylenolu i za to obiecałem im obu sok — mówił Rudy do ciotki Arlene. W samochodzie jedna z nich narzekała na ból ucha, a druga — na drapanie w gardle. — Och! Dzięki — powiedział, po raz pierwszy zwracając uwagę na Fionę, która wręczyła mu buteleczkę z tylenolem.

— Och! Proszę bardzo — odparła, naśladowując pełen zaskoczenia ton jego głosu. Odwrócił wzrok.

Bliźniaczki wysunęły zaraz dolną szufladę kredensu i powyciągały książeczki do kolorowania i kredki. Rudy przełamał tabletkę na pół. Elizabeth napełniła dwie szklanki sokiem z żurawin, a potem z rozbawieniem obserwowwała, jak Rudy usiłuje przekonać dziewczynki, by połknęły połówki pigułek. Chichocząc, pobiegły do zlewu, by je wypluć. Elizabeth przełamała drugą tabletkę, którą rozkruszyła na łyżeczkach i zmieszała z cukrem i sokiem. Tę miksturę dziewczynki przełknęły bez oporów.

— Najwyraźniej ja nie jestem tu już potrzebny — oświadczył Rudy, wychodząc z kuchni.

Bliźniaczki chciały potem do łazienki. Fiona zaproponowała, że je zaprowadzi, lecz pobiegły same, mówiąc, że wiedzą już, gdzie iść. Wychodząc do holu, Elizabeth powiedziała, że zamierza zobaczyć, jak ojciec radzi sobie z ogniem. W chwilę później zaskrzypiały jednak tylne schody. Elizabeth uciekała na palcach do swojego pokoju.

A bliźniaczki wpadły do kuchni z talią kart i chińskimi warcabami wyciągniętymi z szafy w małym pokoju. Ich swobodna poufałość irytowała Fionę. Ciotka Arlene płukała liście sałaty i wrzucała je do suszarki.

Jack podwinął rękawy i usiadł przy stole, by zagrać z dziewczynkami w karty.

— Idź na ryby! — powiedział, gdy Maggie zażądała królowej.

— A na co? — zachichotała Maggie z ręką zastygłą nad kartami. — Na pstragi czy na okonie?

— Ona nie może. Ją nie wezmą, bo nie ma robaków! — krzyknęła Lucy, a Jack wybuchnął śmiechem.

— Jej — poprawiła Fiona, stojąc przy kuchni, gdzie tłukła ziemniaki.

— Co powiedziała ta pani? — spytała Jacka Lucy.

— Jej — powtórzyła Fiona. — Żle to powiedziałaś. Powinno być: "*Jej* nie wezmą, bo nie ma robaków."

Przez chwilę słyhać było tylko uderzenia noża o szklaną tackę, gdy ciotka Arlene kroića ogórki w plasterki.

— Ta pani żartowała — poinformowała siostrę Maggie i rzuciła Fionie piorunujące spojrzenie. — taki sobie żarcik. — Maggie odwróciła się znów do Jacka i spytała: — Ty widzisz w tym problem?

— Co? — odezwała się Fiona, usiłując się nie roześmiać. — Czekaj no chwilkę!

— Tak, kochanie — przytaknęła ciotka Arlene, zbliżając się pośpiesznie do stołu. Położyła obie dłonie na ramionach posepnych bliźniaczek i nachyliła się do nich. — Widzisz, Fiona próbowała ci tylko powiedzieć, jak to się poprawnie mówi. I wiesz co? Kiedy Fiona była mała, my też tak robiliśmy — ciągnęła, starając się wytłumaczyć, jak istotna jest dobra znajomość gramatyki.

Odsuwając karty na kupkę, Maggie oznajmiła wtedy, że już nie chce grać. Lucy poszła za przykładem siostry.

— No, a co ze mną? — zawołał Jack, udając, że je goni, gdy wybiegły w poszukiwaniu Elizabeth.

— To je tak oburzyło? — spytała Fiona.

Ciotka pokręciła głową i westchnęła.

— Są jak dwa małe krasnoludki z lasu. Całkowicie oddane jedna drugiej. Lucy jest delikatniejsza. A Maggie, cóż, jak widzisz, jest trochę porywczą.

— Jest niegrzeczna, tyle o niej powiem. — Fiona przykryła garnek pokrywką.

Ciotka Arlene roześmiała się.

— Właściwie to bardzo przypomina mi ciebie.

— Ja nie byłam taka niegrzeczna! — Obróciła się gwałtownie. — Chyba tego nie powiesz?

— Byłaś bardzo śmiałym dzieckiem. — Ciotka uśmiechnęła się. — Ale nie, rzeczywiście, nigdy nie byłaś niegrzeczna.

Z małego pokoju dobiegły ich okrzyki radości. Wujek Charles, Rudy, Ginny i Susan oglądali mecz futbolowy. W holu rozległ się pisk, a potem tupot stóp, gdy bliźniaczki biegły na górę, wołając: — Panno Hollis! Panno Hollis, Rudy chce, żeby pani zesza!

Fiona otworzyła drzwi i wyjrzała do holu, lecz Rudy'ego tam nie było. Do tej pory nie przebywali razem w jednym pomieszczeniu przez więcej niż kilka sekund. Wyglądało na to, że nie tylko czuje się nieswojo wej

towarzystwie, ale stał się też tak wyciszony, że przy jego ostatnim szybkim wejściu do kuchni ciotka przyłożyła mu dłoń do czoła, by sprawdzić, czy nie ma gorączki. Był czerwony na twarzy. Miał jaskrawoczerwone policzki. Ciotka powiedziała, że jest pewna, że coś go bierze. Zapewniła, że nie, że jest tylko zmęczony. Wciąż unikał wzroku Fiony.

Teraz, gdy ziemniaki zostały utłuczone, nie było już na co czekać. Czyż nie? Fiona otworzyła piecyk. Zaczęła wyciągać brytfannę z indykiem, lecz ciotka nalegała, by zaczekać. Brytfanna była za ciężka, by mogła ją sama podnieść. Właściwie powinny jeszcze spełnić, jak powiedziała ciotka Arlene, odchrząkując i wkręcając korkociąg, toast kucharek. Fiona odpowiedziała więc, że zawoła Susan i Ginny, które brały udział w większości przygotowań.

— Nie, kochanie, chciałabym, żebyśmy to były tylko my dwie — oświadczyła ciotka. Wręczyła Fionie kieliszek i podniosła swój.

— Za następne wspaniałe Święto Dziękczynienia. dzięki ci, ciociu Arlene. — Fiona wzniosła kieliszek. — I za następnego doskonałego indyka! — Tak mówiła tradycja: kucharz i jego pomocnicy zaczynali świętować pierwsi.

— I za ciebie, moja kochana Fiono — rzekła ciotka, dotykając swoim kieliszkiem kieliszka Fiony. — Kocham cię. — Uśmiechnęła się i poklepała ją po policzku. — Nigdy za często tego powtarzać, prawda? Równie ważne jest mówić to i słyszeć od innych...

— Ciociu Arlene! — Fiona zaniepokoiła się, widząc, jak oczy ciotki wypełniają się łzami. — Co się dzieje?

— Nic. Nic się nie dzieje — zapewniła ją ciotka. — Tylko tak bardzo przypominasz mi twoją matkę. Tamtej nocy, po tym, jak zobaczyłam jej medalion, nie mogłam spać. Wciąż myślałam o niej i przypominałam sobie, jak bliskie sobie byłyśmy. A potem wstałam i zesłam na dół. Elizabeth mnie usłyszała. Myślała, że martwię się z jej powodu. Powiedziałam jej, że chodzi o moją siostrę — że tak bardzo tęsknię za moją siostrą. I wiesz, co ona na to? Powiedziała: „Ależ mamo, dzięki Bogu, mamy Fionę.” To prawda. I chyba właściwie nigdy nie myślałam o tym w ten właśnie sposób, lecz naprawdę tak się cieszę, że mam ciebie — wyszeptwała, a potem znów ją uścisnęła, tym razem z rozpaczliwą gwałtownością. — Tak! Tak się cieszę, tak bardzo, bardzo się cieszę...

Fiona zamknęła oczy.

— Dziękuję — wyszeptwała.

Ciotka odsunęła się, by się jej przypatrzeć.

— Mam nadzieję, że wiesz, ile dla nas znaczysz.

Fiona pokiwała głową i zmusiła się do uśmiechu.

— Mam na myśli nas wszystkich — twoich kuzynów, mnie, twojego wujka. Szczególnie twojego wujka, Fiono. Wiem, że może nie zawsze to okazuje, lecz kocha cię z całego serca. Z całego serca, Fiono. — Głośniej się załamał i musiała głęboko odetchnąć. — Zajmujesz bardzo szczególne miejsce w jego sercu. Wiesz o tym, prawda?

— Tak — odparła Fiona, gdy podniosły swoje kieliszki i zaczęły popijać wino. Wiedziała o tym i wiedziała również, po tych wszystkich próbach dopasowania się do niego, jak ciasne było to miejsce. Lecz dzisiaj jej ciotka zastrzegła tylko na szczęście albo przynajmniej na jego pozory.

Parę minut później Rudy wpadł do kuchni i zatrzymał się zaskoczony na widok Fiony.

— Rudy! Człowiek, którego właśnie potrzebuję — odezwała się ciotka, otwierając drzwiczki piecyka. Spytała, czy wyjmie dla niej indyka. — Daj mu rękawice — powiedziała do Fiony.

— Rękawice — powtórzyła Fiona, rzucając mu je do ręki, jakby byli na sali operacyjnej.

Usiłowała napotkać jego wzrok, gdy dźwigał indyka, by postawić go na blacie. Chciała dotknąć maleńkiego skaleczenia na jego brodzie, gdzie zaciął się przy goleniu. Kiedy się obrócił, uśmiechnęła się, lecz on odwrócił wzrok. Gdy ciotka zdejmowała parującą aluminiową folię, oznamił, że to najtłustszy ptak, jakiego kiedykolwiek widział.

— Uhm, wielki, prawda? — oświadczyła Fiona, opierając się o Rudy'ego, by obejrzeć indyka.

— Fiono, podaj mi, proszę, ten garnuszek — odezwała się ciotka, wskazując do tyłu na kuchnię. — A ty, Rudy, czy zechciałbyś powiedzieć Elizabeth, że zaczniemy jeść za mniej więcej dwadzieścia minut?

— Właśnie w tej sprawie tu przyszedłem — odparł. — Ona chce zostać w swoim pokoju. Mówi, że czuje się słabo. Kręci jej się w głowie czy coś w tym rodzaju — dodał ze znużeniem.

— To śmieszne! — oświadczyła Fiona, widząc strapiony wyraz twarzy ciotki. — Zaraz ją przyprowadzę — obiecała, równie ośmielona winem, co uczuciem, które wysączało się jak ciepły olej z każdego jej poru. Kochała swoją ciotkę i swoich kuzynów, kochała ich wszystkich, lecz najbardziej kochała Rudy'ego. Ta myśl napełniła ją gwałtownym pożądaniem tego słodkiego, niezgrabnego, niezdarnego mężczyzny, który wysypywał teraz śmieci. Ciotka poprosiła go o to, gdy zapytał, w czym mógłby jeszcze pomóc.

— Sprowadźcie ją tylko na dół, ty i Fiona, proszę — odezwała się ciotka z głębokim westchnieniem.

Fiona podążyła za nim po schodach. Powinien już się ostrzyć. Końce włosów zwijały mu się nad kołnierzykiem. Na plecach jego cienkiego, zielonego swetra widziała też dziurki wygrzyzione przez mole. Na najwyższym stopniu chwyciła go za rękę i wciągnęła go za róg, do łazienki. Zamknęła drzwi na zamek i zarzuciła mu ramiona na szyję. Kiedy już miała go pocałować, odwrócił głowę.

— Rudy! — zaprotestowała, gdy sięgnął do tyłu, by odsunąć jej dłonie. — Rudy — wyszeptała. Przyłożyła twarz do jego piersi. Czowała, jak wali mu serce. Zamknęła oczy i objęła go w pasie. — Tak ładnie pachniesz. — Potarła jego twarde, chude plecy.

— Nie, proszę — odezwał się, stojąc sztywno przed nią.

— Co nie? — Podniosła twarz, by dotknąć ustami jego ust.

— Nie! — Ominął ją i otworzył drzwi, a potem odwrócił się do niej. — Czy o to chodzi? Czy tylko w ten sposób coś czujesz? Tak? Tak, Fiona? — domagał się odpowiedzi z zaskakującą goryczą.

Kiwając głową, zmusiła się do uśmiechu. — Myślę, że nie uda mi się pana oszukać, prawda, doktorze Freud?

Ciotka Arlene posadziła jedną z bliźniaczek na lewo od Elizabeth, a drugą — dokładnie naprzeciwko. Rudy siedział na prawo od Elizabeth, a Fiona — obok niego. Szczęśliwe, że w końcu znalazły się obok ukochanej nauczycielki, bliźniaczki opowiadały jej wszystko, co się wydarzyło, odkąd ostatni raz była w szkole. Jack wstał, by wznieść toast. Jego piskliwy jak dźwięk piły tarczowej głos działał Fionie na nerwy.

Rudy odwrócił się do niej plecami, gdy pochylił się, słuchając Jacka. Bardziej zraniona niż zła pomyślała, że on znalazł w końcu rodzinę. To, że Elizabeth naprawdę go nie kochała, nie było ważne, jeśli kochali go wszyscy inni.

Jack mówił, że tyle jest spraw, za które należy dziękować: Zasłużona nominacja jego ojca na sędziego Sądu Powszechnego. Zaręczyny Elizabeth i Rudy'ego. Dziecko Ginny...

— A Billy'emu Leitenerowi wycięli wyrostek! — powiedziała nagle Lucy do Elizabeth, która uśmiechnęła się słabo i poklepała dziecko po ręce.

— I teraz nie może zobaczyć szopki! — dodała Maggie, pochylając się do niej.

— Pst — szepnęła Elizabeth z palcem przy ustach.

— I jesteśmy też wdzięczni, że możemy dzielić ten wspaniały dzień z Maggie i Lucy, naszymi bardzo specjalnymi gośćmi — ciągnął Jack, mrugając do nich. Podziękował matce za następne godne zapamiętania święta i za wszystko, co zrobiła dla każdego przez ten cały rok. Podziękował też oczywiście ojcu, którego miłość i oddanie rodzinie było najwspanialszym darem i inspiracją dla nich wszystkich.

— Słuchaj! Słuchaj! — odezwała się Fiona, wznosząc kieliszek w stronę swojego wujka. Czuła się źle. Nieważne, jak bardzo Jack się starał, to, co mówił, nigdy nie wywoływało żadnego wrażenia, bo zawsze był taki sztywny i oficjalny. Współczuła bliźniaczkom, które wierciły się na swoich krzesłach.

— A teraz, na koniec — ciągnął Jack — chciałbym wykorzystać tę okazję, nie tylko, by podziękować mojej pięknej żonie, Susan, za całe to szczęście, które mi daje, lecz także podzielić się...

— A mogę dostać bułkę? — spytała Lucy Elizabeth, która wpatrywała się w brata w skupieniu.

— Proszę — wyszeptała Fiona, rzucając bułkę na talerz rozbawionego dziecka.

— ...pewną cudowną nowiną...

— Czy ja też dostanę? — syknęła Maggie.

— ...z wami wszystkimi.

— Pewnie! — odezwała się Fiona i biorąc następną bułkę ze srebrnego koszyka, poczuła, jak ciotka delikatnie dotyka jej nadgarstka.

— Poczekaj, kochanie — wyszeptała ciotka Arlene, a wujek zmierzył Fionę pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

— Będziemy mieli dziecko. Susan jest w ciąży! Dowiedzieliśmy się wczoraj!

Wydostali się ze swoich miejsc, by ucałować Susan i uściskać Jacka. Susan nie mogła powstrzymać uśmiechu. Po policzkach ciotki Arlene płynęły łzy. Ginny spytała, co Susan zrobiła, gdy się dowiedziała. Susan przyznała, że pojechała prosto do centrum handlowego i kupiła sobie strój ciążowy.

— Wiedziałam! — wykrzyknęła ze śmiechem Ginny. — Wyobraź sobie tylko, jeśli to będzie dziewczynka — powiedziała do Elizabeth. — Możesz sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała garderoba tego dziecka?

— O tak — odparła Elizabeth z bladym uśmiechem.

W połowie obiadu Elizabeth siedziała oklapła na krześle z na wpół przymkniętymi oczami. Wesołość zbierała swoje żniwo. Bliźniaczki kompletnie wyczerpały jej niewielki zasób energii. Nie tylko rywalizowały

o jej uwagę między sobą, lecz także z całą rodziną. Rudy spytał, czy może jej coś podać. Pokręciła głową. Nie tknęła swojego obiadu. Rozmowa powróciła do tematu dzieci i wujek Charles wydał oświadczenie w sprawie tego, co nazwał „Zadaniem dziadka”. Pierwsze wycieczki do Disney Worldu dzieci odbędą z nim i ciotką Arlene.

— To nie w porządku! — wykrzyknęli Ginny i Jack, choć obydwoje uśmiechali się szeroko do niego, szczególnie zaś Jack, któremu udało się w końcu zadowolić ojca bez żadnej pomocy ze strony kogokolwiek, oprócz Susan oczywiście. A Fiona pomyślała, że wszyscy tu są popieprzeni i nawet o tym nie wiedzą.

Spytała Rudy'ego, czy był kiedyś w Disney Worldzie. Nie był.

— Biedactwo, więc ty też mógłbyś pojechać — oświadczyła, sięgając ręką pod stołem, by poklepać go po nodze. Położyła dłoń płasko na jego udzie. Przesunął nogę, lecz ona nie zabrała ręki. Uśmiechnęła się do niego szeroko. Czuła na sobie wzrok Ginny.

— Cóż, może pojechalibyście tam na wasz miesiąc miodowy? — zaproponowała Ginny, przenosząc wzrok z Elizabeth na Rudy'ego.

— Powinniście — zgodziła się Susan. — To zdumiewające, ile par tam jeździ.

Elizabeth kiwnęła nieznacznie głową.

— Wiem — odparł Rudy. Sięgnął ręką pod stół i odsunął rękę Fiony. Położyła ją z powrotem.

— Ale Lizzie już tam była — oznajmiła, opierając się o niego, by popatrzeć na kuzynkę. — Powinniście jechać gdzieś, gdzie nigdy nie byliście. W jakieś nieznanne i egzotyczne miejsce. I romantyczne. Już widzę, jak wy dwoje, ubrani w skąpe kostiumy kąpielowe, leżycie w swoich ramionach na gorącym piasku wyludnionej plaży na jakiejś tropikalnej wyspie. — Popatrzyła na Rudy'ego i zacisnęła palce na jego nodze. — Pewnie nigdy byście już nie wrócili, prawda? Przecież tu jest tak zimno i tak nieprzyjaźnie.

Wbijał wzrok w swój talerz, kiwając głową. W końcu popatrzył na nią ze zbolałym uśmiechem.

Ginny spytała, czy siostra pamięta ich ostatnią wycieczkę do Disney Worldu. Elizabeth siedziała bardzo cicho, z nieznacznie pochyloną głową, jakby chciała sobie przypomnieć jakieś szczegóły. Milczenie zapadło na wystarczająco długo, by przyciągnąć pełną zakłopotania uwagę wszystkich obecnych.

— Elizabeth? — odezwał się w końcu wujek Charles. — Wszystko w porządku?

Przytaknęła z zamkniętymi oczami. Głowę miała nadal pochyloną. Rudy położył rękę na oparciu jej krzesła i spytał, czy chce iść na górę.

— Nie — odpowiedziała cicho, a bliźniaczki przyglądały jej się z rosnącą troską.

Ginny zaproponowała, by Elizabeth przeszła do małego pokoju i odpoczęła trochę na sofie.

— Czy pani jest ciągle chora, panno Hollis? — spytała Maggie.

— Czuję się świetnie — odparła Elizabeth słabym głosem.

— Boli panią głowa? — dociekała Lucy.

Elizabeth potrząsnęła głową, nie będąc w stanie odpowiedzieć.

— Myślę, że panna Hollis jest zmęczona — odpowiedział za nią wujek Charles, krojąc z wielką energią resztę indyka na talerzu Lucy, choć dziewczynka oświadczyła, że skończyła już jeść. — To ciężka praca być nauczycielką. Przecież wiecie.

— Czy panna Hollis jest waszą ulubioną nauczycielką? — spytała dziewczynki Susan.

— Tak! — wykrzyknęła Lucy.

— Bo jest najładniejsza w całej szkole — oznajmiła Maggie.

— I najmilsza też! — dodała Lucy.

— Oczywiście, że tak — zgodziła się ciotka Arlene, z bojaźliwym spojrzeniem utkwionym w Elizabeth.

— Przepraszam — wykrztusiła Elizabeth, ukrywając twarz w serwetce.

— Elizabeth? — Ciotka Arlene zaczęła wstawać od stołu.

Elizabeth podniosła głowę, trzymając przy brodzie zwiniętą serwetkę. — Rujnuję wszystkim to cudowne święto.

— Nie!

— Oczywiście, że nie!

— Maggie — odezwał się szybko wujek Charles. — Powiedz pannie Hollis, że wszyscy mieliśmy kiedyś złe dni, a teraz przyszedł jej kolej, i tyle.

— O tak, wszyscy mieliśmy... — zaczęła Maggie, a potem wymownie pokręciła głową i wszyscy się roześmieli.

Fiona przewróciła oczami i nalała sobie jeszcze jeden kieliszek wina. Rozglądała się wokół, popijając. Wszyscy zaczęli naraz rozmawiać, a ich zręczna pogawędka miała odwrócić uwagę od Elizabeth. Widzicie? To nie ma znaczenia, jeśli była trochę bardziej cicha czy przygnębiona. Mogli nadal świetnie się bawić. Ginny i ciotka Arlene dyskutowały o zaletach kasztanów w nadzieniu. Susan i Jack pytali Rudy'ego, co to jest znieczu-

lenie zewnątrzoponowe. Susan nie sądziła, by była przygotowana na poród naturalny.

Wujek Charles ze swojego końca stołu dopytywał się, co też uznaje się za poród naturalny? Bliźniaczki chichotały i szeptały do siebie. Fiona wyprostowała się na krześle i przycisnęła swoją nogę do nogi Rudy'ego. Wujek Charles spytał Rudy'ego o jego opinię na temat oddziały położniczego szpitala w Dearborn. Rudy odparł, że jest pod wielkim wrażeniem tego, co widział do tej pory.

Fiona przesunęła dłoń wyżej na jego udzie i była rozbawiona, widząc, jak nerwowo przełyka ślinę. Pochylił się teraz nad stołem, gdy wujek Charles mówił do Ginny, że nie rozumie, dlaczego wołała rodzic aż w Bostonie, zamiast na miejscu, w Dearborn Memorial.

— A jeśli to będzie pół do ósmej rano i utkniesz w korku dojeżdżających do pracy na Dziewięćdziesiątej Trzeciej, gotowa w każdej chwili urodzić? — spytał wujek Charles.

— Cóż, wtedy — powiedziała Ginny. — Myślę, że wtedy będę...

— Miała przekichane! — wybuchnęła Fiona, a jej śmiech rozbił się w niezręcznej ciszy jak kawałki szkła. Wczepiła palce w udo Rudy'ego.

— Upewnij się tylko, czy twój kierowca ma już na koncie kilka odebranych porodów — odezwał się Rudy. Usta miał zaciśnięte ze złości.

— A ty? Ty już masz jakieś? — spytała Ginny.

— O właśnie, czy jesteś równie dobry z medycyny ogólnej, co z ginekologii? — wymamrotała Fiona, znów przesuwając dłoń.

— Dzwon śmiało wtedy. — Pełne urazy spojrzenie Rudy'ego skupiło się na Ginny. — W dzień czy w nocy, a ja przyjadę.

— Uhm — westchnęła Fiona. Zaczynał być podniecony.

Wujek spytał, czy Rudy zna Archiego Heglunda, nowego członka zarządu szpitala.

Rudy odkaslnął.

— Czy mógłby pan powtórzyć, jak się nazywa? — spytał, mrugając oczami.

— Archie — powiedziała Fiona, starając się powstrzymać uśmiech, gdy pochylała się do niego. Dotknęła jego ramienia. — Archie Heglund — oznajmiła łagodnie. Jego bliskość sprawiała, że wszystko inne zdawało się małe i nieostre.

— Och, nie, proszę pana. Nie sądzę, bym go znał — odparł Rudy, nie zwracając na nią uwagi.

Jack zabrał szybko głos, by powiedzieć, że on zna Heglunda.

— Poznaliśmy go! — mówił do Susan, która przytaknęła. Tak — kilka razy udzielali się gdzieś razem towarzysko, choć nie mogła sobie przypomnieć, gdzie.

— Och wiem — odezwała się wtedy ciotka Arlene. — To ten, którego siostra wyszła za tego hinduskiego lekarza. On się nazywa Pradish. Albo Pranchis. Coś w tym rodzaju. Zapomniałam.

— Pradiz — powiedział wujek Charles zbolałym głosem ze swojego końca stołu. — Doktor Pradiz.

— Tak, Pradiz — ktoś przytaknęła.

— Pradiz — powtórzyła Fiona, rozbawiona ich poważną rozmową, która zdawała się teraz raptownie zamierać. Zapadła cisza. W holu rozległo się bicie zegara.

— Fiono, czy mogłabyś mi w czymś pomóc w kuchni przez minutkę? — spytała Ginny, podnosząc się niespodziewanie. Stała w progu, czekając na nią. — Co ty, na Boga, robisz? — wyszczała, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi.

Fiona odpowiedziała jej spojrzeniem, czując, że trochę kręci jej się w głowie.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz. — Oparła się o blat.

— Masz, i wszyscy inni też, ale staramy się zachowywać tak, jakby nic się nie działo.

— Skończyłaś?

— Fiono, nie rób tego. Proszę, nie rób tego własnej kuzynce. Mój Boże. Nie tutaj! Nie we własnej rodzinie! — ciągnęła Ginny, drżąc z odrazy.

— A pieprz się!

Odwróciła się, by odejść, lecz Ginny przytrzymała ją za rękę.

— Wiesz, dawniej ci współczułam. Myślałam, że w ten sposób chcesz po prostu zwrócić na siebie uwagę. Ale już nie. Bo jesteś podła, Fiono. Jesteś podła i samolubna. Nie obchodzi cię nikt oprócz samej siebie!

— Z drogi! — wyszczała w odpowiedzi.

— Nie, wysłuchasz mnie najpierw — powiedziała Ginny. Jej szeroka, męska twarz znalazła się tuż przy twarzy Fiony. — Elizabeth i tak jest już zagubiona. Nie niszczyj jej tego. Nie wykorzystuj jej, kiedy jest w takim stanie. I nie pij już więcej! — Z tymi słowami Ginny pchnęła drzwi i z uśmiechem przepuściła Fionę.

Fiona trzęsała się, gdy siadała za stołem. Nalała sobie więcej wina, popatrzyła na Ginny i napiła się. Ręka jej drżała, gdy odstawiała kieliszek. Nawet tego nie chciała. Bolała ją żołądek. Elizabeth uśmiechała się teraz,

gdy dziewczynki jedna przez drugą usiłowały opowiedzieć jej tę samą historię. Rudy mówił ciotce Arlene, jak się robi chińskie naleśniki. Każdy szczególnie zdawał się jeszcze bardziej ją oczarowywać, jej ciotkę, która nienawidziła chińskiego jedzenia, jej zębatą ciotkę o końskiej twarzy, tę wyrachowaną kobietę, dla której naprawdę ważna była tylko najbliższa rodzina, której troska była zawsze bardziej antidotum niż wyrazem uczuć. Patrzenie na nich wszystkich, takich zadowolonych z siebie i bezpiecznych wśród pozorów. Nie powinna była tu wracać. Powinna po prostu wstać i pojechać do Patricka, chociaż nawet z nim nie udało jej się nawiązać normalnej relacji. Lecz Patrick, chociaż tak pokrecony, przynajmniej troszczył się o nią, podczas gdy tutaj nikt nawet nie chciał, by była z nimi przy tym stole. Stała się obowiązkiem, i to przykrym. Nigdy nie cieszyło ich jej towarzystwo i nie obchodziło ich to, co myśli. Nic o niej nie wiedzieli, nie chcieli wiedzieć. Jednak ona wiedziała o nich wszystko. Milczenie paliło ją w gardle wśród ich narastającej wesołości. „Bądź dobra.” Tak błagała ją Lizzie w swoich karteczkach, które wsuwała jej pod drzwi, gdy były dziećmi. „Oni tylko tego chcą. Tylko żebyś była dobra.” Teraz Fiona była trzydziestoletnią kobietą. Trzydzieści lat, lecz przy ich stole nadal była dzieckiem. Ginny i Jack wybuchnęli śmiechem na coś, co powiedziała Susan. Fiona sięgnęła przez stół i wzięła rozpułniętą galaretkę żurawinową, balansując talerzem na dłoni. Symboliczna porcja, jaką nałożyła sobie ciotka, była nietkniętą plamką na jej talerzu. Nikt więcej nie chciał tej krwawoczerwonej, rzadkiej papki przygotowanej przez wstrętą dziwkę, która niczego nie potrafiła dobrze zrobić, a tym bardziej dopilnować, by galaretka się zsiadła. Zaproponowała półmisek Rudy’emu i spytała, czy chce trochę.

— Nie, dziękuję — odparł.

— Ja to zrobiłam — poinformowała, nim zdążył odwrócić wzrok. — Ona tylko tak źle wygląda.

— No, skoro tak mówisz — odparł, biorąc talerz — należy jej spróbować spróbować. — Nabrał łyżką trochę rzadkiej substancji i podał półmisek Elizabeth. — Fiona to zrobiła. — Spróbował. — Pyszne — oznajmił i zjadł resztę, podczas gdy Elizabeth nałożyła sobie trochę i podała niewielką porcję najpierw Maggie, która powiedziała, że nienawidzi zup, a potem Lucy, która skrzywiła się i zadrzała z obrzydzenia. Żałosna mikstura została następnie przekazana wujkowi Charlesowi, a potem na drugą stronę stołu, aż wszyscy mieli jej trochę na talerzu. Fiona powiodła po nich powolnym spojrzeniem, by każde wiedziało, że jest pod obserwacją. Wszyscy jedli.

— Bardzo dobre... świetnie doprawione... smaczne... uhm... — mamrotali, nie do niej czy do siebie nawzajem, lecz do siebie samych, cicho, niepewnie, bo tak sparaliżowani czuli się pod jej pełnym wyrzutem, uważnym spojrzeniem.

Gdy wujek skończył, podniósł głowę i napotkał jej wzrok.

— Cóż! — Poklepał się po brzuchu. — Dziękuję ci, Fiono, nie sądzę, żebym mógł jeszcze cokolwiek zmieścić — oświadczył ze słabym uśmiechem.

— A przecież jeszcze nie jedliśmy deseru — odezwała się Susan, a Jack jęknął.

— Pamiętajcie, że wszyscy będziecie musieli zabrać do domu resztki. — Ciotka Arlene zaczęła ustawiać w stos brudne półmiski, które jej po kolei podawali.

— I zawieziemy też smaczny obiad waszemu dziadziusiowi — obiecał wujek Charles bliźniaczkom, zabierając ich talerze.

— A ja naszykuję talerz dla Patricka — odezwała się Fiona pośród stukania porcelany. — Jest dzisiaj zupełnie sam. Pewnie niczego nie jadł.

Nikt się nie odezwał.

— Nie czuł się ostatnio zbyt dobrze. Właściwie, jest w bardzo złym stanie — powiedziała, świadoma tego, jak donośnie zabrzmiał w ciszy jej głos.

— Przykro mi to słyszeć — rzekł w końcu wujek.

— Naprawdę? — spytała, rozzłoszczona ich zakłopotaniem.

— Przestań, Fiono — zbeształ ją Jack, potrząsając głową.

— A co, Jack? Chcesz, żebym była cicho? Chcesz, żebym tu tylko siedziała i słuchała was wszystkich? Dlaczego? Dlaczego nie mogę mówić o tym, o czym chcę?

— Nikt nie powiedział, że nie możesz, Fiono — odparł wujek z błagalnym uśmiechem.

— Wiesz, nie musicie tego mówić! — rzekła i rozejrzała się dookoła, tak zraniona przez ich zimne spojrzenia, że przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

— Cóż! — odezwała się ciotka, spoglądając z troską po siedzących przy stole. — Wiem, że powtarzam to co roku, ale najbardziej wdzięczna jestem za to, że mimo naszych perypetii i trosk wciąż możemy być razem w ten cudowny dzień.

— To było piękne, mamo. Dziękuję ci — powiedziała Ginny, a inni powtórzyli za nią.

— Cóż, może dla was wszystkich jest to cudowny dzień — odezwała się Fiona, rozżłoszczona drżeniem własnego głosu, podczas gdy wewnątrz czuła się taka silna. Teraz Rudy przycisnął nogę do jej nogi i pozostawił ją tam. — Ale ja czuję się takjak one — powiedziała, wskazując gestem bliźniaczki. — Wiecie? takie porzucone dziecko! Są święta, więc bądźmy mili dla tych, którzy mają mniej szczęścia. Czyż nie jest to właśnie tak?

— Nie! — oświadczył wujek. Wszyscy zamarli na jego apodyktyczny ton i siedzieli prosto, jakby kij połknął, na swoich krzesłach. — To nie jest tak. To rodzina. Wszyscy przy tym stole. Każde z nas. A szczególnie ty.

Wszyscy na nią popatrzyli oprócz ciotki Arlene, która odłożyła nóż i widelec. Siedziała bardzo cicho, z dłońmi złożonymi na kolanach, z zamkniętymi oczami.

— Miło to słyszeć, wujku, ale powiem ci prawdę. Od dawna tego nie czuję.

— Fiono! — wykrztusiła Elizabeth.

Ginny potrząsnęła głową z odrazą.

Pod stołem Rudy poklepał ją po nodze.

— Ja tylko siedzę tu i słucham, jak wszyscy rozmawiają. Przecież wy wszyscy macie siebie nawzajem, a ja nie mogę powiedzieć nic o jedynej osobie, jedynym rodzicu, którego w końcu mam. I przez to czuję się tak, jakbym się nie liczyła. Jakby nikt nie chciał tego słuchać. — Powiodła wzrokiem od wujka przy jednym końcu stołu do siedzącej naprzeciwko niego ciotki. Żadne na nią nie spojrzało.

— Ale to nie ty, Fiono — odezwał się Jack, zaskakując ją. — To on, on jest trudną osobą.

— Wiem, ale życie tak się układa. Tylko dlatego, że jest trudny, nie przestanie być moim ojcem. Nie mam w tej sprawie wielkiego wyboru. I rzecz w tym, że to może z początku nie było łatwe, lecz usiłujemy stać się częścią swojego życia. I rani mnie to, że żadne z was tego nie akceptuje. Wiecie, o co mi chodzi? — Znów na nich popatrzyła.

— Cóż, dobrze to ujęłaś — przyznał Jack.

— W każdym razie to naprawdę wspaniałe. W końcu odnalazłam tę więź, wiecie, to, że czuję się tak naturalnie bliska komuś — oświadczyła, nienawidząc pustki brzmiącej w swoich słowach. Nie chciała ich o niczym przekonać, jedynie poinformować. — Właściwie prawie już namówiłam go, by sprzedał swoją ziemię, wierzcie lub nie. W końcu! — oznajmiła z cichym, lekkim, pełnym ulgi śmiechem, spoglądając na wujka, który nadal zaciskał dłonie na stole. — Po tych wszystkich latach.

I powiedziała mu, że powinien wybrać się na długą wycieczkę i zobaczyć świat. Czy macie pojęcie, że przez te wszystkie lata, odkąd wrócił — to znaczy, odkąd wrócił z Wietnamu — że nigdy nie wyjeżdżał z Dearborn. Biedny człowiek, nigdy nigdzie nie był. Nawet przez jeden dzień. Spędził prawie całe życie tutaj..

— Z własnego wyboru, Fiono — odezwał się wujek.

— Nie wiem. Czasem wydaje się, jakby był tu więźniem przez te wszystkie lata — oświadczyła, podnosząc głos.

— Niektórzy ludzie wolą nie odchodzić od domu — rzekł cicho Rudy, spoglądając na nią. — Nie chcą być nigdzie indziej. Interesuje ich tylko dom.

— Tak, o ile żyją w prawdziwym świecie! O ile nie używają domu po to, by się ukryć — powiedziała.

Elizabeth cała zadygotała. Łzy popłynęły jej po twarzy. Usiłowała zdobyć się na uśmiech ze względu na bliźniaczki, lecz tylko zadrżały jej usta. Ciotka Arlene i Ginny pospieszyły do niej. Rudy usiłował objąć ją ramieniem, lecz ona wykręciła się, łkając w przyciśnięte do twarzy dłonie. Wujek Charles pokręcił głową, patrząc wilkiem na Fionę.

— Och, na Boga, Lizzie! — wypaliła w końcu Fiona, tak zaplątana w swoje wyjaśnienia, że dobrą chwilę zabrało jej zrozumienie tego, co się dzieje. — Nie miałam na myśli ciebie! Proszę cię, przestań. Proszę cię, po prostu przestań. To takie żałosne! Jak długo możesz to ciągnąć? Dlaczego po prostu tego nie powiesz? Powiedz, o co ci chodzi! Powiedz im! Śmiało! Powiedz im, co naprawdę jest nie tak. — Zamilkła, świadoma utkwionego w sobie spojrzenia Rudy'ego. — Chcesz, żebym ja to zrobiła, Lizzie? — spytała łagodnie.

— Zostaw mnie w spokoju — jęknęła Elizabeth.

— Fiono — odezwał się błagalnie Rudy, potrząsając głową.

— Po prostu zostaw mnie w spokoju. Proszę, proszę, proszę — ciągnęła swoje jęki Elizabeth.

— To o ciebie jej chodzi, Rudy. Nie może nawet znieść twojego dotyku.

— Fiono! — zażądał wujek Charles. — Myślę, że lepiej będzie, jak już pójdziesz.

— Charlesie! — krzyknęła ciotka i wszyscy odwrócili wzrok.

Fiona rzuciła serwetkę i ruszyła w stronę kuchni. Grzebała w szafie ściennej w poszukiwaniu swojego płaszcza i torebki, gdy wszedł Rudy i poprosił ją, by nie wychodziła.

— Muszę — odpowiedziała przez ramię. Czuła, że ogarnia ją panika, lecz odczuwała także dziwne ożywienie. I siłę. Była silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

— Nie, oni są po prostu zdenerwowani. Ale nie chcą, żebyś szła. Obróciła się gwałtownie.

— Rudy! Jesteś taki sam jak oni. Ty patrzysz na to od złej strony. To, czego oni *nie chcą*, to być zdenerwowanymi. To, czego oni *naprawdę* chcą, to żebym poszła. Chodzi o spokój — tylko tego naprawdę chcą. Cóż, mogą sobie wszyscy iść do diabła!

— Proszę cię, Fiono. Teraz ty się uspokój. — Próbował objąć ją ramionami. — Musimy porozmawiać.

— Musieliśmy wcześniej, ale teraz już nie! — Wyrwała się z uśmiechem.

Położył dłonie na jej ramionach.

— Nadal musimy. Wiesz, że tak — wyszeptał.

Drzwi otworzyły się nagle. Do kuchni wszedł wujek Charles. Próbowała się cofnąć, lecz Rudy jej nie puszczał. Wujek skrzywił się ze wstrętem. Odwrócił się i wszedł z powrotem do jadalni.

— Proszę bardzo — wyszeptała, wciąż się uśmiechając. — Teraz mogą nienawidzić mnie z czystym sumieniem. — Usiłowała przepchnąć się koło niego do tylnych drzwi. — Puść mnie. Muszę już iść!

— Nie, Fiono, poczekaj!

Chwyciła go za rękę.

— Więc chodź ze mną!

— Nie mogę. Nie mogę tak od niej odejść, Fiono. Nie mogę tego zrobić.

— O tak! Bo jesteś taki jak oni. Spokój za każdą cenę, tylko to naprawdę cię obchodzi.

W domu Patricka paliły się światła. Gałęzie drzew wznosiły się w zimnym, ostrym wietrze. Plastikowa torba po zakupach miotła się po rozjeżdżonym trawniku przed domem. Wkrótce zrobi się ciemno. Z wąskiego komina wznosił się cienki słup dymu. Siedziała przez chwilę w samochodzie, nie wyłączając silnika, a potem zjechała na podjazd. W świątecznym toaście Jacka nie było żadnej wzmianki o niej, a jeśli powiedziałyby cokolwiek o tym, wszyscy by zaprzeczyli. Żadne z nich nie rozumiało. Zaparkowała samochód i zapukała do drzwi. We frontowym oknie poruszyła się zasłona. Patrick otworzył drzwi i wyszedł. Poszła za nim do salonu, gdzie usiadł z powrotem przed telewizorem. Oglądał mecz futbolowy.

W skłębionych poduszkach zostało wgłębienie po jego głowie. Pewnie leżał na otomanie przez wiele dni. Usiadła i spytała, czy coś jadł.

— A co cię to obchodzi?

— Moglibyśmy dokądś pojechać, zjeść coś.

Z popielniczki wysypywały się niedopałki papierosów i wypalone, poskręcane jointy. Jego odrapane buty leżały na stoliku do kawy w otoczeniu pustych puszek i butelek po piwie.

— Nie lubię, jak obcy dotykają mojego jedzenia. — Położył nagie stopy na stoliku.

— Więc coś ugotuję — powiedziała, czując się niepewnie, gdy jego nogi zablokowały jej przejście.

— Bo ty nie jesteś obca, tak? Więc kim, do diabła, jesteś?

— Pójdę sprawdzić, co masz. — Zaczęła się podnosić.

— Nie. — Chwytał ją za ramię. — Wiem, co mam. Nic. Tyle mam. Rozumiesz?

Usiadła z powrotem i patrzyła na jego brudną rękę, dopóki jej nie zabrał. Pod paznokciami miał brud. Włosy zwiślały mu w tłustych strąkach, a policzki miał czarne od zarostu. Tylko jego blizna połyskiwała, miękka i woskowo blada. Przód koszuli miał poplamiony.

— Przepraszam, że nie zadzwoniłam wczoraj wieczorem — zaczęła powoli, nie chcąc denerwować go jeszcze bardziej. — Zasnęłam, a potem rano musiałam od razu wyjechać. Chcieli, żebyśmy wcześniej przyjechała, wiesz, żeby pomóc i w ogóle. I zamierałam przywieźć ci obiad — mówiła, świadoma spojrzenia jego zimnych, zwężonych w szparki oczu. — Ale zrobiło się trochę nerwowo.

— Taa, i kogo to, kurwa, obchodzi! — odezwał się z dzikim kopnięciem, które wyrzuciło stół w eksplozji popiołu i puszek. Buty frunęły do góry, a butelki potoczyły się po podłodze.

Zerwała się na równe nogi.

— Lepiej będzie, jak pójdę.

— Nie! Proszę, zostań! — błagał, przyglądając się jej. — Tak mi przykro. Proszę. — Postawił z powrotem stół. — Proszę, zostań. To dlatego, że tak długo byłem sam. Jestem trochę nie w formie, ale wszystko będzie w porządku.

Usiadła.

— Już prawie do ciebie zadzwoniłem. Do nich. Wiesz, ile razy przejeżdżałem tamtędy? Może i sto. Jeździłem w kółko. Miałem tyle do powiedzenia, a teraz już nie pamiętam — ciągnął, pocierając oczy tak mocno, że słychać było dźwięk podobny do mlaskania, jakby gałki oczne wy-

chodziły mu spod powiek. — Moja głowa. Tyle mam tego gówna w głowie. To się zbiera, więc kiedy dzwonię, musisz podnosić słuchawkę. Nie mogę tego wszystkiego zatrzymać.

— Cóż, jestem tutaj, więc powiedz mi teraz.

Popatrzył na nią, kiwając głową.

— W tym rzecz. Nie mogę. Nie mogę ci nawet nic powiedzieć, więc ty myślisz jedno, a ja mówię coś innego, więc mi nie ufasz. To takie trudne. I nie mogę nic na to poradzić, bo są we mnie te... te uczucia. — Odwrócił szybko wzrok, wlepiając go przez chwilę w telewizor. — Gówno! Wszystko za bardzo się pomieszało i wiem, że muszę to wszystko wyprostować, żebyś zrozumiała, i próbuję. Naprawdę. Uwierz mi, naprawdę. Rzecz w tym, że cały czas czuję się schwytny w pułapkę. Muszę się stąd wydostać. Już nie mogę tego robić.

— Czego? — Nie śmiała się poruszyć. Widziała, słyszała i czuła jego ból. W końcu powie jej o sobie i o jej matce.

Zgarbił się i wbił wzrok w podłogę. Niemal dyszał.

— Nie wiem — odezwał się z takim cierpieniem, że zdawało się, że jego słowa bardziej wydzielają się z jego ciała, niż wydobywają się z jego ust. — Nie wiem, jak to powiedzieć. Nie potrafię! Jezu Chryste, nie potrafię! Chcę, ale nie mogę! Nie mogę! Nie tutaj. Nie, kiedy jest tak jak teraz.

— Dlaczego? Dlaczego nie możesz? — spytała łagodnie.

— Bo obojętne, co zrobię, przegram. Przegrywam, kurwa, przegrywam!

— Nie wiem, o czym mówisz — odezwała się, gdy na nią popatrzył. — Co przegrywasz?

— Ciebie.

— Nie. Nie stracisz mnie. Oczywiście, że nie. — Spróbowała się uśmiechnąć i przygryzła wargę na widok jego nieszczęsnej twarzy tak straszliwie wykrzywionej z żalu.

— Wiesz, o czym mówię, prawda? Wiesz, o co mi chodzi, zgadza się? — spytał tak zdesperowanym głosem, że aż się wzdrygnęła.

— Nie jestem pewna. Chyba nie — odparła.

— Chodzi mi o to, że cię kocham! Kocham cię tak bardzo, że niczego nie mogę zrobić! Nie mogę rozsądnie myśleć — warknął, ze swą udręczoną twarzą tuż przy jej twarzy. Ścisnął jej nadgarstek. — Nic więcej mnie nie obchodzi. Chcę tylko ciebie. Nic więcej. Wszystko mi jedno, co się stanie. Nic nie powiemy. Tylko wyjedziemy. Nigdy nas nie znajdą. My...

Jednym ruchem skoczyła z otomany do drzwi i pobiegła ścieżką, słysząc tuż za sobą oszalałe mamrotanie.

Chwycił ją za ramię, gdy wsiadała do samochodu.

— Widzisz! Właśnie dlatego! Właśnie dlatego musimy się stąd wydostać, daleko od tego całego gówna! Żebyś się dowiedziała! Żebyś zrozumiała! — krzyczał.

Nie mogła zamknąć drzwi, lecz w końcu udało jej się włożyć kluczyk do stacyjki. Przekręciła go i nadepnęła na gaz. Patrick odskoczył, gdy samochód ruszył gwałtownie z miejsca.

— O Boże. O Boże. O Boże! — krzyczała, kiedy samochód z piskiem opon mknął po trawniku. Biegł za nią na bosaka. Skręciła ostro na drogę i dopiero gdy jego dom zniknął jej z oczu, odważyła się zwolnić na tyle, by mogła zamknąć drzwi.

Rozdział 20

Woda parzyła jej plecy. Szorowała ramiona i nogi myjką, aż skóra zaczęła ją piec. Gdy wychodziła spod prysznicza, usłyszała, że ktoś dzwoni do drzwi. Pewna, że to Rudy, namacała przez parę płaszczy kąpielowy i zakładając go, pobiegła otworzyć. Teraz jednak dzwonek brzmiał natarczywie. Z każdym naciśnięciem coraz bardziej kłuł ją w uszy. Patrick! Jej dłoń odskoczyła od klamki. Wszyscy ją ostrzegali, a teraz już do tego doszło.

Pukał. Usłyszała, że otwierają się drzwi mieszkania pana Clincha.

— W czym mogę panu pomóc? — spytał pan Clinch.

— Przepraszam. Nie chciałem pana niepokoić. Szukam mojej siostrzenicy.

— Wujku Charlesie! Byłam pod prysznicem — powiedziała, otwierając drzwi. Jakakolwiek ulga, którą poczuła na jego widok, przygasła pod jego posępnym spojrzeniem. Tylko gniew mógł go tu przywieść w wieczór Święta Dziękczynienia.

Pan Clinch zniknął za zamykającymi się drzwiami.

— Mogę wejść? — spytał wujek Charles, będąc już w środku i siadając. Chciała wziąć jego kurtkę, lecz oświadczył, że może zostać tylko kilka minut. Przesiadł na samym brzeżku sofy. Miał złożone ręce i łokcie przyciśnięte do boków, jakby bał się czegokolwiek dotknąć.

Siadła na krześle naprzeciwko, trzymając kurczowo dół swojego płaszcza kąpielowego. Zaproponowała mu szklankę wody. Miała jabłecznik. Albo herbatę. Ale on wieczorami pijał tylko herbatę.

— Nie, dziękuję ci. — Oblizał wargi i przełknął ślinę. — Fiono — zaczął i westchnął.

— Wujku Charlesie, przepraszam. Nie chciałam rujnować wszystkim tego dnia. Naprawdę nie chciałam.

— Wiem, jestem pewien, że nie.

— To wszystko dlatego, że przechodziłam ostatnio trudny okres w niektórych sprawach. — Spojrzała na niego. — W wielu sprawach.

— Nie tylko ostatnio, prawda, Fiono? Miałaś kłopoty przez długi, długi czas, zgadza się?

Skinęła głową, czując się jeszcze bardziej winna na dźwięk jego pełnego uprzejmej troski głosu.

— To nie było proste. Wiem o tym. — Westchnął. — Uwier mi, naprawdę. I czasami mogłem tylko siedzieć obok i patrzeć, jak jesteś w takich... w takim pomieszaniu. — Nachylił się do niej. — Bo jesteś nam bardzo, bardzo droga, Fiono. Twojej ciotce i mnie. Zawsze chcieliśmy robić to, co należy, robić dla ciebie, co tylko mogliśmy.

— Wiem. A ja zawsze sprawiałam wam zawód, prawda? Obojętne, co robiłam.

— Nie powiedziałem tego.

— Ale to dlatego tu jesteś, prawda?

— Jestem tu, bo chcę ci pomóc.

— Cóż, to jakaś nagła zmiana. Ostatnio słyszałam, że nie można mi pomóc.

— Fiono, proszę. To wystarczająco trudne. — Zamknął oczy i potarł skronie. — Wszystko, czego chcę — zaczął cichym, zbolalym głosem — to żebyś była szczęśliwa. Tylko tego zawsze chciałem. — Podniósł głowę i w szok wprawił ją widok jego oczu błyszczących od łez. Wyjął chusteczkę i wydmuchał nos.

— Och, wujku Charlesie. Przepraszam. To ten mój gniew. Zawsze wyładowuję go na ludziach. Przecież wiem, że to nie twoja wina, że moja matka odeszła i że Patrick jest taki pokręcony. Wiem to wszystko, tu, w głowie. Lecz tutaj — powiedziała z pięścią przy piersi — jest takie pomieszanie. Nic nie ma sensu. Nic nie wydaje się w porządku. Jakbym zawsze miała uczucie, że jestem w złym miejscu o odpowiednim czasie albo w dobrym miejscu, ale czas jest nie ten. Wiesz, o co mi chodzi? — spytała, a potem roześmiała się, nim mógł odpowiedzieć. — Co ja mówię? Oczywiście, że nie wiesz — zakpiła, a potem, widząc, jak się krzywi, dodała: — Mam na myśli to, że między tobą i ciotką Arlene wszystko przychodzi tak naturalnie, łatwo wam robić to, co trzeba. — Znów spróbowała się roześmiać. — Nie możesz nic na to poradzić. Obydwoje jesteście takimi dobrymi ludźmi.

— Dobro nie przychodzi tak po prostu, tak naturalnie, Fiono. Uwier mi, że nie — oświadczył z zaskakującym żarem w głosie. — To jest zawsze walka. Zawsze!

— Wiem, ale musisz przyznać, że jest o wiele łatwiej, gdy ludzie myślą, że jesteś dobrym człowiekiem. Kiedy cię tak traktują — dodała.

— To też może być ciężarem — odparł ostrym szeptem. — Okropnym ciężarem, jeśli ludzie myślą o tobie lepiej niż ty sam.

Przez chwilę siedział bardzo cicho i zasmuciła się, gdy dotarło do niej, że miał na myśli siebie. Ciotka Arlene miała rację. On nie wiedział, jak dobrym jest człowiekiem. Usiłowała mu powiedzieć, jakim zawsze darzyła go podziwem i ile to dla niej znaczyło tamtego dnia, gdy rzucił wszystko i przyjechał, gdy do niego zadzwoniła.

— Mam na myśli to, że było tak, jakbyśmy obydwoje, wiesz... Obydwoje byliśmy tam z tego samego powodu. Po to, by pomóc biednemu Larry'emu. — Głos jej się załamał pod jego pustym spojrzeniem. — Chodzi mi o to, że nie musiałeś tego robić, ale przyjechałeś...

— Cóż, w każdym razie — przerwał jej — w tej chwili najbardziej martwię się o Elizabeth.

— Tak, i biedna Lizzie, ona też przechodzi przez to samo — rzekła łagodnie, starając się nie poczuć znowu dotkniętą. — Wiesz, ona myśli, że musi robić wszystko, czego wszyscy inni od niej oczekują, czy tego chce, czy nie. A teraz to wszystko się na niej odbija.

Popatrzył na nią. I dodał:

— Więc jak możesz jej to robić? Jak mogłaś, jeśli wiesz, jak bardzo jest teraz bezbronna?

— O czym ty...

— A może właśnie dlatego? Bo wyczułaś słabość, więc uważasz, że to w porządku wziąć sobie to, czego chcesz.

— Nieprawda!

— I nie sędzę, żeby ci chociaż na nim zależało, bo tu chodzi o mnie, prawda? — Przyglądał jej się. Twarz miała bladą, widmową. — To mnie tak naprawdę chcesz zranić.

— Nikogo nie staram się zranić!

— Na początku nie mogłem tego rozgrzyźć. Nie mogłem zrozumieć, co się dzieje. Wydawali się tacy szczęśliwi, tacy odpowiedni dla siebie. A potem wszystko zaczęło się rozpadać. Nie możesz tego robić, Fiono! To unieszczęśliwia Elizabeth. To ją niszczy, a ja nie mogę tylko siedzieć i nic nie robić. — Podniósł się nagle i stanął nad nią. — Nie mogę pozwolić, by to się stało. Tak, jak nie mogę patrzeć, jak marnujesz swoje życie. Więc przynajmniej w ten sposób — powiedział, wyciągając z kieszeni na piersi złożony papier i wręczając go jej — mogę pomóc ci zyskać jeszcze jedną szansę.

Był to czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Patrzyła na niego oszołomiona.

— dzięki temu możesz dokądś wyjechać. Zacząć wszystko od nowa. Stworzyć sobie własne życie. Bo to życie nie jest takie, jak chcesz, prawda? — powiedział, machając ręką. — Nie mogłoby być. Spójrz, co dzieje się przez ciebie z Elizabeth. To zniszczy twoją ciotkę Arlene. Naprawdę. Wiem, że tak.

— Dobrze widzę. — Pomachała czukiem ze słabym uśmiechem. — To dlatego przyszedłeś.

— Jeśli potrzebujesz więcej, wystarczy, że mi powiesz.

— Chcesz usłyszeć coś zabawnego? Przez chwilę naprawdę sądziłam, że przyszedłeś mi pomóc. — Upuściła czek, który spadł, wirując, na stół. Wszystko to było równie śmieszne, co okropne. — Jezu Chryste, muszę naprawdę być pieprzonym utrapieniem! — Podniosła go i popatrzyła na swoje nazwisko wypisane przez niego czarnymi, okrągłymi literami.

— Staram się pomóc ci, jak tylko najlepiej potrafię.

— Och! Szczęściara ze mnie.

— I tak dla twojej informacji, Fiono, rozmawiałem z Rudym. Wyjaśniłem, że jeżeli chodzi o mnie, to była tylko chwilowa utrata równowagi umysłowej wywołana przez mnóstwo napięć i nacisków, pomyłek, nieporozumień ostatnio.

— Naprawdę?

— Tak, i on się z tym zgadza — ciągnął bez wahania. — I zgadza się też, że nikt nie musi o tym wiedzieć, a szczególnie Elizabeth.

Odwrociła głowę. Raczej wyłupiłaby sobie oczy, niż zapłakała w tej chwili. Podniosła się i wypadła do łazienki. Zapukał do drzwi i spytał, czy wszystko w porządku. Siedziała na zakrytej muszli z głową w dłoniach.

— W porządku — odpowiedziała, gdy zapytał jeszcze raz.

— I wszystko będzie dobrze, kochanie. Zobaczysz.

Podniosła głowę, zaskoczona. Ten kojący głos pamiętała z dzieciństwa, gdy wujek siedział na jej łóżku, trzymając ją za rękę, kiedy śniły jej się koszmary.

— Wujku Charlesie? — Otworzyła drzwi. Zarzuciła mu ramiona na szyję i wcisnęła twarz w jego ramię. — Och, wujku Charlesie, ja chcę tylko, żebyś ty mnie kochał, ale wszystko ciągle tak się płacze. Przepraszam. Przepraszam.

— I właśnie dlatego. — Zesztywniał i przytrzymał ją na odległość wyciągniętego ramienia. — Potrzebujesz po prostu zmiany tempa, tylko tyle. Musisz zacząć wszystko od nowa. — Uśmiechnął się.

— Uważasz, że właśnie tego potrzebuję?
— Tak, kochanie, nie tylko tego potrzebujesz, ale na to zasługujesz
— oświadczył, mrugając do niej i niezgrabnie kiwając głową.

— Popatrz na mnie, wujku Charlesie, popatrz na mnie! Moje życie jest koszmarnie poplątane! Wszystko, czego się tknę, zamienia się w gówno. Jeżeli wyjadę, to i tak nic nie zmieni. Nie. Jest dokładnie odwrotnie. Muszę zostać tu, gdzie jestem, i poradzić sobie z moimi problemami. I ja pierwsza przyznam, że je mam, uwierz mi, i że naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Ale nie tego. — Wskazała gestem czek. — Nie tego, żebyś płacił mi, bym zniknęła z twojego życia. — Usiłowała się roześmiać. — Potrzebuję twojej cierpliwości. I żebyś nie przestawał mnie kochać. — Zamilkła, lecz on nic nie powiedział. — Tego właśnie teraz naprawdę potrzebuję... — Nienawidziła swojego cienkiego, przymilnego głosu.

— Zależy, jak na to patrzysz, Fiono. Uważasz, że próbuję usunąć cię z mojego życia, ale to nieprawda. Chcę tylko widzieć, że jesteś szczęśliwa. Chcę ci tylko pomóc. Fiono, zadzwoń do Luckrettii Kendale. Powiedz jej, że pojedziesz z nią na Florydę.

— Może będzie lepiej, jeśli już pójdiesz, wujku Charlesie. — Czują, jak ogarniają ją mdłości.

— Nie denerwuj się. To nie tak...

— Nie denerwuję się — przerwała. — Muszę tylko побыć sama, i tyle.

— Jesteś pewna? — spytał, z oczywistą ulgą podchodząc do drzwi. Skinęła głową.

— Och! I jeszcze jedno. Nie ma sensu mówić o tym twojej ciotce. — Podeszedł do stołu i podniósł czek. — To sprawa między tobą a mną. — Znów jej go wręczył, tym razem obserwując bacznie, by upewnić się, że naprawdę zrozumiała. — I w ten sposób poczujesz się lepiej w tej sytuacji. Będzie ci łatwiej. — Uśmiechnął się i poklepał jej dłoń, w której wciąż trzymała czek.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, zaczęła rozdzierać czek na pół, ale zaraz przestała. Zamiast tego ubrała się szybko i chwyciła kluczyki do samochodu. Zdeponuje go, nim wujek zmieni zdanie. Albo ona zmieni swoje.

Właśnie odeszła od bankomatu na parkingu przy banku, gdy zobaczyła Todda Prescottta wychodzącego z Quick-Martu z galonem mleka w ręce. Obserwowała go z samochodu. Jego pełen znużenia chód, powłóczenie

nogami, wbite w ziemię spojrzenie jeszcze bardziej ją przygnębiły. — Hej, Toddie, co porabiasz? — krzyknęła, zmuszając się do uśmiechu.

Pośpieszył do niej, szczerząc zęby. Rozmawiali przez parę minut przez opuszczoną szybę, a ich oddechy wypełniały parą powietrze między nimi.

Powiedziała, że było jej przykro, kiedy usłyszała, co się stało tamtej nocy, gdy wyszedł z jej mieszkania.

— Nie, nie jest ci przykro — odparł, uśmiechając się. — No, Fee, przyznaj to. Powiedziałaś Patrickowi, żeby mnie skuł, zgadza się?

— To nie był Patrick! On nie...

— Tak. Ale krótka pamięć jest lepsza niż długi proces. — Wyciągnął rękę i złapał ją za podbródek. — A poza tym nie chciałem sprawiać ci już więcej kłopotów. Naprawdę, Fee. Naprawdę.

Patrząc na niego, odsunęła jego rękę. Powiedziała, że ma nadzieję, że czuje się już całkiem dobrze. Odparł, że tylko od czasu do czasu kłuje go w krzyżu, co okazało się błogosławionym w skutkach nieszczęściem, bo uwolniło go od czarnej roboty w magazynie w sklepie meblowym.

— Nigdy nie był ze mnie siłacz — oznajmił.

— Wiem — przytaknęła, a on się roześmiał.

Spędzał teraz czas w salonach meblowych. Potem miał przenieść się na chwilę do działu fakturowania. Jego ojciec chciał, żeby nauczył się prowadzenia firmy od podszewki.

— Oporządzają cię, koniku. — Objęła się ramionami z zimna.

— Taa, ale już lubię tego konia czystej krwi, którym jestem — odparł, a silny powiew lodowatego wiatru podwiał tył jego kurtki.

Zmusiła się do śmiechu.

— No, to dobrze. Cieszę się, że tak dobrze ci idzie — oświadczyła i nagle zatrzęsła się z zimna. Szczękała zębami.

Pochylił się bliżej do okna i dotknął jej głowy.

— Masz mokre włosy. Nic dziwnego, że masz dreszcze. Lepiej już jedź. — Klepnął bok samochodu i odsunął się. Wydawał się zmęczony, lecz dzięki temu, że przybyło mu kilka kilogramów, wyglądał zdrowiej niż kiedykolwiek od wielu lat. Miał krótkie włosy, a oczy czyste i błyszczące. Pomachał i krzyknął do niej na pożegnanie.

— To włączę ogrzewanie. — Zapuściła silnik. — Chodź, wsiadaj! Możemy jeszcze parę minut pogadać.

Zerknął za siebie na jarzeniową poświatę, na okna zaklejone napisami reklamującymi oferty tygodnia. Przerzucił pojemnik z mlekiem do

lewej ręki i wszedł do samochodu. Spytał, jak minęło jej święto. Odpowiedziała, że w porządku, przekazując mu aktualne wiadomości na temat jej kuzynów, choć widziała, że niespecjalnie go to interesuje.

Spytała, jak mu minął dzień. Odpowiedział, że był stresujący. Zjedli obiad z jego rodzicami. Problemem była całkowita kontrola, jaką matka sprawowała nad Sandy i dziewczynkami. Była jedyną osobą, która potrafiła zmusić dziewczynki do dobrego zachowania, więc Sandy nigdy nic na to nie mówiła.

— Więc nie wiem. Myślę, że okej. Ale po jakimś czasie po prostu zaczyna mi to działać na nerwy, i tyle.

— Cóż — zaczęła, a jej posiniaczone i pomieszane myśli szamotały się, by zebrać się do kupy. — To dlatego, że Sandy jest taka młoda. Taka... jak to się mówi... nie, nie dziecinna, nie niedojrzała. Ale naiwna! Właśnie tak. Wiesz, o co mi chodzi? W stosunku do Maxine też taka była. I do mnie! — Patrzyła na niego i nie miała odwagi nawet mrugnąć. Czuła się tak, jakby trzymała się kurczowo ściany stromego klifu. To było to. Ostatnia, rozpaczliwa szansa. — To czasami było straszne. To znaczy, jak bardzo potrzebowała opieki. Ale pomyśl, skąd pochodzi. W każdym razie, radziła sobie całkiem dobrze, jeśli weźmie się to wszystko pod uwagę. — Przełknęła nerwowo ślinę, czując obrzydzenie do samej siebie. Nie chodziło o zazdrość ani o to, że wiedziała, że życie z Sandy będzie dla niego katastrofą, lecz o nieznośną samotność, którą teraz czuła.

— Nie wiem. — Westchnął i wyjrzał przez okno. Mleko stało między nimi. — Chodzi głównie o mojego ojca. Doprowadza mnie do szaleństwa. Tak jak dziś. Próbował. Naprawdę próbował. Próbował być miły. Ale potem, po troszeczkę, znów do tego wraca, obserwuje mnie jak jastrząb, wiesz, gotowy rzucić się na mnie za najmniejszy drobiazg. Po prostu na mnie patrzy i czuję się jak taki dupek. A Sandy tego nie rozumie. Mówi, że jestem przewrażliwiony, że mój ojciec stara się tylko pomóc.

— Widzisz, właśnie to miałam na myśli. Jest taka młoda. — Położyła dłoń na jego ramieniu. — Ale daj jej czas. Naucz się.

— Hej! — odezwał się nagle z szerokim uśmiechem. — A może skoczmy na szybkie piwko. No?!

W Pacer's panował tłok. W chwili gdy weszli, zawołali ich starzy przyjaciele. Zapomniała, jak wielu ludzi przyjeżdża co roku do domu na Święto Dziękczynienia. Wciąż stali w progu baru, a zdawało się, że zatrzymano ich na pogawędkę przynajmniej z dwadzieścia pięć razy. Lance Bowman właśnie kupił im piwo i opowiadał o swojej firmie zajmującej się

w Hartford wynajmem limuzyn. Był właścicielem floty składającej się z sześciu zwykłych i sześciu przedłużanych limuzyn. Jego żona, była wicemiss Missouri, zrobiła doktorat ze sztuki renesansu.

— A ty? — spytał Fionę, przekrzykując zniekształcone głosy i muzykę.

— Ciągłe pracuję na mój — odrzyknęła, podążając za Toddem do baru.

Wkrótce otoczyło ich więcej szkolnych kolegów, wszystkich zachwyconych, że widzą ich wciąż razem.

— Ale mieszkacie razem? — spytała Laura Clay, gdy Fiona powiedziała, że nie są małżeństwem. Laura kupiła właśnie dom w Lincoln w Nebrasce, ze swoim mężem o bujnych włosach, Thomasem, którego koloratka i czarna koszula wskazywały na jakiś związek z religią.

— Nie. Po prostu od czasu do czasu spędzamy ze sobą chwilę lub dwie — usiłowała wyjaśnić Fiona. Todd przyciągnął ją do siebie i szepnął jej coś do ucha, lecz nie usłyszała, co mówi.

— A cóż takiego robicie razem? — Laura pochyliła się i spytała z przebiegłym uśmieszkiem.

— Jesteśmy przyjaciółmi! — krzyknęła Fiona.

— I kim jeszcze? — dopytywała się Laura.

— Wynośmy się stąd, do cholery — powiedział jej do ucha Todd. — Cześć — zawołał do Laury, która spytała, dokąd jadą.

— Do West Palm Beach — odrzyknęła Fiona, gdy Todd prowadził ją przez tłum.

— West Palm Beach? — zapytał, kiedy wydostali się na zewnątrz. — Co to jest West Palm Beach?

Siedzieli już w samochodzie z włączonym silnikiem, by ogrzać wnętrze, gdy opowiedziała mu o swojej przeprowadzce na Florydę.

— Szkoda, że ja nie mogę tego zrobić, ruszyć stąd i zacząć wszystko od nowa.

— Nie, nieprawda. O Boże. — Westchnęła, oglądając się w stronę Pacer's. — Gdybyśmy tylko zrobili to, co powinniśmy byli zrobić.

— Myślałem, że zrobiliśmy!

— Mówię poważnie, Todd. Chodzi mi o to — tłumaczyła, wskazując Pacer's. — Wszyscy mają dobre posady. Są żonaci. Mają dzieci, domy, ładne samochody.

— Mogliśmy mieć to wszystko — powiedział.

— Taa. Jeśli byśmy tylko chcieli, zgadza się?

— Nie. Gdyby zostawili nas w spokoju — nasze rodziny — gdyby się nie wtrącali, pewnie nadal byłibyśmy razem — rzekł, dotykając jej policzka. Przebiegł palcami po jej włosach tak jak dawniej, ogarniając je do tyłu z twarzy.

— Byliśmy tacy młodzi. — Westchnęła, starając się nie zamykać oczu. Oparła głowę o jego ramię. Galon mleka wbijał jej się w biodro.

— Ale wiedzieliśmy, czego chcemy — wymruczał do jej ust.

Gdy się całowali, pomyślała, że ma rację. Gdyby nie udaremnilo ich młodzieńczej ucieczki, musieliby pewnie dorosnąć i zrobić coś ze swoim życiem. Może tak samo było z jej matką i Patrickiem. Gdyby nie było wojny i jej ciotka i wujek nie wtrącaliby się, mogliby sami pokonać swoje problemy.

Todd wyprostował się nagle na siedzeniu.

— Jest jedna rzecz, którą muszę ci powiedzieć. Cóż, właściwie jest pewnie z tysiąc, ale najważniejsze jest to, że chciałbym cię przeprosić za te wszystkie kłopoty, które przeze mnie miałaś.

— Myślisz, że możesz się tak łatwo wykpić? Uhm — odparła, przysuwając jego usta do swoich. — Nie. Jeszcze długo będziesz moim dłużnikiem. Jesteś mi coś winien. — Wszyscy oni są. Todd, Brad Glidden, George, Rudy, każdy przeklęty facet. Od tej chwili będzie po prostu brała to, czego chce, i nie będzie się za siebie oglądać.

— To kiedy mam zacząć spłacać ten dług?

— Teraz byłoby świetnie. — Wyjechała z parkingu. Gdy prowadziła, on regulował ciągle ogrzewanie. Powiedziała mu, by zasłonił otwór, jeśli jest mu za ciepło.

— Nie chodzi o mnie. Mleko. Dziewczynie go nie wypiją, jeśli nie będzie naprawdę zimne.

Samochód wjechał na wybój i rama samochodu zadrżała.

— Potrzebują go teraz? Czy Sandy na nie czeka? — Zdjęła nogę z gazu.

— Nie — odparł, machając ręką. — Pewnie już je ma. — Potrzęsnał głową i westchnął. — Pewnie zadzwoniła do mojej matki i zaraz je przywieźli. — Zachichotał. — Właściwie to całkiem zabawne. Są na jej zawołanie. A z jednej strony uważają, że jest niedouczona i do niczego, ale z drugiej ona jest ich ostatnią nadzieją. Wiesz, o co mi chodzi? — Gdy wjechali do miasta, zsunął się na siedzeniu.

— Przed kim się chowasz?

— Możesz wybierać — odparł, dodając, że tego wieczora będzie to pewnie jego ojciec. W zeszłym tygodniu Todd wpadł na starego przyjaciela.

la, więc zatrzymali się na kawę w Dunkin' Donuts. Kiedy wyszli, matka czekała już na niego w jego samochodzie.

Skóra jej ścierpła. Jakby znów mieli po szesnaście lat.

— Nie! — odezwał się Todd na światłach, gdy wrzuciła kierunkowskaz, by skręcić na parking przed Quick-Martem. — Jedź dalej! Pewnie już odkryli mój samochód. Zsunął się jeszcze bardziej na siedzeniu.

— Więc zawiozę cię do Sandy. — Wjechała na wzgórze i ruszyła w kierunku małego domku, który, jak mieli nadzieję Prescottowie, uczy- ni w końcu z ich dzikiego syna odpowiedzialnego mężczyznę.

— Nie chcę! — Upierał się, że chce być z Fioną.

Wobec tego powinni przynajmniej podrzucić mleko. Powiedziała to, zwalniając.

— Nie! — krzyknął. — Jezu Chryste, Fiono, jedź dalej!

— Zostawię je tylko na schodku przy wejściu.

— Nie! Nie! — jęknął, zakrywając oczy dłońmi.

— A jeśli dzieci go potrzebują?

— Okej, to ten! — Spojrzał ponad deską rozdzielczą. — Ten nie- bieski.

Jedynе światło w małym domku świeciło się na górze. Zaparkowa- ła przy krawężniku, chwyciła mleko i wbiegła na najwyższy schodek. Jej głodny wzrok chłonał wzorek w motylki na naprężonej firance zasłania- jącej szybę w drzwiach wejściowych, kusał firankę w liście winorośli w przyległym oknie, dwie małe, czerwone łopaty do odgarniania śniegu i większą, opartą obok drzwi. Nacisnęła brzęczyk, pognała do samocho- du, czekającego z silnikiem pracującym na wolnych obrotach, i odje- chała.

— No już. Nie czujesz się teraz lepiej?

— Nie.

W chwili gdy zamknęły się za nimi drzwi jej mieszkania, wziął ją w ra- miona i pocałował. Nie potrafiła odgadnąć, czy śpieszył się, czy był osza- lały z pożądania. Po kilku minutach odsunęła się, a on usiłował ją do sie- bie z powrotem przyciągnąć.

— Nie, proszę, Todd. Proszę. To jest po prostu jeszcze jeden głupi błąd, za który obydwójce nienawidzimy się nawzajem.

— Nigdy cię nie nienawidziłem, Fee. Nigdy! Jak mógłbym? — po- wiedziała z tak nieprzytomnym zdecydowaniem, że spróbowała się uśmiechnąć.

— O Boże — krzyknęła, zakrywając twarz dłońmi. Gdyby tylko mógł wypełnić tę okropną pustkę, ale zostawić resztę jej samej w spokoju.

— Biedna Fee. — Wtulił twarz w jej włosy. — Co ja mogę powiedzieć? Co mogę zrobić? Pozwól mi sprawić, żebyś lepiej się poczuła. Wiesz, że potrafię. Znam wszystkie twoje sekretne miejsca. — Przesunął rękami w górę i w dół jej pleców, całując jej szyję i ramię. — O, tutaj. O, teraz tutaj — mruzczał. — Chcesz mnie, prawda? Wiesz, że tak.

— Ależ nie chcę — wykrztusiła z twarzą wciśniętą w jego szyję, naczyną słodkim zapachem innej kobiety. — Naprawdę, naprawdę nie chcę. — Chciała Rudy'ego, lecz on należał do Elizabeth, a w swej dobroci żadne z nich nie opuściłoby drugiego. Byli lepsi i silniejsi niż ona. Lepsi i silniejsi pod każdym względem.

— Więc potrzebujesz mnie, dziecko. Tak właśnie jest. Potrzebujemy siebie nawzajem i właśnie teraz to jest w porządku.

— Jest mi po prostu tak smutno — wyszeptwała.

— Smutno! — Odsunął się i ściągnął koszulę, a potem zaczął rozpiąć jej guziki. — Ja cię rozweselę — wyszeptał, ściągając jej bluzkę.

— Jak? — O Boże, pomyślała. Żeby tylko móc się uśmiechać, poczuć się łąj w środku.

— Zobaczysz. — Rozpinał jej pasek.

Zapomniała, jaki potrafi być słodki. Jego dotyk był tak łagodny, jak jego głos. Zadrżała, gdy spódnica zsunęła jej się do kostek.

— Boże, jesteś taka piękna. — Sięgnął za jej plecy, by rozpiąć stanik. — Zapomniałem, jaka jesteś doskonała. — Upuściła stanik na stos ubrań. Stała z rękami przy bokach. Zakreślił palcem krąg wokół każdej jej piersi. — Chcesz, żebym przestał?

Potrząsnęła głową. Nie.

Poszedł za nią do sypialni, a potem stanął nad nią, mówiąc do niej, gdy zdejmowała z niego resztę ubrań.

— Cały czas o tobie myślę. Naprawdę. Nawet kiedy jestem... nawet kiedy nie powinienem. — Roześmiał się, kładąc się obok niej.

— Och tak? Kim jestem, tą drugą kobietą w twoich fantazjach? — spytała, a kiedy zaczęła poruszać się przy nim, zrozumiała tę nieuniknioną wygodę, której Elizabeth musiała doświadczać z Georgem. Nie było tu skrępowania, nie było nic złego czy niepokojącego w tym, że znów była z Toddem. Ich ciała uspokajały się w swojej bliskości.

— Ty jesteś tą kobietą. — Popatrzył na nią. — Zawsze byłeś — powiedział, opuszczając się na nią, a jego gładkie ramiona muskały jej skórę.

— To czemu tak wyszło? — Jęknęła, a jej powieki przymknęły się ciężko, gdy wznosił się nad nią i opadał. Chciała, by ktoś zabrał ją gdzieś daleko, daleko stąd, żeby nie musiała wyjeżdżać. Żeby mogła zostać.

— Byłem głupim dupkiem. — W jego głosie zabrzmiała złość. Jego ciało zaczęło uderzać o jej ciało.

— A już nie jesteś? — wykrztusiła.

Nie odpowiedział. Miał zamknięte oczy. Gdzieś w budynku grała muzyka. Czuła głęboki, łomoczący bas. Odchylił głowę do tyłu. Usta miał otwarte.

— Och, och, och — krzyknął, a potem opadł na nią z urywanym, zdyszczanym kwileniem.

Patrzyła na światło rozpraszające się na rolecie. Oprócz jakiegoś odległego uczucia nie czuła nic. Nic prócz tego wstępu do samej siebie. Była głupia. Dni traciła w pustych miejscach, a energię — na zmartwionych, pogrążonych we własnych problemach ludzi, którzy nie mieli jej nigdy pokochać. A na myśl, że to mogło stanowić ich największy urok, zrobiło jej się niedobrze.

Spytała, czy chce, by podwiozła go po samochód. Gdy nie odpowiedział, zdała sobie sprawę, że śpi. Chrapał. Założyła płaszcz kąpielowy i zamknęła drzwi sypialni. W kuchni napełniła czajnik i postawiła go na gazie, by zrobić herbatę. Ktoś lekko zapukał do drzwi. Obróciła się, zaskoczona, bojąc się, że to może być Patrick, a potem zapewniła samą siebie, że nie zaryzykowałby przyjścia tutaj i tego, by zobaczyli go jej sąsiedzi. Była to pewnie pani Terrill, usiłująca zlokalizować źródło muzyki, która teraz zdawała się jeszcze głośniejsza.

Gdy otworzyła drzwi, Rudy wpadł do środka. Powiedział, że próbował zadzwonić, ale musiała widocznie zdjąć słuchawkę z widełek. Cieszył się, że zastał ją jeszcze na nogach. Musiał ją zobaczyć, zanim pojedzie na noc do szpitala.

— Ale powiedziałam ci, żebyś tego nie robił — szepnęła, usiłując przytrzymać go przy drzwiach. — I naprawdę miałam to na myśli.

— Muszę ci powiedzieć, co się stało po twoim wyjściu.

— Nie chcę tego słuchać. — Nie potrzebowała wszystkich tych poniżających szczegółów.

— Nie, posłuchaj! W końcu zmusiłem Elizabeth, żeby usiadła i...

— Pst — uciszyła go, przesuwając się, by stanąć między nim a porzucanymi ubraniami.

— Och. Przepraszam. — Rozejrzał się po pogrążonym w mroku pokoju. — Obudziłem cię, tak? — Im ciszej starał się mówić, tym bardziej

był podniecony. Wymachiwał rękami. — Przepraszam. Powinienem być pomyśleć. Naprawdę, naprawdę wyglądasz na zmęczoną.

— No, jestem zmęczona. Jestem zbyt zmęczona, by cokolwiek teraz robić. — Sięgnęła do klamki.

Położył dłoń na jej dłoni.

— Ale mogę za tobą rano tęsknić... Będziesz w pracy...

— No i? Jakie to ma znaczenie?

— O czym ty mówisz? Jakie to ma znaczenie? To najważniejsza rzecz, jaką teraz muszę zrobić! Najważniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiałem zrobić!

— Pst!

— O co ci chodzi? Pst? — zerknął na zamknięte drzwi sypialni, a ona zamarła. — Wszystko w porządku — oświadczył z uśmiechem. — Nikt nas nie słyszy.

— Jest późno. Proszę — odparła. — Nie czuję się zbyt dobrze. Czy mógłbyś po prostu już iść?

Pocałował ją w czoło.

— Dobrze, ale posłuchaj — Elizabeth wie. Powiedziałem jej. Powiedziałem jej wszystko. — Usiłował przyciągnąć ją do siebie. — Wszystko, czym musimy się teraz martwić, to jak sobie... — Wyglądał na oszołomionego, gdy mu się wyrwała. Uderzyła go w ramię i puściła ją.

— Dlaczego to zrobiłeś? — Czuła, jak ogarnia ją panika. — A co z moim wujkiem? Mówił, że jej nie powiesz. Powiedział ci, żebyś tego nie robił! Nie powiedział ci, że wyjeżdżam?

— Nie.

— Cóż, wyjeżdżam! Jadę na Florydę. Tak. Wyjeżdżam. Muszę!

— Wyjeżdżasz? O czym ty mówisz? Dlaczego? — Jego pierś wydawała się zapadnięta, policzki — wklęsłe, jakby z jego ciała wyssano całe powietrze.

— Bo tak. Bo muszę. Nie znoszę tego miejsca. — Bo nasienie innego mężczyzny ścieka po wnętrzach jej ud. Bo teraz cała rodzina jej nienawidzi.

— To, czego nienawidzisz, jest tutaj — odpowiedział, stukając się palcem wskazującym w czoło. — A to zawsze pójdzie z tobą.

— O Jezu!

— Wiesz, że to prawda. — Wyciągnął rękę do jej dłoni, lecz ona skrzyżowała ramiona na piersi i odsunęła się.

— Rudy, proszę, idź już. Proszę! Jestem naprawdę zmęczona.

— O co chodzi? Co się stało? Wszystko będzie dobrze. Naprawdę! — Nachylił się, by ją pocałować, lecz ona się odsunęła. — W porządku. — Kiwnął głową i uśmiechnął się. — Wobec tego porozmawiam z tobą jutro. — Otworzył drzwi, a potem odwrócił się szybko i wszedł z powrotem. Zamknął je i stanął, patrząc na nią. — Słuchaj, o cokolwiek ci teraz chodzi, kocham cię, Fiono — odezwał się łagodnie. — Wiesz o tym, prawda? Tak bardzo... — zerknął obok niej z zaskoczonym wyrazem twarzy, gdy zaskrzypiały otwierane drzwi sypialni.

— Cholera! — zaklął Todd, stojąc tam w swoich czerwonych, jedwabnych slipkach. Cofnął się i zamknął drzwi.

Potrząsnęła głową. Nie było nic do powiedzenia, zupełnie nic.

— Przepraszam. Myślę, że błędnie odczytałem wszystkie znaki — odezwał się, bardziej wnikliwie zerkając na rzucone na kupkę ubrania. — Nie chciałem, naprawdę. Przepraszam. — Westchnął.

— To Todd — powiedziała.

— Och. Oczywiście. Ten Todd — powtórzył, przypominając go sobie i dotykając czoła. — Opatrunek. Wypadek. Dawny chłopak. Ten, którego Patrick...

Skinęła głową.

— Wygląda na to, że całkiem dobrze się zagoiło. — Przygryzł dolną wargę i zerknął obok niej, jakby oczekiwał, że Todd wróci i potwierdzi to wszystko. — Czy to może z jego powodu jedziesz na Florydę?

Potrząsnęła głową.

— On z tobą nie jedzie?

— Nie. Właściwie on też się żeni.

— Ja się nie żenię. Wiesz, że nie.

— Tym gorzej. Mężowie to ci, których lubię najbardziej.

— Myślisz, że w to uwierzę?

— Cóż, jeśli jeszcze nie wierzysz, to powinieś — oświadczyła, otwierając drzwi.

— Kocham cię, Fiono. — Z trudem przełknął ślinę. — Tak żałośnie, jak to tylko może brzmieć.

Gdy wyszedł, Todd natychmiast wyskoczył z sypialni. Usiadła na podłokietniku fotela, patrząc, jak się ubiera. Wcisnął skarpetki do kieszeni i wsunął stopy w mokasyny, a potem, ldnąc pod nosem, usiadł na sofie i założył najpierw skarpetki, a potem buty.

— Więc zakładam, że nie spędzasz tu nocy — odezwała się, gdy chwycił swoją kurtkę z oparcia fotela. — Najwidoczniej nie rozpałił się tu na nowo żaden wielki płomień. Albo przynajmniej tak to wygląda.

- Lepiej już pójdę — odparł z grymasem zmieszania na twarzy.
 - Nie musisz.
 - Muszę wracać. — Zasunął zamek kurtki.
 - Wracać, dokąd? — Chciała, żeby to powiedziała.
 - Do Sandy — odparł z szybkim, pełnym poczucia winy wzruszeniem ramion. — Nie znosi być sama, szczególnie teraz.
 - Co masz na myśli, mówiąc „teraz”? Co dzieje się teraz?
 - Teraz, kiedy jest w ciąży.
 - Och, no tak. Będziecie mieli dziecko!
 - Wiedziałaś o tym — powiedział ostrożnie.
 - Taa! — odparła z gorzkim śmiechem i wyrzuciła w górę ręce. — Więc po co, do cholery, było to wszystko? — spytała, usiłując się rozzłościć, poczuć oburzenie, wstręt, cokolwiek prócz tej pustki.
 - Myślę, że po prostu potrzebowaliśmy tego samego — odpowiedział, przyglądając jej się.
 - Czego? — spytała, z dłońmi zaciśniętymi przy bokach.
 - Sprawdzić, czy nadal jesteśmy tak źli, jak myśleliśmy.
 - I jesteśmy?
- Potrząsnął głową ze smutkiem.
- Szczerze mówiąc, Fee, myślę, że już nie potrafimy.

Rozdział 21

Dzień po Świącie Dziękczynienia był początkiem sezonu gwiazdkowych zakupów, a także najbardziej wariackim dniem w roku w kawiarni. I to już od śniadania. Na boku uniformu Fiony szybko widniała wielka plama od kawy, kieszenie Fiony były ciężkie od napiwków, a ona — wyczerpana. Słowa Rudy'ego wciąż przebiegały przez jej umysł, a wszystko, co dotyczyło Todda, zdawało się mgliste i odległe. Lecz czy w końcu nie był to zwykły syndrom dnia następnego? Co się stało, to się stało. Nie było sensu obwiniać się za coś, czego nie mogła już zmienić. Następnym razem... co następnym razem? Nie zawiezie go do swojego mieszkania? Zrobią to w samochodzie? Nie. Już nie będzie żadnych następnych razy, bo zamierza wyrwać się stąd w diabły, z tej kawiarni i z Dearborn, jak najszybciej będzie mogła. Najtrudniej będzie powiedzieć Chesterowi. Spojrzała na zegar, z nadzieją na choć chwilę ciszy przed południowym najazdem klientów. W tej chwili miała do obsłużenia tylko jeden stół, przy którym siedziała ośmioosobowa rodzina. Dobroduszni i hałaśliwi, wracali do Nowego **Jorku** po spędzeniu święta z **rodzicami**. **Jedna** z kobiet chodziła do **liceum** z Ginny i **Jackiem**. Pamiętała ich młodszą siostrę, Elizabeth, ale zdawała się wprawiona w zakłopotanie co do tego, kim jest Fiona.

— Wiem! Pamiętam! — oświadczyła w końcu. Miała takie dołki w policzkach. — Ty jesteś... tą...

Dziwka. Bękartem — niemal wyszeptła Fiona.

— ...kuzynką! Ich małą kuzyneczką!

Na potwierdzenie skinęła ze znużeniem głową. Chester uderzył w gong i powlokła się do kuchni. Kroił białe mięso z jednego z indyków, które upiekł tego ranka. Wielki gar zupy gotował się na wolnym ogniu na kuchni.

— Co ty, do diabła, robisz? — zażądał odpowiedzi, gdy podniosła pokrywkę i wciągnęła głęboko w płuca wonną parę.

— Robię sobie parówkę z indyka — odkrzyknęła.

— Przestań natychmiast! — rzucił, odganiając ją machnięciem ręki, w której trzymał nóż. — Jezu Chryste! Jeden włos, tyle wystarczy, i następnego dnia Urząd Zdrowia zamyka mi lokal.

— Jeden włos, tak? — powtórzyła, udając, że wrywa sobie pasmo włosów i macha nim nad rosołem. — Tylko jedno twoje słowo, Chester, i uwolnię cię.

— Tylko jeżeli potrafisz zmienić to w garnek złota, jeśli o mnie chodzi.

— A co ty na to? — Wyciągnęła z kieszeni potwierdzenie wpłaty i pokazała mu je.

Zagwizdał, a potem, przyjrawszy się bliżej, zagwizdał jeszcze raz.

— Co to?

— Odprawa. Tyle płaci mi moja rodzina, żeby się mnie pozbyć.

Wyglądał na zmieszanego.

— Nie, naprawdę. Na co to?

— Naprawdę. I to naprawdę po to! — Popatrzyła tępo na niego na potwierdzenie. Dwa razy tego ranka podchodziła do telefonu, by zadzwonić do Rudy'ego, lecz potem nie była pewna, czy zatelefonuje do niego, by się pożegnać, czy po to, by błagać go, żeby z nią pojechał. Nie ważne, jak długo czy jak daleko będzie biegła, zawsze będzie próbowała zostawić w tyle jedną i tylko jedną osobę — Fionę Range. Rudy miał rację. Tym, czego nienawidziła najbardziej, była jej własna słabość, jej niezdolność doczekania do końca czegokolwiek. A teraz, właśnie wtedy, gdy Patrick najbardziej jej potrzebował, była nawet zbyt gotowa, by jego też opuścić. Jeżeli wyjechałaby teraz, skończyłaby jak jej matka, zawsze uciekająca, nigdy nie stawiająca czoła swoim demonom. — Dwadzieścia pięć tysięcy. — Westchnęła, wciskając papier do kieszeni. — Przypuszczam, że powinno mi to pochlebiać. Wiesz, wysoko mnie cenią, jako swoje utrapienie.

— No, za takie pieniądze to nie była zła fucha!

Patrzyła, jak szerokie, połyskliwe ostrze wycina zgrabne plastry z piersi, sięgając aż do kości.

— Cóż, za odpowiednią opłatą ty też możesz się mnie pozbyć!

— Twierdzisz, że płaciłem ci przez tyle czasu, co tydzień aż do teraz, żebyś uprzykrzała mi życie, a za te same pieniądze mógłbym po prostu powiedzieć: „Wynocha!” — Roześmiał się.

— Właśnie!

Otworzyły się wahadłowe drzwi i Donna wsadziła głowę do kuchni.

— Fiono, chyba twoi goście cię potrzebują. Ciągłe słyszę twoje imię. Zebrała swoje zamówienia i ruszyła do drzwi.

— Czekaj! — wrzasnął Chester, machając za nią nożem. — Co ty mówisz? Te pieniądze są po to, żeby się ciebie pozbyć? Nie zamierzasz stąd chyba odejść, co? — zawołał, a jego twarz skrzywiła się, jakby miał się za chwilę rozpłakać.

— Zaraz wracam. — Weszła tyłem na hałaśliwą salę, balansując talerzami, niosąc po dwa w każdej ręce i jeszcze po jednym na każdym przedramieniu. Od razu, z pochylonych głów przy pograżonym w ciszy stoliku i przenikliwych spojrzeń kobiet, odgadła, że opowiedziano właśnie baśń o Fionie Range, i to ze wszystkimi podniecającymi szczegółami. Mąż w bordowej bluzie z napisem „U. Mass.”, który ledwie kilka chwil temu z nią żartował, poprosił teraz zmieszany o dolewkę kawy.

Podeszła do płytki grzejnej przy kasie, gdzie Maxine zaparzyła właśnie dwa świeże dzbanki. Zerknęła za okno. Obok kawiarni przejechało wyblakłe, niebieskie kombi. Przsunęła się do szyby, by sprawdzić, czy to Patrick, lecz samochód zdążył już skręcić za róg. Czekwała, wpatrując się w szarą, pozbawioną promieni słonecznych ulicę. Dwaj mężczyźni przechodzili szybko koło kawiarni w długich, ciemnych płaszczach. Ich rozmowa zawisła w powietrzu parą. Samochód Patricka powinien już w każdej chwili przejeżdżać obok kawiarni. Jeśliby się zatrzymał, wybiegłaby na zewnątrz, nim zdążyłby wejść i zrobić scenę. Spojrzała na zegar. Minęły dwie minuty. Sam ostrzegał ją, by trzymała się od niego z daleka. Wujek Charles błagał ją, by zostawiła go w spokoju, lecz jak mogłaby teraz opuścić Patricka? Byli tacy do siebie podobni: ojciec i córka, każde z nich zbrukało się tak bardzo, tak nieodwracalnie, że nie można było ich pokochać. Bo jeśli nie było ich można pokochać, nie można ich było też nigdy zranić. Trzy minuty. Z głębokim westchnieniem ulgi stwierdziła, że to widocznie nie był on.

Do kawiarni wpadł powiew zimnego, wilgotnego powietrza, gdy otworzyły się drzwi frontowe i do środka weszły dwie kobiety niosące torby z zakupami. Maxine i Donna pochyliły się nad boksem, rozmawiając ze Scotty ze sklepu z upominkami naprzeciwko, więc Fiona chwyciła menu i zaczęła prowadzić kobiety do stolika z tyłu sali. Wtedy Maxine podniosła głowę i wskazała gestem miejsca przy oknie. Tu właśnie chciała, by usiadły te damy w połyskliwych futrach. Z samego przodu, gdzie wszyscy mogli je zobaczyć. Potem drzwi otwierały się i zamykały, gdy do kawiarni napływał równy strumień klientów, aż wszystkie miejsca zostały zajęte. A trzy grupki gości czekały przy kasie.

Fiona nalewała kawę przy długim stole, gdy usłyszała dobiegający z kuchni hałas. Był to dźwięk świadczący o tak osobliwym pośpiechu, że popatrzyła natychmiast na kuchenne drzwi.

— No! — krzyknął jeden z mężczyzn, cofając się gwałtownie na swoim krześle. — Patrz, co robisz!

— Przepraszam — wymamrotała, poprawiając dzbanek, gdy brązowa kałuża przelała się przez spodek i popłynęła wartkim strumieniem ku brzegowi stołu. — Zaraz wracam. — Popędziła do kuchni.

Ktoś w ciemnym ubraniu właśnie wpadł za półki spiżarni.

— Patrick! — wykrztusiła, gdy skoczył na nią zza stołu. Chwycił ją za nadgarstek. Jego palce wbiły się w jej ciało. Na jej ręce pojawiła się krew. Myślała, że to jego paznokcie przebiły jej skórę, dopóki nie zobaczyła rany na jego ramieniu. Krwawił. W drugiej ręce trzymał nóż. Na długim, szerokim ostrzu widać było smugi krwi. Wciąż nerwowo, burkliwie wymawiał te same niezrozumiałe słowa.

— Co to jest? — spytała, myśląc, że jest ranny. — Czego chcesz?

Przysunął twarz do jej twarzy. W odpowiedzi nie wydał głosu, lecz ciuchy, mroczny warkot bólu i oburzenia. Nie można było rozróżnić ani jednej sylaby. Pomyślała, że on mówi jakimś innym językiem. Nóż po chwili upadł tak blisko jej stopy, że poczuła, jak na kostkę pryska jej coś zimnego. Mogła tylko wypowiedzieć jego imię, gdy ciągnął ją do tylnych drzwi, szarpiąc ją za ramię, by wymusić na niej każdy krok. Jej uwaga skupiła się na osobliwych szczegółach, choć żadne z nich nie zdawały się mieć ze sobą związku. Na stole do pracy widziała kości, ciemne i jasne mięso, nie tylko pomieszane ze sobą, lecz jakby rozkrwawione. Na podłodze leżała tusza indyka, a naprzeciwko drzwi do chłodni — taca. Podłoga była mokra i śliska. Pod podszewkami trzeszczały oślizłe, kruche skorupki. Stojąca na blacie misa z jajkami leżała do góry dnem na podłodze. Wszędzie walały się rozbite jajka. Część żółtek wciąż była cała i połyskiwała w świetle lampy.

— Gdzie Chester? Co ty zrobiłeś? O mój Boże! — krzyknęła, patrząc w dół.

Siedział ciężko na podłodze, oparty o drzwiczki piecyka. Brodę otaczała mu, jak śliniaczek, szkarłatna plama, a jego głowa zwisała tak nisko, że zrozumiała od razu gróźbę czynu Patricka.

Patrick wypchnął ją przez tylne drzwi na zewnątrz, a potem wpakował do swojego wozu przez fotel kierowcy. Przytrzymując się jej, wsiadł do środka i uruchomił silnik. Błagała go, by ją puścił, lecz nawet wówczas, gdy wyjeżdżał tyłem z alejki i skręcał z piskiem opon, wciąż trzymał

ją za nadgarstek. Stare kombi grzechotało i skrzypiało, gdy rozpędzał się na Chestnut Street. Na zarośniętych policzkach Patricka połyskiwała krew.

— Co się stało, Patricku? Co zrobiłeś? Powiedz mi, proszę, powiedz mi — błagała.

— Powiedziałem, że muszę cię zobaczyć, ale on ciągle powtarzał: „Wynocha! Wynocha! Wynoś się stąd!” Miał wtedy ten nóż, tyle że ja zwyczajnie zacząłem wchodzić. Nie powiedziałem ani słowa — wydzyszał. — Ja go nie tknąłem. Ale on podszedł i napadł na mnie.

— Napadł na ciebie? — powtórzyła, usiłując uchwycić słowa unoszące się w tym koszmarze tak przypadkowo, jak wszystkie inne szczegóły, znału drogowe, pnie drzew i ściany domów, które teraz migały im za oknem pędzącego samochodu.

— Napadł na mnie od tyłu i nie powinien był tego robić. Nigdy nie powinien był tego robić — upierał się wysokim, rzężącym, łzawym głosem. — Starłem się nie stracić panowania nad sobą. Próbowałem, do diabła z nim! Próbowałem. Naprawdę próbowałem, ale on podszedł i napadł na mnie!

— Nie powinien był na ciebie napadać — powiedziała, patrząc na młodą kobietę przed nimi z dwoma beaglami na czerwonych smyczach. Kobieta miała długie, czarne włosy. To był zwykły dzień. Wszystko było takie zwyczajne. Starsza kobieta i mężczyzna toczyli kosz ze śmieciami po swoim podjeździe. Nic złego nie powinno się wydarzyć. — Nie powinien był tego robić — powtórzyła.

— Nie, ja wiem — zgodził się, gdy skręcał w Ridge Street. Pędził po pokrytej koleinami, krętej drodze. Cały samochód wibrował. Puścił ją, by prowadzić z obydwiema rękami na kierownicy. — Chciałem tylko z tobą porozmawiać. Dzwoniłem bez przerwy, ale było ciągle zajęte, więc w końcu zadzwoniłem do niego. Do Hollisa. Ten cholerny sukinsyn myśli, że zawsze będzie rządził moim życiem. „Pozwól jej odejść”, tak powtarzał. „Pozwól jej odejść, Patricku. Błagam cię.” Ale ja powiedziałem mu, powiedziałem mu w twarz. „Nie ma mowy”, tak powiedziałem. Już nigdy więcej. Uhm. Teraz tylko ja! To ja tu rządę! — Popatrzył na nią. — Od tej chwili ja mówię, jak ma być, a nie on! Ja! — powtórzył, waląc się w piersi.

— O czym ty mówisz? — spytała obojętnie.

— Ja się tobą zaopiekuję. Obiecuję ci.

— Patricku — zaczęła, lecz samochód zarzuciło na zakręcie i Patrick zamamrotał ze złością. Zaczął padać lekki śnieżek. Pokrywał cienką warstwą przednią szybę.

— ...wyniesiemy się stąd, do cholery, to właśnie zrobimy — bełkotał, usiłując dojrzeć coś nad kierownicą.

— Może wszystko z nim w porządku. To pewnie wygląda gorzej, niż naprawdę jest — odezwała się i usiłowała zamknąć oczy na przerażającą wizję zwisającej głowy Chestera.

— On nie żyje! — Zerknął na nią z pełnym niedowierzania śmiechem. — On, kurwa, nie żyje! O Jezu Chryste — jęknął, uderzając się w głowę. — Co się stało? Co się, do cholery, stało? Co, co, co, co, co się dzieje w tej mojej pieprzonej głowie?

— Napadł na ciebie. Powiemy im, co się stało. Pomogę ci to wyjaśnić — rzekła. — Nie powinien był na ciebie napadać. On miał nóż, a ty byłeś zaskoczony. Przestraszyłeś się. To było coś w rodzaju retrospekcji, jak Wietnam. Jak wszystko, co się tam stało, tylko że od nowa, od początku. To nie było tak, że poszedłeś tam, żeby kogoś zranić. Przecież byłeś bohaterem. Wszyscy o tym wiedzą.

Spojrzał na nią i roześmiał się. Przed nimi był zjazd. Skręcił gwałtownie na prawy pas.

— Patricku, ja nie jadę z tobą. Nie chcę! Pozwól mi odejść, proszę.

— Nie, jesteś tylko przestraszona, ale wszystko będzie dobrze! Obiecuję! Kocham cię, Fiono — oświadczył z uśmiechem tak szerokim i zaślionionym, że poczuła go aż w żołądku.

— Ale ja nie. Ja cię nie kocham, Patricku. Przykro mi, nie kocham cię...

Zjechał nagle na pobocze, a potem stanął z włączonym silnikiem. Przytrzymał ją za ramię.

— Wiesz, że nie — powiedziała. — Nie w ten sposób. Nie tak, jak ty chcesz. To chore! Nie rozumiesz? Niedobrze mi za każdym razem, gdy to powtarzasz. — Kombi kołysało się, gdy śmigały obok niego inne samochody, zasypując szyby brudnym, rozmokłym śniegiem.

— Dlaczego? Dlaczego nie możesz mnie kochać?

— Wiesz dlaczego. Przez nasze pokrewieństwo.

— Nie ma między nami żadnego pieprzonego pokrewieństwa! — Walnął w kierownicę. — Rozumiesz? Rozumiesz? Rozumiesz? — domagał się odpowiedzi, ajego głos był tak udręczony frustracją i wściekłością, że bała się odpowiedzieć. I zgoda, i spór mogły być teraz katastrofalne w skutkach. A jednak czuła, że jej lęk daje mu pocieszenie i siłę, że mimo jego własnej paniki umacnia go w postanowieniu. Położył jej dłoń na karku, a ona odwróciła głowę. — Jeśli powiem ci, kto jest twoim ojcem, nic nie będzie już stać na przeszkodzie. Wtedy będziesz mnie mogła kochać

tak, jak ja cię kocham. — Przyciągnął do siebie jej twarz. Czuła jego gorący oddech na swoich oczach.

— Nie rób tego — wykrztusiła, usiłując odwrócić głowę, gdy przysunął się jeszcze bliżej. — Proszę, nie.

— Czego mam nie robić? Nie mówić ci? Dlaczego? Bo już wiesz? Wiesz, prawda? Wiesz, że to on. — Obserwował jej przerażenie z błyszczącymi oczami, z mrozącą krew w żyłach, radosną intensywnością. — Twój wujek Charles — oświadczył, przyciskając się do niej. Czuła w ustach jego kwaśny, piwny oddech.

— Nie! — krzyknęła, odsuwając się, gdy jej mózg eksplodował dziwnymi obrazami i niewytłumaczalnymi frazami. — To śmieszne — mówiła, gdy zamknął oczy i pocałował ją. Przycisnął jej dłoń do swojej piersi. Przd jego koszuli był mokry i lepki. Zapach, mroczny i metaliczny, równie znajomy, jak obcy: krew, krew Chestera. Jej żołądek zafalował i odepchnęła Patricka, krztusząc się. Wyciągnął rękę, a ona ją uderzyła. Mamrocząc pod nosem, wrzucił bieg i z piskiem opon wyjechał na jezdnię, nie zwracając uwagi na trąbienie klaksonów.

— Może ci sam to powiedzieć. To właśnie zaraz zrobimy — wydyszał, jakby ją ostrzegając. — Pozwolę mu, żeby ci to powiedział...

Samochód zagrzechotał głośno, gdy przejeżdżali po pokrytym metalową kratą moście do Collerton. Skręcił w Essex Street. Była zszokowana i jednocześnie odczuła ulgę, gdy zdała sobie sprawę, że zmierzają w kierunku sądu. Zamieszanie tam zrobi się dużo większe, ale przynajmniej ona będzie bezpieczna. Do tej pory na pewno odkryto już ciało Chestera. Policja czekała już pewnie na Patricka w sądzie. Gdy skręcił na parking, oczekiwała widoku rzędu wozów policyjnych, lecz stały tam tylko zwykłe samochody, wszystkie białe, pokryte padającym łagodnie śniegiem. Ochroniarz otworzył drzwi swojej kwadratowej budki i wyjrzał na zewnątrz. Rozpoznawszy Patricka, uśmiechnął się i pomachał do nich, by wjeżdżali, nim schronił się z powrotem w budce. Pomyślała, że oczywiście nikt nie wie, co on zrobił, że zaatakował z takim okrucieństwem, że niemal odciął Chesterowi głowę, że ta smuga na jego policzku, tak jak plama na koszuli, nie była błotem czy olejem, lecz krwią. Nikt nie wiedział, nikt oprócz niej.

Trzymając ją za rękę, Patrick precyzyjnie się za nią do drzwi, a potem ruszyli razem przez parking. Śnieg padał gęsto. Na białym puchu były tylko ich ślady. Nie miała kurtki na swoim uniformie. Drżała, lecz zamiast zimna czuła tylko zobojętnienie. Była całkowicie świadoma wszystkiego, co ją otaczało, nawet najbardziej przypadkowych szczegółów, choć to

wszystko działało się jakby poza nią. Była swym własnym świadkiem. Zmysły nadwątlały jej wolę. Ponieważ bukiet strachu jest równie ostry, co znieczulający, widziała, czuła ten zapach, słyszała, odczuwała dotykiem, a nawet wyczuwała smak bardziej przenikliwie niż kiedykolwiek wcześniej. A do tego ogarnęła ją niemoc.

— Tutaj! — szturchańcem popchnął ją w dół śliskiej, podziemnej klatki schodowej, która prowadziła do szerokich, metalowych drzwi na tyłach starego, ceglanego budynku. Usiłował przekreślić gałkę, lecz były zamknięte.

— Patricku, po co to? Dlaczego nie...

— Po co? — wymamrotał, wyciągając z kieszeni kółko z kluczami. — Zaraz ci, kurwa, pokażę, po co. — Wsunął jeden w zamek. Drzwi otworzyły się ze skrzypinięciem, ukazując zatęchłe ciemności.

Modląc się, by ktoś wynurzył się z cieni, wstrzymała oddech, gdy popychał ją przez wąską suterенę o niskim suficie. Na pewno zobaczą jej przerażenie, jej błyszczące oczy. Przeszli przez pełną głośnego poszczekiwania kotłownię, a potem przez magazyny wypełnione po sufit brązowymi i szarymi kartonami na akta.

— Hej, Patrick — zawołał ze swojej niszy rudowłosa mężczyzna w ciemnoniebieskich spodniach i koszuli. Przymocowywał posmarowaną klejem nogę do sponiewieranego, dębowego krzesła. — Wróciłeś!

— Taa, palancie — wymamrotał Patrick pod nosem, popychając ją dalej.

— Poczekaj! — próbowała krzyknąć do tyłu, usiłując się odwrócić. — Proszę...

— Przestań! — burknął Patrick, uderzając swoim ciałem w jej ciało, by skierować ją za róg. — Nie rób tego! Nie rób! — ostrzegł, wgniatając ją niemal w ścianę z pustaków. — Nie zmuszaj mnie, żebym to zrobił. Nie zmuszaj mnie, żebym kogoś zranił. Mam pistolet i przysięgam, że go użyję — powiedział, sięgając do tyłu, do swojego paska. — Zrobię to. Ty to wiesz, prawda?

Skinęła głową.

— Więc bądź cicho. Tylko tyle, bądź tylko teraz cicho, naprawdę, naprawdę cicho — wyszeptał, gdy wspinali się po tylnych schodach. Ich kroki na metalowych stopniach rozlegały się głuchym, pustym *bam, bam, bam*, jak dźwięk pękniętego dzwonu.

Na pierwszym podejściu sama skręciła w kierunku schodów prowadzących do biura wujka na następnym piętrze.

— Idź dalej — burknął, popychając drzwi i prowadząc ją długim, wypełnionym hałasem korytarzem. Ludzie stali skupieni w dwu- i trzyosobowych grupkach, większość z nich była zbyt zajęta, by zerknąć w jej stronę. Spójrzcie na mnie! Tak krzyczała jej umysł. Nie widzicie, co się tu dzieje? Rozpaczliwie starając się uchwycić czyjeś spojrzenie, wpatrywała się w każdą twarz, a potem zdała sobie sprawę, jakie to daremne. Jego koszula była dość ciemna, by ukryć krew, a trzęsąca się kelnerka w stroju z krótkimi rękawami nie zasługiwała na zbyt wiele uwagi u ludzi, których własne nieszczęścia przywiodły do tego gmachu.

— Następne — odezwał się. Przez całą drogę małe, ponumerowane znaki sterczały jak metalowe flagi nad wszystkimi tymi drzwiami z matowego szkła. Zatrzymali się przed salą numer 114. Rozpoznała czysty, silny głos, który wznosił się i opadał za zamkniętymi drzwiami.

— Nie można! — Wzdrygnęła się i cofnęła. — Mają posiedzenie.

— Zarządzi przerwę.

— Nie!

— Wchodź. — Wyciągnął obok niej rękę, by otworzyć drzwi.

Była to jedna z największych sal w sądzie. Większość miejsc była zajęta. Urzędnik sądowy obejrzał się przez ramię, gdy weszli, a potem szybko skinął głową Patrickowi. Zatrzymali się z tyłu sali. Muskularny, młody mężczyzna w tweedowym, sportowym płaszczu i wełnianych spodniach zaprasowanych w ostry kant stał przed sędzią Hollisem ze spuszczoną głową i złożonymi rękami. Wyglądał na mniej niż dwadzieścia lat. Łysiejącym, korpulentnym prawnikiem przy jego boku był Will Canty, stary przyjaciel wujka. Wszyscy w pierwszym rzędzie wyglądali na członków rodziny młodego mężczyzny. Dobrze ubrani i schludnie wyszykowani, słuchali sędziego z pełną powagą i szacunku uwagą, zerkając smutno od czasu do czasu na ich napiętnowanego krewnego, by kiwnąć głową lub skrzywić się na jedno czy drugie upomnienie z ust sędziego.

Jeśli wujek zobaczył, jak wchodziła z Patrickiem, nie dał tego po sobie poznać. Ubrany w czarną togę i górujący nad tą salą za swoją ustawioną na podwyższeniu ławą, wyglądał wspaniale ze swymi śnieżnobiałymi włosami i zdrową cerą.

To niemożliwe, by był jej ojcem. Było niewyobrażalne, by kiedykolwiek pozwolił, żeby cokolwiek w jego życiu tak bardzo wymknęło się spod kontroli i tak się zakończyło. Nie. Nie on. Nie ten dobry i zacny człowiek, który zawsze jej przebaczał, nieważne, jak wielkie były jej występki. Lecz teraz już nie. Nie tym razem. Tym razem przekroczyła ostatnią granicę i potwór, którego stworzyła, pożre ich wszystkich. Słuchała

uważnie, jakby powaga słów wujka mogła w jakiś sposób odsunąć z jej ramienia ten szalony uścisk.

Młody mężczyzna został oskarżony o wtargnięcie w godzinach nocnych i wandalizm. Znak na dachu stacji benzynowej został rozbity, świetlik — potłuczony, a na klawiaturę komputera wylano olej. Wujek spytał młodego człowieka, co skłoniło go do myślenia, że może brać lub niszczyć to, co należy do kogoś innego.

— Nie wiem, panie sędzio — odpowiedział młody człowiek. — Myślę, że po prostu za dużo wypięłem.

— Czy to twoja wymówka?

— Nie, panie sędzio.

— Mam taką nadzieję, Jared, ponieważ nie ma żadnej wymówki ani żadnego uprawnienia, które zezwalałoby na takie działania. To społeczeństwo prawa, społeczeństwo, w którym musi panować porządek — oświadczył surowym tonem, choć wiedziała, że współczuje temu młodeму człowiekowi i jego zawstydzonej rodzinie. Jeśli zamknęłaby oczy, miałaby wrażenie, że mówi do niej.

Urzędnik sądowy odwrócił się wtedy i szepnął, że muszą usiąść, jeśli chcą zostać na sali.

— Musimy zobaczyć się z sędzią — odparł Patrick cichym, podenerwowanym głosem.

— Wkrótce skończę — poinformował urzędnik.

Fiona odpowiedziała mu błagalnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

— Nie. Ja muszę się z nim zobaczyć teraz. Natychmiast — oznajmił Patrick.

Wujek Charles pochylił się nad ławą ze złożonymi rękami, cały swój zapach i troskę skupiając na tym zbłąkanym młodzieńcu.

— Życie będzie dla ciebie o wiele łatwiejsze, Jared, gdy zaakceptujesz ciężki, lecz w końcu całkiem prosty fakt, że istnieje dobro i istnieje zło. Wiem, że jest modne w dzisiejszych czasach nazywać wszystko, co wymyka się określonym normom i zasadom, szarą strefą. Ale to nie szarość, to po prostu ślepotą moralną. — Wujek nałożył okulary, podniósł wzrok i wzdrygnął się. Otworzył usta. Fiona mogła tylko odpowiedzieć mu uporzeczym spojrzeniem pełnym winy i rozpacz.

— Poczekaj, Patrick — namawiał cicho urzędnik. Zaczął kłaść dłoń na ramieniu Patricka.

— Nie! — zawołał głośno Patrick. Ludzie odwrócili głowy. Urzędnik znieruchomiał, spoglądając na wujka Charlesa i na Patricka.

— Wybacz mi — odezwał się wujek Charles do młodego mężczyzny, a potem popatrzył na tyły sali. — Może pójdziesz do mojego biura, Patricku? Niedługo tam będę. — Zamknął teczkę, a potem pochylił się, by przemówić do młodego mężczyzny.

— Nie mamy czasu! — krzyknął Patrick. — Ona musi się z tobą zobaczyć. Teraz! Natychmiast!

Wujek wstał. Woźny zbliżał się do nich powoli z przodu sali. Gdy był już tylko o kilka kroków od nich, urzędnik sądowy podszedł i znów dotknął ramienia Patricka.

— Nie rób tego! — warknął Patrick.

— Patricku, proszę! — odezwała się Fiona.

— Zejdź mi, kurwa, z drogi! — ryknął Patrick.

— O mój Boże — wykrztusiła jakaś kobieta, a inni ludzie skulili się na swoich miejscach.

— W porządku — rzekł wujek, schodząc szybko po schodkach. — Wszystko w porządku. Nie ma się czym przejmować. Potrzebujemy tu tylko trochę czasu. Zaraz wyjaśnimy całe nieporozumienie. — Jego głos był i cichy, i dodający otuchy, gdy się do nich zbliżał. — Więc odraczamy tę sesję na resztę dnia. Tom — powiedział do szokowanego woźnego — to nieporozumienie, już dobrze.

— Jest pan pewien, panie sędzio? — spytał woźny.

Wujek pchnął przed sobą drzwi.

— Możemy iść na górę do mojego...

— Pójdziesz tam, gdzie my. — nakazał mu Patrick. Zaskoczony urzędnik sądowy spytał znowu, czy wszystko w porządku, a sędzia zapewnił go, że tak. Zaraz wróci.

Posuwając się szybko przez zatłoczony korytarz, Fiona szła między dwoma mężczyznami. Jej ramię było mokre pod zaciśniętą dłońią Patricka. Pot lal jej się po skroniach.

Wciąż w swej sędziowskiej todze, wujek szedł z teczką pod ramieniem. — Dzień dobry... Cześć, Jim... No, sam adwokat Danisch... Witam — odpowiadał spokojnie na zaskoczone spojrzenia kolegów, obserwujących to oburzające pogwałcenie sądowych form towarzyskich, szczególnie przez kogoś, kto zawsze tak wymagał ich przestrzegania.

Pośpieszyli w dół po tylnych schodach, a potem, tym samym mrocznym przejściem, do tylnych drzwi. Teraz w każdej chwili Fiona spodziewała się, że zabrzmia głosy, nakazujące im się zatrzymać, lecz już otwierali ciężkie, metalowe drzwi i wspinali się po zaśnieżonych stopniach na parking.

— Nic ci nie jest? — spytał wujek z ręką przy jej łokciu.

Pokręciła głową i zaraz ją odwróciła, zawstydzona. Teraz śnieg padał szybciej, płatki były większe i bardziej mokre, gdy uderzały w jej twarz. Patrick kazał wujkowi wsiąść za kierownicę, a potem wepchnął ją na tylne siedzenie i sam wsiadł za nią.

— Uruchoom samochód! — rozkazał Patrick.

— Słuchaj, Patricku. — Wujek westchnął, kładąc osłonięte czarna togą ramię na oparciu siedzenia i oglądając się do tyłu. — Możemy porozmawiać tutaj równie dobrze, jak gdziekolwiek indziej. Nie ma sensu jeździć, kiedy drogi są...

— Uruchoom samochód. Powiedziałem ci, żebyś go uruchomił! Ruszaj! Włącz silnik! — zażądał Patrick.

— Drogi będą bardzo śliskie, Patricku — powtórzył wujek swoim najbardziej rozsądnym tonem.

— Pieprzyć drogi! Jeżeli nas stąd nie wydostaniesz, odstrzelę ci pierzoną głowę!

— Co? To znaczy, że masz pistolet? — zapytał wujek, uruchamiając samochód. — Zerknął z niedowierzaniem w lusterko wsteczne. Skinęła głową.

— Taa, mam — odparł Patrick, gdy łyse opony potoczyły się, chrupiąc na śniegu, obok pokrytej białą czapą budki strażnika. W środku strażnik siedział zgarbiony nad gazetą.

— Skąd, na Boga, go wystraszałeś, Patricku? Masz zezwolenie? — pytał wujek Charles, skręcając wolno w Essex Street.

— Jezu Chryste! Mówisz poważnie? — oświadczył Patrick z piskliwym śmiechem, który wbił się jak ostrze w kręgosłup Fiony. — A to dobre, sędzio. To naprawdę, naprawdę dobre!

— Nie potrzebujesz pistoletu, żeby ze mną porozmawiać, wiesz o tym — odparł wujek.

— Taa, cóż, to nie ja chcę rozmawiać, Charlie. — Szturchnął jej nogę swoją. — Śmiało, spytaj go. Spytaj!

Fiona potrząsnęła głową ze spuszczonej oczami. Była zubożona, była tylko martwym ciężarem w tym wzburzonym strumieniu. Szturchnął ją jeszcze raz, nalegając, by zapytała.

— Nie — szepnęła.

— Patricku, posłuchaj, może... — zaczął wujek.

— Zamknij się! Zamknij się, kurwa! — wrzasnął Patrick, machając na niego.

Wujek otworzył i zamknął usta. Twarz miał krwistoczerwoną. Patrzył tylko na Patricka. Czuła się okropnie zawstydzona, nie z powodu siebie, lecz tego człowieka, dzięki dobroci którego się wychowała, nie dając w zamian zbyt wiele ponad kłopoty i wstyd.

— To na mnie jesteś wściekły, Patricku, więc dlaczego... — zaczął wujek.

— Nie! — ryknął Patrick. — Nie jestem wściekły. Ja cię po prostu nienawidzę do szpiku kości, tylko tyle! — Rozsiadł się, szczerząc zęby, gdy ścisnął jej dłoń.

— Wobec tego w porządku. To mnie chcesz zranić, więc posłuchaj — odezwał się wujek Charles, wrzucając kierunkowskaz. — Może zatrzymamy się i wypuścimy Fionę, a potem ty i ja będziemy mogli dojść do porozumienia.

Usiłowała wciąż złapać jego spojrzenie w lusterku wstecznym, by potrząsnąć na to głową. Nie miał pojęcia, co stało się z Chesterem. Nie zostawiłaby go samego z tym szaleńcem.

— Nie, ty pieprzony, fałszywy skurwysynu, ty! — ryknął Patrick ze śmiechem. — Chcę, żeby usłyszała to od ciebie. Dlatego tu jest. Więc możesz jej powiedzieć.

— Nie sądzę, by Fiona czuła się zbyt dobrze, Patricku. Myślę, że potrzeba jej trochę odpoczynku. Może jednak ją wysadzimy? W ten sposób ty i ja będziemy mogli porozmawiać, a potem po nią wrócimy.

Patrick zgiał się wół i zatupał nogami z udawaną wesołością.

— Będzie mogła odpoczywać, ile tylko będzie chciała, ale potem — oświadczył, rzucając się do przodu. Przycisnął pięść do karku wujka. — Po tym, jak powiesz jej prawdę. Skręć tu! Wjedź na czterysta dziewięćdziesiątą piątą. — Wskazał na widoczny przed nimi znak zjazdu z autostrady.

Wypatrując drogi w padającym śniegu, wujek pochylił się nad kierownicą. Pracowała tylko jedna wycieraczka. Nawet przy pełnej prędkości przednia szyba nie mogła pozostać czysta. Samochód zatańczył, gdy skręcali na zjazd z autostrady, a ona modliła się o awarię.

Po zaledwie kilku milach zjechali z autostrady. Wyglądało na to, że pędzą do odległego rejonu Dearborn, tam, gdzie mieszkał Patrick. Lecz teraz, po serii szybkich zakrętów na rozkaz Patricka, wjeżdżali do Parku Przemysłowego w Dearborn.

— Tutaj! — oświadczył Patrick, gdy zbliżali się do znaku do Millstone Corporation. Był to wielki, brązowy budynek, cały ze szkła i kamienia. Patrick skierował wujka Charlesa przez na wół wypełniony parking,

a potem na tyły fabryki, obok ramp załadowniczych i po wąskiej, wybetonowanej drodze, która zapewniała dostęp do dwóch wielkich, niebieskich pojemników na śmieci. Wydawało się, że droga kończy się na brzegu lasu, gdzie między dwoma betonowymi słupami rozciągnięto przetykany światłkami odbłaskowymi łańcuch. Tutaj śnieg leżał nienaruszony i nie posypany piaskiem. Opony zafurkotały i samochód zaczął się staczać. — Zwolnij — krzyknął Patrick, a wujek Charles mocno nadepnął na hamulec. Samochód obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Fiona obserwowała wujka w lusterku, gdy Patrick krzyczał na niego, by wyrównał. Celowo jechał zbyt szybko. Usiłował rzucić samochód w głęboki wąwóz ciągnący się wzdłuż drogi. Teraz ujrzała w jego umykającym spojrzeniu strach, jakby doskonale wiedział, gdzie są i jak się to skończy. Gdy spojrział do tyłu, chciała mu powiedzieć, jak jest jej przykro za to wszystko i za cały ten ból, który mu sprawiła. Lecz on patrzył na Patricka.

— Tutaj możemy lepiej porozmawiać, prawda, nasz sędzio? — westchnął Patrick, pochylając się ku niemu.

— Patricku, wypuść ją. Proszę — błagał wujek.

— Cóż, wszyscy stąd sobie pojedziemy, lecz najpierw Fiona chce się dowiedzieć, kto jest jej ojcem. Tylko tyle. — Wzruszył ramionami. — Bardzo proste, nie?

Z zaciśniętymi szczękami i posępną twarzą, wujek odwrócił się szybko od nich.

— Powiedz jej, ty hipokryto, ty pieprzony fałszywcu! — wrzeszczał Patrick do jego odwróconej, nieruchomej głowy. — No dobrze, to wysiadaj... — Gdy wujek wysiadł z samochodu, Patrick powiedział mu, by zdjął jeden koniec łańcucha ze słupka.

Patrzyła, jak rusza tam, powłócząc nogami, wśród wirującego śniegu w swoich wąskich, angielskich półbutach z dziurkami i w tej czarnej todze, która plątała mu się wokół kolan. Gdy już podniósł łańcuch, wsiadł z powrotem i zaczął kręcić kierownicą. Wjechał kawałek za słupki, a potem wysiadł, jak nakazał mu Patrick, i zawiesił z powrotem łańcuch w poprzek drogi. Wydawał się oddychać z trudem, gdy gramolił się znowu do samochodu.

— Czy czujesz się dobrze, wujku Charlesie? — spytała, kiedy samochód posuwał się powoli po śniegu.

— Nie nazywaj go tak! — wybuchnął Patrick, uderzając wujka w tył głowy. Samochód zatrzymał się i wujek zaczął skręcać. — Jedź dalej, sukinsynu! Ty pieprzony, cholerny sukinsynu! — wrzeszczał Patrick, nim wóz znów ruszył. Kazał wujkowi jechać drogą w głąb lasu.

— Dokąd jedziemy? — spytała Patricia Fiona. Szczękała zębami. Bała się tego, co mógłby zrobić, jeśli ona znów odezwie się do wujka.

— Powiedz jej — odezwał się z szerokim uśmiechem Patrick.

— Nie da się pojechać za daleko — ostrzegł tylko wujek, posuwając się powoli po starej drodze do zwózki drewna, która od tego miejsca w głąb lasu była wąska i nieutwardzona, a teraz, wśród tworzącego zaspę śniegu, zdradliwa.

— Więc pojedziemy tak daleko, jak będziemy mogli. Do diabła, czy właśnie tego, tak czy owak, nie robiliśmy przez ten cały czas? — oświadczył nagle.

— Dlaczego, Patricku? — krzyknął wtedy wujek Charles zbolalym głosem. — Co dobrego z tego wyniknie?

— Dużo dobrego. Bo ja kocham Fionę, ale, wiesz, mamy te... komplikacje. Myśli, że jestem jej ojcem. Nieważne, co mówię, nie uwierzy mi, więc chcę, żebyś powiedziała jej prawdę, żebyśmy mogli być razem, żebyśmy mogli dokądś wyjechać i wydostać się stąd.

Zbyt zawstydzona, by spojrzeć na wujka, odwróciła wzrok.

— Ja już jej mówiłem — ciągnął Patrick. — Ale teraz ty musisz jej to powiedzieć. Więc śmiało, powiedz jej! Powiedz jej! — zażądał zamachnąwszy się ręką, by uderzyć wujka w tył głowy, gestem, który byłby niemal infantylny w swojej słabości, gdyby nie nienawiść skracająca jego poznaczoną bliznami twarz.

Zatrzymał samochód i przesunął dźwignię. Otaczała ich biel. Gałęzie uginały się pod ciężkim, mokrym śniegiem. Wujek rzucił do tyłu piorunujące spojrzenie.

— A potem co, Patricku? Co dalej? — zapytał, a głos drżał mu z oburzenia i pogardy.

Zdawało się, że to uspokoiło Patricka. Uśmiechnął się i ucichł na chwilę.

— To wszystko — odparł w końcu. — Tylko tego chcę.

— I co się wtedy stanie z Fioną? — spytał wujek.

— Pojedzie ze mną. Ja się nią zajmę. — Czują, jak cała kurczy się w środku, gdy Patrick objął ręką jej ramię i przyciągnął ją do siebie. — Więc powiedz jej. Powiedz jej, że nie jesteś wujkiem. Że jesteś jej ojcem. Powiedz jej, Charlie. No. Tylko tego chcę. Tylko tyle musisz powiedzieć.

Bojąc się przeciwstawić Patrickowi i nie będąc w stanie spojrzeć na wujka, Fiona siedziała z pochyloną głową.

— Nie proszę o żadne gówniane szczegóły — mówił dalej Patrick. — Chcę tylko...

— Czy to prawda, Fiono? — spytał wujek tym aż nazbyt znajomym tonem niedowierzania i wstrętu. — Kochasz go?

— Powiedz jej! — zażądał Patrick, nim mogła odpowiedzieć. — Powiedz jej! Powiedz jej!

— Zmusiłeś ją, żeby tu przyjechała, prawda? Tak, jak zmusiłeś mnie. To nie z powodu prawdy tu jesteśmy, zgadza się? Bo ty tak naprawdę jej nie chcesz, prawda, Patricku? Pomyśl o tym. Jak mógłbyś? Jak to możliwe? Nie. To jest moja kara, tak? Patrząc, jak ranisz Fionę. Patrząc, jak ją bezczęścisz. Cóż, to się nie stanie. Nie pozwolę ci. Nie ją. Nie tutaj. Nie! Będziesz mnie najpierw musiał zabić!

Wrzucił nagle wsteczny. Nie mógł zakręcić, więc chciał tyłem wyjechać z drogi, którą tu dotarli. Patrick wrzasnął na niego, by się zatrzymał. Koła zabuksowały i samochód zakręcił się na drodze, a potem ześliznął się bokiem do rowu i oparł się w gąszczu ugiętych pod ciężarem śniegu gałęzi. Wujek Charles jak oszalały wciąż zmieniał biegi, starając się odzyskać przyczepność, lecz łyse opony tylko kręciły się i kręciły, i kręciły, z wysokim, przyprawiającym o mdłości skomleniem.

— Wysiadaj! — zażądał Patrick, gramoląc się z przechylnego samochodu. Wyciągnął rękę do Fiony, a jej opór był daremny, gdy wywlekała ją za kostkę i nadgarstek. Monety zadzwoniły i potoczyły się po jej nodze, rzeźbiąc dziurki w śniegu. — Teraz ty! — nakazał wujkowi, który szybko do nich dołączył, gdy zobaczył, że Fiona stoi na zewnątrz.

Zęby jej szczykały, gdy obejmowała swoje nagie ramiona w ochronie przed śniegiem. Patrick chodził w tył i w przód, jego szaleńcze żądanie, by Hollis przyznał się do ojcostwa, brzmiało dziecinnie i histerycznie tutaj, na tej opuszczonej drodze, w środku burzy śnieżnej.

— Czy przemyślałeś to, Patricku? Aż do tej logicznej konkluzji? Do końca? — spytał wujek.

— Tak! — powiedział, obejmując nagle Fionę tak mocno, że mogła tylko pochylić głowę. — Oczywiście, że tak. Obydwoje to przemyśleliśmy.

— Nie! Nie! — krzyknęła, usiłując go odepchnąć. Wbiła łokieć w jego bok i podbiegła do wujka. — Przepraszam. Przepraszam. — Usiłowała mu powiedzieć, że nigdy nie chciała, by zdarzyło się coś takiego. — Powinna być cię posłuchać. Wiem, że to...

Patrick wyciągnął ku niej rękę. Odwracając się, uderzyła go w twarz z taką siłą, że zatoczył się na boki i złapał się samochodu. Twarz miał tak ściśniętą z wściekłości i cierpienia, gdy się do niej zbliżał, że jego oczy zdawały się wychodzić z czaszki.

— Zostaw mnie w spokoju! — wrzasnęła, przerażona jego furią i bólem. — Nie jadę z tobą. Słyszysz mnie? Nie chcę cię przy sobie. Nie dotykaj mnie! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! — wrzeszczała, gdy schwycił ją za ramię.

— Zabierz od niej te ręce! — zażądał wujek, ciągnąc go, na co Patrick odwrócił się i walnął go w brzuch. Wujek zgiał się wpół, a potem opadł na kolana, podpierając się dłońmi w śniegu.

— Sukinsyn. Cholerny sukinsyn — wymamrotał Patrick i kopnął go w bok z obrzydliwym łomotem, i kopał dalej z każdym nowym wybuchem wściekłości. — Ona była tylko dzieciakiem, jak ja. Tylko dzieciakiem, a ty się z nią pieprzyłeś. Miałeś wszystko, sukinsynu. Miałeś żonę i dzieci, ale to cię nie obchodziło, nie, ty sukinsynu. Musiałeś zabrać jedyną rzecz, którą miałem, jedyną dziewczynę, jaką kiedykolwiek miałem. Kochałem ją, a ty to zniszczyłeś! Zniszczyłeś ją! Wszystko zniszczyłeś. Zabrałeś całe moje życie, ty mazgajowaty sukinsynu, ty...

Wujek z trudem łapał powietrze, usiłując wstać. Podniósł głowę i przewrócił oczami. Potrzebował pomocy, lecz ona nie mogła się ruszyć, nie śmiała, bo wszystko stało się rozmazane i odległe. Jest taki dźwięk, który słychać, gdy śnieg spada pośród drzew. Niezauważalny, dźwięk ten jest cichy, ledwie szept, dopóki się go nie słucha, a wtedy słyszy się, jak jeden po drugim, płatki uderzają w każdą gałąź, igłę i liść, a opadająca białość zmienia się w przypływ, który narasta do takiego ciągłego, ogłuszającego ryku, że nie ma już żadnej granicy, żadnego podziału między ziemią a niebem.

— Kochałem ją — krzyczał Patrick. — Nieważne, co się ze mną stało, wiedziałem, że na mnie czeka. A potem, kiedy wróciłem do domu, wszystko było inaczej. Nie mogłem w to uwierzyć. Utleniła włosy. W każdej chwili mogła urodzić dziecko. Czułem się rozdarty, ale pojechałem z nią, gdy miała rodzić. On nie, ten sukinsyn, ale ja tak! Tak! Bo ją kochałem! — ciągnął, patrząc na nich. — Była jedyną dziewczyną, którą kiedykolwiek kochałem. Aż znalazłem ciebie.

Fiona potrząsnęła bezradnie głową. Nie było nic do powiedzenia. Nie było żadnego słowa, ani jednego słowa na taką chwilę, na takie rewelacje. Dziwny, wewnętrzny, pulsujący spokój uciskał jej mostek. Jakie nieodparte szaleństwo przywiodło ich tutaj? Czyj grzech? Wciąż powtarzał jej imię. Fiona. Fiona. Fiona. Cofnęła się.

— Zaopiekuję się tobą. Zaopiekuję. Przysięgam, zawsze będę się tobą opiekował — wyszeptał. Jego lodowata dłoń zaciskała się na jej ramieniu.

Nie. Nie. Nie. Nie, odpowiadała na każde powtórzenie, lecz on już prowadził ją do lasu. Pokaże jej. Dowie się. W końcu się dowie. Dowie się wszystkiego.

— Nie idź tam, Fiono! — błagał wujek Charles, trzymając się za bok, gdy usiłował się podnieść. — Nie idź z nim!

Szedł za nimi, kuśtykając, szamocząc się, by dotrzymać im kroku, miażdżąc kruche liście pod świeżym śniegiem. Linia wrzecionowatych sosen na wysokim grzbiecie oznaczała ich cel. Mokry uniform przygnał do jej pleców. Blisko za nimi, kulejąc, Hollis dyszał z wysiłku i bólu. Tutaj zarośnięta droga stawała się bardziej stroma, zwężając się w ścieżkę. Fiona podążała za Patrickiem, gdy wspinał się na grzbiet z tak niewielkim wysiłkiem, że nagle znalazł się już na szczycie i czekał tam na nią. W połowie drogi na górnej stopa odsłoniła pasmo lodu i Fiona ześliznęła się, podpierając się rękami. Gdy wstawała, Hollis znalazł się u jej boku.

— On nie wie, co robi — odezwał się.

— Wiem — odparła.

— Posłuchaj mnie! — wykrztusił, trzymając się za pierś. — Jest szalony! Postradał zmysły!

Skinęła głową.

— Zabił Chestera.

— Nie. Och, mój Boże, nie — jęknął, rozglądając się dziko dookoła. — Ten kamieniołom. Nie możesz tam iść. Chodź. Uciekaj. Możemy zejść z powrotem...

— On pójdzie za nami — odpowiedziała, zdumiona, że on myśli, iż mogliby uciec.

— Czekam! Chodź tutaj! — darł się Patrick, ruszając ku nim. — Nie każ mi schodzić tam znowu!

— Jeżeli się pośpieszymy... — mówił Hollis, gdy zaczęła się znów wspinać na śliskie wzniesienie, chwytając się gałęzi i młodych drzewek, by podciągnąć się w górę.

Patrick zatrzymał się, czekając, dopóki do niego nie dotarła. Weszła za nim na wzniesienie, a potem przeszli sto jardów dalej, aż stanęli nad kamieniołomem. Jego czarny spokój był ledwie zeszepeczony przez padający śnieg. Był to najwyższy punkt, spadek wynosił tutaj co najmniej sześćdziesiąt stóp. Strome, granitowe ściany pod nimi miały tylko kilka postrzępionych półek skalnych na tyle szerokich, by zgromadził się tam śnieg.

— Ona jest tam na dole — odezwał się Patrick tak cicho, że ledwie na niego zerknęła.

Chrapliwe dyszenie Hollisa stawało się coraz głośniejsze, gdy się do nich zbliżał.

— W swoim samochodzie — ciągnął Patrick. — W bagażniku. Włożyłem ją do tego bagażnika, potem. Nie wiedziałem, co mógłbym innego zrobić... — Zamknął oczy i potrząsnął głową.

— Dlaczego?

— Nie chodziło o dziecko. To nie to. Miała je oddać do adopcji. Oni chcieli, żeby to zrobiła, on i Arlene, ale potem ona zmieniła zdanie. Nie odda. Odmówiła, a oni byli tacy wściekli. „W porządku”, tak powiedziałem. „Więc pobierzmy się.” Powiedziałem jej, że to w porządku. Dam sobie z tym radę. Zaopiekowałbym się nią. Ale ona odpowiedziała, że nie, że nie może. Mówiła, że dali jej pieniądze, by wyjechała. Chcieli, żeby przeprowadziła się gdzie indziej, żeby ludzie nie wiedzieli, że miała dziecko z mężem swojej siostry. Dziesięć tysięcy dolarów. Wszystko tam jest, z nią, w niebieskim pudełku po butach. Przyniosła je, żeby mi pokazać. Błagałem ją, żeby nie wyjeżdżała. Powiedziała, że musi. Zerwała się i powiedziała, że pojedzie po dziecko. Mówiłem jej, że wobec tego z nią pojedę. To nie miało dla mnie znaczenia, dopóki byliśmy razem. Zaczęła płakać i powtarzała wciąż, że nie, że nie mogę, a ja jej mówiłem, że tak, tak, tak, mogę. „Muszę sama”, tak powiedziała. A potem oświadczyła, że już mnie nie kocha. Powiedziała, że to jego kocha. Swojego szwagra. Męża jej siostry. Dlatego nie mogła zostać i dlatego nie potrafiła oddać dziecka, i dlatego musiała być wobec mnie uczciwa, i powiedziała mi, że mnie nie kocha. „Nie dbam o to” — odpowiedziałem wtedy. — „Ja cię kocham.” Usiłowałem jej to wytłumaczyć, ale ona nie słuchała. Tylko tego od niej chciałem, żeby słuchała, ale ona chciała iść. Trzymałem ręce na jej szyi, a potem była już martwa. Więc włożyłem ją do samochodu i przyjechałem tutaj, i zepchnąłem go. Szybko poszedł na dno. I wtedy skończyło się. Wszystko. Cała reszta mojego życia.

Fiona cofała się, lecz on tego nie zauważył.

— Fiono — odezwał się Hollis.

— Ona jest tam na dole — rzekła do niego obojętnie. Pokazała na kamieniołom, lecz Hollis patrzył tylko na nią. — Jest w bagażniku swojego samochodu — dokończyła.

Patrzył, z twarzą bez wyrazu, nieruchomy, jego szok i strata, jak zdała sobie sprawę, z pewnością są większe niż jej, bo znał Natalie. I, jeśli to była prawda, dlatego, że ją kochał. Z jego policzków zniknął cały kolor, skóra stała się blada, biała jak jego włosy, jak śnieg, który padał teraz mocniej i szybciej, nacierając na nich z ukosa, niemal poziomo w porywi-

stym wietrze. Drżał, a jego piękne, niebieskie oczy stały się teraz szare, jak zamglony lód.

— Przykro mi — wydusił. — Tak mi przykro.

Kiwnęła głową.

— Więc co teraz zrobimy? — odezwał się Patrick, stając do nich twarzą, z ramionami założonymi na piersi, tyłem do kamieniołomu.

— Wracajmy — oświadczyła.

— Mówię do ciebie, sędzio! — dodał ostro Patrick. — Co mamy teraz zrobić?

— Nie wiem — odparł Hollis znużonym głosem, potrząsając nieustannie głową.

Tak. Pomyślała, że jest w szoku, patrząc, jak świadomość śmierci Natalie ogarnia go i pustoszy.

— Cóż, nie możemy nadal udawać, prawda? Prawda? — krzyczał Patrick. Głos mu się załamał, gdy nie otrzymał odpowiedzi.

Hollis potrząsnął tylko głową.

— Trzeba było pozwolić mi wyznać wszystko, kiedy chciałem to zrobić. Chociaż wtedy nigdy nie poznałbym Fiony. — Patrick popatrzył na nią. — Myślałem nawet o tym, żeby spróbować być tym, kim chciałaś, ale wtedy widziałbym zawsze w tobie ją. Ty mówisz tak samo jak ona. Masz taki sam chropawy śmiech. Nawet tak samo chodzisz. — Dotknął jej policzka wierzchem dłoni, podczas gdy Hollis go obserwował. — Kocham cię. — Złapał ją za podbródek, zmuszając ją, by na niego spojrzała. Zamknął oczy i pocałował ją.

Nawet wstrzymując oddech, czuła zapach krwi Chestera. Zdawało się, że wydobywa się z jego ust.

— Przytrzymaj mnie — wyszeptał i objął ją ramionami. — Proszę, przytrzymaj mnie. Tylko na minutę. Proszę, Fiono. Fiono — błagał, gdy stała sztywno obok niego. Potem, przypominając sobie o pistolecie, podniosła rękę do jego krzyża i przeciągnęła nią powoli wzdłuż jego pasa. Jeśli był tam pistolet, teraz już go tam nie znalazła. Odsunęła się.

— Zamarzasz — powiedział. — Weź. — Zdjął swoją flanelową koszulę i okrył nią jej ramiona.

Czuła wilgotną krew Chestera na swojej piersi.

— Lepiej będzie, jak już wrócimy — odezwała się, przygotowana, że rzuci się na nią.

Skinął głową.

— Idziesz? — Bała się odwrócić do niego plecami.

Nie odpowiedział.

— Śnieg pada naprawdę strasznie. Nie możesz tu zostać. — Odsunęła się od niego o krok.

Odwrócił się i podszedł do brzegu kamieniołomu, stojąc tak blisko, że czubki jego butów wystawały nad przepaścią.

— Patricku — powiedziała, tak bardzo bojąc się go przestraszyć, że ledwie mogła wydobyć z siebie słowa. — Proszę. Nie. Nie rób tego. Pomozemy ci. Mój... sędzia i ja, naprawdę, pomozemy ci. — Popatrzyła błagalnie na Hollisa. — Powiedz mu. Powiedz, że mu pomożesz. Proszę! — błagała, gdy Patrick skulił się, przechylając się do przodu, tak że niemal zachwiał się nad przepaścią. — Powiedz coś! — błagała, potrząsając Hollisa za ramię. — Proszę! Proszę — Pokręciła głową z niedowierzaniem. — Co jest z tobą? Jak możesz tu tak po prostu stać?

Wtedy Patrick odwrócił się z błyszczącymi, mokrymi oczami. Jakby się uśmiechał.

— Powiedz jej. Powiedz jej, Charlie. Powiedz jej to, co mnie powiedziałeś. Bo to jest to samo, prawda? — Popatrzył teraz na Fionę. — Była tam już dwa lata i nie mogłem już tego znieść. Odchodziłem od zmysłów, więc poszedłem do jego biura i powiedziałem mu, że mogą przestać jej szukać. Powiedziałem mu wszystko, gdzie ona jest i co zrobiłem. Powiedziałem, że nie mogę już z tym dłużej żyć, wiedząc, co zrobiłem, wiedząc, że ona tam jest. „Nie obchodzi mnie, co się stanie” — powiedziałem. — „Muszę z tym skończyć.” A on wtedy: „Ale posłuchaj, Patricku, po co?” Tak właśnie powiedziałeś, nie, Charlie? Właśnie tak, prawda? „Po co iść do glin?” Tak powiedziałeś. „To niczego nie zmieni” — mówiłeś. — „Nic nie będzie inne. Natalie nadal będzie martwa. To tylko zniszczy wszystko i wszystkich.” Tak powiedziałeś, prawda?

— Powiedziałem, że ci pomogę, i próbowałem — odparł cicho Hollis.

— Ale nie starałeś się wystarczająco, Charlie! — ryknął, pokazując na niego ręką. — A teraz, posłuchaj. Wszystko zniszczone! Każda pieprzona rzecz i dla każdego! I to wszystko twoja wina! Nie moja! To ty! Zaczęło się od ciebie!

— Czego ty chcesz, Patricku? Powiedz mi, czego ty chcesz...

Gdy Fiona cofała się, każdy krok przywodził ją bliżej do straszliwej rzeczywistości jego czynu. Te wszystkie lata. Wiedział o tym przez te wszystkie lata. Dzień po dniu, trzymając na odległość ramienia nie kłopotliwą siostrzenicę — bękartą, lecz nikczemny twór swego śmiertelnego grzechu. Odmówił jej nie tylko rodziców, lecz także siostr i brata.

— Chcę, żebyś nadal próbował mi pomóc, Charlie. Chodź tutaj. Chodź tutaj i pomóż mi jeszcze trochę. No — poganiał Patrick ze smutnym, zagadkowym zdumieniem, jakby nawet teraz dziwił się wielkości własnej niemocy w porównaniu z rozpaczliwą słabowitością tamtego silniejszego mężczyzny. — Pomóż mi! Pomóż mi! Pomóż mi! — krzyczał.

Odwrociła się i zbiegła z ośnieżonego wzgórza. Te same młode drzewka i gałęzie, których się przytrzymywała, teraz kłują ją w twarz i ramiona, gdy uderzała o nie w pędzie.

— Mój Boże, mój Boże, mój Boże — dyszała, gdy dotarła do samochodu pokrytego śniegiem i nachylnego do przepustu pod drogą. Z rękoma założonymi na piersiach stała, czekając. Minęło kilka minut — dni, tygodni, lat — nim zza zasłony śniegu wynurzyła się, schodząc z wysiłkiem ze wzgórza, jakaś postać.

— Fiono, wszystko w porządku — wykrztusił, trzymając się ręką za pierś. — Wszystko będzie dobrze.

— Gdzie Patrick? — Popatrzyła obok niego. — Idzie? Tak, prawda. Prawda?

— Fiono, posłuchaj mnie. Nie można go było powstrzymać. Próbowałem, ale on postradał zmysły. Ciągle wrzeszczał. Nie słuchał mnie.

— Co się stało?

— Próbowałem go powstrzymać.

— O czym ty mówisz?

— On skoczył.

— Popchnąłeś go, tak? On tego chciał i ty to zrobiłeś, tak?

— Nie!

— Jesteś takim kłamcą. Powiedział, że wiedziałeś. Przez cały ten czas wiedziałeś, że ona tam jest.

— Fiono, posłuchaj...

— Tyle lat, a ty nic nie powiedziałeś.

— On był szalony, Fiono — nalegał, a jego twarz znalazła się tak blisko, że nie było już śniegu ani drzew, tylko błękitny ogrom jego oczu. — Starałem się pomóc. Zawsze się starałem, ale on mnie nienawidził.

— Oczywiście, że cię nienawidził! Twój sekret równoważył jego sekret.

— Mój sekret? Mój Boże, Fiono. Nie wierzysz chyba w nic, co powiedział, prawda? Postradał zmysły. Dopiero co zabił człowieka!

— Ale mówił prawdę. Wiem, że tak.

— Nie!

— Powiedział mi prawdę, ale ty nie potrafisz. Jesteś kłamcą. Zawsze byłeś kłamcą. Każdego dnia, wszystko, co się działo, każda nasza wspólna chwila, to wszystko było kłamstwem!

— Fiono, posłuchaj. Potrzebuję twojej pomocy. Proszę. Możemy to ułożyć. Proszę! Błagam cię — ję k n a ł .

— Co my możemy ułożyć? Mamy żyć dalej w tym kłamstwie? — Włosy stanęły jej dęba. — Co zrobisz, kiedy powiem prawdę? Nazwiesz mnie kłamczucha?

— Fiono, posłuchaj mnie. Zawsze będę się tobą opiekował. Obiecuję.

— Zawsze? — Nie mogła powstrzymać uśmiechu. — Tak, jak zająłeś się Patrickiem?

— Proszę, Fiono, nie chodzi tylko o mnie. Pomyśl o twojej ciotce Arlene.

— To ona nie wiedziała? — spytała, wskazując na kamieniołom. — Tak było, nie wiedziała?

— Nie, nie o tym.

— Nieprawda, wiedziała. Och, może nigdy nie wiedziała na pewno, bo nigdy nie chciała, ale na swój sposób wiedziała. Musiała. Wiedziała, że moja matka nie żyje.

— Nie! Nie, przysięgam, że nie. Jak możesz tak mówić? Była dla ciebie taka dobra.

— Naprawdę? Więc co, do diabła, myślała za każdym razem, gdy nazywałam cię wujkiem? Czy myślała o mnie i o tym, jak oddzielona, jak inna czułam się zawsze od wszystkich?

Zamknął oczy i zdawał się drżeć.

— To ją zniszczy. Rozumiesz? To będzie koniec wszystkiego.

— Już jest.

— Nie! Nie jest, nie rozumiesz? Nikt nie musi wiedzieć oprócz nas. Proszę, Fiono. Starałem się być dobrym człowiekiem. Starałem się. Mój Boże, wiesz, że tak. Nigdy nie wymigiwałem się od odpowiedzialności. Zrobiłem to, co trzeba. Wychowałem cię i opiekowałem się tobą.

— Czy to nie cudowne! Wychowałeś mnie!

— Byłem dla ciebie dobry. Byłem! — Głos mu się załamał.

Patrzyła na niego. Naprawdę w to wierzył.

— Ale wujku Charlesie, czy ty nie widzisz? To wszystko było nic niewarte. Zupełnie nic niewarte.

— Ale już nie jest. Poradzimy sobie z tym. Obiecuję. Poradzimy sobie! — Usiłowała ją uściskać, lecz go odepchnęła.

— Poradzimy sobie?

— Tak, pod warunkiem, że będziemy wobec siebie uczciwi.

— Nie. Pod warunkiem, że będę twoją pokręconą siostrzenicą, zgadza się? Szaloną Fioną, zawsze starającą się rozdzielić rodzinę Hollisów? Dziwką, co? Och, ona jest jak jej matka, prawda? I biedny sędzia Hollis. Jest takim dobrym człowiekiem, takim cholernie dobrym człowiekiem, ty sukinsynu, ty. — Uderzyła go w pierś. — Jesteś moim ojcem. Moim ojcem! Powiedz mi, że jesteś moim ojcem! Powiedz mi!

Potrząsała głową.

— Dlaczego nie możesz tego powiedzieć? Dlaczego?

Otworzył i zamknął usta.

— To była najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem — wykrztusił w końcu.

— Ale to ja płaciłam za to przez te wszystkie lata. Nie ty. Ja!

Zasłonił twarz dłońmi. Ramiona mu się trzęsły, lecz nie wydał żadnego dźwięku. Nic nie mogła zrobić, nic nie miała ochoty zrobić. Nic, tylko patrzeć, jak staje się mały i słaby. Jego kręgosłup zginał się, pochylając go tak nisko, że przez resztę swoich dni nie zobaczy już nieba, tylko ziemię, i tylko ten zacieniony kawałek tuż przy swoich stopach.

Świat dowie się, że on jest jej ojcem. Ciało Patricka zostanie odnalezione następnego wiosny. Choć będzie na to trzeba jeszcze kilku dni, stary, zarzewiały samochód zostanie wyciągnięty z dna wśród skrzypienia i powodzi błota, gdy ogromny dźwig przeniesie go, kołysząc, na suchy grunt. I właśnie tak, jak powiedział Patrick, w bagażniku będą szczątki młodej kobiety z nierówno utlenionymi włosami, niegdyś niebieskie pudełko i tysiące dolarów w gotówce. Lecz cała reszta pozostanie ich sekretem, więzią nierozzerwalną na zawsze, tak jak to jest z więzami krwi.

Rozdział 22

Przebywał z jej matką, więc gdy otwierając oczy, widzi zdjęcie Fiony, jest zaskoczony, a potem ogarnia go gniew, że znów się obudził, że jest wciąż tutaj, uwięziony wśród żywych. To jego piekło, to długie, beznadziejne oczekiwanie na koniec. Deski podłogi w holu skrzypią, a jemu zapiera dech. Obserwuje drzwi z tą samą trwogą i pragnieniem, które czuł wobec dziecka, którego nie odważył się kochać. To tylko wiatr. Wkrótce nadzieje kolejna sroga zima, a on siedzi tu wsparty na poduszkach. Na wózku inwalidzkim stojącym w kącie zbiera się kurz. Nigdzie nie chce pojechać. Nie tęskni za sądem. Podróże są uciążliwe, a dla niego już szczególnie. Green Mountains, Rocky Mountains, jaka różnica? Widział więcej, niż mu było przeznaczone, gór, oceanów, okazałych domów, ogrodów, muzeów. Jego wszechświat stanowi teraz ten zagrożony pokój, który dawniej był bawialnią. W zimne, mokre dni nieużywany kominek wydziela gryzący smród. Światło jest zawsze szarawe. Jego wnuki wiercą się nerwowo w obecności nieszczęsnego dziadka. Ogląda telewizję, głównie wiadomości, ale wie, że to nic niewarte, to wszystko nic niewarte. Pielęgniarka czyta mu każdego ranka gazetę. Jego myśli błądzą i zasympia niespokojnie, śniąc o swoich dzieciach. Ich przebaczenie sprawia mu ból. Skręca się nerwowo, gdy uparcie mówią o jego cnotach. Wie, jaki to był sterylny obraz, jak zreżymnie szafował moralnością i łaską, zamiast prawdziwej dobroci z jej surowym, niezdarnym pięknem zrodzonym z walki i bólu. Fiona obserwuje i milczy, bo ona wie. Wiedziała na długo przedtem, nim usiadła obok niego, w pełnym łez gniewie i triumfie, patrząc na każde z rodzeństwa, gdy powiedział: „Jestem ojcem Fiony.”

Policja pierwsza dotarła do domu Hollisów tamtego dnia, więc w chwili gdy on i Fiona przestąpili próg, Arlene już wiedziała. Lecz i tak zawsze wiedziała więcej, niż musiał jej powiedzieć. Wszystko się między nimi zmieniło. Pozory są zbędne. Poczucie obowiązku i jej niewyczerpa-

na dobroć podtrzymują go teraz przy życiu. Miłość była jej podróżą i miejscem przeznaczenia, lecz od czasu Natalie wszystko było tylko pokłosem jego czynu, cichą walką, by utrzymywać ten delikatny mechanizm, którego żadne z nich nie śmiało badać zbyt głęboko. Wraz z tym fatalnym błędem skończyło się jego dobre życie, a zaczęło — oszustwo. Jego pierwszym kłamstwem wobec żony było to, że nigdy nie przestał jej kochać, a drugim — że nigdy nie kochał jej siostry, nigdy nie znalazł, nie szukał, nie wynajdywał okazji, by być z nią sam na sam, a następnym — że było to czysto fizyczne: krótki romans, który rozpoczął się od jej poczucia osamotnienia i pogoni za nim, gdy Patrick wyjechał. Bo naprawdę zaczęło się to wiele lat wcześniej, gdy miała czternaście lat i była już kobietą, której dzikie piękno i żywiołowa energia czyniły zmęczoną żonę tego słabeusza jeszcze brzydszą. W końcu, gdy nie opuścił Arlene, Natalie opowiedziała o wszystkim siostrze.

Z Fioną to ostatnie kłamstwo jest bezpieczne. Nigdy nie dobieje ciotki ujawnieniem tego, że przez te wszystkie lata wiedział, że Natalie leżała skulona w bagażniku, że wiedział i nic nie zrobił, aż do tej chwili na urwisku z pełnym wahania błaganiem Patricka — *No, pomóż mi, Charlie. To twoja szansa. Twoja ostatnia szansa. Pomóż mi jeszcze raz* — gdy w końcu coś zrobił. Zbliżył się i wyciągnął rękę, bo dobro, które czyni człowiek, jak smutek w jego sercu, musi na coś liczyć — je ś l i nie na uhonorowanie, to choć na odrobinę odkupienia. Błagał Patricka. Lecz słowa były równie daremne wśród wiejącego wiatru, jak padający śnieg.

Arlene otwiera drzwi. Jego ciało sztywnieje z poniżenia. Jest tu pielęgniarka. Wykapie go i zmieni worek, zabierze gówno, całe to gówno. Arlene nie zwraca uwagi na jego nerwowe skręcanie się na łóżku. Musi być tym wszystkim bardzo zmęczona. Na pewno jest. Pielęgniarka mówi, że wpadła na Elizabeth i George'a w śródmieściu wczoraj wieczorem, w Merchants' Bazaar. Ich mali chłopcy są takimi dżentelmenami. Arlene uśmiecha się. Pochyla się i powtarza słowa pielęgniarki, by mieć pewność, że usłyszała.

Chciałby być tak dumny jak ona, tak dobra i taka oddana, lecz jak to możliwe, jeśli to wszystko gówno. To wszystko było takim gównem.

— Charlesie — beszta go Arlene. — Pani Cooper nie musi wysłuchiwać takiego języka.

— Przykro mi — jego obmierzłemu językowi udaje się w końcu wymówić te słowa.

— Wiem — wzdycha Arlene, wycierając chusteczką kącik jego ust. Mówiąc nad jego głową, pielęgniarka pyta, kiedy Fiona idzie rodzić.

— Fiona? — usiłuje się dowiedzieć, lecz one dalej rozmawiają. —
Przyjdzie?

— Nie, Charlesie. Chodzi o dziecko. Pani Cooper pytała, kiedy przyjdzie na świat dziecko Fiony i Rudy'ego.

Stara się usłyszeć resztę. Jego mózg pulsuje z wysiłku, a potem jego oczy zamykają się ciężko w blasku bijącym od ufnej, młodej twarzy Na-